

ISAAC ASIMOV

NASTANIE NOCY

ISAAC ASIMOW

NASTANIE NOCY

Gdyby gwiazdy świeciły przez jedną noc na tysiąc lat, jakże ludzie czciliby i wielbili, jak zachowywaliby przez pokolenia pamięć o mieście Boga!

EMERSON

Inny świat! Nie ma żadnego innego świata! Tutaj lub nigdzie - to cała rzeczywistość.

EMERSON

Pamięci szanownego Johna W. Campbella juniora i dwojga przerażonych dzieci z Brooklynu, które, drżąc ze strachu, odbyły budzącą grozę pielgrzymkę do jego biura - jedno w 1938, a drugie w 1952 roku.

Wszystkie postacie występujące w tej książce są fikcyjne, a jakiegokolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób, żyjących bądź umarłych, jest czysto przypadkowe.

Powieść ta jest oparta na opowiadaniu Isaaca Asimova "Nastanie nocy", które ukazało się po raz pierwszy w magazynie "Astounding Science Fiction" w 1941 roku (na język polski przetłumaczył Tadeusz Jan Dehnel; pierwsza publikacja w antologii "Kryształowy sześcian Wenus" wydanej przez "Iskry" w 1966 roku). Decyzją Autorów uległy zmianie niektóre imiona i nazwy.

Do Czytelnika

Kalgasz to zupełnie odmienny świat i nie chcielibyśmy, abyś myślał, iż jest taki sam jak Ziemia, nawet jeżeli zamieszkujących go ludzi opisujemy jako mówiących w zrozumiłym dla ciebie języku i posługujących się znanymi ci pojęciami. Te słowa należy rozumieć jedynie jako odpowiedniki terminów obcych - czyli jest to typowy zbiór odpowiedników, taki sam, jakiego używa autor powieści, gdy jego cudzoziemscy bohaterowie porozumiewają się między sobą w swoim ojczystym języku, a on przekłada ich słowa na język czytelnika. Tak więc jeżeli mieszkańcy Kalgasza mówią o "kilometrach", "rękach", "samochodach" czy "komputerach", to mają na myśli własne jednostki odległości, własne kończyny chwytne, własne środki transportu, własne urządzenia przetwarzające informacje itd. Komputery na Kalgaszu niekoniecznie muszą być kompatybilne ze stosowanymi w Nowym Jorku, Londynie czy Sztokholmie, a słowo kilometr, którego używamy w tej książce, nie musi oznaczać jednostki odległości równej tysiącu metrom. Uznaliśmy jednak, że prościej i lepiej będzie wykorzystać znane terminy do opisywania zdarzeń na tamym całkowicie odmiennym świecie, niż wymyślać długą listę kalgasjańskich wyrazów.

Innymi słowy, moglibyśmy opowiedzieć ci, jak to jeden z naszych bohaterów zatrzymał się, aby strapać swe kanglisze przed wyjściem na siedmiowerkową przechadzkę po głównej libiszy swojego rodzinnego subna, i cała treść książki mogłaby wyglądać równie obco i odległe. Wtedy jednak o wiele trudniej byłoby wyłowić sens tego, co opisujemy, a to nie wydawało nam się celowe. Istota tej opowieści nie leży bowiem w liczbie dziwacznych pojęć, które moglibyśmy wymyślić; zawiera się raczej w reakcji grupy ludzi nieco nas przypominających, żyjących w świecie trochę podobnym do naszego - we wszystkim, z wyjątkiem jednego, ważnego szczegółu - kiedy ci ludzie stają w obliczu sytuacji, różniącej się całkowicie od tego, z czym kiedykolwiek borykali się mieszkańcy Ziemi. Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności uznaliśmy, że lepiej opowiedzieć ci, iż ktoś założył buty przed wyjściem na siedmiokilometrową przechadzkę, niż zaśmiecać książkę kangliszami, werkami i libiszami.

Jeśli wolisz, możesz sobie wyobrazić, że w tekście pojawiają się "werki" wszędzie tam, gdzie jest mowa o "kilometrach", "glabery" tam, gdzie występują "godziny", a "sladoły" tam, gdzie są "oczy". Możesz też wymyślić własne terminy. Werki czy kilometry - wszystko to straci znaczenie w chwili, gdy pojawią się gwiazdy.

I. A.

R. S.

Część pierwsza

Szarówka

Popołudnie jaśniało blaskiem czterech słońc. Wielki złocisty Onos górował wysoko na zachodzie, a niżej mały czerwony Dovim wylał się właśnie na horyzoncie. Jeśli spojrzeć się w przeciwną stronę, można było zobaczyć błyszczące białe punkciki Treya i Patru, jaśniejące na tle purpury wschodniej części nieba. Cudowne światło zalewało pofałdowane równiny najbardziej na północ wysuniętego kontynentu Kalgasza. Biuro Kellaritana 99, dyrektora Miejskiego Instytutu Psychiatrii w Jonglorze, miało szerokie okna wychodzące na cztery strony świata, mogące w pełni oddać wspaniałość tego zachwycającego widoku.

Szirin 501 z Uniwersytetu Saryjskiego, który kilka godzin wcześniej przybył do Jongloru na pilne wezwanie Kellaritana, zastanawiał się, dlaczego nie jest w lepszym nastroju. Szirin miał pogodne usposobienie, dnie czterech słońc zwykle jeszcze zwiększały jego i tak wysoką aktywność; lecz dzisiaj był podenerwowany i niespokojny, chociaż ze wszystkich sił starał się to ukryć. Przecież ostatecznie wezwano go do Jongloru jako eksperta w dziedzinie chorób psychicznych.

- Czy chciałby pan zacząć od rozmów z ofiarami? - zapytał Kellaritan. Dyrektor szpitala psychiatrycznego był wychudzonym, kościstym człowieczkiem o bladej cerze i zapadniętej klatce piersiowej. Szirin, rumiany i daleki od wychudzenia, żywił wrodzoną podejrzliwość wobec każdego dorosłego, który ważył mniej niż połowę tego co on sam. "Może to Kellaritan tak mnie wyprowadza z równowagi - pomyślał Szirin. - Wygląda jak żywy kościotrup". - Czy też uważa pan, panie profesorze, że lepiej będzie najpierw poznać samemu Tunel Tajemnic?

Szirin zdobył się na krótki śmiech, mając nadzieję, że nie zabrzmiało to bardzo wymuszenie.

- Porozmawiam najpierw z paroma ofiarami - odparł. - W ten sposób nieco lepiej przygotuję się na potworności tunelu.

Ciemne, okrągłe jak paciorki oczy Kellaritana błysnęły niepewnie. Głos zabrał Sibello 54, ugrzeczniony, ale stanowczy prawnik Jongloryjskiej Wystawy Stulecia.

- Ależ, panie profesorze! - wykrzyknął. Potworności tunelu? To nieco przesadne określenie. Opiera się pan tylko na sprawozdaniach w prasie! Nazywa pan pacjentów ofiarami! Jak można ich tak określać?!

- Tego terminu użył doktor Kellaritan - stwierdził oschle Szirin.

- Jestem pewien, że doktor Kellaritan użył tego słowa w sensie najbardziej ogólnym. Zakłada ono bowiem coś, czego zaakceptować nie mogę.

W spojrzeniu, które Szirin rzucił prawnikowi, był zarówno niesmak, jak i zawodowy brak wszelkiego zaangażowania.

- O ile wiem, w wyniku przejazdu przez Tunel Tajemnic kilkoro ludzi zmarło - odpowiedział. - Czy tak?

- Owszem, było kilka zgonów. Nie ma jednak żadnego powodu, by sądzić, że ci ludzie zmarli właśnie w wyniku przejazdu przez tunel, panie profesorze.

- Doskonale rozumiem, dlaczego nie dopuszcza pan tej myśli do siebie, panie radco - odparł

Szirin cierpko.

- Doktorze Kellaritan! - Sibello rzucił pełne wściekłości spojrzenie dyrektorowi szpitala. - Jeżeli badanie ma wyglądać w ten sposób, muszę zgłosić swój protest! Pański profesor Szirin ma tu występować w roli bezstronnego eksperta, a nie świadka oskarżenia!

Szirin zachichotał.

- Wyraziłem swój ogólny pogląd na prawników, nie zaś moją opinię o tym, co się stało lub nie stało w Tunelu Tajemnic.

- Doktorze Kellaritan! - wykrzyknął czerwony ze złości Sibello.

- Panowie, proszę... - powiedział Kellaritan, przenosząc szybko wzrok z Szirina na prawnika i z prawnika na Szirina. - Postarajmy się nie występować przeciwko sobie. Moim zdaniem badania nasze mają wspólny cel. Jest nim odkrycie, co naprawdę zdarzyło się w Tunelu Tajemnic, aby te nieszczęsne... hm... przypadki się nie powtórzyły.

- Zgoda - rzucił Szirin pojednawczo. Uznał, że dogryzanie prawnikowi to strata czasu. Były ważniejsze rzeczy do zrobienia. Z uśmiechem zwrócił się do Sibello: - Nigdy właściwie nie interesowało mnie szukanie winnego, a tylko szukanie sposobów odwrócenia sytuacji, kiedy to ludzie chcą winnego znaleźć. Doktorze Kellaritan, obejrzyjmy teraz któregoś z pańskich pacjentów. Potem możemy zjeść obiad i przedyskutować wypadki, do których doszło w tunelu, tak jak je teraz widzimy, a po obiedzie chciałbym zobaczyć jeszcze jednego czy dwóch chorych...

- Obiad? - powtórzył Kellaritan, jakby to pojęcie było mu całkiem obce.

- Tak, obiad. Południowy posiłek. Jedzenie obiadu to mój stary zwyczaj, panie doktorze. Ale oczywiście poczekam. Z pewnością najpierw możemy odwiedzić któregoś z pacjentów.

Kellaritan kiwnął głową. Potem zwrócił się do prawnika:

- Myślę, że zaczniemy od Harrima. Jest dzisiaj w zupełnie dobrej formie. Na tyle dobrej, że chyba zniesie badanie przez kogoś obcego.

- A co z Gistin 190? - zapytał Sibello.

- Ona nie jest tak silna jak Harrim. Niech profesor Szirin dowie się zasadniczych rzeczy od Harrima, a potem porozmawia z Gistin i... hm, może z Chimmilitem. To znaczy po obiedzie.

- Dziękuję - powiedział Szirin.

- Proszę tędy, panie profesorze...

Kellaritan wskazał oszklony pasaż prowadzący z biura do szpitala. Był to wysoki, napowietrzny chodnik z widokiem na trzysta sześćdziesiąt stopni dookoła - na niebo i na niskie szarozielone wzgórza otaczające Jonglor. Światło czterech słońc wpadało tu ze wszystkich stron.

Dyrektor szpitala zatrzymał się na moment, spoglądając najpierw w lewo, a potem w prawo, obejmując w ten sposób wzrokiem całą panoramę. Wydawało się, że poważne, zmęczone oczy dyrektora szpitala psychiatrycznego zapłonęły nagle młodzieńczym blaskiem w ciepłych promieniach Onosa i kontrastujących z nimi promieniach Dovima, Patru i Treya, które zlewały się razem, tworząc olśniewające widowisko.

- Cóż za piękny dzień! - wykrzyknął Kellaritan z entuzjazmem, który dla Szirina był trochę niepokojący, wzięwszy pod uwagę, że wyraził go ktoś tak opanowany i surowy jak ten psychiatra. - Wspaniałe są te cztery słońca razem na niebie! Cudownie się czuję skąpany w ich blasku! Ach, czasem zastanawiam się, co byłoby z nami bez naszych wspaniałych słońc!

- Dzień mamy rzeczywiście piękny - zgodził się Szirin. Faktycznie, i on poczuł się trochę lepiej.

Pół świata dalej jedna z koleżanek Szirina 501 z Uniwersytetu Saryjskiego również spoglądała w

niebo, ale czuła jedynie przerażenie.

Była to doktor Siferra 89 z Wydziału Archeologii, która przez ostatnie półtora roku prowadziła wykopaliska na terenie starożytnego miasta Beklimot, leżącego na odległym półwyspie Sagikan. Zesztywniała ze zgrozy, obserwowała zbliżającą się katastrofę.

Tu niebo nie wyglądało przyjaźnie. W tej części świata jasno świeciły tylko Tano i Sitha; ich zimny blask nigdy nie przynosił radości, a jedynie smutek. Na tle głębokiego, ponurego błękitu nieba w tym dniu dwóch słońc była to złowroga, przytłaczająca iluminacja, rzucająca poszarpane, złowieszcze cienie. Można też było dojrzeć Dovima, który właśnie zaczął pięć się po niebie z prawej strony, tuż ponad szczytami odległych gór Horkkan. Jednak przyćmiony blask małego czerwonego słońca był niewielką pociechą.

Siferra wiedziała, że ciepłe żółte światło Onosa pojawi się wkrótce na wschodzie i rozjaśni świat. Niepokoiło ją jednak coś znacznie poważniejszego niż chwilowy brak głównego słońca.

Do Beklimotu zbliżała się burza piaskowa, za kilka minut przetoczy się nad nimi, a wtedy wszystko może się wydarzyć. Wszystko. Burza może zniszczyć namioty, tace ze starannie posortowanymi znaleziskami archeologicznymi mogą zostać przewrócone, a ich zawartość rozsypana. W jednej chwili ekipa może stracić aparaty fotograficzne, sprzęt konieczny do wykopalisk, pracowicie zestawione rysunki stratygraficzne i wszystko, nad czym tak długo pracowali.

Nawet gorzej. Wszyscy mogą zginąć.

I jeszcze gorzej. Ruiny starożytnego Beklimotu - kolebki cywilizacji, najstarszego znanego miasta na Kalgaszu - były w niebezpieczeństwie.

Rowy na otaczającej miasto aluwialnej równinie, które Siferra wykopała prowadząc badania, nie były zabezpieczone przed tak silną burzą. Jeżeli nadchodzący wiatr, już unoszący ogromne masy piasku, będzie wystarczająco silny, naniesie go jeszcze więcej i rzuci z ogromną siłą na kruche pozostałości Beklimotu - zetrze je, zniszczy, zagrzebie, a fundamenty potrzaska i rozrzuci po rozprężonej równinie.

Beklimot to historyczny skarb będący własnością całego świata. Siferra odsłaniając miasto narażała je na prawdopodobne uszkodzenie, ale to było normalne w takich przypadkach ryzyko. Nie da się przeprowadzić żadnych wykopalisk bez zniszczenia czegoś innego - na tym polega praca archeologa. Ale odsłonić samo serce równiny i mieć takiego pecha, by zostać zaskoczona przez najstraszliwszą w całym stuleciu burzę piaskową...

Nie, nie! To naprawdę zbyt wiele! Jeżeli w wyniku tego, co zrobiła, Beklimot zostanie zniszczony, jej imię będzie opluwane przez całe wieki.

A może nad tym miejscem wisi jakaś klątwa, o czym mówią przesądni ludzie? Siferra 89 zawsze z pogardą patrzyła na podobnych pomyleńców. Jednak te wykopaliska, które - jak miała nadzieję - ukoronują jej karierę, od samego początku przyprawiały o ból głowy. A teraz grożą zniszczeniem jej zawodowej kariery na resztę życia - jeżeli w ogóle to wszystko przeżyje.

Przybiegł jeden z asystentów, Eilis 18. Był to niski, żylasty mężczyzna, wyglądający bardzo niepozornie w porównaniu z wysoką, wysportowaną Siferra.

- Zamocowaliśmy już, co było można! - zawołał, z trudem łapiąc oddech. - Reszta jest w rękach bogów!

- Bogów? Jakich bogów, Eilisie, czy widzisz tu jakichś bogów? - spytała Siferra gniewnie.

- Ja tylko chciałem powiedzieć...

- Wiem, co chciałeś powiedzieć. Nieważne. Z przeciwnej strony nadszedł nadzorujący prace

Tuwik 443 z szeroko otwartymi z przerażenia oczami.

- Proszę pani, gdzie możemy się schować?! Tu nie ma żadnego bezpiecznego miejsca!

- Tuwiku, już ci mówiłam. Na dole pod urwiskiem.

- Zakopie nas tam! Zmiecie!

- Urwisko was ochroni, nie martw się - uspokajała go Siferra z pewnością siebie, której wcale nie czuła. - Idźcie tam! I przypilnuj, żeby wszyscy się tam znaleźli!

- A pani? Dlaczego pani tam nie idzie?

Spojrzała na niego z nagłym przestachem. Czyżby myślał, że ma swoją prywatną kryjówkę, w której będzie bezpieczniejsza niż inni?

- Zaraz pójdę, Tuwiku! Idź już i nie zawracaj mi głowy! Po przeciwnej stronie drogi, w pobliżu sześciobocznego budynku z cegły, który poprzedni badacze nazwali Świątynią Słońce, pojawiła się zwalista postać Balika 338. Mrugając i zakrywając oczy przed zimnym światłem Tano i Sithy spoglądał w kierunku północy, skąd nadciągała burza piaskowa. Na twarzy miał wyraz udręki.

Balik pełnił funkcję głównego stratygrafa, ale także meteorologicznego eksperta ekspedycji. Do jego obowiązków należało opracowywanie raportów dotyczących warunków pogodowych i przewidywanie wszelkich możliwych odchyżeń.

Pod względem pogody na półwyspie Sagikan zazwyczaj nie działo się wiele - było to miejsce niezwykle suche, a deszcz padał raz na dziesięć czy dwadzieścia lat. Jedynym niezwykłym wydarzeniem klimatycznym, które się tam zdarzało, było przesunięcie w dominującym modelu prądów powietrznych, co uruchamiało cyklon, ale to nie zdarzało się częściej niż kilka razy w stuleciu.

Czy przygnębienie na twarzy Balika oznaczało wyrzuty sumienia, które musiał czuć, bo nie udało mu się przewidzieć nadciągającej burzy? A może był tak przerażony dlatego, że uświadomił sobie całą grozę tego, co się miało zdarzyć?

Siferra pomyślała, że wszystko mogłoby być inaczej, gdyby mieli czas przygotować się do kataklizmu. Teraz dostrzegała te wszystkie znaki, które go zwiastowały, gdyby tylko zechciano je odczytać - najpierw niesłychanie suchy, nawet jak na warunki Sagikanu upał, zaraz potem martwa cisza zastąpiła normalny powiew od północy, następnie zaś dziwny, wilgotny wiatr nadszedł od południa. Kiedy zaczął wiać, ptaki khalla, osobliwe wychudzone stworzenia żywiące się padliną, które niczym wampiry nawiedzały okolicę, natychmiast uciekły, jakby goniły je demony, i ukryły się wśród wydm zachodniej pustyni.

To trzeba było przyjąć jako znak. Ptaki khalla uciekające z krzykiem w krainę wydm.

Byli zbyt zajęci kopaniem, by zwracać uwagę na to, co działo się wokół. Zwykle zaprzeczanie faktom. Udawaj, że nie zauważasz znaków świadczących o nadchodzącej burzy, a burza pójdzie gdzie indziej.

A potem ta mała szara chmurka, która pojawiła się znikąd na dalekiej północy, ta brudna plama na ognistej tarczy pustynnego nieba, zwykle przejrzystego jak szkło...

„Chmura? Czy widzisz jakąś chmurę? Nie widzę żadnej chmury”.

Znów zaprzeczanie faktom.

A teraz chmurka przekształciła się w olbrzymiego, czarnego potwora, zasłaniającego pół nieba. Wiatr wiał z południa, ale już nie był wilgotny; przypominał raczej powiew z rozpalonego pieca. Pojawił się jeszcze inny wiatr, silniejszy, dmący z przeciwnego kierunku. Jeden wiatr podsycił drugi. A kiedy się spotkają...

- Siferro! - ryknął Balik. - Nadchodzi! Chowaj się!

- Idę! Idę!

Nie miała ochoty nigdzie się chować. Chciała biec od jednej strefy wykopalisk do drugiej, wszystko jednocześnie ogarnąć spojrzeniem, przytrzymać mocno ściany namiotów, okryć ramionami drogocenne płyty fotograficzne, własnym ciałem osłonić odkryty w zeszłym miesiącu Dom Ośmioboczny, by uchronić znajdujące się tam, zapierające dech w piersiach mozaiki. Balik miał jednak rację. Tego szaleńczego poranka Siferra zrobiła wszystko, aby zabezpieczyć teren wykopalisk. Teraz pozostało jej jeszcze skulić się pod wysoką skałą i mieć nadzieję, że urwisko stanie się dla nich bastionem chroniącym przed rozszalałą burzą.

Pobiegła w tamtym kierunku. Długie, mocne nogi z łatwością niosły ją po wypalonym, skrzypiącym piachu. Siferra nie miała jeszcze czterdziestu lat; była wysoką, silną kobietą w pełni fizycznego rozkwitu i nigdy - aż do tej chwili - nie odczuwała niczego poza optymizmem w odniesieniu do każdego aspektu istnienia. I nagle wszystko zostało zagrożone: jej naukowa kariera, jej zdrowie, a nawet życie.

Wszyscy pozostali już siedzieli stłoczeni u podstawy urwiska za pospiesznie skleconą zasłoną z drewnianych pali, na których rozciągnięto płachty nieprzemakalnego płótna.

- Posuńcie się - powiedziała Siferra, torując sobie drogę.

- Proszę pani - jęknął Tuwik. - Niech pani sprawi, aby burza się odwróciła.

Jak gdyby była boginią o magicznej mocy! Siferra roześmiała się szorstko. Nadzorca zrobił jakiś gest w jej kierunku. "Święty znak" - pomyślała Siferra.

Inni robotnicy, wszyscy z tej samej małej wioski leżącej tuż po wschodniej stronie ruin, wykonali ten sam gest i zaczęli coś do niej mrużyć. Modlitwy? Do niej? Upiorna chwila. Ci ludzie, podobnie jak ich ojcowie i dziadowie, całe życie spędzili kopiąc w Beklimocie, zatrudnieni przez tego czy innego archeologa, cierpliwie odsłaniając starożytne budowle i przesiewając piasek w poszukiwaniu drobnych wytworów rąk ludzkich. Prawdopodobnie przeżywali już burze piaskowe. Czy zawsze odczuwali takie przerażenie? Czy może w tej właśnie burzy było coś aż tak bardzo niezwykłego?

- Już jest - odezwał się Balik. Zakrył twarz rękoma.

Nad nimi rozszalała się burza piaskowa.

Siferra stała, przez szparę w płótnie obserwując monumentalne cyklopowe mury miasta po drugiej stronie drogi, jak gdyby spojrzeniem chciała je ochronić przed zniszczeniem. Po chwili nadeszły podmuchy tak nieprawdopodobnego gorąca, iż miała wrażenie, że za chwilę jej włosy, a nawet brwi zajmą się ogniem. Odwróciła się i ukryła twarz w dłoniach.

Potem nadszedł piasek i nic już nie było widać.

Przypominało to zwykłą burzę, ale nie spadła ani jedna kropla wody. Cały czas rozlegał się huk, lecz nie były to grzmoty, tylko dudnienie niezliczonych drobinek piasku o ziemię. Przez ten dźwięk przebijały się inne: narastający szept, niepokojące skrobanie, delikatne bębnienie. Siferra wyobrażała sobie kaskady piasku grzebiące mury, grzebiące świątynie, grzebiące rozległe fundamenty dzielnicy mieszkalnej, grzebiące obozowisko.

I grzebiące ich wszystkich.

Odwróciła się twarzą do ściany urwiska czekając, aż nadejdzie koniec. Nagle ku swemu zdumieniu i upokorzeniu stwierdziła, że histerycznie szłocha, wstrząsana gwałtownym łkaniem z głębi swego ciała. Nie chciała umierać. Oczywiście, że nie: któż chciałby? Ale do tego momentu nie uświadamiała sobie, że może być coś gorszego od śmierci.

Beklimot, najświetniejszy teren archeologiczny na świecie, najstarsze znane ludzkości miasto, kolebka cywilizacji ulegnie zniszczeniu - wyłącznie w wyniku jej zaniedbania. Pracowali tutaj od półtora wieku, bo tak dawno odkryto Beklimot, najświetniejsi archeologowie Kalgasza: najpierw największy z nich wszystkich Galdo 221, potem Marpin, Stinnupad, Szelbik, Numoin - długa wspaniała lista - a teraz Siferra, która przez swą głupotę pozostawiła teren odsłonięty i narażony na burzę piaskową.

Dopóki Beklimot był pogrzebany pod piaskami, jego ruiny przez tysiąclecia spały spokojnie, zachowane w takim stanie, w jakim znajdowały się w dniu, kiedy opuścili go ostatni mieszkańcy, zmuszeni do tego ostrością zmieniającego się klimatu. Poczynając od czasów Galdo wszyscy archeologowie, którzy tu pracowali, odkrywali jedynie niewielkie wycinki miasta i troszczyli się, by ustawiać ekrany i płoty chroniące przed mało prawdopodobnym, ale wielkim niebezpieczeństwem burzy piaskowej. Aż do tej chwili.

Naturalnie, ona też ustawiła ekrany i płoty, ale nie przed nowymi wykopaliskami, nie na terenie, gdzie skoncentrowała swe badania. Tam właśnie były najstarsze i najpiękniejsze budynki Beklimotu. A ona, niecierpliwa i wiedzona swym stałym, silnym pędem do posuwania się ciągle naprzód, nie zrobiła nawet elementarnych zabezpieczeń. Oczywiście, wtedy tak nie myślała, ale teraz, przy tym rozrywającym jej uszy demonicznym ryku burzy piaskowej i czarnym, siejącym zniszczenie niebie...

„Równie dobrze mogę tego nie przeżyć - przemknęło jej przez głowę. - Nie będę wtedy musiała czytać tego wszystkiego, co o mnie napiszą w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat w podręcznikach archeologii”... Wspaniałe wykopaliska Beklimotu, dostarczające niezrównanych danych o rozwoju cywilizacji na Kalgaszu aż do momentu, kiedy uległy zniszczeniu w wyniku niefortunnych praktyk młodej, ambitnej doktor Siferry 89 z Uniwersytetu Saryjskiego...

- Chyba już się kończy - szepnął Balik.

- Co się kończy? - spytała.

- Burza. Posłuchaj! Jest już cicho.

- Pewnie jesteśmy tak zagrzebani w piasku, że nic nie słyszymy.

- Nie, Siferra. Nie jesteśmy zagrzebani! - Balik pociągnął za płachtę i udało mu się trochę ją podnieść. Siferra wyrzała na otwartą przestrzeń między urwiskiem a murem miejskim.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Zobaczyła głęboki, przejrzysty błękit nieba i promień słonecznego światła. Nawet jeżeli był to tylko ponury, przenikliwy, blady blask bliźniaczych słońc, Tano i Sithy, dla Siferry stanowił on teraz najpiękniejsze światło, jakie kiedykolwiek pragnęła ujrzeć.

Burza minęła. Znowu zapanował spokój.

Gdzie się podział piasek? Dlaczego wszystko nie zostało zasypane piaskiem?

Miasto było doskonale widoczne: wielkie kamienne bloki murów, migotliwie połyskujące mozaiki, kanciasty, granitowy dach Świątyni Słońc. Nawet większość ich namiotów - a prawie wszystkie, w których przechowywała najcenniejsze znaleziska - znajdowała się tam, gdzie być powinna. Tylko obóz robotników został bardziej uszkodzony, ale to można było w ciągu kilku godzin naprawić.

Siferra oszołomiona, ciągle nie mająca odwagi uwierzyć w to, co zobaczyła, wyszła z ukrycia i rozejrzała się wokół. Pod nogami nie czuła lotnego piasku. Twarda, wypalona, ciemna warstwa znajdująca się na powierzchni widoczna była również w rejonie wykopalisk. W dziwaczny sposób wyszorowana, wyglądała teraz trochę inaczej, ale burza nie pozostawiła na niej żadnych śladów.

- Najpierw przyszedł piasek - mówił Balik z namysłem - a za nim wiatr. Wiatr uniósł ten piasek, który na nas spadł i przeniósł na południe. Stał się cud, Siferro! Tylko tak możemy to nazwać. Popatrz, wiatr starł z ziemi całą tę płytką, górną warstwę piasku. Czego erozja dokonałaby w pięćdziesiąt lat, stało się w jednej chwili, ale...

Siferra nie słuchała. Schwyciła Balika za ramię.

- Spójrz tam - powiedziała, patrząc gdzieś daleko od głównego terenu wykopalisk.

- Gdzie? Co?

- Wzgórze Tombo! - pokazała palcem. Barczysty stratograf osłupiał.

- Bogowie! Pękło w środku!

Wzgórze Tombo było nieregularnym, niezbyt wysokim wzniesieniem, oddalonym o jakieś piętnaście minut drogi na południe od głównej części miasta. Od ponad stu lat, to znaczy od czasów drugiej ekspedycji wielkiego pioniera, Galda 221, nikt tam nie pracował, a i sam Galdo nie znalazł tam nic ciekawego. Uważano je za stos odpadków, na który mieszkańcy starożytnego Beklimotu wyrzucali kuchenne śmiecie - samo w sobie dosyć interesujące, ale absolutny drobiazg w porównaniu z tymi wszystkimi cudami, od których roilo się gdzie indziej na terenie wykopalisk.

Na wzgórzu Tombo skupiła się widocznie cała siła burzy - i to, czego nie zrobiły całe pokolenia archeologów, zostało dokonane nagle, właśnie teraz. Ze ściany frontowej wzgórza wyrwany został nierówny, zygzakowaty pas, odsłaniając, niczym jakaś okropna rana, wnętrze górnej części stoku. Ludziom o takim doświadczeniu, jak Siferra i Balik, wystarczyło jedno spojrzenie, aby ocenić wagę odkrycia.

- Miasto pod odpadkami - wymamrotał Balik.

- Myślę, że nie tylko jedno. Chyba cały ciąg - stwierdziła Siferra.

- Tak myślisz?

- Spójrz tam na lewo. Balik gwizdnął.

- Pod narożnikiem tych cyklopowych fundamentów to chyba mur w stylu kreskowym, prawda?

- Właśnie.

Siferze dreszcz przebiegł po plecach. Obejrzała się na Balika, równie jak ona oszołomionego. Oczy miał szeroko otwarte, twarz pobladła.

- W imię Ciemności - mruknął ochryple. - Cóż my tu mamy, Siferro?

- Nie jestem pewna. Ale natychmiast zaczynam to badać. - Odwróciła się w stronę kryjówki pod urwiskiem, gdzie Tuwik i jego ludzie, ciągle skuleni z przerażenia, czynili święte znaki i mamrotali modlitwy, jak gdyby nie byli w stanie pojąć, że burza minęła i są już bezpieczni. - Tuwiku! - ryknęła niemal z gniewem, wymachując rękami w jego kierunku. - Wyłaźcie stamtąd wszyscy! Mamy coś do zrobienia!

Harrim 682 był wielkim, muskularnym mężczyzną około pięćdziesiątki, z potężnymi bicepsami i szeroką klatką piersiową; wszystko to pokrywała gruba, ochronna warstwa tłuszczu. Szirin, obejrzawszy go dokładnie przez okno szpitalnej sali, od razu wiedział, że z Harrimem dogada się natychmiast.

- Zawsze brałem stronę ludzi, którzy są, powiedzmy, potężnie zbudowani - wyjaśnił Kellaritanowi i Sibellowi. - Rozumiecie, panowie, przez większą część życia sam taki byłem. No, nie zawsze aż tak umięśniony jak ten tutaj. - Szirin zaśmiał się z sympatią. - Cały tonę w tłuszczu. Z wyjątkiem oczywiście tego - dodał, klepiąc się w głowę. - Kim z zawodu jest ten Harrim?

- Robotnikiem portowym - odrzekł Kellaritan. - Trzydzieści pięć lat w dokach Jongloru. Bilet na

otwarcie Tunelu Tajemnic wygrał na loterii. Wziął całą rodzinę. Wszyscy zostali w jakimś stopniu dotknięci, ale on najsilniej. To dla niego bardzo żenujące, taki silny mężczyzna i takie całkowite załamanie.

- Wyobrażam sobie. Wezmę to pod uwagę. Chodźmy z nim porozmawiać.

Harrim siedział na łóżku, z zainteresowaniem wpatrując się w wirującą kostkę rzucającą wielokolorowe światło na przeciwległą ścianę. Uśmiechnął się dość uprzejmie do Kellaritana, ale wydawało się, że na widok Sibella, kroczącego za dyrektorem szpitala, twarz mu sposepniała, a zobaczywszy Szirina zlodowaciał całkowicie.

- Kto to? - zapytał Kellaritana. - Jeszcze jeden prawnik?

- Nie. Profesor Szirin 501 z Uniwersytetu Saryjskiego. Jest tu po to, aby pomóc ci dojść do siebie.

- Ech - prychnął Harrim. - Jeszcze jeden inteligent. Cóż dobrego którykolwiek z was dla mnie zrobił?

- Masz absolutną rację - odparł Szirin. - Jediną osobą, która może pomóc Harrimowi, jest sam Harrim, prawda? Ty o tym wiesz i ja o tym wiem, a może uda mi się przekonać o tym ludzi ze szpitala. - Usiadł na brzegu łóżka, które zatrzeszczało pod jego ciężarem. - No, przynajmniej mają tu przyzwoite łóżka. To musi być dobre, skoro nie zawaliło się pod nami dwoma... rozumiem, że nie lubisz prawników? Ja też, przyjacielu.

- To nędzni awanturnicy! Tylko oszustwa i podstępny. Kaza ci mówić nie to, co chcesz, bo twierdzą, że pomogą ci, jeśli powiesz tak i tak, a potem twe własne słowa obracają przeciwko tobie. W każdym razie mnie się tak wydaje.

Szirin spojrzał na Kellaritana.

- Czy jest absolutnie konieczne, żeby Sibello był przy tej rozmowie? Myślę, że poszłoby znacznie bardziej gładko bez niego.

Sibello zeszywniał.

- Jestem upoważniony do brania udziału w... - zaczął.

- Proszę - przerwał mu Kellaritan. To słowo wywarło większe wrażenie niż grzeczność, z jaką zostało wypowiedziane. - Szirin ma rację. Trzech gości to za dużo dla Harrima, przynajmniej dzisiaj. A pan już słyszał całą tę historię.

- No... - Sibello, którego twarz nagle poszarzała, zawahał się, po chwili jednak wyszedł.

Szirin ukradkiem dał znak Kellaritanowi, by usiadł w oddalonym końcu sali. Potem, zwróciwszy się do siedzącego na łóżku mężczyzny, uśmiechnął się najzyczliwiej, jak potrafił, i rzekł:

- To było okropne, prawda?

- Pan to powiedział.

- Jak długo tu jesteś?

- Tydzień, dwa. - Harrim wzruszył ramionami. - Może trochę dłużej. Chyba nie wiem. Od czasu... Zamilkł.

- Wystawy Jongloryjskiej? - powiedział Szirin.

- Tak, od czasu tej przejażdżki.

- To już dłużej niż tydzień czy dwa - stwierdził Szirin.

- Tak? - Od Harrima nagle powiało chłodem. Pacjent nie chciał słyszeć o tym, ile czasu spędził w szpitalu. Szirin zmienił taktykę.

- Założę się, że nigdy ci się nie śniło, iż nadejdzie dzień, w którym będziesz marzył o pójściu do

doków, co?

- Jasne! - Harrim się rozpogodził. - O rany, czegoż bym nie dał, żeby jutro znów przesunąć skrzynki. - Spojrzał na swoje ręce. Duże, mocne ręce, o grubych, spłaszczonych na czubkach palcach; jeden był skrzywiony od jakiegoś wypadku dawno temu. - Słabnę od tego leżenia. Kiedy wrócę do pracy, będę do niczego.

- Cóż cię tu w takim razie zatrzymuje? Dlaczego nie wstaniesz, nie założysz zwyczajnego ubrania i nie wyjdiesz?

Kelaritan ze swego kąta posłał psychologowi nieme ostrzeżenie. Szirin gestem nakazał mu być cicho.

- Po prostu wstać i wyjść? - Harrim rzucił na Szirina przerażone spojrzenie.

- Dlaczegoż by nie? Nie jesteś więźniem.

- Ale gdybym to zrobił... gdybym to zrobił... - Głos dokera się załamał.

- No, co by się stało, gdybyś to zrobił? - spytał Szirin. Przez dłuższy czas Harrim milczał. Głowę miał spuszczoną, brwi boleśnie ściągnięte. Kilka razy zaczynał mówić, ale za każdym razem urywał. Psycholog czekał cierpliwie. Wreszcie Harrim odezwał się zduszonym i ochryplym głosem:

- Nie mogę stąd wyjść, bo... bo... bo... - Chwilę walczył ze sobą. - Ciemność - wydusił w końcu.

- Ciemność - powtórzył Szirin.

To słowo zawisło między nimi niczym coś ciężkiego, coś, czego można było niemal dotknąć.

Harrim wyglądał na zakłopotanego, nawet zawstydzonego tym stwierdzeniem. Szirin przypomniał sobie, że ludzie z jego sfery rzadko używali tego słowa w towarzystwie. Dla Harrima było ono może nie tyle nieprzyzwoite, co bluźniercze. Nikt na Kalgaszu nie lubił myśleć o Ciemności, ale im mniej ktoś był wykształcony, tym groźniejsza wydawała mu się myśl, iż może nastąpić dzień, w którym wszystkie słońce jednocześnie zniknie z nieba i nad światem zapanuje Ciemność. To było nie do pomyślenia - po prostu nie do pomyślenia.

- Tak, Ciemność - rzekł Harrim. - Boję się, że jeśli... jeśli wyjdę na dwór, znów znajdę się w Ciemności. To jest właśnie to. Ciemno, znów wszędzie ciemno.

- Całkowite odwrócenie symptomów w ciągu kilku ostatnich tygodni - odezwał się cicho Kelaritan. - Na początku było dokładnie odwrotnie. Nie można go było bez środków uspokajających wprowadzić do budynku. Najpierw ostry przypadek klaustrofobii, a po jakimś czasie całkowite przesunięcie na klaustrofiliją. Myślimy, że może jest to oznaka powrotu do zdrowia.

- Możliwe - powiedział Szirin. - Ale jeśli nie ma pan nic przeciwko temu... - Zwrócił się łagodnie do Harrima: - Przejechałeś przez Tunel Tajemnic jako jeden z pierwszych, prawda?

- Zaraz pierwszego dnia. - W głosie Harrima zabrzmiała nutka dumy. - Zorganizowano loterię miejską. Setka ludzi wylosowała bezpłatny przejazd. Musieli sprzedać z milion losów, a mój numer wyciągnięto jako piąty. Ja, żona, syn i dwie córki, wszyscy pojechaliśmy. Zaraz pierwszego dnia.

- Czy chciałbyś mi powiedzieć coś o tym, jak tam było?

- No - bąknął Harrim. - Było... - Przerwał. - Nigdy, przenigdy nie byłem w ciemności. Nawet w ciemnym pokoju. Przenigdy. Nie interesowało mnie to. Pamiętam z dzieciństwa, że zawsze mieliśmy boże światelko w sypialni, a kiedy się ożeniłem i miałem już swój dom, oczywiście również tak było. Moja żona też tak to odczuwa. Ciemność nie jest czymś naturalnym. To nie powinno nigdy się zdarzać.

- Ale jednak wzięłeś udział w loterii.

- Tylko jeden raz. I pan wie, to było coś w rodzaju zabawy. Coś specjalnego. Święto. Wielka

wystawa, pięćsetlecie miasta, prawda? Wszyscy kupowali losy. I pomyślałem, że to musi być coś innego, coś naprawdę dobrego, bo inaczej dlaczego by mieli w ogóle to budować? Kupiłem więc los. I kiedy wygrałem, wszyscy w dokach mi zazdrościli, wszyscy chcieliby mieć ten los, niektórzy nawet proponowali, że go ode mnie odkupią... Powiedziałem im: "Nie, panowie, to nie jest na sprzedaż, to mój bilet, mój i mojej rodziny!"

- Byłeś więc bardzo podniecony perspektywą przejażdżki w tunelu?

- Tak, jasne, że tak.

- I kiedy to zrobiłeś, kiedy przejażdżka się zaczęła, jak to wyglądało?

- No... - Harrim zwilżył wargi i wydawało się, że spojrzeniem błądzi gdzieś bardzo daleko. -

Widzi pan, to były takie małe wagoniki, bez dachu, w środku tylko siedzenia z deseczek. Wsiadało się po sześć osób do każdego, ale nam pozwolili jechać w piątkę, zresztą wagonik był pełny, nie mógłby się nikt dostać. A potem zaczęli grać i wagonik wjechał do tunelu. Bardzo wolno, tak, bardzo wolno, nie tak jak samochód na szosie, on się raczej czołgał. I potem znaleźliśmy się w tunelu. I potem... potem...

Szirin znów czekał.

- Mów dalej - odezwał się po chwili, kiedy Harrim nie podejmował wątku. - Opowiedz mi o tym. Naprawdę chcę wiedzieć, jak to wyglądało.

- I potem zapadła ciemność - powiedział ochryple Harrim. Jego wielkie ręce drżały na samo wspomnienie. - Wie pan, ogarnęła nas tak, jakby ktoś rzucił na nas olbrzymi kapelusz. Wszystko od razu stało się czarne. - Drżenie przeszło w gwałtowne dygotanie. - Usłyszałem, że mój syn Trinit się śmieje. Trinit to mądry chłopak. Założę się, że myślał, iż ciemność to coś nieprzyzwoitego i dlatego się śmiał. Kazałem mu, żeby się zamknął, a wtedy jedna z moich córek zaczęła trochę płakać i powiedziałem jej, że wszystko jest w porządku, nie ma się czym martwić, bo to tylko piętnaście minut i powinna potraktować to jako przygodę, a nie coś, czego trzeba się bać. A potem, potem... Znów zamilkł. Tym razem Szirin nie nalegał.

- Potem poczułem, jak to się na mnie zaciska. Wszystko było ciemnością... ciemnością... Nie wyobraża pan sobie, jak to wyglądało... jakie to było czarne... jakie czarne... Ciemność... Ciemność...!

Harrim zadygotał gwałtownie, a z jego piersi dobył się urywany, spazmatyczny szloch.

- Ciemność... Boże, ciemność...!

- Spokojnie, człowieku. Tu nie ma się czego bać. Popatrz na światło słoneczne! Cztery słońca na niebie! Harrimie, uspokój się!

- Pozwoli pan, że się nim zajmę... - Kelaritan podbiegł do łóżka. W rękę błysnęła mu igła. Przytknął ją do niedźwiedziego ramienia Harrima, po czym rozległ się krótki syk. Pacjent ucichł prawie natychmiast. Opadł na poduszki z błogim uśmiechem na twarzy. - Trzeba go teraz zostawić w spokoju - rzekł psychiatra.

- Ale właściwie dopiero zacząłem...

- Nic sensownego panu nie powie przez kilka najbliższych godzin. Możemy równie dobrze pójść sobie na obiad.

- Aha, obiad - zgodził się Szirin bez entuzjazmu. Ku swemu zdziwieniu prawie wcale nie był głodny. Chyba nie pamiętał, kiedy ostatni raz tak bardzo nie miał apetytu. - I on jest u was jednym z najsilniejszych?

- Tak, jednym z najmniej rozchwianych.

- To jak w takim razie wyglądają inni?

- Niektórzy są całkowicie katatoniczni. Inni przez cały czas potrzebują środków uspokajających.

Jak już mówiłem, w pierwszej fazie nie chcieli wchodzić do pomieszczeń zamkniętych. Kiedy wyjechali z tunelu, wydawało się, że są w doskonałym stanie. Tyle że rozwinęła się u nich nagła klaustrofobia. Odmawiali wejścia do budynków - wszelkich budynków, włącznie z pałacami, zamkami, blokami mieszkalnymi, willami, chatami, szałasami, domkami kempingowymi i namiotami.

Szirin był wstrząśnięty do głębi. Napisał pracę doktorską o zaburzeniach spowodowanych ciemnością - dlatego poproszono go, by tu przyjechał - ale nigdy w życiu nie słyszał o tak krańcowych przypadkach.

- W ogóle nie chcieli wejść do jakiegokolwiek pomiesz- 'czenia? Gdzie więc spali?

- Pod gołym niebem.

- Czy próbowano siłą wprowadzić ich pod dach?

- O tak, stosowano ten środek. Reagowali wówczas silnym atakiem lęku. Niektórzy chcieli popełnić samobójstwo - podbiegali do ścian i walili w nie głową. Chorego, |wprowadzonego siłą do budynku, niepodobna było utrzymać bez zastrzyku środka uspokajającego i kaftana bezpieczeństwa.

Szirin spojrział na ogromnego dokera, który teraz spał, i potrząsnął głową.

- Biedacy.

- To była pierwsza faza. Harrim znajduje się teraz w fazie drugiej, klaustrofobicznej. Przystosował się do pobytu tutaj i syndrom obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Wie, że w szpitalu jest bezpieczny: tu cały czas pali się światło. Ale chociaż przez okno widzi słońca, boi się wyjść na zewnątrz. Myśli, że tam jest ciemno.

- Ależ to absurd! - wykrzyknął Szirin. - Tam nigdy nie jest ciemno.

W tym samym momencie, w którym to powiedział, poczuł się jak głupiec.

Kelaritan jednak przyjął to zupełnie normalnie.

- Wszyscy to wiemy, panie profesorze. Każdy zdrowy psychicznie człowiek to wie. Tylko że ci, którzy przeszli grozę Tunelu Tajemnic, nie są zdrowi psychicznie.

- Tak. Też tak uważam - przyznał Szirin zawstydzony.

- Później pan pozna kilku naszych innych pacjentów - odparł Kelaritan. - Może oni pozwolą panu spojrzeć na problem z szerszej perspektywy. A jutro pojedziemy na teren wystawy i pokażemy panu tunel. Oczywiście zamknęliśmy go, kiedy wynikły kłopoty, ale ojcowie miasta bardzo chcieliby znaleźć jakiś sposób, aby ponownie udostępnić ludziom tę atrakcję. Myślę, że w Tunel Tajemnic zainwestowano olbrzymie pieniądze. Ale najpierw powinniśmy zjeść obiad, prawda, panie profesorze?

- Obiad, naturalnie - powtórzył Szirin jeszcze mniej entuzjastycznie niż poprzednio.

Wielka kopuła Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Saryjskiego, majestatycznie wznosząca się nad zalesionymi stokami Wzgórza Obserwatoryjnego, jasno błyszczała w świetle późnego popołudnia. Mała czerwona tarcza Dovima już się skryła za horyzont, ale Onos stał jeszcze wysoko na zachodzie, Trey i Patru zaś, przecinające pod ostrym kątem niebo na wschodzie, zostawiały błyszczące, jasne smugi światła na ogromnej powierzchni kopuły.

Biney 25, szczupły mężczyzna o szybkich, nerwowych ruchach, niespokojnie przemierzał znajdujące się nie opodal obserwatorium małe mieszkanie, które dzielił z kontraktową partnerką, Raissą 717. Zaczął składać swe książki i papiery.

Raissa, rozciągnięta wygodnie na małej, nieco podniszczonej zielonej kanapie, spojrziała na niego

i zmarszczyła brwi.

- Wychodzisz? - spytała.

- Tak, do obserwatorium.

- Przecież jest jeszcze wcześniej. Zwykle nie zaglądasz tam przed zachodem Onosa, a będzie świecił jeszcze kilka godzin.

- Dzisiaj mam umówione spotkanie, Raissa. Rzuciła mu ciepłe, uwodzicielskie spojrzenie. Obydwoje byli doktorantami - on na Wydziale Astronomii, ona zaś na Biologii - a kontraktową parę stanowili już od siedmiu miesięcy. Ich związek znajdował się co prawda w stadium rozkwitania, ale już powstawały pewne problemy. Biney pracował wieczorami, kiedy na niebie świeciły tylko mniejsze słońca. Ona czuła się najlepiej w pełnym blasku dnia, pod złotym światłem jaśniejącego Onosa.

Ostatnio spędzał więcej czasu w obserwatorium i prawie nigdy się nie zdarzało, by obydwójce szli spać o tej samej porze. Biney wiedział, jak ciężką jest to dla niej próba. Zresztą równie ciężką i dla niego. Przeprowadzał badania orbity Kalgasza, co było pracą niezmiernie absorbującą, a poza tym zagłębiał się w rejony coraz trudniejsze, rzucające wciąż większe wyzwania i coraz bardziej przerażające. Żeby tylko Raissa miała jeszcze trochę cierpliwości - jeszcze kilka tygodni, może miesiąc lub dwa...

- Czy nie mógłbyś dziś zostać jeszcze chwilę? - zapytała.

Serce skoczyło mu do gardła. Raissa spoglądała na niego tym swoim powłóczystym, zapraszającym spojrzeniem, któremu tak trudno było się oprzeć. Zresztą nie miał ochoty się opierać. Tylko że Imot i Faron będą czekać.

- Powiedziałem ci. Mam...

- ...umówione spotkanie, tak. No cóż, ja też. Z tobą.

- Ze mną?

- Powiedziałeś wczoraj, że możesz mieć trochę wolnego czasu dziś po południu. Wiesz, liczyłam na to. Zorganizowałam sobie wszystko tak, aby też mieć wolny czas. Całą pracę w laboratorium zrobiłam rano, po to tylko...

„Coraz gorzej” - pomyślał Biney. Rzeczywiście, przypomniał sobie, iż mówił coś o dzisiejszym popołudniu, kompletnie zapominając, że miał się spotkać z dwoma studentami.

Raissa wydeła wargi jakby w uśmiechu - rodzaj sztuczki, którą opanowała do perfekcji. Biney zapragnął zapomnieć o Faronie i Imocie i natychmiast wziąć ją w ramiona. Gdyby to zrobił, mógłby godzinę się spóźnić. A może nawet dwie.

Musiał przyznać sam przed sobą, że rozpaczliwie chciał wiedzieć, czy ich obliczenia potwierdziły jego własne.

Praktycznie rzecz biorąc walczyły w nim dwa równie silne pragnienia: pozostać z Raissa i poświęcić się całkowicie rozważaniom problemu naukowego o ogromnym znaczeniu. Chociaż powinien stawić się punktualnie na spotkanie, zmieszany uświadomił sobie, że faktycznie umówił się także z Raissą - i że nie była to tylko sprawa zobowiązania, ale i przyjemności.

- Widzisz - powiedział podchodząc do kanapy i biorąc dziewczynę za rękę. - Nie mogę być w dwóch miejscach naraz, prawda? I kiedy mówiłem ci wczoraj to, co powiedziałem, zapomniałem, że Imot i Faron przyjdą do obserwatorium na spotkanie ze mną. Ale chciałbym zawrzeć z tobą układ. Pójdę tam, załatwię moją sprawę, a potem się wymknę. Wrócę tu za kilka godzin. Odpowiada ci to?

- Przecież miałeś dziś wieczorem fotografować asteroidy - znów wydeła wargi, ale tym razem

absolutnie bez uśmiechu.

- Niech to licha! No to poproszę Tilandę, żeby zrobiła za mnie tę fotograficzną robotę. Albo Hikkinana. Albo kogokolwiek. Wrócę, kiedy będzie zachodził Onos, obiecuję ci to.

- Obiecujesz?

- Tak, i tej obietnicy dotrzymam. - Ścisnął jej dłoń i uśmiechnął się szybko, filuternie. - Możemy się założyć. Dobrze? Nie gniewasz się?

- No...

- Pozbędę się Faroną i Imotą najszybciej, jak będę mógł.

- Dobrze by było. - Kiedy znów zaczął zbierać papiery, dodała: - Nawiasem mówiąc, co to za okropnie ważna sprawa związana z Faronem i Imotem?

- Praca laboratoryjna. Studia nad grawitacją.

- Muszę powiedzieć, że nie brzmi to dla mnie jak rzecz wielkiej wagi.

- Mam nadzieję, że nie okaże się rzeczą wielkiej wagi dla kogokolwiek - westchnął Biney. - Ale właśnie to chcę sprawdzić.

- Chciałabym wiedzieć, o czym mówisz. Spojrzał na zegarek i odetchnął. Pomyślał, że może tu jeszcze pozostać minutę lub dwie.

- Wiesz, że ostatnio badałem ruch Kalgasa po orbicie Onosa, prawda?

- Oczywiście.

- No tak, a parę tygodni temu natknąłem się na anomalię. Moje obliczenia nie zgadzały się z teorią powszechnego ciążenia. Naturalnie sprawdziłem je, ale wyszło to samo po raz drugi. I po raz trzeci. I po raz czwarty. Zawsze ta sama anomalia, niezależnie jaką zastosowałem metodę obliczeń.

- Och, Bineyu, tak mi przykro. Tyle się nad tym napracowałeś, by w końcu odkryć, że twoje wnioski są błędne...

- A co, jeżeli są słuszne?

- Przecież właśnie powiedziałeś...

- W tej chwili nie wiem, czy moje wyliczenia są poprawne czy niepoprawne. Na tyle, na ile ja mogę je ocenić, są poprawne, ale trudno pojąć, że się nie omyliłem. Sprawdziłem i jeszcze raz sprawdzałem, i jeszcze raz, stosując wszelkie możliwie metody, aby upewnić się, że nie zrobiłem błędu w obliczeniach. A wynik, jaki mi wychodzi, jest niemożliwy do przyjęcia. Jedyne wyjaśnienie, które mi się nasuwa, to że wyszedłem z mylnej przesłanki i od tego punktu robiąc wszystko poprawnie, zawsze dochodziłem do tej błędnej odpowiedzi, nieważne, jaką przyjmowałem metodę sprawdzania rachunków. Równie dobrze mogę nie dostrzegać jakiejś nieścisłości u podstaw mojego zbioru założeń. Na przykład jeżeli zaczniesz od nieprawidłowej liczby oznaczającej masę planetarną, otrzymasz dla planety złą orbitę, niezależnie od tego, jak poprawna byłaby reszta twoich obliczeń. Czy rozumiesz mnie?

- Do tej pory tak.

- Dlatego dałem to zadanie Faronowi i Imotowi i poprosiłem, aby całą pracę wykonali od początku, nie mówiąc im, na czym polega problem. To bystre dzieciaki. Mogę liczyć na nich, jeśli chodzi o przyzwoitą matematykę. I jeżeli dojdą do tego samego wniosku co ja, zaczynając z punktu całkowicie wykluczającego ewentualną pomyłkę w moim sposobie rozumowania, wtedy będę musiał przyznać, że moje wyniki mimo wszystko są poprawne!

- Ależ, Bineyu, przecież one nie mogą być poprawne! Sam powiedziałeś, że twoje odkrycia są sprzeczne z prawem ciążenia!

- A jeżeli prawo ciężenia się myli, Raisso?

- Co? Co? - W jej oczach malowało się najwyższe osłupienie.

- Czy widzisz teraz, gdzie leży problem? - zapytał Biney. - Dlaczego muszę natychmiast wiedzieć, jakie wyniki otrzymali Imot i Faron?

- Nie, w ogóle nic z tego nie rozumiem.

- Porozmawiamy o tym później, obiecuję.

- Biney! - Zaczęła ogarniać ją rozpacz.

- Muszę iść. Wrócę, jak tylko będę mógł. Na pewno.

Siferra zatrzymała się na chwilę, aby z namiotu, w którym magazynowali ekwipunek, zabrać miotełkę i oskard. Burza przekrzywiła namiot, ale poza tym był względnie nie naruszony. Siferra zaczęła gramolić się po zboczu wzgórza Tombo, a Balik niezgrabnie włókł się tuż za nią. Młody Eilis 18 właśnie wyłonił się spod urwiska, które udzieliło im schronienia, i stał na dole gapiąc się na nich. Tuwik i jego ludzie stali trochę dalej, także obserwowali ich wspinaczkę i ze zdumienia drapali się po głowach.

- Uważaj, Baliku! - ostrzegła Siferra, która właśnie dotarła do brzegu wyżłobienia w zboczu. - Chcę zrobić próbne cięcie.

- Czy nie powinniśmy najpierw tego sfotografować, a potem...

- Powiedziałam ci, żebyś uważał - powtórzyła ostro. Wbiła oskard w zbocze, rozsypując deszcz ziemi i kamyków na jego głowę i ramiona.

Balik odskoczył wypluwając piasek.

- Przepraszam. - Siferra nawet nie spojrzała na niego. Po raz drugi uderzyła oskardem, poszerzając uczynione przez burzę wyżłobienie. Wiedziała, że traktowanie jakiegokolwiek odkrycia w ten sposób nie jest najlepszą z technik. Jej nauczyciel, wspaniały stary Szelbik prawdopodobnie przewraca się w grobie. A twórca ich nauki, szacowny Galdo 221, bez wątpienia smutno kręci głową, spoglądając na nią ze swego szczytnego miejsca w panteonie archeologów.

Z drugiej jednak strony obydwaj, Szelbik i Galdo, mieli szansę odkryć, co leżało w środku wzgórza Tombo, a nie zrobili tego. Jeżeli była teraz trochę zanadto podniecona, zareagowała trochę zbyt gwałtownie... cóż, muszą jej wybaczyć. Teraz, kiedy klęska, którą miała przynieść burza piaskowa, przedziwnym zbiegiem okoliczności przerodziła się w pomyślność, kiedy oczekiwane przez nią zburzenie jej kariery niespodziewanie przerodziło się w coś absolutnie odwrotnego, Siferra nie mogła powstrzymać się od zajrzenia, co kryje się w zboczu. Nie mogła. Absolutnie nie mogła.

- Popatrz - mruknęła. Odrzuciła już zwały ziemi zalegające na wierzchu i zabrała się do pracy miotełką. - Mamy tu wypaloną warstwę, tuż na poziomie fundamentów tego cyklopowego miasta. Musiało zostać doszczętnie spalone. Ale spójrz nieco niżej. To miasto w stylu kreskowym jest tuż pod linią ognia, po prostu położono monumentalne fundamenty na szczycie jeszcze starszego miasta...

- Siferro... - przerwał zaniepokojony Balik.

- Wiem, wiem. Pozwól mi tylko zobaczyć, co tutaj jest. Szybka próba i zaraz zaczniemy pracować jak należy. - Czuła się tak, jakby od czubka głowy do stóp spływał po niej pot. Od intensywnego wypatrywania zaczęły ją boleć oczy. - Popatrz! Jesteśmy właściwie na szczycie, a już mamy dwa miasta. Śmiem twierdzić, że jeżeli przekroimy wzgórze trochę głębiej, gdzieś tu znajdziemy fundamenty z okresu kreskowego... tak! Tak! Tam! Na Ciemność, Baliku, patrz! Patrz!

Triumfalnie wskazała mu kierunek czubkiem oskarda. W pobliżu fundamentów budynku w stylu kreskowym widać teraz było następną ciemną linię popiołu drzewnego. Drugi po najwyższym poziom

został również zniszczony przez ogień, podobnie jak poziom cyklopowy. Najwyraźniej był umieszczony na ruinach jeszcze starszej osady.

Balika także ogarnęła gorączka. Zaczęli pracować razem, starając się odrzucić zewnętrzną część wzgórza w połowie drogi między podstawą a potrząskanym szczytem. Eilis krzyczał do nich pytając, co też, w imię Kalgasza, oni tam robią, ale zignorowali jego wrzaski. Rozpaleni ciekawością, szybko przekopywali się przez warstwy nawianego piasku, posuwając się w głąb wzgórza dziesięć centymetrów, piętnaście, dwadzieścia...

- Czy widzisz to, co ja widzę?! - wykrzyknęła po jakimś czasie Siferra.

- Tak, jeszcze jedna osada. Ale jak myślisz, jaki to styl architektoniczny?

- To dla mnie nowość. - Wzruszyła ramionami.

- Dla mnie też, ale z pewnością jest to coś bardzo archaicznego.

- Bez wątpienia. W dodatku nie jest to jeszcze najbardziej archaiczna warstwa, jaką tu mamy. - Siferra spojrzała w dół, w kierunku bardzo odległej podstawy wzgórza. - Wiesz, Baliku, co myślę? Mamy tu pięć miast, sześć, siedem, może osiem, każde na szczycie poprzedniego. Ty i ja możemy spędzić resztę życia kopiąc w tym wzgórzu!

Spojrzeli na siebie w zamyśleniu.

- Lepiej zejdzmy teraz na dół i zrobmy parę zdjęć - powiedział Balik cicho.

- Tak, tak. Oczywiście. - Nagle poczuła się prawie spokojna. "Wystarczy tego wściekłego kopania i rozbijania - pomyślała. - Pora wrócić do profesjonalizmu. Pora podejść do tego wzgórza jak naukowiec, a nie jak poszukiwacz skarbów czy dziennikarz.

Niech Balik najpierw zrobi zdjęcia z każdej strony. Potem trzeba wziąć próbki ziemi z najwyższego poziomu i odpowiednio je oznakować, a potem przejść przez całą resztę standardowych procedur wstępnych.

Potem próbny rów, śmiałe cięcie przez wzgórze, dające jakieś pojęcie o tym, co tu naprawdę mamy.

A potem - mówiła do siebie - będziemy zdejmować z tego wzgórza warstwę po warstwie. Rozbierzemy je na części, odsuwając jedną warstwę, aby dostać się do następnej i tak dalej, aż dojdziemy do dziewiczej ziemi... A kiedy to zrobimy, będziemy wiedzieć więcej o prehistorii Kalgasza niż wszyscy moi poprzednicy razem wzięci od czasu, kiedy archeolodzy po raz pierwszy przybyli do Beklimotu".

Panie profesorze - powiedział Kellaritan do Szirina - przygotowaliśmy wszystko do pańskiej inspekcji Tunelu Tajemnic. Proszę za jakąś godzinę wyjść przed hotel, stamtąd pana zabierzemy.

- Zatem do zobaczenia za godzinę.

Pulchny psycholog odłożył słuchawkę i z powagą przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze naprzeciwko łóżka.

Twarz, która na niego spoglądała, była mocno zakłopotana. Wyglądał na tak wynędzniałego i zmarnowanego, że musiał uszczypnąć się w policzki, by sprawdzić, czy wciąż jeszcze są na miejscu. Tak, były tam, gdzie być powinny, znane mu, jego własne mięsiste policzki. Nie stracił na wadze ani grama. To tylko wyczerpanie psychiczne.

Spał źle - właściwie chyba prawie wcale nie spał - a od wczoraj ledwie skubnął odrobinę jedzenia. Teraz również nie czuł się głodny. Myśl o zejściu na dół i zjedzeniu śniadania nie wywoływała w nim żadnego wrażenia. Nie być głodnym - było to dla niego uczucie całkowicie nowe.

Zastanawiał się, czy ten podły nastrój był wynikiem wczorajszych rozmów z nieszczęsnymi pacjentami Kelaritana.

A może po prostu przerażała go perspektywa przejechania przez Tunel Tajemnic?

Rozmowy z pacjentami z pewnością nie były rzeczą łatwą. Z pracą kliniczną dawno już nie miał do czynienia, a przebywanie pomiędzy pracownikami uniwersyteckimi w Saro zmniejszyło ten profesjonalny dystans, który pozwala na przebywanie wśród chorych i niepoddawanie się uczuciom smutku i współczucia. Szirin był zaskoczony tym, jak bardzo okazał się nieodporny i wrażliwy.

Najpierw doker Harrim, z wyglądu tak twardy, że mógłby znieść wszystko. A mimo to piętnaście minut w Tunelu Tajemnic doprowadziło go do takiego stanu, że nawet wspomnienie tego przeżycia wywołało atak lęku. Jakież to ogromnie smutne!

A tych dwoje, których widział po południu, było w jeszcze gorszym stanie. Gistin 190, nauczycielka, śliczna, drobna kobieta, z ciemnymi inteligentnymi oczami - nawet na chwilę nie mogła przestać szlochać i chociaż na początku mówiła normalnie i zrozumiale, jej opowiadanie wkrótce przeszło w nieartykułowany krzyk, z którego udało się wyłowić zaledwie parę zdań. Chimmilit 97, uczeń liceum, sportowiec, okaz fizycznej sprawności - Szirin zapewne nieprędko zapomni, jak ów chłopiec zareagował na widok popołudniowego nieba, kiedy zostały odsunięte zasłony. Po zachodniej stronie jasno świeciła tarcza Onosa, a ten imponująco zbudowany, przystojny chłopak zdołał z siebie wydusić tylko dwa słowa: "Ciemność... Ciemność...", po czym skulony próbował wpełznąć pod łóżko!

Ciemność... Ciemność...

„A teraz moja kolej udać się na przejażdżkę przez Tunel Tajemnic” - pomyślał Szirin ponuro.

Oczywiście, mógł odmówić. W jego umowie konsultacyjnej z Radą Miejską Jongloru nie było nic, na podstawie czego można by od niego wymagać ryzykowania zdrowia psychicznego. Przecież był w stanie wydać wiążącą opinię bez narażania się na niebezpieczeństwo.

Coś wewnątrz niego buntowało się jednak przeciw takiemu tchórzostwu. Jeżeli już nie co innego, to zawodowa duma popychała go do tunelu. Był tutaj po to, by zbadać zjawisko masowej hysterii i pomóc wypracować sposoby nie tylko wyleczenia ofiar, lecz także zapobieżenia podobnym tragediom w przyszłości. Jak wyjaśni, co przytrafiło się ofiarom, jeżeli nie przeprowadzi dokładnego badania przyczyn tych zaburzeń? Musiał wejść do tunelu. Wycofanie się byłoby czystym nadużyciem.

Nie chciał również, aby ktokolwiek, nawet ci obcy ludzie w Jonglorze, mieli powód do oskarżania go o tchórzostwo. Dobrze pamiętał urągania z czasów dzieciństwa: "Thiścioch jest tchórzem! Thiścioch jest tchórzem!" Wszystko dlatego, że nie chciał wspiąć się na drzewo, co po prostu przerastało możliwości jego ciężkiego ciała o źle skoordynowanych ruchach.

Thiścioch nie był tchórzem. Szirin to wiedział. Szirin był z siebie zadowolony, wiedział, że jest człowiekiem normalnym, zrównoważonym. Nie chciał, aby inni ludzie snuli w stosunku do niego jakieś nieprawdziwe domysły tylko dlatego, że z wyglądu nie przypominał bohatera.

A poza tym mniej niż jeden na dziesięciu z tych, którzy przeszli przez tunel, wykazywało oznaki zaburzeń. Musieli więc być w jakiś szczególny sposób wrażliwi. "A że ja jestem taki psychicznie zdrowy, taki zrównoważony - powtarzał sobie - nie ma powodu do obaw".

NIE MA...

POWODU...

DO OBAW...

Powtarzał to tak długo, aż uspokoił się niemal całkowicie.

Mimo to schodząc na dół, aby poczekać na samochód ze szpitala, czuł się kimś innym niż zwykle, kimś różnym od codziennego, jowialnego Szirina.

Kelaritan już go oczekiwał w towarzystwie Sibella i atrakcyjnej kobiety. Przedstawiono mu ją jako Yarittę 312, jedną z grona inżynierów, którzy zaprojektowali tunel. Szirin przywitał się ze wszystkimi z szerokim uśmiechem na twarzy i serdecznie ściskając im dłonie, co - miał taką nadzieję - wyglądało przekonywająco.

- Miły dzień na wycieczkę do wesołego miasteczka - zauważył, starając się, by zabrzmiało to pogodnie.

- Cieszę się, że pan tak to traktuje, panie profesorze. - Kelaritan spojrzał na niego dziwnie. - Czy pan dobrze spał?

- Dziękuję, bardzo dobrze... a raczej tak dobrze, jak było to możliwe po obejrzeniu wczoraj tych wszystkich nieszczęsnych ludzi.

- A więc, jeżeli chodzi o ich szansę powrotu do zdrowia, nie jest pan optymistą?

- Chciałbym nim być - odpowiedział Szirin. Samochód gładko posuwał się w kierunku północnych dzielnic miasta.

- Mamy około dwudziestu minut jazdy do Wystawy Stulecia - rzekł Kelaritan. - Sama ekspozycja będzie zapewne jak zwykle zatłoczona, ale duża część terenu rozrywkowego została odgrodzona, tak że nikt nie będzie nam przeszkadzał. Jak pan wie, tunel został zamknięty, kiedy okazało się, ile przynosi kłopotów.

- Ma pan na myśli wypadki śmiertelne?

- Oczywiście, po nich nie mogliśmy pozwolić na kontynuowanie przejazdów - stwierdził Sibello - ale musi pan wiedzieć, że rozważaliśmy możliwość zamknięcia tunelu znacznie wcześniej. Była to po prostu kwestia odpowiedzi na pytanie, czy ludzie, którzy doznali zaburzeń w wyniku przejazdu, rzeczywiście ucierpieli, czy też ulegli zbiorowej histerii.

- Naturalnie - odparł Szirin oschle. - Rada Miejska nie zechciałaby zamknąć tak dochodowej imprezy, jeżeli powód nie byłby wystarczająco ważny. Na przykład taki, że gromada klientów ze strachu pada trupem.

Atmosfera w samochodzie zrobiła się dość napięta.

Po dłuższej chwili odezwał się Kelaritan:

- Tunel nie był wyłącznie imprezą dochodową, panie profesorze, ale czymś, czego chciał doświadczyć na własnej skórze prawie każdy ze zwiedzających wystawę. Wiem, że codziennie trzeba było odsyłać z kwitkiem tysiące chętnych.

- Nawet mimo to, że już pierwszego dnia stało się jasne, iż niektórzy, tak jak Harrim i jego rodzina, wyjdą z tunelu z psychozą?

- Przede wszystkim dlatego, panie profesorze - odrzekł Sibello.

- Co?

- Proszę mi wybaczyć, jeżeli odniesie pan wrażenie, że wyjaśniam to, co stanowi pańską specjalność - mówił prawnik z namaszczeniem. - Chciałbym jednak panu przypomnieć, że uczucie strachu jest fascynujące, kiedy stanowi element zabawy. Dziecko rodzi się z trzema instynktownymi lękami: przed nagłym hałasem, przed upadkiem i przed całkowitym brakiem światła. Dlatego czymś bardzo zabawnym jest wyskoczyć na kogoś i wrzasnąć "Uuu!" Dlatego kolejki górskie w wesołych miasteczkach są takie popularne. I dlatego każdy chciał zobaczyć Tunel Tajemnic. Ludzie wychodzili z ciemności bez tchu, roztrzęsieni, półżywi ze strachu, lecz w dalszym ciągu chętnie płacili za wstęp.

Owszem, niektórzy wychodzili stamtąd w szoku, ale to jeszcze bardziej przyciągało innych.

- Bo większość ludzi myślała, że okażą się na tyle twardzi, iż wytrzymają to, co tak wstrząsnęło innymi?

- Dokładnie tak, panie profesorze.

- Kilku ludzi wyjechało z tunelu nie w stanie głębokiego szoku, ale zwyczajnie martwych ze strachu! Jeżeli zarząd nie widział jeszcze powodu do natychmiastowego zamknięcia tunelu, to czy wiadomość o wypadkach śmiertelnych nie zniechęciła amatorów przejażdżki?

- Wręcz przeciwnie, panie profesorze - odpowiedział Sibello z triumfującym uśmiechem na twarzy. - Zadziałał ten sam mechanizm psychologiczny, tylko jeszcze silniej. Przecież jeżeli ludziom o słabym sercu zachciało się przejechać przez tunel, to sami ryzykowali - dlaczego więc dziwić się temu, co im się stało? Rada Miejska przedyskutowała tę sprawę szczegółowo i w końcu postanowiono posadzić przy wejściu lekarza, aby dokładnie przebadał każdego amatora przejażdżki, zanim wsiądzie do wagonika. No i sprzedaż biletów jeszcze bardziej wzrosła.

- W takim razie dlaczego w ogóle zamknięto tunel? - zapytał Szirin. - Z tego, co mi pan powiedział, wynikałoby, że powinien być otwarty, bo przynosi ogromne zyski, kolejka chętnych ciągnie się z Jongloru do Kunabaru, tłumy ludzi wchodzi do środka z jednej strony, a z drugiej wypływa strumień trupów.

- Ależ, panie profesorze...!

- Dlaczego więc nie jest otwarty, skoro wypadki śmiertelne nikogo nie obchodzą?

- Problem wypłat ubezpieczeń - odrzekł Sibello.

- Ach...! Tak, oczywiście.

- Wbrew temu, co pan przed chwilą powiedział, wypadków śmiertelnych było naprawdę niewiele - trzy, no, może pięć. Rodziny ofiar otrzymały odpowiednie odszkodowania i sprawy zamknięto. Nie zgony były dla nas problemem, ale głębokie zaburzenia tych, którzy przeżyli. Stało się jasne, że będą wymagać hospitalizacji przez długi czas - oczywiście oznacza to stały wydatek dla miejskiej kasy i podatników.

- Rozumiem. - Szirin ponuro skinął głową. - Gdyby po prostu padli trupem, oznaczałoby to jednorazowy wydatek. Przekupić krewnych i sprawa załatwiona. Kiedy jednak instytucja publiczna musi płacić przez miesiące lub lata, cena może okazać się zbyt wysoka.

- Cóż, może to trochę za ostro powiedziane - przyznał Sibello - ale dokładnie taką właśnie kalkulację Rada Miejska zmuszona była przeprowadzić.

- Profesor Szirin chyba nie jest dziś w zbyt dobrym humorze - zwrócił się do prawnika Kellaritan.

- Być może gnębi go myśl o przejeździe przez Tunel Tajemnic.

- Nie, absolutnie nie - odpowiedział psycholog natychmiast.

- Pan rozumie, naturalnie, że nie ma żadnej konieczności, aby pan...

- Jest - przerwał Szirin.

W samochodzie zapanowała cisza. Szirin posepnie spoglądał na zmieniający się krajobraz: dziwne, kanciaste drzewa o łuskowatej korze, krzaki obsypane kwiatami o metalicznych barwach, dziwaczne, wąskie i wysokie domy o spadzistych dachach. Było coś odpychającego w tej prowincji - i w tych ugrzeczionych, cynicznych ludziach. Pomyślał, że byłby szczęśliwy znalazłszy się z powrotem w Saro.

Ale najpierw... Tunel Tajemnic...

Jongloryjska Wystawa Stulecia rozpościerała się na dużej przestrzeni parku we wschodniej

części miasta. Było to jakby odrębne miasto, w pewnym sensie budziło podziw. Szirin zobaczył fontanny, arkady, błyszczące różowe i turkusowe wieżowce z mieniącego się, twardego jak kamień plastiku. Wielkie hale wystawowe oferowały skarby sztuki z każdej prowincji Kalgasza, ekspozycje osiągnięć przemysłowych, ostatnie cuda nauki. Gdziekolwiek się odwrócił, coś niezwykłego i pięknego przykuwało jego spojrzenie. Tysiące, a może setki tysięcy ludzi spacerowały po błyszczących eleganckich bulwarach i alejach.

Szirin słyszał, że Jongloryjska Wystawa Stulecia to jeden z cudów świata, a teraz się przekonał, że to prawda. Możliwość zwiedzenia jej stanowiła rzadki przywilej. Raz na sto lat była otwierana na okres trzyletni, by upamiętnić rocznicę założenia miasta - i ta właśnie. Wystawa Piątego Stulecia, uważana była za najwspanialszą. Podczas jazdy po starannie utrzymanych terenach wystawowych Szirin poczuł nagle, że ogarnia go rodzaj pokrępowanego podniecenia, którego już od dawna nie odczuwał. Miał nadzieję, że pod koniec tygodnia wygospodaruje trochę czasu na zwiedzenie ekspozycji na własną rękę.

Jego nastrój zmienił się jednak gwałtownie, kiedy samochód minął linię graniczną wystawy i podjechał do tylnej bramy prowadzącej na teren rozrywkowy. Tutaj, zgodnie z tym, co powiedział Kellaritan, duże przestrzenie zostały odgródzone linami, przez które tłum rzucał wściekłe spojrzenia na Sibella, Kellaritana i Yarithę 312 prowadzących Szirina w kierunku Tunelu Tajemnic. Szirin słyszał gniewne wrzaski i ciche, chrapliwe pomruki, budzące niepokój, a może nawet strach.

Zrozumiał, że prawnik mówił prawdę: ci ludzie byli wściekli z powodu zamknięcia tunelu.

„Zazdroszczą! - pomyślał Szirin ze zdumieniem. - Zobaczyli, że idziemy do tunelu i też chcą tam iść. Wiedzą, czym to grozi, i mimo wszystko chcą tam iść”.

- Pójdziemy tędy - powiedziała Yaritha.

Fronton tunelu stanowiła olbrzymia budowla w kształcie piramidy, zwężająca się po bokach w niesamowitej, oszałamiającej perspektywie. Pośrodku była ogromna sześcioboczna brama, teatralnie przybrana w złoto i purpurę. Na bramie umieszczono kratę. Yaritha wyjęła klucz i otworzyła małe drzwi po lewej stronie frontonu, przez które weszli do środka.

Wewnątrz wszystko było już znacznie bardziej zwyczajne. Szirin ujrzał rząd metalowych poręczy ustawionych niewątpliwie po to, by powstrzymać czekających. Dalej był peron przypominający zwykły peron kolejowy, na którym stał rząd otwartych wagoników. A dalej...

Ciemność.

- Panie profesorze, czy mógłby pan najpierw to podpisać? - Szirin usłyszał głos Sibella, który podał mu jakiś papier.

Przyglądał się tańczącemu, zamazanym literom.

- Co to jest?

- Zrzeczenie się roszczeń. Standardowy formularz.

- Tak, oczywiście. - Psycholog niedbale nabazgrał swe nazwisko, nawet nie próbując przeczytać podanego mu tekstu.

„Nie boisz się - powtarzał sobie. - Niczego się nie boisz”.

Yaritha 312 wetknęła mu do ręki małe urządzenie.

- Przełącznik awaryjny - wyjaśniła. - Pełny czas przejażdżki wynosi piętnaście minut, ale jeżeli pan uzna, że dowiedział się pan już wszystkiego, lub gdyby zaczął się pan czuć niedobrze, wystarczy nacisnąć zielono świecący przycisk i włączą się światła. Wagonik dojedzie do końca tunelu i zawróci do stacji.

- Dziękuję, ale wątpię, czy będzie mi to potrzebne.

- Powinien pan to mieć. Na wszelki wypadek.

- Planuję w pełni przeżyć doświadczenie przejażdżki w tunelu - dodał, zachwycony własną pompatycznością.

„Przecież mogę nie wytrzymać” - uprzytomnił sobie. Nie zamierzał użyć przełącznika awaryjnego, ale prawdopodobnie głupotą byłoby go nie wziąć.

Na wszelki wypadek.

Wszedł na peron. Kellaritan i Sibello spoglądali na niego w sposób aż nadto wyraźnie okazujący, co myślą. Niemal ich słyszał: ”Ten tłusty, stary bałwan będzie się trząsł jak galareta”. A niech sobie myślą, co chcą!

Yaritta zniknęła. Zapewne poszła włączyć mechanizm uruchamiający pojazd w tunelu.

Tak, właśnie pojawiła się w budce kontrolnej wysoko na prawo, sygnalizując, że wszystko jest gotowe.

- Proszę wsiąść do wagonika, panie profesorze... - rzekł Kellaritan.

- Oczywiście. Oczywiście.

„Mniej niż jeden na dziesięciu doznawał zaburzeń - powtarzał sobie w myślach. - Najprawdopodobniej ludzie ci byli szczególnie wrażliwi na działanie ciemności. Ja nie jestem. Moja osobowość jest bardzo stabilna”.

Wszedł do wagonika. Był tam pas bezpieczeństwa; zapiął go, mając kłopoty z dopasowaniem do swego obwodu. Wagonik powoli, bardzo powoli zaczął się toczyć.

Czekała na niego ciemność.

„Mniej niż jeden na dziesięciu. Mniej niż jeden na dziesięciu”.

Rozumiał syndrom ciemności. Był pewien, że ta wiedza go ochroni. Większość ludzi instynktownie boi się braku światła, ale nie oznacza to, że brak światła sam w sobie jest szkodliwy.

Szirin wiedział, że szkodliwa może być jedynie reakcja na brak światła. Należy zachować spokój. Ciemność to tylko ciemność, zmiana okoliczności zewnętrznych. Jesteśmy uwarunkowani tak, by jej unikać, bo żyjemy w świecie, w którym ciemność nie jest rzeczą naturalną, w którym ciągle jest światło, światło tak wielu słońc. Bywało, że świeciły cztery; zwykle było ich trzy, a prawie nigdy mniej niż dwa; a przecież już światło jednego wystarczało, aby rozproszyć ciemność.

Ciemność...

Ciemność...

CIEMNOŚĆ...

Szirin już był w tunelu. Z tyłu za nim zniknęła ostatnia smuga światła i spoglądał teraz w bezkresną próżnię. Przed nim nie było nic. Nic. Dziura. Otchłań. Strefa totalnej bezświatłości. A on toczył się prosto w nią.

Poczuł, jak się poci na całym ciele. Waliło mu w skroniach. Podniósł rękę, ale choć trzymał ją tuż przed twarzą, nie mógł jej zobaczyć.

PRZEŁĄCZNIK AWARYJNY. PRZEŁĄCZNIK AWARYJNY.

Nie, absolutnie nie. Nie wolno.

Siedział prosto, ze sztywnymi plecami i szeroko otwartymi oczami wpatrzonymi tępo w nicość, przez którą się przedzierał. Dalej, dalej i coraz głębiej. Pierwotny strach syczał i bulgotał w jego duszy tym intensywniej, im bardziej starał się go zdławić.

Powtarzał sobie, że poza tunelem w dalszym ciągu świecą słońca.

„To tylko chwilowe. Za czternaście minut i trzydzieści sekund stąd wyjdę.

Czternaście minut i dwadzieścia sekund.

Czternaście minut i dziesięć sekund.

Czternaście minut... ”

Czy w ogóle się poruszał? Tego nie mógł stwierdzić. Może stał w miejscu; mechanizm pojazdu milczał, nie istniały żadne punkty odniesienia. ”A co będzie, jeśli tu utkwiałem? - pomyślał. - Po prostu utkwiałem w ciemności, nie znam sposobu, by określić, gdzie jestem, co się dzieje, ile minęło czasu. Piętnaście minut, dwadzieścia, pół godziny? Dopóki nie dojdę do granicy, którą wytrzymać może moja normalność, a potem...

Przecież zawsze mogę użyć przełącznika awaryjnego.

Ale przypuśćmy, że nie działa. Że włączę go i światła się nie pojawią.

Chyba mogę to sprawdzić. Tak tylko, żeby zobaczyć... ”

TŁUŚCIOCH TO TCHÓRZ! TŁUŚCIOCH TO TCHÓRZ!

„Nie, nie. Nawet go nie dotykaj. Jeżeli włączysz światła, nie będziesz w stanie z powrotem ich wyłączyć. Nie wolno ci użyć przełącznika, bo oni wszyscy się dowiedzą... bo oni się dowiedzą... ”

TŁUŚCIOCH TO TCHÓRZ! TŁUŚCIOCH TO TCHÓRZ!

Nagle i dla siebie samego niespodziewanie odrzucił przełącznik gdzieś w ciemność. Rozległ się cichy brzęk w momencie, kiedy gdzieś upadł - gdzieś. I znowu cisza. Szirin poczuł w ręku okropną pustkę.

Ciemność...

Ciemność...

Nie było temu końca. Wpadał w otchłań bez dna. Przewracał się, wpadał i jeszcze raz wpadał w noc, w noc bez końca, pożerającą wszystko czerń...

„Głęboko oddychaj. Zachowaj spokój”.

A JEŻELI TO GROZI TRWAŁYMI ZMIANAMI W PSYCHICE?

„Zachowaj spokój - powtarzał sobie. - Nic ci nie będzie. Masz jeszcze przed sobą w najgorszym przypadku jedenaście minut, a może tylko sześć lub siedem. Na zewnątrz świecą słońca. Sześć lub siedem minut i już nigdy nie znajdziesz się w ciemności, nawet gdybyś miał żyć tysiąc lat.

Ciemność...

O, bogowie! Ciemność...

Spokojnie. Spokojnie. Szirinie, jesteś człowiekiem zrównoważonym. Jesteś bardzo zdrowy psychicznie. Byłeś zdrowy psychicznie, kiedy zanurzałeś się w to, i będziesz zdrowy, kiedy z tego wyjdiesz.

Tik-tak. Tik-tak. Tik-tak. Każda sekunda zbliża cię do wyjścia. Na pewno? Przecież ta jazda może się nigdy nie skończyć. Mogę tu zostać na zawsze. Tik-tak. Tik-tak. Tik-tak. Czy ja w ogóle się poruszam. Czy zostało mi jeszcze pięć minut, czy pięć sekund, czy ciągle jeszcze mija dopiero pierwsza minuta?”

Tik-tak. Tik-tak.

DLACZEGO MNIE STĄD NIE WYPUSZCZA? CZY NIE MOGĄ SIĘ DOMYŚLIĆ, JAK STRASZNIE CIERPIĘ?

„Nie chcą cię wypuścić. Nigdy cię nie wypuszczą. Zamierzają... ”

Nagły, przeraźliwy ból między oczami. Eksplozja bólu w czaszce.

CO SIĘ STAŁO?

Światło!

„Czy to prawda? Tak, tak.

Bogu dzięki! Światło, naprawdę światło. Dzięki jakiegokolwiek bogu, który kiedykolwiek mógł istnieć”.

Skończyło się! Dotarł do końca tunelu! Wracił do stacji! Tak, z pewnością tak. Tak. Serce, którego uderzenia w piersiach jeszcze przed chwilą przypominały paniczny łomot, zaczęło wracać do normalnego rytmu. Oczy powoli przyzwyczajały się do normalnych warunków i widział już znane, zwyczajne rzeczy, błogosławione rzeczy, filary, peron, małe okienko w budce kontrolnej...

A także wpatrzonych w niego Sibella i Kellaritana.

Zawstydził się swego tchórzostwa. ”Zbierz się do kupy, Szirinie. Nie było tak źle. Nic ci nie jest. Nie leżysz na podłodze i nie ssiesz palca zawodząc wniebogłosy. Było to straszne, ale cię nie pokonało - naprawdę nie było to nic takiego, z czym nie mógłbyś sobie poradzić... ”

- Panie profesorze, proszę podać nam rękę. Do góry... do góry...

Wyciągnęli go, chwiejącego się, z wagonika i postawili na nogach. Szirin głęboko wciągnął powietrze w płuca. Przeciągnął ręką po czole ocierając pot.

- Ten mały przełącznik alarmowy - mruknął. - Zdaje mi się, że go gdzieś zgubiłem...

- Jak się pan czuje, panie profesorze? - zapytał Kellaritan. - Jak tam było?

Szirin się zatoczył. Dyrektor szpitala chwycił go pod ramię, pomagając odzyskać równowagę, ale psycholog odepchnął go z oburzeniem. Niech nie pomyślą, że te kilkanaście minut w tunelu tak na niego podziałało.

Nie mógł jednak zaprzeczyć, że podziałało. Choćby nie wiem jak się starał, nie mógł tego ukryć. Nawet przed sobą.

Uświadomił sobie, że żadna siła na świecie nie zmusiłaby go do powtórnego przejazdu przez tunel.

- Panie profesorze? Panie profesorze?

- Nic... mi... nie jest - wychrypiał.

- Mówi, że nic mu nie jest. - Jak przez mgłę dotarł do niego głos prawnika. - Odsuńcie się. Dajcie mu spokój.

- Drżą mu nogi - powiedział Kellaritan. - Zaraz upadnie.

- Nie - zaprzeczył Szirin. - Nie ma mowy. Powtarzam wam, że czuję się dobrze.

Zachwiał się i pochylił, odzyskał równowagę i znowu się zachwiał. Z każdego pora w skórze płynął mu pot. Obejrzał się, zobaczył wlot tunelu i zadrżał. Odwracając się od ciemnej jamy uniósł ramiona wysoko w górę, jak gdyby chciał ukryć między nimi twarz.

- Panie profesorze...? - Kellaritan był pełen wątpliwości.

Nie ma co udawać. To głupota, próżność i tępy upór - pozować na bohatera. Niech sobie pomyślą, że jest tchórzem. Niech myślą, co chcą. Te piętnaście minut to najgorszy koszmar, jaki przeżył. Wrażenie, jakie na niego wywarły, zapada w nim coraz głębiej, głębiej, głębiej...

- To było... mocne - rzekł. - Bardzo mocne. Olbrzymia siła zaburzająca.

- Ale zasadniczo czuje się pan dobrze? - skwapliwie zapytał Sibello. - Trochę wstrząśnięty, to prawda. Któż nie byłby wstrząśnięty, zanurzony w ciemność? Ale ogólnie w porządku. Wiedzieliśmy, że tak będzie. To tylko garstka, nieliczna garstka ludzi, u których występują jakieś...

- Nie - przerwał Szirin. Twarz prawnika przypominała mu olbrzymiego, skrzywionego w cynicznym uśmiechu krogulca. Niczym twarz demona. Nie mógł znieść jej widoku. Ale przywoita

dawka prawdy podziela na demona jak egzorcyzmy. "Nie warto bawić się w dyplomację - pomyślał Szirin. - Nie wtedy, kiedy rozmawiasz z demonami". - Nie jest możliwe, żeby ktokolwiek przez to przeszedł nie narażając się na poważne ryzyko. Jestem tego całkowicie pewien. Nawet najsilniejsza psychika może doznać wstrząsu, a słabsza zostanie po prostu zgnieciona. Jeżeli znów otworzycie tunel, w ciągu sześciu miesięcy będziecie mieli pełne szpitale psychiatryczne we wszystkich prowincjach.

- Przeciwnie, panie profesorze...

- Niech pan nie mówi "przeciwnie"! Czy był pan w tunelu, panie Sibello? Nie, myślę, że pan się na to nie zdobył. A ja byłem! Pan mi płaci za ekspertyzę, więc proszę słuchać: tunel jest śmiertelnością zabawką. To sprawa ludzkiej natury. Ciemność nie jest czymś, co większość z nas byłaby w stanie przetrzymać, i nigdy się to nie zmieni, dopóki słońca będą świecić na niebie. Sibello, niech pan zamknie tunel na zawsze. Człowieku, zamknij go na zawsze! Na zawsze!

Zostawiwszy skuter na wydziałowym parkingu tuż przy kopule obserwatorium, Biney podbiegł ścieżką prowadzącą do głównego wejścia olbrzymiego budynku. Zaczął właśnie wchodzić po szerokich kamiennych schodach, kiedy usłyszał, że ktoś z góry woła go po imieniu. Zaskoczony podniósł głowę.

- Biney! A jednak przyszedłeś!

W wielkich drzwiach obserwatorium astronom zobaczył wysoką sylwetkę swego przyjaciela Teremona 762, dziennikarza "Kroniki Saro".

- Szukałeś mnie, Teremonie?

- Tak, ale powiedziano mi, że nie pokażesz się tutaj przez najbliższe kilka godzin. I właśnie kiedy wychodziłem, zobaczyłem ciebie. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności!

Biney podbiegł w górę kilka ostatnich stopni i obydwaj serdecznie się przywitali. Znał dziennikarza od trzech czy czterech lat, od momentu kiedy pojawił się on w obserwatorium po raz pierwszy, aby przeprowadzić wywiad z jakimś naukowcem na temat ostatniego manifestu zwariowanej grupy Apostołów Płomieni. Stopniowo stali się bliskimi przyjaciółmi, choć Teremon był jakieś pięć lat starszy i wywodził się z zupełnie innego środowiska, obracał się wśród ludzi mniej finezyjnych, nastawionych na sprawy bardziej przyziemne. Bineyowi podobało się to, że ma przyjaciela zupełnie niezaangażowanego w rozgrywki uniwersyteckie; Teremon był rad, że zna kogoś, kto absolutnie nie jest zainteresowany wykorzystywaniem jego dziennikarskich wpływów.

- Czy coś się stało? - zapytał Biney.

- Nie, nic takiego. Chciałbym, byś jeszcze raz wystąpił w cyklu Głos Nauki. Mondior znów wygłosił jedną ze swych mów na temat "Rozpocznij pokutę, zbliża się godzina sądu ostatecznego". Twierdzi teraz, że gotów jest podać godzinę zniszczenia świata. Jeżeli chcesz wiedzieć, nastąpi to dziewiętnastego theptara przyszedłego roku.

- Szaleniec! Pisanie o nim to strata czasu. Dlaczego zresztą ktokolwiek zwraca uwagę na Apostołów? Teremon wzruszył ramionami.

- Fakt pozostaje faktem, Biney - ludzie go słuchają. Bardzo wielu ludzi, i jeżeli Mondior twierdzi, że koniec świata jest blisko, to trzeba, by ktoś inny powiedział: „Nieprawda, bracia i siostry! Nie bójcie się! Wszystko jest w porządku” lub coś w tym rodzaju, co wywrze podobny efekt. Mogę liczyć na ciebie?

- Wiesz, że możesz.

- Dziś wieczorem?

- Dziś wieczorem? Do licha, to najgorszy z możliwych termin. Jak myślisz, ile by to zajęło czasu?

- Pół godziny? Trzy kwadranse?

- Widzisz, mam teraz tutaj pilne spotkanie - wyjaśnił Biney - dlatego przyszedłem przed normalnymi godzinami pracy. No i przysiągłem Raissie, że wrócę biegiem do domu i poświęcę jej godzinę czy dwie. Ostatnio chodziliśmy własnymi drogami i prawie się nie widywaliśmy. A późnym wieczorem powinienem być znowu w obserwatorium i nadzorować wykonanie szeregu fotografii...

- Rozumiem - rzekł Teremon. - Wygląda na to, że wybrałem nie najszcześniejszą porę. Nie ma sprawy. Tekst muszę dostarczyć jutro po południu. Może byśmy porozmawiali rano?

- Rano? - zapytał Biney tonem pełnym wątpliwości.

- Wiem, że wczesna pora jest dla ciebie czymś nie do pomyślenia, ale mógłbym się tutaj zjawić o wschodzie Onosa, kiedy skończysz pracę. Udzieliłbyś mi krótkiego wywiadu, zanim pójdziesz do domu spać...

- No...

- Bineyu, zrób to dla przyjaciela!

Biney spojrział na dziennikarza znużonym wzrokiem.

- Oczywiście. Nie na tym polega problem. Po prostu po całym wieczorze pracy mogę być tak nieprzytomny, że nie na wiele ci się przydam.

- O to się nie martwię. Zauważyłem, że masz nadzwyczajną zdolność diabelnie szybkiego dochodzenia do siebie, kiedy spotykasz antynaukowy nonsens, z którym musisz się rozprawić. A więc jutro o wschodzie Onosa? W twoim biurze na piętrze?

- Dobra.

- Wielkie dzięki, chłopie. Jestem ci za to winien jednego.

- Nie ma o czym mówić.

Teremon zasalutował i zaczął schodzić po stopniach w dół.

- Pozdrów ode mnie najserdeczniej swoją piękną panią! - zawołał. - I do zobaczenia rano.

- Tak, do zobaczenia rano - powtórzył Biney.

Jak dziwnie to zabrzmiało! Nigdy nie umawiał się z nikim ani nie załatwiał żadnych spraw rano. Ale dla Teremona robi wyjątek. Oto co znaczy przyjaźń.

Odwrócił się i wszedł do obserwatorium.

Przyćmione światło i cisza, swojski spokój wielkiego gmachu, w którym niepodzielnie królowała nauka, znane mu były niemal od pierwszych spędzonych dni na uniwersytecie. Wiedział jednak, jak złudny jest ten spokój. W tym potężnym budynku, podobnie jak i w innych miejscach na tym doczesnym świecie, stale kłębiły się wszelkiego rodzaju konflikty, poczynając od wzniosłych dysput filozoficznych, a kończąc na drobnych kłótniach, oczernianiu i zakulisowych intrygach. Astronomowie jako grupa społeczna nie byli bardziej cnotliwi niż inni.

Mimo to obserwatorium dla Bineya, a także dla większości jego kolegów, którzy tam pracowali, było czymś w rodzaju świątyni - wchodząc tu mogli pozostawić za progiem kłopoty i mniej lub bardziej spokojnie poświęcić się szukaniu odpowiedzi na pytania stawiane przez wszechświat.

Szedł szybko długim głównym korytarzem, starając się, jak zwykle bezskutecznie, stłumić stukanie butów na marmurowej posadzce.

Tak jak to robił niezmiennie za każdym razem, spojrział na ustawione wzdłuż ścian po obu stronach gabloty tworzące stałą wystawę. Zawierały uświęcone eksponaty z historii astronomii. Były to prymitywne, niemal śmieszne lunety, których używali tacy pionierzy jak Chekktor i Stanta cztery

czy pięć wieków temu. Były też poskręcane czarne kawałki meteorytów, które przez wieki spadały z nieba, enigmatyczni świadkowie tajemnic kryjących się poza chmurami. Były też pierwsze wydania wielkich map nieba i podręczników astronomicznych, jak też pożółkłe ze starości manuskrypty epokowych teoretycznych prac wielkich myślicieli.

Biney zatrzymał się na moment przed ostatnim z manuskryptów, który - w odróżnieniu od całej reszty - wyglądał na prawie nowy. Była to klasyczna kodyfikacja teorii powszechnego ciężenia wypracowana przez Athora 77 niedługo przed urodzeniem się Bineya, licząca więc sobie tylko wiek jednego pokolenia. Chociaż Biney nie należał do ludzi, których można by określić jako religijnych, spoglądał na ten plik papierów w sposób bardzo przypominający nabożną cześć, jego myśli zaś układały się w coś w rodzaju modlitwy.

Teoria powszechnego ciężenia była dla niego jednym z filarów kosmosu; być może filarem najważniejszym. Nie potrafił wyobrazić sobie, co by zrobił, gdyby ten filar upadł. A teraz zdawało mu się, że zaczął się on chwiać.

Na samym końcu korytarza, poza pięknymi, wykonanymi z brązu drzwiami, znajdowało się biuro profesora Athora. Biney zerknął w tamtą stronę i pospiesznie przeszedł obok, kierując się schodami w górę. Czcigodny i ciągle budzący postrach dyrektor obserwatorium był ostatnią osobą, którą chciałby w tym momencie widzieć.

Faron i Imot czekali na niego w Sali Map, gdzie umówili się na spotkanie.

- Przepraszam, że się trochę spóźniłem - powiedział Biney. - Dzień dzisiejszy jak dotąd nie oszczędził mi kłopotów.

Uśmiechnęli się do niego nerwowo niczym nastroszone sowy. "Jakaż z nich dziwna para" - pomyślał, zresztą nie po raz pierwszy. Obydwaj pochodzili z jakiejś odległej rolniczej prowincji, Sithin czy może Gatamber. Faron 24 był niski i pulchny, o ruchach ociężałych, prawie leniwych i ogólnie beztroskim, swobodnym sposobie bycia, a jego przyjaciel Imot - nieprawdopodobnie wysoki i chudy niczym drabina na zawiasach, do której doczepiono ramiona, nogi i twarz. Właściwie przydałby się teleskop, aby zobaczyć jego głowę sięgającą stratosfery. Imot był w tym samym stopniu spięty i skurczony, w jakim zrelaksowany był jego przyjaciel. A jednak zawsze trzymali się razem. Ze wszystkich kończących studia dyplomantów, w hierarchii organizacyjnej obserwatorium będących o szczebel niżej od Bineya, ci dwaj z pewnością wyróżniali się inteligencją.

- Nie czekaliśmy długo - natychmiast powiedział Imot.

- Tylko dwie czy trzy minuty, panie doktorze - dodał Faron.

- Dzięki, ale jeszcze nie całkiem "doktorze" - sprostował Biney. - Muszę jeszcze przeprowadzić końcowe badania. Jak wam poszły obliczenia?

Zginając i wykrzywając swe nieprawdopodobnie długie nogi Imot zapytał:

- Proszę pana, czy to obliczenia grawitacyjne? Faron trącił go tak energicznie łokciem między żebra, że Biney zamarł oczekując trzasku łamanych kości.

- Tak. Mówiąc szczerze, Imot ma rację. - Uśmiechnął się blado do wysokiego młodzieńca. - Chciałem, by było to dla was czysto abstrakcyjne ćwiczenie matematyczne. Nie dziwię się jednak, że potrafiliście odgadnąć kontekst. Wpadliście na to dopiero po uzyskaniu wyniku, prawda?

- Tak, proszę pana - zapewnili obaj jednocześnie.

- Najpierw zrobiliśmy wszystkie obliczenia - dodał Faron.

- Potem przyjrzeliliśmy się temu jeszcze raz i kontekst stał się oczywisty - rzekł Imot.

- Aha. Tak, jasne - powiedział Biney. Te dzieciaki czasami były denerwujące. Tacy młodzi -

sześć czy siedem lat młodszy od niego, ale on był asystentem profesora, a oni tylko studentami i zarówno dla niego, jak i dla nich ta bariera była nie do przebycia. Chociaż tacy młodzi, jak tęgie mieli głowy! Nie był jednak zadowolony z tego, że odgadli, czego dotyczyły obliczenia. Tak naprawdę by) bardzo niezadowolony. Za parę lat znajdą się na tym samym co on wydziale, być może rywalizując o tę samą co on profesurę, a to nie będzie zabawne. Teraz stara) się o tym nie myśleć.

Sięgnął po ich wydruk.

- Mogę spojrzeć? - zapyta).

Imot poda) mu wydruk dziko roztrzęsionymi rękoma. Biney przebiegał oczami rzędy cyfr, najpierw spokojnie, potem z coraz większym zdenerwowaniem.

Przez cały rok rozpatrywał pewne implikacje teorii powszechnego ciężenia, którą jego nauczyciel Athor doprowadził do takich szczytów perfekcji. Rozpracowanie orbitalnego ruchu Kalgasza i wszystkich jego sześciu słońc zgodnie z racjonalnymi zasadami si) przyciągania było wielkim sukcesem Athora, czymś, co leżało u podstaw jego znakomitej reputacji.

Biney, stosując nowoczesny sprzęt komputerowy, oblicza) niektóre aspekty orbity Kalgasza wokół głównego słońca, Onosa, kiedy ku swemu przerażeniu zauważył, że wyniki nie dają się gładko wpasować w założenia teorii powszechnego ciężenia. Teoria mówiła, gdzie na początku bieżącego roku Kalgasz powinien znajdować się w stosunku do Onosa, podczas gdy niezaprzeczalnym faktem było to, że znajdował się gdzie indziej.

Odchylenie było nieznaczne - kilka miejsc po przecinku - ale wcale nie było nieznaczne w szerszym ujęciu sprawy. Teoria powszechnego ciężenia była tak dokładna, że większość ludzi wolała nazywać ją prawem dążenia. Jej matematyczne podstawy uważano za nienaganne. W teorii, która rości sobie prawo do wyjaśniania ruchu wszechświata w przestrzeni kosmicznej, nie ma miejsca nawet na naj mniejsze odchylenia. Jest kompletna albo niekompletna nie dopuszcza się niczego pośredniego. A Biney wiedział że różnica kilku miejsc po przecinku w średnio rozwiniętyir rachunku rozrośnie się do nieprawdopodobnej otchłań w przypadku zastosowania rachunków bardziej ambitnych Cóż warta była cała teoria powszechnego ciężenia, jeżeli okazałoby się, że rozbieżność między pozycją obliczoną którą Kalgasz miał zajmować za sto lat, a pozycją rzeczy wista wynosiłaby całe pół długości orbity?

Biney sprawdzał obliczenia aż do znudzenia. Wynik by zawsze ten sam.

W co w takim razie ma wierzyć?

W swoje obliczenia czy w mistrzowską konstrukcja umysłu Athora?

W swoją nieznaczną wiedzę astronomiczną czy w głęboki wgląd wielkiego Athora w budowę wszechświata?

Wyobraził sobie siebie stojącego na szczycie kopuła) obserwatorium i krzyczącego: "Słuchajcie! Słuchajcie wszyscy! Teoria Athora jest nieprawdziwa! Mam tu liczby, które ją dyskwalifikują!", co zapewne spowodowałoby wybuch śmiechu, który zmiotłby go na drugi koniec kontynentu, Kimże on jest, że śmie występować przeciw wielkiemu Athorowi? Kto uwierzyłby, że nieopierzony asystent może obalić prawo powszechnego ciężenia?

A jednak... a jednak...

Przebiegał oczami wydruki przygotowane przez Imota i Farona. Nie znał sposobu obliczeń na pierwszych dwóch stronach; dane dla studentów przygotował w ten sposób, że założenie, z którego liczby wynikały, nie było oczywiste, a oni podeszli do problemu w sposób, który każdy astronom próbujący obliczyć orbitę planety uznałby za nietypo wy. I tego właśnie oczekiwał Biney. Sposoby

rutynow (prowadziły do przerażających wniosków, on jednak wiedział zbyt wiele o całym zagadnieniu i to przeszkadzało mu wyzwolić się z rutynowego sposobu myślenia. Faron i Imo nie byli niczym ograniczeni w swoim rozumowaniu.

Podążając za ich sposobem myślenia Biney zaczął dostrzegać niezbyt pocieszającą zgodność wyników. Na stronie trzeciej ich obliczenia zbiegły się z jego obliczeniami, a te znał już na pamięć.

I od tego miejsca krok za krokiem wszystko biegło w ten sam uporządkowany sposób, prowadzący do tego samego zatrważającego, wstrząsającego, niepojętego, całkowicie nie nadającego się do przyjęcia wyniku końcowego.

Biney w osłupieniu spojrzął na obojgu studentów.

- Czy jest jakaś możliwość, że gdzieś mogliście się pomylić? Na przykład ten ciąg całek tutaj wygląda dość podstępnie.

- Ależ, proszę pana! - Imot był oburzony. Twarz miał czerwoną, a jego długie ręce łopotały w powietrzu, jak gdyby żyły własnym życiem.

Faron zareagował spokojniej.

- Obawiam się, że wszystko jest w porządku, proszę pana. Od góry do dołu wszystko się zgadza.

- Tak. Myślę, że tak - odpowiedział Biney głucho. Starał się nie okazywać udręki, jednak ręce mu tak drżały, że wydruki, które wciąż trzymał, trzepotały w powietrzu. Zaczął układać papiery na stole, ale złapał go skurcz nadgarstka, bardzo w stylu Imota, i kartki posypały się na podłogę.

Faron ukląkł, aby je pozbierać. Zakłopotany spojrzął na Biney a.

- Proszę pana, jeżeli to myślenie pana tak zdenerwowało...

- Nie. Absolutnie nie. Źle spałem, ot i tyle. Wy zrobiliście wspaniałą robotę, naprawdę wspaniałą. Jestem z was dumny. Zabrać się do takiego problemu... problemu, który nie ma żadnego odbicia w rzeczywistości, który faktycznie jest absolutnie sprzeczny z prawdą naukową, i tak metodycznie zmierzać do rozwiązania wymaganego przez podane dane, ignorując fakt, że przesłanka wstępna jest absurdalna - no, to jest wspaniała robota, godna podziwu demonstracja waszej siły logicznego rozumowania, eksperyment myślowy pierwszej klasy...

Dostrzegł, jak rzucają sobie szybkie spojrzenie. Ciekaw był, czy chociaż trochę udało mu się ich zwiść.

- A teraz wybaczenie, chłopcy - ciągnął - mam jeszcze jedno umówione spotkanie...

Zwinawszy przekłete papiery w ciasny rulon wsunął je pod pachę i jak burza wypadł za drzwi. Prawie biegnąc dopadł do końca korytarza kierując się do zacisza swego małego gabinetu.

„Bogowie - pomyślał. - Bogowie, co ja zrobiłem? Co ja teraz pocznę?”

Ukrył twarz w dłoniach i czekał, aż ucichnie mu łomot w piersi. Nie zanosilo się na to. Po chwili wstał i uderzył palcem w przycisk komunikatora na biurku.

- Połącz mnie z "Kroniką Saro" - powiedział do maszyny. - Z Teremonem 762.

Z komunikatora wydobył się długi, irytujący ciąg trzasków i pisków; potem usłyszał głos Teremona:

- Biuro reportażu, Teremon 762.

- Tu Biney.

- Słucham? Nic nie rozumiem! Biney uświadomił sobie, że był w stanie wydawać z siebie jedynie niewyraźne chrypienie.

- Tu Biney, powiedziałem! Chciałbym zmienić godzinę spotkania!

- Zmienić godzinę spotkania? Posłuchaj, chłopie, rozumiem, co czujesz myśląc o pracowaniu

rankiem, bo ja czuję to samo, ale absolutnie nie mogę rozmawiać z tobą później niż jutro w południe, bo inaczej nie będę miał żadnego tekstu. Dostosuję się do ciebie, o ile tylko będę mógł, ale...

- Nie zrozumiałeś, Teremonie. Chcę widzieć się z tobą wcześniej, nie później.

- Co?

- Dziś wieczorem. Powiedzmy o wpół do dziesiątej. Lub o dziesiątej, jeżeli byłoby ci tak wygodniej.

- Myślałem, że masz robić zdjęcia w obserwatorium.

- Do diabła ze zdjęciami! Muszę się z tobą spotkać.

- Musisz?! Co się stało? Czy coś z Raissą?

- To nie ma nic wspólnego z Raissą. Wpół do dziesiątej? W Sześciu Słońcach?

- Tak, klub Sześć Słońc, wpół do dziesiątej - powtórzył Teremon. - Jesteśmy umówieni.

Biney przerwał połączenie. Przez dłuższą chwilę siedział wpatrując się w leżący przed nim rulon papierów i ponuro kiwał głową. Czuł się odrobinę lepiej niż poprzednio, ale tylko odrobinę. Jeśli zwierzy się przyjacielowi, będzie mu łatwiej znieść ciężar tego wszystkiego. Ufał Teremonowi całkowicie. Wiedział, że dziennikarze nie odznaczają się szczególną lojalnością, ale Teremon był przede wszystkim przyjacielem, a potem dziennikarzem. Nigdy się nie zdarzyło, aby zawiódł jego zaufanie.

Biney nie miał pojęcia, jaki ruch powinien teraz wykonać. Może Teremon będzie w stanie coś wymyślić. Może.

Wyszedł z obserwatorium tylnymi drzwiami, wymykając się jak złodziej. Nie śmiał ryzykować możliwości spotkania z Athorem, co mogłoby się zdarzyć, gdyby wychodził bramą główną. Możliwość natknięcia się na Athora, stanięcia z nim twarzą w twarz właśnie teraz byłaby dlań nie do zniesienia.

Jazda skuterem do domu była okropna. Cały czas się bał, że w każdej chwili prawo ciężenia przestanie obowiązywać i on oderwawszy się od ziemi poszybuję gdzieś w przestworza. W końcu jednak dotarł do małego mieszkanka, które dzielił z Raissą 717.

Aż się cofnęła, kiedy go ujrzała.

- Biney! Jesteś blady jak...

- Do licha, tak. - Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. - Obejmij mnie - poprosił. - Obejmij mnie.

- Co ci jest? Co się stało?

- Powiem ci później. Teraz tylko mnie obejmij.

Teremon był w klubie Sześć Słońc już kilka minut po dziewiątej. Pomyślał, że na początek dobrze byłoby zaserwować Bineyowi coś mocniejszego, jakiś szybki drink czy dwa, po prostu, by mu trochę podsmarować komórki mózgowie. Głos astronoma brzmiał okropnie, wyglądało na to, że olbrzymim wysiłkiem powstrzymywał się od wybuchu hysterii. Teremon nie miał pojęcia, co aż tak okropnego mogło mu się przydarzyć w odosobnieniu i ciszy obserwatorium, iż się załamał. Zdecydowanie miał jakiś kłopot i zdecydowanie potrzebował od niego, Teremona, pomocy, o ile ten był mu w stanie jej udzielić.

- Proszę Tano Special - powiedział Teremon do kelnera. - Albo nie, niech będzie podwójny. Tano Sitha w takim razie, dobrze?

- Podwójne białe światło - powtórzył kelner. - Już podaję.

Wieczór był cichy i ciepły. Teremonowi, którego tu dobrze znano i traktowano jak specjalnego

gościa, zawsze podczas ciepłej pogody dawano stolik na tarasie, z widokiem na miasto. Światła w dole pobłyskiwały wesoło. Onos zaszedł godzinę lub dwie temu i na niebie widniały tylko Trey i Patru. W miarę jak zbliżał się ranek, wspinały się coraz wyżej, a ludzie, drzewa i domy rzucały ostre, bliźniacze cienie.

Patrząc na Treya i Patru Teremon zastanawiał się, które słońca zobaczy na niebie jutro. Ta olśniewająca świetlna parada zmieniała się codziennie. Oczywiście Onos - zawsze można być pewnym, że Onos pokaże się przynajmniej na część dnia przez cały rok - ale co poza tym? Dovim, Tano i Sitha - wtedy byłby to dzień czterech słońc. Teremon nie wiedział na pewno. A może tylko Tano i Sitha, a Onos pojawi się jedynie na kilka godzin w południe? Byłby to ponury dzień. Pociągnął jeszcze łyk i przypomniał sobie, że o tej porze roku Onos świeci długo. Prawdopodobnie więc będzie to dzień trzech słońc, chyba że pojawi się tylko Dovim i Onos.

Trudno było się w tym wszystkim połapać...

Mógłby zajrzeć do kalendarza astronomicznego, ale w gruncie rzeczy nie był tym zainteresowany. Niektórzy ludzie zawsze wiedzieli, jakie jutro będą słońca - oczywiście Biney był jednym z nich - lecz Teremon miał do tego bardziej bez troskie podejście. Dopóty, dopóki istniała pewność, że jakieś słońce znajdzie się jutro na niebie, Teremona nieszczególnie obchodziło które. A jakieś zawsze tam było - z reguły dwa lub trzy, czasami cztery. Można było na to liczyć. Niekiedy pojawiała się nawet pięć.

Przyniesiono mu drinka. Pociągnął duży łyk i mruknął z zadowoleniem. Tano Special to wspaniała rzecz! Dobry, mocny biały rum z wysp Yelkareen, destylowany na wybrzeżach Bagilaru, zmieszany z odrobiną czegoś jeszcze mocniejszego, przezroczyściego i ostrego, a do tego kropla soku ze sgarrino dla złagodzenia smaku - ach, cudowne! Teremon nie pił dużo, z pewnością nie tyle, ile przypisywano dziennikarzom w krążących o nich opowieściach, ale dzień uważał za stracony, jeżeli o spokojnym, mrocznym czasie po zejściu Onosa nie mógł znaleźć chwili na jedną lub dwie szklaneczki Tano Special.

- Chyba to lubisz - odezwał się za nim znajomy głos.

- Biney! Jesteś trochę wcześniej!

- Dziesięć minut. Co pijesz?

- To co zwykle. Tano Special.

- Ja też chyba poproszę o drinka.

- Ty?! - Teremon osłupiał. Wiedział, że Biney pijał tylko soki owocowe. Nie mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek widział, jak astronom zamawia coś mocniejszego.

Dzisiaj jednak Biney wyglądał dziwnie - mizerny, wymęczony, zmarnowany. Oczy mu świeciły, jakby miał gorączkę.

- Kelner! - zawołał Teremon.

Biney po pierwszym hańcu z trudem złapał oddech, jakby spodziewał się dużo słabszego efektu, ale natychmiast pociągnął następny, długi łyk, a potem jeszcze następny. Teremon uznał, że naprawdę musiało się stać coś strasznego.

- Spokojnie - próbował powstrzymać przyjaciela. - Za pięć minut zaszumi ci w głowie.

- Już mi szumi.

- Piłeś coś, zanim przyszedłeś?

- Nie, nie piłem. Przeżyłem szok. Wstrząs. - Biney postawił szklaneczkę na stole i zapatrzył się niespokojnie na miejskie światła. Po chwili znów sięgnął po drinka i z roztargnieniem wychylił do

dna. - Nie powinienem chyba zaraz prosić o następny, prawda?

- Myślę, że nie. - Teremon lekko położył rękę na dłoni przyjaciela. - Co się z tobą dzieje, chłopie? Możesz mi powiedzieć?

- To... trudno wyjaśnić.

- No, chyba się trochę domyślam. Ty i Raissa...

- Nie! Powiedziałem ci już, że to nie ma z nią nic wspólnego. Nic!

- W porządku. Wierzę ci.

- Chyba zamówię jeszcze jednego drinka.

- Za chwilę. Spokojnie. No, o co chodzi? Biney westchnął.

- Teremonie, wiesz, co to jest teoria powszechnego ciężenia?

- Jasne. Wprawdzie nie umiałbym powiedzieć, co ona dokładnie głosi - chyba tylko z dziesięciu ludzi na Kalgaszu naprawdę ją rozumie - ale oczywiście wiem, co to jest.

- Ty wierzysz w te głupoty? - Biney zaśmiał się chrapliwie. - Że teoria powszechnego ciężenia jest tak skomplikowana, iż najwyżej dziesięciu ludzi rozumie jej zawile wyliczenia matematyczne?

- Tak mi zawsze mówiono.

- To, co ci mówiono, to ludowa mądrość ignorantów, Podstawowe zasady matematyczne mogą ci przedstawić w jednym zdaniu i z pewnością je zrozumiesz.

- Naprawdę tak uważasz?

- Pewnie. Posłuchaj, Teremonie: prawo ciężenia - to znaczy teoria powszechnego ciężenia - głosi, że istniejąca siła łącząca wszystkie ciała we wszechświecie i że wielkość (tej siły między dwoma ciałami) jest proporcjonalna do iloczynu ich mas podzielonego przez kwadrat odległości w jakiej ciała znajdują się od siebie. I tylko tyle.

- To wszystko?

- Wystarczy! Sformułowanie tego wymagało czterystu lat - Czemu aż tyle? To, co powiedziałaś, wydaje się bardzo proste.

- Tak, ale wielkie prawa nie powstają pod wpływem nagłego olśnienia, jak chcieliby wierzyć dziennikarze. Zazwyczaj to rezultat zbiorowych wysiłków naukowców z całego świata w ciągu długich stuleci. Odkąd Genowi 41 odkrył, iż to Kalgasz obraca się wokół Onosa, a nie odwrotnie - a było to około czterystu lat temu - astronomowie pracowali bez wytchnienia nad wyjaśnieniem, dlaczego sześć słońc ukazuje się na niebie i znika w sposób taki, a nie inny. Skomplikowane ruchy całej szóstki notowano, analizowano i roztrząsano. Teorię za teorią rozwijano, sprawdzano, jeszcze raz sprawdzano, modyfikowano, zarzucano, powracano do niej i przerabiano na coś innego. To była piekielnie żmudna praca.

Teremon w zamyśleniu pokiwał głową i skończył drinka. Dał znak kelnerowi, że zamawia jeszcze dwa. Pomyślał, że Biney jest znacznie spokojniejszy, kiedy mówi o sprawach naukowych.

- Około trzydziestu lat temu - ciągnął astronom - Athor 77 osiągnął szczyty perfekcji demonstrując, że teoria powszechnego ciężenia dokładnie tłumaczy orbitalne ruchy sześciu słońc. Było to osiągnięcie zdumiewające, jeden z największych wyczynów czystej logiki w dziejach nauki.

- Wiem, jakim szacunkiem darzysz tego człowieka - rzekł Teremon - ale co to ma wspólnego z...

- Zaraz ci wytłumaczę.

Biney wstał i podszedł do krawędzi tarasu, trzymając szklaneczkę w ręku. Przez jakiś czas stał w milczeniu, spoglądając na słońca, Treya i Patru. Teremonowi wydawało się, że Biney znów jest podenerwowany. Nie odezwał się jednak. Po jakimś czasie astronom znów pociągnął długi łyk i

wciąż stojąc plecami do przyjaciela zaczął mówić.

- Problem wygląda tak. Kilka miesięcy temu zacząłem prace nad ponownym przeliczeniem ruchu Kalgasza wokół Onosa, używając dużego uniwersyteckiego komputera. Podałem mu dane z ostatnich sześciu tygodni obserwacji orbity Kalgasza i zażądałem, żeby przewidział ruch planety do końca roku. Nie oczekiwałem żadnych niespodzianek. Myślę, że przede wszystkim chciałem mieć jakiś pretekst do zabawy komputerem. Rzecz jasna, do tych kalkulacji wykorzystałem prawo ciążenia. - Odwrócił się nagle. Twarz miał trupio bladą. - Teremonie, otrzymałem inne wyniki, niż powinienem.

- Nie rozumiem.

- Orbita, którą podał komputer, nie zgadza się z hipotetyczną orbitą, której oczekiwałem. Nie opierałem się wyłącznie na czystym systemie Kalgasz-Onos, brałem pod uwagę zakłócenia, które powodują inne słońca. I otrzymałem - jak twierdzi komputer - prawdziwą orbitę Kalgasza, a jest ona całkowicie różna od orbity wykazanej przez teorię powszechnego ciążenia Athora.

- Powiedziałeś przecież, że korzystałeś z prawa Athora przy formułowaniu założeń - rzekł Teremon zaskoczony.

- Tak.

- Jak więc w takim razie... - Nagle Teremonowi zabłyśły oczy. - O Boże, człowieku! Co za historia! Czy chcesz mi powiedzieć, że nowy superkomputer, zainstalowany na Uniwersytecie Saryjskim kosztem lepiej nie wspominać ilu kredytów, jest nieprecyzyjny? Że jest to przypadek skandalicznego zmarnowania pieniędzy podatników? Że...

- Komputer jest w porządku, Teremonie. Możesz mi wierzyć.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie.

- Więc... co...?

- Mogłem podać komputerowi mylne liczby. Komputer jest wspaniały, ale nie można oczekiwać prawidłowej odpowiedzi podając nieprawidłowe dane.

- No, to dlaczego jesteś taki zdenerwowany? Posłuchaj, chłopie, przecież rzeczą ludzką jest popełniać błędy od czasu do czasu. Nie możesz być taki surowy w stosunku do siebie. Nie...

- Przede wszystkim musiałem być całkowicie pewien, że podałem komputerowi właściwe dane i że dałem mu też poprawne postulaty teoretyczne do przetwarzania tych danych. - Biney ścisnął szklaneczkę tak mocno, że drżała mu ręka. Teremon zauważył, że szklaneczka była pusta. - Jak powiedziałeś, jest rzeczą ludzką od czasu do czasu popełniać błędy. Zwróciłem się więc do dwóch wybitnie zdolnych młodych dyplomantów i im dałem ten problem do rozpracowania. Dzisiaj podali mi swoje wyniki. To właśnie było to bardzo ważne spotkanie, z powodu którego nie mogłem się z tobą umówić. Teremonie, oni potwierdzili moje odkrycie. Wyszło im to samo odchylenie orbity, które otrzymałem ja.

- Lecz jeżeli komputer miał rację, wówczas... - Teremon potrząsnął głową. - Wówczas co? Teoria powszechnego ciążenia jest błędna? Czy właśnie to chcesz powiedzieć?

- Tak.

Słowo to Biney wykrztusił z olbrzymim wysiłkiem. Wydawał się ogłuszony, zdruzgotany.

Teremon przyglądał mu się badawczo. Cała ta sprawa była dla Bineya z pewnością bardzo krępująca, jednak dziennikarz wciąż nie mógł pojąć, dlaczego wywarła na jego przyjacielu tak wielkie wrażenie.

Nagle zrozumiał wszystko.

- To Athor! Boisz się zranić Athora, prawda?

- Dokładnie tak - przyznał Biney, spoglądając na Teremona z wyrazem niemal patetycznej wdzięczności w oczach za to, że ten odgadł prawdę. Usiadł zgarbiony, ze spuszczoną głową i rzekł stłumionym głosem: - On jest stary. Nie przeżyłby wiadomości, że ktoś zrobił wyłom w jego wspaniałej teorii. Był dla mnie niczym drugi ojciec. Wszystko, co osiągnąłem przez ostatnie dziesięć lat, osiągnąłem dzięki niemu, dzięki jego zachętom, dzięki jego... można powiedzieć - miłości, i teraz tak się odplacam. To więcej niż zniszczenie dzieła jego życia. Teremonie, ja wbijam Athorowi nóż w plecy!

- Czy rozważyłeś możliwość nieujawniania swego odkrycia? Biney wyglądał na zaskoczonego.

- Wiesz, że tego nie mogę zrobić.

- Tak, tak, wiem, ale czy o tym myślałeś?

- Czy myślałem o czymś nie do pomyślenia? Nie, oczywiście, że nie. Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Co ja mam zrobić, Teremonie? Przypuszczam, że mógłbym wyrzucić te papiery i udawać, że nigdy nie miałem z tym wszystkim do czynienia. Ale to byłoby straszne. Tak więc mam tylko do wyboru albo gwałt na moim sumieniu naukowca, albo zniszczenie Athora. Zniszczenie człowieka, którego traktuję nie tylko jako główny autorytet mojej dziedziny wiedzy, ale jako mojego filozoficznego mistrza.

- Zastanów się więc, czy naprawdę jest mistrzem. Astronom otworzył szeroko oczy ze zdumienia i wściekłości.

- O czym ty mówisz?! - wykrzyknął.

- Spokojnie, spokojnie. - Teremon rozłożył ręce w uspokajającym geście. - Zdaje mi się, że jesteś w stosunku do niego okropnie uniżony. Bineyu, jeżeli Athor rzeczywiście jest tak wielkim człowiekiem, za jakiego go uważasz, nie będzie przedkładał swej reputacji ponad naukową prawdę. Rozumiesz, o co mi chodzi? Teoria Athora nie jest wykuta ze stali, podobnie jak żadna inna. Zawsze jest miejsce na jakieś ulepszenia. Zgadzasz się ze mną? Dawno temu powiedziałaś mi - i ja tego nigdy nie zapomnę - że nauka skonstruowana jest z twierdzeń, które stopniowo przybliżają się do prawdy. Oznacza to, że wszystkie teorie są przedmiotem stałego sprawdzania i modyfikacji, prawda? I jeżeli się w końcu okazuje, że nie są tej prawdy dostatecznie blisko, trzeba je zastąpić czymś, co znajduje się bliżej. Czy tak?

Biney drżał. Był bardzo blady.

- Teremonie, mógłbyś mi zamówić jeszcze jednego drinka?

- Nie. Posłuchaj, to jeszcze nie wszystko. Mówisz, że tak bardzo martwisz się o Athora - jest stary i pewnie słaby - że nie masz serca mu powiedzieć, iż znalazłeś rysę w jego teorii. W porządku. Jest to postawa kochającego i lojalnego ucznia. Pomyśl jednak przez chwilę. Jeżeli obliczenie orbity Kalgasza jest aż tak ważne, ktoś prędzej czy później na tę rysę trafi i ten ktoś prawdopodobnie nie będzie tak delikatny wobec Athora. Może to być jego rywal czy bezpośredni wróg. Sam mi wiele razy mówiłeś, że każdy naukowiec ma wrogów. Czy nie byłoby lepiej, gdybyś sam poszedł do Athora i łagodnie, delikatnie powiedział mu o swoim odkryciu, niż żeby on sam znalazł coś na ten temat któregoś ranka, na przykład w "Kronice Saro"?

- Tak - wyszeptał Biney. - Masz całkowitą rację.

- Pójdiesz więc do niego?

- Tak. Tak, myślę, że muszę. - Biney przygryzł wargę. - Taki jestem nieszczęśliwy z tego powodu, Teremonie. Czuję się jak morderca.

- Wiem. Nie będziesz jednak mordował Athora, tylko wadliwą teorię. Wadliwym teoriom nigdy nie powinno się pozwalać na przetrwanie. Zarówno sobie, jak i Athorowi winien jesteś to, aby prawda wyszła na jaw. - Teremon się zawahał. Jakaś nagła myśl przyszła mu do głowy. - Istnieje, oczywiście, jeszcze jedna możliwość. Jestem laikiem i ty pewnie będziesz się śmiać z tego pomysłu... ale może jest jakaś szansa, że mimo wszystko teoria ciążenia jest poprawna i poprawne są też komputerowe obliczenia orbity Kalgasza, tylko zaistniał jakiś zupełnie nowy czynnik, coś całkiem nie znanego, co spowodowało tę rozbieżność w otrzymanych przez ciebie wynikach?

- Przypuszczam, że może tak być - powiedział Biney bez entuzjazmu - ale kiedy zaczniesz wnikać w tajemnicze, nieznanne czynniki, wkraczasz do krainy fantazji. Dam ci przykład. Powiedzmy, że gdzieś tam jest niewidoczne siódme słońce. Ma ono swoją masę i siłę grawitacyjną, ale my po prostu go nie widzimy. Ponieważ nie wiemy, że ono istnieje, nie włączyliśmy go do naszych obliczeń i dlatego wyniki wychodzą sfalszowane. Czy to właśnie chcesz powiedzieć?

- No, dlaczegoż by nie?

- Dlaczego w takim razie nie pięć niewidocznych słońc? Dlaczego nie pięćdziesiąt? Dlaczego nie jakiś niewidoczny olbrzym, który popycha planety według swojego kaprysu? Dlaczego nie olbrzymi smok, którego oddech spycha Kalgasza z właściwej drogi? Nie możemy tego wykluczyć, prawda? Widzisz, Teremonie, kiedy zaczynamy z "dlaczego nie", wszystko staje się możliwe i wszystko traci wtedy sens. Przynajmniej dla mnie. Ja mogę się zajmować tylko tym, o czym wiem, że jest realne. Możesz mieć rację mówiąc, że zaistniał jakiś nie znany nam czynnik i dlatego prawa grawitacyjne nie są nieważne. Mam taką nadzieję. Ale na tej podstawie nie mogę pracować naukowo. Mogę jedynie pójść do Athora, a obiecuję ci, że to zrobię, i oznajmić mu, co wynika z komputerowych obliczeń. Nie śmiałybym zasugerować ani jemu, ani komukolwiek innemu, że całą winę za to zamieszanie ponosi dotychczas nie odkryty nie znany czynnik. Inaczej byłbym tak samo szalony, jak Apostołowie Płomieni, którzy twierdzą, że posiadli wiedzę w wyniku mistycznego objawienia... Teremonie, ja naprawdę chciałbym teraz jeszcze jednego drinka.

- W porządku. A mówiąc o Apostołach Płomieni...

- Tak, pamiętam, prosiłeś mnie o opinię. - Biney zmęczonym gestem przeciągnął ręką po twarzy. - Tak, tak. Nie mogę cię zawieść. Ogromnie mi dziś pomogłeś... Co ci Apostołowie ostatnio wymyślili? Zapomniałem.

- To Mondior 71 - wyjaśnił Teremon. - Sam wspaniały Najwyższy Nadęty Bufon. Co on powiedział... niech no pomyślę - że bardzo blisko jest już czas, kiedy bogowie oczyszczą świat z grzechów, że może on podać dokładny dzień, ba, nawet godzinę, nadejścia sądu ostatecznego.

Biney jęknął.

- Co w tym nowego? Czyż od lat nie mówią tego samego?

- Tak, ale teraz zaczynają podawać więcej ociekających krwią szczegółów. Wiesz, Apostołowie twierdzą, że nie będzie to pierwszy przypadek zagłady świata. Nauczają, że bogowie celowo stworzyli ludzi niedoskonałymi, by poddawać ich próbom, i że dali nam jeden rok - jeden z ich boskich lat, a nie naszych, mierzonych ludzką miarą - w którym mamy się poprawić. Jest to Rok Łaski i liczy sobie dokładnie dwa tysiące czterdzieści dziewięć naszych ludzkich lat. Za każdym razem, gdy Rok Łaski dobiegał końca, bogowie stwierdzali, że wciąż jesteśmy występni i grzeszni, niszczyli więc świat zsyłając płomienie ze świętych miejsc na niebie znanych jako gwiazdy. Tak w każdym razie twierdzą Apostołowie.

- Gwiazdy? - spytał Biney. - Czy oni mają na myśli słońca?

- Nie, gwiazdy. Mondior powiada, że gwiazdy w jakiś szczególny sposób różnią się od sześciu słońc... czy zwróciłeś kiedyś na to uwagę?

- Nie. Dlaczego, u licha, miałbym na to zwracać uwagę?

- Mniejsza z tym. W każdym razie kiedy Rok Łaski się skończy i na Kalgaszu nic się w sensie moralnym nie poprawi, te gwiazdy ześlą rodzaj świętych płomieni, które nas spalą. Mondior twierdzi, że działo się tak już wiele razy. Za każdym razem jednak bogowie okazują wielkoduszność - kiedy świat jest niszczone, łagodniejsi bogowie zawsze biorą górę nad surowszymi i ludzkość otrzymuje jeszcze jedną szansę. Ratuje się więc od zagłady najbardziej pobożnych i ustanawia nowy, nieprzekraczalny termin; ludzkość otrzymuje następne dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat na pozbycie się swoich przywar. Mondior powiada, że czas się już niemal wyczerpał. Od ostatniego kataklizmu minęło już prawie dwa tysiące czterdzieści osiem lat. Za jakieś czternaście miesięcy wszystkie słońca znikną i z czarnego nieba te jego straszliwe gwiazdy wystrzelą płomienie, które zmiotą niegodziwych. Dokładnie w przyszłym roku, dziewiętnastego theptara.

- Czternaście miesięcy - powtórzył w zamyśleniu Biney. - Dziewiętnastego theptara. Bardzo dokładnie to określa, prawda? Przypuszczam, że zna także godzinę, o której to się stanie.

- Tak, tak twierdzi. Dlatego potrzebuję oświadczenia kogoś związanego z obserwatorium, najlepiej twojego. W ostatnio wygłoszonym przemówieniu Mondior powiada, że dokładną datę katastrofy można wyliczyć naukowo, że nie jest to zwykły dogmat przedstawiony w Księdze Objawień, ale jest to przedmiot takich samych obliczeń, jakie astronomowie stosują, kiedy... kiedy...
- Teremon spojrzał niepewnie na przyjaciela.

- Kiedy obliczają ruchy słońc i naszego globu po ich orbitach - dokończył za niego Biney. - Mam rację? - zapytał z goryczą.

- No... tak - odparł zaskoczony Teremon.

- Może w takim razie jest jeszcze jakaś nadzieja dla świata, jeżeli Apostołowie nie potrafią zrobić tego lepiej od nas.

- Muszę mieć twoje oświadczenie, chłopie.

- Tak, wiem. - Na stoliku pojawiła się następna kolejka drinków. Biney objął dłonią szklaneczkę.
- Spróbuj w ten sposób - powiedział po chwili. - "Głównym zadaniem nauki jest oddzielenie prawdy od nieprawdy w nadziei uzyskania wiedzy o tym, jak w istocie funkcjonuje wszechświat. Zastosowania prawdy w służbie nieprawdy my, uczeni, nie uważamy za działanie naukowe. Możemy obecnie przewidzieć ruchy słońc na niebie - lecz nawet używając naszych najlepszych komputerów nie jesteśmy w stanie przewidzieć woli bogów. I podejrzewam, że nigdy nie będziemy potrafili tego dokonać". Jak ci się to podoba?

Doskonale! Zobaczmy, czy dobrze to uchwyciłem. "Głównym zadaniem nauki jest oddzielenie prawdy od nieprawdy w nadziei... w nadziei..." Co było dalej?

Biney powtórzył słowo w słowo całą wypowiedź, jak gdyby długo przedtem nauczył się jej na pamięć.

Później jednym, zdumiewająco długim haustem wychylił swoją szklaneczkę do dna.

Wstał, uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczora i runął na stół.

Athor 77 z kamienną twarzą zaczął badać leżący przed nim na biurku plik wydruków, jakby były to mapy nigdy nie istniejących kontynentów.

Był bardzo spokojny. Sam się dziwił, jak bardzo był spokojny.

- To niezmiernie ciekawe, Biney - powiedział powoli. - Niezmiernie, bardzo ciekawe.

- Oczywiście, panie profesorze, zawsze istnieje możliwość, że nie tylko ja popełniłem zasadniczy błąd w obliczeniach, ale Imot i Faron również...

- Wszyscy trzej mielibyście przyjąć błędne założenia? Nie, trudno w to uwierzyć.

- Chciałem tylko wskazać, że taka możliwość istnieje.

- Proszę, daj mi chwilę pomyśleć - rzekł Athor.

Był późny poranek. Przez wysokie okno gabinetu dyrektora obserwatorium wpadały oślepiające promienie Onosa. Dovim był ledwo widoczny; sprawiał wrażenie małej czerwonej kropki poruszającej się wysoko w kierunku północnym.

Athor przesuwiał palcem po papierach, przekładając je tam i z powrotem na swoim biurku. I jeszcze raz tam i z powrotem.

„Jakie to dziwne, wszystko przyjąłem tak spokojnie - pomyślał. - Biney wygląda na poruszonego do głębi, podczas gdy ja właściwie nie zareagowałem prawie wcale. Może jestem w szoku” - przemknęło mu przez głowę.

- Tutaj, panie profesorze, jest obliczenie orbity Kalgasza zgodnie z ogólnie przyjętymi w kalendarzu astronomicznym założeniami. A tu, na tym wydruku, jest orbita przewidziana przez nowy komputer...

- Proszę, Bineyu. Powiedziałem ci, że muszę pomyśleć. Biney sztywno skinął głową. Athor uśmiechnął się, co nie było dla niego rzeczą łatwą. Ten budzący trwożny szacunek szef obserwatorium, wysoki chudy starzec o władczym wyglądzie, z imponującą grzywą gęstych siwych włosów, tak dawno wszedł w rolę srogiego Tytana Nauki, że ogromną trudność sprawiało mu okazywanie zwykłych ludzkich reakcji. Zwłaszcza tu, w obserwatorium, gdzie każdy traktował go jak swego rodzaju półboga. W domu, z żoną i z dziećmi, a szczególnie z hałaśliwym stadkiem wnuków, był zupełnie innym człowiekiem.

A więc teoria powszechnego ciężenia nie jest całkowicie poprawna?

Nie! To niemożliwe! Każda cząstka jego umysłu buntowała się przeciwko temu. Koncepcja powszechnego ciężenia stanowiła podstawę zrozumienia struktury wszechświata. O tym Athor był przekonany. Athor to wiedział. Było to zbyt klarowne, zbyt logiczne, zbyt piękne, by mogło być błędne.

Gdyby odrzucić powszechne ciężenie, cała logika kosmosu zamienia się w chaos.

Niemożliwe, niewyobrażalne.

Ale te liczby - ten przeklęty wydruk Bineya...

- Widzę, że jest pan rozgniewany - znów wtrącił Biney - i chcę powiedzieć, że w pełni rozumiem, jak bardzo ta sytuacja w pana uderza. Każdy byłby zły, gdyby pod znakiem zapytania stanął nagle dorobek całego jego życia...

- Bineyu...

- Niech mi pan tylko pozwoli dodać, panie profesorze, że zrobiłbym wszystko, żeby panu tego nie przekazać. Wiem, jest pan na mnie wściekły, ale mogę jedynie powiedzieć, że przed przyjściem tutaj długo i intensywnie nad tym myślałem. Chciałem to wszystko spalić i zapomnieć, że kiedykolwiek się do tego zabrałem. Jestem przerażony tym, co odkryłem, przerażony, że to ja właśnie...

- Bineyu... - Athor znów mu przerwał złowieszczym tonem.

- Słucham?

- Tak, jestem na ciebie wściekły, ale nie z tego powodu, o którym myślisz.

- Panie profesorze...

- Po pierwsze, jestem rozgniewany tym gadaniem na mój temat, podczas gdy ja chcę tylko w spokoju przeanalizować wnioski wynikające z twoich opracowań. Po drugie, i o wiele ważniejsze, gniewa mnie sama myśl, że choćby przez moment mogłeś się wahać, czy donieść mi o swoich odkryciach. Dlaczego tak długo zwlekałeś?

- Dopiero wczoraj skończyłem sprawdzanie obliczeń.

- Wczoraj! Więc powinieneś być tutaj już wczoraj! Czy naprawdę chcesz przez to powiedzieć, Bineyu, że poważnie rozważałeś możliwość zatajenia wszystkiego?! Że po prostu wyrzuciłbyś swoje wyniki i nic nikomu nie powiedział?

- Nie, panie profesorze - odrzekł nieśmiało Biney. - Właściwie nigdy o tym nie myślałem.

- Chwała Bogu. Powiedz mi chłopcze, czy uważasz, iż tak bardzo jestem rozmiłowany w swej pięknej teorii, że chciałbym, aby jeden z moich najbardziej utalentowanych współpracowników bronił mnie przed przykrą prawdą o jej słabym punkcie?

- Nie, panie profesorze. Oczywiście, że nie.

- Więc dlaczego nie przybiegłeś z tą wiadomością w chwili, gdy zyskałeś pewność, że masz rację?

- Ponieważ... ponieważ, panie profesorze... - Biney chciał zapaść się pod ziemię. - Ponieważ wiedziałem, jak pana by to zdenerwowało. Ponieważ pomyślałem sobie, że może pan... że może pan tak się zdenerwować, iż ucierpi pańskie zdrowie. Dlatego też wstrzymałem się, porozmawiałem z kilkoma przyjaciółmi, przemyślałem moje położenie w tej sytuacji i zrozumiałem wreszcie, że tak naprawdę nie mam wyboru i muszę panu powiedzieć, iż teoria powszech...

- Więc naprawdę sądzisz, że swą własną teorię kocham bardziej od prawdy?

- Och, nie, nie, panie profesorze!

- Ale wiesz, chłopcze, tak właśnie jest! - Na twarzy Athora znów pojawił się uśmiech, lecz tym razem zupełnie niewymuszony. - Może trudno w to uwierzyć, ale jestem takim samym człowiekiem, jak wszyscy inni. Teoria powszechnego ciężenia przyniosła mi wszelkie możliwe zaszczyty naukowe. Jest moją przepustką do nieśmiertelności, Bineyu. Dobrze o tym wiesz. I to, że trzeba wziąć pod uwagę możliwość błędu w tej teorii... ach, jest dla mnie potężnym wstrząsem! Uwierz mi. Oczywiście wciąż uważam, że moja teoria jest słuszna.

- Jeśli pan pozwoli - przerwał Biney z aż nadto widoczną konsternacją - sprawdzałem to raz, drugi, trzeci...

- Ja także jestem pewien, że wasze wyniki są prawidłowe.'

Ty, Faron i Imot nie popełnilibyście tego samego błędu. Nie, nie, powiedziałem już, że raczej wykluczam taką możliwość. Ale te liczby niekoniecznie obalają teorię powszechnego ciężenia.

- Nie obalają? - Biney zamrugał powiekami.

- Oczywiście, że nie. - Athor czuł się coraz pewniej. Ogarnął go przypływ dobrego humoru. Sztuczny, grobowy spokój pierwszych kilku chwil ustąpił całkowicie odmiennemu rodzajowi opanowania, które zazwyczaj towarzyszy poszukiwaniu prawdy. - Bo co tak naprawdę mówi teoria powszechnego ciężenia? To jedynie, że każde ciało we wszechświecie wywiera pewną siłę na wszystkie inne ciała, proporcjonalnie do ich masy i odległości. A do czego próbowaliście dojść, posługując się tą teorią w obliczeniach orbity Kalgasza? Do tego tylko, by rozłożyć na czynniki pierwsze zjawisko oddziaływania grawitacyjnego, które różne ciała astronomiczne wywierają na naszą planetę, gdy podróżuje ona wokół Onosa. Czy nie tak?

- Tak, panie profesorze.

- Zatem nie ma potrzeby obalać teorii powszechnego ciężenia, przynajmniej nie na tym etapie. Należy natomiast najzwyczajniej w świecie przemyśleć raz jeszcze nasz obraz wszechświata, przyjacielu, i ustalić, czy nie pomijamy czasem czegoś, co powinniśmy włączyć do naszych obliczeń - mam tu na myśli jakiś tajemniczy czynnik, którego nie bierzemy pod uwagę, a który w zupełnie nie znany dla nas sposób wywiera oddziaływanie grawitacyjne na Kalgasza.

Brwi Bineya uniosły się ostrzegawczo. Młody asystent począł przyglądać się Athorowi wzrokiem świadczącym o całkowitym zdumieniu.

Potem zaczął chichotać. Z początku próbował się opanować zaciskając szczęki, lecz jego wysiłki poszły na marne. Skulił ramiona, chichot przerodził się w krótki atak zduszonego kaszlu; w końcu, aby nie wybuchnąć głośnym śmiechem, zakrył usta dłońmi.

Athor przyglądał mu się oszołomiony.

- Nie znany czynnik! - chichotał Biney. - Smok na niebie! Niewidzialny olbrzym!

- Smok? Olbrzym? O czym ty mówisz, chłopcze?

- Wczoraj wieczorem... Teremon 762... och, przepraszam, panie profesorze, naprawdę bardzo przepraszam... - Biney walczył o odzyskanie panowania nad sobą. Skurcz mięśni wykrzywił mu twarz. Zacisnął powieki i odetchnął głęboko; odwrócił się na moment, a gdy ponownie spojrzał na Athora, niemal znów był sobą. Zakłopotany powiedział: - Wczoraj wieczorem spotkałem się na kilka drinków z Teremonem 762 - wie pan, tym dziennikarzem - i opowiedziałem mu o moim odkryciu, a także o tym, jak czułem się zażenowany na myśl o przedstawieniu tych wyników panu, panie profesorze.

- Poszedłeś z tym do dziennikarza?

- Do dziennikarza, któremu można w pełni zaufać. Jest moim bliskim przyjacielem.

- To wszystko kanalie, wierz mi, Bineyu.

- Panie profesorze, znam Teremona i wiem, że nigdy nie zrobiłby nic, co mogłoby mnie zranić czy obrazić. On właśnie powiedział mi, co mam zrobić, to znaczy namówił mnie, by tu koniecznie przyjść. Poza tym, chcąc dać mi nadzieję - rozumie pan, panie profesorze, jako pewną formę pocieszenia - powiedział mi to samo, co pan przed chwilą, że być może istnieje jakiś nie znany czynnik - tak to dokładnie określili: nie znany czynnik - który kłóci się z naszą dotychczasową wiedzą o orbicie Kalgasza. A ja zaśmiałem się i zacząłem tłumaczyć, że nie można powoływać się w tej sytuacji na jakieś nie znane czynniki, że takie rozwiązanie jest najłatwiejsze. Zasugerowałem - oczywiście złośliwie - że jeżeli przyjęlibyśmy podobną hipotezę, równie dobrze moglibyśmy powiedzieć sobie, że jest to jakiś niewidzialny olbrzym, który spycha Kalgasza z orbity, czy też oddech jakiegoś ogromnego smoka. I oto proszę, pan rozumuje dokładnie w ten sam sposób - nie laik jak Teremon, ale największy astronom świata! Czy teraz rozumie pan, panie profesorze, jak głupio się czuję?

- Chyba tak - rzekł Athor. To wszystko stawało się trochę irytujące. Przesunął szybko ręką po swej okazałej siwej czuprynie i rzucił Bineyowi spojrzenie pełne gniewu zmieszanego ze współczuciem. - Miałeś rację mówiąc swemu przyjacielowi, że fantazjowanie niewiele pomaga przy rozwiązywaniu jakiegokolwiek problemu. Ale nie można też odmówić wartości przypadkowym sugestiom laików. Z tego, co wiemy, wynika, że rzeczywiście istnieje jakiś nie znany czynnik, który oddziałuje na orbitę Kalgasza. Musimy przynajmniej rozważyć taką możliwość, zanim wyrzucimy tę hipotezę na śmietnik. Myślę, że powinniśmy w tym celu zastosować miecz Thargola. Czy wiesz, co to jest?

- Oczywiście, panie profesorze. Zasada oszczędności. Po raz pierwszy wysunięta przez średniowiecznego filozofa Thargola 14, który powiedział: "Należy przebić mieczem każdą hipotezę, która nie jest całkowicie konieczna" - czy coś w tym stylu.

- Bardzo dobrze, chłopcze. Choć, jak mnie tego uczono, brzmi to tak: "Jeśli zaproponuje się nam kilka hipotez, powinniśmy rozpocząć swoje rozważania od przebicia mieczem tej, która jest najbardziej złożona". Tutaj mamy do czynienia z jednej strony z hipotezą, że w teorii powszechnego ciążenia tkwi błąd, a z drugiej strony z hipotezą, która zakłada, że pominęliście przy dokonywaniu swoich obliczeń orbity Kalgasa pewien nie znany i prawdopodobnie nie dający się poznać czynnik. Jeśli przyjmujemy pierwszą z tych hipotez, wówczas cała nasza wiedza o budowie wszechświata rozpada się w nicość. Jeżeli przyjmujemy drugą hipotezę, musimy jedynie zlokalizować ów nie znany czynnik, a wtedy zasadniczy porządek świata zostanie zachowany. Znacznie łatwiej jest spróbować znaleźć coś, co mogliśmy przeoczyć, niż wyjść z nowym powszechnym prawem, które rządziłoby ruchami ciał niebieskich. A zatem pod mieczem Thargola pada hipoteza o tym, że teoria ciążenia jest błędna i zaczynamy nasze poszukiwania od posłużenia się łatwiejszym sposobem wyjaśnienia tego problemu. No, co ty na to, Bineyu?

- Zatem wcale nie obaliłem teorii powszechnego ciążenia! - Biney najwyraźniej promieniał.

- Przynajmniej na razie. Prawdopodobnie zdobyłeś sobie miejsce w historii nauki, ale nie wiemy jeszcze, jako odkrywca czy też projektodawca. Miejmy nadzieję, że to drugie. A teraz, młody człowieku, musimy się poważnie zastanowić. - Athor 77 zamknął oczy i potarł skronie, czując nagły ból głowy. Zdał sobie sprawę, że długie lata upłynęły od czasu, gdy po raz ostatni współtworzył coś prawdziwie naukowego. Przez minione osiem czy dziesięć lat niemal całkowicie pochłonięty był sprawami administracyjnymi obserwatorium, ale powiedział sobie, że umysł, który stworzył teorię powszechnego ciążenia, z pewnością ma jeszcze kilka pomysłów w zapasie. - Najpierw chciałbym się przyjrzeć z bliska twoim obliczeniom - powiedział. - A potem, przypuszczam, także przeanalizować swoją własną teorię.

Główną siedzibę Apostołów Płomieni stanowił surowy, imponujący wieżowiec z błyszczącego złotego kamienia, wznoszący się jak lśniący oszczep nad rzeką Seppitan, w eleganckiej dzielnicy Birigam w Saro. Teremon ocenił, że ten strzelisty wieżowiec jest bez wątpienia jednym z najkosztowniejszych budynków w całej stolicy.

Nigdy przedtem nie przyszło mu to na myśl, lecz Apostołowie Płomieni musieli być z pewnością niezmiernie bogaci. Posiadali własne stacje radiowe i telewizyjne, wydawali czasopisma i gazety, mieli też ten ogromny wieżowiec. Prawdopodobnie ich majątek był dużo większy, tyle że nie rzucało się to w oczy. Zastanawiał się, jak to możliwe - w jaki sposób gromada fanatycznych purytańskich mnichów zdołała położyć łapę na tylu setkach milionów kredytów?

Uświadomił sobie, że tak znani przemysłowcy, jak Bottiker 888 czy Vivin 99 byli przecież jawnie zwolennikami nauk Mondiora i jego Apostołów. Nie zaskoczyłoby go, gdyby dowiedział się, że Bottiker, Vivin i inni im podobni szczerze wspierają skarbiec Apostołów.

I jeśli ta organizacja była choćby w dużym przybliżeniu tak wiekowa, jak twierdzili Apostołowie - mówili, że istnieją dziesięć tysięcy lat! - i gdyby przez wszystkie te stulecia mądrze inwestowali swoje pieniądze, to nie ulegało wątpliwości, że wiele mogli osiągnąć dzięki cudowi kumulacji odsetek. Mogą być warci miliardy. Mogą potajemnie posiadać połowę Saro.

„Warto by było w to wniknąć” - pomyślał Teremon.

Wszedł do przestronnego, akustycznego korytarza wielkiego wieżowca i z lękiem rozejrzał się

wokół. Choć nigdy przedtem tutaj nie był, słyszał jednak, że jest to budynek urządzony z nadzwyczajnym przepychem zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Lecz wszystko, co słyszał, nie przygotowało go wystarczająco na taki widok.

Wypolerowana posadzka z wielobarwnego marmuru rozciągała się tak daleko, jak sięgał wzrokiem. Ściany pokryte były błyszczącymi złotymi mozaikami w abstrakcyjne wzory, wznoszącymi się ku łukowym sklepieniom; wysoko nad głową ażurowe świeczniki, utkane ze złota i srebra, rzucały wokół migoczący deszcz światła.

Naprzeciwko wejścia Teremon zobaczył coś, co wydawało się modelem wszechświata, stworzonym najwyraźniej w całości ze szlachetnych kamieni i drogocennych kruszców: olbrzymie, zawieszane w powietrzu kule, przedstawiające sześć słońc, zwisały z sufitu, przytrzymywane niewidzialnymi drutami. Każda świeciła tajemniczo - złotawy snop rzucała największa z nich, która musiała być Onosem, bladoczerwony promień dobywał się z kuli Dovima, chłodny, niebieskobiały z pary TanoSitna i łagodniejszy biały z Patru i Treya. Siódma kula, będąca zapewne Kalgaszem, płynęła w powietrzu powoli między nimi, przypominając unoszący się balon, a jej kolor zmieniał się, w miarę jak oświetlał ją coraz to inny układ słońc.

Podczas gdy Teremon stał przyglądając się wszystkiemu ze zdumieniem, jakiś głos, dochodzący nie wiadomo skąd, zapytał:

- Czy mógłbyś się przedstawić?
- Nazywam się Teremon 762. Mam umówione spotkanie z Mondiolem.
- Proszę, Teremonie 762, wejdź w drzwi tuż po twojej lewej stronie.

Tuż po swojej lewej stronie Teremon nie widział jednak żadnych drzwi. W tym momencie fragment pokrytej mozaikami ściany bezszelestnie rozsunał się na boki, ukazując małe, okrągłe pomieszczenie, bardziej przypominające przedpokój niż komnatę Mondiora. Ściany pokryte były zielonymi draperiami z aksamitu, a oświetlała je pojedyncza pręga bursztynowego światła.

Teremon wzruszył ramionami i wszedł do wnętrza. Drzwi się natychmiast zamknęły i pokoił wyraźnie zaczął się poruszać. To była winda! Wznosiła się. Teremon był tego pewien. Bardzo powolutku sunęła wciąż wyżej i wyżej. Minęła niemal wieczność, nim winda się zatrzymała i drzwi otworzyły się raz jeszcze.

Na dziennikarza czekała jakaś postać odziana w czarną szatę.

- Proszę tędy.

Wąski korytarz przeszedł po chwili w coś w rodzaju poczekalni, gdzie niemal całą ścianę zajmował portret Mondiora 71. Gdy Teremon podszedł bliżej, portret pojaśniał, jakby ożył. Zdawało się, że ciemne, głębokie oczy Mondiora patrzyły prosto na dziennikarza, a surowa twarz Najwyższego Apostoła nabrała świetlistego, wewnętrznego blasku, który czynił go niemal pięknym.

Teremon zniósł to spojrzenie raczej spokojnie, ale nawet on - twardy dziennikarz - stracił nieco pewności siebie na myśl o tym, że już wkrótce będzie przeprowadzał wywiad z osobą przedstawioną na portrecie. Mondior w radiu czy telewizji to jedno - po prostu szalony kaznodzieja, starający się przekazać jakieś absurdalne posłanie. Lecz Mondior z krwi i kości, budzący grozę, hipnotyzujący, tajemniczy - jeśli ten portret miał być jakąś wskazówką - mógł okazać się kimś zupełnie innym. Teremon postanowił mieć się na baczności.

- Proszę, niech pan wejdzie do środka - zaproponował odziany w czarną szatę mnich.

Ściana po lewej stronie obrazu się odsunęła. Wewnątrz widać było gabinet urządzony z surowością klasztornej celi. Nie było w nim nic prócz pustego biurka z pojedynczego bloku

wypolerowanego kamienia i ustawionego przed nim niskiego krzesła bez oparcia, wyciętego z kłoca jakiegoś niezwykłego, szarego drewna w czerwone pasy. Za biurkiem siedział człowiek budzący respekt samym swym wyglądem. Odziany był w czarną szatę Apostołów z kapturem obszytym czerwonym paskiem.

Wyglądał imponująco. Nie był to jednak Mondior 71.

Wnosząc ze zdjęć i wystąpień w telewizji, Mondior miał sześćdziesiąt pięć, a może siedemdziesiąt lat i emanowała z niego pewnego rodzaju intensywna męska siła. Jego włosy były gęste i lekko kręcone, czarne z wyraźnymi białymi pasmami; miał pełną, mięsistą twarz, szerokie usta, wydatny nos i mocno zarysowane kruczoczarne brwi, podkreślające ciemne przenikliwe oczy. Ten mężczyzna był młody, z pewnością przed czterdziestką, i również wydawał się potężny i bardzo męski, choć w zupełnie inny sposób. Był bardzo chudy, miał pociągłą twarz o ostrych rysach i ściągniętych ustach. Spod kaptura na czoło wymykały się kędzierzawe włosy w kolorze ceglastoczerwonym, oczy zaś kryły w sobie zimny, bezlitosny błękit.

Nie ulegało wątpliwości, że człowiek ten należał do grona wysokich urzędników organizacji, ale Teremon miał się spotkać z Mondiolem.

Dopiero dziś rano, po napisaniu artykułu o ostatnim sensacyjnym wystąpieniu Apostołów, postanowił dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego tajemniczego kultu. Wszystko, co mówili kiedykolwiek, uważał za nonsens, ale zaczynało wyglądać na to, że ten nonsens jest interesujący, wart nieco dokładniejszego opisanie. Czy można sobie wyobrazić łatwiejszy sposób, by dowiedzieć się o nich czegoś więcej, niż pójść wprost do ich przywódcy? Oczywiście, zakładając, że jest to możliwe. Zadzwoił i ku swemu zaskoczeniu usłyszał, że może zostać przyjęty przez Mondiora 71 jeszcze tego samego dnia. Wydawało się to zbyt łatwe.

Teraz zaczął sobie zdawać sprawę, że tylko łatwe się wydawało.

- Nazywam się Folimun 66. - Człowiek o szczupłej, wyrazistej twarzy mówił cicho, tonem łagodnym, nienapastliwym, wolnym od grzmiącej retoryki Mondiora. Teremon podejrzewał jednak, że, wbrew pozorom, jest to głos kogoś, kto przywykł, by go słuchano. - Jestem adiutantem do spraw kontaktów z prasą w okręgu centralnym naszej organizacji. Z prawdziwą przyjemnością odpowiem na pańskie pytania.

- Miałem się spotkać z samym Mondiolem - powiedział Teremon.

- Może mnie pan uważać za głos Mondiora. - Chłodne oczy Folimuna 66 nie zdradzały żadnej oznaki zaskoczenia.

- Zrozumiałem, że to będzie audyencja prywatna.

- I taka jest. Wszystko, co zostanie powiedziane do mnie, staje się udziałem Mondiora; wszystko, co pochodzi ode mnie, jest słowem Mondiora. Powinien to pan zrozumieć.

- Jednakże zapewniono mnie, że będę miał możliwość porozmawiać z Mondiolem. Nie mam wątpliwości, że to, co pan mówi, jest miarodajne, lecz nie takich informacji szukam. Chciałbym sobie wyrobić zdanie, jakiego rodzaju człowiekiem jest Mondior, jakie są jego poglądy na inne sprawy poza przepowiadaniem zniszczenia świata, co on myśli w kwestii...

- Nie pozostaje mi nic innego, jak powtórzyć to, co już powiedziałem. - Folimun przerwał dziennikarzowi łagodnie. - Proszę przyjąć, że ja jestem głosem Mondiora. Jego Świątobliwość nie będzie mógł dzisiaj przyjąć pana osobiście.

- Więc wolałbym przyjść tu ponownie innego dnia, gdy Jego Świątobliwość...

- Niech mi wolno będzie poinformować pana, że Mondior nigdy nie jest osiągalny dla

prywatnych wywiadów. Nigdy. Obowiązki Jego Świątobliwości są zbyt naglące, szczególnie teraz, gdy zaledwie miesiące dzielą nas od Czasu Płomieni. - Folimun nagle uśmiechnął się uśmiechem nadspodziewanie ciepłym i ludzkim, być może chcąc tym samym złagodzić wrażenie wywołane odmową i melodramatycznie brzmiącym określeniem Czas Płomieni. Niemal delikatnie dodał: - Przypuszczam, że zaszło nieporozumienie. Nie zdawał pan sobie sprawy z tego, iż spotka się pan z rzecznikiem Mondiora, nie zaś z samym Najwyższym Apostołem. Ale tak być musi. Jeśli więc nie chce pan ze mną rozmawiać, przykro mi, że niepotrzebnie się pan fatygował przychodząc tutaj. Jednak czy dziś, czy kiedykolwiek indziej nie znajdzie pan tu bardziej kompetentnego ode mnie źródła informacji.

Znów ten uśmiech. Był to uśmiech człowieka, który chłodno i bez skrupułów zamykał dziennikarzowi drzwi przed nosem.

- Rozumiem - powiedział Teremon po chwili zastanowienia. - Widzę, że nie mam wyboru. Mogę porozmawiać z panem lub z nikim. Dobrze, porozmawiajmy. Jak dużo mam czasu?

- Ile tylko pan sobie życzy, choć to pierwsze spotkanie będzie musiało być stosunkowo krótkie. Ostatecznie - znów szeroki, dziwny, niemal figlarny uśmiech - przed sobą mamy wszystkiego czternaście miesięcy, a ja w tym czasie mam też do zrobienia kilka innych rzeczy.

- Wyobrażam sobie. Mówi pan czternaście miesięcy? A co potem?

- Wnoszę, że nie czytał pan Księgi Objawień.

- Ostatnio rzeczywiście nie.

- Proszę. - Folimun wyjął z jakiegoś zakamarka swego na pozór pustego biurka cienki tom w czerwonej oprawie i podsunął go Teremonowi. - To dla pana. Mam nadzieję, że znajdzie pan tu dużo duchowej strawy. Tymczasem streszczę panu główny wątek, który, zdaje się, najbardziej pana interesuje. W dużym skrócie - dokładnie za czterysta osiemnaście dni, licząc od dziś, to jest dziewiętnastego theptara przyszłego roku, czeka nasz wygodny, znajomy świat wielkie przeobrażenie. Sześć słońc wejdzie do Jaskini Ciemności i zniknie, ukazą się nam gwiazdy, a cały Kalgasz stanie w płomieniach.

Zabrzmiało to bardzo zwyczajnie. Tak mógłby mówić o prawdopodobnym oberwaniu chmury jutro po południu, czy też o spodziewanym w przyszłym tygodniu kwitnieniu jakiejś rzadkiej rośliny w Miejskim Ogrodzie Botanicznym. Cały Kalgasz w płomieniach. Sześć słońc wchodzących do Jaskini Ciemności. Gwiazdy.

- Gwiazdy? - zdziwił się Teremon. - Co to takiego?

- Stanowią narzędzia w rękach bogów.

- Czy mógłby pan powiedzieć coś bliższego na ich temat?

- Natura gwiazd będzie dla nas aż nadto przejrzysta - stwierdził Folimun 66 - to tylko kwestia czterystu osiemnastu dni.

- Gdy skończy się obecny Rok Łaski - dopowiedział Teremon. - Dziewiętnastego theptara przyszłego roku.

- Więc jednak znane są panu nasze nauki. - Najwyraźniej Folimun był przyjemnie zaskoczony.

- Do pewnego stopnia. W każdym razie słuchałem kilku ostatnich przemówień Mondiora. Wiem też o cyklu dwóch tysięcy czterdziestu dziewięciu lat. A zdarzenie, które nazywa pan Czasem Płomieni? Sądzę, że również nie może mi pan przedstawić przypuszczalnego opisu i tego zjawiska?

- Znajdzie pan coś na ten temat w piątym rozdziale Księgi Objawień. Niech pan teraz tego nie szuka, mogę panu zacytować: "A z gwiazd spływały Niebiańskie Płomienie zesłane przez bogów, a

gdzie dotknęły, miasta Kalgasza obracały w ruinę i nie zostało śladu człowieka ani dzieł Jego”.

- Nagły, straszliwy kataklizm. - Teremon pokiwał głową. - Dlaczego?

- Wola bogów. Przestrzegali nas przed występkami i dali wiele lat, byśmy mogli się nawrócić.

Czas ten nazywamy Rokiem Łaski, rokiem trwającym dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat ludzkich, o czym, jak mi się wydaje, już pan wie. Obecny Rok Łaski dobiega już niemal końca.

- I myśli pan, że wtedy wszyscy zostaniemy zmieceni z powierzchni ziemi, czy tak?

- Nie wszyscy, ale z pewnością większość. Nasza cywilizacja ulegnie zniszczeniu. Ci nieliczni, którzy przeżyją, staną przed ogromnym zadaniem odbudowy. Jest to zatem, czego zdaje się pan być świadom, pewien smutny, powtarzalny cykl w dziejach ludzkości. To, co wkrótce ma nastąpić, nie będzie jednak pierwszą próbą bogów, której ludzkość nie sprostала. Nieraz byliśmy już powaleni, a teraz jesteśmy bliscy przegranej po raz kolejny.

„Ciekawe - pomyślał Teremon. - Ten Folimun wcale nie wydaje się wariatem”.

Pomijając jego dziwaczną szatę, mógłby równie dobrze być jakimś młodym człowiekiem interesu, siedzącym w swym gustownie urządzonej biurze - na przykład bankierem udzielającym pożyczek lub opiniującym inwestycje. Nie ulegało wątpliwości, że był inteligentny. Mówił poprawnym językiem, jasno i pewnie. Nie wygłaszał tyrad ani też nie unosił się w zapamiętaniu. Jednak rzeczy, które głosił tak jasno i pewnie, stanowiły stek niedorzecznych bzdur. Kontrast między tym, o czym Folimun mówił, a sposobem, w jaki to wypowiadał, był trudny do zrozumienia.

Siedział spokojnie, rozluźniony, oczekując na kolejne pytanie dziennikarza.

- Będę z panem szczerzy - odezwał się Teremon po chwili. - Jak wielu ludziom, tak i mnie trudno jest zaakceptować coś tak wielkiego, jeśli jest przekazane po prostu jako objawienie. Potrzebuję niezbitych dowodów. Pan mi ich nie daje. Mówi pan, że powinienem w to uwierzyć. Nie istnieje żaden namacalny dowód, który można zaprezentować - tak przynajmniej twierdzicie - ale lepiej, żebyśmy po prostu wam uwierzyli, ponieważ usłyszeliście to wszystko od bogów, a wiecie, że oni was nie okłamują. Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego, mimo wszystko, powinienem wam uwierzyć? Sama wiara nie wystarcza takim ludziom jak ja.

- Dlaczego myśli pan, że nie ma dowodów? - spytał Folimun.

- A są? Inne niż sama Księga Objawień? Dowód pośredni nie jest dla mnie żadnym dowodem.

- Wie pan, że jesteśmy bardzo wiekową organizacją.

- Dziesięć tysięcy lat, jak wieść niesie.

- To liczba umowna. - Przez wąskie usta Folimuna przemknął krótki uśmiech. - Prawdopodobnie nieco wyolbrzymiona, aby wywołać odpowiedni efekt w społeczeństwie. Między sobą przyjmujemy po prostu, że pochodzimy z czasów prehistorycznych.

- Zatem pańskie ugrupowanie ma co najmniej dwa tysiące lat.

- Nieco więcej. Wywodzi się jeszcze sprzed ostatniego kataklizmu, działamy zatem co najmniej dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat. Prawdopodobnie dużo więcej, ale nie mamy na to dowodów, przynajmniej nie takich, które byłyby dla pana do przyjęcia. Sądzymy, że Apostołowie mogą mieć za sobą kilka cykli zniszczenia, czyli prawdopodobnie co najmniej sześć tysięcy lat. Tak naprawdę liczy się tylko to, że mieliśmy swój początek przed ostatnim kataklizmem. Jako organizacja działamy bez rozgłosu dłużej, niż trwa obecny Rok Łaski. Jesteśmy zatem w posiadaniu bardzo konkretnych, szczegółowych informacji o katastrofie, która nas czeka. Wiemy, co się zdarzy, gdyż wiemy, co zdarzyło się wielokrotnie przedtem.

- Lecz jednocześnie nikomu nie chcecie wyjawiać informacji, które jak twierdzicie, są w waszym

posiadaniu. Żadnego świadectwa, żadnych dowodów.

- To, co możemy światu przekazać, zawarte jest w Księdze Objawień.

I tak na okrągło. Do niczego to nie prowadziło. Teremon wiedział już dosyć. Z całą pewnością miał do czynienia z jednym wielkim oszustwem. Wielkim fałszerstwem, prawdopodobnie obliczonym na wyłudzenie pokaźnych wkładów od naiwnych ludzi pokroju Bottikera czy Vivina i innych bogaczy, rozpaczliwie próbujących kupić sobie jakiś sposób ucieczki przed groźbą przeznaczenia. Pomimo oczywistych oznak szczerości i inteligencji Folimun albo sam był ochoczym współspiskowcem w tym gigantycznym dziele oszukańczej fantazji, albo też po prostu jedną z wielu ofiar oszustw Mondiora.

- No, dobrze - powiedział dziennikarz. - Załóżmy na razie, że w przyszłym roku istotnie zdarzy się jakaś ogólnoswiatowa katastrofa, której szczegółowy scenariusz zna wasza grupa. Czego zatem chcecie od pozostałych? Żeby tłumnie przychodzili do waszych świątyń, by błagać bogów o litość?

- Na to jest już o wiele za późno.

- Więc nie ma już nadziei? W takim razie po co w ogóle zawracacie sobie głowę, by nas ostrzec? Folimun uśmiechnął się ponownie, ale już bez cienia ironii.

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, rzeczywiście chcemy, by ludzie przychodzili do naszych świątyń, nie w celu wpłynięcia na decyzję bogów, ale żeby wysłuchać naszych nauk w kwestii moralności i zwyczajnej ludzkiej przyzwoitości. Uważamy, że w tych dziedzinach mamy do przekazania cenne posłanie. Po drugie - i jest to o wiele pilniejsze - chcemy przekonać ludzi o realności zagrożenia, aby powzięli jakieś środki dla własnej obrony. Najgorszych skutków katastrofy można uniknąć. Można poczynić pewne kroki w celu oddalenia całkowitej zagłady naszej cywilizacji. Tak, płomieni uniknąć nie sposób, to prawda - ludzka natura jest, jaka jest, a bogowie przestrzegali; czas ich zemsty się zbliża - lecz w ogólnym szaleństwie i przerażeniu znajdują się tacy, którzy przeżyją. Zapewniam pana, że my, Apostołowie, z pewnością będziemy wśród nich. Będziemy tu, jak byliśmy dotąd, by poprowadzić ludzkość w nowy cykl odrodzenia. Ofiarujemy pomoc - w miłości i miłosierdziu - każdemu, kto zechce ją przyjąć, kto złączy się z nami w przygotowaniach do obrony przed zbliżającym się chaosem. Czy wydaje się to panu szaleństwem? Czy zatem jesteśmy jedynie grupą niebezpiecznych pomyleńców?

- Gdybym tylko mógł zgodzić się z pana podstawowym założeniem...

- Że w przyszłym roku nadejdą płomienie? Zgodzi się pan. Jestem tego pewien. Pozostaje jeszcze kwestia, czy zdecyduje się pan wystarczająco wcześnie i stanie się jednym z tych, którzy przeżyją, jednym ze stróżów naszego dziedzictwa, czy też dopiero w chwili zagłady, w chwili własnej śmierci uwierzy pan, że mówiliśmy prawdę.

- Ciekaw jestem, co będzie pierwsze - powiedział Teremon.

- Niech mi pan pozwoli mieć nadzieję, że w dniu, w którym ten Rok Łaski osiągnie swój kres, będzie pan po naszej stronie - rzekł Folimun. Nagle wstał i wyciągnął do Teremona rękę. - Muszę już iść. Jego Świątobliwość Najwyższy Apostoł oczekuje mnie za kilka minut. Ale jestem pewien, że jeszcze nieraz będziemy rozmawiać. Wystarczy, że powiadomi mnie pan dzień wcześniej, a nawet mniej - postaram się być do pana dyspozycji. Już teraz niecierpliwie oczekuję na kolejną naszą rozmowę. Może zabrzmiało to dziwnie, ale mam przeczucie, że pan i ja jesteśmy stworzeni, aby ze sobą ściśle współpracować. Czuję, że mamy wiele wspólnego.

- Czyżby?

- W kwestii wiary na pewno nie. W kwestii chęci przeżycia i pomocy w przeżyciu innym - bezsprzecznie tak. Przypuszczam, że przyjdzie taki czas, gdy będziemy się nawzajem potrzebować i

połączymy siły w walce z nadchodzącą Ciemnością. Właściwie jestem tego pewien.

„Oczywiście - pomyślał Teremon. - Lepiej, żebyś od razu wziął miarę na moją czarną szatę”.

Ale nie było sensu obrażać Folimuna jakakolwiek niegrzecznością. Kult Apostołów Płomieni, jak widać, rozrastał się z dnia na dzień. Teremon wyczuł wspaniały materiał na reportaż; Folimun zaś był człowiekiem, na którego w dużej mierze będzie się musiał zdać przy jego pisaniu.

Dziennikarz wsunął egzemplarz Księgi Objawień do swej teczki i wstał.

- Zadzwoń do pana za kilka tygodni, po dokładnym przestudiowaniu tekstu. Wtedy będę chciał spytać pana też o inne rzeczy. A z jakim wyprzedzeniem powinienem zadzwonić w sprawie audiencji u Mondiora 71?

Nie tak łatwo było złapać Folimuna w sidła.

- Jak już wyjaśniłem, praca Jego Świątobliwości od teraz aż po Czas Płomieni jest na tyle doniosła, że nie będzie niestety osiągalny dla wywiadów indywidualnych. Jest mi bardzo przykro. Nie mam żadnych możliwości, by to zmienić. - Folimun wyciągnął rękę. - Nasze spotkanie sprawiło mi prawdziwą przyjemność.

- Mnie również - powiedział Teremon.

- Doprawdy? - Folimun się roześmiał. - Te pół godziny spędzone na rozmowie z szaleńcem? ekscentrykiem? fanatykiem? zaślepionym wyznawcą?

- Nie pamiętam, abym użył takich słów.

- Nie zdziwiłbym się jednak, gdyby mi powiedziano, że miał je pan na myśli. - Apostoł posłał Teremonowi kolejny ze swych rozbrajających uśmiechów. - Jednak miałby pan po części rację. Otóż jestem zaślepionym wyznawcą. Chyba też fanatykiem. Lecz nie szaleńcem. Nie ekscentrykiem. Mogę jedynie żałować, że taka jest prawda. Pan też będzie żałował.

Na pożegnanie pomachał Teremonowi ręką. Mnich, który go tu przyprowadził, oczekiwał już po drugiej stronie drzwi z zamiarem wskazania drogi do windy.

„Osobliwe pół godziny - pomyślał dziennikarz. - I nie tak znowu owocne. W pewnym sensie teraz wiem o Apostołach mniej, niż zanim tu przyszedłem”.

Wciąż zdawało mu się, że są jedynie przesadnymi dziwakami. Było aż nadto widoczne, że nie dysponowali choćby strzępem dowodu na to, że w najbliższej przyszłości oczekiwał świat jakiś kataklizm. Nie mógł jednak rozstrzygnąć, czy byli jedynie głupcami, czy też zwyczajnymi szalbierzami, chcącymi napełnić swoje portfele.

To wszystko było wielce zagmatwane. Fanatyzm i purytanizm Apostołów zupełnie mu nie odpowiadał. A jednak, a jednak... ten Folimun, ich rzecznik, wydawał się osobą nadspodziewanie ciekawą. Był inteligentny, wymowny, a nawet, na swój sposób, rozsądny. W dodatku cechowało go coś w rodzaju poczucia humoru, co było pewną niespodzianką i przemawiać mogło jedynie na jego korzyść.

Teremon nigdy dotąd nie słyszał o maniacu czy fanatyku, który byłby zdolny do choćby cienia drwiny z samego siebie. Chyba że było to częścią rutynowej procedury w kontaktach Folimuna z prasą - może z rozmysłem starał się on stworzyć pewien obraz osoby, który pociągałby ludzi podobnych do Teremona.

„Uważaj - powiedział dziennikarz do siebie - Folimun czegoś od ciebie chce”.

Ale to było normalne. Dzięki swej pozycji w gazecie miał wielkie wpływy. Dosłownie każdy próbował go wykorzystać.

„Zobaczmy jeszcze, kto kogo wykorzysta” - pomyślał Teremon.

Jego kroki rozlegały się głośnym echem, gdy szybko przemierzał wielki hol siedziby Apostołów, aby wyjść w blask rozświetlonego trzema słońcami popołudnia.

Teraz z powrotem do redakcji "Kroniki". Kilka pobożnych godzin przeznaczonych na bliższą analizę Księgi Objawień, a później będzie już czas, by zacząć myśleć nad jutrzejszym felietonem.

Była już pełnia letniej pory deszczowej, gdy Szirin 501 pewnego popołudnia wrócił do Saro. Zażywny psycholog wyszedł z samolotu wprost w potężną ulewę, która zmieniła pas startowy w wielkie jezioro. Szare strugi deszczu, niesione gwałtownymi porywami wiatru, przemieszczały się niemal poziomo.

Szare... szare... wszystko szare...

W tym mroku jednak gdzieś w górze musiały znajdować się słońca. Słabe światło z zachodu to prawdopodobnie Onos, po przeciwnej stronie nieba Szirin rozpoznawał zimną poświatę Tano i Sithy. Pokrywa chmur była tak gęsta, że dzień zdawał się ponury. Nieznośnie ciemny, jak dla Szirina, który - wbrew temu, co powiedział swym gospodarzom z Jongloru - wciąż odczuwał skutki piętnastominutowej przejażdżki przez Tunel Tajemnic.

Prędzej podjąłby dziesięciodniowy post, niż przyznał się do tego Kellaritanowi, Sibellowi czy komukolwiek innemu; jednak w tunelu rzeczywiście zbliżył się do niebezpiecznego punktu.

Przez następne trzy, cztery dni po tej próbie Szirin sam doświadczył namiastki - tylko namiastki - klaustrofobii, która odesłała tak wielu mieszkańców Jongloru do szpitali psychiatrycznych. Zdarzało mu się, że gdy przebywał w pokoju hotelowym pracując nad swym raportem, nagle ogarniało go uczucie, jakby zamykała się nad nim Ciemność. Musiał wtedy wstać, wyjść na taras albo nawet udać się na długi spacer po hotelowym ogrodzie. Musiał? No, może niekoniecznie, ale wydawało się to wskazane. Bardzo wskazane. I zawsze czuł się potem lepiej.

Ciemność nawiedzała go także niekiedy podczas snu. Oczywiście, boże światełko w jego pokoju pozostawało włączone - zawsze tak było; nie znał nikogo, kto postępowałby inaczej - i od czasu przejażdżki w tunelu używał też dodatkowego bożego światełka na wypadek, gdyby przypadkiem w pierwszym wyczerpała się bateria, choć według wskaźnika mogła nieprzerwanie pracować jeszcze przez pół roku. Mimo to zmożony snem Szirin miał nieodparte wrażenie, że sypialnia zepchnięta została w zupełnie czarne, bezświetlne otchłanie, w prawdziwą, całkowitą Ciemność. Budził się drżący i spocony, przekonany, że wciąż znajduje się w Ciemności, chociaż przyjazne promyki dwóch bożych światełek po obu stronach łóżka wyraźnie temu przeczyły.

Teraz zaś trzeba zejść z pokładu samolotu do tej ponurej, mrocznej krainy. To przyjemne uczucie znaleźć się z powrotem w domu, ale życzyłby sobie nieco więcej słonecznego światła. Musiał pokonać lekką niedyspozycję - a może nie taką lekką - gdy przyszło mu wejść do pleksiglasowego rękawa łączącego samolot z terminalem. Nie podobało mu się, że zainstalowano rękaw. Uważał, że powinien na razie unikać zamkniętych przestrzeni, nawet jeśli miałyby z tego powodu zmoknąć. Lepiej być na zewnątrz, pod otwartym niebem, pod przynoszącym spokój ducha światłem (jakkolwiek niewyraźnym w tej chwili czy ukrytym w chmurach) przyjaznych słońc.

Uczucie mdłości jednak ustąpiło. Do momentu gdy Szirin odebrał bagaż, radość z powrotu do rodzinnego Saro zdołała wziąć górę nad efektami spotkania z Ciemnością.

Przed halą odbioru bagażu czekała już na niego w samochodzie Liliat 221. To jeszcze bardziej poprawiło mu samopoczucie. Liliat była szczupłą, ładną, czterdziestoletnią kobietą, pracownikiem Wydziału Psychologii. Zajmowała się głównie eksperymentami nad zachowaniem zwierząt w labiryntach, a więc dziedziną, która nawet w części nie pokrywała się z zakresem badań

prowadzonych przez niego. Znali się od jakichś dziesięciu czy piętnastu lat. Szirin prawdopodobnie zaproponowałby jej małżeństwo już dawno temu, gdyby był choć trochę typem człowieka nadającego się do założenia rodziny, ale nie był; ona zresztą też nie, przynajmniej sądząc z tego, co czasem wspominała na ten temat. Związek, który ich łączył, wydawał się odpowiadać im obojgu.

- Że też na przyjazd do domu ze wszystkich możliwych nędznych dni przyszło mi wybrać właśnie ten... - powiedział siadając obok niej i pochylając się, by złożyć na jej policzku krótki, przyjacielski pocałunek.

- Pada od trzech dni. I mówią, że jesteśmy skazani na taką pogodę przez kolejne trzy, aż do następnego dnia Onosa. Sądzę, że do tego czasu wszyscy się potopimy. Wyglądasz, jakbyś stracił nieco na wadze w czasie pobytu w Jonglorze.

- Naprawdę? Wiesz, północna kuchnia niezupełnie mi odpowiada...

Nie spodziewał się, że zauważy to od razu. Mężczyzna tak postawny jak on powinien móc zrzucić pięć czy siedem kilogramów tak, by nie wywoływano to powszechnych komentarzy. Liliat jednak zawsze była spostrzegawcza. Możliwe, że zrzucił nawet nieco więcej niż siedem kilogramów. Od dnia przejażdżki w tunelu po prostu prawie nic nie jadł. On! Aż trudno mu było uwierzyć, jak mało jadał.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała Liliat. - Zdrowo, krzepko.

- Naprawdę?

- Co nie znaczy, bym sądziła, iż powinieneś być chudy, przynajmniej nie w tym wieku. Ale nic ci się nie stanie, jeśli zrzucisz parę kilo. Dobrze się bawiłeś w Jonglorze?

- No...

- Odwiedziłeś wystawę?

- Tak. Wspaniała. - Nie był w stanie zdobyć się na więcej entuzjazmu. - Liliat, co za deszcz!

- W Jonglorze nie padało?

- Przez cały czas było bezchmurnie i sucho. Tak jak wtedy, gdy wyjeżdżałem z Saro.

- Cóż, Szirinie, pory roku się zmieniają. Nie można się łudzić, że ta sama pogoda utrzyma się przez całe pół roku. Gdy codziennie wschodzi zupełnie inny układ słońc, nie ma co się spodziewać, że aura pozostanie niezmienna przez dłuższy czas.

- Trudno mi orzec, czy przemawiasz jak meteorolog, czy jak astrolog - mruknął Szirin.

- Ani jedno, ani drugie. Jak psycholog. Nie masz zamiaru opowiedzieć mi o swej podróży?

Zawahał się.

- Wystawa jest wspaniała. Szkoda, że jej nie widziałas. Niemal cały czas ciężko pracowałem. Tam, na północy, mają niezły ambaras... myślę o tym Tunelu Tajemnic.

- Czy to prawda, że ludzie w nim umierają?

- Kilku rzeczywiście umarło, a wielu wychodzi z niego z urazami, zaburzeniami orientacji, z objawami klaustrofobii. Badałem kilku z nich. Kuracja będzie trwała wiele miesięcy. Niektórzy w ogóle nie powrócą do zdrowia. Tunel był jednak otwarty przez wiele tygodni.

- Mimo tych problemów?

- Zdaje się, że nikomu nie zależało na jego zamknięciu, w najmniejszym zaś stopniu ludziom, którzy wystawą zarządzają. Im chodziło jedynie o sprzedanie biletów. A zwiedzający byli tej ciemności bardzo ciekawi. Ciekawi ciemności, czy możesz to sobie wyobrazić, Liliat?! Pełni entuzjazmu stawali w kolejce, by narazić swe zdrowie psychiczne na niebezpieczeństwo! Oczywiście, wszyscy byli przekonani, że im nic złego przydarzyć się nie może. I tak było w istocie,

w wielu wypadkach. Ale nie we wszystkich... Ja też wybrałem się na przejażdżkę tunelem.

- Ty?! - zdziwiła się Liliat. - No i jakie odniosłeś wrażenia?

- Paskudne. Dużo bym dał, aby tylko nie musieć przejść przez to ponownie.

- Jak widać, wyszedłeś bez szwanku.

- Jak widać - zgodził się Szirin ostrożnie. - Mogę równie dobrze wyjść bez szwanku po połknięciu pół tuzina żywych ryb, ale prawdopodobnie nie chciałbym zrobić tego po raz drugi. Powiedziałem im, żeby zamknęli ten przeklęty tunel. Takie było moje osobiste zdanie i myślę, że się do niego zastosują. My, Liliat, po prostu nie zostaliśmy stworzeni, by znosić Ciemność. Minuta, może dwie - potem zaczynamy się łamać. To rzecz wrodzona, jestem o tym przekonany; miliony lat ewolucji ukształtowały nas takimi, jakimi dziś jesteśmy. Ciemność stanowi najbardziej nienaturalną rzecz na świecie. I jeszcze ten pomysł, żeby sprzedawać ją ludziom w formie rozrywki... - wzdrygnął się. - No, byłem w Jonglorze, ale już jestem z powrotem. Powiedz, co słyhać na uniwersytecie?

- Niewiele. Jak zwykle jakieś głupie, drobne sprzeczki, ciągłe rady wydziału, wniosłe, pełne oburzenia oświadczenia na temat takiego czy innego palącego problemu społecznego... sam dobrze wiesz, jak to jest. - Liliat na chwilę zamilkła. Zaciśnęła mocno obie dłonie na kierownicy prowadząc samochód przez głębokie kałuże, które potworzyły się na autostradzie. - W obserwatorium daje się najwyraźniej wyczuć jakieś dziwne poruszenie. Szukał cię twój przyjaciel Biney 25. Mówił niewiele, ale zdaje mi się, że pracują nad zmianą jednej ze swych kluczowych teorii. Wszyscy są bardzo wzburzeni. Czy możesz sobie wyobrazić, że badania prowadzi nie kto inny, tylko sam stary Athor? Myślałam, że jego mózg skostniał już z tysiąc lat temu... Biney przyszedł z jakimś dziennikarzem, którego felietony podobno cieszą się dużym wzięciem. Nie zwracałam na niego większej uwagi, ale jeśli dobrze pamiętam, nazywa się Teremon 762.

- Jest bardzo znany. Rodzaj podżegacza, choć nie potrafię dokładnie określić, w jaki rodzaj spraw się angażuje. Dużo czasu spędza z Biney em.

Szirin zanotował sobie w pamięci, żeby zadzwonić do młodego astronoma, jak tylko się rozpakuje. Już od blisko roku Biney mieszkał z jego siostrzenicą Raissą 717 i Szirin amatorsko interesujący się astronomią zaprzyjaźnił się z nim, o ile było to możliwe biorąc pod uwagę dzielącą ich różnicę ponad dwudziestu lat.

Athor znów zajął się pracą teoretyczną! Kto by przypuszczał! Ale czego właściwie mogła ona dotyczyć? Czyżby jakiś parweniusz opublikował dziełko atakujące prawo powszechnego ciężenia? Nie, nikt by się nie odważył.

- A ty? - zapytał Szirin. - Nie powiedziałaś mi dotąd ani słowa o tym, co robiłaś przez ten czas, gdy mnie nie było.

- Jak myślisz? Może skakałam na lotni w górach? Uczestniczyłam w spotkaniach Apostołów Płomieni? A może zapisałam się na kurs nauk politycznych? Czytałam książki. Wykładałam. Prowadziłam eksperymenty. Czekałam, aż wrócisz. Myślałam, jaki obiad ugotować na twoje powitanie. Czy aby na pewno nie jesteś na diecie?

- Oczywiście, że nie. - Na moment dotknął jej ręki z czułością. - Przez cały czas myślałem tylko o tobie, Liliat.

- Jestem tego pewna.

- I nie mogę się już doczekać obiadu.

- Przynajmniej to nie ulega wątpliwości. Nagle zaczęło padać jeszcze mocniej. Deszcz falą przesłonił przednią szybę samochodu. Liliat musiała całkowicie skupić uwagę, by nie zjechać z

drogi. Mijali Panteon, wspaniałą Katedrę Wszystkich Bogów. Nie robiła jednak wspaniałego wrażenia teraz, gdy strumienie deszczu spływały po jej ceglanej fasadzie.

Ulewa wciąż przybierała na sile, niebo pociemniało jeszcze bardziej. Szirin skulił się ze strachu przed mrokiem i szukając ukojenia skierował wzrok ku jasno świecącym na desce rozdzielczej światełkom kontrolnym.

Nie czuł się dobrze w zamkniętej przestrzeni samochodu. Pragnął wyjść na zewnątrz, w bezkresne pola, bez względu na pogodę. Istne szaleństwo. Przecież w mgnieniu oka przemókłby do suchej nitki.

„Myśl o czymś wesołym - powtarzał sobie. - Myśl o czymś ciepłym i pogodnym. Myśl o słońcach, o złotym blasku Onosa, ciepłym świetle Patru i Treya, a nawet o chłodnych promieniach Sithy i Tano czy słabych czerwonych Dovima. Myśl o dzisiejszym obiedzie. Liliat przygotowała prawdziwą ucztę na powitanie. Jest wspaniałą kucharką...”

Zdał sobie sprawę, że wcale nie odczuwał głodu. Nie mogło być inaczej w ten okropny, szary dzień... taki szary... taki szary...

Liliat była bardzo czuła na punkcie swoich umiejętności kulinarnych, szczególnie gdy gotowała dla niego. Zdecydował, że zje wszystko, cokolwiek przed nim postawi, nawet gdyby musiał się do tego zmusić. Śmieszna sprawa, on, Szirin, wielki łakomczuch, myśli o zmuszaniu się do jedzenia!

Roześmiał się głośno.

- Co cię tak śmieszy? - zapytała Liliat.

- Ach... hm... myślałem o tym, że Athor powrócił do pracy naukowej - odpowiedział pośpiesznie.

- Po wielu latach zadowalania się pozycją Jego Wysokości Cesarza Astronomii i zajmowania się sprawami czysto administracyjnymi. Będę musiał zaraz zadzwonić do Bineya. Co takiego, u licha, dzieje się w obserwatorium?

Dla Siferry 89 był to trzeci dzień po powrocie na Uniwersytet Saryjski. Wciąż padało. Jakże miła odmiana po suchym, pustynnym klimacie półwyspu Sagikan. Od tak dawna nie widziała deszczu, że niemal osłupiała ze zdumienia, iż woda może spadać z nieba.

Na Sagikanie każda kropla wody była niezmiernie cenna. Z największą dokładnością wyliczano jej zużycie, a potem odzyskiwano wszystko, co się dało odzyskać. A tutaj lała się z niebios niczym z olbrzymiego zbiornika, który nigdy nie wyschnie. Siferra miała wielką ochotę rozebrać się do naga i biegać po wspaniałych trawnikach między gmachami uniwersytetu, pozwalając, by deszcz spływał po jej ciele nie kończącym się cudownym strumieniem i wreszcie zmył z niej przeklęty kurz pustyni.

Z pewnością wszyscy chcieliby to zobaczyć. Ta chłodna, niedostępna, pozbawiona uczuć Siferra 89 biega nago w strugach deszczu! Warto byłoby tak pobiegać, choćby po to jedynie, by doznać radości na widok ich zdumionych twarzy wyzierających z każdego okna uniwersytetu.

„Co za głupoty przychodzą mi do głowy - pomyślała Siferra. - Zupełnie nie w moim stylu”.

Miała dużo do zrobienia. Nie traciła czasu, od razu zabrała się do pracy. Większość próbek, które pobrała z wykopalisk na terenie Beklimotu, płynęło statkiem handlowym. Nie należało się ich spodziewać przed upływem kilku tygodni, ale trzeba było uszeregować wykresy, zakończyć szkice, przeanalizować stratygraficzne zdjęcia Balika, przygotować do laboratorium radiologicznego przywiezione próbki gleby i zrobić mnóstwo innych rzeczy. A na koniec pozostawały jeszcze tabliczki z Tombo, o których miała rozmawiać z profesorem Mudrinem 505 z Wydziału Paleografii.

Tabliczki z Tombo! Znalezisko znalezisk, największe odkrycie w ciągu tego półtora roku! Przynajmniej w opinii Siferry. Oczywiście, wiele zależało od tego, czy ktoś będzie w stanie je

odczytać. Musi nakłonić Mudrina do zajęcia się ich analizą. Tabliczki te były co najmniej fascynujące, ale mogły też mieć epokowe znaczenie. Istniała możliwość, że zrewolucjonizują całą dotychczasową wiedzę o czasach prehistorycznych, dlatego też nie powierzyła ich spedytorom, lecz przywiozła z Sagikanu osobiście. Usłyszała pukanie do drzwi.

- Siferra? Siferra, jesteś tam?

- Proszę, wejdź, Baliku.

Barczysty stratograf był przemoczony do suchej nitki.

- Co za wstrętne ulewa - wymamrotał, otrząsając krople deszczu z ubrania. - Nie wyobrażasz sobie, jak zmokłem, choć przeszedłem jedynie przez dziedziniec z Biblioteki Ulanda.

- A ja kocham deszcz! Dla mnie mógłby padać wiecznie. Po tych wszystkich miesiącach prażenia się na pustyni - tym ciągłym piasku w oczach, kurzu w gardle, skwarze, suszy - niech pada!

- Widzę jednak, że przebywasz głównie pod dachem. Tak jest łatwiej doceniać uroki deszczu, gdy patrzysz sobie z przytulnego, suchego pokoju. Znowu się tym bawisz?

Wskazał na sześć wyszczerbionych, poobijanych tabliczek z twardej czerwonej gliny, które Siferra ustawiła na blacie biurka, dzieląc je na dwie grupy po trzy: w jednym rzędzie kwadratowe, a niżej w drugim prostokątne.

- Są piękne, prawda? - Siferra promieniała radością. - Nie dają mi spokoju. Wciąż na nie patrzę, jakby mogły stać się zrozumiałe przez to tylko, że wystarczająco długo im się przyglądam.

Balik pochylił się nad biurkiem i pokiwał głową.

- Bezsensowne gryzmoły. Z tym jedynie mi się to kojarzy.

- No wiesz! Zidentyfikowałam już wyraźne ślady grup wyrazowych, choć paleograf ze mnie żaden. Spójrz, widzisz tutaj tę grupę sześciu znaków? Tutaj się powtarza. I te trzy oddzielone klinami...

- Czy Mudrin już je widział?

- Jeszcze nie. Poprosiłam go, żeby wstąpił do mnie nieco później.

- Wiesz, że wieść o naszym odkryciu jednak przedostała się na zewnątrz? Mam na myśli te osady miejskie w Tombo.

- Co?! Kto...? - Siferra spojrzała na Balika ze zdumieniem.

- Jeden ze studentów. Osobiście stawiałbym na Welorana, choć Eilis podejrzewa, że to Steń. Tak chyba musiało się stać, prawda?

- Ostrzegałam ich, żeby nic nie mówili o...

- To jeszcze dzieci, Siferro, wyrosnięte dzieci, dziewiętnaście lat i pierwsze poważne kopanie! I ekspedycja przypadkiem napotyka coś zupełnie zdumiewającego - siedem dotychczas nikomu nie znanych miast prehistorycznych, zbudowanych jedno na drugim, które mają bogowie raczą wiedzieć ile tysięcy lat?..

- Dziewięć miast, Baliku.

- Siedem czy dziewięć to i tak bardzo dużo. Według mnie jest ich siedem - uśmiechnął się Balik.

- Wiem, że tak myślisz, ale jesteś w błędzie. Powiedz tylko, kto o tym rozpowiada na wydziale?

- Hilliko. I Brangin. Słyszałem, jak dziś rano rozmawiali. Muszę ci powiedzieć, że są niezwykle sceptyczni. Sceptyczni całą duszą. Każdy z nich uważa, że to zupełnie nieprawdopodobne, by zachowała się w tym rejonie choćby jedna osada starsza od Beklimotu, a co dopiero dziewięć czy siedem, czy też ile ich tam jest.

- Nie widzieli zdjęć. Nie widzieli wykresów. Nie widzieli tabliczek. Nie widzieli niczego, a już mają o tym wyrobione zdanie! - Oczy Siferry płonęły niepohamowanym gniewem. - Co oni w ogóle wiedzą? Czy kiedykolwiek choćby dotknęli stopą półwyspu Sagikan? Czy byli w Beklimocie choćby jako turyści? A mają czelność wydawać opinię na temat znaleziska, o którym jeszcze nic nie napisano, które nawet nieformalnie nie zostało jeszcze poddane pod dyskusję na wydziale!

- Siferro...

- Chciałabym ich obydwu obedrzeć ze skóry! Welorana i Stena zresztą też. Wiedzieli, że mają trzymać język za zębami. Do czego ci dwaj zmierzają, łamiąc prawo pierwsze ństwa, choćby nawet słownie? Ja im pokażę! Ściągnę ich tutaj i dowiem się, który z nich jest odpowiedzialny za przeciek tej historii do Hillika i Brangina, i jeśli ten szczeniak myśli sobie, że kiedykolwiek zdobędzie doktorat na tym uniwersytecie...

- Siferro, proszę - powiedział Balik łagodnie. - Wyciekasz się nie wiadomo na co.

- Nie wiadomo na co? Naruszono moje prawo pierwszeństwa...

- Nikt nie naruszył żadnych twoich praw. Dopóki sama się na ten temat nie wypowiesz, pozostanie to tylko plotką. Co do Welorana i Stena - tak naprawdę nie wiemy, czy rzeczywiście któryś z nich się wygadał, a nawet jeśli to zrobił, pamiętaj, że ty też kiedyś byłaś młoda.

- Tak - przyznała Siferra. - Trzy epoki geologiczne temu.

- Nie opowiadaj głupstw. Jesteś młodsza niż ja, a mnie przecież trudno określić jako sędziwego starca.

Siferra obojętnie pokiwała głową. Spojrzała w kierunku okna. Nagle deszcz przestał wydawać

się taki przyjemny. Wszystko na zewnątrz było szare, niepokojąco szare.

- Jednak słyszeć, że nasze odkrycia już są kontrowersyjne, choć jeszcze nie ogłoszono ich drukiem...

- One muszą być kontrowersyjne. Siferro, tym, co znaleźliśmy na wzgórzu, pokrzyżujemy plany wszystkim wokół - nie tylko na Wydziale Archeologii, ale też na Historii, Filozofii, nawet Teologii, wszystkich to dotyczy. I możesz być pewna, że będą walczyli w obronie wyrobionych przez siebie poglądów na rozwój cywilizacji. Czy sama byś nie walczyła, gdyby ktoś przyszedł do ciebie z radykalnie nową propozycją, która zagroziłaby wszystkiemu, w co dotąd wierzyłaś? Siferro, bądź realistką! Od piczątku wiedzieliśmy, że wokół naszego odkrycia rozpęta się prawdziwa burza.

- Chyba masz rację. Nie byłam przygotowana, że zacznie się tak od razu. Jeszcze nawet nie zdążyłam się rozpakować.

- O to właśnie chodzi. Tak nagle się to wszystko wydarzyło, że nie miałaś jeszcze czasu się odprężyć. Posłuchaj, mam pomysł. Przed powrotem do etatowych obowiązków akademickich mamy przecież prawo wziąć trochę wolnego. Czemu ty i ja nie mielibyśmy uciec przed deszczem i urządzić sobie razem jakichś krótkich wakacji? Powiedzmy, pojechać do Jongloru, by obejrzeć wystawę? Właśnie rozmawiałem wczoraj z Szirinem - wiesz, dopiero co stamtąd wrócił i mówi...

Siferra rzuciła w kierunku Balika spojrzenie pełne niedowierzania.

- Coś ty powiedział?

- Mówiłem o wakacjach. Ty i ja.

- Baliku, czy ty mnie czasem nie podrywasz?

- Chyba można by to tak nazwać. Ale czy należy się temu dziwić? Nie jesteśmy sobie tak znowu obcy. Znamy się jeszcze z czasów studenckich. Właśnie wróciliśmy po wielu miesiącach spędzonych wspólnie na pustyni.

- Wspólnie? Owszem, pracowaliśmy przy tych samych wykopaliskach. Ty miałaś swój namiot, ja swój. Nigdy nic między nami nie było. I teraz ni stąd, ni zowąd...

Na zazwyczaj powściągliwej twarzy Balika pojawiły się oznaki konsternacji i rozdrażnienia.

- Siferro, to nie to samo, co gdybym prosił cię o rękę. Zaproponowałem tylko krótką wycieczkę na wystawę do Jongloru, pięć czy sześć dni, trochę słońca, jakiś przyzwoity hotel w kurorcie zamiast namiotu rozbitego na środku pustyni, kilka kolacji przy muzyce, jakieś dobre wino... - Rozłożył ręce w geście irytacji. - No wiesz, Siferro, czuję się przy tobie jak jakiś głupi uczeń.

- Tak się właśnie zachowujesz. Baliku, nasze stosunki były czysto zawodowe. Niech nadal takie pozostaną, dobrze?

Już miał odpowiedzieć, jednak przemyślawszy to jeszcze raz, tylko zacisnął mocno wargi.

Przez dłuższy czas przyglądali się sobie skrzępowani.

Siferra czuła się jak ogłuszona. Spotykały ją same przykre niespodzianki - wieść o tym, że pozostali pracownicy wydziału wyrobili już sobie zdanie na temat znalezisk z Tombo, a teraz ta nietaktowna próba Balika uwiedzenia jej. Uwiedzenia? Powiedzmy, nawiązania z nią pewnego rodzaju intymnego kontaktu. I jak wydawał się kompletnie zdziwiony jej odmową!

Zastanawiała się, czy kiedyś przypadkiem, nieumyślnie nie sprawiała wrażenia, że zachęca go w jakiś sposób, pozwalając domyślać się uczuć, które nigdy nie istniały.

Nie, nie. Uznała, że nic takiego nie miało miejsca. Nie przejawiała żadnego zainteresowania podróżą do kurortów i sączeniem wina w nastrojowo oświetlonych restauracjach z Balikiem czy kimkolwiek innym. Miała swoją pracę. To jej wystarczało. Przez z górą dwadzieścia lat, od czasu

gdy była nastolatką, mężczyźni zabiegali o jej względy i mówili, jaka jest piękna, cudowna, fascynująca. Chyba wtedy to jej pochlebiało. Lepiej być uważaną za piękną i fascynującą niż brzydką i nudną, ale nie była zainteresowana mężczyznami. Nigdy. Nie chciała być. Jak przykre jest to skrępowanie, które wkradło się między nich z winy Balika, teraz, gdy wciąż mają przed sobą tyle pracy, związanej z uporządkowaniem przywiezionego z Beklimotu materiału - ich dwoje, pracujący obok siebie...

Rozległo się ponowne stukanie do drzwi. Siferra była wdzięczna losowi za wybawienie z niezręcznej sytuacji.

- Kto tam?

- Mudrin 505 - odpowiedział drżący głos.

- Proszę wejść, panie profesorze.

- Pójdę już sobie - stwierdził Balik.

- Zostań. On przyszedł tu, żeby zobaczyć tabliczki. Czyż nie są to w równej mierze twoje tabliczki, jak moje?

- Siferro, przepraszam, jeśli...

- Nie ma o czym mówić.

Mudrin był trzęsącym się, zasuszonym staruszką, który dawno przekroczył wiek emerytalny, lecz wciąż pracował na uniwersytecie. Nie wykładał już, tylko prowadził dalej swoje badania paleograficzne. Spoglądał zza grubych szkieł okularów łagodnymi szarzielonymi oczami, łzawiącymi od ciągłego ślęczenia nad spłowiałymi rękopisami. Siferra wiedziała, że łzawe spojrzenie było mylące - te oczy potrafiły dostrzec najdrobniejsze nawet szczegóły, przynajmniej jeśli chodzi o starożytne inskrypcje.

- Ach, więc to są te słynne tabliczki - rzekł Mudrin. - Wiesz, od kiedy mi o nich powiedziałaś, nie mogłem myśleć o niczym innym. - Ale nie od razu podszedł do biurka, by je obejrzeć. - Czy możesz mi najpierw udzielić wszystkich informacji o kontekście znaleziska?

- Proszę, to jest zdjęcie zrobione przez Balika. - Siferra wręczyła mu olbrzymie, połyskujące powiększenie. - Wzgórze Tombo, stary kopiec-śmietnik na południe od Beklimotu Wielkiego. Tak to wyglądało, gdy otwarła go burza piaskowa. I wtedy wykopaliśmy rów tu, na dole, a potem jeszcze głębiej, tutaj - aż odsłoniliśmy to wszystko. Czy widzi pan tę ciemną linię?

- Węgiel drzewny? - spytał Mudrin.

- Właśnie. Tutaj jest linia ognia, spalone całe miasto. Teraz przechodzimy tu niżej i widzimy drugą grupę fundamentów, i drugą linię ognia. I jeśli spojrzymy tutaj... i tutaj...

- Co tu mamy? - Mudrin przyglądał się fotografii przez dłuższą chwilę. - Osiem kolejnych osad?

- Siedem - rzucił Balik.

- Według mnie dziewięć - powiedziała oschle Siferra - ale zgadzam się, że dosyć trudno jest ocenić, im dalej w dół, w kierunku podstawy wzgórza. Żeby to wyjaśnić, będzie nam potrzebna analiza chemiczna i badania radiograficzne. Nie ulega wątpliwości, że na tym terenie miała miejsce cała seria pożarów. A mieszkańcy Tombo za każdym razem budowali i odbudowywali, wciąż od nowa.

- Jeśli tak jest w istocie, ta osada musi być niewyobrażalnie stara - stwierdził Mudrin.

- Moim zdaniem teren ten był zamieszkały przez co najmniej pięć tysięcy lat. Byś może dużo więcej - dziesięć czy piętnaście tysięcy. Nie dowiemy się, dopóki w pełni nie zostanie odkryty najgłębszy poziom, lecz z tym trzeba będzie poczekać do następnej wyprawy. Albo do jeszcze

kolejnej.

- Pięć tysięcy lat. Czy to możliwe?

- Żeby zbudować, odbudować, a potem po raz kolejny odbudować? Minimum pięć tysiącleci.

- Ale żadna dotychczas odkopana na świecie osada nie jest choć w przybliżeniu równie stara! -

Mudrin z niedowierzaniem kręcił głową. - Sam Beklimot ma mniej niż dwa tysiące lat, prawda? I uważamy go za najstarszą ze znanych nam osad na Kalgaszu.

- Najstarszą ze znanych - przyznała mu rację Siferra. - Ale czemu nie zaryzykować twierdzenia, że istnieją jeszcze starsze od niej? Znacznie starsze? To zdjęcie daje odpowiedź na pańskie pytanie. Oto osada, która jest bezsprzecznie starsza od Beklimotu - relikty stylu beklimockiego można znaleźć na poziomie szczytowym, a przecież pod nim jest jeszcze wiele starszych. Beklimot wydaje się osadą bardzo niedawną, jeśli wziąć pod uwagę historię ludzkości. Osada w Tombo - która już pewnie była uważana za starożytną, zanim jeszcze istniał Beklimot - musiała płonąć wielokrotnie, za każdym razem była jednak odbudowywana, i tak przez setki pokoleń.

- Bardzo pechowe miejsce - zauważył Mudrin. - Trudno powiedzieć, by było ukochane przez bogów, prawda?

- W końcu mieszkańcy musieli to spostrzec - wtrącił Balik.

- Tak! - Siferra pokiwała głową. - Wreszcie musieli chyba dojść do wniosku, że nad tym wzgórzem ciąży klątwa. Chyba dlatego zamiast odbudować miasto po ostatnim pożarze, wzniesli nieco dalej Beklimot. Przedtem zapewne bardzo długi czas mieszkali w Tombo. Byliśmy w stanie wyróżnić style architektoniczne dwóch najwyższych osad - proszę spojrzeć tutaj, to styl cyklopowy okresu środkowego Beklimotu, a później kreskowanie z okresu protobeklimockiego. Trzeciego miasta od góry, a w zasadzie tego, co po nim pozostało, nie jestem w stanie z niczym skojarzyć. Czwarte jest jeszcze dziwniejsze i bardzo surowe w kształtach, choć w porównaniu z piątym wydaje się wyrafinowane. Po piątym poziomie zaczyna się już taki galimatias, że trudno rozróżnić, które miasto jest które. Każde z nich jednak oddziela od pozostałych linia ognia; przynajmniej tak to sobie wyobrażamy. A tabliczki...

- No właśnie, tabliczki! - Mudrin drżał z emocji.

- Kilka tych kwadratowych znaleźliśmy w trzecim pokładzie. Prostokątne pochodziły z piątego. Nie staram się nawet zabrać do ich rozszyfrowania, ale, oczywiście, nie jestem paleografem.

- Jakby to było cudownie - odezwał się Balik - gdyby te tabliczki zawierały pewnego rodzaju zapis zniszczenia i odbudowy miast Tombo, i...

Siferra rzuciła w jego kierunku piorunujące spojrzenie.

- Jakby to było cudownie, gdybyś zechciał zachować te swoje pobożne życzenia dla siebie!

- Przepraszam, Siferro - rzekł Balik chłodno. - Wybacz, że jeszcze oddycham.

Mudrin nie zwrócił uwagi na ich sprzeczkę. Stał przy biurku Siferry, przez dłuższy czas nisko pochylał głowę nad kwadratowymi tabliczkami, potem nad prostokątnymi.

- Zdumiewające! - wykrzyknął wreszcie. - Nie do wiary!

- Czy potrafi je pan odczytać? - spytała Siferra.

- Odczytać? - Staruszek zachichotał. - Oczywiście, że nie. Czy spodziewasz się cudu? Ale widzę tu pewne grupy wyrazowe.

- Tak, ja też je zauważyłam.

- I zdaje się, że rozpoznaję pewne litery. Ale nie na starszych tabliczkach - są sporządzone w jakimś nie znanym mi piśmie, możliwe, że w sylabicznym, jak na alfabetyczne bowiem zbyt wiele w

nim różnych znaków. Natomiast tabliczki kwadratowe wydają się napisane w bardzo prymitywnej odmianie pisma beklimockiego. Widzisz, to tutaj to kampa, jestem nawet skłonny pójść o to o zakład, a to zdaje się nieco zniekształconą formą litery pirion... to jest pirion, nie uważasz? Siferro, powinienem poświęcić im trochę czasu. Przy moim własnym sprzęcie oświetleniowym, moich aparatach fotograficznych i skanerach. Czy mogę wziąć je ze sobą?

- Wziąć je? - zdziwiła się Siferro, jakby Mudrin co najmniej poprosił ją o pożyczenie kilku palców.

- To jedyny sposób, żebym mógł je odcyfrować.

- Myśli pan, że to się uda?

- Nie mogę dać żadnej gwarancji, ale jeśli ten znak oznacza pirion, a tamten kampa, powinienem zatem znaleźć też inne pokrewne litery i przynajmniej przedstawić ich transliterację. Czy potrafimy zrozumieć ten język zaraz po odczytaniu pisma, trudno powiedzieć. Wątpię jednak, abym posunął się bardzo daleko z tymi tabliczkami prostokątnymi, chyba że odkryjesz jakąś dwujęzyczną, która mogłaby posłużyć jako pomoc w znalezieniu właściwego podejścia do tego starszego pisma. Ale pozwól mi spróbować, Siferro. Pozwól mi spróbować.

- Proszę, niech je pan weźmie.

Troskliwie zebrała tabliczki i odłożyła z powrotem do pojemnika, w którym przywiozła je aż z Sagikanu. Bolało ją, że musi się z nimi rozstać, ale Mudrin miał rację. Nie był w stanie nic zrobić przy pobieżnym oglądzie; musiał je poddać analizie laboratoryjnej.

Patrzyła ze smutkiem, jak trzęsący się staruszek wychodzi z pokoju z cennym zawiniątkiem przyciśniętym do zapadniętej piersi. Teraz ona i Balik zostali znowu sami.

- Siferro, wracając do naszej rozmowy...

- Powiedziała ci, że nie ma o czym mówić. Ja już o wszystkim zdążyłam zapomnieć. Nie masz nic przeciwko temu, że zabiorę się do pracy?

I jak to przyjął? - spytał Teremon. - Przypuszczam, że lepiej, niż się spodziewałeś.

- Był absolutnie cudowny - powiedział Biney. Znajdowali się na tarasie klubu Sześć Słońc. Na razie deszcze się skończyły i nastał wspaniały wieczór, dziwnie przejrzysty jak zawsze po dłuższym okresie opadów. Na zachodzie świeciły Tano i Sitha, jaśniejsze niż zwykle, białe i upiorne, a po przeciwnej stronie mrocznego nieba połyskiwał, niczym mały klejnot, czerwony Dovim.

- Nie dał po sobie nic poznać - opowiadał dalej Biney - uniósł się tylko w chwili, gdy dotarło do niego, że niewiele brakowało, bym uległ pokusie wyciszenia całej sprawy, mając na względzie jego uczucia. Odsadził mnie od czci i wiary - tak jak na to zasługiwałem. Ale najśmieszniejsze było... Kelner! Kelner! Poproszę jeden Tano Special dla mnie i jeden dla mojego przyjaciela. Niech będą podwójne!

- Widzę, że zacząłeś pić jak szewc - zauważył Teremon.

Biney wzruszył ramionami.

- Tylko gdy zachodzę tutaj. Jest coś w tym tarasie, widoku na miasto, ogólnej atmosferze...

- Tak to się zaczyna. Coraz bardziej ci się to podoba, dochodzisz do przyjemnych skojarzeń między konkretnym miejscem i piciem, po chwili eksperymentujesz z wypiciem jednego czy dwóch kieliszków gdzieś indziej, potem trzech...

- Teremonie! Mówisz jak Apostoł Płomieni! Oni zdaje się również uważają picie za grzech?

- Oni wszystko uważają za grzech, ale picie jest nim na pewno. I to właśnie jest w tym takie cudowne, nieprawdaż, przyjacielu? - Teremon się roześmiał. - Opowiadałeś mi o Athorze.

- Właśnie. Rzecz wielce zabawna. Czy pamiętasz jeszcze swój pomysł, że jakiś nie znany czynnik mógłby powodować odchylenia orbity Kalgasza?

- Owszem, niespodziewany olbrzym z nieba. Sapiący i buchający ogniem smok.

- Otóż to. Athor jest dokładnie tego samego zdania!

- Myśli, że w niebie mieszka smok?

- Nie opowiadaj bzdur - Biney parsknął śmiechem - ale że należy uwzględnić jakiś nie znany czynnik, to tak. Ciemne słońce, a może jakieś inne ciało niebieskie położone tak, że nie sposób je zobaczyć, ale które mimo to oddziałuje na Kalgasza z określoną siłą przyciągania...

- Czy aby nie ma w tym zbyt dużo fantazji? - spytał Teremon.

- Oczywiście, że jest. Athor przypomniał mi jednak tę starą historię o mieczu Thargola. Posługujemy się nim - oczywiście w znaczeniu przenośnym - aby gdy mamy do wyboru dwie hipotezy, wybrać tę mniej złożoną. Prościej jest szukać niewidocznego słońca, niż wyjść z całkowicie nową teorią powszechnego ciężenia. Stąd też...

- Ciemne słońce? Ale czy przypadkiem te dwa pojęcia nie są sprzeczne? Słońce to źródło światła. Jeśli jest ciemne, jakże może być słońcem?

- To tylko jedna z możliwości, które Athor podsunął do rozważenia. Niekoniecznie traktuje ją poważnie. Przez ostatnie kilka dni rzucaliśmy jedynie różnymi pojęciami astronomicznymi w nadziei, że jedno z nich okaże się wystarczająco sensowne, by pomóc nam w znalezieniu wyjaśnienia dla... Spójrz, kto przyszedł. - Biney wskazał na wysokiego grubasa, który właśnie wchodził do klubu. - Szirin! Szirin! Chodź tu i napij się z nami.

Psycholog przeszedł ostrożnie przez wąskie drzwi.

- Bineyu, czyżbyś popadł w jakieś nowe nałogi?

- Niezupełnie. Teremon naraził mnie na kontakt z Tano Special i obawiam się, że w tym zasmakowałem. Znasz Teremona, prawda? Píše felietony w "Kronice Saro".

- Chyba nie było okazji. - Szirin wyciągnął rękę do dziennikarza. - Wiele o tobie słyszałem. Jestem wujem Raissy 717.

- Profesor psychologii! - Teremon przypomniał coś sobie. - O ile się nie mylę, był pan na Wystawie Stulecia w Jonglorze?

Szirin spojrzał zaskoczony.

- Znasz wszystkie nowinki, chłopcze, prawda?

- Staram się. - Podeszedł kelner. - Co mamy dla pana zamówić? Tano Special?

- To dla mnie za mocne - powiedział Szirin. - I trochę za słodkie. Może macie neltigr? - spytał kelnera.

- Jongloryjski koniak? Nie jestem pewien. Gdybym jednak znalazł, jak go mam panu podać?

- Czysty - Szirin odwrócił się do Teremona i Bineya. - Zasmakował mi, gdy byłem w Jonglorze. Na północy jedzenie jest okropne, ale przynajmniej potrafią tam wydestylować przyzwoity koniak.

- Słyszałem o jakimś zamieszaniu w związku z wystawą - rzekł Teremon. - Pewien kłopot w wesołym miasteczku... przejażdżka przez ciemność, która przywodziła ludzi do szaleństwa, dosłownie do utraty zdrowych zmysłów...

- Otóż to. Tunel Tajemnic. Z tego właśnie powodu tam pojechałem jako konsultant wezwany przez miasto i jego prawników, poproszony o opinię.

- Czy to prawda - Teremon pochylił się w stronę psychologa - że ludzie w tym tunelu umierali w szoku, a władze mimo to pozwalały, aby nadal był otwarty?

- Każdy mnie o to pyta. Owszem, było kilka przypadków śmiertelnych, ale w żaden sposób nie wpłynęły one na popularność przejażdżki. Co więcej, ludzie chcieli podjąć ryzyko. I wielu z nich wychodziło stamtąd obłąkanych. Sam też przejechałem przez Tunel Tajemnic. - Psycholog wzdrygnął się na to wspomnienie. - Teraz jest już nareszcie zamknięty. Ostrzegłem ich, że jeśli tego nie zrobią, staną w obliczu konieczności wybulenia milionów kredytów w procesach o odszkodowanie; powiedziałem, że absurdem było spodziewać się, iż ludzie będą w stanie znieść ciemność o takim stopniu intensywności. Uznali to za logiczne.

- Rzeczywiście mamy nieco neltigiru, proszę pana - przerwał kelner, stawiając kieliszek ciemnozłotego koniaku na stoliku przed Szirinem. - Jest tylko jedna butelka, więc radziłbym pić powoli.

Psycholog pokiwał głową i przechylił kieliszek wypijając niemal połowę, zanim jeszcze kelner odszedł od stolika.

- Proszę pana, powiedziałem...

- Słyszałem, co pan powiedział. - Szirin uśmiechnął się do kelnera. - Następny będę już pił powoli. - Zwrócił się do Bineya. - Podobno gdy przebywałem na północy, w obserwatorium miało miejsce jakieś poruszenie. Liliat mi o tym mówiła, ale nie potrafiła jasno wytłumaczyć, o co chodziło. Wspomniała chyba o jakiejś nowej teorii...

- Właśnie o tym rozmawialiśmy z Teremonem. - Biney wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Nie, żadna nowa teoria. Zakwestionowanie tej już znanej. Dokonywałem pewnych obliczeń związanych z wyznaczeniem orbity Kalgasza i...

Szirin przysłuchiwał się tej historii z coraz większym zdziwieniem.

- Teoria powszechnego ciężenia jest niesłuszna?! - wykrzyknął, gdy Biney był dopiero w połowie. - Na Boiga, człowieku! Czy chcesz przez to powiedzieć, że jeśli odstawię swój kieliszek, to może się on unieść do nieba? Zatem lepiej, bym najpierw wypił do dna! - Tak też zrobił.

Biney wybuchnął śmiechem.

- Teoria wciąż jeszcze obowiązuje. Po prostu próbujemy matematycznie uzasadnić fakt rozbieżności naszych wyników z obowiązującą teorią; a raczej powinienem powiedzieć - Athor próbuje, on bowiem przewodzi pracom, i zdumiewa nas styl, w jakim się za to zabrał.

- O ile się nie mylę, nazywa się to dopasowywaniem danych - dodał Teremon.

- Dla mnie to brzmi podejrzanie - powiedział Szirin. - Nie podobają ci się wnioski, Bineyu, więc szukasz, co by tu zmienić w wynikach obliczeń, czyż nie tak? Żeby tylko wszystko pasowało, nie przebierając w środkach?

- No, niezupełnie...

- Przyznaj się, przyznaj! - Szirin ryczał ze śmiechu. - Kelner! Jeszcze jeden neltigir! I jeszcze jeden Tano Special dlai mojego niemoralnego młodego przyjaciela! Teremonie, mogę ci zaproponować coś do picia?

- Bardzo proszę.

Szirin podjął temat tym samym jowialnym tonem co poprzednio.

- Bineyu, przeżyłem duże rozczarowanie. Dotąd myślałem, że to tylko my, psychologowie, naginamy wyniki do teorii i nazywamy to nauką. Wydaje się to bliższe temu, czego można by się spodziewać po Apostołach Płomieni.

- - Szirin! Przestań!

- Apostołowie też twierdzą, że są naukowcami - wtrącił Teremon.

Biney i Szirin umilkli zaciekawieni.

- W ubiegłym tygodniu, zanim jeszcze zaczął paciać deszcz, przeprowadziłem wywiad z jednym z ich najważniejszych ludzi - ciągnął dziennikarz. - Miałem nadzieję spotkać się z Mondioem, ale w zamian - dostałem jakiegoś Folimuna 66, ich człowieka od kontaktów z prasą, bardzo interesującego, niezwykle bystrego i przekonującego. Przez pół godziny starał się wytłumaczyć mi, że Apostołowie mają wiarygodny dowód na to, że w przyszłym roku dziewiętnastego theptara słońca znikną, a my wszyscy pograżymy się w ciemności, doznając przy tym pomieszania zmysłów.

- Cały świat zamieniony w wielki Tunel Tajemnic, czy o to chodzi? - Szirin znów wybuchnął śmiechem. - Wiecie, nie mamy tylu szpitali psychiatrycznych, aby pomieścić wszystkich ludzi, ani wystarczającej liczby psychiatrów do opieki nad nimi. Poza tym psychiatrzy też zwariują.

- A co, jeszcze nie zwariowali? - spytał Biney.

- Trafna uwaga - stwierdził Szirin.

- Ale nie szaleństwo jest w tym wszystkim najgorsze - mówił dalej Teremon. - Zdaniem Folimuna niebo pokryje się czymś, co Apostołowie nazywają gwiazdami. Będą one miotać płomienie i podpalą świat. My zaś zmienimy się w stada mamroczących do siebie pomyleńców, włączających się po miastach, które będą płonąć na naszych oczach. Na szczęście to jedynie majaki Mondiora.

- A jeśli nie? - Szirin nagle wytrzeźwiał. Jego okrągła twarz wydłużyła się w zadumie. - A jeśli w tym coś jest?

- Co za koszmarny pomysł - jęknął Biney. - Chyba wymaga to kolejnego drinka.

- Jeszcze nie skończyłeś tego, który masz przed sobą - przypomniał młodemu astronomowi Szirin.

- No to co? I tak wymaga to kolejnego drinka. Kelmer! Kelner!

Athor 77 poczuł ogarniające go pulsującymi falami zmęczenie. Dyrektor obserwatorium stracił poczucie czasu. Czy to możliwe, że spędził za biurkiem nieprzerwanie szesnaście godzin? I wczoraj tak samo. I przedwczoraj...

Przynajmniej tak twierdziła Nailda. Przed chwilą właśnie z nią rozmawiał. Twarz jego żony na ekranie była napięta, ściągnięta i bezsprzecznie zmęczona.

- Nie chcesz przyjść do domu odpocząć? Athorze, ślęczysz nad tym całą dobę.

- Naprawdę?

- Wiesz przecież, że nie jesteś już taki młody.

- Nie jest też ze mnie żaden starzec, Naildo. Ta praca jeszcze dodaje mi sił. Po dziesięciu latach przygotowywania sprawozdań z budżetu i czytania prac naukowych innych ludzi wreszcie zabrałem się znowu do prawdziwej roboty. To cudowne uczucie.

Żona zdawała się jeszcze bardziej zakłopotana.

- Ale ty, Athorze, w twoim wieku nie musisz prowadzić badań naukowych. Masz już wyrobioną reputację.

- Czyżby?

- Twoje imię zawsze już będzie sławne w historii astronomii.

- Lub niesławne - powiedział głucho.

- Athorze, nie bardzo rozumiem, co chcesz...

- Naildo, pozwól, że jednak zostanę. Uwierz mi, że nie mam zamiaru zasłać przy biurku. Czuję się młodszy robiąc to, co robię. I jest to praca, którą tylko ja mogę wykonać. Jeśli to brzmi głupio, niech i tak będzie, ale jest absolutnie konieczne, bym...

- Tak, oczywiście - westchnęła. - Tylko nie szarżuj, bardzo proszę.

Czy szarżował? Zastanowił się. Tak, to nie ulegało wątpliwości. Nie miał jednak innego wyjścia. W tych sprawach nie można szczerzyć swego czasu. Trzeba podejść do nich z pełnym zaangażowaniem. Kiedy konstruował teorię powszechnego ciężenia, pracował po szesnaście, osiemnaście, dwadzieścia godzin na dobę przez wiele tygodni, śpiąc tylko wtedy, gdy padał ze zmęczenia. Ucinał sobie krótkie drzemki, budził się gotowy i pełen zapału do pracy, a jego mózg wciąż jeszcze kipiał równaniami, które przed chwilą pozostawił nie dokończone.

Ale miał wtedy jakieś trzydzieści pięć lat. Teraz - prawie siedemdziesiąt. Nie można było zaprzeczyć, wiek dawał się we znaki. Bolała go głowa, czuł suchość w gardle, serce głośno łomotało w piersiach. Pomimo panującego w gabinecie ciepła czuł, że końce jego palców są zimne i drżą ze zmęczenia. Rwało go w kolanach. Każda część jego ciała protestowała przeciwko wysiłkowi, do którego się zmuszał.

„Jeszcze tylko chwilę - przyrzekł sobie - i już pójdę do domu.

Jeszcze tylko chwilę.

Postulat ósmy... ”

- Panie profesorze?

- O co chodzi? - zapytał.

Zmęczenie w jego głosie musiało chyba zmienić to pytanie w opryskliwe burknięcie, ponieważ gdy się obejrzał, zobaczył w drzwiach młodego Imota, wykonującego dziwną serię dzikich skurczów i drgawek, jakby tańczył po rozżarzonych węglach. W oczach studenta pojawiło się przerażenie. To prawda, że Imot zawsze wydawał się onieśmielony w obecności dyrektora obserwatorium - tyczyło się to wszystkich wokół, nie tylko studentów, i Athor był do tego przyzwyczajony. Wzbudzał grozę i dobrze o tym wiedział. Ale to już było ponad miarę. Imot wpatrywał się w niego z nie ukrywanym przerażeniem zmieszonym z czymś, co można by wziąć za wyraz zdziwienia. Wyraźnie walczył ze sobą, by odzyskać głos i wreszcie powiedział ochryple:

- Oto obliczenia, których pan sobie życzył.

- Ach tak, tak. Podaj mi je.

Ręka Athora mocno się trzęsła, gdy wyciągnął ją po przyniesione przez Imota wydruki. Obaj zamarli na ten widok. Długie kościste palce były sine jak u trupa i drżały tak gwałtownie, że nawet Imot, znany ze swych niezwykłych tików nerwowych, nie mógł im dorównać. Athor chciał opanować drżenie, lecz ręka odmówiła mu posłuszeństwa. Równie dobrze mógłby pragnąć, by Onos przemierzył niebo w przeciwnym kierunku. Z wysiłkiem chwycił papiery i cisnął je na biurko.

- Panie profesorze, jeśli mogę coś panu przynieść...

- Masz na myśli lekarstwo? Jak śmiesz sugerować...

- Myślałem jedynie o czymś do jedzenia albo do picia - tłumaczył Imot ledwo słyszalnym szeptem. Wycofał się powoli, jakby w obawie, że Athor nagle ryknie i skoczy mu do gardła.

- Ach, rozumiem. Nie, dziękuję. Czuję się znakomicie. Znakomicie!

- Tak, panie profesorze.

Student wyszedł. Athor przymknął na chwilę oczy, wziął trzy czy cztery głębokie oddechy. Usiłował zachować spokój. Obliczenia, o dokonanie których poprosił Imota, były niemal z pewnością ostatnim potrzebnym mu potwierdzeniem. Teraz pozostało pytanie, czy zdąży wykończyć pracę, zanim ona wykończy jego.

Spojrzał na wyliczenia Imota. Przed nim na biurku świeciły trzy monitory. Na tym po lewej stronie widniała wykreślona płonąca czerwienią orbita Kalgasza, wyliczona tradycyjną metodą

według teorii powszechnego ciężenia. Na monitorze po prawej stronie linia płomiennej żółci przedstawiała orbitę już skorygowaną, którą otrzymał Biney, posługując się w tym celu nowym komputerem uniwersyteckim i najnowszymi obserwacjami obecnej pozycji Kalgasza. Na monitorze środkowym można było zobaczyć obydwie orbity nałożone jedna na drugą. W ciągu ostatnich pięciu dni Athor sformułował siedem różnych postulatów, które mogłyby wyjaśnić przyczyny odchylenia orbity teoretycznej od obserwowanej i teraz był w stanie jednym naciśnięciem klawisza przywołać każdy z tych siedmiu postulatów na monitorze środkowym.

Problem tkwił jednak w tym, że żaden z owych siedmiu postulatów nie miał najmniejszego sensu i Athor o tym wiedział. W każdym błąd krył się już u podstaw - we wstępnym założeniu tak sformułowanym, aby pozostawało w zgodzie z wynikami obliczeń. Niczego nie można było udowodnić, niczego potwierdzić. Jakby przypuszczał, że w każdym przypadku, na pewnym etapie rozumowania, po prostu wkroczy nagle jakaś dobra wróżka i czarami tak dopasuje siły oddziaływania grawitacyjnego, że powód odchylenia od razu stanie się oczywisty. Tego właśnie Athor szukał. Niestety, musiałaby to być prawdziwa wróżka.

Zatem postulat ósmy...

Zaczął wprowadzać do komputera obliczenia Imota. Drżące palce nie chciały go słuchać i kilkakrotnie popełniał błąd; jego umysł był jednak wciąż sprawny i sygnalizował natychmiast, że został wciśnięty zły klawisz. Za każdym razem wracał i korygował pomyłkę. Z nadmiernego wysiłku zdarzyło mu się dwukrotnie stracić na moment przytomność. Zmuszał się jednak, by kontynuować pracę.

„Jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który może tego dokonać - powtarzał sobie. - Musisz wytrzymać”.

Wydawało się to głupie, egocentryczne i trochę szalone. Bardzo możliwe, że mijało się nawet z prawdą, ale, w tym stanie wyczerpania, nie potrafił przyjąć innego założenia nad to, iż jest niezastąpiony. W jego i tylko w jego głowie spoczywały wszystkie zasadnicze koncepcje, zmuszał się więc, by iść naprzód tak długo, aż dotrze do ostatniego ogniwa w łańcuchu. Tak długo, aż...

Już.

Ostatnie obliczenia Imota zostały wprowadzone do komputera.

Athor nacisnął klawisz, w wyniku czego na środkowym monitorze pojawiło się złożenie obu orbit, po czym nacisnął inny klawisz i ten nowy wynik został porównany z istniejącymi już modelami.

Lśniąca czerwona elipsa, która stanowiła podstawową orbitę teoretyczną, zachwiała się, zmieniła położenie i nagle zniknęła z ekranu. To samo stało się z żółtą przedstawiającą orbitę obserwowaną. Teraz pozostała już na monitorze tylko jedna linia, głęboki, intensywny oranż. Wynik złożenia dwóch, przystających do siebie z dokładnością do dziesiątych części milimetra, symulowanych orbit.

Athor zaczerpnął powietrza. Przez dłuższą chwilę przyglądał się ekranowi, po czym ponownie zamknął oczy i pochylił głowę nisko na blat biurka. Pomarańczowa elipsa niczym płonąca obręcz paliła go pod powiekami.

Doznał dziwnego uczucia triumfu połączonego z przerażeniem.

Miał już odpowiedź, której szukał; był pewien, że jego hipoteza jest teraz w stanie obronić się nawet podczas najgruntowniejszej analizy. Mimo wszystko teoria powszechnego ciężenia wciąż obowiązywała: epokowej linii rozumowania, której zawdzięczał sławę, nie trzeba już było obalać.

Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że znany mu model systemu słonecznego był w istocie rzeczy

błądny. Ten nie znany czynnik, którego szukali, ów niewidzialny olbrzym, smok na niebie, rzeczywiście istniał. Zdaniem Athora było to wysoce niepokojące, nawet jeśli ocalało jego sławną teorię. Przez wiele lat sądził, że w pełni rozumie rytm niebios, teraz natomiast wydawało mu się oczywiste, że jego wiedza była niepełna, że gdzieś w środku znanego wszechświata istniała wielka niewiadoma, że rzeczywistość nie wyglądała tak, jak zawsze w to wierzył. W jego wieku trudno było się z tym pogodzić.

Po chwili podniósł głowę. Na ekranie monitora nic się nie zmieniło. Wystukał jeszcze kilka pytań kontrolnych i wciąż to samo. Zamiast dwóch widział tylko jedną orbitę.

„Doskonale - powiedział do siebie. - Zatem wszechświat nie jest całkiem taki, jak myślałeś. A skoro tak, czas już, byś zmienił poglądy. Pewne jest bowiem, że nie zmienisz wszechświata”.

- Imot! - zawołał. - Faron! Biney! Chodźcie tutaj wszyscy!

Pierwszy przy drzwiach zjawił się pulchny, niewysoki Faron, za nim sztywny Imot, a potem już cała reszta Wydziału Astronomii - Biney, Tilanda, Klet, Simbron i kilku innych. Stanęli w samym wejściu do jego gabinetu. Athor, widząc wyraz przerażenia na ich twarzach, zrozumiał, że musiał wyglądać strasznie - wymizerowany, z błędnym wzrokiem, siwymi włosami sterczącymi na wszystkie strony, bladą twarzą... Bez wątpienia przypominał starca o krok od zapaści.

Należało najpierw rozwiać ich obawy. Nie był to czas na melodramat. Powiedział spokojnie:

- To prawda, że jestem bardzo zmęczony i dobrze o tym wiem. Być może wyglądam jak jakiś zamorski diabeł, ale mam tu coś godnego uwagi.

- Pomysł na soczewkę grawitacyjną? - podsunął Biney.

- Soczewka grawitacyjna to koncepcja zupełnie nonsensowna - odrzekł Athor lodowatym tonem. - Podobnie z wypalonym słońcem, zagięciem przestrzeni, strefą masy negatywnej i innymi równie fantastycznymi pojęciami, którymi bawiliśmy się przez cały tydzień. To wszystko bardzo ładne pomysły, lecz nie wytrzymują krytycznej analizy. Choć jeden z nich spełnia i ten warunek.

Obserwował, jak słuchacze powoli coraz szerzej otwierają oczy ze zdumienia.

Odwróciwszy się do monitora zaczął ponownie wypisywać dane liczbowe postulatu ósmego. Zmęczenie gdzieś uleciało. Tym razem już nie mylił klawiszy, nie czuł też bólu. Przeniósł się w stan, w którym nie znane jest pojęcie wyczerpania.

- W tym postulacie - powiedział - zakładamy istnienie ciemnego ciała niebieskiego, podobnego do Kalgasza, które umieszczone jest nie na orbicie Onosa, lecz samego Kalgasza. Ma ono znaczną masę, w rzeczywistości dorównuje ona masie Kalgasza, i jest źródłem oddziaływania grawitacyjnego powodującego perturbacje orbity naszej planety, na które zwrócił uwagę Biney.

Athor przycisnął kilka kolejnych klawiszy i na ekranie ukazał się graficzny schemat systemu słonecznego: sześć słońc i Kalgasz wraz z jego postulowanym satelitą.

Odwrócił się, by zobaczyć twarze słuchaczy. Spoglądali po sobie w zakłopotaniu. Mimo że byli co najmniej o połowę młodszy, musieli mieć takie same jak on trudności z rozumową i emocjonalną akceptacją pomysłu, że we wszechświecie znajduje się jeszcze jedno ciało, którego wpływu nie można zaniedbać. A może po prostu uważają go za stetryczałego starca, który mógł przecież się pomylić w obliczeniach.

- Wyliczenia liczbowe, leżące u podstaw postulatu ósmego, są jak najbardziej prawidłowe - rzekł Athor. - Za to ręczę. Postulat ten również wyszedł zwycięsko ze wszystkich przeprowadzonych przeze mnie testów.

Prowokująco patrzył na zebranych, na każdego z nich po kolei, jakby przypominał, że to on -

Athor 77 - dał światu teorię powszechnego ciężenia i że był wciąż w pełni władz umysłowych.

- Dlaczego więc, pana zdaniem, nie zauważyliśmy dotąd tego satelity? - nieśmiało spytał Biney.

- Z dwóch powodów - odpowiedział Athor ze spokojem. - Podobnie jak Kalgasz, to ciało niebieskie nie świeci, błyszczy jedynie światłem odbitym. Załóżmy, że jego powierzchnia w przeważającej części zbudowana jest ze skał o odcieniu błękitnym - możliwość, której, geologicznie rzecz ujmując, nie sposób wykluczyć. Wówczas światło odbite przez to ciało będzie należało do niebieskiej części widma, co przy nieustannym blasku sześciu słońc oraz rozpraszającym działaniu atmosfery Kalgasza sprawi, iż obiekt ten będzie dla nas zupełnie niewidoczny.

- A w dodatku orbita tego satelity jest bardzo wydłużona, prawda, panie profesorze? - odezwał się Faron.

- Właśnie - Athor wcisnął kolejny klawisz. - Przyjrzyjmy się temu bliżej. Jak widzicie, nasz nieznany i niewidzialny satelita krąży wokół nas po bardzo spłaszczonej orbicie eliptycznej, a co za tym idzie, w czasie każdego okrążenia przez wiele lat znajduje się od nas w bardzo dużej odległości. Wprawdzie nie na tyle daleko, aby nie wpływał w zauważalny sposób na naszą orbitę, wystarczająco daleko jednak, aby na co dzień nie można było zobaczyć gołym okiem owej bladej, skalistej bryły, a szansa odkrycia jej nawet przy użyciu teleskopu była równie niewielka. Skoro nie możemy zobaczyć go gołym okiem, trzeba by niesamowitego zbiegu okoliczności, abyśmy odkryli go podczas obserwacji astronomicznych.

- Ale, naturalnie, teraz już możemy zacząć go szukać - powiedziała Tilanda 191, której specjalnością była astrofotografia.

- Tak, oczywiście. - Athor widział, że powoli zaczynają rozumieć i myśleć podobnie jak on. Wszyscy, bez wyjątku. Znał ich na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie ma wśród nich szyderców. - Choć można przypuszczać, że poszukiwania będą trudniejsze, niż się tego spodziewacie. To jakby szukać igły w stogu siana, ale mogę was zapewnić, że praca ta nie pójdzie na marne.

- Jedno pytanie, panie profesorze - powiedział Biney.

- Słucham.

- Powiedzmy, że orbita jest tak wydłużona, jak zakłada to pańska teoria, a więc nasz satelita - nazwijmy go tymczasowo Kalgasz Dwa - przez znaczną część swego okresu obiegu znajduje się od nas w olbrzymiej odległości. Jeśli tak jest w istocie, to przy innym położeniu na orbicie powinien się znaleźć bardzo blisko nas. Nawet jeżeli satelita krążyłby po orbicie niemal idealnie kołowej, jego odległość od ciała centralnego ulegałaby drobnym wahaniom, natomiast w przypadku gdy ta orbita ma kształt wielkiej i bardzo spłaszczonej elipsy, owa różnica między największą i najmniejszą odległością od ciała macierzystego musi być ogromna.

- Tak, to byłoby logiczne - zgodził się Athor.

- Zatem, panie profesorze - kontynuował Biney - jeśli założymy dalej, iż Kalgasz Dwa przez cały okres istnienia współczesnej nauki astronomicznej był tak od nas oddalony, że jesteśmy w stanie wykryć jego obecność jedynie metodami pośrednimi, mierząc jego wpływ na orbitę naszej planety; czy więc nie zgodziłby się pan, że prawdopodobnie teraz właśnie następuje powrót z najdalszego położenia? Że obecnie musi się do nas zbliżać?

- Jedno niekoniecznie wynika z drugiego - wtrącił Imot, machając bezładnie ramionami. - W tej chwili nie mamy żadnego pojęcia ani w którym miejscu swej orbitalnej wędrówki się znajduje, ani jak długo trwa jego pełny obieg wokół Kalgasza. Okres obiegu może równie dobrze liczyć sobie dziesięć tysięcy lat i możliwe, że Kalgasz Dwa, po ostatnim zbliżeniu w czasach prehistorycznych,

czego nikt już nie pamięta, wciąż jeszcze się od nas oddala.

- To prawda - przyznał Biney. - Rzeczywiście, nie potrafimy powiedzieć, czy się do nas zbliża, czy oddala. W każdym razie nie w tej chwili.

- Ale musimy spróbować go zobaczyć - powiedział Faron. - Tilanda ma rację. Choćby nawet wszystkie wyliczenia się zgadzały, trzeba spróbować odszukać Kalgasza Dwa metodą obserwacji. Gdy już go znajdziemy, możemy zacząć obliczać jego orbitę.

- Chyba uda się wyliczyć parametry jego orbity na podstawie perturbacji, jakie wywołuje w ruchu Kalgasza - odezwał się Klet, najlepszy matematyk na wydziale.

- Zgadzam się - wtrąciła Simbron, kosmograf. - Moglibyśmy wywnioskować, czy się zbliża, czy oddala od nas. Bogowie! A jeśli właśnie kieruje się ku nam? Cóż by to było za zdumiewające zjawisko! Spowita mrokiem planeta, przecinająca w poprzek niebo - przelatująca między nami i promienistymi kulami słońc! Może nawet na parę godzin zakryłaby światło jednego z nich!

- Niezwykłe zjawisko - zadumał się Biney. - Należałoby to chyba nazwać zaćmieniem. Chodzi mi o efekt wizualny, który pojawia się w chwili, gdy pewien obiekt dostaje się pomiędzy obserwatora i rzecz, na którą on patrzy. Czy to jednak możliwe? Słońca są przecież ogromne - jakże więc Kalgasz Dwa mógłby ukryć przed naszym wzrokiem jedno z nich?

- Byłoby to zupełnie możliwe, gdyby zbliżył się do nas wystarczająco blisko - powiedział Faron. - Mogę sobie wyobrazić sytuację, w której...

- Oczywiście, czemu by nie rozpatrzeć wszystkich możliwych scenariuszy? - Athor przerwał studentowi tak obcesowo, że wszyscy obecni skierowali na niego wzrok. - Bawcie się tym pomysłem. Roztrząsajcie go na wszystkie sposoby i zobaczcie, co z tego wyniknie.

Nagle poczuł, że nie może zostać tu ani chwili dłużej. Musiał natychmiast wyjść.

Ożywienie, które odczuwał od momentu, gdy udało mu się dopasować ostatni element łamigłówek, pierchło gdzieś. Ogarnęło go straszliwe, nieludzkie zmęczenie, jakby miał co najmniej tysiąc lat. Ręce mu drżały od ramion aż po czubki palców, plecy przeszywał nieznośny ból. Teraz już wiedział, że przekroczył granice wytrzymałości. Najwyższy czas, by młodszy naukowcy wyręczyli go w tym przedsięwzięciu.

Wstając z fotela stojącego naprzeciw monitorów, wykonał jeden niepewny, chwiejny krok w kierunku środka pokoju, zebrał wszystkie siły, by nie upaść, i powoli, dostojnie przeszedł obok pracowników obserwatorium.

- Idę do domu - powiedział. - Powiniennem się trochę przespać.

Czy mam rozumieć, Siferro, że ogień strawił tę osadę dziewięć razy z rzędu? - spytał Biney. - I za każdym razem została odbudowana?

- Zdaniem Balika, mojego kolegi, tych osad, ułożonych jedna na drugiej, tworzących razem wzgórze Tombo, jest tylko siedem - odpowiedziała archeolog. - Właściwie może mieć rację. Na najniższych pokładach wszystko jest dokładnie wymieszane. Nieważne jednak, ile dokładnie ich jest - siedem czy dziewięć - nie zmienia to bowiem generalnej zasady. Proszę bardzo, spójrz na te wykresy. Sporządziłam je na podstawie moich notatek z prac wykopaliskowych. Oczywiście, zrobiliśmy tylko wykop przygotowawczy, szybkie cięcie przez całe wzgórze, przyszłej ekspedycji zostawiając badanie drobiazgowo. Odkryliśmy to wzgórze za późno, żeby zrobić coś więcej, ale te szkice z pewnością dadzą ci jakieś wyobrażenie. Czy ten temat cię nie nudzi? Jesteś naprawdę zainteresowany?

- To dla mnie absolutnie fascynujące. Czy sądzisz, że jestem aż tak zajęty astronomią, że nie

zwracam uwagi na inne dyscypliny? Poza tym archeologia i astronomia czasami idą ze sobą w parze. O ruchach słońca na nieboskłonie dowiedzieliśmy się przecież badając starożytne pomniki astronomiczne, które wy właśnie odkopujecie tu i ówdzie na całym świecie. Niech się temu przyjrzy z bliska.

Siferra zaprosiła go do siebie, chcąc przedyskutować problem, który - jak powiedziała - niespodziewanie pojawił się w toku jej badań. Biney był zaintrygowany, ponieważ nie potrafił zrazu zrozumieć, w jaki sposób astronom może pomóc w pracy archeologowi, pomijając to, co właśnie powiedział o archeologii i astronomii, zazębiających się niekiedy ze sobą. Zawsze jednak cieszył się na każdą okazję spotkania Siferry.

Poznali się pięć lat temu, gdy działali razem w międzywydziałowej komisji, która opracowywała plan rozwoju biblioteki uniwersyteckiej. Mimo że od tamtej pory Siferra większość czasu spędzała za granicą prowadząc wykopaliska, to kiedy była w kraju, spotykali się od czasu do czasu na obiedzie. Biney uważał, że jest inspirująca, mądra, błyskotliwa i w pewien ożywczy sposób szorstka. Co ona w nim widziała - nie miał pojęcia; być może inteligentnego partnera do rozmowy, który nie wdawał się we współzawodnictwo i intrygi, zatruwające życie na Wydziale Archeologii. Ponadto w sposób oczywisty jej nie pożądał.

Siferra rozwinęła ogromne arkusze cienkiego, przypominającego pergamin papieru, na których widniały, narysowane ołówkiem, wielkie diagramy. Obydwoje nachylił się nad nimi.

Biney mówił prawdę, archeologia go fascynowała. Będąc jeszcze chłopcem uwielbiał czytać książki wielkich badaczy starożytności, takich jak Marpin, Szelbik i oczywiście Galdo 221. Uważał wtedy odległą przeszłość za niemal równie ciekawy temat do rozważań co odległe przestrzenie w kosmosie.

Raissa nie była zachwycona tą jego przyjaźnią z Siferra. Z pewną dozą gniewu kilkakrotnie dawała mu do zrozumienia, że to raczej sama Siferra była obiektem jego fascynacji, a nie dziedzina jej badań. Biney uważał zazdrość Raissy za zupełny absurd. Oczywiście Siferra była kobietą atrakcyjną - byłoby fałszem udawać, że tak nie jest - lecz była jednocześnie nieugięte chłodna uczuciowo i każdy mężczyzna na uniwersytecie o tym wiedział. Poza tym była od Bineya o blisko dziesięć lat starsza. Mimo jej urody Biney nigdy nie miał względem niej żadnych intymnych zamiarów.

- Na początek mamy tu przekrój całego wzgórza - powiedziała Siferra. - Dla każdego zamieszkanego poziomu sporządziłam tutaj osobny szkic. Najmłodsza osada znajduje się, rzecz jasna, na samym szczycie. Są tam ogromne kamienne ściany - w architekturze nazywa się to stylem cyklopowym - które wydają się typowe dla kultury Beklimotu w fazie jej pełnego rozwoju. Ta linia tutaj, na poziomie ścian cyklopowych, stanowi pas pozostałości węgla drzewnego - pas wystarczająco rozległy, by świadczył o wielkim pożarze, który prawdopodobnie strawił całe miasto do szczytu. A tutaj, poniżej poziomu cyklopowego i linii ognia, znajduje się następna wiekiem osada.

- Która zbudowana została w innym stylu.

- Właśnie. Widzisz, w jaki sposób narysowałam te kamienie ze ścian? Jest to przykład tak zwanego stylu kreskowego, charakterystycznego dla wczesnej kultury Beklimotu lub też kultury, która się w Beklimocie rozwinęła. Obydwa te style można spotkać w ruinach z ery Beklimotu, otaczających wzgórze Tombo. Ruiny główne są pochodzenia cyklopowego, tu i ówdzie można też znaleźć kilka odkrywek ze śladami kreskowania, zwanych proto-Beklimotem. A teraz, proszę, popatrz tutaj, na granicę osady kreskowania ze znajdującymi się powyżej ruinami cyklopowymi.

- Kolejna linia ognia? - spytał Biney.

- Otóż to, kolejna linia ognia. Poziomy siedlisk ludzkich i węgla drzewnego ułożone są tak, jak w dobrym przekładańcu - poziom siedliska ludzkiego, poziom ognia, następny poziom siedliska, następny poziom ognia. Pozwól mi zatem teraz powiedzieć, jak do tego doszło. Otóż za czasów ludów stosujących styl kreskowania miał miejsce mszczący ogień, który ogarnął znaczną część półwyspu Sagikan, zmuszając mieszkańców osady Tombo i innych pobliskich osad do opuszczenia swych domostw. Po pewnym czasie ludzie powrócili i zabrali się do odbudowy, ale zastosowali już zupełnie nowy, bardziej wypracowany styl architektoniczny, który z powodu olbrzymich kamieni, spełniających rolę budulca, nazywamy stylem cyklopowym. Potem jednak przyszedł kolejny ogień i zmiotł cyklopową osadę z powierzchni ziemi. Wówczas tamtejsi mieszkańcy zdecydowali się zaprzestać budowania miast na wzgórzu Tombo i tym razem do odbudowy wybrali inne, znajdujące się w pobliżu siedlisko, które znane jest pod nazwą Beklimot Wielki. Przez długi czas uważaliśmy, że Beklimot Wielki był pierwszym w historii ludzkości prawdziwym miastem, które powstało z rozrzuconych wokół niego mniejszych osad kreskowych okresu protobeklimockiego. Tombo mówi nam zatem, że przed Beklimotem Wielkim istniało w tej okolicy co najmniej jedno ważne miasto cyklopowe.

- A siedlisko Beklimotu Wielkiego nie wykazuje żadnych śladów zniszczenia ogniem? - zapytał Biney.

- Nie. Zatem nie było go jeszcze w chwili, gdy spłonęło miasto na szczycie Tombo. W końcu cała kultura Beklimotu upadła i opuszczono sam Beklimot Wielki, ale z innych przyczyn, związanych ze zmianami klimatycznymi. Ogień nie miał z tym nic wspólnego. Zdarzyło się to prawdopodobnie tysiąc lat temu. Wydaje się jednak, że ogień, który zniszczył najwyżej położoną osadę Tombo, musiał być tam znacznie wcześniej. O kolejny tysiąc lat wstecz. Badania izotopu C w próbkach węgla drzewnego, kiedy już je otrzymamy z laboratorium, z pewnością dadzą nam bardziej konkretne dane chronologiczne.

- A ile lat liczy sobie osada kreskowa?

- Zgodnie z powszechnie przyjętym w archeologii przeświadczeniem znalezione gdzieś na półwyspie Sagikan budowle kreskowe są jedynie o kilka pokoleń starsze od siedliska w Beklimocie Wielkim. Jednak po odkopaniu Tombo zmieniłam na ten temat zdanie. Według mnie osada kreskowa, znajdująca się na tym wzgórzu, jest o dwa tysiące lat starsza od leżących nad nią budynków cyklopowych.

- Dwa tysiące...? I mówisz, że istnieją pod nią jeszcze inne osady?

- Spójrz na wykres. Oto numer trzy - typ architektury nigdy dotychczas nie widzianej, zupełnie innej od stylu kreskowego. Potem kolejna linia ognia. Osada numer cztery. I znów linia ognia. Numer pięć. Kolejna linia ognia. Dalej numery sześć, siedem, osiem, dziewięć - albo też tylko numery sześć i siedem, jeśli obserwacje Balika są prawidłowe.

- I każda z osad została zniszczona przez wielki pożar! - wykrzyknął Biney. - Nadzwyczajne! Nieubłagany cykl zniszczenia powracającego na to miejsce raz za razem.

- Nadzwyczajne jest to - powiedziała Siferra tonem dziwnie ponurym - że każda z tych spalonych osad istniała w przybliżeniu tyle samo czasu co inne. Warstwy osadnictwa są zadziwiająco podobne do siebie pod względem grubości. Oczywiście, wciąż czekamy na wyniki analizy laboratoryjnej, ale nie sądzę, bym się mogła pomylić. Zresztą obliczenia Balika są podobne do moich. Jeśli zatem nie jesteśmy w błędzie, patrząc na wzgórze Tombo przyglądamy się minimum czternastu tysiącom lat

prehistorii. I co jakiś czas, w okresie tych czterestu tysięcy lat, ogromne fale ognia przewalały się przez to wzgórze z niezwykle regularnością - taki pożar miał miejsce niemal dokładnie co dwa tysiące lat!

- Co takiego?!

Bineyowi przeszedł dreszcz po plecach. Umysł astronoma zaczął wysnuwać różnego rodzaju nieprawdopodobne i niepokojące wnioski.

- Poczekaj - powiedziała Siferra. - Jest jeszcze coś. Otworzyła szufladę i wyjęła z nich plik połyskujących zdjęć.

- Są to zdjęcia tabliczek z Tombo. Oryginały zabrał profesor Mudrin 505, paleograf. Próbuje je odcyfrować. Wykonane są z wypalanej gliny. Te trzy znaleźliśmy na poziomie trzecim, a te na piątym. Zapisane są niezwykle prymitywnym pismem, inskrypcje na tych wcześniejszych są tak stare, że nawet Mudrin nie jest w stanie ich ugryźć. Potrafił już jednak wstępnie odcyfrować kilkadziesiąt słów z tabliczek poziomu trzeciego, które napisane są we wcześniejszej formie pisma beklimockiego. Na tym etapie może on jedynie powiedzieć, że stanowią zapis zniszczenia miasta przez ogień - dzieło gniewnych bogów, którzy od czasu do czasu uważają za konieczne ukarać ludzkość za jej nikczemność.

- Od czasu do czasu?!

- Właśnie tak. Czy czegoś ci to nie przypomina?

- Apostołowie Płomieni! Na Boga, Siferro, coś ty znalazła?

- Zadaję sobie to pytanie od momentu, gdy Mudrin przyniósł mi pierwsze fragmentaryczne transkrypcje. - Siferra odwróciła się i Biney po raz pierwszy zobaczył jej nieprzytomne oczy, napiętą i ściągniętą twarz. Wyglądała niemal jak obłąkana. - Czy rozumiesz teraz, dlaczego poprosiłam cię, żebyś tu przyszedł? Nie mogę o tym rozmawiać z nikim z wydziału. Nie wiem, co robić. Jeśli coś z tego wyjdzie na jaw, Mondior 71 i zgraja jego pomyślników od razu ogłosi, że oto odkryłam niezbity dowód archeologiczny na trafność ich szalonych teorii.

- Tak sądzisz?

- A jakże inaczej? - Siferra wskazała na szkice. - Oto dowód na niszczącą działalność ognia powtarzającą się, z grubsza biorąc, w dwutysiącletnich odstępach przez wiele tysięcy lat. I do tego te tabliczki... wygląda na to, że są prehistoryczną wersją Księgi Objawień. Wszystko razem stanowi jeśli nie ostateczne potwierdzenie tyrad Apostołów, to przynajmniej namacalną, racjonalną podbudowę dla ich całej mitologii.

- Powtarzające się pożary na terenie pojedynczego siedliska nie muszą jeszcze oznaczać, że miało miejsce ogólnoświatowe spustoszenie - zaproponował Biney.

- Niepokoi mnie ta cykliczność. Jest zbyt regularna i zbyt bliska temu, o czym mówi Mondior. Przeglądałam tę Księgę Objawień. Czy wiedziałeś, że półwysep Sagikan to dla Apostołów miejsce święte? Uświęcona kraina, na której - jak twierdzą - kiedyś bogowie ukazywali się swemu ludowi. Dlatego też zgodnie z rozumem - słyszysz, zgodnie z rozumem! - powtórzyła Siferra gorzko się uśmiechając - bogowie zachowali Sagikan, by ostrzec ludzkość przed zagładą, która nadejdzie, jeśli w porę nie zaniechamy swych występków.

Biney patrzył na nią oszołomiony.

Tak naprawdę niewiele wiedział o Apostołach i głoszonych przez nich naukach. Nigdy nie interesowały go tego rodzaju patologiczne fantazje, był też zbyt zajęty własną pracą naukową, by zważać na niepoważne, apokaliptyczne przepowiednie Mondiora.

Teraz jednak przypomniał sobie rozmowę, którą przeprowadził przed kilku tygodniami z Teremonem w klubie Sześć Słońc. "...Nie będzie to pierwszy przypadek zagłady świata... bogowie celowo stworzyli ludzi niedoskonałymi i dali nam jeden rok - jeden z ich boskich lat, a nie naszych mierzonych ludzką miarą - w którym mamy się poprawić. Jest to Rok Łaski i liczy sobie dokładnie dwa tysiące czterdzieści dziewięć naszych ludzkich lat".

Nie. Nie. Nie. To głupota! Czcze gadanie! Szaleństwo!

I jeszcze: "Za każdym razem, gdy Rok Łaski dobiegał końca, bogowie stwierdzali, że wciąż jesteśmy występni i grzeszni, niszczyli więc świat, zsyłając płomienie... Tak w każdym razie twierdzą Apostołowie".

Nie! Nie!

- Biney? - Siferra patrzyła na niego z niepokojem. - Czy dobrze się czujesz?

- Tylko się zastanawiam - odpowiedział. - Na Ciemność, to prawda! Dałabyś Apostołom ostateczny dowód!

- Niekoniecznie. Ludzie trzeźwo myślący nadal mogliby podważać pomysły Mondiora. Zniszczenie Tombo przez ogień - nawet powtarzające się zniszczenie Tombo, następujące z niezaprzeczalną regularnością co blisko dwa tysiące lat - nie jest jeszcze żadnym dowodem, że ten ogień dokonał zniszczenia całego świata lub też że nieuchronne jest ponowne jego przyjście. Dlaczego by przeszłość miała koniecznie powtórzyć się w przyszłości? Ludzie trzeźwo myślący stanowią jednak wśród ogółu mniejszość, to oczywiste. Pozostali uwierzą odpowiednio podanej przez Mondiora interpretacji moich odkryć i natychmiast wpadną w panikę. Na pewno słyszałeś, że, zdaniem Apostołów, kolejny wielki, ogólnoswiatowy pożar dotknie nas w przyszłym roku?

- Tak - rzekł ochryple Biney. - Wiem od Teremona, że wskazali już nawet konkretny dzień. Ten cykl liczy sobie dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat i obecny rok jest dwa tysiące czterdziestym ósmym, zatem za jakieś jedenaście czy dwanaście miesięcy, gdyby wierzyć Mondiorowi, niebo pokryje się czernią i zstąpi na nas ogień. Ma to chyba być dziewiętnastego theptara.

- Teremon? Ten dziennikarz?

- Tak. To mój przyjaciel. Interesuje się Apostołami i przeprowadza od pewnego czasu wywiady z jednym z ich najwyższych kapłanów czy kimś takim. Teremon powiedział mi...

Nagle Siferra złapała Bineya za ramię i zacisnęła palce z niezwykłą siłą.

- Bineyu, musisz mi obiecać, że nie wspomnisz mu o tym ani słowem!

- Teremonowi? Oczywiście, że nie! Twoje odkrycia nie zostały przecież jeszcze opublikowane. Nie byłbym wobec ciebie w porządku, gdybym komukolwiek o tym mówił! Ale bez wątplenia jest to człowiek o nieposzlakowanej uczciwości.

Jej żelazny chwyt nieco się rozluźnił.

- Czasami różne rzeczy mówi się między przyjaciółmi nieoficjalnie, Bineyu, ale pamiętaj, nie ma żadnego "nieoficjalnie", gdy rozmawiasz z kimś takim jak Teremon. Jeśli będzie widział powód, by zrobić z tych informacji użytek, wykorzysta je bez względu na wszystko, co ci przyrzekł. Choćby ci się wydawał nie wiem jak uczciwy.

- Być może...

- Uwierz mi! I gdyby Teremon dowiedział się, co odkryłam, idę o zakład, że w dzień później przeczytałbyś o tym w "Kronice Saro". W sensie zawodowym byłabym skończona. Mówiono by o mnie jako o naukowcu, który dostarczył Apostołom dowodów dla ich absurdalnych twierdzeń. Apostołowie budzą we mnie odrazę. Nie mam zamiaru służyć im żadną pomocą ani wsparciem, a już

z pewnością nie chcę, aby myślano, że stoję publicznie w obronie ich obłąkanych pomysłów.

- Nie martw się - powiedział Biney. - Nie pisnę ani słowa.

- Mam nadzieję. Jak już mówiłam, byłabym skończona. Wróciłam na uniwersytet po nowe fundusze na badania. Już teraz moje znaleziska z Tombo są powodem kontrowersji na wydziale, ponieważ kwestionują utartą opinię o Beklimocie jako najstarszym centrum miejskim. Ale jeśli na domiar złego Teremon w jakiś sposób zwiąże moje nazwisko z Apostołami Płomieni...

Biney prawie nie słuchał. Rozumiał sytuację Siferry i oczywiście nie mógł działać na jej szkodę. Teremon nie usłyszy z jego ust niczego, co miałoby jakikolwiek związek z jej badaniami.

Jego myśli podążyły jednak ku innym, bardziej kłopotliwym sprawom. Wciąż powracały w jego pamięci fragmenty rozmowy z Teremonem na temat nauk Apostołów.

„...Za jakieś czternaście miesięcy wszystkie słońca znikną...

...gwiazdy wystrzelą płomienie z czarnego nieba...

...dokładną datę katastrofy można wyliczyć naukowo...

...czarne niebo...

...wszystkie słońca znikną... ”

- Ciemność! - wymamrotał Biney chrapliwie. - Czy to możliwe?

Siferra wciąż jeszcze mówiła. Swym wybuchem przerwał jej w pół zdania.

- Biney, ty mnie wcale nie słuchasz!

- Co? Ależ słucham! Właśnie mówiłaś, że nie powinienem Teremonowi nic o tym wspominać, ponieważ zaszkodziłoby to twojej reputacji i... i... Siferro, czy moglibyśmy dokończyć tę dyskusję kiedy indziej? Dziś wieczorem albo jutro po południu? Kiedy tylko ci odpowiada. W tej chwili muszę pójść do obserwatorium.

- Nie zatrzymuję cię zatem - odparła chłodno.

- Proszę, nie zrozum mnie źle. To, co od ciebie usłyszałem, wydaje mi się niezmiernie interesujące i ważne, choć nie potrafię jeszcze ocenić na ile. Ale muszę coś sprawdzić. Coś, co ma bezpośredni związek z naszą dyskusją.

Siferra przyjrzała mu się uważnie.

- Jesteś cały rozpalony. Masz błędny wzrok. Wydajesz się taki dziwny... Twoje myśli są gdzieś daleko stąd. O co chodzi?

- Później ci powiem - rzucił od progu. - Później! Przyrzekam.

O tej porze obserwatorium już właściwie opustoszało. Zostali tylko Faron i Tilanda. Na szczęście nigdzie nie widać było Athora 77. ”To dobrze - pomyślał Biney. - Staruszek był wystarczająco wyczerpany opracowaniem idei Kalgasza Dwa. Niepotrzebny mu kolejny stres”.

Wspaniale się złożyło, że zostali właśnie Faron i Tilanda. Faron miał umysł bystry i niczym nie skrępowany, dokładnie taki, jakiego teraz Biney potrzebował. Z kolei Tilanda, która spędziła wiele lat przy teleskopie i aparacie fotograficznym, badając przestrzeń kosmiczną, być może będzie umiała dostarczyć niezbędnych Biney owi materiałów.

- Przez cały dzień zajmuję się wyłącznie wywoływaniem klisz - odezwała się Tilanda usłyszawszy Bineya. - Nic z tego. Daję głowę, że nie ma na niebie nic poza sześcioma słońcami. Czy nie wydaje ci się, że ten wielki człowiek w końcu oszalał?

- Moim zdaniem jego umysł jest równie wnikliwy, jak był dotychczas.

- Ale te zdjęcia... Od kilku dni obserwuję wybiórczo każdy kwadrat nieba. Program obejmuje dosłownie wszystko. Zwolnić przesłone, obniżyć o kilka stopni, zwolnić przesłone, obniżyć, zwolnić.

I tak bez przerwy. Człowiek systematycznie przeczesuje wszechświat i sam zobacz, co dostają w zamian - plik zdjęć zrobionych absolutnej pustce!

- Tilando, skoro nieznaną satelitę jest niewidzialny, nie można go zobaczyć. Logiczne, prawda?

- Możliwe, że jest niewidzialny dla oka. Ale aparat fotograficzny powinien...

- To na razie nieważne. Potrzebuję twojej pomocy przy sprawach czysto teoretycznych, związanych z nową teorią Athora.

- Jeśli jednak nieznaną satelitę to nic więcej jak pobożne życzenie...

- Może się zdarzyć, że pobożne życzenie się zmaterializuje - uciał Biney. - I z pewnością nie będzie nam przyjemnie, gdy nagle zwali się nam na głowę. Pomożesz mi czy nie?

- No...

- Wspaniale. Chcę, żebyś przygotowała symulacje komputerowe dla ruchów sześciu słońc w okresie ostatnich czterdziestu dwóch wieków.

- Czterech tysięcy dwustu lat? - Tilanda spojrzała z niedowierzaniem. - Czy dobrze zrozumiałam?

- Wiem, że nie dysponujesz aż tak dawnymi rejestrami ruchów słońc, ale nieprzypadkowo powiedziałem o symulacjach komputerowych. Masz wiarygodne dane z ostatnich stu lat.

- Nawet starsze.

- Tym lepiej. Zbierz je i przedstaw ich symulację w czasie, zarówno wstecz, jak i wprzód. Niech komputer powie ci, jaki był układ sześciu słońc każdego dnia przez ostatnie dwadzieścia jeden wieków, i jaki będzie przez następne dwadzieścia jeden. Jeśli sama nie potrafisz, jestem pewien, że Faron z przyjemnością pomoże ci napisać ten program.

- Jakoś sobie poradzę - lodowatym głosem odrzekła Tilanda. - Może jednak raczysz mi powiedzieć, o co tu właściwie chodzi? Rozkręcamy interes z kalendarzami astronomicznymi? Nawet one dotychczas poprzestawały na zaledwie kilku latach danych słonecznych. Więc co ty kombinujesz?

- Później ci powiem - rzucił Biney. - Obiecuję.

Gdy odchodził od jej biurka, była jeszcze pełna gniewu. Przeszedł przez obserwatorium do gabinetu dyrektora, gdzie zajął miejsce przy trzech komputerach, na których Athor sporządzał uprzednio obliczenia do teorii Kalgasza Dwa. Przez dłuższą chwilę przypatrywał się w zadumie środkowemu monitorowi, który przedstawiał orbitę Kalgasza zakłóconą wpływem hipotetycznego Kalgasza Dwa.

Dotknął klawisza i na monitorze ukazała się intensywnie zielona linia, przewidywana orbita Kalgasza Dwa. Ogromna, wydłużona elipsa nałożyła się na mniejszą i zbliżoną do okręgu orbitę Kalgasza. Przyglądał się jej przez moment, po czym uderzył w klawisze, by przywołać na ekran sześć słońc. Patrzył na nie w zamyśleniu przez blisko godzinę, próbując ułożyć je w różnych konfiguracjach - Onos z Tano i SJithą, to znów Onos z Treyem i Patru, Onos i Dovim z Treyem i Patru, Dovim z Treyem i Patru, Dovim z Tano i Sithą, Patru i Trey osobno...

To oczywiście ustawienia typowe.

A co z nietypowymi?

Tano i Sitha osobno? Nie, to wykluczone. Związek między pozycją na niebie systemu podwójnych słońc a położeniem Niższych słońc był taki, że na tej półkuli Tano i Sitha nigdy nie mogły ukazać się na niebie, jeśli jednocześnie był widoczny Onos lub Dovim lub oba te słońca razem. "Może setki czy tysiące lat temu było to realne - pomyślał z powątpiewaniem. - Z pewnością jednak nie teraz".

Trey z Patru i Tano z Sitha?

Też nie. Te dwie grupy podwójnych słońc znajdowały się po przeciwnych stronach Kalgasza; za każdym razem, gdy na niebie była jedna para, druga zazwyczaj pozostawała niewidoczna. Czasami udawało się jednak pojawić wszystkim czterem, ale gdy takie koniunkcje miały miejsce, zawsze Onos był na niebie. To słynne dnu pięciu słońc, które na przeciwnej półkuli tworzyły równie charakterystyczne dni Dovima. Ale działo się tak tylko raz na kilka lat.

Trey bez Patru? Tano bez Sithy?

Technicznie możliwe. Gdy jedna z tych par podwójnych słońc znajdowała się w pobliżu widnokregu, przez krótki czas jedno słońce przebywało powyżej horyzontu, a drugie poniżej. Jednak nie stanowiło to w układzie słońc wydarzenia znaczącego, a jedynie przejściowe odchylenie. Podwójne słońca trzymały się nadal razem, choć chwilowo rozdzielała je linia widnokregu.

Wszystkie sześć słońc jednocześnie?

Wykluczone!

Więcej - nie do pomyślenia!

A jednak przyszło mu to do głowy. Biney wzdrygnął się na samą myśl. Jeśli wszystkie sześć słońc znajdowałyby się jednocześnie na firmamencie, wówczas jakiś rejon drugiej półkuli zostałby całkowicie pozbawiony światła słonecznego. Ciemność! Ciemność! Ale ciemności zupełnie na Kalgaszu nie znano, istniała wyłącznie jako pojęcie abstrakcyjne. Absolutnie nie mogło być mowy o tym, żeby sześć słońc kiedykolwiek zeszło się razem i znaczna część świata pogrzyła się w bezświetlnej otchłani. Czy rzeczywiście nie mogło?

A może jednak?

Biney rozważał teraz i tę straszliwą możliwość. Wydawało mu się, że ponownie słyszy niski głos Teremona, wyjaśniającego mu teorie Apostołów: „...wszystkie słońca znikną...

...gwiazdy wystrzelą płomienie z czarnego nieba...”

Pokiwał głową. Cała jego wiedza o ruchach słońc na niebie buntowała się na myśl o tym, by po jednej stronie Kalgasza miało się zebrać wszystkie sześć słońc.; jednocześnie. Niemożliwe, graniczyłoby to z cudem. A Biney w cuda nie wierzył. Przy obecnym układzie słońc zawsze musiało się znaleźć jedno lub dwa, które o dowolnej porze oświetlałyby każdą część Kalgasza.

Zatem hipoteza z sześcioma słońcami z jednej i ciemnością z drugiej strony upadła.

Co pozostało?

Samotny Dovim. Małe czerwone słońce, zupełnie samo na niebie.

To się już zdarzało, choć niezbyt często. Podczas tych sporadycznych dni pięciu słońc, kiedy to Tano, Sitha, Trey, Patru i Onos łączyły się ze sobą na tej samej półkuli, wtedy po drugiej stronie świata pozostawał tylko Dovim. Biney zastanawiał się, czy czasem nie był to moment, w którym następowała Ciemność.

Czy samotny Dovim mógł promieniować na tyle słabo, że jego chłodną czerwono-fioletową poświatę można było mylnie wziąć za Ciemność?

Nie miało to jednak żadnego sensu. Nawet mały Dovim powinien zapewniać wystarczająco dużo światła, by uchronić ludzi przed lękiem. W dodatku dni z samotnym Dovimem na niebie zdarzały się w różnych częściach świata raz na kilka lat. Były to zjawiska niecodzienne, ale w żadnym przypadku nie aż takie nadzwyczajne. Jeśli widok jedyne na niebie, małego i mrocznego źródła światła powodowałby u ludzi wielki wstrząs psychiczny, na pewno wszyscy ze zgrozą oczekiwali by kolejnego przyjscia samotnego Dovima, co jak pamiętał, miało nastąpić za około dwanaście miesięcy. W rzeczywistości nikt nie zaprzętał sobie tym głowy.

Lecz jeśli Dovim byłby sam na niebie i coś by się stało, coś niezwykłego, co mogłoby przesłonić i tak już słabe światło...

Obok jego fotela stanęła Tilanda.

- W porządku - powiedziała szorstko - mam już te twoje symulacje systemu słonecznego. Cztery tysiące dwieście i nieskończenie więcej lat wstecz. Faron pomógł mi dokonać odpowiednich obliczeń i ułożyliśmy program, który na twoje życzenie może kontynuować symulacje, zarówno idąc do przodu, jak i cofając się w czasie.

- Doskonale. Wrzuć to teraz na mój komputer, dobrze? Faronie, chciałbym, żebyś tu podszedł.

Krępy, niski student stanął obok. W jego ciemnych oczach płonęła ciekawość. Bardzo chciał wiedzieć, czym się teraz Biney zajmuje, ale przestrzegał etykiety panującej na wydziale, więc nie odezwał się ani słowem czekając, co powie stojący wyżej w hierarchii.

- Widzisz na ekranie zaproponowaną przez Athora orbitę hipotetycznego Kalgasza Dwa - zaczął Biney. - Można przyjąć, że jest ona prawidłowa, tłumaczy bowiem dokładnie wszystkie perturbacje naszej orbity, tak przynajmniej twierdzi Athor, a on z pewnością wie, co mówi. Mam tu też - to znaczy będę miał, kiedy Tilanda upora się z transferem danych - ułożony przez was program na wieloletnie ruchy systemu słonecznego. Teraz mam zamiar spróbować wyznaczyć współzależność między obecnością na niebie tylko jednego słońca i znacznym zbliżeniem się Kalgasza Dwa do naszej planety, tak by...

- ...by mógł pan wyliczyć częstotliwość zaćmień - dokończył Faron. - Czy tak?

Bystrość chłopca rozśmieszyła Bineya, ale też nieco żenowała.

- Rzeczywiście. Jak widzę, ty też myślisz o zaćmieniach.

- Po raz pierwszy pomyślałem o nich, kiedy Athor powiedział nam wszystkim o Kalgaszu Dwa. Simbron wspomniała wtedy, że ten dziwny satelita mógłby przez pewien czas zasłaniać światło innych słońc, a pan powiedział na to, że wtedy mielibyśmy do czynienia z zaćmieniem. Zacząłem zastanawiać się nad różnymi możliwościami. Ale Athor przerwał mi, zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć. Stwierdził, że jest zmęczony i musi pójść do domu.

- I od tamtego czasu nikomu nic nie mówiłeś?

- Nikt mnie nie pytał.

- No to teraz masz swoje pięć minut. Przeniosę wszystko z mojego na twój komputer i zaczniemy szukać każdy w własną rękę. Chodzi mi o znalezienie bardzo szczególnego przypadku, gdy Kalgasz Dwa przebywa w punkcie największego zbliżenia do Kalgasza, a na niebie znajduje się tylko jedno słońce.

Faron skinął głową. Biney zauważył, że student zmierzał do swego komputera znacznie szybciej, niż zwykł się poruszać.

Biney nie spodziewał się skończyć jako pierwszy. Faron słynął przecież ze swej szybkości w obliczeniach. Chodziło jednak głównie o to, by każdy z nich pracował nad tym problemem oddzielnie, by móc porównać odrębnie uzyskane wyniki. Tak więc gdy po chwili Faron parsknął triumfalnie i zerwał się, chcąc coś powiedzieć, Biney w rozdrażnieniu pokazał mu gestem ręki, żeby siedział cicho, po czym sam wrócił do pracy. Zabrało mu to dalsze dziesięć długich jak wieczność, krępujących minut.

Potem na ekranie zaczęły się pojawiać jakieś cyfry.

Jeśli prawidłowe były wszystkie założenia, które wprowadził do komputera - dokonane przez Athora obliczenia masy i toru orbity nieznanego satelity oraz wyliczenia zmian w położeniu sześciu

słońce na niebie, wykonane przez Tilandę - to istniało raczej znikome prawdopodobieństwo nadejścia Ciemności. Ciemność mogłaby nastąpić jedynie pod warunkiem, że Dovim znalazłby się na niebie sam. Nie zanosilo się jednak, aby Kalgasz Dwa miał duże szansę przesłonić Dovima. Dni samotnego Dovima były przecież bardzo rzadkie. Biney wiedział więc, że prawdopodobieństwo takiego dnia akurat w momencie, gdy Kalgasz Dwa wędrując po swej długiej orbicie znalazłby się gdzieś w pobliżu Kalgasza, było nieskończenie małe.

Zawahał się.

Może jednak nie takie małe?

Spojrzał uważnie na pojawiające się na ekranie liczby. Wydawało się, że mimo wszystko istniała nikła szansa zbieżności. Obliczenia nie były jeszcze pełne, ale z każdą chwilą, gdy komputer wyszukiwał kolejne koniunkcje Kalgasza z Kalgaszem Dwa na przestrzeni badanych czterech tysięcy dwustu lat, ta możliwość coraz bardziej się przybliżała. Za każdym razem, gdy Kalgasz Dwa powracał po swojej orbicie i wchodził w sąsiedztwo Kalgasza w dniu samotnego Dovima, na monitorze pojawiały się wciąż nowe liczby, jako że komputer przetwarzał wszystkie astronomiczne możliwości. Biney przyglądał się temu z rosnącym przerażeniem i niewiarą.

A jednak! Wszystkie trzy ciała ustawiły się we właściwy sposób. Kalgasz-Kalgasz Dwa-Dovim!

Tak! To było możliwe! Kalgasz Dwa mógł stać się przyczyną całkowitego zaćmienia Dovima, gdyby ten był na niebie jedynym słońcem!

Jednak konfiguracja ta należała do niezwyklej rzadkości. Dovim musiał być jedynym słońcem na tej półkuli, jednocześnie znajdując się w maksymalnej odległości od Kalgasza, a Kalgasz Dwa musiał być w odległości minimalnej od Kalgasza. Pozorna średnica Kalgasza Dwa byłaby wtedy siedmiokrotnie większa od średnicy Dovima. To wystarczyło, by zakryć światło Dovima na ponad pół dnia, tak że każdy punkt na planecie dostałby się we władanie Ciemności. Komputer wyliczył, że tak niezwykle rzadkie zdarzenie mogło mieć miejsce jedynie raz na...

Bineyowi zaparło dech w piersiach. Nie chciał w to uwierzyć.

Odwrócił się do studenta. Okrągła twarz młodzieńca była blada z przerażenia.

- Ja już skończyłem i mam wynik - powiedział Biney ochryple - podaj mi najpierw swój.

- Zaćmienie Dovima przez Kalgasza Dwa, okresowość dwóch tysięcy czterdziestu dziewięciu lat.

- Tak. - Biney westchnął ciężko. - Dokładnie to samo. Raz na dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat.

Poczuł lekki zawrót głowy. Wydało mu się, że wszechświat zawirował wokół niego.

Raz na dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat. Dokładnie tyle, ile - według Apostołów Płomieni - trwał Rok Łaski. Ta sama liczba, która podana była w Księdze Objawień.

...WSZYSTKIE SŁOŃCA ZNIKNA...

...GWIAZDY WYSTRZELĄ PŁOMIENIE Z CZARNEGO NIEBA...

Nie wiedział, co te "gwiazdy" mogły znaczyć. Siferra odkryła jednak pewne wzgórze na półwyspie Sagikan, gdzie ogień niszczył miasta z zadziwiającą regularnością, raz na mniej więcej dwa tysiące lat. A jeśli rezultaty szczegółowej analizy izotopu węgla C ustalą długość okresu między kolejnymi pożarami na wzgórzu Tombo właśnie na dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat?

...Z CZARNEGO NIEBA...

Biney bezradnie spojrzał na studenta, który stał w drugim końcu pokoju.

- Kiedy przypada następny dzień samotnego Dovima? - spytał.

- Za jedenaście miesięcy i cztery dni - odrzekł Faron posępnie. - Dziewiętnastego theptara.

- Tak - powiedział Biney. - Ten sam dzień, o którym mówi Mondior 71, kiedy to niebo stanie się czarne, a ogień bogów zstąpi na Kalgasza i zniszczy naszą cywilizację.

Po raz pierwszy w życiu modłę się z całej duszy, by moje obliczenia okazały się błędne - mówił Athor. - Obawiam się jednak, że bogowie nie dadzą mi tej łaski. Stoimy w obliczu nieubłaganej konkluzji, o której strach nawet myśleć.

Rozejrzał się po pokoju, spoglądając na każdego ze słuchaczy z osobna. Obecni byli młody Biney 25, Szirin 501 z Wydziału Psychologii, Siferra 89, doktor archeologii.

Niemal nadludzkim wysiłkiem Athor ukrywał przed nimi swe zmęczenie i narastającą rozpacz. To, czego dowiedział się w ciągu ostatnich tygodni, zdruzgotało go. Usiłował ukryć to nawet przed sobą samym. Ostatnio zdarzało mu się czasami myśleć, że żyje już zbyt długo, marzył wtedy, by pozwolono mu udać się na zasłużony odpoczynek już rok czy dwa lata temu. Bronił się jednak przed podobnymi myślami. Zawsze cechowała go żelazna wola i siła ducha. Walczył, aby je zachować szczególnie teraz, gdy upływ czasu sprawił, że jego żywotność zmalała, nie godził się, by te cechy odeszły w cień.

- O ile pamiętam - zagadnął Szirina - zajmuje się pan badaniem ciemności?

- Tak to chyba można nazwać. - Zażywny psycholog wydawał się ubawiony. - Moja praca doktorska dotyczyła zaburzeń psychicznych związanych z ciemnością, ale badania nad ciemnością to tylko część mojej pracy. Interesują mnie różne typy masowej hysterii - irracjonalne reakcje ludzi na zbyt silne bodźce. Długa lista ludzkich dziwactw - z tego właśnie żyję.

- Doskonale - powiedział Athor chłodno. - Niech i tak będzie. Biney 25 twierdzi, że jest pan na tym uniwersytecie liczącym się autorytetem w dziedzinie Ciemności. Właśnie przedstawiliśmy na ekranie monitora krótką demonstrację naszego odkrycia. Zakładam, że pojmuje pan jego znaczenie.

Stary astronom nie potrafił się powstrzymać od protekcyjnego tonu. Szirin jednak nie wydawał się tym dotknięty.

- Zdaje mi się, że coś niecoś rozumiem - odpowiedział spokojnie. - Otóż, zgodnie z pana słowami, na orbicie Kalgasza mamy do czynienia z niewidzialnym dla ludzkiego oka, tajemniczym ciałem astronomicznym o wielkości naszej planety. Pana zdaniem ciało to, a ściśle mówiąc jego siła przyciągania, odpowiedzialna jest za pewne, wykryte przez Bineya, odchylenia od teoretycznej orbity Kalgasza. Jak na razie wszystko się zgadza?

- Tak.

- Okazuje się - kontynuował Szirin - że to ciało mogłoby czasami dostać się między nas a jedno z naszych słońc. Nazywacie to zaćmieniem. Jednakże na jego płaszczyźnie obrotów leży tylko jedno słońce, które mogłoby ulec zaćmieniu. Tym słońcem jest Dovim. Wykazano, że zaćmienie nastąpi tylko wtedy, gdy... - Szirin zawahał się i zmarszczył czoło - gdy Dovim będzie przebywał na niebie samotnie i wraz z tak zwanym Kalgaszem Dwa ustawi się w ten sposób, że Kalgasz Dwa całkowicie zakryje jego tarczę. Tym samym nie dotrze już do nas żadne światło. Czy nadal mówię do rzeczy?

- Pojął to pan doskonale.

- Tego się właśnie obawiałem. Miałem nadzieję, że może coś źle zrozumiałem.

- A efektem zaćmienia...

- Właśnie. - Szirin wziął głęboki oddech. - To zaćmienie, które zdarza się, bogom niech będą dzięki, tylko raz na dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat, spowoduje na Kalgaszu długotrwały okres powszechnej Ciemności. Każdy kontynent, w zależności od szerokości geograficznej, pograży się w Ciemności na - jak to pan mówił? - jakieś dziewięć do czternastu godzin.

- Zatem, jeśli pan pozwoli - powiedział Athor - jakie jest pańskie zdanie, jako doświadczonego psychologa, na temat wpływu tego zjawiska na umysł człowieka?

- Skutkiem będzie obłąd - orzekł bez wahania Szirin. W pokoju zapadła martwa cisza.

- Powszechny obłąd, prawda? - odezwał się w końcu Athor.

- Bardzo możliwe. Powszechna Ciemność, powszechny obłąd. Moim zdaniem ludzie odczują to w różnym stopniu, począwszy od przejściowej dezorientacji i depresji, aż po całkowitą i trwałą utratę władz umysłowych. Naturalnie, im większa jest równowaga psychiczna człowieka, tym mniej prawdopodobne, by mógł się on całkowicie załamać z powodu braku światła. Przypuszczam jednak, że nikt nie wyjdzie zupełnie bez szwanku.

- Nie rozumiem - wtrącił Biney. - Cóż może być w Ciemności takiego, co przywodziłoby ludzi do obłądu?

- Po prostu nie jesteśmy do tego stworzeni. - Szirin uśmiechnął się dobrotliwie. - Wyobraź sobie świat tylko z jednym słońcem. Ponieważ ten świat obraca się wokół swej osi, każda półkula oświetlona będzie światłem jedynie przez pół dnia, a przez następne pół pograży się w całkowitej ciemności.

Biney mimo woli skulił się z przerażenia.

- Czy teraz już rozumiesz?! - wykrzyknął Szirin. - Ty nie chcesz nawet o tym słyszeć! Lecz mieszkańcy takiej planety z czasem przywykną do codziennej dawki ciemności. Bardzo możliwe, że będą wtedy uważali godziny spędzone przy dziennym świetle za pogodniejsze i ciekawsze, a na ciemność zareagują wzruszeniem ramion, traktując ją ze spokojem jako rzecz zwyczajną i codzienną, coś, co trzeba przespać w oczekiwaniu na przyjscie poranka. Jednak z nami jest inaczej. My rozwijaliśmy się w nieustannym świetle słonecznym, o każdej godzinie dnia, przez cały rok. Jeśli na niebie nie ma Onosa, są na nim na przykład Tano, Sitha i Dovim albo Patru i Trey. Nasz umysł, nawet nasza fizjologia przyzwyczajone są do ciągłego światła. Bez jego obecności trudno nam znieść choćby krótką chwilę. Przypuszczam, że kiedy śpisz, boże światelko w twoim pokoju jest włączone?

- Oczywiście - przytaknął Biney.

- Oczywiście? Dlaczego oczywiście?

- Dlaczego...? Przecież każdy śpi przy włączonym bożym światelku!

- Do tego właśnie zmierzam. Powiedz mi jedno, kolego - czy kiedykolwiek dotąd miałeś do czynienia z Ciemnością?

Biney oparł się o ścianę obok ramy dużego obrazu i zastanowił się.

- Nie - powiedział wreszcie. - Ale wiem, jak to jest. Zwykły... hm... - Niezdecydowanie poruszył palcami, po czym się rozpromienił. - Zwykły brak światła. Jak w jaskini.

- Czy byłeś kiedyś w jaskini?

- W jaskini? Nie, nigdy nie byłem.

- Tak też sądziłem. Ja spróbowałem kiedyś, dawno temu, gdy zaczynałem moje badania nad zaburzeniami wynikłymi z ciemności. Uciekłem stamtąd w popłochu. Wchodziłem w głąb, póki majaczyła jasna plama otworu jaskini. Potem ogarnęła mnie czerń. - Szirin zachichotał. - Nigdy nie przypuszczałem, że osobnik mojej tuszy potrafi biec tak szybko.

Biney spojrział zaczepnie.

- Przypuszczam, że gdybym już raz zaryzykował, nie rzuciłbym się do ucieczki.

Psycholog zmierzył młodego astronoma pobłażliwym wzrokiem.

- Śmiało powiedziane! Podziwiam twoją odwagę, przyjacielu. - Odwrócił się do Athora. - Czy

pozwole mi pan przeprowadzić mały eksperyment psychologiczny?

- Proszę bardzo.

- Dziękuję. - Szirin znów zwrócił się do Bineya. - Proszę zasłonić; okno, kolego.

- Po co? - zdziwił się Biney.

- Proszę tytko, byś zaciągnął zasłonę. Potem przyjdź tu i usiądź obok mnie.

- Skoro nalegasz...

Przy oknach zwisały ciężkie czerwone draperie. Athor nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek były zaciągane, a przecież ten pokój był jego gabinetem od blisko czterdziestu lat. Biney, wzruszywszy ramionami, szarpnął za sznur zakończony chwością. Czerwona kotara przesłaniała z wolna szerokie okno. Mosiężne kółka zgrzytały sunąc po kamieniu. Przez chwilę widać było jeszcze czerwoną poświatę zachodzącego Dovima i pokój pogrążył się w mroku.

Wśród ciszy słuchać było ciężkie kroki. Biney przystanął w połowie drogi od okna.

- Nie widzę ciebie - wyszeptał.

- Idź po omacku - zduszonym głosem poradził Szirin.

- Nie widzę ciebie! - Młody astronom oddychał chrapliwie. - Nic nie widzę!

- A czego się spodziewałeś? Taka jest Ciemność. - Szirin odczekał jeszcze chwilę. - No, dalej.

Przecież znasz rozkład pokoju, trafiłbyś nawet z zamkniętymi oczami. Proszę, podejdź tu i usiądź.

Ponownie rozlega się kroki, chwiejne, niepewne. Szurnęło krzesło.

- Już jestem - - głos Bineya odezwał się piskliwie.

- Jak się czujesz?

- Ja... no... nieźle.

- Uważasz, że to jest przyjemne?

Długa pauza.

- Nie.

- Nie?

- Ani trochę. Jest strasznie. Jakby ściamiy... - zająknął się - jak gdyby ściany mnie przygniatały.

Chcę je odepchnąć... ale daleko mi jednak do obłądu. Właściwie chyba powoli zaczynam się z tym wrażeniem oswajać.

- Świetnie. A ty, Siferro?

- Chwilową ciemność znoszę obojętnie. Czasami zdarza mi się czołgać w różnych podziemnych korytarzach. Nie mogę jednak powiedzieć, że bym za tym przepadała.

- A pan, profesorze...?

- Ja też ledwo żyję. Zdaje się, że dowiedział pan swego - powiedział ostro dyrektor obserwatorium.

- Pięknie. Odsłoń zasłony, Bineyu.

W ciemności słysząc było ostrożnie stawiane kroki, szelest zasłony, którą poruszył Biney, szukając sznura, a potem przyjęty z ulgą szmer rozsuwającej się na boki kotary. Pokój zalało czerwone światło Dovima. Biney z okrzykiem radości spojrział na najmniejsze z sześciu słońc.

Szirin wierzchem dłoni otarł krople potu z czoła.

- To było tylko kilka minut w ciemnym pokoju - powiedział drżącym głosem.

- Można wytrzymać - rzucił beztrąsko Biney.

- Tak, w ciemnym pokoju można wytrzymać. Przez krótką chwilę. Słyszeliście pewno o Wystawie Stulecia w Jonglorze? O skandalu związanym z Twnelem Tajemnic? Bineyu, opowiedziałem ci tę historię rok temu, pewnego letniego wieczora w klubie Sześciu Słońc, kiedy

byliśmy tam razem z tym dziennikarzem, Teremonem.

- Tak. Pamiętam. Chodzi o ludzi, którzy w wesołym miasteczku przejeżdżali przez ciemność i wychodzili z niej obłąkani.

- Przejeżdżali przez pozbawiony światła tunel długi tylko na kilometr. Wchodziło się do otwartego wagonika i telepało wśród ciemności przez piętnaście minut. Niektórzy ludzie biorący udział w tej przejażdżce umierali ze strachu. Inni wychodzili z niej z trwałymi zaburzeniami umysłowymi.

- Dlaczego? Co się im stało?

- To samo co tobie. Kiedy zasunąłeś zasłonę, miałeś wrażenie, że ściany pokoju wałą się na ciebie. Psychologowie używają specjalnego terminu na określenie lęku związanego z brakiem światła. Jest to reakcja instynktowna, z którą każdy człowiek się rodzi. Ten lęk nazywamy klaustrofobią, ponieważ brak światła zawsze jest związany z zamkniętą przestrzenią, a zatem obawa przed jednym jest jednocześnie obawą przed drugim. Rozumiesz?

- A tamci ludzie z tunelu, którym odbiło?

- Tamci ludzie z tunelu, którym, używając twego określenia, odbiło, byli po prostu słabi. Nie mieli wystarczającej odporności psychicznej, by przezwyciężyć ogarniającą ich w ciemności klaustrofobię. To olbrzymie przeżycie. Uwierz mi na słowo. Ja także jechałem tunelem. Ty przed chwilą tylko kilka minut przebywałeś bez światła i już byłeś mocno wytrącony z równowagi. A wyobraź sobie cały kwadrans.

- Czy oni później wyzdrowieli?

- Niektórzy. Inni ulegli obłędowi na tle klaustrofobii i będą cierpieć przez wiele lat, być może do końca życia. Ich utajony lęk przed Ciemnością i zamkniętymi przestrzeniami się ujawnił i z tego, co na razie wiemy, utrwalił. Niektórzy, jak powiedziałem, zmarli w wyniku doznanego szoku. Ci już nigdy nie wyzdrowieją, prawda? Oto do czego może doprowadzić piętnaście minut bez światła.

- Tak, pewnych ludzi. - Biney się nie poddawał. Jego czoło z wolna pokryło się zmarszczkami. - Nadal nie uważam, by to musiało się skończyć dla wszystkich tragicznie. A już w moim przypadku z pewnością nie.

Szirin westchnął z rozdrażnieniem.

- Wyobraź sobie Ciemność. Wszędzie Ciemność. Gdziekolwiek spojrzysz, żadnego światła. Domy, drzewa, pola, ziemia, niebo - wszystko czarne! I do tego gwiazdy, jeśli słuchać kazań Apostołów - gwiazdy, czymkolwiek one są. Czy potrafisz to objąć wyobraźnią?

- Potrafię - oznajmił Biney jeszcze bardziej wojowniczo.

- Kłamstwo! - Szirin w nagłej pasji wałnął pięścią w stół. - Tak ci się tylko zdaje! Nie jesteś w stanie tego ogarnąć. Twój mózg jest zbudowany tak, że nie pojmujesz... Zaraz, jesteś przecież matematykiem, prawda? Czy potrafisz naprawdę objąć umysłem pojęcie nieskończoności? Wieczności? Nie! Możesz tylko o tym mówić. Sprowadzić je do równań i udawać, że abstrakcyjne liczby są rzeczywistością, kiedy tak właściwie są jedynie znakami na papierze. Jestem natomiast pewien, że gdy swym umysłem starasz się objąć pojęcie nieskończoności, dość szybko zaczyna ci się kręcić w głowie. Czujesz niepokój. Podobnie z tą odrobiną Ciemności, której właśnie doświadczyłeś. A kiedy to coś naprawdę się zdarzy, twój umysł stanie przed zjawiskiem, którego nie będzie mógł pojąć. I wtedy, Bineyu, zwariujesz. Całkowicie i trwale. To nie podlega dyskusji.

W pokoju znów zapanowała przeraźliwa cisza.

- Czy taki jest pański ostateczny wniosek? Powszechny obłęd? - zapytał Athor po dłuższej chwili.

- Choroby psychiczne okaleczą co najmniej siedemdziesiąt pięć procent populacji. Być może osiemdziesiąt pięć procent. A nawet sto procent.

- Potworne. - Athor potrząsnął głową. - Przerazające. Niewyobrażalne nieszczęście. Choć muszę przyznać, że w pewnym sensie myślę podobnie jak Biney - wierzę, iż jakoś przez to przebrniemy, a skutki będą mniej katastrofalne, niż wskazywałaby na to pańska opinia. W moim wieku nie mogę powstrzymać się od optymizmu, nadziei...

- Czy mogę coś powiedzieć, panie profesorze? - rzuciła nagle Siferra.

- Oczywiście! Po to pani tu jest. Siferra wstała i przeszła na środek pokoju.

- Do pewnego stopnia czuję się zaskoczona, że w ogóle zostałam tutaj zaproszona. Kiedy po raz pierwszy rozmawiałam z Bineyem na temat moich odkryć z półwyspu Sagikan, błagałam go, żeby te wiadomości zachował dla siebie jako ściśle poufne. Bałam się o moją reputację naukową, ponieważ wiedziałam, że odkryte przeze mnie dane, po dokonaniu pewnych zmian, mogłyby z łatwością posłużyć za poparcie dla najbardziej irracjonalnego, najstraszliwszego, najbardziej niebezpiecznego ruchu religijnego, istniejącego w naszym społeczeństwie. Naturalnie mówię o Apostołach Płomieni. Potem, po niedługim czasie, gdy Biney przyszedł do mnie ze swymi odkryciami, zdałam sobie sprawę, że muszę ujawnić, co wiem. Mam tu zdjęcia i wykresy moich wykopalisk na wzgórzu Tombo, niedaleko osady Beklimot na półwyspie Sagi kań. Bineyu, ty już je widziałeś, więc gdybyś był tak dobry i podał je profesorom Athorowi i Szirinowi...

Siferra odczekała, aż obejrzelik materiały i powróciła do swego wywodu.

- Łatwiej będzie zrozumieć te wykresy, jeśli porówna się wzgórze Tombo do układanego warstwami olbrzymiego tortu. Każda warstwa to starożytna osada zbudowana na swojej bezpośredniej poprzedniczce - najmłodsza, oczywiście, na szczycie wzgórza. Ta tutaj jest przykładem miasta z tak zwanej kultury beklimockiej. Poniżej znajduje się miasto, zbudowane - jak sądzimy - przez tych samych ludzi, ale na wcześniejszym etapie ich cywilizacji. W sumie co najmniej siedem osad z różnych okresów, może nawet więcej.

Każdy z tych okresów, panowie, dobiegł końca, ponieważ osada została zniszczona przez ogień. Widzicie zapewne ciemne granice między poziomami. Są to linie ognia - pozostałości węgla drzewnego. Zgadując intuicyjnie, ile czasu te miasta potrzebowały, by powstać, rozwinąć się i ostatecznie upaść, doszłam do wniosku, że każdy z tych wielkich pożarów zdarzał się w odstępach mniej więcej dwóch tysięcy lat, przy czym ostatni z nich miał miejsce około dwóch tysięcy lat temu, nieco przed rozwinięciem się kultury beklimockiej, którą uważamy za początek czasów historycznych.

Tak się składa, że węgiel drzewny w szczególny sposób nadaje się do badania metodą radioaktywnego izotopu C która pozwala nam dość dokładnie określić wiek danej osady. Od kiedy moje materiały z Tombo dotarły do Saro, w naszym wydziałowym laboratorium wciąż prowadzono analizę radiologiczną i właśnie teraz otrzymaliśmy wyniki. Mogę je przedstawić z pamięci. Najmłodsza z osad w Tombo została zniszczona przez ogień dwa tysiące pięćdziesiąt lat temu, przy możliwości błędu statystycznego w granicach dwudziestu lat. Węgiel drzewny z osady niżej ma cztery tysiące sto lat, z dokładnością do plus minus czterdziestu lat. Trzecia osada od góry została zniszczona przez ogień sześć tysięcy dwieście lat temu, z dokładnością do sześćdziesięciu lat. Czwarta osada w dół wykazuje wiek węgla C ośmiu tysięcy trzystu lat, przy błędzie rzędu plus minus osiemdziesięciu lat. Piąta...

- Wielkie nieba! - wykrzyknął Szirin. - Czy wszystkie odstępy czasu między nimi są podobne?

- Wszystkie. Pożary zdarzały się w odstępach nieco ponad dwóch tysięcy lat. Pomimo ryzyka pewnych niedokładności, które są nie do uniknięcia przy datowaniu węglem radioaktywnym, istnieje jednak duże prawdopodobieństwo, że miały one miejsce precyzyjnie co dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat. Zgodnie z tym, co wykazał Biney, jest to dokładnie częstotliwość występowania zaćmień Dovima. Jak również - dodała Siferra niewesoło - czas trwania tego, co Apostołowie Płomieni nazywają Rokiem Łaski, który ma się zakończyć zniszczeniem świata przez ogień.

- Tak, w wyniku powszechnego obłędu - głucho powiedział Szirin. - Kiedy nastąpi Ciemność, ludzie będą pragnęli światła. Jakiegokolwiek światła. Pochodnie. Ogniska. Będą palić wszystko. Meble. Domy.

- Nie - zaprotestował Biney słabym głosem.

- Pamiętaj, ci ludzie nie będą przy zdrowych zmysłach. Będą postępować jak małe dzieci, choć zachowają ciała i szczątki rozumu człowieka dorosłego. Będą umieli posługiwać się zapalkami. Nie będą natomiast pamiętać, jakie skutki może przynieść rozniecanie pożarów.

- Nie - powtórzył Biney rozpaczliwie. - Nie. Nie! - To już nie był wyraz niewiary.

- Można by przyjąć - dodała Siferra - że pożary w Tombo miały jedynie zasięg lokalny. Regularność, z jaką się powtarzały na przestrzeni tak długiego okresu, byłaby wówczas czystym zbiegiem okoliczności. Zjawisko to ograniczałoby się tylko do tego jednego miejsca, może nawet jako praktykowany tam swoisty rytuał oczyszczenia. Nie można by temu zaprzeczyć, skoro nigdzie indziej na Kalgaszu nie znaleziono dotąd żadnych osad starożytnych, które byłyby porównywalne wiekiem do sagikańskich. Jednak obliczenia Bineya wszystko zmieniły. Teraz wyraźnie już widać, że co dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat świat pogrąża się w Ciemności. Tak jak mówi profesor Szirin, na całym świecie ludzie rozpalali ogień, a że nie potrafili nad nim zapanować, przekształcał się w pożary. Z tego samego powodu i w podobny sposób, jak miało to miejsce w przypadku miast Tombo, w okresie pożarów ulegały zniszczeniu wszystkie osady ludzkie na całym świecie. Stąd też z ery prehistorycznej nie pozostało nam nic poza wzgórzem Tombo. Apostołowie Płomieni mówią, że jest to miejsce święte, miejsce, gdzie bogowie ukazywali się swemu ludowi.

- I może teraz ukazują się po raz kolejny - enigmatycznie rzekł Athor - podsuwając nam dowody na pożary z minionych epok.

- Panie profesorze - Biney spojrział na niego ze zdziwieniem - czy zaczyna pan wierzyć naukom Apostołów?

W uszach Athora słowa Bineya zabrzmiały tak, jakby młody astronom otwarcie zarzucał mu szaleństwo. Minęła chwila, zanim zdobył się na odpowiedź, jednak jego głos zabrzmiał nad podziw spokojnie:

- Czy im wierzę? Nie. Choć przyznam, Bineyu, że wzbudzają moją ciekawość. Co więcej, z lękiem stawiam sobie pytanie: a jeśli Apostołowie mają rację? Mamy obecnie dokładne dane o tym, że Ciemność rzeczywiście zapada w odstępach dwóch tysięcy czterdziestu dziewięciu lat, o czym napisano w Księdze Objawień. Z kolei profesor Szirin mówi, że gdyby do tego doszło, świat by oszalał. Mamy również dowód doktor Siferry na to, że przynajmniej pewien niewielki skrawek świata naprawdę raz za razem popadał w obłęd, przy czym tamtejsze domy pochłaniał ogień właśnie co dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat. Teraz zbliżamy się do końca kolejnego cyklu.

- Co więc pan proponuje, panie profesorze? - spytał Biney. - Czy powinniśmy przyłączyć się do Apostołów? Athor jeszcze raz musiał zwalczyć narastający gniew.

- Nie, Bineyu. Powinniśmy po prostu przyjrzeć się bliżej ich wierzeniom i pomyśleć, jaki

możemy z tego zrobić użytek.

- Zrobić użytek?! - niemal jednocześnie wykrzyknęli Szirin i Siferra.

- Właśnie tak! Zrobić użytek! - Athor złożył przed sobą wielkie wychudłe dłonie i odwrócił się, by widzieć twarze wszystkich obecnych. - Czy nie rozumiecie, że przetrwanie cywilizacji może zależeć wyłącznie od nas czworga? Do tego się to przecież sprowadza, prawda? Może to zabrzmieć melodramatycznie, ale my czworo znaleźliśmy coś, co zaczyna wyglądać na niezaprzeczalny dowód, że oto właśnie nadchodzi koniec świata. Powszechna Ciemność, powszechny obłęd, ogólnoświatowy pożar, miasta w płomieniach, społeczeństwo w rozpadzie. Istnieje już i działa inna grupa, która, na podstawie nie wiadomo jakiego dowodu, przepowiada tę samą katastrofę - z dokładnością co do dnia.

- Dziewiętnastego theptara - powiedział półgłosem Biney.

- Właśnie, dziewiętnastego theptara. Dzień, w którym Dovim jako jedyny będzie świecił na niebie - i jeśli się nie mylimy, pojawi się również Kalgasz Dwa, nagle stanie się widoczny, ogarnie niebo i zasłoni sobą wszelkie światło. Tego dnia, jak mówią nam Apostołowie, ogień pochłonie nasze miasta. Skąd wiedzą? Ślepy traf? Zwykła mistyfikacja?

- Pewne fragmenty ich nauk nie mają żadnego sensu - wtrącił Biney. - Na przykład mówią, że na niebie pojawią się gwiazdy. Co to znaczy "gwiazdy"? Skąd one nadejdą?

- Nie mam pojęcia. - Athor wzruszył ramionami. - Ten fragment może być jakąś bajką. Ale wydaje się, że mają oni pewnego rodzaju rejestry minionych zaćmień, na podstawie których zbudowali swe obecne straszliwe przepowiednie. Powinniśmy się dowiedzieć czegoś więcej o tych rejestrach.

- Dlaczego my? - spytał Biney.

- Ponieważ my, naukowcy, ludzie o określonym autorytecie, możemy odegrać rolę przywódców w czekającej nas walce o ocalenie cywilizacji - rzekł Athor. - Społeczeństwo ma pewną szansę ochrony przed zagładą tylko wtedy, jeśli tu i teraz odkryjemy istotę niebezpieczeństwa. Jak na razie jednak Apostołów słuchają jedynie ludzie naiwni i ciemni. Większość ludzi inteligentnych i myślących racjonalnie patrzy na nich podobnie jak my - jako na dziwaków, głupców, szaleńców, może oszustów. Powinniśmy zatem przekonać Apostołów, by podzielili się z nami swoją wiedzą z zakresu astronomii i archeologii, jeśli w ogóle takową posiadają. I wtedy ogłosimy to publicznie. Ujawnimy nasze odkrycia, podbudowując je materiałami otrzymanymi od Apostołów. W istocie zawrzemy z nimi przymierze przeciwko chaosowi, który - jak wspólnie sądzimy - wkrótce nadejdzie. W ten sposób możemy zwrócić uwagę wszystkich warstw społeczeństwa, począwszy od tych najbardziej naiwnych, aż po najbardziej sceptycznych.

- Więc chce pan, panie profesorze, żebyśmy przestali być naukowcami i weszli w świat polityki? - spytała Siferra. - Wcale mi się to nie podoba. To nie leży w zakresie naszych kompetencji! Głosuję, by przekazać nasze materiały rządowi i pozwolić mu...

- Rządowi?! - obruszył się Biney. - Bzdura!

- Biney ma rację - wtrącił Szirin. - Znam ludzi z rządu. Stworzą komitet, wydadzą raport i w końcu odłożą ten raport do szuflady, potem zaś powołają kolejny komitet, żeby dokopał się do tego, co odkrył poprzedni, następnie zorganizują referendum i... Nie, my nie mamy na to czasu. Na nas spoczywa obowiązek zabrania głosu w tej sprawie. Ja jestem ekspertem w dziedzinie przewidywania skutków, jakie może wyrzucić Ciemność na ludzkie umysły. Wy, astronomowie, macie dowód matematyczny na to, że Ciemność już wkrótce nadejdzie. Ty, Siferro, widziałaś, co uczyniła

Ciemność z minionymi cywilizacjami.

- Ale czy mamy dosyć odwagi, by zwrócić się do Apostołów? - powątpiewał Biney. - Czy przez kontakt z nimi nie narazimy się na zarzut nieodpowiedzialności?

- Otóż to - powiedziała Siferra. - Musimy się trzymać od nich z daleka! Athor zmarszczył brwi.

- Prawdopodobnie macie rację. Prawdopodobnie było naiwnością z mojej strony sugerować, że moglibyśmy nawiązać z tymi ludźmi coś na kształt współpracy. Wycofuję swoją propozycję.

- Chwileczkę, panie profesorze... - Biney owi wpadł do głowy pewien pomysł. - Mam przyjaciela - znasz go, Szirinie, to ten dziennikarz, Teremon - który kontaktował się już z pewnym wysokim przedstawicielem Apostołów. Myślę, że zdołałby zaaranżować jakieś tajne spotkanie pana profesora z tym Najwyższym Apostołem. Mógłby pan wy badać tych ludzi i przekonać się, czy rzeczywiście wiedzą coś istotnego - w ten sposób zdobylibyśmy kolejne dowody potwierdzające naszą hipotezę. A gdyby się okazało, że nic nie wiedzą, zawsze przecież możemy zaprzeczyć, że takie spotkanie miało w ogóle miejsce.

- Jest to sensowna propozycja - rzekł Athor. - Chciałbym się z nimi spotkać, chociaż nie dla własnej przyjemności. Przyjmuję, że nikt z was nie ma żadnych zastrzeżeń co do mojej wyjściowej propozycji? Zgadza się ze mną, iż my czworo musimy powziąć pewne kroki w związku z naszym odkryciem?

- Teraz się zgadzam - powiedział Biney. Spojrzał na Szirina. - Nadal mam zamiar przetrwać Ciemność, ale wszystko, co zostało tu dzisiaj powiedziane, skłania mnie do uwierzenia, że wielu innych tej Ciemności nie przeżyje. Ulegnie zagładzie cała cywilizacja... chyba że zaczniemy działać.

Athor pokiwał głową.

- Wspaniale. Porozmawiaj więc ze swym przyjacielem, ale miej się na baczności. Wiesz, co myślę o prasie. Nie lubię dziennikarzy nie mniej niż Apostołów. Mimo to bardzo ostrożnie daj swemu koledze do zrozumienia, że chciałbym się prywatnie spotkać z Apostołem, którego pozna).

- Dobrze, panie profesorze.

- Pan, profesorze Szirinie, zbierze cała dostępną literaturę na temat skutków długotrwałego przebywania w Ciemności i przyniesie ją do mnie.

- Nie sprawi mi to najmniejszego kłopotu.

- A pani, doktor Siferro, czy może przedstawić zrozumiałe dla laików sprawozdanie z wykopalisk w Tombo z wyeksponowaniem każdego, choćby najmniejszego dowodu na powtarzalność tych pożarów?

- Nie wszystko jest jeszcze gotowe, panie profesorze. Pozostały materiały, o których dzisiaj nie wspominałam. Na czole Athora pojawiła się głęboka zmarszczka.

- O co chodzi?

- O gliniane tabliczki z wrytymi napisami znalezione w trzecim i piątym poziomie od góry. Profesor Mudrin podjął się niezwykle trudnego zadania odczytania inskrypcji. Według jego wstępnej opinii tabliczki zawierają ostrzeżenia kapłanów przed zbliżającym się pożarem.

- Pierwsze wydanie Księgi Objawień! - wykrzyknął Biney.

- Możliwe... - Siferra roześmiała się, choć w jej śmiechu nie słychać było wesołości. - Mam nadzieję otrzymać tłumaczenie tekstów w najbliższym czasie. I wtedy dostarczę panu kompletny materiał, panie profesorze.

- Wspaniale - rzekł Athor. - Potrzebujemy wszystkiego, co tylko uda nam się zdobyć. Będzie to praca naszego życia. - Spojrzał z powagą na każdego z nich po kolei. - Jest jednak jeszcze jedna

ważna kwestia: chcę, byście pamiętali, że moja gotowość do spotkania z Apostołami nie oznacza, iż zamierzam w jakikolwiek sposób przysporzyć im ogólnego szacunku. Mam jedynie nadzieję, że dowiem się od nich czegoś, co pomoże nam przekonać świat o nadchodzącej katastrofie. Nic więcej. W przeciwnym razie zrobię wszystko co w mojej mocy, by się od nich zdystansować. Mierzi mnie mistycyzm. Nie wierzę ani trochę ich gadaninie - chcę po prostu wiedzieć, skąd wysnuli wniosek o katastrofie. I życzyłbym sobie, by reszta z was była równie ostrożna w kontaktach z nimi. Czy wyraziłem się jasno?

- To jest jak sen - westchnął Biney.

- Koszmarny sen - dodał Athor. - Każda cząstka mojej duszy krzyczy, że to nieprawda, że to czeze fantazje, że świat po dziewiętnastym theptara trwać będzie nadal i nie stanie mu się żadna krzywda. Niestety, wyniki obliczeń są nieubłagane. - Wyjrzał przez okno. Onos zniknął już z nieba, a Dovim był jedynie małym punktem na horyzoncie. Nastął wieczór, świat wyglądał posępnie w przyćmionych, nieprzyjemnych promieniach Patru i Treya. - Nie ma już miejsca na wątpliwości. Ciemność nadejdzie. Może owe gwiazdy, czymkolwiek są, naprawdę zaczną świecić. Zapłoną pożary. Zbliży się koniec znanego nam świata. Koniec świata!

Część druga

Zmierch

Chyba trochę przesadziłeś, Teremonie - powiedział Biney. Narastało w nim napięcie. Zbliżał się wieczór, wieczór zaćmienia, od tak dawna przez niego oczekiwany z lękiem i drżeniem serca. - Athor jest wściekły na ciebie. Wprost w głowie się nie mieści, że tu dzisiaj przyszedłeś. Wiesz przecież, że zabronił ci przebywać w budynku obserwatorium, a tym bardziej me masz prawa zjawiać się właśnie dziś wieczorem. Łatwo zrozumieć Athora, biorąc pod uwagę wszystko, co o nim ostatnio pisałeś...

- Sam widzisz, że potrafię go uciszyć! - Dziennikarz zachichotał.

- Nie bądź tego taki pewien! Nazwałeś go w swym felietonie zgrzybiałym pomyłkiem, pamiętasz? Staruszek jest w zasadzie opanowany i twardy jak stal, ale w sytuacjach krańcowych potrafi okazać zadziwiający temperament.

- Słuchaj, chłopie - Teremon wzruszył ramionami - zanim stałem się sławnym dziennikarzem, byłem zwykłym reporterkiem, co to specjalizuje się w nieosiągalnych wywiadach, takich prawdziwie nieosiągalnych. Całe lata doprowadzałem ludzi do szału, byle tylko zdobyć temat. Każdego wieczora wracałem do domu z guzami, podbitym okiem, czasem złamaną jedną czy drugą kością. W zamian jednak zyskałem zaufanie do siebie. Jakoś sobie poradzę z Athorem.

- Doprowadzając ludzi do szału? - Biney spojrzał znacząco w górę, w kierunku kalendarza zawieszzonego na ścianie korytarza. Połyskującymi zielonymi literami obwieszczał datę: 19 THEPTARA. Dzień najważniejszy, dzień, o którym myśleli bezustannie wszyscy w obserwatorium, miesiąc po miesiącu. Dla wielu, może nawet dla większości mieszkańców Kalgasza ostatni dzień pozostawania przy zdrowych zmysłach. - Chyba przyznasz, że nie jest to najzręczniejsze sformułowanie w takim dniu. Teremon się uśmiechnął.

- Może masz rację. Zobaczymy. - Wskazał na zamknięte drzwi gabinetu Athora. - Kto tam teraz jest?

- Athor, oczywiście. I Tilanda - moja koleżanka, astronom. Danit, Simbron, Hikkinan - też pracownicy obserwatorium. To już chyba wszyscy.

- A Siferra? Mówiła, że tu będzie.

- Nie ma jej jak dotąd.

Na twarzy Teremona pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Co ty powiesz? Kiedy kilka dni temu zapytałem ją, czy wybierze Sanktuarium, roześmiała mi się w twarz. Uparła się, aby oglądać zaćmienie właśnie stąd. Nie mogę wręcz uwierzyć, że zmieniła zdanie. Ta kobieta nie boi się niczego. Możliwe jednak, że w ostatniej chwili robi jeszcze porządek w swoim biurze.

- Bardzo prawdopodobne.

- A Szirin? Jego też tu nie ma?

- Nie. Jest w Sanktuarium.

- Ten nasz pucołowaty przyjaciel nie należy do najodważniejszych, co?

- Przynajmniej ma na tyle odwagi, by się do tego przyznać. Raissa też jest w Sanktuarium,

podobnie żona Athora, Nailda, i prawie wszyscy, których znam, oprócz nas - kilku ludzi z obserwatorium. Mądrzej byś postąpił, Teremonie, gdybyś sam się tam znalazł. Za kilka godzin, kiedy nadejdzie tu Ciemność, jeszcze pożałujesz, że tego nie zrobiłeś.

- Apostoł Folimun 66 powiedział mi mniej więcej to samo ponad rok temu, tyle że zapraszał mnie do swojej świątyni. Przyjacielu, jestem przygotowany, by stawić czoło nawet największym zagrożeniom, jakie potrafią nam zesłać bogowie. Dzisiejszy wieczór stanowi wspaniały temat, którego nie mógłbym przecież opisać, schowany w jakiejś kryjówce pod ziemią, prawda?

- Teremonie, jutro nie ukaże się żadna gazeta, w której mógłbyś zamieścić swoją relację.
- Tak myślisz? - Teremon złapał Bineya za ramię i przyciągnął ku sobie. Niskim, drżącym z emocji głosem zapytał: - Bineyu, powiedz szczerze, czy ty naprawdę myślisz, że coś tak niezwykłego jak noc zapadnie właśnie dzisiaj?

- Tak.
- Bogowie! Chyba nie mówisz tego poważnie?
- Poważnie jak nigdy w życiu, Teremonie.
- Nie wierzę. Wydajesz się taki opanowany, taki zrównoważony, taki odpowiedzialny. A mimo to z obliczeń astronomicznych, będących niezaprzeczalnie czystą spekulacją, z jakichś kawałków węgla drzewnego, wykopanych na pustyni odległej stąd o tysiące kilometrów, z jakichś szaleńczych bają grup fanatyków o obłąkanych oczach wyciągnąłeś wnioski stanowiące najbardziej zwariowany stek apokaliptycznych bzdur, jaki kiedykolwiek...

- To nie jest wariactwo - stwierdził Biney spokojnie. - To nie są bzdury.
- Zatem dziś rzeczywiście nastąpi koniec świata?
- Tak. Świata, który znamy i kochamy. Teremon puścił ramię Bineya i zirytowany gwałtownie zamachał rękami.

- Bogowie! Nawet ty! Słuchaj, od ponad roku usiłuję choć trochę w to wszystko uwierzyć, ale nie potrafię, po prostu nie potrafię. Niezależnie od słów twoich czy Athora, Siferry, Folimuna 66, Mondiora czy też...

- Po prostu poczekaj - rzekł Biney. - Jeszcze tylko kilka godzin.
- Ty to mówisz szczerze - powiedział Teremon ze zdumieniem. - Na wszystkich bogów, jesteś równie wielkim dziwakiem jak Mondior. Bzdury! Powtarzam: bzdury!... A teraz wprowadź mnie do gabinetu Athora, dobrze?

- Ostrzegam, on nie chce cię widzieć.
- Już to słyszałem. Mimo wszystko chcę tam wejść.

Teremon nigdy się nie spodziewał, że kiedyś przyjdzie mu przyjąć pozycję wroga wobec naukowców z obserwatorium. Po prostu, w ciągu miesięcy bezpośrednio poprzedzających dziewiętnasty theptara, tak potoczyły się sprawy.

Uznał, że zawiniła tu dziennikarska uczciwość. Biney był przecież jego wieloletnim przyjacielem; profesor Athor - bezsprzecznie wielkim astronomem; Szirin - człowiekiem zawsze wesołym, bezpośrednim i sympatycznym; Siferra - kobietą atrakcyjną i interesującą, a przy tym znakomitym archeologiem. Wcale nie miał ochoty stawiać się w pozycji wroga tych ludzi.

Musiał jednak pisać to, w co wierzył. A w głębi swej duszy wierzył, że zespół obserwatorium był w każdym calu równie postrzelony jak Apostołowie Płomieni i równie jak oni niebezpieczny dla ładu społecznego.

Wykluczone, aby miał się zmusić do traktowania ich słów poważnie. Im dłużej kręcił się po

obserwatorium, tym bardziej wydawało mu się to wszystko zwariowane.

Niewidzialna i najwidoczniej niewykrywalna planeta szybująca na niebie po orbicie, która co kilka dekad zbliżała ją do Kalgasza? Taki układ słońc, że tym razem, gdy przybędzie niewidzialna planeta, pozostanie nad głową jedynie Dovim? Światło Dovima zasłonięte, a świat rzucony w Ciemność? I w rezultacie wszyscy zwariują? Nie, nie, na to się nie da nabrać!

Teremonowi wydawało się to równie głupie jak brednie, które od wielu lat wbijali ludziom do głowy Apostołowie Płomieni. Jedynym dodatkiem, dorzuconym przez Apostołów, było pojawienie się tajemniczego zjawiska znanego jako gwiazdy. Nawet ludzie z obserwatorium byli na tyle przyzwoici, by przyznać, że nie są w stanie wyobrazić sobie, czym są gwiazdy. Apostołowie głosili, że to niewidzialne ciała niebieskie, które ukazywały się nagle, gdy Rok Łaski dobiegał końca i na Kalgasz zstępował gniew bogów.

- Niemożliwe! - powiedział mu Biney pewnego wieczora w klubie Sześć Słońc. Wtedy od daty zaćmienia dzieliło ich jeszcze pół roku. - Zaćmienie i Ciemność - tak. Gwiazdy - nie. We wszechświecie nie istnieje nic poza naszym światem, sześcioma słońcami, jakimiś nic nie znaczącymi asteroidami i Kalgaszem Dwa. Jeśli istnieją także gwiazdy, dlaczego nie potrafimy tego stwierdzić? Dlaczego nie możemy wykryć ich, obserwując perturbacje orbitalne, tak jak wykryliśmy Kalgasza Dwa? Nie, Teremonie, jeśli rzeczywiście gdzieś tam istniałyby gwiazdy, wówczas teoria powszechnego ciążenia musiałaby być fałszywa. A wiemy, że teoria jest prawdziwa.

„Wiemy, że teoria jest prawdziwa”. Tak powiedział Biney. Czy nie przypominało to słów Folimuna: ”Wiemy, że Księga Objawień jest księgą prawdy”?

Na początku, kiedy Biney i Szirin pierwsi opowiedzieli mu o rodzącym się w nich przekonaniu, że świat ogarnie niszczycielska Ciemność, Teremon, po części sceptyczny, a po części przejęty grozą i pozostający pod wrażeniem ich apokaliptycznych wizji, robił co mógł, żeby pomóc.

- Athor chce się spotkać z Folimunem - powiedział mu Biney. - Próbuje się dowiedzieć, czy Apostołowie mają jakieś starodawne rejestry astronomiczne, które mogłyby potwierdzić nasze odkrycie. Czy możesz jakoś zaaranżować spotkanie?

- Zabawny pomysł - odrzekł na to Teremon. - Surowy w swych ocenach naukowiec prosi o spotkanie z rzecznikiem sił nienauki, antynauki. Ale zobaczę, co się da zrobić.

Ku swemu zdumieniu nie natrafił na najmniejsze trudności. Zamierzał przeprowadzić kolejny wywiad z Folimunem. Uzyskał audiencję w dniu następnym.

- Athor? - zdziwił się Folimun, kiedy dziennikarz przekazał mu prośbę Bineya. - Dlaczego profesor Athor chce ze mną rozmawiać?

- Może zamierza zostać Apostołem - żartobliwie zasugerował Teremon. Folimun się roześmiał.

- Niezbyt prawdopodobne. Z tego, co o nim słyszałem, wynika, że prędzej by się pomalował na czerwono i poszedł nago na spacer po Saro głównym bulwarem.

- Cóż, może się nawrócił... - odrzekł Teremon. Po prowokującej pauzie dodał ostrożnie: - Wiem na pewno, że on i jego pracownicy odkryli jakieś dane, które mogłyby skłaniać do poparcia tezy, iż dziewiętnastego theptara Ciemność zawładnie światem.

Folimun pozwolił sobie na minimalną, starannie kontrolowaną oznakę zainteresowania, niemal niedostrzegalne uniesienie brwi.

- Jakże fascynujące, o ile prawdziwe - powiedział chłodno.

- Jeśli chce pan potwierdzenia, powinien pan zobaczyć się z nim osobiście.

- Możliwe, że tak właśnie zrobię.

I rzeczywiście tak zrobił. Mimo wielu starań Teremonowi nie udało się nigdy dowiedzieć, jaki był wynik tego spotkania. Odbyło się w cztery oczy, a po jego zakończeniu zarówno Athor, jak i Folimun nie powiedzieli na ten temat ani słowa. Biney, główne ogniwo łączące Teremona z obserwatorium, potrafił przedstawić wyłącznie mgliste przypuszczenia.

- Z pewnością wiązało się to ze starodawnymi rejestrami astronomicznymi, które - jak uważa szef - znajdują się w posiadaniu Apostołów. Tyle tylko mogę ci powiedzieć. Athor przypuszcza, że przekazują je z pokolenia na pokolenie od wieków, może nawet od czasu sprzed ostatniego zaćmienia. Niektóre fragmenty Księgi Objawień napisane są dawno już zapomnianym językiem.

- Masz na myśli dawno zapomniany bełkot. Nikt dotąd nie pojął, o co tam chodzi.

- No, ja oczywiście też tego nie rozumiem, ale według opinii pewnego całkiem poważnego filologa fragmenty mogą być w istocie tekstami prehistorycznymi. A jeśli Apostołowie potrafią w jakiś sposób odcyfrować ten język? I zachowują tę wiedzę dla siebie, ukrywając dane astronomiczne zawarte w Księdze Objawień? Być może tego właśnie szuka Athor.

- Chcesz przez to powiedzieć, że najwybitniejszy astronom naszych czasów, prawdopodobnie wszech czasów, czuje potrzebę skonsultowania się w tej kwestii z bandą rozhisteryzowanych fanatyków? - Teremon nie posiadał się ze zdumienia. Biney wzruszył ramionami.

- Wiem jedynie, że Athor nie darzy szacunkiem Apostołów i ich nauk, podobnie jak ty, ale uznał, że spotykając się z twoim przyjacielem Folimunem może uzyskać coś ważnego.

- To nie jest żaden mój przyjaciel! Mam z nim kontakt czysto zawodowy.

- No, nazywaj to jak chcesz... - zaczął Biney.

- Pozwól sobie powiedzieć - przerwał mu Teremon; sam się temu dziwił, lecz wzbierał w nim prawdziwy gniew - że jeśli się okaże, iż zawarliście z Apostołami jakiś pakt, to ja wcale nie będę szczęśliwy z tego powodu. Moim zdaniem Apostołowie są uosobieniem Ciemności - najczarniejszych, najbardziej nienawistnych reakcyjnych idei. Jeśli da się im wolną rękę, każą nam wszystkim znów żyć w czasach średniowiecznych umartwień, cnoty i biczowania. Dzieje się wystarczająco źle, gdy opętani przez nich wariaci wrzaskliwie rozgłaszają obłąkańcze, niedorzeczne przepowiednie, zakłócając tym samym spokój, ale jeśli człowiek o prestiżu Athora zamierza tych plotących brednie nikczemników dowartościować, zaszczyścić, włączając ich majaki do nauki, zacznę być od tego momentu bardzo, ale to bardzo podejrzliwy w stosunku do wszystkiego, przyjacielu, co pochodzi z waszego obserwatorium.

Na twarzy Bineya widać było konsternację.

- Teremonie, gdybyś tylko wiedział, z jaką pogardą Athor wyraża się o Apostołach, jak niewiele go obchodzi, co propagują...

- Więc dlaczego raczy się z nimi spotykać?

- Sam przecież rozmawiałeś z Folimunem!

- To inna sprawa. Czy tego chcesz, czy nie, obecnie Folimun znalazł się na pierwszych stronach gazet. Moim zadaniem jest wiedzieć, co dzieje się w jego głowie.

- Może Athor podziela twój punkt widzenia - rzucił Biney zapalczywie.

Na tym postanowili zakończyć rozmowę, dyskusja bowiem zaczynała się zamieniać w kłótnię, a żaden z nich tego nie chciał. Ponieważ Biney naprawdę nie wiedział, jakiego typu porozumienie zawarli ze sobą Athor i Folimun - jeśli w ogóle się dogadali - Teremon uważał, że nie ma zbytniego sensu dalsze nagabywanie przyjaciela w tej kwestii.

Później jednak zdał sobie sprawę, że rozmowa z Bineyem miała miejsce dokładnie w chwili, gdy

jego stosunek do Bineya, Szirina i reszty ludzi z obserwatorium zaczął się zmieniać. Zaszła w nim przemiana z sympatyzującego i zaciekawionego widza w szyderczego i pełnego pogardy krytyka. Choć sam doprowadził do spotkania dyrektora obserwatorium z Apostołem, teraz wydawało mu się ono katastrofalnym w skutkach ustępstwem, naiwną kapitulacją ze strony Athora przed siłami reakcji i ślepej ignorancji.

Nigdy tak naprawdę nie był w stanie przekonać się do teorii naukowców, mimo wszystkich "dowodów", które mu przedstawili. Z początku, gdy w "Kronice Saro" zaczęły się ukazywać pierwsze doniesienia o zbliżającym się zaćmieniu, w swych felietonach przyjął pozycję neutralną.

Zaskakujące oświadczenie - tak to nazwał - i przerażające, o ile prawdziwe. Jak zupełnie słusznie mówi profesor Athor 77, każdy dłuższy okres ogólnoświatowej Ciemności stanowiłby klęskę, jakiej ludzkość jeszcze nie zaznała. Lecz proszę, oto z drugiej strony świata nadeszła tego ranka odmienna opinia. Heranian 1104, Nadworny Astronom Imperialnego Obserwatorium Królewskiego w Kanipilitiniuk, "z całym należnym szacunkiem dla wielkiego Athora 77" zapewnia, że "nadal brak jest bezsprzecznych dowodów na to, iż satelita, tak zwany Kalgasz Dwa, w ogóle istnieje, a już tym bardziej, że jest w stanie spowodować takie zaćmienie, jakie przepowiada zespół z Saro. Musimy pamiętać, że słońca - nawet tak małe jak Dovim - są nieporównywalnie większe od jakiegokolwiek wędrującego w przestrzeni kosmicznej satelity i uważamy za wysoce nieprawdopodobne, aby ów satelita mógł zająć na nieboskłonie dokładnie taką pozycję, jaka konieczna jest do przechwycenia całego promieniowania słonecznego, mogącego do nas dotrzeć... "

Później, trzynastego umilitara, miało miejsce wystąpienie Mondiora 71, w którym Najwyższy Apostoł z dumą ogłosił, że największy na świecie człowiek nauki udzielił swego poparcia słowu Księgi Objawień.

- Głos nauki jest teraz jednym z głosem niebios! - wołał Mondior. - Ostrzegam was jednak: nie pokładajcie już nadziei w cudach czy sennych marzeniach. Przyjdzie, co przyjść musi. Nic nie może uratować świata przed gniewem bogów, nic poza odstępniem od grzechu, zaniechaniem zła i podążaniem ścieżką cnoty i prawości.

Hałaśliwa wypowiedź Mondiora wytrąciła Teremona ze stanu neutralności. Będąc lojalny wobec Bineya, pozwolił sobie na moment potraktować hipotezę o zaćmieniu całkiem serio. Teraz zaczął ją traktować wyłącznie jako sensację w sam raz na sezon ogórkowy - wymysł nadętych, samookłamujących się naukowców, zaślepionych entuzjazmem dla mnóstwa pośrednich dowodów i przypadkowo wyciąganych wniosków; naukowców pragnących uzasadnić najbardziej bezsensowną, obłądną ideę, jaką mógł stworzyć ludzki umysł.

Następnego dnia Teremon w swym felietonie pytał:

Czy nie zastanawiacie się, jakim sposobem Apostołowie Płomieni zdołali nawrócić profesora Athora 77 na swą wiarę? Dziwne, że właśnie ten starzec, nestor światowej astronomii, stanął w jednym szeregu z naiwnymi, popierającymi tych przyobleczonych w mnisie szaty i kaptury dostawców frazesów i zaklęć. Czyżby pewien srebrnousty Apostoł pozbawił rozumu tak wybitnego naukowca za pomocą czarów? A może po prostu, jak zasłyszeliśmy z szeptów krążących po drugiej stronie porośniętych bluszczem murów Uniwersytetu Saryjskiego, wymagany wiek emerytalny dla pracowników naukowych ustalono o kilka lat za wysoko?

A to był dopiero początek.

Teremon wiedział teraz, jaką ma spełnić rolę. Gdyby ludzie zaczęli sprawę zaćmienia traktować poważnie, na całym świecie mnożyłyby się przypadki załamań nerwowych nawet bez nastania

Ciemności.

Jeśliby dopuścić do sytuacji, że wszyscy uwierzą, iż zagłada nadejdzie dziewiętnastego theptara wieczorem, to dużo wcześniej na ulicach zapanuje panika, powszechna histeria, nikt nie będzie przestrzegać prawa i porządku, nastąpi długi okres ogólnej destabilizacji. Ludźmi owładnie strach. A potem, gdyby dzień, którego tak się obawiano, nastał i odszedł bezboleśnie, bogowie raczą wiedzieć jakie by to wywołało skutki. Teremon wyznaczył sobie zadanie skruszenia owego strachu przed nadejściem nocy, Ciemnością, sądem ostatecznym, i realizował je wyśmiewając te bzdury bezlitośnie.

Zatem gdy Mondior grzmiał, że oto zbliża się zemsta bogów, Teremon 762 zareplikował w pogodnym tonie opisując, jaki byłby świat, gdyby Apostołom udało się zreformować społeczeństwo - opowiadał o ludziach idących na plażę, spowitych w sięgające do kostek stroje kąpielowe, o długich sesjach modlitw, przerywających co chwila rozgrywki sportowe, o wszystkich znaczących książkach, klasycznych sztukach i wodewilach zmienionych tak, by wyeliminować najmniejszy choćby ślad bezbożności.

Kiedy Athor i jego zespół opublikowali wykresy ukazujące ruch na niebie nie widzianego dotąd i najwyraźniej nie dającego się zobaczyć Kalgasza Dwa, przedstawiające tajemnicze spotkanie satelity z bladoczerwonym światłem Dovima, Teremon pozwolił sobie na sympatyczny komentarz o smokach, niewidzialnych olbrzymach i innych potworach z mitologii brykających pośród chmur.

Gdy Mondior szafował wokół autorytetem naukowym Athora 77 jako argumentem świadczącym o poparciu osobistości świeckich dla nauk Apostołów, Teremon zareplikował pytaniem, na ile poważnie można traktować ów autorytet, jeśli Athor jest teraz, w sposób oczywisty, równie obłąkany jak sam Mondior.

Kiedy Athor wezwał - była to część programu obrony przed skutkami katastrofy - do gromadzenia zapasów żywności, informacji naukowo-technicznych i w ogóle wszystkiego, co tylko byłoby potrzebne rodzajowi ludzkiemu po wybuchu powszechnego obłędu, Teremon zasugerował, że w niektórych miejscach już zapanował powszechny obłęd i zamieścił własną listę koniecznych artykułów, które należy ukryć w piwnicy:

...otwieracze do konserw, pinezki, kilka egzemplarzy tabliczki mnożenia, karty do pokera... Pamiętajcie, zapiszcie swoje imię na kawałku tekturki i przywiążcie do prawego nadgarstka, w razie gdybyście po nadejściu Ciemności zapomnieli, jak się nazywacie. Na lewym nadgarstku przywiążcie tekturkę z napisem: "Aby sobie przypomnieć moje imię, patrz kartka na drugim nadgarstku"...

Jeszcze Teremon nie skończył pracy nad tym tematem, a już jego czytelnicy nie mogli się zdecydować, kto był bardziej niepoczytalny - hałaśliwi w głoszeniu sądu bożego Apostołowie Płomieni, czy też pełni patosu, łatwowierni naukowcy z Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Saryjskiego. Jedno było pewne: dzięki Teremonowi prawie nikt nie wierzył, że dziewiętnastego theptara wieczorem wydarzy się coś nadzwyczajnego.

Athor czuł, że zaraz wybuchnie. Z furią patrzył na młodego dziennikarza. Hamował się najwyższym wysiłkiem woli.

- Pan tutaj? Na przekór wszystkiemu, co powiedziałem? Co za bezczelność!

Teremon stał z wyciągniętą ręką, jakby naprawdę spodziewał się, że Athor ją uściśnie. Po chwili opuścił dłoń i przyglądał się dyrektorowi obserwatorium z zadziwiającą bez troską.

- Okazuje pan wyjątkowy tupet przychodząc tu dziś wieczorem - powiedział Athor głosem drżącym od z trudem powstrzymanej pasji. - Zdumiewa mnie, że ma pan jeszcze czelność

pokazywać się nam na oczy.

Stojący w kącie pokoju Biney zwilżył suche wargi koniuszkiem języka.

- Panie profesorze, mimo wszystko... - usiłował wtrącić.

- Ty go tutaj zaprosiłeś? Przecież wyraźnie zabroniłem...

- Panie profesorze...

- Zrobiła to doktor Siferra - powiedział Teremon. - Nalegała usilnie, bym przyszedł. Jestem tu na jej zaproszenie.

- Siferra? Bardzo w to wątpię. Zaledwie kilka tygodni temu mówiła mi, że uważa pana za nieodpowiedzialnego głupca. Wyrażała się o panu jak najgorzej. - Athor rozejrzał się wokół. - A właśnie, gdzie się ona podziewa? Miała być tutaj, prawda? - Odpowiedziała mu cisza. Athor zwrócił się do Bineya: - To ty przyprowadziłeś tego dziennikarza. Jak mogłeś zrobić coś podobnego?! To nie jest dobry moment na niesubordynację. Dziś wieczorem obserwatorium jest zamknięte dla przedstawicieli prasy. A dla tego konkretnego człowieka zamknięte jest już od dawna. Natychmiast go wyprowadź!

- Panie profesorze - odezwał się Teremon - jeśli tylko pan pozwoli wytłumaczyć powód mojego...

- Mój panie - przerwał mu Athor - nie sądzę, by cokolwiek, co pan teraz powie, miało jakieś znaczenie wobec pańskich codziennych felietonów. Przez ostatnie dwa miesiące prowadził pan wielką kampanię prasową przeciw staraniom moim i moich kolegów, zmierzającym do tego, by przygotować świat w obliczu groźby, która niechybnie nadchodzi. Użył pan wszelkich chwytów, aby szkalować i ośmieszać personel obserwatorium. - Chwycił z biurka numer "Kroniki Saro" i pogroził nim dziennikarzowi. - Nawet pan, znany z zuchwalstwa, powinien się zawahać, zanim przyszedł tu do mnie z prośbą o zgodę na relacjonowanie dzisiejszych wydarzeń w tym szmatławcu. Ze wszystkich dziennikarzy - właśnie pan!

Athor cisnął gazetę o podłogę, odszedł do okna i splótł ręce za plecami.

- Ma pan natychmiast wyjść - warknął przez ramię. - Bineyu, wyrzuć go stąd.

W skroniach mu pulsowało. Musiał zapanować nad gniewem. Nie mógł sobie pozwolić, aby coś odwracało jego uwagę od mającego właśnie nastąpić kataklizmu.

Posępnie zapatrzył się na wieżowce Saro. Nakazał sobie spokój, maksymalny spokój, na jaki mógł się zdobyć tego wieczora.

Onos chylił się nad widnokrzem. Pobladł i zniknął wśród obłoków. Athor obserwował powolny zachód najjaśniejszego z sześciu słońc.

Wiedział, że nie zobaczy go już nigdy jako człowiek przy zdrowych zmysłach.

Nisko na niebie, daleko za miastem, na drugim krańcu horyzontu widać było chłodne, blade światło Sithy. Nie sposób było nigdzie dostrzec bliźniaczego słońca Sithy, Tano - już zaszło, szybując teraz przez niebo przeciwnej półkuli, która wkrótce będzie przeżywała niezwykle zjawisko dnia pięciu słońc. Sitha także szybko zniknął z oczu. Jeszcze chwila, a i on zajdzie.

Athor za plecami słyszał szept Bineya i Teremona.

- Czy ten człowiek wciąż tu jest? - spytał złowieszco.

- Panie profesorze, myślę, że powinien pan wysłuchać tego, co ma do powiedzenia - odparł Biney.

- Tak myślisz? Uważasz, że powinienem go wysłuchać? - Athor pokręcił głową, oczy błyszczały mu złowrogo. - O nie, Bineyu. Nie, to on mnie wysłucha! - Władczym gestem skinął na dziennikarza.

- Podejdz tu, mlody czlowieku! Będzie pan miał materiał do reportażu.

Teremon, który i tak nie kwapił się do wyjścia, powoli podszedł do starego astronoma.

Athor wskazał niebo.

- Sitha za moment zajdzie - nie, już zaszedł. Za kilka chwil Onos także zniknie. I z szczęściu słońce zostanie tylko Dovim. Widzi pan?

Pytanie było zbyteczne. Tego wieczora czerwone karłowate słońce wydawało się jeszcze mniejsze niż zwykle, mniejsze, niż je Teremon kiedykolwiek widział. Niemal osiągnęło zenit. Na horyzoncie gasły jasne promienie zachodzącego Onosa i czerwony blask Dovima spowijał krajobraz niezwykle tragiczną poświatą w kolorze krwi.

Zwrócona w górę twarz Athora ubarwiona była czerwonym światłem Dovima.

- Za niespełna cztery godziny nastąpi kres znanej nam cywilizacji - powiedział stary astronom. - Stanie się tak dlatego, że - jak pan widzi - na firmamencie zostało tylko jedno słońce. - Zmrużył oczy patrząc na horyzont. Ostatnie promienie Onosajuz zniknęły. - Samotny Dovim! Jeszcze cztery godziny, a wszystko się skończy. Niech pan to opublikuje, proszę bardzo! I tak nikt już tego nie przeczyta.

- A jeżeli miną te cztery godziny i kolejne cztery, i nic się nie stanie? - zapytał cicho Teremon.

- Niech pana o to głowa nie boli. Wydarzeń będzie dosyć!

- Być może. A jeśli mimo wszystko nie nastąpi nic nadzwyczajnego? Athor opanował narastający znowu gniew.

- Jeśli pan sam stąd nie wyjdzie, a Biney odmówi wyprowadzenia pana, zadzwonię po strażników i... Nie. To ostatni wieczór cywilizacji, zachowujmy się jak kulturalni ludzie. Ma pan, mlody czlowieku, pięć minut, żeby powiedzieć, z czym pan tutaj przyszedł. Gdy ten czas upłynie albo zezwolę, żeby pan tu pozostał i oglądał zaćmienie, albo też wyjdzie pan z własnej woli. Zrozumiano?

Teremon wahał się tylko przez moment.

- Zgoda.

- Pięć minut. Proszę mówić. - Athor wyjął z kieszeni zegarek.

- Wspaniale! Zatem czy robi to panu jakąś różnicę, gdybym spisał relację naocznego świadka z czekających nas wydarzeń? Jeśli pańskie przewidywania się sprawdzą, moja obecność tutaj nie będzie miała najmniejszego znaczenia - świat się skończy, jutro nie ukażą się żadne gazety, tak więc nie będę mógł wyrzucić panu jakiegokolwiek krzywdy. A przypuśćmy, że nie będzie żadnego zaćmienia. Staniecie się obiektem takiego pośmiewiska, jakiego jeszcze ten świat nie widział. Czy nie sądzi pan, że rozsądniej byłoby mieć przyjaznego prześmiewcę?

Athor odchrząknął.

- Ma pan na myśli siebie?

- Oczywiście! - Teremon niedbale usadowił się na najwygodniejszym krześle i założył nogę na nogę. - Moje felietony może bywają czasami zbyt ostre, zgoda, ale kiedy to tylko możliwe, w sytuacji wątpliwej raczej skłaniam się ku zdaniu naukowców, biorę waszą stronę. Biney jest moim przyjacielem. On pierwszy podsunął mi przypuszczenie, że coś się dzieje i - jak może pan sobie przypomina - z początku byłem życzliwie zainteresowany wynikami pańskich badań. Tak, z początku. Panie profesorze, pytam - jak pan, jeden z największych naukowców w historii, może odrzucać świadomość, że obecny wiek jest czasem zwycięstwa rozumu nad przesądem, faktu nad fantazjami, wiedzy nad ślepym strachem? Apostołowie Płomieni są absurdalnym anachronizmem. Księga Objawień to stek zawitych bzdur. Wie o tym każdy inteligentny, nowoczesny człowiek. I stąd ludzie są zaniepokojeni, nawet zdenerwowani widząc, jak naukowcy zmieniają front i mówią, że ci fanatycy

głoszą prawdę. Oni...

- Nic podobnego, młody człowieku - przerwał Athor. - Mimo że część danych dostarczyli nam Apostołowie, nasze wnioski nie zawierają nic z ich mistycyzmu. Fakty są faktami i nie można zaprzeczyć, że te tak zwane bzdury głoszone przez Apostołów opierają się po części na faktach. Pozwolę sobie pana zapewnić, że odkryliśmy to ku naszemu własnemu zmartwieniu. Ogołociliśmy jednak ich mity z tajemniczości i zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, aby oddzielić ich zupełnie uzasadnione ostrzeżenia o nadchodzącej katastrofie od niedorzecznego i trudnego do zaakceptowania programu przemiany i zreformowania społeczeństwa. Jestem pewien, że Apostołowie nienawidzą nas dzisiaj bardziej nawet niż pan.

- Ja nie pałam do was nienawiścią. Usiłuję jedynie zwrócić uwagę pana profesora, że opinia publiczna jest w kiepskim nastroju. Ludzie są źli.

- Niech sobie będą! - rzucił astronom i drwiąco wydał wargi.

- A co przyniesie jutro?

- Nie będzie żadnego jutra!

- A jeśli jednak będzie? Przyjmijmy takie założenie - choćby tylko dla potrzeb dyskusji. Wówczas ten gniew może stać się groźny. Jak wiadomo, cały świat finansowy już od kilku miesięcy odczuwa tendencję spadkową. Giełda papierów wartościowych załamała się już trzykrotnie, a może pan tego nie zauważył? Inwestorzy są rozsądni i w gruncie rzeczy nie wierzą, że nastąpi koniec świata, ale przypuszczają, że inni inwestorzy mogą tak pomyśleć, stąd też co sprytniejsi wyprzedają akcje, zanim jeszcze zacznie się panika - i tym samym nadają jej impet. Później zaś odkupują akcje z powrotem i znów sprzedają, jak tylko ustabilizuje się rynek, ponownie zaczynając cały cykl spadkowy od początku. A jak pan myśli, co stało się z gospodarką? Szary człowiek też panu nie uwierzył, ale jest zdania, że na wszelki wypadek lepiej odłożyć na później zakup nowych mebli. Woli trzymać pieniądze przy sobie albo ulokować je w żywności i amunicji. Meble mogą poczekać. Panie profesorze, zdaje pan sobie sprawę, do czego zmierzam? Kiedy minie cała histeria, biznesmeni rozpoczną na pana nagonkę. Podniosą krzyk, że w interesie całego świata leży zwalczanie - zechce pan wybaczyć - szarlatanów przebranych za poważnych naukowców, gdyż mogą zachwiać światową gospodarką, szermując podejrzanymi hipotezami. Posypią się na was gromy.

Athor słuchał obojętnie. Pięć minut dobiegło już prawie końca.

- A co pan sugeruje, by opanować sytuację?

- Co sugeruję? - Teremon uśmiechnął się szeroko. - Myślałem o tym, by od jutra działać jako pański nieoficjalny rzecznik prasowy. Chcę przez to powiedzieć, że mógłbym pokierować opinią publiczną - tak jak dotychczas - by napięcie rozładować humorem, czasem niezbędną drwiną. Wiem, wiem... przyznaję, że będzie to przykre, bo wyjdziecie na idiotów. Ale jeśli spowoduję, że ludzie zaczną się z was śmiać, złość pójdzie w niepamięć. W zamian proszę jedynie o wyłączne prawo do relacjonowania dzisiejszych wydarzeń w obserwatorium.

Athor milczał.

- Panie profesorze! - wybuchnął Biney. - Warto się nad tym zastanowić. Braliśmy pod uwagę wszystkie możliwości prócz szansy, może jednej na milion, może jednej na miliard, że do naszej teorii czy obliczeń wkraść się błąd. A jeśli tak jest w istocie...

Zgrupowani wokół astronomowie zareagowali pomrukiem, który zdał się Athorowi pomrukiem zgody. Bogowie, czyżby odwracał się od niego cały wydział? Dyrektor obserwatorium skrzywił się jak ktoś, kto czuje w ustach przykrą gorycz i nie może się jej pozbyć.

- Pozwolić panu na pozostanie z nami po to tylko, by mógł pan nas bardziej ośmieszyć? Widocznie uważa pan, młody człowieku, że wkroczyłem już w wiek starczy!

- Wyjaśniłem, że moja obecność w obserwatorium nic nie zmieni - odparł Teremon. - Jeśli zaćmienie nastąpi, jeśli istotnie nadejdzie Ciemność, to z mojej strony może się pan spodziewać jedynie najwyższego szacunku i chęci pomocy, w razie gdyby sprawy przyjęły zły obrót. A jeśli mimo wszystko nic się nadzwyczajnego nie zdarzy, jestem gotów zaoferować swe usługi w nadziei ochrony pana, panie profesorze, przed gniewem ludzi, którzy...

Przerwał mu kobiecy głos.

- Niech mu pan pozwoli zostać, panie profesorze. Athor rozejrzał się. Nie zauważona przez niego do pokoju weszła Siferra.

- Przepraszam, że się spóźniłam. W ostatniej chwili mieliśmy na Wydziale Archeologii pewien kłopot, który był przyczyną małego zamieszania, i... - wymieniła z Teremonem przelotne spojrzenie, po czym dokończyła, zwracając się do Athora: - Niech pan się nie gniewa, panie profesorze. Wiem, jak bezlitośnie z nas szydził. Poprosiłam go jednak, aby tu dziś wieczorem przyszedł i przekonał się, że to my mieliśmy rację. On jest... moim gościem, panie profesorze.

Athor na chwilę przymknął oczy. Gość Siferry! Tego już było za wiele. Czemu by nie zaprosić też Folimuna? A może Mondiora?! Stracił jednak zapał do dalszej dyskusji. Czasu było coraz mniej. A ponadto nikt z pozostałych nie miał nic przeciwko temu, by Teremon był tu w czasie zaćmienia.

Czy miało to jakieś znaczenie?

Czy cokolwiek miało teraz znaczenie?

- Niech pan zostanie - powiedział Athor z rezygnacją. - Ale proszę nie przeszkadzać nam w wypełnianiu obowiązków. Zrozumiano? O ile to możliwe, będzie się pan trzymał na uboczu. Niech pan również pamięta, że jestem odpowiedzialny za wszystko, co się tu dzieje i, pomimo pańskich opinii wyrażonych w felietonach, wymagam lojalnej współpracy i pełnego szacunku...

Siferra podeszła do Teremona i powiedziała cicho:

- Nie spodziewałam się, że tu dziś przyjdiesz.

- Dlaczego? Zostałem przecież zaproszony.

- Oczywiście. Byłeś jednak tak brutalny w kpinach, jakie o nas wypisywałeś w tych felietonach - tak barbarzyński...

- Chciałaś powiedzieć nieodpowiedzialny? Zacerwieniła się.

- To też. Nie wyobrażałam sobie, że będziesz śmiał stanąć przed Athorem po tych wszystkich okropieństwach, jakie o nim mówiłeś.

- Nie tylko stanąłem przed nim. Jeśli się okaże, że jego śmiałe przewidywania były trafne, padnę przed nim na kolana i pokornie będę błagał o przebaczenie.

- A jeśli jego przewidywania nie okażą się trafne?

- Wtedy będę mu potrzebny - powiedział Teremon. - I wam wszystkim. Właśnie w tym miejscu powinienem być dziś wieczorem.

Siferra spojrziała na dziennikarza ze zdumieniem. Zawsze potrafił powiedzieć coś zaskakującego. Nie zdołała go jeszcze rozgryźć. Oczywiście, czuła do niego niechęć - to nie wymagało wyjaśnień. Wszystko, co było z nim związane, jego sposób mówienia i ubierania się, jej zdaniem uderzały pospolitością i brakiem gustu. On sam był symbolem nieogłodzonego, brutalnego, odrażającego świata zza uniwersyteckich murów, którego nie znosiła.

A jednak, a jednak...

Teremon potrafił wprawiać ją w mimowolny podziw. Był twardy, to po pierwsze, nieugięty w osiągnięciu celu.

Potrafiła to docenić. Był bezpośredni, wręcz szorstki, stanowił jaskrawy kontrast dla fałszywych, wyrachowanych, żądnych władzy ludzi na uniwersytecie, którzy zewsząd ją otaczali. Był też niewątpliwie inteligentny, choć zdecydował się wykorzystywać swą wnikliwość i dociekliwość w pracy na błahym, nic nie znaczącym polu, jakim bezsprzecznie jest dziennikarstwo. Z szacunkiem odnosiła się do jego ogromnej fizycznej energii - był wysoki, dobrze zbudowany i najwyraźniej w znakomitej kondycji. Siferra nigdy nie miała uznania dla cherlaków. Bardzo dbała, by do nich nie należeć.

Właściwie zdała sobie sprawę - choć było to nieprawdopodobne i dla niej bardzo żenujące - że w pewnym sensie ją pociągał. Przyciąganie się przeciwieństw? Tak, tak, to było najbardziej trafne wytłumaczenie. Ale niezupełnie prawdziwe. Siferra wiedziała bowiem, że mimo powierzchownych różnic miała więcej cech wspólnych z Teremonem, niż była skłonna przyznać.

Zakłopotana spojrzała w kierunku okna.

- Już się ściemnia - powiedziała. - Jeszcze nie widziałam, żeby było tak ciemno.

- Przerażona? - spytał Teremon.

- Ciemnością? Nie, raczej tym, co nastąpi później. Ty chyba też.

- Tym, co nastąpi później? - powtórzył dziennikarz. - Przypuszczam, że wzejdzie Onos, zaświeci też kilka innych słońc i w ogóle wszystko będzie tak jak dotąd.

- Wydajesz się tego pewien. Teremon roześmiał się głośno.

- Odkąd jestem na tym świecie, Onos wschodzi każdego ranka. Dlaczego miałbym wątpić, czy wzejdzie jutro?

Siferra pokiwała głową. Znow zaczął ją denerwować swoim prostactwem. Trudno uwierzyć, że jeszcze przed chwilą wydawał się pociągający.

- Onos jutro wzejdzie - powiedziała chłodno - i oświetli takie zniszczenia, jakich osoba o twojej ograniczonej wyobraźni najwidoczniej nie jest zdolna przewidzieć.

- Wszystko w ogniu? I wszyscy chodzą po płonącym mieście bełkocąc i śliniąc się jak idioci?

- Dowody archeologiczne wskazują...

- Tak, pożary, powtarzające się masakry, ale tylko w jednym małym siedlisku, tysiące kilometrów stąd i tysiące lat temu. - Teremon nagle się ożywił. - A gdzie są twoje dowody archeologiczne na epidemie obłądzenia? Czy z tamtych pożarów nie wyciągasz zbyt daleko idących wniosków? Skąd możesz wiedzieć, czy nie były to pożary rytualne, spowodowane przez w pełni rozumnych ludzi w nadziei, że zdołają przywołać słońca i odpędzić Ciemność? Pożary, które, oczywiście, za każdym razem rozprzestrzeniały się i powodowały rozległe zniszczenia, ale które nie były w żaden sposób związane z jakimś upośledzeniem umysłowym ogółu ludzkości!

Siferra zachowała spokój.

- Jeśli już mówisz o powszechnym upośledzeniu umysłowym, to wiedz, że na to też istnieje dowód archeologiczny - powiedziała chłodno.

- Jaki dowód?

- Teksty tabliczek. Dopiero dziś rano zakończyliśmy odczytywanie; korzystaliśmy z danych filologicznych, które udostępnili nam Apostołowie Płomieni...

- Apostołowie Płomieni! Cudownie! - Teremon parsknął śmiechem. - Więc ty też jesteś Apostołem! Co za wstyd, Siferro. Kobieta o takiej jak ty figurze... cóż, od teraz będziesz się musiała

opatulać w jedną z ich strasznych, bezkształtnych, grubych szat.

- Ty błaznie! - Siferre na tę bezczelność zalała fala wściekłości i obrzydzenia. - Nie stać cię na nic innego, tylko na szyderstwo? Jesteś tak przekonany o swojej własnej racji, że oczywiste fakty zbywasz nędzną kpina, Niewiarygodne...

Odwróciła się i szybko przeszła przez pokój.

- Siferro! Siferro, poczekaj...

Udała, że nie słyszy. Jej serce pulsowało gniewem. Zrozumiała teraz, że popełniła straszliwą pomyłkę, zapraszając tu Teremona. Pomyłkę, która w rzeczywistości nie miała z nim nic wspólnego.

Pomyślała, że wszystkiemu zawinił Biney.

To właśnie Biney kilka miesięcy temu przedstawił jej Teremona w klubie na Wydziale Archeologii. Dziennikarz i młody astronom znali się już od dawna i Teremon często radził się Bineya w sprawach naukowych, które były akurat poruszane w prasie.

Wtedy powszechne zainteresowanie budziły przepowiednie Mondiora 71 o końcu świata, co miało nastąpić dziewiętnastego theptara, czyli za niespełna rok. Oczywiście, nikt na uniwersytecie nie darzył Mondiora i jego Apostołów najmniejszym nawet szacunkiem, ale prawie w tym samym czasie Biney ujawnił zaobserwowane nieprawidłowości w orbicie Kalgasza, a Siferra zdała relację z odkryć na wzgórzu Tombo z pożarów następujących co dwa tysiące lat. Obydwa odkrycia były przerażająco zbieżne z prorocत्वami Apostołów.

Wydawało się, że Teremon wie wszystko o Tombo. Siferra i Biney rozmawiali w klubie, a tu raptem wszedł ten dziennikarz i Biney bez żadnego uprzedzenia powiedział po prostu:

- Siferro, poznaj mego przyjaciela. Teremonie, to doktor Siferra z Wydziału Archeologii.

- Tak, tak, wiem - odpowiedział pośpiesznie Teremon. - Spalone jedna po drugiej osady na starożytnym wzgórzu.

- Więc słyszał pan o tym? - Siferra chłodno się uśmiechnęła.

- Powiedziałem mu - rzekł szybko Biney. - Pamiętam, obiecałem nie pisać ani słowa, ale jak już pokazałaś to wszystko Athorowi, Szirinowi i reszcie, pomyślałem sobie, że nie zrobię nic złego, jeśli mu powiem - o ile każę mu przysiąc dochowanie tajemnicy... Chcę przez to powiedzieć, Siferro, że ufam temu człowiekowi i byłem całkiem pewien...

- Daj już spokój, Bineyu! - Siferra z trudem opanowała rozdrażnienie. - Nie powinieneś nic mówić, ale wybaczam ci.

- Nic się nie stało - wtrącił Teremon. - Biney kazał mi złożyć uroczystą przysięgę, że nie będę o tym pisał. I nic nie napisałem, choć to absolutnie fascynujące! Ile lat ma ta osada na spodzie? Jakies pięćdziesiąt tysięcy?

- Gdzieś około piętnastu tysięcy. To i tak dużo, skoro Beklimot - słyszał pan zapewne o Beklimocie? - liczy sobie w przybliżeniu dwa tysiące lat, a przyjęliśmy uważać go za najwcześniejszą osadę na Kalgaszu. Czy zamierza pan pisać o moich odkryciach?

- Właściwie nie miałem takiego zamiaru. Powiedziałem już, że dałem Bineyowi słowo, no i uznałem, że jest to chyba zbyt abstrakcyjne dla czytelników "Kroniki", nadto odległe od ich spraw codziennych. Teraz myślę, że to wspomniały temat. Jeśli zechciałaby się pani ze mną spotkać i przekazać mi szczegóły...

- Raczej nie - odparła Siferra.

- Czego mi pani odmawia? Nie chce się pani ze mną spotkać czy przekazać mi szczegółów?

Jego natychmiastowa, bezceremonialna riposta rzuciła na tę rozmowę zupełnie nowe światło.

Siferra ku swemu zaskoczeniu zrozumiała, że dziennikarza pociąga jej urok. Zdała sobie sprawę, że Teremon musiał podejrzewać, iż między nią i Bineyem istniał romans - przecież spotkał ich siedzących razem w klubie - a gdy w końcu zdecydował, że nic ich nie łączy, odważył się zaproponować jej randkę.

„To jego problem” - pomyślała sobie i obojętnie powiedziała:

- Jeszcze nie opublikowałam swych prac o Tombo w przeglądach naukowych. Do tego czasu nic nie powinno się przedostać do prasy codziennej.

- Całkowicie to rozumiem. A jeśli obiecuję, że będę przestrzegał daty wydania pani pracy, czy wcześniej byłaby pani skłonna przejrzeć ze mną swoje materiały?

Spojrzała na Bineya. Cóż była warta obietnica dziennikarza?

- Możesz mu zaufać - rzekł Biney. - Już ci mówiłem, jest bardzo słowny jak na ten fach.

- Nie wiem, czy to wystarczająca rekomendacja - wtrącił Teremon ze śmiechem. - Mam jednak dość rozumu, by dotrzymać słowa, kiedy chodzi o pierwszeństwo w wydaniu publikacji naukowej. Gdybym zbyt wcześnie wyskoczył z pani historią, Biney już by dopilnował, żeby na całym uniwersytecie moje nazwisko zmieszano z błotem. Miałbym się z pyszna, przecież niektóre z moich najciekawszych tematów w dużej mierze zależą od kontaktów z uczonymi. Czy mogę zatem liczyć na wywiad z panią? Powiedzmy, pojutrze?

I tak to się zaczęło.

Teremon był bardzo przekonujący. Ostatecznie zgodziła się zjeść z nim obiad i powoli, zrećźnie wydusił z niej szczegóły dotyczące wykopalisk w Tombo. Później tego żałowała; spodziewała się zobaczyć na drugi dzień głupi, sensacyjny artykuł w "Kronice Saro", ale Teremon dotrzymał słowa i nic na ten temat nie napisał. Poprosił jednak, by pokazała mu swe laboratorium. Znow się zgodziła, on zaś przeglądał wykresy, zdjęcia i próbki popiołu. Zadawał inteligentne pytania.

- Nie masz zamiaru o mnie pisać, prawda? - spytała nerwowo. - Teraz, gdy już to wszystko obejrzałeś?

- Złożyłem obietnicę. I jej dotrzymam. Z chwilą gdy powiesz mi, że twoje odkrycia zostaną wkrótce opublikowane w jednym z przeglądów naukowych, będę uważał, iż uzyskałem prawo do opisanie całej tej historii. Co byś powiedziała na obiad jutro wieczorem w klubie Sześć Słońc?

- No, nie wiem...

- Więc pojutrze?

Siferra rzadko bywała w miejscach typu Sześć Słońc. Nie chciała nikomu czynić złudnych nadziei.

Teremonowi jednak niełatwo było odmówić. Dziesięć dni ją namawiał - grzecznie, zabawnie i sprytnie - aż wreszcie osiągnął cel. Umówiła się z nim na randkę. Cóż, pomyślała, że może pozwolić sobie na pewną zmianę, odejść od monotonii swej pracy. A on był taki przystojny... Spotkali się w Sześciu Słońcach, gdzie jak się okazało, wszyscy dobrze go znali. Podano im drinki, obiad, wyśmienite wino z prowincji Thamian. W rozmowie zrećźnie przeskakiwał z tematu na temat: trochę o jej życiu, jej fascynacji archeologią, wykopaliskach w Beklimocie. Dowiedział się, że nie wyszła za mąż i nie miała zamiaru tego uczynić. Rozmawiał z nią o Apostołach, ich szalonych przepowiedniach, zaskakującym związku jej znalezisk z Tombo z twierdzeniami Mondiora. Wszystko, co mówił, było wielce taktowne, błyskotliwe, interesujące. Był czarujący - i zarazem bardzo podstępny.

12 - Nastanie nocy 177

Pod koniec kolacji spytał ją - grzecznie, zabawnie i sprytnie - czy mógłby towarzyszyć jej w drodze do domu. Na to już nie pozwoliła.

Wcale go to nie zraziło. Po prostu zaproponował, by znowu gdzieś razem poszli.

Trwało to jakieś dwa miesiące. Spotkali się jeszcze ze dwa czy trzy razy. Za każdym razem powtarzał się ten sam schemat: kolacja w jakimś eleganckim lokalu, interesująca rozmowa, w końcu delikatnie sformułowana propozycja, by nie szła spać samotnie. Za każdym razem równie delikatnie się wykręcała. Zastanawiała się, jak długo potrwa ta niewinna pogoń, która stała się przyjemną zabawą. Nadal nie miała ochoty pójść z nim do łóżka, ale - i to było dziwne - nie miała też specjalnej ochoty, by nie pójść z nim do łóżka. Od dawna niczego podobnego nie czuła w stosunku do żadnego mężczyzny.

Wtedy pojawiła się pierwsza seria felietonów, w których Teremon zdradził teorie obserwatorium, podał w wątpliwość pełnię władz umysłowych Athora, przyrównał przepowiednie naukowców o zaćmieniu do urojeń Apostołów Płomieni.

Początkowo Siferra nie wierzyła. Czy był to jakiś kawał?

Przyjaciel Bineya - a właściwie teraz jej przyjaciel - przypuszcza tak bezpardonowy atak?

Minęło parę miesięcy. Ataki trwały nadal. Nie miała od Teremona żadnych wieści.

W końcu nie mogła już dłużej milczeć.

Zadzwoiła do niego do redakcji.

- Siferra! Co za niespodzianka! Możesz mi wierzyć lub nie, ale miałem dziś po południu do ciebie zadzwonić, żeby spytać, czy byłabyś zainteresowana pójściem do...

- Nie byłabym - przerwała mu. - Co ty wyprawiasz?

- Wyprawiam?

- Mówię o felietonach o Athorze i obserwatorium. Przez dłuższy czas po drugiej stronie panowała cisza. Wreszcie Siferra usłyszała:

- Jesteś zdenerwowana.

- Zdenerwowana? Jestem wściekła!

- Wydaje ci się, że byłem zbyt ostry? Posłuchaj, Siferro, kiedy piszesz dla ogromnej rzeszy prostych ludzi, czasem aż za prostych, musisz pisać jasno, czarno na białym, albo ryzykujesz, że nie zrozumieją. Nie mogę tak po prostu napisać, że według mnie Athor i Biney są w błędzie. Muszę napisać, że są pomyłkami.

- Od kiedy to uważasz, że są w błędzie? A co na to Biney?

- No...

- Piszesz na ten temat od wielu miesięcy, teraz jednak wykonałeś zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Czytając twoje artykuły można dojść do wniosku, że wszyscy na uniwersytecie są zupełnie szalonymi uczniami Mondiora. Jeśli szukałeś kogoś, z kogo mógłbyś sobie stroić żarty, czy nie mogłeś rozejrzeć się gdzieś poza uniwersytetem?

- To nie są tylko żarty, Siferro - powiedział Teremon spokojnie.

- Wierzysz w to, co piszesz?

- Tak. Szczerze. Jestem przekonany, że nie będzie żadnego kataklizmu. I oto Athor uruchamia alarm przeciwpożarowy w zatłoczonym teatrze. Moimi żartami, pogodnym wyśmiewaniem się z tego i owego próbuję powiedzieć ludziom, że niekoniecznie muszą go traktować poważnie - niech nie wpadają w panikę, nie krzyczą ze strachu...

- Ależ, Teremonie, pożary będą miały miejsce! A ty swoim szyderstwem prowadzisz

niebezpieczną grę kosztem dobra ogółu. Posłuchaj mnie: widziałam popioły dawnych pożarów, pożarów odległych o tysiące lat. Wiem, co się wydarzy. Płomienie nadejdą. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ty także widziałeś dowody. I mimo to działasz w sposób najbardziej destrukcyjny, jaki można sobie wyobrazić. Okrutny, głupi i pełen nienawiści. I całkowicie nieodpowiedzialny.

- Siferro...

- Sądziłam, że jesteś człowiekiem inteligentnym. Teraz widzę, że jesteś dokładnie taki sam jak pozostali.

- Sifer...

Przerwała połączenie.

I tak już pozostało. Nie zmieniła swojego zdania o Teremonie, nie odpowiadała, kiedy dzwonił, aż do pewnej chwili na kilka tygodni przed owym fatalnym dniem.

Na początku theptara Teremon zadzwonił po raz kolejny i Siferra odezwała się, nie wiedząc, że to on.

- Nie odkładaj słuchawki - powiedział szybko. - Daj mi tylko minutę.

- Wolałabym nie.

- Słuchaj, Siferro. Możesz mnie nienawidzić z całej duszy, ale chcę, żebyś wiedziała, że nie jestem okrutny ani głupi.

- A któż to powiedział?

- Ty to powiedziałaś kilka miesięcy temu, kiedy ostatni raz rozmawialiśmy. Ale to nie tak. Ja wierzę we wszystko, co napisałem w moich felietonach na temat zaćmienia.

- Zatem rzeczywiście jesteś głupcem... a może błaznem. Nie wiem, czy stanowi to jakąś różnicę i czy na pewno na korzyść. To zresztą nic nie zmienia.

- Widziałem dowody i myślałem o nich. Uważam, że wy wszyscy zbyt szybko wyciągacie wnioski.

- Cóż, przekonamy się o tym dziewiętnastego - odrzekła chłodno.

- Żałuję, że nie potrafię wam uwierzyć, bo ty, Biney i pozostali jesteście tak wspaniałymi ludźmi, szczerze oddanymi sprawie, cudownymi, i tak dalej. Ale nie potrafię. Jestem sceptykiem z natury. Byłem nim przez całe życie. Nie potrafię przyjąć żadnego dogmatu, który ludzie próbują mi wmówić. Zdaje się, że to duża wada - to sprawia, że wydaję się powierzchowny. Być może rzeczywiście jestem powierzchowny, ale przynajmniej jestem szczery. Po prostu myślę, że nie będzie żadnego zaćmienia, szaleństwa czy pożarów.

- To nie dogmat, Teremonie, a hipoteza.

- Wybacz, to tylko gra słów. Przepraszam, Siferro, jeśli poczułaś się obrażona czymś, co napisałem, ale nic na to nie mogę poradzić.

Przez chwilę milczała. W jego głosie coś ją osobliwie wzruszyło. W końcu powiedziała:

- Dogmat, hipoteza, jakkolwiek to nazwiemy, zostanie zweryfikowane już za kilka tygodni. Dziewiętnastego wieczorem będę w obserwatorium. Przyjdź więc, zobaczymy, kto z nas ma rację.

- Czy Biney nic ci nie powiedział? Athor uznał mnie persona non grata na terenie obserwatorium!

- Czy coś takiego kiedykolwiek cię powstrzymało?

- On się nie zgadza nawet na rozmowę ze mną. Rozumiesz, chcę mu coś zaproponować, coś, co będzie mu pomocne po dziewiętnastym, kiedy okaże się, że jego ostrzeżenia były opowiadaniem głodnych kawałków i rozwścieczeni ludzie zaczną się domagać jego głowy. Jednak według Bineya

nie ma dużej nadziei, by zechciał ze mną rozmawiać, na pewno więc nie pozwoli, bym przyszedł akurat tego wieczora.

- Przyjdź jako mój gość. Mój przyjaciel. - Skrzywiła się wymawiając to słowo. - Athor będzie zbyt zajęty, by zwrócić na to uwagę. Chcę, żebyś znalazł się w obserwatorium, kiedy niebo stanie się czarne i zapłoną pierwsze pożary. Chcę zobaczyć twoją twarz. Chcę się przekonać, Teremonie, czy jesteś równie doświadczony w przeprosinach jak w uwodzeniu.

To było trzy tygodnie temu. Teraz, zirytowana, uciekając od Teremona, Siferra przebiegła na drugą stronę pokoju i dostrzegła Athora, stojącego samotnie i przeglądającego plik wydruków komputerowych. Wielokrotnie przerzucał kolejne strony jakby w nadziei, że w gęstych kolumnach liczb znajdzie coś, co zawiesi wykonanie wyroku na świat. Podniósł wzrok i zobaczył Siferę. Zaczerwieniła się.

- Panie profesorze, bardzo przepraszam za to, że zaprosiłam tego człowieka po wszystkim, co napisał o nas, o panu, o... - Spuściła głowę. - Myślałam, że będzie się mógł wiele nauczyć, przebywając między nami w chwili, gdy... gdy... Cóż, myliłam się. On jest jeszcze bardziej płaski i głupi, niż to sobie wyobrażałam. W żadnym wypadku nie powinnam go była zapraszać.

- Teraz to już nie ma znaczenia - odparł stary astronom słabym głosem. - Jeśli tylko nie będzie mi wchodził w drogę, nie dbam o to, czy tu jest czy nie.

Jeszcze kilka godzin, a już nic nie będzie mi robiło różnicy. - Wskazał na niebo. - Tak ciemno! Tak bardzo ciemno! A to dopiero początek... Zastanawiam się, gdzie się podziiali Faron i Imot. Widziała ich pani? Nie? Hm... Kiedy pani tu weszła, powiedziała nam pani, że w ostatniej chwili mieliście na wydziale jakiś kłopot. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Tabliczki z Tombo zniknęły.

- Zniknęły?!

- Były oczywiście zamknięte w sejfie artefaktów. Już miałam wychodzić, kiedy wstąpił do mnie profesor Mudrin. Szedł właśnie do Sanktuarium, ale chciał jeszcze coś sprawdzić w swoim tłumaczeniu, wprowadzić jakieś nowe pojęcie. Otworzyliśmy więc sejf i... nie znaleźliśmy ich. Ulotniły się, wszystkie sześć. Naturalnie, mamy kopie, ale mimo wszystko... to były oryginały, autentyki pochodzące z czasów starożytnych...

- Jak to się mogło stać?

- Czy to nie jest oczywiste? - W głosie Siferry zabrzmiała gorycz. - Wykradli je Apostołowie. Prawdopodobnie chcą ich użyć jako pewnego rodzaju świętych talizmanów, po tym jak... jak nadejdzie Ciemność i świat stanie w ogniu.

- Czy są jakieś ślady?

- Nie jestem detektywem, panie profesorze, chyba jednak nie mamy dowodów, ale to musiała być sprawa Apostołów. Chcieli je mieć od chwili, kiedy usłyszeli, że znajdują się w moich rękach. Ach, w żadnym wypadku nie powinnam była mówić o nich Apostołom! W ogóle żałuję, że komukolwiek wspomniałam o tych tabliczkach!

- Moje dziecko - Athor ujął ją za rękę - nie powinna się pani tak denerwować.

„Moje dziecko”! Przyjrzała mu się zaskoczona. Nikt jej tak nie nazywał od dwudziestu pięciu lat! Zdusiła w sobie złość. Bądź co bądź, profesor miał już swoje lata. Próbował jedynie być wobec niej uprzejmy.

- Niech je sobie wezmą, Siferro - mówił dalej. - Teraz nie stanowi to żadnej różnicy. Za sprawą człowieka, który tam stoi, nic już zresztą nie robi różnicy, prawda?

Wzruszyła ramionami.

- Mimo to obrzydzenie mnie ogarnia na samą myśl, że jakiś złodziej w szacie Apostoła węszył w moim gabinecie... włamał się do mojego sejfu... ukradł rzeczy, które wykopałam własnymi rękoma. To jakby gwałt na moim ciele. Czy pan potrafi to zrozumieć, panie profesorze? Ograbienie mnie z tych tabliczek - to prawie gwałt.

- Rozumiem, jak bardzo jest pani zdenerwowana - powiedział Athor tonem wskazującym, że tak naprawdę nic nie rozumiał. - Proszę spojrzeć... o, tam. Jak jaskrawo świeci Dovim. A już za chwilę wszystko pokryje Ciemność.

Zdobyła się na niewyraźny uśmiech i odwróciła od niego wzrok.

Wokół niej wszyscy krążyli z miejsca na miejsce, coś sprawdzali, o czymś dyskutowali, podbiegali do okna, szeptali. Co pewien czas ktoś w pośpiechu przychodził, by przekazać jakieś nowe dane z kopuły obserwatorium. Wśród tych astronomów czuła się jak ktoś zupełnie obcy. Była bezgranicznie smutna i zrozpaczona. "Widocznie fatalizm Athora zostawił we mnie jakieś ślady" - pomyślała. Profesor wydawał się przygnębiony, zagubiony. To zupełnie nie było do niego podobne.

Chciała mu przypomnieć, że tego wieczora to nie świat się skończy, a jedynie obecny cykl w rozwoju cywilizacji. Ci, którzy się schowali, wyjdą z ukrycia i zaczną wszystko od początku, wszystko odbudują, tak jak się to już zdarzało razy kilkanaście - a może dwadzieścia czy sto - od początku istnienia cywilizacji na Kalgaszu.

Uznała jednak, że nie ma sensu mówić o tym Athorowi. Osiągnęłyby prawdopodobnie tak samo mizerne rezultaty jak on, kiedy starał się ją pocieszyć po utracie tabliczek. Miał dotąd nadzieję, że cały świat wystarczająco przygotowuje się na wypadek katastrofy, a okazało się, że tylko nieliczni zwrócili uwagę na ostrzeżenia. Jedynie ta garstka, która schroniła się w Sanktuarium, bądź we wszelkich innych kryjówkach i schronach, jakie mogły w tym czasie powstać...

Podszedł do niej Biney.

- Rozmawiałem właśnie z Athorem. Zginęły tabliczki?

- Otóż to, zginęły. Ukradzono je. Wiedziałam, że nigdy nie powinnam się godzić na żadne kontakty z Apostołami.

- Myślisz, że to oni je ukradli?

- Jestem tego pewna! Jak tylko istnienie tabliczek z Tombo wyszło na jaw, przestali mi wiadomość, że mają informacje, które mogłabym wykorzystać. Nie mówiłam ci? Pewnie zapomniałam. Chcieli układu podobnego do tego, który Athor zawarł z tym najwyższym kapłanem, czy też kim on tam jest, Folimunem 66. "Zachowaliśmy wiedzę o starym języku - powiedział Folimun. - O języku, którym mówiono w poprzednim Roku Łaski". Najwidoczniej mieli jakieś teksty, słowniki, alfabety starego pisma, być może znacznie więcej.

- I Athor zdołał je od nich pozyskać, czy tak?

- Niektóre z nich. W każdym razie wystarczająco dużo, by potwierdzić, że Apostołowie rzeczywiście mają astronomiczne rejestry poprzedniego zaćmienia - wystarczająco dużo, jak ocenił Athor, by udowodnić, że świat co najmniej raz przeszedł już taki kataklizm.

Opowiedziała Bineyowi, jak Athor dał jej kopie tych kilku fragmentów tekstów astronomicznych, które otrzymał od Folimuna, a ona przekazała je profesorowi Mudrinowi. Okazały się bardzo przydatne przy tłumaczeniu inskrypcji z Tombo. Siferra uchylała się od wypożyczenia tabliczek Apostołom, przynajmniej nie na ich warunkach. Apostołowie twierdzili, że znają klucz do starszego pisma glinianych tabliczek i być może była to prawda. Folimun jednak nalegał, żeby raczej to ona

dała mu do skopiowania i odczytania właściwe tabliczki, niżby to on miał jej przekazać materiał do ich odcyfrowania. Nie chciał się zadowolić samymi kopiami inskrypcji. Musiały to być oryginalne artefakty albo rezygnował ze współpracy.

- Ale na to się nie zgodziłaś - stwierdził Biney.

- Oczywiście! Tabliczki nie powinny opuszczać terenu uniwersytetu. "Dajcie nam klucz do odczytania tego pisma - powiedziała Folimunowi - a my przekazemy wam kopie tekstów tabliczek. Wtedy będziemy mogli spróbować tłumaczenia każdy z osobna".

Folimun odmówił. Kopie tekstów nie były mu przydatne, ponieważ z łatwością mogły zostać uznane za fałszerstwo. Odmawiał też stanowczo przekazania archeologom własnych dokumentów. Twierdził, że stanowią materiały sakralne, które mogą być udostępniane jedynie Apostołom. Chciał, aby dać mu tabliczki, obiecując w zamian ich tłumaczenie, ale nikt z zewnątrz nie miał prawa oglądać tekstów znajdujących się w jego posiadaniu.

- Właściwie przez chwilę byłam nawet skłonna przyłączyć się do Apostołów - powiedziała Siferra - tylko po to, by mieć dostęp do klucza.

- Ty? Apostołem Płomieni?

- Tylko żeby pozyskać ich materiał tekstowy. Ale ten pomysł budził we mnie odrazę. Odmówiłam Folimunowi. Mudrin musiał się trudzić z tłumaczeniami bez pomocy dokumentów, jakie mogli mieć Apostołowie. Stawało się oczywiste, że tabliczki mówią o jakimś kataklizmie, który bogowie zesłali na świat - tłumaczenia Mudrina były jednak dość fragmentaryczne, niepewne i mgliste.

Cóż, chociaż trudno jej się było z tym pogodzić, teraz z dużym prawdopodobieństwem mogła przyjąć, że Apostołowie zdobyli jednak drogocenne znaleziska z Tombo. W nadchodzącym chaosie oni mieliby się obnosić z tymi tabliczkami - jej tabliczkami! - jako jeszcze jednym dowodem swego uświęcenia i mądrości.

- Przykro mi, Siferro, że twoje tabliczki zniknęły - powiedział Biney - ale być może istnieje ewentualność, że to jednak nie Apostołowie je ukradli. Że gdzieś się znajdują.

- Na to nie liczę. - Siferra uśmiechnęła się smutno i odwróciła głowę, by spojrzeć na szarzące niebo.

Na pociechę mogła w najlepszym razie przyjąć sposób myślenia Athora, że oto za chwilę nastąpi koniec świata i nic już nie ma znaczenia. Była to słaba pociecha. W głębi duszy walczyła z wszelkimi podobnymi radami dyktowanymi przez rozpacz. Należy myśleć o tym, co będzie pojutrze - o przetrwaniu, o odbudowie, o walce i jej zwycięskim zakończeniu. Nie było sensu popadać w zwątpienie jak Athor i godzić się na upadek ludzkości, wzruszać ramionami i tracić wszelką nadzieję.

Nagle jej ponure medytacje przerwał czyjś wysoki tenor.

- Cześć wszystkim! Cześć, cześć, cześć!

- Szirin! - wykrzyknął Biney. - Co ty tu robisz? Pulchna twarz przybysza rozjaśniła się szerokim uśmiechem.

- Skąd ta atmosfera jak w rodzinnym grobie? Chyba nie zawodzą was nerwy? Athor był skonsternowany.

- Co pan tu robi, profesorze? - spytał zrzędlawie. - Myślałem, że spokojnie siedzi pan w Sanktuarium.

Szirin roześmiał się i opadł na krzesło całym swym ciężarem.

- Do diabła z Sanktuarium! Okropnie nudny przybytek! Wolę być tutaj, gdzie będzie gorąco. Nie sądzi pan chyba, że jestem wyprany z ciekawości? Przejechałem przez Tunel Tajemnic, mogę przeżyć

jeszcze jedną dawkę Ciemności. I chcę zobaczyć te gwiazdy, o których gadają Apostołowie. - Zatarł ręce i podjął poważniejszym tonem: - Mróz na dworze. Wiatr taki, że głowy urywa. Dovim wcale nie grzeje.

Siwowłosy dyrektor obserwatorium zgrzytnął zębami w nagłym rozdrażnieniu.

- Dlaczego pan ryzykuje zamiast siedzieć w bezpiecznym miejscu? Co tutaj po panu?

- Co tutaj po mnie? - Szirin z komiczną rezygnacją rozłożył ręce. - W Sanktuarium psycholog zda się psu na budę. Przynajmniej teraz. Nie mógłbym ludziom tam ukrytym w niczym pomóc. Zaszyci pod ziemią są bezpieczni. Jest im dobrze. Nie ma się co o nich martwić.

- A jeśli w czasie Ciemności wtargnie tam tłum? Szirin zaśmiał się głośno.

- Bardzo wątpię, czy ktoś, kto nie wie, gdzie znajduje się wejście, nawet w biały dzień znalazłby Sanktuarium, a co dopiero kiedy zajdą wszystkie słońca. A jeśli tłum tam wtargnie, to cóż, będą potrzebowali ludzi energicznych, dzielnych i zdolnych do walki. A ja? Jestem na to o dwadzieścia kilogramów za ciężki. Po co więc miałbym tłoczyć się tam z nimi? Wolę być tutaj.

Słowa Szirina dodały Siferze otuchy. Ona także ten wieczór Ciemności zdecydowana była spędzić w obserwatorium zamiast w Sanktuarium. Może była to czysta zuchwałość, może idiotycznie przesadna pewność siebie, ale wiedziała na pewno, że mogła przetrwać te godziny zaćmienia - a nawet nadchodzące gwiazdy, jeśli w mitach była choć krzta prawdy - i zachować pełnię swych władz umysłowych. Dlatego właśnie zdecydowała się osobiście doświadczyć tego, co miało nastąpić.

Teraz się okazało, że Szirin, który nie był uosobieniem odwagi, myśli podobnie. Mogło to oznaczać, iż według niego wpływ Ciemności wcale nie będzie aż tak przytłaczający, jak to przez wiele miesięcy głosił w swych ponurych prognozach. Sama przecież słyszała jego relacje o Tunelu Tajemnic i o spustoszeniu, jakiego dokonywał w ludziach. Nawet w nim samym. A jednak tu był. Musiał widocznie dojść do przekonania, że przynajmniej niektórzy ludzie okażą się bardziej odporni, niż się spodziewał.

A może po prostu był lekkomyślny? Może dziś wieczorem wolał raczej postradać zmysły, aniżeli pozostać w pełni władz umysłowych, by po kataklizmie borykać się z niezliczonymi i nie dającymi się nawet przewidzieć problemami...

Nie, nie. Znów popadała w niezdrowy pesymizm.

Odsunęła tę myśl od siebie.

- Szirin! - Teremon podszedł, by przywitać się z psychologiem. - Pamiętasz mnie? Teremon 762.

- Oczywiście, że pamiętam, Teremonie! - Szirin wyciągnął rękę. - Ostatnio, chłopcze, byłeś na nas strasznie cięty! Było, minęło, dziś wieczorem możemy chyba puścić w niepamięć twoje wybryki.

- To on niech odejdzie w niepamięć - mruknęła Siferra pod nosem. Rzuciła dziennikarzowi pełne wstrętu spojrzenie i cofnęła się o kilka kroków.

Teremon uściśnął Szirinowi dłoń.

- Miałeś być w Sanktuarium? Żdziebko już tu dziś słyszałem, ale nadal nie mam pojęcia, co to właściwie jest.

- Cóż - westchnął Szirin - zdołaliśmy przekonać przynajmniej paru ludzi. Uwierzyli w słuszność naszego prorocstwa na temat... hm... zagłady, jak to efektownie nazwaliśmy, i ta garstka zdecydowała się podjąć odpowiednie działania. Są to przeważnie rodziny personelu obserwatorium, pracownicy uniwersytetu i ich najbliżsi, a także kilku ludzi z zewnątrz. W sumie ze trzy setki. Jest tam moja bliska znajoma Liliat 221 i gdyby nie moja piekielna ciekawość, ja też powinienem się tam znaleźć.

- Rozumiem. Ci ludzie mają pozostać w ukryciu przez czas trwania Ciemności. Nie zobaczą...

no... gwiazd i ocaleją, kiedy reszta świata zwariuje.

- Dokładnie tak. Apostołowie też mają jakąś kryjówkę. Trudno powiedzieć, ilu jest w niej ludzi - w najlepszym dla nas przypadku tylko kilku, choć bardziej prawdopodobne, że tysiące. Później, gdy skończy się Ciemność, wyjdą z ukrycia jako dziedzice tego świata.

- Zatem grupa ludzi z uniwersytetu ma być dla nich przeciwwagą? - domyślił się Teremon. Szirin skinął głową.

- Tak, choć nie będzie to wcale proste, przy obłąkaniu niemal całej ludzkości, przy pożarach, jakie ogarną wielkie miasta, przy być może ogromnej hordzie Apostołów ustanawiających własny porządek na tym, co jeszcze z tego świata zostanie - tak, niełatwo im będzie przeżyć. No, ale tymczasem mają jedzenie, wodę, schronienie, broń...

- Mają więcej - dodał Athor. - Mają zarejestrowaną całą wiedzę astronomiczną, wszystko prócz informacji, które zdołamy jeszcze dzisiaj zebrać. Właśnie dokumenty będą szalenie istotne dla następnego cyklu i one muszą przetrwać. Na resztę możemy machnąć ręką.

Teremon gwizdnął przeciągle.

- Jesteście zatem zupełnie pewni, że wszystko zdarzy się dokładnie tak, jak to przewidzieliście!

- Czy moglibyśmy zakładać coś innego? - szorstko spytała Siferra. - Kiedy zrozumieliśmy, że nie można uniknąć katastrofy...

- Jasne - przerwał dziennikarz. - Musieliście się do niej odpowiednio przygotować, ponieważ jesteście w posiadaniu Prawdy. Podobnie jak w posiadaniu Prawdy są Apostołowie. Co zaś się tyczy wydarzeń tego wieczoru, chciałbym choć w połowie być ich tak pewien, jak wy wszyscy, posiadacze Prawdy.

Siferra posłała mu piorunujące spojrzenie.

- A ja chciałabym, żebyś dziś wieczorem błakał się po płonących ulicach! Ale nie... nie, ty będziesz bezpieczny tutaj! Nie zasłużyłeś sobie na to!

- Uspokój się, Siferro. - Szirin wziął Teremona pod ramię i powiedział cicho: - Przyjacielu, nie ma teraz sensu nikogo prowokować. Chodź, porozmawiajmy gdzieś, gdzie nie będziemy nikomu przeszkadzać.

- Dobry pomysł - zgodził się Teremon. Jednakże nie zrobił nawet jednego kroku w kierunku wyjścia. Przy stole rozpoczęła się partia szachów stochastycznych, a Teremon stał, obserwując z widocznym zdumieniem, jak szybko i w pełnej ciszy gracze wykonują kolejne ruchy. Był zdziwiony ich umiejętnością koncentracji w chwili, gdy - jak wierzyli - już za kilka godzin miał nastąpić koniec świata.

- Chodź - powtórzył Szirin.

Wyszli na korytarz, a zaraz potem podążył za nimi Biney.

„Co to za nieznośny człowiek!” - myślała Siferra. Wpatrywała się w błyszczącą, płonącą czerwono kulę Dovima. Czy przez ostatnie kilka minut niebo nie zrobiło się jeszcze ciemniejsze? Nie, nie, to niemożliwe. Tylko tak się wydaje. Dovim wciąż świeci”.

Teraz, gdy Dovim był jedynym słońcem, niebo wyglądało jakoś dziwnie. Nigdy dotąd nie widziała, by miało tak głęboki odcień purpury. Wciąż jednak daleko było do pełnej ciemności - ponuro, tak, ale wystarczająco jasno, by wszystko widzieć wyraźnie pomimo stosunkowo słabego światła jednego małego słońca.

Znów przypomniała sobie o zaginionych tabliczkach. Odpędziła jednak tę myśl.

„Szachiści mieli dobry pomysł - powiedziała sobie. - Usiąść i odpocząć. Póki jeszcze można”.

Szirin poprowadził Teremona do sąsiedniego pokoju. Były tam wygodniejsze krzesła, a także grube czerwone zasłony w oknach i rudy dywan na podłodze. W ceglasmym świetle Dovima wydawało się, że wszystko jest jedną dużą plamą zaschniętej krwi.

Psycholog zdziwił się, widząc tu dziś Teremona, po tych jego szyderczych felietonach, po tym jak zdecydowanie zrażał ludzi do kampanii Athora na rzecz ogólnokrajowej gotowości. W ostatnich tygodniach, za każdym razem gdy tylko padało imię Teremona, Athor nieomal wpadał w szal. Dlaczego nagle złagodniał i pozwolił dziennikarzowi zostać w obserwatorium na czas zaćmienia?

Było to dziwne i trochę niepokojące. Mogło oznaczać, że silna osobowość starego astronoma zaczęła się powoli kruszyć, że nie tylko jego gniew, ale również wewnętrzny system wartości zamiera w obliczu nadchodzącej katastrofy.

Właściwie Szirin sam był zaskoczony, że znalazł się w obserwatorium. To była decyzja powzięta w ostatniej chwili, nagły impuls, jakich rzadko doświadczał. Liliat była przerażona. On też był nieco przerażony. Jeszcze nie zapomniiał lęku, jaki wywołało w nim kilkanaście minut spędzonych w Tunelu Tajemnic.

W końcu jednak zdał sobie sprawę, że musi być tu teraz, podobnie jak wtedy musiał przejechać przez tunel. Dla innych mógł nie być niczym więcej jak tylko dbającym o własną wygodę obzartuchem, który dawno osiadł na laurach, lecz pod tymi zwałami tłuszczu pozostawał naukowcem. Studia nad reakcjami ludzi na ciemność zajmowały go od samego początku kariery zawodowej. Jak więc mógłby na czas najgłośniejszego od ponad dwóch tysięcy lat przypadku ciemności schować się w bezpiecznym, podziemnym bunkrze?

Nie, musiał być tu. Jako naoczny świadek zaćmienia. Musiał czuć, jak Ciemność obejmuje świat w swe posiadanie.

Gdy zamknęli za sobą drzwi, Teremon wyznał z niespodziewaną szczerością:

- Zaczynam powątpiewać, czy miałem rację, będąc takim sceptykiem.

- Należałoby się nad tym zastanowić.

- Tak. Ten samotny Dovim na niebie i ta czerwona poświata... Wiesz co? W tej chwili dałbym dziesięć kredytów za przyzwoitą porcję białego światła. Mocny Tano Special. Chciałbym też zobaczyć Tano i Sithę. A jeszcze lepiej Onosa.

- Onos wszędzie rano - odezwał się Biney, który tylko co wszedł do pokoju.

- Tak, ale czy my to zobaczymy? - spytał Szirin i natychmiast uśmiechnął się szeroko, co miało złagodzić wymowę tych słów. Zwrócił się do Bineya: - Nasz przyjaciel dziennikarz ma ochotę na kropelkę alkoholu.

- Athor dostałby chyba ataku serca. Wszystkim przykazywał, by dzisiejszego wieczora byli trzeźwi.

- Więc nie można dostać nic poza wodą? - zapytał Szirin.

- No...

- Daj spokój, Bineyu. Athor tu nie przyjdzie.

- Prawdopodobnie masz rację.

Biney na palcach podszedł do najbliższego okna, przykucnął i z szafki pod parapetem wyciągnął butelkę czerwonego płynu, który przy potrząśnięciu zabulgotał apetycznie.

- Mam nadzieję, że Athor nic o tym nie wie - mruknął astronom wracając do stołu. - Proszę bardzo! Jest tylko jedna szklanka. Szirinie, dajmy ją gościowi. My będziemy pić z butelki. - Bardzo ostrożnie napełnił maleńką szklaneczkę.

- Zmieniłeś się, chłopie - zauważył Teremon ze śmiechem. - Kiedy cię poznałem, za nic w świecie nie tknąłbyś alkoholu.

- Tak było kiedyś. Teraz jest inaczej. Mamy ciekawe czasy, Teremonie. Szybko się uczę. Mocny drink może bardzo pomóc przetrwać takie czasy.

- Podobno - zgodził się Teremon. Skosztował. Było to czerwone wino, cierpkie i młode, prawdopodobnie tanie, pochodzące z którejś z południowych prowincji. Właściwie należało się tego spodziewać, że Biney, wieloletni abstynent, nie znający się na trunkach, kupi akurat coś w tym rodzaju. No, ale lepsze to niż nic.

Biney wypił potężny łyk i podał butelkę Szirinowi. Psycholog przyłożył ją do ust i pociągnął długi haust. Mruknął z zadowoleniem, obliznął się i odstawiając butelkę powiedział do Bineya:

- Athor jest dziś jakiś nieswój. Mam na myśli choćby uznanie okoliczności specjalnych. O co tu chodzi?

- Chyba martwi się o Faroną i Imotą.

- O kogo?

- Dwóch dyplomantów. Mieli tu być przed kilkoma godzinami i jeszcze się nie pokazali. Athorowi brakuje rąk do pracy, ponieważ wszyscy pracownicy, oprócz rzeczywiście niezbędnych, ukryli się w Sanktuarium.

- Nie myślisz chyba, że zdezerterowali? - wtrącił Teremon.

- Kto? Faron i Imot? Oczywiście, że nie! To nie w ich stylu. Wszystko by oddali, żeby tylko być tu dzisiaj i dokonywać pomiarów, kiedy nastąpi zaćmienie. Może w Saro doszło do jakichś zamieszek i nie mogą wydostać się z miasta? - Biney wzruszył ramionami. - Cóż, na pewno prędzej czy później się pojawią. Gdyby jednak nie było ich tu w chwili, gdy zaczniemy się zbliżać do fazy krytycznej, wówczas, przy nawale zadań, mogą wyniknąć pewne trudności. Chyba tym właśnie martwi się Athor.

- Nie byłbym tego taki pewien - rzekł Szirin. - Owszem, pewnie się kłopotce tymi zaginionymi młodzieńcami, ale jest jeszcze coś innego. Nagle się postarzał. Jest zmęczony. Nawet pokonany. Kiedy widziałem go ostatnio, był pełen energii, pełen pomysłów na odbudowę społeczeństwa po zaćmieniu - prawdziwy Athor o żelaznej woli. Teraz widzę smutnego, zmęczonego starca, który po prostu czeka na nadejście końca. Nawet nie wyrzucił Teremona za drzwi.

- Próbował - wpadł mu w słowo dziennikarz - ale Biney go od tego odwiódł. Z pomocą Siferry.

- No proszę! Czy znałeś, Bineyu, kogoś, kto byłby w stanie odwieść Athora od czegokolwiek? Dalej, podaj mi butelkę.

- Być może to moja wina - zasugerował Teremon. - We wszystkich felietonach atakowałem jego plan utworzenia w całym kraju schronów typu Sanktuarium. Jeśli on naprawdę wierzy, że za kilka godzin nastanie ogólnoswiatowa Ciemność i że cały rodzaj ludzki nagle postrada zmysły...

- Tak właśnie uważa - rzekł Biney. - Podobnie jak my wszyscy.

- Zatem fakt, że rząd nie potraktował poważnie jego przewidywań, musiał odczuć jako druzgocącą porażkę. I ja, na równi z innymi, jestem za to odpowiedzialny. Dlatego nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby się okazało, że to jednak wy mieliście rację.

- Nie pochlebiaj sobie, Teremonie. - Szirin lekceważąco machnął ręką. - Nawet gdybyś pisał pięć felietonów dziennie, wszystkie wzywające do ogromnego ruchu na rzecz powszechnej gotowości, rząd i tak nic by nie zrobił. Co więcej, mógłby potraktować ostrzeżenie Athora jeszcze bardziej sceptycznie, dowiedziawszy się, że ma on po swojej stronie dziennikarza tak znanego z

różnych kampanii prasowych.

- Dzięki za wyrazy uznania. Czy zostało jeszcze trochę wina? - Teremon spojrział w kierunku Bineya. - Siferra też mnie potępia. Jej zdaniem jestem zbyt nieodpowiedzialny w słowach.

- Był taki czas, kiedy wydawała się naprawdę tobą zainteresowana - zauważył Biney. - Nawet się zastanawiałem, czy ty i ona... no...

- Nie - powiedział Teremon z uśmiechem. - Niezupełnie. A teraz to się już nigdy nie zdarzy, choć przez chwilę byliśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi. Niezwykle fascynująca kobieta. A co z tą jej teorią cyklicznego rozwoju cywilizacji?

- Nic, jeśli wierzyć temu, co mówią niektórzy ludzie z jej wydziału - odparł Szirin. - Odnoszą się do tego z prawdziwą pogardą. Wszyscy mieli oczywiście swój wkład w opracowanie obowiązującej teorii, gdzie twierdzi się, że Beklimot był pierwszym ośrodkiem miejskim i że jeśli spojrzymy wstecz o kilka tysięcy lat, to w ogóle nie znajdziemy żadnych elementów świadczących o cywilizacji, a świat zamieszkiwały jedynie prymitywne, zarośnięte dzikusy.

- Jak zatem wyjaśnią fakt powtarzających się na wzgórzu Tombo katastrof?

- Naukowcy przekonam, że wiedzą, jak to było naprawdę, potrafią wytłumaczyć wszystko, co stanowiłoby jakiegokolwiek zagrożenie dla ich teorii - zauważył Szirin. - Spróbuj tylko lekko trącić jakiegoś pewnego siebie naukowca, a zobaczysz, iż pod zewnętrzną maską jest on w niektórych sprawach bardzo podobny do Apostoła Płomieni. Różnią się tylko ubiorem. - Sięgnął po butelkę, która beczynnie spoczywała w ręku Teremona, i znów pociągnął długi łyk. - Niech idą do diabła. Nawet taki jak ja laik jest w stanie zrozumieć, że odkrycia dokonane przez Siferrę w Tombo wywracają naszą wiedzę o prehistorii do góry nogami. Nie ma co dyskutować, czy naprawdę przez te wszystkie tysiące lat miały miejsce powtarzalne pożary. Należy się zastanowić, dlaczego te miasta płonęły.

- Ostatnio poznałem mnóstwo tłumaczących to teorii - powiedział Teremon. - Wszystkie mniej lub bardziej fantastyczne. Ktoś z uniwersytetu w Kitro dowodził, że co kilka tysięcy lat przypada okres ognistych deszczów. Do naszej redakcji przyszedł list od kogoś, kto twierdzi, że jest astronomem amatorem i udowodnił, iż Kalgasz od czasu do czasu przechodzi przez jedno ze słońc. Wiem, że proponowano jeszcze bardziej szalone rozwiązania.

- Jest tylko jedna teoria, która naprawdę ma sens - rzekł Biney spokojnie. - Pamiętaj o mieczu Thargola. Powinno się odrzucać hipotezy, których słuszności można dowieść jedynie wprowadzając mnóstwo nowych, abstrakcyjnych czynników. Nie ma żadnej znanej przyczyny, która powodowałaby, że z nieba co jakiś czas spada deszcz ognia; jest również oczywistym absurdem mówienie o przechodzeniu przez słońca. Natomiast teoria zaćmienia opiera się na solidnych, naukowych podstawach. Przemawiają za nią matematyczne wyliczenia orbity Kalgasza, oparte na prawie powszechnego ciążenia.

- Tak, teoria zaćmienia nie jest pozbawiona sensu. Nie ma co do tego wątpliwości. Zresztą już wkrótce przekonamy się o - tym na własnej skórze - stwierdził Teremon. - Spróbuj jednak sam do tego, co powiedziałeś, zastosować miecz Thargola. Teoicja zaćmienia nie precyzuje przecież, że zaraz potem miałyby koniecznie nastąpić olbrzymie pożary.

- Nie - przyznał Szirin. - Tę teorię zaćmienia nie precyzuje. Ale to podpowiada zdrowy rozsądek. Zaćmienie przyniesie Ciemność. Ciemność przyniesie obłąd. A obłąd przyniesie płomienie, które pochłoną kolejne dwa tysiąclecia ludzkich wysiłków. Jutro to wszystko obróci się w nicość. Jutro nie ostanie się; żadne miasto na Kalgaszu.

- Gadasz jak Apostołowie - rzucił Teremon ze złością. - Kilka miesięcy temu coś bardzo podobnego słyszałem od Folimuna 66. I o ile sobie przypominam, powiedziałem wam o tym w klubie Sześć Słońc. - Wyjrzał za okno, podążając wzrokiem przez zalesione zbocza Wzgórza Obserwatoryjo dalej, ku krwisto migoczącym na horyzoncie wieżowcom Saro. Krótkie spojrzenie na Dovima sprawiło, że poczuł się nieswojo. Stojące w zenicie, skarłowaciałe i złowróźbne słońce ledwo się żarzyło czerwonym światłem. Dziennikarz z uporem ciągnął dalej: - Nie rozumiem, o czym mówisz. Miałbym oszaleć tylko dlatego, że na niebie nie ma słońca? A nawet jeśli oszaleję... tak, nie zapomniałem jeszcze tych nieszczęśloików z Tunelu Tajemnic... nawet jeśli zwariuję i wszyscy in ni też, w jaki sposób może to zaszkodzić miastom? Czy sądzisz, że wysadzimy je w powietrze?

- To samo i ja mówiłem na początku - wtrącił Biney - zanim zacząłem się nad tym zastanawiać. Gdybyś znalazł się w Ciemności, czego byś nade wszystko pragnął? Czego domagałby się każdy nerw twego ciała?

- Myślę, że światła.

- Tak! - wybuchnął Szirin. - Właśnie tak! Światła!

- I co z tego?

- A jak zdobędziesz światło?

- Przekręcając kontakt. - Teremon wskazał przycisk na ścianie.

- Tak jest! - Szirin zachichotał szyderczo. - I bogowie w swojej nieskończonej dobroci dostarczą ci tyle prądu, ile tylko zechcesz, ponieważ elektrownia, oczywiście, nie pracuje - generatory nai,le się zatrzymują, ich obsługa potyka się i nawołuje do siebie w ciemnościach, to samo zresztą dzieje się z kontrolerami linii przesyłowych. Nadażasz za mną? Teremon sztywno skinął głową.

- Skąd wziąć światło, kiedy staną elektrownie? - pytał dalej Szirin. - Może z bożych światełek? Wszystkie zasilane są z baterii. Ale założmy, że nie masz pod ręką bożego światełka. Znajdujesz się na ulicy w Ciemności, a boże światełko czeka w domu, tuż obok twego łóżka. A ty pragniesz światła. Więc coś podpalasz, prawda, mój Teremonie? Czy kiedykolwiek widziałeś pożar lasu? A może zdarzyło ci się pojechać na wycieczkę z namiotem i gotować zupę nad ogniskiem? Dobrze wiesz, że ciepło to nie jedyny skutek ognia. Daje on również światło i ludzie doskonale zdają sobie z tego sprawę. W czasie trwania Ciemności będą szukać światła i z pewnością je znajdą.

- Będą zatem palić drewno... - zaczął Teremon bez większego przekonania.

- Będą palić wszystko, co tylko im wpadnie w rękę. Czują potrzebę światła. O drewno niełatwo na ulicach miast. Spalą więc to, co najbliżej. Stos gazet? Czemu nie?"Kronika Saro" da przez chwilę trochę światła. A co ze skrzynkami, w których leżą gazety na sprzedaż? Spalić je! Spalić ubrania. Spalić książki. Spalić dachy. Wszystko spalić. Ludzie zdobędą światło, ale ka zde skupisko miejskie stanie w płomieniach! Stąd pożary, pa nie redaktorze. I kres świata, w którym pan żył.

- O ile zaćmienie w ogóle przyjdzie... - Teremon był nieustępliwy.

- Naturalnie, ja też nie wiem tego na pewno. Nie jestem przecież astronomem. Ani Apostołem. Jednak stawiam na zaćmienie.

Popatrzył Teremonowi prosto w oczy. Ich spojrzenia się spotkały, jak gdyby ta rozmowa była jedynie personalną rozgrywką, walką własnych ambicji. Teremon wycofał się bez słowa. Oddychał chrapliwie, nierówno. Drżącymi rękoma ścisnął skronie.

Z sąsiedniego pokoju dobiegły odgłosy nagłej wrzawy.

- Chyba słyszę głos Imota - rzekł Biney. - Faron pewnie też już jest. Chodźmy, dowiemy się, co ich zatrzymało.

- Chodźmy - mruknął Teremon. Wziął głęboki oddech i potrząsnął głową. Napięcie zmalowało. Na moment.

W obserwatorium wrzało. Wszyscy skupili się wokół Faron i Imota, którzy zdejmując płaszcze odpowiadali na grad pytań.

Athor przecisnął się przez tłumek i rozgniewany stanął przed przybyszami.

- Czy zdajecie sobie sprawę, że zaćmienie się już niemal rozpoczęło? Gdzie byliście tak długo?

Faron 24 usiadł i zatarł ręce. Okrągłe, pulchne policzki miał czerwone od mrozu. Jakoś dziwnie się uśmiechał i był podejrzanie spokojny, zupełnie jakby zażył jakiś narkotyk.

- Nigdy go takiego nie widziałem - szepnął Biney do psychologa. - Zawsze był bardzo grzeczny, taki sobie skromny student, okazujący szacunek autorytetom. Nawet mnie. A teraz...

- Sza, słuchaj! - uciszył go Szirin. Faron zaczął mówić:

- Właśnie skończyliśmy z Imotem nasz mały, wariacki eksperyment. Próbowaliśmy skonstruować urządzenie, za pomocą którego bylibyśmy w stanie symulować pojawienie się Ciemności i gwiazd i zawczasu sprawdzić, jak to będzie wyglądało.

Wśród słuchaczy rozszedł się pomruk niedowierzania.

- Gwiazdy? - zaciekawiał się Teremon. - Wiecie, co to są gwiazdy? Jak na to wpadliście?

- Czytając Księgę Objawień. - Faron wciąż uśmiechał się głupio. - Wydaje się zupełnie zrozumiałe, że gwiazdy są czymś bardzo jasnym - jak słońca, ale mniejszym - czymś, co pojawia się na niebie, kiedy Kalgasz wchodzi w Jaskinię Ciemności.

- Bzdury! - rzucił ktoś.

- Niemożliwe!

- Księga Objawień! Na tej podstawie robili badania naukowe! Trudno uwierzyć...

- Spokój! - przerwał Athor. W jego oczach pojawił się nagły wyraz zainteresowania, błysk dawnego wigoru. - Mów dalej, Faronie. Jak wyglądało to wasze urządzenie? Na czym miało polegać doświadczenie?

- Pomysł przyszedł nam do głowy parę miesięcy temu - zaczął Faron - i pracowaliśmy nad nim w wolnych chwilach. Imot w centrum miasta znalazł budynek z dachem w kształcie kopuły - zdaje się, że jakiś magazyn. Zresztą wszystko jedno. Kupiliśmy go.

- Za co? - wtrącił Athor oskarżycielsko. - Skąd wzięliście pieniądze?

- Z naszych kont w banku - mruknął wysoki i kościsty Imot 70. - Dom kosztował dwa tysiące kredytów. - Zaczął się usprawiedliwiać: - Cóż z tego? Jutro dwa tysiące kredytów nie będą niczym więcej jak dwoma tysiącami skrawków papieru.

- Naturalnie! - przytaknął Faron. - Kupiliśmy więc dom i od góry do dołu wyłożyli czarnym aksamitem, żeby uzyskać możliwie najdoskonalszą ciemność. Potem w suficie dachu wywierciliśmy maleńkie dziurki i przykryli je metalowymi pokrywkami, które za jednym naciśnięciem przełącznika można było jednocześnie usunąć. Nie robiliśmy tego sami. Zatrudniliśmy stolarza, elektryka i kilku innych - pieniądze nie grały roli. Chodziło o to, żeby do wnętrza przez dziury w dachu przechodziło światło, dzięki czemu uzyskalibyśmy wrażenie gwiazd.

- A raczej tego, czym są gwiazdy w naszym wyobrażeniu - poprawił Imot.

Zapadła pełna napięcia cisza. Nikt nawet nie odetchnął. Wreszcie Athor rzekł surowo:

- Nie mieliście żadnego prawa robić we własnym zakresie... Faron speszył się wyraźnie.

- Wiemy, panie profesorze, ale, szczerze mówiąc, obydwaj uważaliśmy, że to eksperyment dość niebezpieczny.

Gdyby doświadczenie się udało, mogliśmy nawet oszaleć - wnosząc z tego, co mówił profesor Szirin, wydawało się to wielce prawdopodobne. Uznaliśmy, że musimy sami zaryzykować. Planowaliśmy, że jeżeli zachowamy zdrowe zmysły, rozwiniemy w sobie odporność na właściwe zjawisko, a potem powtórzymy eksperyment ze wszystkimi pracownikami obserwatorium. Niestety, w ogóle nic nam nie wyszło.

- Dlaczego? Co się stało? Tym razem odpowiedział Imot:

- Zamknęliśmy się w środku i przyzwyczaili wzrok do ciemności. To potworne wrażenie! W zupełnej ciemności człowiek ma uczucie, że wałą się na niego ściany i sufit. Przetrwaliśmy to i przekreśliśmy wyłącznik. Pokrywki odskoczyły i w górze zabłyśły punkty światła...

- I co?

- Nic! To było nienormalne. Na ile zrozumieliśmy Księgę Objawień, doświadczyliśmy wówczas efektu obserwacji gwiazd na tle Ciemności. Ale nic się nie wydarzyło! Patrzyliśmy na podziurawiony dach i prześwitujące przez otwory światło. Próbowaliśmy wielokrotnie, lecz zupełnie bez skutku. Stąd to nasze spóźnienie.

Znów zapanowała cisza. Wszystkie oczy skierowały się na Szirina, który stał bez ruchu, z otwartymi ustami.

Pierwszy przemówił Teremon.

- Szirinie, wiesz chyba, co to oznacza dla zbudowanej przez ciebie teorii? - zapytał z uśmiechem ulgi.

- Nie tak szybko, Teremonie! - Szirin podniósł rękę. - Daj mi chwilę do namysłu. Te tak zwane gwiazdy, które skonstruowali chłopcy... czas ich przebywania w ciemności... - Urwał. Wszyscy wciąż patrzyli na niego. Po chwili strzelił palcami, a gdy podniósł głowę, w jego oczach nie było już ani zaskoczenia, ani wątpliwości. - Oczywiście...

Nie dokończył. Tilanda, która pod kopułą wywoływała szybko migawkowe zdjęcia nieba, wbiegła do pokoju, wymachując rękami w sposób godny najbardziej podekscytowanego Imota.

- Panie profesorze! Panie profesorze! Athor odwrócił się.

- O co chodzi?

- Właśnie zauważyliśmy... przyszedł na górę, pod kopułę... nie uwierzy pan, panie profesorze...

- Powoli, moje dziecko. Co się stało? Kto przyszedł? Z korytarza dały się słyszeć odgłosy szamotaniny i nagły brzęk. Biney zerwał się na równe nogi, gwałtownie otworzył drzwi i stanął jak wryty.

- Niech to diabli! - krzyknął.

Danit i Hikkinan, którzy powinni wraz z Tilandą pracować pod kopułą, znajdowali się na korytarzu. Walczyli z gibkim, atletycznie zbudowanym mężczyzną 450 trzydziestce, o dziwnych, kręconych rudych włosach, szczupłej, wyrazistej twarzy i zimnych niebieskich oczach. Wciągnęli go do pokoju obezwładnionego, z rękoma mocno wykręconymi do tyłu.

Intruz ubrany był w ciemną szatę Apostołów Płomieni.

- Folimun 66! - wykrzyknął Athor.

- Folimun! - zawtórował astronomowi Teremon. - W imię Ciemności, co ty tu robisz?

- Nie w imię Ciemności przychodzę tu dziś do was, lecz w imię światła - chłodno, władczo odpowiedział Apostoła. Athor spojrzał na Tilandę ze zdziwieniem.

- Skąd on się tu wziął?

- Mówiłam już, panie profesorze. Byliśmy zajęci fotografowaniem, kiedy go usłyszeliśmy.

Zwyczajnie, wszedł do pokoju i stanął za nami. "Gdzie jest Athor? - spytał. - Muszę się widzieć z Athorem".

- Wezwijcie strażników - polecił Athor z twarzą pociemniałą z gniewu. - Obserwatorium miało być dziś wieczorem zamknięte. Chcę wiedzieć, jakim sposobem udało się temu człowiekowi przedostać przez wartownię.

- Przecież to jasne! - zakrzyknął weselo Teremon. - Ma pan paru Apostołów na liście płac. Gdy przyszedł Apostoł Folimun i poprosił ich o otwarcie bramy, pokornie usłuchali.

Athor rzucił w kierunku dziennikarza groźne spojrzenie, ale wyraz jego twarzy zdradzał, że stary astronom uznał sugestię Teremona za bardzo prawdopodobną.

W jednej chwili wszyscy - Siferra, Teremon, Biney, Athor i reszta - okrążyli Folimuna i patrzyli na niego ze zdziwieniem.

Apostoł oznajmił ze spokojem:

- Jestem Folimun 66, pierwszy adiutant Jego Świątobliwości Mondiora 71. Przeszedłem tu dziś nie jako przestępca, choć zdajecie się tak sądzić, lecz jako wysłannik Jego Świątobliwości. Czy mógłbyś, Athorze, przekonać tych dwóch nadgorliwców, by mnie uwolnili?

Athor wykonał nerwowy ruch ręką.

- Puśćcie go - polecił.

- Dziękuję. - Folimun roztarł ręce i poprawił szatę. Następnie skłonił się Athorowi z wdzięcznością - choć może był to pokłon szydery? W zachowaniu Apostoła wyczuwało się jakieś szczególne napięcie.

- Co tu robisz? Czego chcesz? - spytał Athor.

- Przypuszczam, że niczego, co mógłbyś mi dać dobrowolnie.

- Zapewne masz rację.

- Nasze spotkanie przed paroma miesiącami, Athorze, toczyło się w bardzo napiętej atmosferze; powiedziałbym, że było podobne do spotkania władców dwóch wrogich sobie królestw. Ja dla ciebie byłem niebezpiecznym fanatykiem. Ty dla mnie - przywódcą bandy bezbożnych grzeszników. A mimo to byliśmy w stanie dojść w pewnej sprawie do porozumienia. W tej mianowicie, że wieczorem dziewiętnastego theptara nad Kalgaszem zapadnie Ciemność i pozostanie tu przez wiele godzin.

Athor rzucił Apostołowi gniewne spojrzenie.

- Przejdź do konkretów, Folimunie, o ile potrafisz. Rzeczywiście za parę minut zapadnie Ciemność, zatem nie mamy dużo czasu.

- Według mnie Ciemność zostanie zesłana na nas z woli bogów - zaczął Folimun. - Według ciebie nastanie jedynie w wyniku bezdusznego ruchu obiektów astronomicznych. Zgodziliśmy się na to, aby się nie zgadzać. Niech tak będzie. Przedstawiłem ci wówczas pewne materiały, które od czasu poprzedniego Roku Łaski znajdowały się w posiadaniu Apostołów, tabele ruchów słońc na niebie i inne, znacznie bardziej złożone dane. W zamian obiecałeś udowodnić zasadniczą prawdę naszej wiary i sprawić, by ten dowód poznali ludzie Kalgasza.

- I dokładnie tak zrobiłem. - Athor spojrział na zegarek. - Czego jeszcze chce ode mnie twój mistrz? Ja wywiązałem się z umowy.

Folimun uśmiechnął się blado, ale nie odpowiedział.

W pokoju zapanowało poruszenie.

- To prawda, że poprosiłem go o dane astronomiczne - rzekł Athor rozglądając się wokół. -

Dane, którymi dysponowali tylko Apostołowie. Rzeczywiście, zostały mi one przekazane. I jestem za to wdzięczny. Przyznaję, że w zamian, w pewnym sensie, zgodziłem się ogłosić matematyczne potwierdzenie podstawowego dogmatu Apostołów o dziewiętnastym theptara jako dniu nadejścia Ciemności.

- Nie musieliśmy ci niczego dawać, Athorze - zabrzmiała wyniosła odpowiedź. - Naszym głównym celem nie było, jak się wyraziłeś, potwierdzenie dogmatu. Do tego wystarcza Księga Objawień.

- Zgoda, dotyczy to jednak zaledwie garstki wyznawców waszego kultu - stwierdził oschle astronom. - Nie udawaj, że nie rozumiałeś moich intencji. Zaproponowałem ci przedstawienie naukowego potwierdzenia waszych wierzeń. I je przedstawiłem!

W oczach fanatyka zapaliły się gniewne błyski.

- O, tak, przedstawiłeś - z lisią przebiegłością. Twoje pseudowywody rzekomo potwierdzają naszą wiarę, jednocześnie jednak czynią ją najzupełniej zbędną. Ciemność i gwiazdy ukazałeś jako zjawiska naturalne, pozbawiłeś je prawdziwego znaczenia. To bluźnierstwo!

- Jeśli nawet, wina nie leży po mojej stronie. Takie są fakty. Ja mogę je jedynie stwierdzać.

- Twoje tak zwane fakty to oszustwo i złudzenie. Athorowi z wściekłości wystąpiły czerwone plamy na twarzy.

- Skąd ty możesz o tym wiedzieć?

- Po prostu wiem! - odpowiedział Folimun z absolutną pewnością głębokiej wiary.

Sędziwy astronom spurpurowiał jeszcze bardziej. Biney chciał podejść, ale powstrzymał go machnięciem ręki.

- Czego więc Mondior od nas żąda? Jak mi się zdaje, uważa nadal, że próbując przekonać świat o konieczności powzięcia określonych działań przeciw groźbie powszechnego szaleństwa, przeszkadzamy mu w zagarnięciu władzy po zaćmieniu. Cóż, nasze wysiłki pozostają jak na razie bez rezultatu. Może to będzie dla niego jakąś pociechą.

- Same próby wyrządziły już dość szkód. Dziś chcecie jeszcze tę sytuację pogorszyć.

- Skąd ty możesz wiedzieć, co zamierzamy dziś zrobić? - zapytał Athor.

- Wiemy, że nigdy nie porzuciłeś nadziei na manipulowanie pospółstwem - odpowiedział Folimun spokojnie. - Ponieważ nie zrealizowałeś swego zamysłu przed nadejściem Ciemności i płomieni, zamierzasz uczynić to potem, wyposażony w zdjęcia dokumentujące przejście światła dziennego w Ciemność. Pragniesz ludziom, którzy ocaleją, przedstawić racjonalne wytłumaczenie tego zjawiska i odłożyć w bezpieczne miejsce rzekome dowody twoich przekonań, aby - gdy nadejdzie koniec następnego Roku Łaski - twoi następcy ze świata nauki mogli pokierować ludzkością na tyle, by oparła się Ciemności.

- Ktoś tu zwariował - szepnął Biney. Folimun ciągnął dalej:

- Wszystko to wymierzone jest w Mondiora 71. Przecież to właśnie Mondior 71 został ustanowiony prorokiem bogów, tym, który ma poprowadzić ludzkość przez zbliżający się czas próby.

- Przejdź do sedna sprawy - lodowatym tonem rzekł Athor.

Folimun skinął głową.

- A zatem, po prostu, należy położyć kres waszym nierozważnym i bluźnierczym próbom pozyskania informacji za pomocą szatańskich przyrządów. Mogę jedynie ubolewać, że tych instrumentów nie zniszczyłem własnymi rękoma.

- A więc to zamierzałeś, przychodząc tutaj? Niewiele byś zdziałał. Wszystkie nasze dane, z

wyjątkiem tych, które właśnie teraz zamierzamy uzyskać, ukryte są już w bezpiecznym miejscu i nikt nie zdoła ich uszkodzić.

- Wydobądź je! Zniszcz!

- Co?

- Zniszcz wszystko, co zrobiłeś! Zniszcz swe przyrzady! W zamian za to dopilnuję, żeby zarówno tobie, jak i wszystkim twoim ludziom zapewniono odpowiednią ochronę przed skutkami chaosu, który z pewnością zapanuje po Zmierzchu.

Tym razem w pokoju zapanowała wesołość.

- Szalony - rzucił któryś z naukowców. - Absolutnie niepoczytalny.

- Bynajmniej - odparł Folimun. - Pobożny, tak. Oddany sprawie, której nie możecie pojąć, tak. Ale nie szalony. Zapewniam was, że jestem przy zdrowych zmysłach. Ten człowiek - wskazał na Teremona - może o tym zaświadczyć, a jest on znany ze swego sceptycyzmu. Swoją sprawę przedkładam jednak ponad wszelkie inne. Dzisiejsza noc ma zasadnicze znaczenie dla historii świata, wraz z nastaniem świtu nastąpi bowiem triumf Łaski. Stawiam ultimatum. Macie dziś zaprzestać swych grzesznych prób racjonalnego wytłumaczenia nadchodzącej Ciemności i przyjąć Jego Świątobliwość Mondiora 71 za prawdziwy głos woli bogów. Kiedy nastanie ranek, pójdziecie między ludzi wykonywać zadania określone przez Mondiora i nikt już więcej nie usłyszy o waszych zaćmieniach, orbitach, prawie powszechnego ciężenia czy innych tego typu bzdurach.

- A jeśli odmówimy? - Athor był wyraźnie rozbawiony zarozumiałstwem Folimuna.

- Wtedy gromada gniewnych ludzi, prowadzona przez Apostołów Płomieni, podejdzie pod to wzgórze i zniszczy wasze obserwatorium oraz wszystko, co się w nim znajduje - odparł chłodno Folimun.

- Dosyć tego - zdecydował Athor. - Wezwijcie strażników. Niech wyrzucą stąd tego człowieka.

- Macie dokładnie godzinę - rzekł Folimun nie okazując niepokoju. - Potem Święta Armia przysięgi atak.

- On blefuje - rzucił nagle Szirin.

Astronom jakby tego nie słyszał. Powtórzył po raz drugi:

- Wezwijcie strażników. Niech go stąd wyrzucą!

- Profesorze Athorze, co pan, do diabła, wyprawia?! - zawołał psycholog. - Jeśli go pan wypuści, wyjdzie tylko po to, by podjudzać ludzi! A ten człowiek umie to robić jak nikt inny. Czy pan nie rozumie, że spotęgowanie chaosu jest celem działania Apostołów Płomieni?

- Co zatem pan proponuje, profesorze Szirinie?

- Zamknąć go. Wrzucić do jakiegoś schowka, zamknąć na kłódkę i trzymać tam przez cały czas trwania Ciemności. To najgorsza rzecz, jaką możemy mu zrobić. Zamknięty na klucz nie zobaczy Ciemności ani gwiazd. Nie trzeba wielkiej znajomości fundamentalnych zasad wiary Apostołów, żeby zdać sobie sprawę, iż być ukrytym przed gwiazdami w chwili, gdy się one pojawią, oznacza dla niego utratę nieśmiertelnej duszy. Zamknijmy go. Nam zapewnimy bezpieczeństwo, a jemu wymierzmy karę, na jaką zasłużył.

- Nie! - krzyknął z nagłą wściekłością Folimun. - Kiedy wszyscy postradacie zmysły, nie będzie nikogo, kto mógłby mnie stamtąd wypuścić. To jak kara śmierci. Wiem równie dobrze jak wy, co oznacza nadejście gwiazd - wiem o tym znacznie więcej niż wy. Oszalejecie wszyscy, nikt nie będzie pamiętał, że jestem zamknięty w schowku. Grozi mi uduszenie albo powolne konanie z głodu! Tego się właściwie mogłem spodziewać po zespole... naukowców. - W jego ustach wyraz ten zabrzmiał

jak obelga. - Ale to wam się nie uda! Powziąłem już pewne środki ostrożności, dając moim zwolennikom do zrozumienia, żeby zaatakowali obserwatorium dokładnie za godzinę, chyba że przyjdę i rozkażę inaczej. Zatem uwięzienie mnie w niczym wam nie pomoże. Sami na siebie ściągniecie zagładę, a wówczas moi ludzie mnie uwolnią i razem, radośnie, w zachwycie, będziemy oglądać nadejście gwiazd. - Na skroniach Folimuna nabrzmiały żyły. - A potem, jutro, kiedy wy staniecie się gromadą bełkoczących szaleńców, przeklętych na zawsze za swoje nieczne czyny, my rozpoczniemy tworzenie nowego, cudownego świata.

Szirin spojrział niepewnie na Athora, ale astronom wahał się z decyzją.

- Co o tym myślisz? - wyszeptał Biney do stojącego obok Teremona. - Blefuje?

Dziennikarz nie odpowiedział. Był blady jak ściana.

- Spójrzcie!

Ręka, którą wskazał na niebo za o knem, drżała, głos był ochrypły, zdławiony.

Wszyscy wstrzymali oddech. Oczy spoglądających śladem wyciągniętej ręki Teremona znieruchomiały w niemej trwodze.

Dovim był z jednej strony okrojony!

Znikoma smuga czerni, nie szersza rdz paznokiec, urastała w oczach przerażonych widzów do symbolu zagłady.

Teremona sam widok tego małego łuku ciemności poraził ze straszliwą siłą. Drgnął, przyłożył rękę do czoła i odwrócił się od okna. Czuł się poruszony do głębi duszy tym niewielkim ubytkiem w tarczy Dovia. Teremon sceptyk... Teremon prześmiewca... Teremon trzeźwy analityk ludzkich urojeń...

BOGOWIE! JAK BARDZO SIĘ MYLIŁEM!

Gdy się odwrócił, napotkał wzrok Siferry. Stała po drugiej stronie pokoju. W jej oczach widział pogardę - a może była to litość? Zmusił się, by wytrzymać jej spojrzenie i pokiwał smutno głową, jak gdyby z całą pokorą, na jaką było go stać, mówił "Wszystko zawaliłem i przepraszam. Przepraszam. Przepraszam".

Wydało mu się, że zobaczył jej uśmiech. Może zrozumiała, co próbował wyrazić.

Po chwili osłupienia w pokoju zapanował zamęt. Wszyscy zaczęli gorączkowo biegać tu i tam, a zaraz potem zamęt ustąpił miejsca ożywionej metodycznej działalności. Astronomowie wrócili do wyznaczonych zadań: niektórzy pognali na górę do kopuły obserwatorium, aby obserwować zaćmienie przez teleskopy, inni do komputerów, jeszcze inni dopadli podręcznych urządzeń do rejestracji zmian tarczy Dovia. W szczytowym momencie brakło czasu na wzruszenie. Byli przecież uczonymi, którzy mieli do wykonania określoną pracę. Teremon, stojący na uboczu, rozejrzał się za Bineyem i ostatecznie znalazł go siedzącego za klawiaturą, wściekle rozwiązującego jakiś problem. Nie było ani śladu Athora.

Przy boku Teremona pojawił się Szirin i beznamiętnie powiedział:

- Pierwszy kontakt musiał nastąpić pięć do dziesięciu minut temu. Trochę za wcześnie, ale przypuszczam, że pomimo wszelkich starań w obliczeniach było mnóstwo nieścisłości. - Uśmiechnął się. - Odejdź od tego okna.

- Dlaczego? - spytał Teremon, który znów stał odwrócony, by patrzeć na Dovia.

- Athor się wściekł - szepnął psycholog. - Z powodu tego zamieszania z Folimunem przegapił pierwszy kontakt. Lepiej nie stój tutaj, bo jak Athor będzie przechodził, bardzo możliwe, że spróbuje wyrzucić cię za okno.

Teremon skinął głową i usiadł. Szirin spojrział nań ze zdziwieniem.

- Do licha! - zawołał. - Cały się trzęsiesz.

- Co? - Teremon oblizał zeschnięte wargi i spróbował się uśmiechnąć. - To fakt, nie czuję się najlepiej. Psycholog spoważniał.

- Chyba nie zawodzą cię nerwy?

- Nie! - wykrzyknął Teremon ze złością. - Daj mi trochę czasu. Słuchaj, Szirinie, chciałem uwierzyć w te wszystkie bajdurzenia o zaćmieniu, ale nie mogłem, naprawdę nie mogłem. Wydawało mi się to po prostu mętną, makabryczną fantazją. Chciałem uwierzyć z powodu Bineya, z powodu Siferry i - choć może zabrzmiało to dziwnie - nawet z powodu Athora, ale nie mogłem. Aż do tej chwili. Daj mi trochę czasu. Muszę się oswoić z tą myślą. Ty miałeś na to wiele miesięcy. Na mnie wszystko się zważyło naraz.

- Rozumiem, co czujesz - powiedział ostrożnie Szirin. - Teremonie, masz jakąś rodzinę - rodziców, żonę, dzieci?

- Nie. - Dziennikarz pokręcił przecząco głową. - O nikogo nie muszę się kłopotać. Mam siostrę, ale jest teraz o trzy tysiące kilometrów stąd. Nie kontaktowałem się z nią od paru lat.

- No tak, a co z tobą?

- Nie rozumiem...

- Mógłbyś spróbować dostać się do Sanktuarium. Tam z pewnością znalazłoby się dla ciebie trochę miejsca. Chyba jeszcze nie jest za późno - zadzwonię i powiem, że tam idziesz, a oni otwarliby dla ciebie bramę.

- Więc sądzisz, że umieram ze strachu?

- Sam powiedziałaś, że nie czujesz się najlepiej.

- Owszem, ale jestem tu po to, by napisać reportaż. Nie zamierzam rezygnować.

Na twarzy psychologa pojawił się słaby uśmiech.

- Rozumiem, duma zawodowa.

- Można tak powiedzieć - przyznał Teremon ze znużeniem. - Poza tym to właśnie ja w znacznym stopniu podkopałem opracowany przez Athora program przygotowań. Czyżbyś o tym zapomniał? Czy naprawdę sądzisz, że mógłbym schronić się w tym samym Sanktuarium, z którego się przedtem wyśmiewałem?

- Nie pomyślałem o tym.

- Ciekawe, czy jest tu gdzieś jeszcze schowane to wstrętne wino. Potrzebuję drinka jak nigdy w życiu...

- Sza! - Szirin trącił Teremona łokciem. - Słuchaj! Dziennikarz spojrział w kierunku wskazanym przez Szirina. Przy oknie stał Folimun 66 z wyrazem ekstazy na twarzy. Mówił coś do siebie monotonnie, śpiewnie. Teremonowi ścierpła skóra.

- Co on mówi? - wyszeptał. - Możesz to zrozumieć?

- Cytuje piąty rozdział Księgi Objawień. Bądź cicho i słuchaj!

Głos Apostoła wzmógł się, zadźwięczała w nim nuta uniesienia.

„Oto nadeszły dni, kiedy słońce Dovim trzymało coraz dłużej i dłużej samotną straż na niebiosach; i mijały obroty, aż nastał czas, że przez całe pół obrotu ono jedno, skurczone i zimne, świeciło nad Kalgaszem.

I oto ludzie gromadzili się na placach i drogach, by radzić, bo zdumiewali się na ów widok, a dziwny strach i pustka ogarnęły ich dusze. Myśli mieli zmaćcone, a języki pomieszane, albowiem

dusze ludzi oczekiwały nadejścia gwiazd.

A w mieście Trigon, w samo południe, wystąpił Yendret 2 i rzekł mężom Trigonu: »Biada wam, grzesznicy! Gardzicie ścieżkami cnoty, ale bliski jest dzień zapłaty. Oto nadchodzi Jaskinia, nawet już nadeszła, by pochłonąć Kalgasza i wszystko, co się na nim znajduje«.

A gdy jeszcze mówił, wargi Jaskini Ciemności zamknęły się nad Dovimem, tak że nikt na Kalgaszu nie mógł go dojrzeć. Głośny był krzyk i lament, i wielki strach poraził ludzkie dusze.

I w owej chwili Ciemność Jaskini opadła na Kalgasza całym swym straszliwym ciężarem i w żadnym jego zakątku nie było już światła. A ludzie stali się jak ślepi i nie widzieli stojącego obok, choć czuli jego oddech na swej twarzy.

I oto w owej czerni pojawiły się nieprzeliczone zastępy gwiazd, a ich blask był jako blask wszystkich bogów zgromadzonych na sąd, a ich nadejście zwiastowała muzyka tak cudowna, że nawet liście drzew odmieniły się w języki wołające ku niebiosom w zachwyceniu.

I oto w owej chwili dusze opuściły ludzkie ciała i uciekły ku gwiazdom, a oni sami stali się jak dzikie zwierzęta, zaprawdę jak drapieżne bestie, i z głośnym wyciem przebiegali mrocznymi ulicami miast Kalgasza.

A z gwiazd spłynęły Niebiańskie Płomienie zesłane przez bogów, a gdzie dotknęły, miasta Kalgasza obracały w ruinę i nie zostało śladu człowieka ani dzieł jego.

A wtedy... ”

Ton głosu Folimuna nieznacznie się zmienił. Apostołowi nawet powieka nie drgnęła, a jednak najwyraźniej zdał sobie sprawę ze skupionej uwagi słuchaczy. Gładko, bez pauzy na oddech, przeszedł na wyższą nutę. Mówił teraz płynniej, melodyjniej.

Teremon zmarszczył brwi w zdziwieniu. Nie mógł zrozumieć ani słowa, choć w recytacji nie zmieniło się nic poza nieznacznym przesunięciem akcentów i drobną różnicą w wymawianiu samogłosek.

- Może Siferra potrafiłaby go zrozumieć - rzekł Szirin. - To pewnie język liturgiczny, dawny język poprzedniego Roku Łaski, z którego miała być ponoć przetłumaczona Księga Objawień.

Teremon zmierzył psychologa badawczym spojrzeniem.

- Dużo wiesz na ten temat, prawda? Co on mówi?

- Istotnie, trochę się ostatnio tym interesowałem, ale nie na tyle, by pojąć wszystko. Mogę tylko zgadywać, o czym on mówi... Zdaje się, że mieliśmy go zamknąć w jakiejś komórce?

- Dajmy spokój. Jakie to ma teraz znaczenie? Nastąpiła jego wielka chwila. Niech się nią nacieszy.

- Teremon odsunął do tyłu krzesło i przygładził dłonią włosy. Jego ręce już się nie trzęsły. - Dziwne - powiedział. - Teraz, kiedy wszystko się zaczęło, ja nie czuję najmniejszego zdenerwowania.

- Nie?

- A powinienem? - spytał Teremon. Do jego głosu wkradła się nuta szaleńczej wesołości. - Przecież nie mogę nic zrobić, żeby powstrzymać bieg wypadków, prawda? Więc mam zamiar zwyczajnie przeczekać. Czy sądzisz, że gwiazdy rzeczywiście się ukażą?

- Nie mam pojęcia - przyznał Szirin. - Może Biney by wiedział.

- Albo Athor.

- Athora już lepiej o nic nie pytaj! - Psycholog się roześmiał. - Właśnie przechodził tędy i rzucił ci spojrzenie, od którego powinieneś paść trupem.

Teremon skrzywił się z niesmakiem.

- Wiem, będę musiał znieść mnóstwo upokorzeń, kiedy to wszystko się skończy. Jak myślisz,

Szirinie? Czy bezpiecznie jest oglądać takie przedstawienie na niebie?

- Kiedy nastanie Ciemność...

- Nie chodzi mi o Ciemność. Jakoś sobie z nią poradzę. Ale gwiazdy...

- Gwiazdy? - powtórzył Szirin ze zniecierpliwieniem. - Już ci mówiłem, nie wiem o nich nic.

- Prawdopodobnie nie są aż tak przerażające, jak przedstawia je Księga Objawień. Jeśli przeprowadzony przez tych dwóch studentów eksperyment z podziurawionym dachem cokolwiek znaczy... - rozłożył dłonie, jakby w nich właśnie mogła znajdować się odpowiedź. - Jak myślisz, czy ludzie mogą się uodpornić na działanie Ciemności i gwiazd?

Szirin wzruszył ramionami. Wskazał na skrawek podłogi u swych stóp. Dovim minął już zenit i kwadrat rdzawego światła, który rysował na podłodze kontury okna, przemieścił się o metr w kierunku środka pokoju, gdzie wyglądał niczym kałuża krwi, ślad jakiejś potwornej zbrodni. Teremon zamyślił się głęboko. Raz jeszcze zerknął na słońce.

Ciemny rąbek rozrósł się w czarną plamę zakrywającą trzecią część tarczy Dovima. Teremon zadygotał. Kiedyś żartował z Bineyem o smokach na niebie. Teraz zdawało mu się, że ten smok przyszedł, połknął już pięć słońc i z zapalem pożera jedyne, jakie jeszcze pozostało.

Psycholog podjął po chwili:

- W Saro prawdopodobnie ze dwa miliony ludzi próbuje natychmiast przyłączyć się do Apostołów. Założę się, że urzadzą przed sztabem głównym Mondiora gigantyczny wiec nawróconych... Czy sądzę, że można się uodpornić na działanie Ciemności? Cóż, przecież to właśnie mamy stwierdzić, prawda?

- Na pewno można. Jak bowiem Apostołowie zdołaliby przekazywać Księgę Objawień z cyklu na cykl, a przede wszystkim, u licha, jak to się stało, że ona w ogóle na Kalgaszu powstała? Na pewno można się w jakiś sposób uodpornić. Gdyby wszyscy oszaleli, kto by ją napisał?

- Bardzo możliwe, że członkowie tej tajemniczej sekty ukrywali się w chwili nastania Ciemności, tak jak niektórzy z nas robią to dziś.

- To nie takie proste. Księga Objawień powstała jako relacja naocznego świadka, a więc chyba mieli bezpośrednie doświadczenia z gwiezdny oblędem - i go przetrwali.

- Cóż... - rozważał psycholog - trzy kategorie ludzi mogły znieść katastrofę stosunkowo dobrze. Po pierwsze ci, którzy w ogóle nie zobaczyli gwiazd - a więc niewidomi albo pijani w sztok od początku do końca zaćmienia.

- Oni się nie liczą. Nie są naocznymi świadkami.

- Chyba masz rację. Druga kategoria to małe dzieci. Dla nich świat w ogóle jest tak nowy i dziwny, że nie przestraszą się ani Ciemności, ani gwiazd. Byłyby to dla nich dwa kolejne osobliwe zjawiska w tym bezgranicznie zaskakującym świecie. Rozumiesz, prawda?

- Chyba tak. - Teremon pokiwał głową niezdecydowanie.

- Wreszcie jednostki o umyśle zbyt prymitywnym, by cokolwiek mogło go zaburzyć. Właśnie ci prostacy o znikomej wrażliwości mogą przetrwać zaćmienie bez szwanku. Przypuszczalnie wzruszą tylko ramionami i zaczekają, aż wzejdzie Onos.

- Zatem Księgę Objawień napisali jacyś prymitywni prostacy? - spytał Teremon ze śmiechem.

- Bynajmniej. Mogły ją spisać jedne z najbystrzejszych umysłów nowego cyklu, ale opierały się na ulotnych wspomnieniach dzieci oraz niedorzecznym, bełkotnym bełkocie na wpół oszalałych głupców uzupełnionym relacjami prostaków.

- Dobrze, że Folimun tego nie słyszy.

- Oczywiście na przestrzeni lat tekst ulegał dużym i częstym zmianom. Możliwe też, że był przekazany z jednego cyklu na drugi tak, jak to Athor i jego ludzie mają nadzieję zrobić z tajemnicą grawitacji. Chodzi mi głównie o to, że nie może być niczym innym, jak tylko potężnym przekłamaniami, nawet jeśli oparty jest na faktach. Weźmy na przykład ten eksperyment z dziurami w dachu, o którym mówili Faron i Imot - ten, który nie odniósł żadnego skutku.

- No właśnie, jak to wytłumaczyć?

- Powodem, dla którego nie od... - Szirin przerwał i podniósł się raptownie. - Oho!

- Co się stało? - zapytał Teremon.

- Athor tu idzie. Spójrz tylko na jego twarz! Teremon odwrócił się. Stary astronom zmierzał w ich kierunku niczym jakiś mściwy duch ze średniowiecznego mitu. Był blady jak papier, oczy mu płonęły, a twarz wykrzywiał grymas przerażenia. Posłał jadowite spojrzenie Folimunowi, który wciąż stał samotny w rogu przy oknie, a kolejnym spojrzeniem obrzucił Teremona. Podszedł do Szirina.

- Ostatni kwadrans spędziłem przy komunikatorze. Rozmawiałem z Sanktuarium, ludźmi z Miejskiej Straży Porządkowej i z centrum Saro.

- I?

- Ten człowiek, ten dziennikarz może być z siebie dumny. Jego starania odniosły skutek. W mieście zapanował kompletny chaos. Zamieszki, rozboje, ogarnięte paniką tłumy...

- A Sanktuarium? - zaniepokoił się Szirin.

- Bezpieczne. Zgodnie z planem są szczelnie zamknięci i pozostaną w ukryciu co najmniej do świtu. Nic im nie grozi... ale miasto, Szirinie... nie masz pojęcia... - Mówienie sprawiało astronomowi trudność.

- Panie profesorze - odezwał się Teremon - niech pan uwierzy, głęboko zabiję...

- Nie czas na to! - rzucił niecierpliwie Szirin. Położył rękę na ramieniu Athora. - Jak się pan czuje? Nic panu nie jest?

- Czy to ważne? - Athor podszedł do okna, jakby chciał dojrzeć zamieszki. - W chwili gdy rozpoczęło się zaćmienie - rzekł posępnie - ludzie zdali sobie nagle sprawę, że wszystko zdarzy się dokładnie tak, jak to przewidzieliśmy - my i Apostołowie. Zaczęła się histeria. Wkrótce wybuchną pożary. I zapewne na obserwatorium przypuści atak motłoch Folimuna. Co robić, profesorze Szirinie? Proszę podsunąć mi jakąś myśl!

Psycholog pochylił głowę i na dłuższą chwilę utkwiał wzrok w czubkach swych butów. Bębnił palcami po brodzie. Wreszcie podniósł wzrok.

- Co robić? - powtórzył szorstko. - A co tu jest do roboty? Nic. Zamknijmy bramy i miejmy nadzieję, że wszystko się dobrze skończy.

- A gdybyśmy tym fanatykom powiedzieli, że zabijemy Folimuna, jeśli spróbują się tu wdrzeć?

- Zabiłby go pan? Athor się zmieszał.

- No... chyba...

- Nie - odpowiedział za niego Szirin - Nie zabiłby pan.

- Ale gdyby im zagrozić...

- Nie, nie. To fanatycy. Oni już wiedzą, że Folimun jest naszym zakładnikiem. Prawdopodobnie wręcz spodziewają się, że go zabijemy, kiedy tylko zaatakują obserwatorium, i wcale ich to nie odstrasza. A pan wie, że i tak by pan tego nie zrobił.

- Oczywiście, że nie.

- No właśnie. Kiedy nastąpi całkowite zaćmienie?

- Za niespełna godzinę.

- Musimy zaryzykować. Minie sporo czasu, zanim Apostołowie zgromadzą tłum - i założę się, że nie będzie to tłum fanatyków, raczej masa zwyczajnych mieszczuchów podburzonych przez garstkę Apostołów, którzy obiecują im natychmiastowe dostąpienie łaski, zbawienie czy cokolwiek innego - minie jednak sporo czasu, zanim ich tu przyprowadzą. Wzgórze Obserwatoryjne oddalone jest o dobre osiem kilometrów od miasta.

Szirin wyjrzał przez okno. Teremon stanął obok i skierował wzrok w dół zbocza, gdzie pola uprawne ustępowały miejsca koloniom białych domków na przedmieściach. Znajdująca się za nim metropolia była niewyraźną plamą, mgłą w gasnącym blasku Dovima. Krajobraz tonął w tajemniczym, przerażającym świetle.

- Tak, dotarcie tutaj zabierze im trochę czasu - powiedział Szirin nie odwracając głowy. - Zamknijmy drzwi, pracujmy dalej i módlmy się, żeby najpierw przyszło całkowite zaćmienie. Kiedy zaświecą gwiazdy, nawet Apostołowie nie będą w stanie kierować tłumem.

Dovim był przecięty na pół. Linia podziału wyginała się lekko ku wciąż jeszcze jasnej części czerwonego słońca. Jakby opadała nieubłagane gigantyczna powieka.

Teremon stał bez ruchu. Przestał słyszeć nikły gwar, dobiegający z pokoju za nim, odczuwał jedynie głęboką ciszę pobliskich pól. Nawet owady zamilkły, śmiertelnie Jrzerazone. Cienie stawały się coraz bardziej niewyraźne. Świat wydawał się jedną plamą zakrzepłej krwi.

- Nie patrz tak długo - usłyszał szept Szirina.

- Na słońce?

- Na miasto. Na niebo. Nie boję się, że zniszczysz sobie wzrok. Chodzi o twój umysł, Teremonie.

- Mój umysł jest w porządku.

- Oby tak dalej. Jak się czujesz?

- No... - Teremon zmrużył oczy. Nieco zaschło mu w gardle. Przesunął palcem wzdłuż wewnętrznej strony kołnierzyka. Ciasny. Ciasny. Jak gdyby jakaś ręka zaciskała mu się na gardle. Odchrząknął, ale nie doznał żadnej ulgi. - Może małe trudności w oddychaniu - przyznał.

- Trudności w oddychaniu to jeden z pierwszych symptomów klaustrofobii. Kiedy poczujesz ucisk wokół klatki piersiowej, mądrze zrobisz odwracając się od okna.

- Chcę obserwować, co się dzieje.

- Doskonale. Doskonale. Zatem rób, co ci się żywnie podoba.

Teremon otworzył szeroko oczy i kilka razy odetchnął głęboko.

- Nie wierzysz, że mogę to znieść, prawda? - zapytał.

- Niczego już nie wiem na pewno, Teremonie - Szirin westchnął ze znużeniem. - Wszystko zmienia się z minuty na minutę... A oto nasz Biney!

Astronom stanął między oknem a dwojgiem ludzi w kącie i przesłonił sobą światło. Szirin nagle poczuł się nieswojo.

- Co słychać, Bineyu? - zagadnął.

- Czy mogę się przysiąść? Dokonałem już wszystkich obliczeń i nie mam nic do roboty aż do całkowitego zaćmienia. - Biney urwał i zerknął na Apostoła. Folimun z uwagą studiował małą, oprawną w skórę książkę, którą wyciągnął z rękawa swej szaty. - Chyba mieliśmy go gdzieś zamknąć?

- Zdecydowaliśmy inaczej - rzekł Teremon. - Czy nie wiesz, gdzie się podziała Siferra? Dopiero co ją widziałem, a teraz gdzieś znikła.

- Jest na górze, pod kopułą. Chciała popatrzeć przez duży teleskop. I tak nie zobaczy tam niczego, czego nie można dostrzec gołym okiem.

- Pewnie chce obejrzeć Kalgasza Dwa - domyślił się Teremon.

- A co tam jest do oglądania? Ciemność w Ciemności. Obserwujemy efekt jego obecności, kiedy przesuwa się przed tarczą Dovima, ale sam Kalgasz Dwa - to tylko okruch nocy na nocnym niebie.

- Noc... - zadumał się Szirin. - Jak to obco brzmi.

- Już nie tak obco - zauważył Teremon. - Zatem w ogóle nie można zobaczyć tego wędrującego satelity, nawet przez duży teleskop?

Biney wyglądał na zakłopotanego.

- Rozumiesz, nasze teleskopy w obecnych warunkach nie zdają egzaminu. Są przydatne do obserwacji słonecznych, ale niech tylko napotkają coś ciemnego... - Pokiwał głową. Ściągnął ramiona do tyłu i z dużym wysiłkiem próbował nabrać do płuc nieco powietrza. - Nie ma jednak wątpliwości, że Kalgasz Dwa istnieje. To dziwne pasmo Ciemności, które przemieszcza się między nami i Dovimem, to właśnie Kalgasz Dwa.

- Biney, czy masz jakieś trudności w oddychaniu? - spytał Szirin.

- Trochę. - Astronom pociągnął nosem. - Zdaje się, że to katar.

- A może raczej lekki atak klaustrofobii?

- Tak sądzisz?

- Jestem zupełnie pewien. Czy czujesz jeszcze coś dziwnego?

- Tak - przyznał Biney. - Mam wrażenie, jakbym tracił wzrok. Kontury zaczynają się rozmywać i... krótko mówiąc, nie widzę tak wyraźnie jak dotychczas. Poza tym jest mi zimno.

- Och, to nie złudzenie. Naprawdę jest zimno. - Teremon się skrzywił. - Palce u nóg mam tak lodowate, jak gdybym podróżował po całym kraju w chłodni.

- W tej chwili powinniśmy przede wszystkim odwrócić uwagę od odczuwanych przez nas objawów - stwierdził psycholog kategorycznie. - Musimy myśleć o czymś innym.

Teremonie, tłumaczyłem ci przed chwilą, dlaczego doświadczenie tych dwóch studentów z dziurami w dachu nic nie dało.

- Dopiero zacząłeś o tym mówić. - Teremon skulił się, objął rękoma kolana i przytulił do nich brodę. "Teraz, kiedy pozostało już tak niewiele czasu do całkowitego zaćmienia, powinienem ich przeprosić i pójść na górę w poszukiwaniu Siferry - pomyślał. - Ale nie mogę, brak mi sił. A może po prostu boję się jej spojrzeć w twarz?"

- Właśnie chciałem zasugerować - podjął wątek Szirin - że Faron i Imot popełnili błąd odczytując dosłownie Księgę Objawień. Prawdopodobnie przypisywanie pojęciu gwiazd jakiegoś fizycznego znaczenia nie ma żadnego sensu. Niewykluczone, że ludzki umysł w absolutnej i długotrwałej Ciemności odczuwa nieodpartą potrzebę światła, stwarza je więc w wyobraźni. W takim przypadku gwiazdy stanowiłyby tylko iluzję.

- Innymi słowy - Teremon dał się wciągnąć w temat - uważasz, że gwiazdy są skutkiem szaleństwa, a nie jedną z jego przyczyn? Po co więc astronomowie robią teraz zdjęcia?

- Może po to, by udowodnić, że gwiazdy to tylko złudzenie. Albo by dowieść czegoś wręcz przeciwnego. Cóż...

Biney przysunął bliżej krzesło. Ożywił się nagle.

- Cieszę się, że poruszyłeś ten temat - zaczął. - Sam się nad gwiazdami zastanawiałem i przyszła mi do głowy nader interesująca myśl. Oczywiście, to tylko niepoważne spekulacje i nie mam zamiaru

ich rozwijać w żadną teorię. Niemniej warto chyba je rozważyć. Czy chcecie posłuchać?

- Czemu nie? - Szirin rozsiadł się wygodniej.

Biney ociągał się nieco. Z nieśmiałym uśmiechem zaczął:

- A zatem przypuśćmy, że we wszechświecie mogą istnieć inne słońca. Teremon powstrzymał się, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Mówiłeś, że to niepoważne spekulacje, ale nie wyobrażałem sobie...

- Nie, to wcale nie jest aż tak głupie. Nie chodzi mi o inne słońca gdzieś blisko, których jakoś tajemniczo nie jesteśmy w stanie dostrzec. Mówię o słońcach tak odległych, że ich światło jest zbyt słabe, byśmy je mogli wykryć. Gdyby znajdowały się w pobliżu, byłyby może równie jasne jak Onos czy Tano i Sitha, ale z wielkiej odległości światło, które emitują, zdaje się nam jedynie małym świecącym punkcikiem, który jest niedostrzegalny w ciągłym blasku naszych sześciu słońc.

- A co z prawem powszechnego ciężenia? - spytał Szirin. - Czyżbyś nie zwrócił na to uwagi? Przecież te inne słońca siłą przyciągania zakłócałyby orbitę naszej planety, podobnie jak robi to Kalgasz Dwa, i te perturbacje astronomowie musieliby zauważyć!

- Trafna uwaga - powiedział Biney. - Załóżmy jednak, że te słońca są naprawdę bardzo daleko - może o cztery lata świetlne stąd albo nawet więcej.

- Ile lat ma rok świetlny? - spytał Teremon.

- Nie ile. To miara odległości. Rok świetlny to odległość, jaką pokonuje światło w ciągu jednego roku, co stanowi ogromną liczbę kilometrów, ponieważ światło rozchodzi się z wielką prędkością. Obliczyliśmy ją w przybliżeniu na dwieście dziewięćdziesiąt pięć tysięcy kilometrów na godzinę, a podejrzewam, że gdybyśmy dysponowali lepszymi instrumentami, odkrylibyśmy, że prędkość światła jest nawet większa. Ale nawet szacując ją na dwieście dziewięćdziesiąt pięć tysięcy kilometrów na godzinę, możemy obliczyć, że Onos znajduje się o dziesięć minut świetlnych stąd, Tano i Sitha w odległości około jedenastokrotnie większej, i tak dalej. Zatem słońce oddalone od nas o kilka lat świetlnych... no, to byłoby naprawdę daleko. Z powodu tak wielkiej odległości perturbacje, jakie te słońca mogą powodować w ruchu Kalgasza, są znikome i dlatego nie jesteśmy w stanie ich wykryć. Dobrze, powiedzmy więc, że jest wiele słońc wszędzie wokół nas na sklepieniu niebieskim w odległości czterech do ośmiu lat świetlnych... przypuśćmy - dziesięć czy dwadzieścia takich słońc.

Teremon gwizdnął.

- To dopiero pomysł na wspaniałą artykuł w "Dodatku Weekendowym"! Dwadzieścia słońc we wszechświecie, w odległości ośmiu lat świetlnych! Bogowie! Cały nasz wszechświat jest kruszyną! Wyobraź sobie - Kalgasz i jego słońca jedynie małym, nic nie znaczącym przedmiotem prawdziwego wszechświata! A myśleliśmy, że jesteśmy wszystkim, tylko my i nasze sześć słońc, zupełnie sami w kosmosie!

- To tylko szalone przypuszczenia - usprawiedliwiał się Biney - ale mam nadzieję, że rozumiecie, dokąd zmierzam. Podczas zaćmienia, kiedy nie będzie docierało do nas światło słoneczne, te dziesięć czy dwadzieścia słońc nagle stałoby się widoczne. Ze względu na wielką odległość wydawałyby się małe, podobne do licznych świecących kropek. No i widzielibyśmy gwiazdy, pojawiające się nagle punkty świetlne, od dawna obiecywane nam przez Apostołów.

- Apostołowie mówią o "niezliczonych zastępach" gwiazd - przypomniał Szirin. - Nie brzmi mi to jak dziesięć lub dwadzieścia, raczej jakieś kilka milionów, prawda?

- Poetycka przesada. - Biney wzruszył ramionami. - We wszechświecie po prostu nie ma dość miejsca dla miliona słońc, nawet gdyby się stykały, stłoczone jedno przy drugim.

- Poza tym - podsunął Teremon - kiedy już dojdziemy do dziesięciu lub dwudziestu, czy naprawdę możemy wtedy uchwycić rząd wielkości? Idę o zakład, że tuzin gwiazd zdałby się liczbą nie do policzenia - tym bardziej jeśli przypadkiem towarzyszyłoby temu zaćmienie, a wszystkim by odbiło od samego patrzenia na Ciemność. Są przecież prymitywne plemiona, które na określenie liczb mają w swym języku tylko trzy słowa - „Jeden”, „dwa” i „dużo”. Możliwe, że my jesteśmy nieco rozumniejsi. Dziesięć czy dwadzieścia potrafimy pojąć, lecz dalej wszystko wydaje się nam po prostu „niezliczone”. - Zadrzał z przejęcia. - Pomyśl tylko! Tuzin słońc!

- Mam jeszcze inny pomysł - rzekł Biney. - Równie oryginalny. Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, jaką nieskomplikowaną sprawą byłaby grawitacja, gdybyśmy tylko mieli wystarczająco prosty system? Wyobraźmy sobie wszechświat, w którym istniałoby tylko jedno słońce i jedna planeta. Planeta krąży po doskonałej elipsie i pojęcie siły przyciągania staje się na tyle oczywiste, że można je uznać za aksjomat. W takim świecie astronomowie odkryliby prawo grawitacji i bez teleskopu. Wystarczyłaby obserwacja gołym okiem.

- Ale czy taki system byłby dynamicznie stabilny? - zapytał Szirin z powątpiewaniem w głosie.

- Oczywiście! Teoretycy nazywają to układem pojedynczym. Został opracowany matematycznie, mnie jednak interesują głównie jego implikacje filozoficzne.

- Przyjemnie jest pomyśleć o czymś takim - przyznał Szirin. - Całkowita abstrakcja, coś jak gaz doskonały czy zero absolutne.

- Oczywiście masz rację - zgodził się Biney. - Rozważając ten problem musimy dojść do wniosku, że na takiej planecie nie mogłoby powstać życie. Nie docierałoby do niej dosyć ciepła i światła, a gdyby jeszcze się obracała wokół własnej osi, przez pół doby trwałaby na niej całkowita Ciemność. Szirinie, kiedyś poprosiłeś mnie, żebym wyobraził sobie taką planetę, pamiętasz? Planetę, której mieszkańcy byłiby w pełni przystosowani do panujących na przemian dnia i nocy. Zastanawiałem się nad tym. Na takiej planecie nie byłoby żadnych mieszkańców! Niepodobna, by życie - całkowicie zależne od światła - rozwinęło się w tak ekstremalnych warunkach. Połowa okresu każdego obrotu spędzona w Ciemności! Nie, nic nie może egzystować w takich warunkach. A skoro już przy tym jesteśmy - mówiąc wyłącznie hipotetycznie, system pojedynczy byłby...

- Poczekaj chwilę - wtrącił Szirin. - Łatwo powiedzieć, że nie rozwinęłoby się tam życie. Skąd o tym wiesz? Co jest tak zupełnie niemożliwe w koncepcji, że życie rozwinie się w miejscu, które przez połowę doby pogrążone jest w Ciemności?

- Już ci mówiłem, Szirinie. Życie jest całkowicie zależne od światła. Dlatego też w świecie, gdzie...

- Życie tutaj jest całkowicie zależne od światła. Co to ma wspólnego z planetą, która...

- To wynika z rozumowania!

- To wynika z błędnej metody rozumowania! - odparował Szirin. - Definiujesz życie jako takie a takie zjawisko, które występuje na Kalgaszu, a potem próbujesz twierdzić, że w świecie zupełnie niepodobnym do Kalgasza życie byłoby...

Nagle Teremon wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem. Szirin i Biney spojrzeli na niego z oburzeniem.

- Co cię tak rozśmieszyło? - zapytał Biney.

- Wy dwaj. Astronom i psycholog prowadzący zażartą dyskusję o biologii. To pewnie ten słynny interdyscyplinarny dialog, wielki ferment intelektualny, o którym tak dużo słyszałem i z którego znany jest Uniwersytet Saryjski. - Dziennikarz wstał. Niecierpliwił się już od jakiegoś czasu, a długa

rozprawa Bineya na abstrakcyjne tematy rozdrażniła go jeszcze bardziej. - Wybaczcie. Muszę rozprostować nogi.

- Całkowite zaćmienie jest już blisko - zaznaczył Biney. - Chyba nie chciałbyś być sam, kiedy to się stanie.

- Trochę tylko się przespaceruję i zaraz wracam - zapewnił Teremon.

Zanim zrobił pięć kroków, Biney i Szirin powrócili do swej dyskusji. Teremon uśmiechnął się. "To dobry sposób na obniżenie napięcia" - pomyślał. Wszyscy znajdowali się pod ogromną presją. Bądź co bądź każde tyknięcie zegara przybliżało świat do pełnej Ciemności... do...

Do gwiazd?

Do szaleństwa?

Do czasu Niebiańskich Płomieni?

Teremon wzruszył ramionami. Przez kilka ostatnich godzin przeszedł prawdziwą huśtawkę nastrojów, teraz jednak czuł dziwny, niemal fatalistyczny spokój. Zawsze wierzył, że jest panem swego losu, że jest w stanie kształtować swe życie; myśląc w ten właśnie sposób udało mu się dostać w takie miejsca, gdzie inni dziennikarze nie mieli żadnych szans trafić. Teraz nie panował nad niczym i dobrze o tym wiedział. Niech przyjdzie Ciemność, niech przyjdą gwiazdy, niech przyjdą płomienie - wszystko się zdarzy, czy on tego chce, czy nie chce. Nie ma sensu spalać się w nerwowym oczekiwaniu. Odpręż się, usiądź wygodnie, czekaj, patrz, co się dzieje. I wierz, że przeżyjesz to całe zamieszanie, jakie lada chwila nastąpi.

- Idzie pan na górę do kopuły? - usłyszał jakiś głos. Przymrużył oczy w półmroku. Był to ten mały, puciołowaty dyplomant z Wydziału Astronomii - Faron, tak się chyba nazywał?

- Tak, idę na górę - powiedział Teremon, choć właściwie nie zmierzał do żadnego określonego celu.

- Ja też. Chodźmy tam razem, zaprowadzę pana. Kręte metalowe schody pięły się spiralnie w górę do wysoko sklepionego najwyższego piętra ogromnego budynku. Faron sapiąc stapał ciężko, chwiejnie, a zaraz za nim lekkim krokiem szedł Teremon. Był już raz pod kopułą obserwatorium, wiele lat temu, kiedy Biney chciał mu coś pokazać, ale z tej wizyty pamiętał bardzo niewiele.

Faron pociągnął do siebie ciężkie rozsuwane drzwi i weszli do środka.

- Przyszedłeś przyjrzeć się gwiazdom z bliska? - spytała Siferra. Stała tuż przy wejściu, obserwując pracujących astronomów.

Teremon poczerwieniał. Siferra była ostatnią osobą, którą chciałby w tej chwili spotkać. Za późno przypomniał sobie, że przecież Biney powiedział mu, dokąd poszła. Pomimo zagadkowego uśmiechu, który posłała mu, kiedy zaczęło się zaćmienie, nadal obawiał się żądła jej szyderstwa, gniewu o domniemaną zdradę zespołu naukowców.

Nie okazywała jednak żadnej urazy. Może teraz, kiedy świat pogrążał się w Jaskini Ciemności, uznała, że wszystko, co wydarzyło się przed zaćmieniem, nie miało już znaczenia, że wobec nadchodzącej katastrofy niczym są wszelkie pomyłki, wszelkie kłótnie, wszelkie grzechy.

- Niezwykłe miejsce! - skomentował Teremon.

- Zdumiewające, prawda? Co nie znaczy, żebym wiele wiedziała o tym, co się tu dzieje. Ten duży solaroskop jest nastawiony na Dovima - choć, jak mi mówiono, to bardziej aparat fotograficzny niż teleskop, nie można tak po prostu przez niego spojrzeć i zobaczyć nieba, a mniejsze teleskopy są wyostrzone na większą odległość, by zarejestrować pojawienie się gwiazd...

- Czy już je widać?

- O ile wiem, nie - powiedziała Siferra. Teremon pokiwał głową. Rozejrzył się. Było to serce obserwatorium, sala, gdzie miała miejsce rzeczywista penetracja nieba. Było to też najciemniejsze pomieszczenie, w jakim kiedykolwiek przebywał - oczywiście niezupełnie ciemne; wzdłuż zakrzywionej ściany umocowano w podwójnym szeregu kinkiety z brązu, ale lampy dawały niewiele światła.

W panującej szarości Teremon widział wielką metalową tubę wycelowaną ku górze i znikającą w przeszklonym dachu. Przez dach zobaczył niebo. Miało teraz przerażająco intensywny kolor purpury. Okrojony Dovim był wciąż widoczny, jednak wydawało się, że małe słońce wycofało się na ogromną odległość.

- Jak wszystko dziwnie wygląda - szepnął Teremon. - Nigdy jeszcze nie widziałem podobnego nieba. Jest ciężkie - jak jakiś gruby koc.

- Koc, który okryje nas wszystkich.

- Siferra, boisz się?

- Oczywiście. A ty?

- Tak i nie. Nie chcę udawać bohatera, wierz mi, ale nie jestem nawet w części tak zdenerwowany jak godzinę czy dwie temu. Raczej odrętwiały.

- Chyba wiem, o co ci chodzi.

- Athor mówi, że w mieście są już jakieś rozruchy.

- To dopiero początek. Teremonie, nie mogę przestać myśleć o popiołach. Popiołach ze wzgórza Tombo. Te wielkie kamienne płyty, fundamenty cyklopowego miasta - i u ich podstaw wszędzie popioły.

- A niżej popioły jeszcze starsze.

- Tak - westchnęła Siferra.

Teremon zauważył, że się do niego przybliżyła. Zrozumiał, że uraza, którą czuła do niego przez ostatnie miesiące, gdzieś się ulotniła, a Siferra - czy to możliwe? - zaczęła odwzajemniać zainteresowanie, jakim ją niegdyś darzył. Był zbyt doświadczonym mężczyzną, aby nie rozpoznać charakterystycznych tego objawów.

„No tak - pomyślał. - Świat zmierza ku końcowi i właśnie teraz Siferra odrzuciła maskę obojętnej Królowej Śniegu”.

Ktoś bardzo wysoki podszedł do nich niezgrabnie, wymachując długimi ramionami.

- Jak dotąd ani śladu gwiazd - rzucił na powitanie i zachichotał. To był Imot, jeden z dwóch dyplomantów. - Może w ogóle ich nie zobaczymy. Wszystko okaże się niewypałem, jak ten eksperyment, który razem z Faronem przeprowadziliśmy w starym magazynie.

- Wciąż widać sporą część Dovima - stwierdził Teremon. - Daleko jeszcze do całkowitej Ciemności.

- Mówisz, jakbyś nie mógł się jej doczekać - powiedziała Siferra.

- Chciałbym, żeby już skończyło się to oczekiwanie.

- Hej! - krzyknął któryś z naukowców. - Siadł mój komputer!

- Światła...! - wołał ktoś inny.

- Co się dzieje? - spytała Siferra.

- Awaria zasilania - wytłumaczył Teremon. - Taki przebieg wypadków przewidział Szirin. Stała elektrownia. Pierwsza fala obłąkanych szaleje po mieście.

Rzeczywiście, przyćmione światła w kinkietach zgasły. Najpierw bardzo pojaśniały, jakby

doszło do nagłego wzrostu napięcia, potem przygasły; znów pojaśniały, choć nie tak jak przed chwilą, i osłabły. Zaledwie się żarzyły. Teremon poczuł, że dłoń Siferry mocno zaciska się na jego rękę.

- Zgasły - powiedział ktoś.

- Komputery też... Włączyć zasilanie awaryjne! Hej! Zasilanie awaryjne!

- Szybko! Solaroskop się nie rusza! Przysłona aparatu fotograficznego nie działa!

- Dlaczego wcześniej o tym nie pomyśleli? - zapytał Teremon.

Ale najwyraźniej pomyśleli. Gdzieś z głębi budynku dochodziło dudnienie generatora i po chwili monitory komputerów zamigotały na nowo. Lampy wzdłuż ścian pozostawały jednak wciąż ciemne, widocznie podłączone były do innego obwodu.

Obserwatorium pogrążyło się w niemal zupełnej ciemności.

Kobieca dłoń wciąż spoczywała na ręce Teremona.

Dziennikarz rozważał, czy nie objąć Siferry ramieniem i przytulić dla dodania otuchy. Wtedy dał się słyszeć głos Athora.

- Niech ktoś weźmie to ode mnie! Zaraz opanujemy sytuację.

- Co mamy od niego wziąć? - spytał Teremon.

- Athor przyniósł światło - oznajmił Imot. Teremon się obejrzał. W mroku trudno mu było cokolwiek dostrzec, ale już po chwili oczy jakoś się przyzwyczyły. Athor trzymał kilka długich, grubych polan. Spoglądał znad wiązki na członków zespołu.

- Faron! Imot! Pomóście mi!

Młodzi mężczyźni podbiegli do dyrektora obserwatorium i odebrali od niego ciężar. W absolutnej ciszy Imot podawał polana, a Faron zapalał, jak gdyby odprawiał jakiś uświęcony obrzęd religijny. Kiedy dotykał płomieniem zapalki górnego końca polana, ognik przez chwilę drżał niepewnie i migotał, aż nagły błysk z trzaskiem rozjaśnił żółtym światłem pomarszczoną twarz Athora. Spontaniczny okrzyk radości wstrząsnął kopułą. Nad polanem unosił się wysoki chwiejny płomień.

- Ogień? Tutaj? - zastanowił się Teremon. - Może należałoby raczej użyć bożych światełek?

- Myśleliśmy o nich - powiedziała Siferra - lecz boże światełka są zbyt słabe. Dobre do sypialni

- mały, przyjazny towarzysz w przejściu przez okres snu - jednak w tak dużym pomieszczeniu...

- Na dole też zapalają pochodnie?

- Chyba tak.

- Jeśli nawet wy, aby powstrzymać Ciemność, uciekacie się do czegoś tak prymitywnego jak ogień - Teremon potrząsnął głową - nic dziwnego, że miasto dzisiaj spłonie.

Światło było blade, bardziej przyćmione niż nikły blask Dovima. Płomyki drgały. Na ścianach pojawiły się migotliwe, tańczące cienie. Pochodnie kopciły straszliwie, wydzielając swąd spalenizny. Dawały jednak żółte światło.

„Jest coś radosnego w tym żółtym świetle po niemal czterech godzinach spędzonych w ponurych promieniach znikającego Dovima” - pomyślał Teremon.

Siferra ogrzewała rękę przy najbliższym płomyku, nie bacząc na sadze, osiadające na skórze szarymi drobinami.

- Piękne! Piękne! - mruzczała do siebie w uniesieniu. - Nie zdawałam sobie dotychczas sprawy, jakim cudownym kolorem jest żółty.

Teremon przyglądał się pochodniom z dużą dozą podejrzliwości. Zmarszczył nos czując zjełczały

odór.

- Z czego są zrobione? - zapytał.

- Z drewna - odpowiedziała Siferra.

- Niemożliwe! One się przecież w ogóle nie palą. Górne dwa centymetry są już zwęglone, a płomień z niczego strzela w górę.

- W tym całe piękno. To naprawdę doskonałe urządzenie produkujące sztuczne światło. Wykonaliśmy ich kilkaset sztuk, ale większość oczywiście jest w Sanktuarium. Rozumiesz - Siferra strzepnęła sadze ze swych poczerniałych dłoni - bierzesz zdrewniały rdzeń grubej trzciny wodnej, dokładnie go suszysz i moczysz w tłuszczu zwierzęcym. Następnie podpalasz i tłuszcz powoli, stopniowo płonie. Te pochodnie będą się palić bez przerwy przez blisko pół godziny. Pomysłowe, prawda?

- Cudowne! - stwierdził Teremon bez entuzjazmu. - Bardzo nowoczesne. Imponujące.

Nie mógł pozostać w tym pomieszczeniu ani chwili dłużej. Ten sam niepokój, który nakazał mu opuścić Szirina i Bineya, teraz ogarnął go ponownie. Pochodnie zbyt dymią, a przez otwór w kopule wpadał do wnętrza silny podmuch zimnego powietrza, nieprzyjemny, chłodny powiew. Lodowate dotknięcie nocy. Zadrżał. Żałował, że tak szybko skończyli z Szirinem i Bineyem butelkę tego podłego wina.

- Wracam na dół - powiedziała Siferra. - Nie ma tu nic do oglądania, jeśli nie jest się astronomem.

- Doskonale. Pójdę z tobą.

W migoczącym żółtym świetle zobaczył, jak na jej twarzy pojawia się wyraźny, bynajmniej nie zagadkowy uśmiech.

Spiralnymi metalowymi schodami, dudniącymi z każdym ich krokiem, zeszli do pomieszczenia niżej. Tu również lampy zgasły, ludzie zapalili pochodnie. Bmey pracował przy trzech komputerach naraz, przetwarzając dane nadchodzące z teleskopów zainstalowanych na górze. Pozostali astronomowie także byli zajęci, ale Teremon nie rozumiał, co robią. Szirin błąkał się między nimi, zupełnie zagubiony. Folimun przesunął swe krzesło bezpośrednio pod pochodnię i powrócił do czytania, poruszając ustami w monotonnym monologu inwokacji do gwiazd.

Teremonowi przebiegały przez głowę jakieś frazy, oderwane fragmenty artykułu do jutrzejszego wydania "Kuriera Saro". Już wcześniej tego wieczora uruchamiał w wyobraźni maszynę do pisania - przyzwyczajenie zawodowe, bardzo praktyczne i pożyteczne, ale obecnie zupełnie bezsensowne. Było absurdem wyobrażać sobie, że jutro ukaże się kolejne wydanie "Kroniki".

Wymienili z Siferrą spojrzenia.

- Niebo - szepnęła.

- Tak, zauważyłem.

Znów zmieniło odcień. Było jeszcze bardziej mroczne - straszliwszy, głęboki, fioletowoczerwony kolor, jakby jakaś ogromna rana w sklepieniu niebios broczyła krwią.

Powietrze jak gdyby zgęstniało. Niemal namacalny półmrok wypełniał pokój. Tańczące wokół pochodni kręgi żółtego światła odcinały się ostro od wszechobecnej szarości. Podobnie jak na górze, tak i tutaj czuć było swąd palącego się tłuszczu. Teremona drażniło nawet syczenie pochodni podobne do chichotu, czy też ciche odgłosy kroków Szirina krążącego wokół stołu.

Coraz trudniej było cokolwiek zobaczyć, nawet przy świetle pochodni.

„Zaczyna się - pomyślał Teremon. - Czas Ciemności. Nadejście gwiazd”.

Przez moment miał ochotę poszukać jakiejś przytulnej kryjówki i schować się w niej do czasu, gdy będzie już po wszystkim. Trzymać się z dala, unikać widoku gwiazd, skulić się i przeczekać, aż wszystko powróci do normy. Po chwili zastanowienia uznał jednak, że nie był to najlepszy pomysł. Przecież w kryjówce - jakimkolwiek ciasnym zamkniętym pomieszczeniu - też panowałby mrok. Zamiast w bezpiecznej przystani, znalazłby się w gabinecie grozy, o wiele bardziej przerażającym od sal obserwatorium.

A poza tym, jeśli miało zdarzyć coś wielkiego, coś, co na nowo ukształtuje historię świata, Teremon nie chciał w tym czasie siedzieć z głową ukrytą w ramionach. Byłoby to tchórzostwo i głupota; żałowałby swego postępuku do końca życia. Nigdy nie był człowiekiem, który uciekał przed niebezpieczeństwem, zwłaszcza jeśli widział w nim jakiś ciekawy temat dla siebie. No i był po prostu wystarczająco pewny siebie, by wierzyć, że zniesie wszystko, cokolwiek się zdarzy - zostało też w nim dość sceptycyzmu, aby przynajmniej trochę wątpić w nadejście czegoś ważnego.

Stał bez ruchu, przysłuchując się urywanym oddechom Siferry, szybkim i płytkim jak u kogoś, kto za wszelką cenę stara się zachować spokój.

Wtedy usłyszał coś jeszcze - ledwo uchwytny echa dźwięku, które zapewne przeszłyby niepostrzeżenie, gdyby nie zalegająca w pokoju śmiertelna cisza i nienaturalne skupienie uwagi Teremona wyczekującego na całkowite zaćmienie.

Dziennikarz zamarł, wyteżył słuch, wstrzymał oddech. Po chwili ostrożnie ruszył do okna i wyjrzał na zewnątrz.

Ciszę rozdarł jego przerażony krzyk:

- Szirin!

W pokoju zawrzało. Wszyscy podnieśli głowy, zerwali się z miejsc. Natychmiast zjawił się przy nim psycholog. Potem Siferra. Nawet Biney, pochylony nad komputerami, oderwał się od pracy.

Na niebie Dovim był już tylko tłącą się drzazgą, posyłającą Kalgaszowi ostatnie, tragiczne spojrzenie. Od strony miasta wschodni horyzont ginął w Ciemności, a droga łącząca Saro z obserwatorium przypominała brudnoczerwoną linię. Drzewa rosnące po obu stronach autostrady straciły swą odrębność i zlały się w zwartą czarną masę.

Uwagę przyciągała głównie sama autostrada, po której sunęła z wolna inna, nieskończenie groźniejsza czarna masa, pełznąca po zboczach Wzgórza Obserwatoryjnego niczym nieubłagana bestia.

- Patrzcie! - wykrzyknął Teremon chrapliwie. - Niech ktoś zawiadomi Athora! Szaleńcy z miasta! Ludzie Folimuna nadchodzą!

- Ile jeszcze do całkowitego zaćmienia? - spytał Szirin.

- Kwadrans - odpowiedział Teremon ochryple. - Oni będą tu za pięć minut.

- Nie szkodzi. Pracujcie dalej! - Głos Szirina brzmiał mocno, zdecydowanie, rozkazująco, jakby psycholog w krytycznym momencie zdołał odkryć w sobie głębokie pokłady wewnętrznej siły. - Powstrzymamy ich. Obserwatorium to istna forteca. Siferro, idź na górę i powiedz Athorowi, co się dzieje. Bineyu, pilnuj Folimuna. Powal go i usiądź na nim, jeśli będzie trzeba, ale nie pozwól mu uciec. Teremonie, chodź ze mną.

Psycholog po chwili był już za drzwiami. Teremon podążył za nim. Schody biegingy w dół wąskimi, krętymi łukami wokół środkowego szybu, nikły pośród szarego mroku.

Siłą rozpędu pokonali piętnaście metrów. W górze znikło blade, żółto migoczące światło z otwartych drzwi. Z dołu nacierała złowroga czerń.

Szirin zatrzymał się, chwycił pulchną dłoń za pierś. Oczy wyszły mu z orbit, nie mógł wydobyć

z siebie głosu, jedynie kasłał sucho. Drżał ze strachu na całym ciele. Bez względu na to, z jakiego wewnętrznego źródła czerpał przed chwilą energię, teraz to źródło wydawało się już wyczerpane.

- Brak... mi... tchu... - zdołał wykrztusić. - Zejdź... sam. Sprawdź, czy wszystkie drzwi są zamknięte... Teremon zrobił kilka kroków w dół i odwrócił się.

- Poczekaj! - zawołał. - Wytrzymasz chwilę?

Jemu też brakowało tchu. Wdychał i wydychał powietrze z najwyższym trudem. Na myśl o samotnym zejściu w dół zaczęła wzbierać w nim panika.

A jeśli strażnicy zostawili główne drzwi otwarte?

Nie tłum się obawiał. Raczej...

Ciemności.

Teremon zdał sobie sprawę, że bał się Ciemności!

- Zostań tu - powiedział do Szirina, który i tak nie mógł ruszyć się z miejsca, skulony w ataku duszności. - Zaraz wrócę.

Rzucił się w górę przeskakując po dwa stopnie naraz. Serce waliło mu jak młotem - bynajmniej nie z wysiłku. Wpadł do sali i wyrwał ze stojaka pochodnię. Zaskoczona Siferra spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Iść z tobą? - spytała.

- Tak. Nie, nie!

Wybiegł. Pochodnia cuchnęła, dym gryzł w oczy, oślepiał, ale Teremon ścisnął w rękę łuczywo z taką radością, jakby chciał je ucałować. Gdy znów popędził w dół po schodach, płomień umykał do tyłu.

Szirin ani drgnął. Kiedy Teremon się nad nim pochylił, podniósł powieki i jęknął głucho. Dziennikarz potrzęsnał go za ramię.

- Weź się w garść. Mamy światło.

Trzymał skwierczącą pochodnię końcami palców i pomagając iść chwiejącemu się na nogach psychologowi, ruszył w dół. Czuł się bezpiecznie w jasnym kręgu światła.

Na parterze wszystko było czarne. Teremon znów poczuł ogarniający go lęk. Na szczęście pochodnia rozświetlała mu drogę przez Ciemność.

- Strażnicy... - powiedział Szirin.

Gdzie oni się podzieli? Wszyscy uciekli? Na to wyglądało. Nie, było jednak paru strażników, którym Athor kazał strzec wejścia. Stłoczeni w rogu, z oczami bez wyrazu, z wywieszonymi językami, trzęśli się jak galareta. Po pozostałych nie było ani śladu.

- Trzymaj! - polecił szorstko Teremon podając pochodnię Szirinowi. - Już ich słychać.

Z zewnątrz dobiegały strzępy ochrypłych nieartykułowanych wrzasków.

Szirin miał rację. Obserwatorium przypominało fortecę. Wzniesiono je w ubiegłym stuleciu, w szczytowym okresie okropnego neogawotańskiego stylu architektury; w zamyśle budowniczych miało być przykładem nie tyle piękna, co użyteczności i trwałości.

Okna zabezpieczone były grubymi na trzy centymetry kratami, zatopionymi głęboko w betonowe podkłady. Ścian, będących przykładem solidnej murarskiej roboty, nie mogłoby nadwereżyć nawet trzęsienie ziemi. Główne drzwi wykonane zostały z ogromnego dębowego kłoca, dodatkowo w różnych miejscach wzmocnionego żelaznymi ćwiekami.

Teremon sprawdził rygle. Były zasunięte.

- Przynajmniej nie wejdą tak po prostu do środka, jak to zrobił Folimun - zauważył, z trudem

chwytając powietrze. - Ale posłuchaj ich! Już tam są.

- Musimy coś zrobić.

- Nie stójcie tak! - rzucił Teremon w kierunku strażników. - Pomóżcie mi przesunąć skrzynie pod drzwi! I trzymajcie tę pochodnię z dala ode mnie. Duszę się dymem!

Skrzynie wypełnione były książkami, przyrządami optycznymi, jakimiś rupieciami - zawierały istne muzeum astronomii. Bogowie jedynie raczyli wiedzieć, ile mogły ważyć, ale w tej krytycznej chwili w Teremona wstąpiła jakaś nadludzka siła, bo dźwigał je w górę, jakby były lekkie niczym piórka. Przy pomocy Szirina zaciągał je na miejsce. Kiedy rzucał ciężar na podłogę, słychać było przewracającą się w środku skrzyń lunety i inne przyrządy. Brzęczało tłuczone szkło.

„Biney mnie zabije - pomyślał Teremon. - On odnosi się do tych soczewek z bałwochwalczym uwielbieniem”.

Nie był to jednak czas na subtelności. Z trzaskiem rzucał pod drzwi jedną skrzynię po drugiej i po kilku minutach zbudował barykadę, która - jak miał nadzieję - powstrzymałaby tłum, w razie gdyby zdołał się przedrzeć przez bramę.

Gdzieś zza barykady niewyraźnie rozlegało się łomotanie pięściami w drzwi. Wrzaski... krzyki...

To wszystko było jak upiorny sen.

Tłum wyruszył z Saro wiedziony nadzieją zbawienia, obiecywanego przez Apostołów Płomieni pod warunkiem zniszczenia obserwatorium. W zapadającej Ciemności ludzi opętał strach. Nie było czasu, by starać się o pojazdy, broń, przywódcę lub jakąś organizację. Pieszko ruszyli na obserwatorium, aby je szturmować gołymi rękoma.

I oto przybyli na miejsce. Ostatnie błyski Dovima, ostatnie rubinoczerwone krople słonecznego światła sączyły się na ludzkość, której pozostał jedynie wszechogarniający powszechny strach.

- Wracamy na górę! - rzucił Teremon. W głównej sali nie było już nikogo, astronomowie poszli na najwyższe piętro. Teremona zdziwił niesamowity spokój, jaki panował pod kopułą. Wszyscy zamarli w bezruchu, jakby zainscenizowali żywy obraz. Imot usadowił się w małym, odchylanym foteliku za stołem kontrolnym gigantycznego solaroskopu, jak podczas cowieczornych badań astronomicznych. Inni skupili się wokół mniejszych teleskopów, a Biney wydawał polecenia schrypniętym, pełnym napięcia głosem.

- Niech każdy wyostrzy obraz. Istotne jest, by uchwycić Dovima na moment przed całkowitym zaćmieniem, po czym zmienić kliszę. Proszę, ty... ty... po jednym do aparatu. Im więcej zrobimy zdjęć, tym lepiej. Oczywiście wszyscy pamiętacie czas... czas naświetlania?

Odpowiedział mu cichy szmer potakiwań.

Biney przetarł dłonią oczy.

- Czy pochodnie jeszcze się palą? Nieważne, widzę! - Wyprostował się na krześle. - I pamiętajcie, nie... nie szukajcie efektownych ujęć. Kiedy ukażą się gwiazdy, nie traćcie czasu próbując złapać w obiektywie dwie... dwie naraz. Jedna wystarczy. I... i jeśli ktoś poczuje, że źle z nim, niech odejdzie natychmiast od aparatu.

Szirin szepnął Teremonowi:

- Zaprowadź mnie do Athora. Nie widzę go. Dziennikarz nie odpowiedział. Niewyraźne sylwetki astronomów chwiały się i zamazywały. Pochodnie przypominały żółte plamy. W pokoju panował przenikliwy chłód. Teremon poczuł, jak przez moment - tylko przez moment - kobieca dłoń musnęła jego rękę, lecz nie mógł zobaczyć Siferry.

- Ciemno! - jęknął. Psycholog wyciągnął rękę.

- Athor! - Zatoczył się do przodu. - Athor! Teremon chwycił go za ramię.

- Poczekaj. Zaprowadzę cię.

Udało mu się jakoś przejść przez pokój. Zamknął oczy, żeby nie widzieć Ciemności. Usiłował nie myśleć o narastającym w nim chaosie.

Nikt ich nie słyszał, nikt nie zwracał na nich uwagi. Szirin potknął się i zatoczył na ścianę.

- Athor!

- To ty, Szirinie?

- Tak, tak. Athor?

- O co chodzi? - Bez wątplenia był to głos starego profesora.

- Chciałem tylko panu powiedzieć... Niech się pan nie martwi tłumem... drzwi są wystarczająco mocne, by ich powstrzymać.

- Tak, tak, oczywiście - bąknął Athor. Teremonowi zdało się, jakby astronom był o wiele kilometrów stąd.

Całe lata świetlne.

Nagle ktoś wpadł między nich z impetem. Ramionami młócił na prawo i lewo. Teremon pomyślał, że to Imot czy nawet Biney, ale kiedy musnęło go szorstkie sukno szaty Apostoła, rozpoznał Folimuna.

- Gwiazdy! - krzyczał Apostoł Płomieni. - Oto nadchodzą gwiazdy! Zejdźcie im z drogi!

„Próbuje dotrzeć do Bineya - domyślił się Teremon - żeby zniszczyć szatańskie przyrzady”.

- Uważajcie! - zawołał.

Biney jakby nie słyszał. Wciąż pochylał się nad komputerami, które uruchamiały aparaty fotografujące zapadającą Ciemność.

Teremon chwycił Folimuna za szatę i szarpnął. Nagle na jego gardle zacisnęły się kleszcze palców. Miotał się jak oszalały. Przed sobą miał tylko cienie. Nawet podłoga pod stopami zdawała się niematerialna. Poczul przeszywający ból. To Folimun uderzył go kolanem w brzuch. Teremon stęknął, sparaliżowany bólem omal nie upadł.

Ale po pierwszym momencie, w którym nie mógł złapać tchu, wróciła mu energia. Chwycił Folimuna za ramiona, obrócił i zacisnął rękę na jego gardle. W tej samej chwili usłyszał drżący głos Bineya.

- Mam! Mam! Wszyscy do aparatów!

W jednej chwili Teremon zrozumiał to, w co aż dotąd nie mógł uwierzyć. Przed oczami przepływał mu cały świat pogrążony w chaosie, wyjący z przerażenia.

Odczuł w niepojęty sposób, że oto ostatnia nić słonecznego światła pocieniała, a potem nieodwołalnie się urwała.

Jednocześnie usłyszał przerywany oddech Folimuna, głęboki ryk zdumionego Bineya i dziwny, cichy okrzyk Szirina, jego histeryczny chichot, który zamarł jak nożem uciał.

I naraz za murami gmachu zapanowała cisza - głucha śmiertelna cisza.

Rozluźnił chwyt i Folimun osunął się na podłogę. Teremon zajrzał Apostołowi w oczy, lecz zobaczył w nich pustkę - patrzyły w górę, odbijając bladożółte światło pochodni. Na ustach Folimuna ujrzał bąbelek piany i usłyszał wydobywający się z jego gardła niski, zwierzęcy skowyt.

Urzeczoną grozą skierował wzrok ku mrożącej krew w żyłach czerni nieba.

I wtedy zobaczył gwiazdy!

Nie dziesięć czy dwadzieścia, jak przewidywał Biney w swej żalosalnej teorii! Tysiące gwiazd

świeciło z niewiarygodną mocą, jedna przy drugiej, jedna przy drugiej, jedna przy drugiej, bezkresne mrowie, tworzące z firmamentu oślepiającą tarczę straszliwego światła. Tysiące potężnych słońc zabłysło przytłaczającym duszę przepychem, którego lodowata obojętność była zimniejsza od mroźnego wiatru szalejącego po przerażającym, ponurym świecie.

Podcinały korzenie jego bytu. Młóciły mu mózg niczym cepy. Ich potworne światło było jak milion olbrzymich gongów rozlegających się w tej samej chwili.

O BOŻE! O BOŻE, BOŻE, BOŻE.

Nie mógł oderwać oczu od ich piekielnego światła. Patrzył przez otwór w kopule, zeszywniały, z każdym mięśniem napiętym do ostatecznych granic. W bezradnym podziwieniu i przerażeniu wbił wzrok w ową tarczę, która z taką wściekłością wypełniła niebo. Poczul, jak pod wpływem tej bezustannej zajadłej napaści mózg mu się skurczył w niewielką lodową kulkę, stukającą po wydrążonej dyni, którą była jego czaszka. Nie mógł oddychać. Z żył odpływała krew.

Wreszcie zdołał zamknąć oczy.

Opadł na kolana. Dyszał ciężko i mamrotał pod nosem, walcząc o odzyskanie panowania nad sobą.

Potem chwiejnie wstał na nogi. Brak mu było tchu. Gardło miał ściśnięte, a wszystkie mięśnie skurczone boleśnie pod wpływem grozy i zwykłego, nieznośnego strachu. Niejasno zdawał sobie sprawę z bliskiej obecności Siferry, ale na próżno starał się przypomnieć sobie, kto to jest. Starał się przypomnieć sobie, kim jest on sam. Z dołu dobiegło miarowe bębnienie, przerażające walenie w drzwi. Dzika, tysiącłowa bestia chcąca wdrzeć się do środka...

Nie miało to znaczenia.

Nic nie miało znaczenia.

Popadał w obłąd i zdawał sobie z tego sprawę. Gdzieś głęboko w nim krzyczała jeszcze resztką świadomości, próbując zwalczyć beznadziejną powódź czarnego przerażenia. Straszliwie było odchodzić od zmysłów i być tego świadomym - wiedzieć, że za krótką chwilę on, Teremon, będzie tu fizycznie, lecz wszystko, co najistotniejsze, umrze, zatonie w czarnej otchłani obłądzenia. Taka była Ciemność - mrok, chłód, przeznaczenie. Jaśniejące mury wszechświata waliły się, a ich mordercze czarne gruzy miażdżyły, dusiły, ścierały na proch.

Zderzył się z kimś pełznącym na czworakach. Odsunął się w bok. Położył rękę na umęczonym gardle i zataczając się zmierzał ku płomieniom pochodni, które wypełniały jego obłąkany wzrok.

- Światła! - krzyczał. - Światła! Gdzieś niedaleko płakał Athor, zanosił się płaczem niczym przerażone dziecko.

- Gwiazdy... - szlochał. - Tyle gwiazd... Nie wiedzieliśmy! Nic nie wiedzieliśmy! Myśleliśmy, że sześć gwiazd to już wszechświat, a tu wszędzie gwiazdy i Ciemność na zawsze, na wieki wieków, i pękają ściany. Nie wiedzieliśmy nic, nie mogliśmy wiedzieć i nie dowiemy się...

Strącona przez kogoś pochodnia upadła i zgasła. Momentalnie spadł na nich wstrząsający majestat obojętnych gwiazd.

Z dołu dochodziły krzyki, wrzaski i brzęk tłuczonego szkła. Rozszalały, nieokiełznany tłum wdarł się do obserwatorium.

Teremon spojrzał wokół. W straszliwym świetle gwiazd zobaczył osłupiałych naukowców, z przerażenia ślaniających się na nogach. Zdołał wyjść na korytarz. Tam ogarnęła go nagła fala mroźnego powietrza, napływająca przez otwarte okno. Stanął czując, jak uderza go w twarz, i śmiał się cicho z arktycznego chłodu.

- Teremon?! - zawołał ktoś za nim. - Teremon?! Śmiał się dalej.

- Patrz! - usłyszał swój głos. - Tam są te gwiazdy. A tam są te płomienie.

Za oknem, na horyzoncie, od strony Saro, narastała szkarłatna luna. Jaśniała, przybierała na sile.

Nie był to jednak blask wschodzącego słońca.

Znów nastąpiła długa noc.

Część trzecia

Świt

Pierwszą rzeczą, którą Teremon uświadomił sobie po długim okresie trwania w całkowitej nieświadomości, była obecność czegoś ogromnego i żółtego, wiszącego ponad nim.

Była to olbrzymia złota kula światła. Blask z niej bił taki, że raził w oczy aż do bólu. Wysyłała pulsujące fale gorąca.

Skulił się, schylił nisko głowę i zakrył oczy, chcąc zasłonić się przed nawałą światła i ciepła płynącą z nieba. "Jaka siła to utrzymuje? - zastanawiał się. - Dlaczego kula nie spada?"

Jeśli spadnie, spadnie na mnie.

Gdzie się przed tym ukryć? Jak się obronić?"

Bał się poruszyć, ledwie ośmielał się myśleć. Po dłuższej chwili z najwyższą ostrożnością uchylił powieki. Gigantyczny, jaśniejący obiekt tkwił wciąż na swoim miejscu. Nawet nie drgnął. Najwyraźniej nie zamierzał spadać.

Teremon zaczął dygotać pomimo gorąca.

Doszedł go cierpki, duszący swąd. Dym. Coś się paliło, i to całkiem blisko.

„To niebo - pomyślał. - Niebo się pali”.

ZŁOTA KULA PODPALIŁA ŚWIAT.

Nie, nie... Dym miał inną przyczynę. Przypomniałby ją sobie w jednej chwili, gdyby tylko zdołał rozproszyć delikatną mgiełkę spowijającą umysł. To nie złota kula spowodowała ogień. Nawet jej tu nie było, kiedy wybuchł. To te inne rzeczy, te zimne, błyszczące, białe obiekty, które wypełniały niebo aż po same krańce - one to uczyniły, one zesłały płomienie.

Jak się nazywały? Gwiazdy.

„Tak - pomyślał. - Gwiazdy”.

Coś zaczął sobie przypominać, ale znów chwyciły go dreszcze, przenikliwe, konwulsyjne drżenie.

Przypomniał sobie chwilę, gdy pojawiły się gwiazdy i jego mózg skamieniał, płuca przestały pompować powietrze, a dusza przeraźliwie skurczyła się w panicznym strachu.

Ale gwiazdy odeszły. Zamiast nich była na niebie ta świetlista, złota kula.

Świetlista, złota kula?

ONOS.

Tak się nazywała. Onos, słońce. Główne słońce.

Jedno z sześciu słońc. Tak. Teremon uśmiechnął się do siebie. Wszystko zaczynało się z powrotem układać. Onos był częścią nieba, a gwiazdy nie. Słońce, życzliwe słońce, dobry, ciepły Onos. Onos powrócił. Świat miał się więc całkiem dobrze, nawet jeśli jego część była w płomieniach.

Sześć słońc? Ale gdzie się podziało pięć pozostałych?

Pamiętał nawet ich nazwy: Dovim, Trey, Patru, Tano, Sitha - to pięć. Z Onosem sześć. Widział Onosa, był dokładnie ponad nim, wypełniał chyba połowę nieboskłonu. Ale gdzie są inne? Wstał

niepewnie. Nadal trochę obawiał się tego gorącego, złotego obiektu wiszącego nad nim. Lękał się, że kiedy podniesie głowę, dotknie go i spłonie. Nie, to nie miało najmniejszego sensu. Onos był dobry. Onos był życzliwy.

Teremon uśmiechnął się. Spojrzał dookoła. Żadnych więcej słońc?

Było jeszcze jedno. Bardzo daleko i bardzo małe. To słońce nie było przerażające jak gwiazdy czy ognisty, gorejący glob nad głową. Po prostu radosna, biała plamka na niebie, nic więcej. Tak mała, że mógłby schować ją do kieszeni, oczywiście gdyby tylko zdołał jej dosięgnąć.

„Trey - pomyślał. - To jest Trey. Czyli jego brat Patru powinien być gdzieś w pobliżu.

Tak, tak. Jest tam. Trochę niżej, na samym krańcu nieba, tuż przy Treyu, na lewo. No chyba, że to jest Trey, a to drugie to Patru.

Cóż, nazwy i tak nie mają znaczenia. Nieważne, które jest które. Razem to Trey i Patru. A ten olbrzym to Onos. Trzy pozostałe słońca muszą być gdzie indziej, skoro ich nie widzę. A ja nazywam się...

TEREMON.

Tak, właśnie. Jestem Teremon”.

Jeszcze liczba. Stał zmarszczywszy brwi i usiłował ją sobie przypomnieć, swój kod rodzinny, to było właśnie to, numer, który pamiętał przez całe życie, ale jaka to była liczba? Jaka?

762.

Tak.

NAZYWAM SIĘ TEREMON 762.

Potem przyszła kolejna, już bardziej złożona myśl: „Jestem Teremon 762 z »Kroniki Saro«,„.

To stwierdzenie sprawiło, że poczuł się trochę lepiej, aczkolwiek nadal pełne było tajemniczych słów.

Saro? Kronika?

Prawie wiedział, co znaczyły te dwa słowa. Prawie. Zanucił je sobie: „Kronika, Kronika, Kronika... Saro, Saro, Saro... ”

„Spróbuję przejść kawałek” - zdecydował. Postawił niepewny krok, potem następny i jeszcze następny. Szedł nieco chwiejnie, rozglądając się wokół. Znajdował się na wzgórzu, gdzieś za miastem. Ujrzał drogę, krzaki, drzewa, po lewej stronie jezioro. Część krzaków i drzew była połamana, a ich gałęzie sterczały pod dziwnym kątem lub leżały na ziemi, zupełnie jakby niedawno przez okolicę przechodzili giganci, deptając wszystko po drodze.

Z tyłu za nim wznosił się duży, okrągły budynek. Z zewnątrz był poczerniały, jakby ktoś usiłował wokół podłożyć ogień, ale wyglądało na to, że kamienne mury oparły się płomieniom. Z dziury w dachu wydobywał się dym. Zobaczył na schodach kilku ludzi. Leżeli w nieładzie jak porzucone lalki. Pośród krzaków spostrzegł innych, a jeszcze innych - przy ścieżce biegnącej w dół zbocza. Kilku poruszało się nieznacznie, ale większość była nieruchoma.

Spojrzał w przeciwną stronę. Na horyzoncie widniały wieżowce wielkiego miasta. Spowijał je całun kłębiącego się dymu. Kiedy zmrużył oczy, zdało mu się, że widzi języki ognia w oknach najwyższych budynków, choć rozum podpowiadał mu, iż niemożliwością było dostrzec taki szczegół. Miasto leżało o wiele kilometrów stąd.

„Saro” - pomyślał nagle.

„Tam wychodzi »Kronika«. Tam pracuję. Tam mieszkam.

A ja jestem Teremon. Teremon 762. Z »Kroniki Saro«,„.

Wolno potrząsnął głową, jak ranne zwierzę, próbujące rozbudzić się z apatii i odrętwienia. Stan, w jakim się znajdował, doprowadzał go do szaleństwa. Nie mógł poprawnie myśleć ani swobodnie poruszać się wśród wspomnień. Gorejące światło gwiazd niczym zasłona odgradzało go od jego własnej pamięci.

Coś jednak zaczynało się wydostawać na zewnątrz. Fragmenty przeszłości, jaskrawe i wyraziste, skrzące się obłądnym blaskiem, tańczyły w jego mózgu. Silił się, by zatrzymać je na chwilę wystarczająco długą do ogarnięcia ich rozumem.

I wtedy pojawił się obraz pokoju. To był jego pokój, zawalony stosami gazet i szpargałów, z dwoma komputerami i pudełkiem listów, na które nie odpisał. Następny pokój - sypialnia, dalej mała kuchnia. Prawie nigdy z niej nie korzystał. "To jest mieszkanie Teremona 762, znanego dziennikarza z »Kroniki Saro« - pomyślał. - Panie i panowie, Teremona nie ma akurat w domu. W tej chwili stoi u stóp ruin Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Saryjskiego i próbuje zrozumieć..."

Ruiny...

Obserwatorium Astronomiczne Uniwersytetu...

- Siferra?! - krzyknął. - Siferro, gdzie jesteś?!

Cisza. Zastanawiał się, kim była Siferra. Najwidoczniej kimś, kogo znał, zanim ruiny stały się ruinami. Imię wydostało się na powierzchnię z głębi jego udręczonego umysłu.

Znów przeszedł kilka niepewnych kroków. Na ścieżce leżał jakiś człowiek. Oczy miał zamknięte. W dłoni trzymał wypaloną pochodnię. Jego szata była podarta.

Spał? Czy może umarł? Teremon ostrożnie dotknął go stopą. Nie żył. To było dziwne, ci wszyscy martwi ludzie leżący wokół. Przecież normalnie nie spotyka się tylu trupów w takim miejscu. Tak samo martwo wyglądał przewrócony samochód nie opodal, podwoziem zwróconym patetycznie ku niebu. Spomiędzy kół leniwie unosiła się smużka dymu.

- Siferra?! - zawołał ponownie.

Wydarzyło się coś strasznego! To jedno zdawało się całkiem oczywiste, choć poza tym nie było już nic oczywistego. Raz jeszcze skulił się i objął głowę dłońmi. Przypadkowe fragmenty pamięci wirowały coraz wolniej, przepływały majestatycznie niczym góry lodowe na Wielkim Oceanie Południowym. Gdyby tylko mógł złożyć kilka z tych dryfujących kawałków razem, zmusić je, aby ułożyły się we wzór, który miałby jakiś sens.

Powtórzył to, co już udało mu się odtworzyć. Imię. Nazwa miasta. Nazwy sześciu słońc. Gazeta. Mieszkanie.

Wczorajszy wieczór...

Gwiazdy...

Siferra... Biney... Szirin... Athor... imiona...

Nagle luźne fragmenty zaczęły układać się w logiczne związki.

Strzępy wspomnień z niedawnej przeszłości zbierały się ponownie w większe grupy. Z początku nie miało to jeszcze sensu, bo każda grupa była zupełnie niezależna od innych i Teremon nie był zdolny ułożyć ich w żaden uporządkowany ciąg. Im bardziej próbował, tym bardziej wszystko się znowu gmatwało. Kiedy to wreszcie zrozumiał, zaprzestał prób zmuszenia swego umysłu do czegokolwiek.

„Tylko spokojnie - powtarzał sobie. - To przyjdzie samo”.

Zrozumiał, że w jego mózgu była głęboka rana. Nie czuł guzów ani obrażeń z tym głowy, ale wiedział, że w jakiś sposób to się stało. Wszystkie jego wspomnienia zostały pocięte, jakby ktoś

mściwie rozsiekał je na tysiące kawałków, a potem je zmieszał i rozrzucił jak fragmenty skomplikowanej układanki. Teraz z każdą chwilą przychodziło ukojenie. Z każdą chwilą jego umysł, całe jestestwo, które było Teremonem 762 z "Kroniki Saro", potwierdzało swoją tożsamość, składając go na powrót w całość.

„Spokojnie, trzeba poczekać. To przyjdzie samo”.

Zaczerpnął powietrza w płuca, na chwilę zatrzymał, a potem wolno wypuścił. Znów wdech. Moment przerwy, wydech. Wdech... wydech. Wdech... wydech.

Oczami wyobraźni ujrzał wewnątrz obserwatorium. Teraz już sobie przypominał. Był wieczór. Na niebie świeciło jedynie małe czerwone słońce - Dovim, tak właśnie się nazywało. Wysoka kobieta - Siferra. Gruby mężczyzna to Szirin, ten szczupły, spokojny, młody człowiek to Biney, a gniewny starzec o siwych włosach nadających mu wygląd patriarchy to słynny astronom, dyrektor obserwatorium Ithor? Uthor? Athor? Właśnie, Athor.

Zbliżało się zaćmienie. Ciemność. Gwiazdy.

Tak, tak. Teraz wszystko płynęło już razem. Powracały wspomnienia. Tłum idący na obserwatorium, prowadzony przez fanatyków w czarnych szatach. Apostołowie Płomieni, tak ich zwano. Jeden z tych fanatyków był wewnątrz budynku. Folimun. Nazywał się Folimun 66.

Pamiętał.

Moment zaćmienia. Nagłe i wszechogarniające nadejście nocy. Świat wkroczył w Jaskinię Ciemności.

Gwiazdy...

Szaleństwo... krzyki... tłum...

Teremon wzdrygnął się na to wspomnienie. Hordy obłąkanych z przerażenia ludzi z Saro rozwalające masywne drzwi, wdzierające się do obserwatorium, tratujące się wzajemnie w gorączce niszczenia błuźnierczych instrumentów naukowych i błuźnierczych naukowców, którzy zaprzeczali istnieniu bogów...

Teraz, kiedy wspomnienia wróciły falą, niemal żałował, że je odzyskał. Szok, którego doznał, gdy po raz pierwszy ujrzał oślepiające światło gwiazd... ból rozsadzający czaszkę... przedziwne, potworne eksplozje zimnej energii ścigające się w jego polu widzenia. Wtargnięcie tłumu... moment zbiorowego szału... walka, aby uciec... Siferra przy nim, Biney i tłum rozlewający się wokół jak wezbrana rzeka, rozdzielający ich, porywający w przeciwnych kierunkach.

W jego mózgu mignął obraz starego Athora o szklistych oczach, dzikich i błyszczących szaleństwem, stojącego na krześle w majestatycznej pozie i z furią rozkazującego napastnikom opuścić budynek, jakby był nie dyrektorem obserwatorium, ale jego udzielnym władcą. Biney stojący tuż obok, szarpiący Athora za ramię i przynaglający do ucieczki. Potem scena się rozplynęła. Nie był już w wielkiej sali. Teremon ujrzał siebie biegnącego korytarzem, przedzierającego się do schodów, szukającego wzrokiem Siferry, jakiegokolwiek znajomej twarzy...

Niespodziewanie wyrósł przed nim Apostoł, fanatyczny Folimun 66, i zagroził mu drogę pośrodku chaosu. Śmiał się, wyciągał rękę w ironicznym geście fałszywej przyjaźni. Po chwili i Folimun gdzieś zniknął, a Teremon mknął wściekle dalej, w dół spiralnymi schodami, potykał się i upadał, przełaził po plecach ludzi z miasta, zaklinowanych na parterze tak szczelnie, że nie mogli się poruszyć. Byle dopaść drzwi! Jakoś znalazł się na zewnątrz, ogarnął go chłód nocy. Stał z odkrytą głową, drżąc w Ciemności, która nie była już ciemnością, gdyż teraz rozświetlało ją potworne, odrażające, niewyobrażalnie lodowate światło tysięcy bezlitosnych gwiazd, które wypełniały niebo.

Nie było przed nimi schronienia. Nawet z zamkniętymi oczami widziało się ich straszliwy blask. Ciemność była niczym w porównaniu z nieubłaganym ciśnieniem firmamentu rozżarzonego upiornym blaskiem, światłością tak jasną, że huczała na niebie niczym grom.

Teremon pamiętał uczucie, że niebo, gwiazdy i cały świat zaraz na niego runą. Padł na kolana i zakrył głowę rękoma, mimo iż zdawał sobie sprawę z daremności tego gestu. Wokół widział przerażenie, ludzi miotających się wśród krzyku i wrzasku. Ognie płonącego miasta strzelały wysoko ponad horyzont. Tak, to było przerażające, lecz nie mogło się równać z chłoszczącymi biczami strachu spadającymi z nieba - z nieubłaganych, okrutnych gwiazd, które zaatakowały świat.

Koniec. Wszystko potem było już puste, nie zawierało żadnych treści, aż do momentu przebudzenia, kiedy spojrzał w górę, ujrzał na niebie Onosa i zaczął składać potrzaskane kawałki swego umysłu.

„Nazywam się Teremon 762 - powtórzył sobie w myślach. - Mieszkałem w Saro i pisałem artykuły do gazety”.

Nie było już Saro. Nie było żadnej gazety.

Świat dobiegł kresu. Ale on wciąż żył i miał nadzieję, że jego umysł powraca do normalności.

Co dalej? Dokąd pójść?

- Siferra?! - krzyknął.

Nikt mu nie odpowiedział. Raz jeszcze powlókł się drogą w dół wzgórza, mijając połamane drzewa, powywracane i spalone samochody, rozrzucone ciała. Jeżeli tak wygląda tutaj, to co dzieje się teraz w mieście?

„Mój Boże! - pomyślał znowu.

O wszyscy bogowie! Cóżście nam uczynili?!”

„Czasami warto być tchórzem” - powtarzał sobie Szirin, odryglowując drzwi magazynu w piwnicy obserwatorium, gdzie spędził okres Ciemności. Nadal czuł się niepewnie, ale nie miał wątpliwości, że pozostał przy zdrowych zmysłach. Był tak normalny, jak zawsze.

Na zewnątrz panował chyba spokój. Co prawda magazyn nie miał okien, ale u szczytu jednej ze ścian biegła krata, przez którą wpadało wystarczająco dużo światła, aby nabrał pewności, że nastał już poranek i ponownie wzeszło słońca. Miał nadzieję, że szaleństwo już minęło i może bezpiecznie wyjść z ukrycia.

Wytknął głowę na korytarz. Ostrożnie rozejrzał się dookoła.

Najpierw poczuł dym. Był to przykry, gryzący i zatechły zapach, wilgotny i zwietrzały, jaki nieomylnie oznacza dym z ognia już ugaszonego. Nie dość, że obserwatorium było zbudowane z kamienia, to jeszcze miało niezwykle efektywny system spryskiwaczy, który z całą pewnością zadziałał natychmiast, kiedy motłoch podłożył ogień.

Motłoch! Szirin wzdrygnął się na samo wspomnienie.

Gruby psycholog wiedział, że nigdy nie zapomni chwili, w której tłum zaatakował obserwatorium. Ten obraz będzie go prześladował do końca życia - złe, powykrzywiane twarze, oczy płonące obłędem, wycie i krzyki wściekłości. Ci ludzie utracili równowagę zmysłów, zanim nadeszło całkowite zaćmienie. Do szaleństwa przywiodła ich nie tylko zapadająca Ciemność, ale także podburzająca, zręczna agitacja Apostołów Płomieni, tryumfujących w chwili spełniania się proroctwa. Na wezwanie Apostołów ludzie przybyli tysiącami, aby wypełnić znienawidzonych naukowców w ich własnym gnieździe. I oto byli: wdzierali się przez bramę, wymachiwali pochodniami, drągami, pałkami, wszystkim, czym można było bić, tłuc, walić.

To paradoks, ale właśnie przybycie tłumy sprawiło, że Szirin wziął się w garść. Przeżył załamanie, gdy wraz z Teremonem po raz pierwszy zeszli na dół, aby zabarykadować drzwi. Kiedy schodzili, czuł się świetnie, nawet dziwnie beztrosko; jednak potem realność Ciemności dotarła do niego jak powiew trującego gazu i powaliła całkowicie. Siedział na schodach bezwładnie, sparaliżowany strachem, mając przed oczami podróż przez Tunel Tajemnic i uświadamiając sobie, że tym razem nie będzie to trwało tylko kilka minut, ale wiele nieznośnie długich godzin.

Cóż, Teremon wyciągnął go jakoś z tego stanu i kiedy wrócili pod kopułę obserwatorium, Szirin zdołał nieco odzyskać panowanie nad sobą. Wtedy przyszło całkowite zaćmienie i... gwiazdy. Chociaż Szirin odwrócił głowę w momencie, gdy pierwsze błyski niepojętego światła wdarły się przez otwór w dachu obserwatorium, nie potrafił w pełni uwolnić się od tego przerażającego widoku. Natychmiast poczuł, jak znika całe jego opanowanie, a delikatna struktura jego umysłu zaczyna się chwiać...

Wtedy zjawił się motłoch i Szirin wiedział, iż gra nie toczy się już o to, czy pozostanie przy zdrowych zmysłach - stawką było życie. Jeśli chciał przetrwać tę noc cało, nie miał wyboru, musiał zebrać się w sobie i znaleźć bezpieczną kryjówkę. Gdzieś ulotnił się jego naiwny plan, aby obserwować nastanie Ciemności chłodnym okiem pozbawionego emocji naukowca, za jakiego się uważał. Niech kto inny bada to zjawisko, on, Szirin, zamierzał się ukryć.

Jakoś udało mu się przebyć drogę do piwnicy, do tego przytulnego składziku, z przytulnym małym bożym światełkiem, rzucającym słaby, ale krzepiący blask. Zaryglował drzwi i mógł to wszystko przeczekać.

Nawet zdrzemnął się nieco.

Teraz był ranek. A może popołudnie. Jedno było pewne - ta koszmarna noc dobiegła końca i wszystko się uspokoiło, przynajmniej w pobliżu obserwatorium. Na palcach wyszedł na korytarz, zatrzymał się nasłuchując, po czym zaczął mozolnie pięć się po schodach.

Wszędzie cisza. Kałuże brudnej wody ze spryskiwaczy. Cuchnące opary zastałego dymu. Przystanął i po namyśle zdjął toporek strażacki z uchwytów na ścianie. Wątpił, czy kiedykolwiek zdołałby użyć tego narzędzia przeciwko żywej istocie, ale noszenie siekiery mogło przynieść korzyści, jeśli jego przewidywania były słuszne i świat ogarnął chaos.

Teraz w górę, na parter. Odemknął drzwi piwnicy - te same, które w nocy po oszalałej ucieczce na dół z hukiem zatrzaskały za sobą - i wyjrzał na zewnątrz.

Jego oczom ukazał się potworny widok.

Wielki hol obserwatorium był pełen ludzi. Leżeli rozrzućeni po podłodze, w przypadkowych miejscach, jak gdyby przez całą noc trwała tu monstrualna pijacka orgia. Ci ludzie jednak nie byli pijani. Tylko martwi mogli spoczywać w tak upiornych, nienaturalnych pozach. Niektórzy leżeli płasko, ułożeni jak zwoje dywanów w stosy wysokości dwóch, trzech ludzi. Ci też wyglądali na martwych lub konających. Inni, choć najwyraźniej żywi, siedzieli popiskując i skomlać jak zbite zwierzęta.

Wszystko, co niegdyś ozdabiało hol - instrumenty badawcze, portrety wielkich astronomów, szczegółowe mapy nieba z wykresami ruchów słońca - zostało ściągnięte i spalone lub po prostu przewrócone i podeptane. Szirin mógł dostrzec zwęglone i sponiewierane szczątki sterczące gdzieś pośród stłoczonych ciał.

Główne drzwi były otwarte. Do wnętrza wpadały ciepłe i niosące nadzieję promienie słońca. Szirin ostrożnie torował sobie drogę do wyjścia.

Wtem usłyszał czyjś głos.

- Profesor Szirin?

Odwrócił się wymachując toporkiem tak gwałtownie, że sam niemal zaśmiał się ze swej udawanej wojowniczości.

- Kto mnie wołał?

- To ja, Imot.

- Kto?

- Imot. Nie pamięta mnie pan?

Ach, tak. Imot. Chudy, niezdarny dyplomant z Wydziału Astronomii, pochodzący z jakiejś zapadłej wioski. Szirin dostrzegł go, na pół schowanego w jednej z wnęk. Miał twarz ubrudzoną sadzą i popiołem, potargane ubranie i wyglądał na oszołomionego i wstrząśniętego, ale poza tym chyba nic mu nie dolegało. Podszedł kilka kroków i Szirin zauważył, że poruszał się znacznie mniej komicznie niż zwykle, nie wymachiwał rękoma, nie przekrzywiał dziwacznie głowy.

„Strach robi z ludźmi dziwne rzeczy” - pomyślał Szirin i zapytał:

- Czy ukrywałeś się tu przez całą noc?

- Kiedy pojawiły się gwiazdy, próbowałem wydostać się z budynku, ale utknąłem tutaj. Czy widział pan Faroną, panie profesorze?

- Twego przyjaciela? Nie, nie widziałem nikogo.

- Trzymaliśmy się razem, ale w tym ścisku i przepychaniu... Nikt nie panował nad tłumem... - Imot zdobył się na gorzki uśmiech. - Myślałem, że spalą cały gmach, ale włączyły się spryskiwacze. - Wskazał na ludzi leżących wokół. - Czy sądzi pan, że oni wszyscy nie żyją?

- Część z nich tylko doznała pomieszania zmysłów. Ujrzeli gwiazdy.

- Ja też je widziałem przez moment - rzekł Imot. - Tylko przez moment.

- Jak wyglądały? - zapytał Szirin.

- Nie widział ich pan, panie profesorze? Czy też po prostu pan nie pamięta?

- Byłem w piwnicy. Ciepłej i zacisznej. Imot wygiął swą długą szyję spoglądając w górę, jakby na suficie sali wciąż błyszczały gwiazdy.

- Były straszliwe. Wiem, że to panu nic nie mówi, ale nie znajduję innego słowa, by to wyrazić. Patrzyłem na nie tylko przez dwie, może trzy sekundy, ale czułem, jak mój umysł zawirował i jak odskakuje pokrywa mojej głowy, więc odwróciłem wzrok. Nie należę do specjalnie odważnych, panie profesorze.

- Ja też.

- Jednak cieszę się, że miałem te dwie czy trzy sekundy. Gwiazdy są przerażające, ale także bardzo piękne. W każdym razie dla astronoma. W niczym nie przypominały tych mizernych iskierek, które razem z Faronem uzyskaliśmy w naszym nonsensownym eksperymencie. Tak, musimy znajdować się dokładnie w środku niewyobrażalnie wielkiej gromady gwiazdnej. Szóstka naszych słońc tworzy zwartą grupę, jedne są nieco bardziej odległe od Kalgasza, inne mniej, ale ogólnie wszystkie znajdują się dosyć blisko. Dalej - pięć, dziesięć lat świetlnych od nas, a może jeszcze więcej - jest ta gigantyczna sfera gwiazd, czyli innych słońc, tysiące słońc, kolosalna kula słońc całkowicie zamykająca nas w swoim środku. W zwykłych warunkach tego nie widzimy, bo nieustannie dociera do nas światło naszych słońc. Jest dokładnie tak, jak to opisał Biney. Mówię panu, Biney to wybitny naukowiec. Kiedyś będzie większym astronomem niż profesor Athor... Pan w ogóle nie widział gwiazd, panie profesorze?

- Tylko bardzo przelotnie - rzekł Szirin jakby z zalem - a potem pobieglem się ukryć... Słuchaj, chłopcze, musimy stąd iść.

- Chciałbym wprawdzie odszukać Faroną.

- Jeżeli nic mu się nie stało, jest na zewnątrz. W przeciwnym razie nie możesz mu w niczym pomóc.

- Może leżeć na spodzie któregoś ze stosów ciał...

- Chyba nie będziesz tu myszkować niepokojąc tych ludzi. Są wciąż w szoku. Jeśli ich sprowokujesz, wiem dobrze, co uczynią. Najbezpieczniejszą rzeczą jest się stąd wynieść. Spróbuj dotrzeć do Sanktuarium. Jeśli nie jesteś głupi, powinieneś pójść ze mną.

- Ale Faron...

- Dobrze - zgodził się Szirin z westchnieniem. - Poszukajmy Faronę, Bineyę, Teremonę, Athorę... kogokolwiek z uniwersytetu.

Nie miało to najmniejszych szans powodzenia. Nie znaleźli nikogo znajomego, choć przez Jakieś dziesięć minut szukali wśród stosów martwych, nieprzytomnych czy półprzytomnych ludzi. Ich twarze były przerażająco zniekształcone przez strach i szaleństwo. Niektórzy poruszali się, kiedy zakłócono im spokój, i zaczęli wydawać groźne pomruki. Jeden chwycił za siekiere Szirina i psycholog musiał go odepchnąć kopniakiem. Niemożliwością było wejść na wyższe piętra budynku - schody były zatarasowane ciałami, ze ścian sypał się tynk. Na podłodze zebrały się kałuże błotnistej wody. Ostry, przenikliwy swąd był nie do zniesienia.

- Miał pan rację - powiedział w końcu Imot. - Chodźmy stąd.

Szirin pierwszy wyszedł w światło dnia. Po przeżyciach minionych godzin złocisty Onos stanowił najpiękniejszy widok we wszechświecie, chociaż psycholog stwierdził, że jego oczy odwykły od tak jaskrawego światła po długim okresie Oerności. Blask słońca opadł na niego jak młot. Szirin przez kilka chwil stał ze zmrużonymi oczami i czekał, aż wzrok znów się przyzwyczai do światła. Po pewnym czasie mógł się już "ozejrzeć i zamarł ze zgrozy.

- Potworne - wymamrotał Imot.

Jeszcze więcej ciał. Obląkani chodzący w kółko, podśpiewujący. Spalone samochody na poboczu drogi. Krzewy i drzewa potrzaskane na kawałki niczym po przejściu jakichś ślepych monstrialnych mocy. W oddali upiorny słup brunatnego dymu unoszący się nad dachami Saro.

Chaos, chaos i jeszcze raz chaos.

- A więc tak wygląda koniec świata - powiedział cicho Szirin. - I oto my, ty i ja, dwoje ocalałych. - Zaśmiał się gorzko. - Dziwna z nas para: ja dźwigam na brzuchu z pięćdziesiąt kilogramów za dużo, a ty o pięćdziesiąt za mało. Ale najważniejsze, że żyjemy. Zastanawiam się, czy Teremon zdołał ująć z życiem. Jeśli komukolwiek miałyby się udać, to na pewno jemu. Na ciebie lub siebie nie postawiłbym złamanego grosza... Sanktuarium jest w połowie drogi między miastem a obserwatorium. Powinniśmy tam dojść w pół godziny, jeżeli tylko nie wpadniemy w kłopoty. MFSZ, weź to.

Wygrzebał grubą gumową pałkę leżącą obok jednego z ludzi, którzy napadli na obserwatorium, i rzucił ją Imotowi. Młodzieniec chwycił ją niezgrabnie. Utkwił w niej zdumiony wzrok, jakby nie miał pojęcia, co to może być.

- Co mam z tym zrobić? - spytał w końcu.

- Udawaj, że użyjesz jej, aby zmiażdżyć czaszkę każdemu, kto będzie nas niepokoił. Dokładnie tak, jak ja udaję, że zmuszony do obrony, użyję tego toporka. I zrobię to, jeżeli zajdzie taka

konieczność. Imocie, świat się zmienił. Chodźmy. Miej oczy i uszy szeroko otwarte.

Ciemność wciąż panowała nad światem, a gwiazdy zalewały Kalgasz strumieniami diabolicznego światła, kiedy Siferra 89 potykając się wyszła ze zdewastowanego obserwatorium.

Na wschodzie horyzont rozjaśniała bladoróżowa poświata jutrzeńki - pierwszy zwiastun słońc wracających na niebiosy.

Siferra stała na trawniku. Szeroko rozstawiła nogi, głowę odrzuciła do tyłu i głęboko wciągała powietrze w płuca.

Jej umysł był pogrążony w odrętwieniu. Nie miała pojęcia, ile godzin upłynęło od czasu, gdy niebo poczerniało, a gwiazdy eksplodowały na nim z grzmotem miliona trąb. Przez całą noc błąkała się po korytarzach obserwatorium, oszołomiona, niezdolna odszukać drogi do wyjścia. Walczyła z szaleńcami tłoczącymi się ze wszystkich stron. Nie dawała jej spokoju myśl, że sama również uległa szaleństwu. Jedynym jej celem stało się przeżycie. Tłukła po czepiających się jej rękach, parowała opadające pałki uderzeniami swojej, którą wyrwała jakiemuś leżącemu mężczyźnie, kryła się przed tabunami maniaków przebiegających z rykiem korytarze w grupach po sześciu, ośmiu, traktujących każdego na swojej drodze.

Wydawało się jej, że do obserwatorium wtargnęły miliony ludzi z miasta. Gdziekolwiek się obróciła, widziała nabrzmiało twarze, szeroko otwarte oczy, rozdziawione usta, wywieszane języki, palce zakrzywione jak szpony.

Niszczyli wszystko. Nie miała pojęcia, gdzie jest Biney czy Teremon. Mgliście pamiętała Athora - jego grzywa siwych włosów górowała ponad dziesięcioma czy dwudziestoma wyjąłymi bandytami; potem profesor znikł jej z oczu, zmieciony przez tłum.

Poza tym Siferra nie pamiętała już nic zbyt wyraźnie. Przez cały czas trwania zaćmienia biegała tam i z powrotem, jednym korytarzem w górę, innym w dół, jak szczur miotający się w labiryncie. Nigdy dobrze nie знаła rozkładu obserwatorium, ale wydostanie się z budynku nie powinno być dla niej aż tak trudne - gdyby była przy zdrowych zmysłach. Teraz jednak, gdy gwiazdy raziły ją bezlitośnie z każdego okna, czuła, jakby jej mózg przeszywała ostra szpila. Nie mogła zebrać myśli. Nawet na chwilę. Zupełnie nie mogła. Zdolna była jedynie do ucieczki na oślep wśród mamroczących, gapiących się i popychających ją szaleńców. Łokciami torowała sobie drogę poprzez zwarte gromady obcych ludzi w łachmanach, desperacko i zupełnie bezskutecznie poszukując jakiegoś wyjścia. I tak mijała godzina po godzinie, a Siferra miała wrażenie, jakby była uwięziona w nie kończącym się śnie.

W końcu wydostała się na zewnątrz. Nie miała pojęcia, jak się tam znalazła. Nagle, tuż przed sobą, zauważyła drzwi w końcu korytarza, który - była tego pewna - przemierzała już tysiące razy. Pchnęła je, a kiedy ustąpiły, uderzył ją chłodny powiew świeżego powietrza. Zataczając się wyszła z budynku.

Miasto płonęło. W oddali widziała ogień - jaskrawą, wściekle czerwoną plamę na tle czarnego nieba.

Ze wszystkich stron dochodziły ją przeraźliwe wrzaski, dziki śmiech, szloch.

Nieco poniżej, na stoku wzgórza, jacyś ludzie bezmyślnie próbowali powalić drzewo - szarpali za gałęzie, ciągnęli z całych sił, starali się wyrwać korzenie z ziemi. Nie miała pojęcia, po co to robili. Oni pewnie też nie.

Na parkingu obserwatorium inni ludzie wywracali samochody. Siferra zastanowiła się przez moment, czy któryś z pojazdów nie należał do niej. Nie mogła sobie przypomnieć. W ogóle nie

pamiętała zbyt wiele. Odszukanie w pamięci nawet własnego imienia stanowiło prawdziwy wysiłek.

- Siferra - powiedziała na głos. - Siferra 89. Siferra 89. Spodobało jej się brzmienie tego słowa.

To było ładne imię. Nosiła je jej matka, a może babka. Naprawdę, nie była pewna.

- Siferra 89 - powtórzyła jeszcze raz. - Jestem Siferra 89.

Spróbowała przypomnieć sobie swój adres. Niestety, przez jej umysł przesuwał się jedynie szereg nic dla niej nie znaczących liczb.

- Spójrz na gwiazdy! - krzyknęła jakaś kobieta przebiegając obok. - Zobacz gwiazdy i umrzyj!

- Nie - odpowiedziała Siferra spokojnie. - Dlaczego miałabym umierać?

Mimo wszystko spojrzała na gwiazdy. Już niemalże przyzwyczała się do ich widoku. Przypominały jasne światełka - bardzo jasne - położone na niebie tak blisko siebie, że zdawały się zlewać w jedną wielką plamę światła, rodzaj błyszczącej draperii rozpostartej na niebiosach. Jeśli patrzyła dłużej niż sekundę czy dwie, ulegała złudzeniu, że potrafiłaby rozróżnić osobne punkciki światła, jaśniejsze od tła, pulsujące przedziwną energią. Mimo wysiłku nie mogła patrzeć na nie więcej niż pięć, sześć sekund; później siła tego pulsującego światła zaczynała ją przytłaczać - dzwoniło jej w uszach, twarz płonęła; musiała opuszczać głowę i rozcierać palcami zaognione miejsce pomiędzy oczami, tętniące siedlisko dokuczliwego bólu.

Minęła parking, nie zważając na szaleństwo wokół. Po przeciwnej stronie brukowana droga schodziła w dół płaskim stokiem Wzgórza Obserwatoryjnego. Z jakiegoś ciągle funkcjonującego obszaru jej mózgu wyłoniła się informacja, że droga ta prowadziła z obserwatorium do głównej części uniwersytetu. W oddali Siferra dojrzała teraz co wyższe budynki uniwersyteckie.

Na dachach niektórych z nich tańczyły płomienie. Paliła się dzwonnica, teatr, Gmach Osiągnięć Studenckich.

„Powinnaś ocalić tabliczki” - powiedział jakiś głos wewnątrz niej, który rozpoznała jako swój własny.

Tabliczki? Jakie tabliczki?

„Tabliczki z Tombo”.

Ach tak, oczywiście. Była archeologiem, czyż nie? Tak, tak. Archeologowie zaś poszukiwali starych przedmiotów. Ona kopała w jakimś odległym miejscu. Sagimot? Beklikan? Coś w tym rodzaju. I odnalazła tabliczki z pradawnymi napisami. Stare przedmioty. Skarby archeologiczne. Niezwykle ważne skarby. W miejscu zwanym Tombo.

„Jak sobie radzę?” - spytała samą siebie.

Nadeszła odpowiedź: ”Radzisz sobie świetnie”.

Siferra uśmiechnęła się zadowolona. Z każdą chwilą czuła się coraz lepiej. Pomyślała, że różowe światło świtu przywraca jej siły. Nadchodził ranek - słońce, Onos, wstępowało na niebo. Wraz z pojawieniem się Onosa gwiazdy straciły nieco ze swej jasności, stały się mniej przerażające. Szybko gasły. W końcu te na wschodzie zostały przyćmione przez potężniejszego Onosa. Nawet na przeciwległym krańcu nieba, gdzie wciąż królowała Ciemność i gwiazdy tłoczyły się jak małe rybki w akwarium, część mocy jakby uleciała z ich groźnego blasku. Teraz Siferra już mogła patrzeć w górę nieprzerwanie przez kilka chwil bez obawy, że głowa zacznie jej boleśnie pulsować. Czuła się mniej zagubiona. Teraz wyraźnie pamiętała, gdzie mieszka i pracuje, a nawet co robiła poprzedniego wieczora.

W obserwatorium... z przyjaciółmi, astronomami, którzy przewidzieli zaćmienie...

Zaćmienie...

Tak, właśnie to robiła poprzedniego wieczora. Czekwała na zaćmienie. Na Ciemność. Na gwiazdy. Na płomienie. I one nadeszły. Wszystko potoczyło się zgodnie z przewidywaniami. Świat płonął, tak jak już tyle razy wcześniej - podpalony nie woła bogów ani mocą gwiazd, ale rękoma zwykłych mężczyzn i kobiet oszalałych z powodu gwiazd, pogrążonych w panice, która popychała ich do desperackich prób przywrócenia normalnego, dziennego światła wszelkimi dostępnymi środkami.

Pomimo chaosu, panującego wszędzie dokoła, Siferra pozostawała spokojna. Jej nadwerężony umysł, odrętwiały i ogłupiony, nie był w stanie w pełni zareagować na kataklizm wywołany przez Ciemność. Szła wciąż przed siebie drogą prowadzącą w kierunku głównego dziedzińca uniwersyteckiego, widziała sceny przerażające, ruiny i spustoszenia, i nie odczuwała zupełnie nic, nie żałowała tego, co zostało zniszczone, nie obawiała się również ciężkich czasów, które niechybnie miały nadejść. Zbyt mała część jej umysłu wróciła do normy, aby była zdolna do takich uczuć. Czowała się jak postronny obserwator, spokojny i obojętny. Wiedziała, że tamten płonący budynek to nowa biblioteka uniwersytecka, którą sama pomagała projektować. Ale ten widok nie wzbudził w niej żadnych emocji. Równie dobrze mogła spacerować po jakimś mieście sprzed dwóch tysięcy lat, którego zagłada była sprawą jedynie drugorzędnych zapisków historycznych. Czy roniłaby łzy nad taką zamierchłą ruiną? Tak samo nie płakała teraz, gdy wokół płonął uniwersytet.

Znajdowała się obecnie w samym jego środku, odtwarzając w pamięci znajome ścieżki. Część budynków paliła się, inne nie. Jak lunatyczka skręciła w lewo mijając administrację, w prawo za salą gimnastyczną, znowu w lewo przy gmachu matematyki, zygzakiem obeszła budynki geologii i antropologii, zmierzając do swojej siedziby, na Wydział Archeologii. Drzwi wejściowe stały otworem. Weszła do środka.

Wnętrze wyglądało niemal tak samo jak dawniej. Niektóre z gablot w korytarzu były rozbite, jednak nie przez rabusiów, gdyż chyba wszystkie artefakty pozostały na swoim miejscu. Drzwi windy zostały wyrwane z zawiasów. Tablica ogłoszeń leżała na podłodze obok schodów. Wszystko inne wydawało się nietknięte. W gmachu panowała głucha cisza. Nie było tu nikogo.

Jej gabinet znajdował się na drugim piętrze. Weszła na schody. Na półpiętrze natknęła się na starszego mężczyznę leżącego twarzą do góry.

- Wydaje mi się, że cię znam - rzekła Siferra. - Jak się nazywasz?

Nie odpowiedział. Miał otwarte oczy, ale nie było w nich blasku.

- Czy jesteś martwy? Odpowiedz mi: tak czy nie. - Siferra dotknęła palcem jego policzka. - Mudrin, tak się nazywasz. Albo raczej nazywałeś. No cóż, i tak byłeś bardzo stary. - Wzruszyła ramionami i poszła wyżej.

Drzwi jej gabinetu były uchylone. W środku zobaczyła jakiegoś człowieka. Także wydał się jej znajomy; ale ten żył, dziwnie skulony przykucnął pod kartoteką. Był potężnym mężczyzną o szerokich ramionach i wystających, silnie zarysowanych kościach policzkowych. Jego twarz świeciła od potu, a oczy błyszczały jak w gorączce.

- Siferra? Ty tutaj?

- Przyszłam po tabliczki. Tabliczki są bardzo ważne. Trzeba je chronić.

- Tabliczki? - Podniósł się z podłogi i zrobił kilka niepewnych kroków w jej stronę. - Ich już nie ma! Ukradli je Apostołowie, pamiętasz?

- Nie ma?

- Nie ma. Jak twego rozumu. Straciłaś rozum, prawda? Twe oczy są puste. W twojej głowie nie ma żadnej myśli. Widzę to wyraźnie. Nawet nie wiesz, kim jestem.

- Jesteś Balik. - To imię pojawiło się bezwiednie na jej ustach.

- A więc jednak pamiętasz?

- Balik. Tak, a Mudrin leży na schodach. On jest martwy, wiesz o tym?

- Tak przypuszczałem. - Balik wzruszył ramionami. - Niezadługo wszyscy będziemy martwi. Cały świat oszalał. Ale po co ci to tłumaczyć? Przecież ty też jesteś szalona. - Jego wargi drżały. Trzęsły mu się ręce. Zachichotał idiotycznie i zacisnął szczęki, by się opanować. - Byłem tu przez całą Ciemność. Pracowałem do późna i kiedy światło zaczęło słabnąć... mój Boże! - westchnął. - Gwiazdy. Gwiazdy. Rzuciłem na nie tylko jedno szybkie spojrzenie. Potem wcisnąłem się pod biurko i tam przeczekałem cały ten czas. - Podeszedł do okna. - Teraz wschodzi Onos. Najgorsze zapewne się skończyło. Czy miasto płonie?

- Przyszłam po tabliczki - powiedziała znowu Siferra.

- One przepadły. Rozumiesz? Przepadły - powtórzył dobitnie. - Nie ma ich tutaj. Skradzione.

- W takim razie wezmę wykresy. Muszę chronić wiedzę.

- Ty chyba całkiem zwariowałaś, co? Gdzie byłaś, w obserwatorium? Napatrzyłaś się na gwiazdy, tak?

Zachichotał znowu i zaczął zbliżać się do niej. Siferra wykrzywiła twarz z obrzydzenia. Poczowała silny zapach jego potu, ostry i nie do zniesienia. Cuchnął tak, jakby nie kapał się od tygodnia. Wyglądał zaś, jakby nie spał przez miesiąc.

- Chodź - powiedział, gdy odsunęła się od niego. - Nie zrobię ci krzywdy.

- Baliku, chcę dostać wykresy.

- Oczywiście, dam ci je. Także zdjęcia i wszystko. Lecz najpierw chcę ci dać coś innego. Chodź, Siferro.

Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Poczowała jego dłonie na swych piersiach i szorstkość jego policzka na twarzy. Ten zapach był nie do zniesienia. Narastała w niej wściekłość. Jak śmiał dotykać jej w ten sposób? Odepchnęła go z odrazą.

- No, Siferro, nie rób tego! Uspokój się. Bądź grzeczna. O ile wiem, jesteśmy tylko my dwoje na świecie. Ty i ja. Będziemy żyć w lesie, polować na małe gryzonie, zbierać orzechy i jagody. Tak, myśliwi i zbieracze, a później wynajdziemy rolnictwo. - Zaśmiał się. Jego oczy wydawały się żółte w tym dziwnym świetle. Podobnie jego skóra. Znowu ją złapał pożądliwie, jedną ręką chwycił jej pierś, drugą przesuwając po jej plecach w kierunku bioder. Poczowała jego oddech na szyi. Obwąchiwał ją głośno jak zwierzę. Poruszał rytmicznie biodrami, ich uderzenia budziły w niej odrazę. Równocześnie popychał ją do tyłu, w kąt pokoju.

Nagle Siferra przypomniała sobie o pałce, którą znalazła nocą gdzieś w obserwatorium. Ciągle trzymała ją bezmyślnie w ręce. Szybkim ruchem uniosła pałkę w górę i uderzyła jej końcem w szczękę Balika. Mocno. Głowa odskoczyła mu w tył, zęby zaklekotały.

Puścił ją i chwiejnie cofnął się parę kroków. Szeroko otworzył oczy z bólu i ze zdziwienia. Krew z przygryzionej wargi ściekała mu po brodzie.

- Ach ty suko! Dlaczego mnie uderzyłaś?

- Dotknąłeś mnie.

- Rzeczywiście, do diabła, dotknąłem cię! I w samą porę. - Rozcierał szczękę. - Słuchaj, Siferro, odłóż ten kij i przestań patrzeć na mnie w ten sposób. Jestem twoim przyjacielem, twoim sprzymierzeńcem. Świat zmienił się w dżunglę. Zostaliśmy tylko my dwoje. Potrzebujemy się nawzajem. Nie jest teraz bezpiecznie chodzić w pojedynkę. Nie stać cię na takie ryzyko.

Znów się zbliżył. Chciał ją objąć. Pożądał jej.

Uderzyła ponownie.

Tym razem zamachnęła się od tyłu i grzmotnęła go w policzek, tuż przy skroni. Usłyszała świst pałki i tępe uderzenie. Balik zachwiał się, z głową na pół odwróconą popatrzył na nią w całkowitym zdumieniu i zatoczył się, ale zdołał utrzymać na nogach. Uderzyła go po raz trzeci, nad uchem, z szerokiego zamachu i z całej siły. Upadł. Siferra zadała cios jeszcze raz w to samo miejsce i poczuła, że pałka napotyka znacznie mniejszy opór. Powieki mu opadły, wydał ciche, dziwaczne westchnienie, jakby uszło z niego powietrze, i osunął się w kąt pod ścianę, z głową nienaturalnie przekrzywioną na bok.

- Nigdy więcej nie dotykaj mnie w ten sposób - rzekła Siferra, trącając go czubkiem pałki.

Balik nie odpowiedział. Nawet nie drgnął.

Przestał ją obchodzić.

„Teraz tabliczki” - pomyślała, czując zupełny spokój.

Nie, tabliczek nie ma. Tak powiedział Balik. Skradzione. Teraz przypomniła sobie. Rzeczywiście je skradziono. Zniknęły tuż przed zaćmieniem. Więc dobrze, zatem wykresy. Te wszystkie precyzyjne rysunki wzgórza Tombo. Kamienne ściany, popioły na poziomie fundamentów. Zamierzchłe pożary, podobne do tych, które w tym momencie pustoszyły Saro.

Gdzie są te rysunki?

Ach, tutaj. W szafce z wykresami, czyli na swoim miejscu.

Sięgnęła do środka, chwyciła plik podobnych do pergaminu papierów, zwinęła je i wsunęła pod pachę. Teraz przypomniła sobie o leżącym mężczyźnie i zerknęła na niego, ale Balik się nie poruszył. I nie wyglądało na to, by kiedykolwiek jeszcze miał to zrobić.

Wyszła z gabinetu, potem schodami na dół. Profesor Mudrin, sztywny, rozciągnięty bez ruchu, wciąż był tam, gdzie go znalazła - na półpiętrze. Siferra wyminęła go i podążyła na parter.

Nastał już ranek. Onos wspinał się wytrwale, a gwiazdy wyglądały teraz blado na tle jego jasności. Powietrze wydawało się świeższe i czystsze, choć z wiatrem wciąż napływał gęsty dym. W oddali zauważyła grupę mężczyzn wybijających okna w budynku matematyki. Chwilę później i oni ją dostrzegli. Zaczęli wykrzykiwać ochryple jakieś bezwładne słowa. Paru z nich rzuciło się w jej stronę.

Bolały ją piersi w miejscu, gdzie ścisnął je Balik. Nie chciała, aby dotykały jej inne ręce. Odwróciła się i pomknęła za gmach archeologii, przedarła się przez krzaki po drugiej stronie okrążającego go chodnika, przecięła na ukos trawnik i znalazła się przed zwalistym szarym budynkiem, w którym rozpoznała siedzibę Wydziału Botaniki. Za nim leżał mały ogród botaniczny, a jeszcze dalej na stoku wzgórza, przy krawędzi lasu otaczającego cały teren uniwersytecki - arboretum.

Kiedy spojrzała za siebie, wydało się jej, że wciąż widzi goniących ją mężczyzn, ale nie była tego pewna. Biegiem wyminęła gmach botaniki i z łatwością przeskoczyła przez niskie ogrodzenie otaczające ogród botaniczny.

Jakiś mężczyzna z kosiarką pomachał w jej stronę. Był ubrany w oliwkowy uniform ogrodników uniwersyteckich. Metodycznie kosił krzewy, idąc tam i z powrotem przez środek ogrodu, pozostawiając za sobą szeroki pas zniszczenia.

Siferra obeszła go dalekim łukiem. Z tego miejsca już blisko było do arboretum. Czy ciągle jeszcze ją gonili? Nie chciała tracić czasu na sprawdzanie. Tylko biec, biec, bez ustanku biec - to

było najlepsze, co mogła zrobić. Jej długie, silne nogi niosły ją lekko między rzędami równo posadzonych drzew. Poruszała się miarowym tempem. Dobrze było tak biec, biec, biec.

Potem dotarła do zapuszczonej części arboretum, gdzie rosły cierniste, ciasno splątane krzewy. Bez wahania zagłębiła się w ten gąszcz wiedząc, że nikt nie będzie jej tam ścigał. Gałęzie drapały ją po twarzy, rozdzierały ubranie.

Gdy przeciskała się przez jakiś gęsty odcinek, wypuściła z ręki rulon wykresów i wynurzyła się po przeciwnej stronie już bez nich.

„Trudno - pomyślała. - One już i tak nic nie znaczą”.

Ale w końcu musiała odpocząć. Dysząc ciężko, nie mogąc złapać tchu z wyczerpania, przeskoczyła mały strumień płynący na granicy arboretum i upadła na skrawek chłodnego zielonego mchu. Nikt jej nie gonił. Była sama.

Spojrzała w górę, między korony drzew. Złote światło Onosa zalewało niebo. Gwiazd nie było już widać. Noc wreszcie się skończyła, a wraz z nią koszmar.

„Nie - przemknęło jej przez głowę. - Koszmar dopiero się zaczyna”.

Dziwne odrętwienie, które dręczyło ją przez całą noc, ustępowało. Poczowała wzbierające; przerażenie i mdłości. Po godzinach psychicznego rozszczepienia na nowo poczyniała ogarniać rozumem fakty, mogła zestawić wydarzenia w logiczny ciąg, aby pojąć ich sens. Myślała o zrujnowanym uniwersytecie, płomieniach górujących nad odległym miastem, o błakających się wszędzie szaleńcach, zniszczeniach, chaosie.

Balik. Obrzydliwy grymas na jego twarzy, gdy usiłował ją obłapić. Zdumione spojrzenie, kiedy go uderzyła.

ZABIŁAM DZISIAJ CZŁOWIEKA.

JAK JA MOGŁAM COŚ TAKIEGO ZROBIĆ?!

Zaczęła dygotać. Przerażające wspomnienia wypalały jej umysł: odgłos, który wydała pałka, gdy go uderzyła, sposób, w jaki Balik zatoczył się do tyłu., kolejne ciosy, krew, jego zmiażdżona głowa... Człowiek, z którym pracowała przez półtora roku, cierpliwie przekopując ruiny Beklimotu, padł jak ubite zwierzę pod śmiertelnymi ciosami jej pałki. I ten jej całkowity spokój, gdy nad nim stała - satysfakcja, że zdołała go powstrzymać od dalszego naprzykrzania się jej. To było chyba najohydniejsze ze wszystkiego.

Potem Siferra wytłumaczyła sobie, że nie zabiła Balika, a jedynie szaleńca ukrytego w jego ciele, szaleńca śliniącego się i miotającego dzikie spojrzenia, gdy chwycił ją i chciał zgwałcić. Ani też ona nie była prawdziwą Siferra, kiedy dzierżyła w dłoniach pałkę, ale Sierra-zjawą, Sierra-snem, poruszającą się jak lunatyczka przez okropności świtu.

Teraz jednakże powracała do normalności. Wreszcie zaczynały docierać do niej konsekwencje nocnych zdarzeń. Nie tylko śmierć Balika - odpychała od siebie poczucie winy - ale śmierć całej cywilizacji.

Usłyszała jakieś głosy w oddali, od strony uniwersytetu. Ochryple zwierzęce wycie tych, których świadomość została zniszczona przez gwiazdy całkowicie i nieodwołalnie. Rozejrzała się za pałką. Czyżby i ją zgubiła podczas panicznej ucieczki przez arboretum? Nie, jednak nie. Była tuż obok. Chwyciła ją i zerwała się na równe nogi.

Las zdawał się ją przyzywać. Odwróciła się i zagłębiła w chłodny, mroczny cień.

Biegła tak długo, na ile tylko starczyło jej sił. Cóż innego jej pozostało? Tylko biec, biec wciąż przed siebie.

Było późne popołudnie trzeciego dnia od zaćmienia. Biney utykając schodził cichą polną drogą prowadzącą do Sanktuarium; szedł wolno i ostrożnie, rozglądając się bacznie na wszystkie strony. Na niebie świeciły trzy słońca, a gwiazdy dawno już wróciły do swej odwiecznej kryjówki. Jednak świat zmienił się nieodwołalnie w ciągu tych trzech dni. Podobnie jak Biney.

Dla młodego astronoma był to pierwszy dzień powrotu do pełni władz umysłowych. Co robił przez poprzednie dwa dni? Nie wiedział. Cały ten okres zlewał się w niewyraźną plamę, znaczoną przez wschody i zachody Onosa, z innymi słońcami przemierzającymi co jakiś czas niebo. Gdyby ktoś powiedział mi, że to był czwarty, piąty czy szósty dzień od katastrofy, nie potrafiłby zaprzeczyć.

Bolały go plecy, lewa noga była jednym wielkim siniakiem, a twarz znaczyły liczne strupy. Był cały obolały, choć wszechogarniające cierpienie, jakie przeżywał w pierwszych godzinach, zdążyło ustąpić miejsca tępemu bólowi dochodzącemu z różnych części ciała.

Co się z nim działo? Gdzie przebywał?

Pamiętał walkę w obserwatorium. Wiele by dał, żeby jej nie pamiętać. Wyjąca i rycząca horda oszalałych ludzi z miasta wylamująca drzwi... na czele garstka Apostołów w charakterystycznych szatach, ale głównie byli to zwykli ludzie, prawdopodobnie dobrzy, prości i nudni, którzy spędzali całe życie robiąc dobre, proste i nudne rzeczy utrzymujące cywilizację w ruchu. Nagle cywilizacja stanęła w miejscu, a ci wszyscy zwykli i mili ludzie w mgnieniu oka przeistoczyli się we wściekłe bestie.

Chwila, kiedy tłumnie wtargnęli do budynku, była potworna. Tłukli aparaty, które właśnie zarejestrowały bezcenne dane o zaćmieniu, ściągnęli z dachu obserwatorium wielki solaroskop, unosili komputery wysoko nad głowami, aby roztrzaskać je o podłogę...

Ponad wszystkim górował profesor Athor niby półbóg, rozkazując im opuścić budynek... Równie dobrze można by rozkazywać morzu, by się cofnęło.

Biney pamiętał, jak błagał starego profesora, aby poszedł z nim, uciekł, gdy była jeszcze szansa.

- Zostaw mnie, młody człowieku! - krzyknął Athor. Widocznie nawet go nie poznawał. - Precz z rękoma!

Dopiero wtedy Biney zrozumiał to, co powinien dostrzec wcześniej - Athor postradał zmysły, a mała cząstka jego świadomości, która jeszcze funkcjonowała racjonalnie, żarliwie pragnęła śmierci. Athor stracił wolę przetrwania, dalszej egzystencji w nowym koszmarnym świecie, w epoce barbarzyństwa, która miała nastąpić po zaćmieniu. "To było najtragiczniejsze ze wszystkiego - myślał Biney. - Profesor Athor stracił chęć do życia, wielki astronom poddał się w obliczu zagłady cywilizacji".

Później - ucieczka z obserwatorium. Ostatnim dosyć wyraźnym wspomnieniem był widok głównego pomieszczenia obserwatorium z Athorem znikającym pod mrowiem napastników, a potem zwrot i błyskawiczny skok do bocznych drzwi, na czworakach w dół drogą ewakuacyjną, tylnym wyjściem na zewnątrz, na parking...

Tam czekały na niego gwiazdy w całym swym straszliwym splendorze.

Przekonany o swych racjach, co - jak się później zorientował - było najwyższą głupotą lub może pewnością siebie graniczącą z arogancją, Biney nie docenił ich potęgi. W momencie gdy się ukazały, był w obserwatorium zbyt zajęty pracą, aby ulec ich sile. Ledwie je zarejestrował jako godne uwagi zjawisko, które zamierzał szczegółowo zbadać w wolnej chwili, i powrócił do swych zajęć. Ale tam, na zewnątrz, pod bezlitosnym sklepieniem otwartego nieba, gwiazdy poraziły go pełnią swej mocy.

Był jak ogłuszony. Nieubłagane, lodowate światło tysięcy słońc runęło na niego i rzuciło na

kolana. Pełzał na czworakach, dławiąc się strachem i ciężko chwytnąc powietrze. Ręce trzęsły mu się w gorączce, serce łomotało, a po rozpalonej twarzy spływały strużki potu. Pozostało w nim jeszcze coś z naukowca, co zmusiło go do podniesienia oczu ku firmamentowi, w kierunku kolosalnego blasku nad głową, aby go zbadać, zarejestrować i opisać, ale już po kilku sekundach musiał odwrócić wzrok.

Pamiętał to wszystko: wysiłek, aby spojrzeć na gwiazdy, niepowodzenie, własną niemoc.

Reszta ginęła w mroku. Dzień lub dwa - jak się domyślał - błędził po lesie. Głosy w oddali, rechoczący śmiech, chrapliwe, pełne fałszów śpiewy. Strzelające na horyzoncie płomienie, wszędzie cierpki zapach dymu. Strumyk, w którym zamoczył twarz, bystra woda obmywająca mu policzek. Okrążające go stado niewielkich zwierząt - jak później stwierdził, nie były dzikie, tylko zdziczały po ucieczce od ludzi - ujadających, jakby chciały rozerwać go na strzępy. Jagody zerwane z krzaka. Wspinaczka na drzewo, by ogołocić je ze złotych, soczystych owoców, upadek, głuche uderzenie o ziemię i długie godziny cierpienia, zanim zdołał się podnieść i ruszyć dalej.

Nieoczekiwana, zaciekle walczyła w najgłębszym, najciemniejszym zakamarku lasu - śmigające pięści, łokcie brutalnie wbijane pod żebra, dzikie kopniaki, potem uderzenia kamieniami, nieludzkie rżenie, twarz jakiegoś mężczyzny tuż przy jego twarzy, oczy płonące czerwono, zawzięte zmagania, oni obaj przewalający się po ziemi... jego ręka dosięgająca ciężkiego kamienia i uderzająca jednym, decydującym ruchem...

Godziny. Dni. Majaczenie w malignie...

Wreszcie, rankiem trzeciego dnia, powracająca świadomość tego, kim był i co się stało. Myśl o Raissie, jego kontraktowej partnerce, o obietnicy, że odnajdzie ją w Sanktuarium, gdy tylko zakończy pracę w obserwatorium.

Sanktuarium - gdzie to, u licha, było?

Mózg Bineya funkcjonował już całkiem dobrze i odtworzył, że miejsce schronienia pracowników naukowych leżało w połowie drogi między uniwersytetem a Saro, na rozległych rolniczych terenach, osianych falistymi równinami i trawiastymi łąkami. Znajdował się tam stary akcelerator cząstek - wielki podziemny bunkier, opuszczony przez Wydział Fizyki kilka lat wcześniej, kiedy wybudowano nowe centrum badawcze na Wzgórzach Saryjskich. Przygotowanie pustych betonowych sal dla krótkotrwałego pobytu kilkuset ludzi nie nastęczało większych trudności, a że komora akceleratora była zawsze dla bezpieczeństwa chroniona przed dostępem osób niepowołanych, z łatwością można było obronić to miejsce przed inwazją ludzi z miasta, gdyby rzeczywiście postradali zmysły w czasie zaćmienia.

Chcąc znaleźć Sanktuarium, Biney musiał najpierw się zorientować, gdzie sam przebywał. A ponieważ przez co najmniej dwa dni błąkał się bez celu, w posepnym odrętwieniu, mógł znajdować się gdziekolwiek.

Wczesnym rankiem zupełnie przypadkowo wyszedł na skraj lasu i znalazł się niespodziewanie w miejscu, które niegdyś było elegancką dzielnicą willową. Obecnie panował tu zatrważający nieład; jak okiem sięgnąć samochody stłoczone na ulicach, porzucone przez właścicieli, którzy nie mogli już dłużej prowadzić, gdzieś trupy leżące na chodniku pod czarną chmurą much. Nic nie wskazywało, by ktoś pozostał przy życiu.

Całe przedpołudnie spędził na mozolnym marszu podmiejską szosą wzdłuż szeregów poczerniałych, opuszczonych domów, nie rozpoznając jednak żadnego znajomego miejsca. W południe, kiedy pojawiły się Trey i Patru, wszedł przez otwarte drzwi do jednego z domów i posilił

się tym, co jeszcze nadawało się do zjedzenia. Z kuchennego kranu nie wyciekła ani kropla, ale w piwnicy znalazł zapas butelkowanej wody i wypił, ile tylko zdołał. Resztę zużył do mycia.

Potem skierował się krętą drogą na wzgórze, w uliczkę przestronnych i okazałych bloków mieszkalnych, obecnie do cna wypalonych. Z wieżowca na samym szczycie wzgórza nie pozostało nic, jedynie taras widokowy ozdobiony różowoniebieskimi płytkami, niegdyś bez wątpienia bardzo piękny, ale teraz zeszepeczony grubą warstwą szerniałych, spiętrzonych gruzów rozrzuconych po jego lśniącej powierzchni. Przedostał się nań z trudem i spojrzał na równinę w dole.

Powietrze było nieruchome. Nie latały samoloty, brak było ulicznego gwaru, niesamowita cisza zdawała się aż dudnić wokół.

Nagle Biney poczuł, że wie, gdzie jest, i wszystko trafiło na swoje miejsce.

Po lewej stronie widoczny był uniwersytet: grupa murowanych budynków, z których wiele szpeciły czarne smugi sadzy, a część robiła wrażenie całkowicie zniszczonych. Za nimi, na wzniesieniu, znajdowało się obserwatorium. Biney rzucił tam szybkie spojrzenie i odwrócił wzrok, ciesząc się w duchu, że z tej odległości nie sposób było ocenić jego stanu.

Na prawo w oddali leżało Saro, lśniące w blasku dnia. Stąd wyglądało na całkiem nietknięte, ale wiedział, że mając lornetkę dostrzegłby z pewnością wybite szyby, zwalone budynki, tłące się zgliszczą, z których unosiły się wstęgi dymu - blizny po pożodze, która wybuchła z nastaniem nocy.

Na wprost przed nim, w dole, między miastem a terenem uniwersyteckim, rozpościerał się las, po którym błędził w malignie. Sanktuarium jest na jego drugim krańcu; niewykluczone, że w ciągu ostatnich dwóch dni przechodził o kilkaset metrów od jego wejścia, nic o tym nie wiedząc.

Myśl o powrocie do lasu nie uśmiechała mu się zbyt. Niewątpliwie było tam nadal pełno szaleńców, rzezimieszków, zdziczałych zwierząt domowych - wszelkiego rodzaju niebezpieczeństw. Jednak ze swej dogodnej pozycji na szczycie wzgórza dostrzegł drogę, przecinającą las i ciąg ulic prowadzących do niej. "Wystarczy trzymać się drogi - pomyślał - a wszystko będzie dobrze".

Tak też zrobił. Onos był wciąż na niebie, gdy zakończył swój marsz przez las i skręcił w małą polną dróżkę, która jak wiedział, prowadziła do Sanktuarium. Popołudniowe cienie zaczynały się już nieco wydłużać, kiedy dotarł do zewnętrznej bramy. Pamiętał, że musi ją przebyć, potem zejść długą leśną drogą, która doprowadzi go do drugiej bramy, a następnie wokół pary przybudówek do właściwego wejścia do podziemi.

Zewnętrzną bramę, wysoką zaporę z metalowej siatki, zastał otwartą na oścież. Nie wróżyło to nic dobrego. Czyżby zdziczały tłum zdołał wdrzeć się także tutaj?

Nie zauważył jednak żadnych siadów zniszczeń. Wszystko było tak, jak być powinno, jedynie brama stała otworem. Przekroczył ją zaintrygowany i;szedł w dół leśną drogą.

Przynajmniej wewnętrzna brama była zamknięta.

- Nazywam się Biney 25 - powiedział do niej, podając także swój uniwersytecki numer identyfikacyjny. Mijały chwile, które wydłużały się w minuty, i nic się nie działo. Zielone oko skanera nad jego głową wydawało się działać - dostrzegł obiektów przesuwających się tam i z powrotem, lecz obsługujące go komputery pewnie straciły zasilanie albo zostały doszczętnie zniszczone. Odczekał chwilę. Potem jeszcze jedną. W końcu rzekł:

- Nazywam się Biney 25 - i po raz drugi podał swój kod identyfikacyjny. - Mam pirawo tu wejść.

- W tym momencie przypomniał sobie, że samo imię i kod nie wystarcza. Trzeba podać jeszcze hasło.

Ale jak brzmiało? Wpadł w panikę. Nie mógł sobie przypomnieć. Za nic, za żadne skarby. Co za absurd! Wreszcie znalazł drogę tutaj i nie mógł się dostać do wnętrza przez swoją własną głupotę!

Hasło... hasło...

Miało coś wspólnego z katastrofą. "Zaćmienie"? Nie, nie to. Zachodził w głowę, lecz obolały mózg pracował z trudem. "Kalgasz Dwa"? To mu nie pasowało. "Dovim"? "Onos"? "Gwiazdy"?

Był coraz bliżej. W tym momencie nadeszło rozwiązanie.

- Noc! - krzyknął triumfalnie.

Przez dłuższą chwilę wciąż nic się nie działo, lecz potem, gdy już wydawało się, że usnęło tysiąc lat, brama rozwarła się przed nim. Krętą ścieżką wokół przybudówek dotarł do owalnych metalowych wrót Sanktuarium, wpuszczonych w ziemię pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Kolejne zielone oko studiowało go badawczo. Czy powinien od nowa podać identyfikację? Najwidoczniej.

- Nazywam się Biney 25 - powiedział, przygotowując się na następne dłuższe oczekiwanie.

Brama natychmiast zaczęła się odsuwać. Spojrzał w dół, na betonową podłogę przedsiionka Sanktuarium.

Stała tam Raissa 717. Ledwie dziesięć metrów od niego.

- Biney! - zawołała i rzuciła się ku niemu. - Och, Biney, Biney...

Od czasu gdy dwa lata temu stali się kontraktowymi partnerami, nigdy nie rozstawali się na dłużej niż osiemnaście godzin. Teraz spędzili osobno kilka dni. Przyciągnął Raissę do siebie, objął mocno i minęło trochę czasu, zanim wypuścił ją z ramion.

Zdał sobie sprawę, że nadal stoją w otwartych wrotach Sanktuarium.

- Powinniśmy chyba wejść do środka i zamknąć bramy? - zapytał. - Ktoś mógł mnie śledzić. Nie przypuszczam wprawdzie...

- To bez znaczenia. Nikogo prócz nas tu nie ma.

- Co?!

- Wszyscy odeszli - wyjaśniła Raissa. - Wczoraj, zaraz po wschodzie Onossi. Chcieli, żebym poszła z nimi, ale zostałam, żeby czekać na ciebie.

Biney gapił się na nią nic nie rozumiejąc.

Dostrzegł teraz, jaka była blada i zmęczona. Wychudła i zmizerniała. Jej niegdyś lśniące, puszyste włosy wisiały w posklejanych kosmykach. Oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte. Postarzał się o pięć lub dziesięć lat.

- Raisso, ile czasu minęło od zaćmienia?

- Dzisiaj jest trzeci dzień.

- Trzy dni. To mniej więcej tyle, ile zakładałem. - Jego głos wzbudził dziwne echa. Biney rozejrzał się po Sanktuarium. Pusta podziemna komora, oświetlona u sufitu linią żarówek, rozciągała się daleko w głąb. Jak okiem sięgnąć nikogo. Tego się nie spodziewał. Według planu wszyscy mieli tu czekać w ukryciu do czasu, gdy będzie można bezpiecznie wyjść na powierzchnię.

- Dokąd oni poszli? - spytał ze zdumieniem.

- Do Amgando - odpowiedziała Raissa.

- Park Narodowy Amgando? Przecież to setki kilometrów stąd! Oni chyba poszaleli! Wychodzić z ukrycia i iść do jakiegoś miejsca przez pół kraju! Czy masz pojęcie, Raisso, co się dzieje na zewnątrz?

Park Amgando był rezerwatem położonym daleko na południe, gdzie żyły dzikie zwierzęta i gdzie zazdrośnie strzeżono rodzimej roślinności.

Biney pojechał tam raz z ojcem, jeszcze jako chłopiec. Było to prawie zupełne odludzie, przecięte zaledwie kilkoma szlakami turystycznymi.

- Przypuszczali, że tam będzie bezpieczniej - powiedziała Raissa.

- Bezpieczniej?!

- Rozesła się wieść, że wszyscy, którzy pozostali normalni i chcą wziąć udział w odbudowie społeczeństwa, mają się zebrać w Amgando. Przypuszczalnie ze wszystkich stron kraju tysiące ludzi - przeważnie z innych uniwersytetów oraz z rządu - zdążają do rezerwatu.

- Świetnie. Ta zgraja profesorów i polityków zadepcze park. Kiedy wszystko inne uległo zniszczeniu, czemu nie zniszczyć także ostatniego ocalałego skrawka natury, który nam pozostał?

- To nieistotne. Najważniejsze, że park Amgando jest w rękach ludzi zdrowych psychicznie, że pozostał enklawą cywilizacji pośród totalnego oblędu. Oni wiedzieli o nas, prosili, byśmy się do nich przyłączyli. Przeprowadziliśmy głosowanie i dwie trzecie było za tym, aby iść.

- Dwie trzecie - rzekł Biney głucho. - Ci ludzie kompletnie poszaleli, chociaż nie widzieli gwiazd. Pomyśl, porzucić Sanktuarium i wyruszyć w pięćsetkilometrową wędrówkę - a może to osiemset kilometrów? - przez kompletny chaos, jaki panuje na zewnątrz. Dlaczego nie poczekać miesiąca, sześciu miesięcy, nawet dłużej? Mieli dość jedzenia i picia, mogli przetrwać tu rok.

- Mówiliśmy to samo, ale wtedy ci przybysze z Amgando stwierdzili, że właśnie teraz jest właściwy moment. Gdybyśmy zaczekali jeszcze kilka tygodni, walężające się grupy oszalałych ludzi mogłyby się zorganizować w armie dowodzone przez lokalnych kacyków i wtedy to z nimi mielibyśmy do czynienia po wyjściu. A gdyby czekać jeszcze dłużej, prawdopodobnie Apostołowie Płomieni zdołaliby ustanowić nową, silną władzę, z własną armią i policją, i schwytano by nas od razu, jak tylko zrobilibyśmy pierwszy krok poza Sanktuarium. "Trzeba iść teraz albo nigdy - zakończyli ludzie z Amgando. - Lepiej spotykać się z rozproszonymi, oszołomionymi bandytami, działającymi niezależnie, niż z zorganizowanym wojskiem". Wszyscy zdecydowali więc wyruszyć w drogę.

- Wszyscy... a ty?

- Ja chciałam poczekać na ciebie.

- Skąd wiedziałaś, że przyjdę? - Ujął ją za rękę.

- Powiedziałaś, że przyjdiesz, gdy tylko skończysz fotografować zaćmienie. Ty zawsze dotrzymujesz słowa.

Biney był jak nieobecny. Jeszcze nie otrząsnął się po wiadomości, że Sanktuarium jest puste. Miał nadzieję tu odpocząć, wyleczyć obolałe ciało i złożyć w całość rozbitą przez gwiazdy psychikę. Co mieli teraz zrobić? Założyć gospodarstwo, tylko we dwoje żyć w tej pustej betonowej krypcie? Czy też na własną rękę próbować dostać się do Amgando? Biney doszedł do wniosku, że decyzja opuszczenia Sanktuarium miała jakiś wariacki sens, założywszy jakikolwiek sens zbierania się w Amgando. Jeśli tak, to lepiej odbyć podróż teraz, kiedy w kraju panuje zamęt, niż czekać, aż pojawią się nowe polityczne twory zarządzane przez Apostołów, czy też dać czas zwykłym zbójom, by zebrali się w bandy i zaczęli czyhać przy głównych traktach. Liczył, że po przybyciu do Sanktuarium zastanie tu przyjaciół, wtopi się w społeczność znanych sobie ludzi i powoli odzyska pełnię sił po przeżytych szoku. "Jakże byłem naiwny!" - pomyślał.

- Raissa, czy masz pojęcie, co się teraz dzieje na zewnątrz?

- Otrzymywaliśmy raporty przez komunikator, ale w pewnym momencie jego kanały przestały funkcjonować. Najwyraźniej miasto zostało prawie doszczętnie spalone, a uniwersytet w znacznym stopniu zniszczony - tak właśnie jest, prawda?

- O ile wiem, tak. - Biney skinął głową. - Uciekłem z obserwatorium zaraz po opanowaniu go

przez tłum. Athor został zabity, jestem tego pewien. Zniszczono cały sprzęt - przepadły wszystkie nasze dane o zaćmieniu...

- To straszne!

- Udało mi się wydostać tylnym wyjściem. I od razu gwiazdy uderzyły mnie jak tona kamieni. Dwie tony. Raisso, nie masz pojęcia, co ja przeżyłem. Właściwie to cieszę się, że nie wiesz. Przez parę dni byłem niespełna rozumu, błąkałem się po lesie. Nie obowiązują już żadne prawa. Każdy dba o siebie. Chyba kogoś zabiłem w walce. Zwierzęta domowe dziczeją - je również gwiazdy doprowadziły do obłądu - i są przerażające.

- Biney...

- Wszystkie domy są spalone. Dziś rano przechodziłem przez to oryginalne osiedle na wzgórzu, na południe od lasu - Zakątek Onosa, tak je chyba nazywano? Zniszczenia są niewiarygodne. Nigdzie nie ma żywej duszy. Wraki samochodów, trupy na ulicach, zrujnowane domy - mój Boże, Raisso, co za noc szaleństwa! A obłąd wciąż trwa.

- Ty wydajesz się normalny. Jesteś wstrząśnięty, ale nie...

- Stuknięty? Byłem stuknięty. Od momentu gdy wyszedłem na światło gwiazd aż do dzisiaj, kiedy się ocknąłem. W końcu wszystko zaczęło mi się układać w głowie. Myślę, że z większością innych ludzi jest znacznie gorzej. Z tymi, którzy nie byli na to emocjonalnie przygotowani nawet w najmniejszym stopniu, po prostu spojrzeli w górę i... łup!... słońca zniknęły, świecą gwiazdy. Tak jak mówił twój wuj Szirin - będzie cała gama rozmaitych reakcji, od krótkotrwałej dezorientacji do totalnego i trwałego obłądu.

- Szirin był z tobą w obserwatorium w czasie zaćmienia, prawda? - spytała Raissa cicho.

- Tak.

- A potem?

- Nie wiem. Byłem zajęty, nadzorowałem fotografowanie zaćmienia. Nie mam pojęcia, co się stało z Szirinem. Nie widziałem go od czasu, kiedy wtargnął motłoch.

Raissa westchnęła i uśmiechnęła się blado.

- Może wyslizgnął się w zamieszaniu. On już taki jest - bierze nogi za pas, kiedy wyczuje niebezpieczeństwo. Nie zniosłabym, gdyby stało mu się coś złego.

- Raisso, coś złego przytrafiło się całemu światu. Być może Athor miał rację: lepiej po prostu dać się zmieść i unieść w dal. W ten sposób nie musisz stawić czoła powszechnemu obłądowi i chaosowi.

- Biney, nie wolno ci tak mówić!

- Rzeczywiście, nie wolno. - Podszedł do niej i delikatnie pogłaskał ją po plecach. Pochylił się i czule szepnął jej do ucha: - Raisso, co teraz zrobimy?

- Myślę, że nietrudno zgadnąć. Pomimo wszystko roześmiał się głośno.

- Miałem na myśli, co zrobimy potem.

- Tym będziemy się martwić potem - powiedziała Raissa.

Teremon rzadko kiedy wyjeżdżał w plener. Był mieszczuchem w każdym calu. Trawa, drzewa, świeże powietrze, czyste niebo w zasadzie mu nie przeszkadzały, ale też nie pociągały za bardzo. Przez lata jego życie toczyło się w ustalonym wielkomiejskim trójkącie; niezmiennie przemierzał znajomą trasę, wyznaczoną trzema punktami - jego małym mieszkankiem, redakcją "Kroniki" i klubem Sześć Słońc. Nagle stał się mieszkańcem lasu. Najdziwniejsze, że prawie mu się to spodobało. To, co obywatele Saro nazywali lasem, było w istocie niewielką resztką prastarej

puszczy. Dość szeroki pas porosłej drzewami ziemi zaczynał się na południowo-wschodnim krańcu miasta i ciągnął jakieś dwadzieścia kilometrów wzdłuż południowego brzegu rzeki Seppitan. Niegdyś puszcza rozpościerała się na obszarze połowy prowincji, niemalże do wybrzeża, ale znaczną jej część wycięto pod uprawę, później całkiem niemalą na podmiejskie dzielnice mieszkaniowe, a i Uniwersytet Saryjski pięćdziesiąt lat temu uszczknął niezły kawałek na swą nową siedzibę. Wkrótce potem uczelnia, by nie zostać wchłonięta przez rozwijające się miasto, podjęła starania o przekształcenie tego, co zostało, w rezerwat. A ponieważ w Saro przez wiele lat obowiązywała zasada, że uniwersytet zwykle dostawał wszystko, czego zażądał, ostatni skrawek dawnej puszczy pozostał nienaruszony.

I tu właśnie przebywał obecnie Teremon.

Pierwsze dwa dni były bardzo ciężkie. Czuł się nadal częściowo otumaniony - był to efekt patrzenia na gwiazdy - i nie potrafił ułożyć żadnego planu działania. Podstawową sprawą było pozostanie przy życiu.

Miasto płonęło - dym snuł się wszędzie wokół, powietrze drgało z gorąca, z niektórych dogodnych miejsc można było nawet dojrzeć języki płomieni tańczące po dachach - oczywiście nie było mowy, by tam wracać. W zamęcie po zaćmieniu Teremon, gdy tylko chaos w jego umyśle nieco ucichł, zaczął po prostu schodzić ze wzgórza, na którym położony był uniwersytet, i tak dotarł do granicy lasu.

Najwyraźniej wielu ludzi uczyniło to samo. Niektórzy wyglądali na wykładowców czy studentów, inni stanowili prawdopodobnie pozostałość tłumu szturmującego obserwatorium w noc zaćmienia, a reszta - jak domyślał się Teremon - to mieszkańcy przedmieść, którzy opuścili swe domostwa, kiedy wybuchły pożary.

Widział tych ludzi w lesie. Wydawało mu się, że ich równowaga psychiczna jest zachwiana w co najmniej takim stopniu jak jego własna. Większość sprawiała znacznie gorsze wrażenie, niektórzy całkowicie stracili rozum i nie byli zdolni do samodzielnego życia.

Nie tworzyli żadnych zorganizowanych grup. Przemierzali swe tajemne leśne szlaki samotnie, a czasem po dwóch lub trzech; największa grupa, jaką Teremon widział, liczyła osiem osób, które - sądząc po wyglądzie i ubraniu - tworzyły jedną rodzinę.

Zatrważające były spotkania z tymi naprawdę szalonymi. Mieli nieprzytomne spojrzenia, otwarte usta, powalane ubrania, a ślina ściekała im po brodach. Snuli się leśnymi przecinkami jak żywe trupy, mówili do siebie, podśpiewywali, czasem pełznąc na czworakach wrywali kępy darni i ściółki. Byli wszędzie. "Cały las to jeden wielki zakład dla obłąkanych - myślał Teremon. - A prawdopodobnie i cały świat".

Ludzie najbardziej dotknięci pojawieniem się gwiazd nie stanowili w zasadzie zagrożenia, przynajmniej dla innych. Byli zbyt rozbici psychicznie, aby przewidzieć korzyści mogące płynąć z zachowania agresywnego, a jednocześnie ich koordynacja ruchowa ucierpiała na tyle, że nic złego nie mogli nikomu zrobić.

Jednak byli też inni, niezupełnie szaleni - na pierwszy rzut oka mogli wydawać się całkiem normalni - i dopiero oni stanowili wielkie niebezpieczeństwo.

Ci, jak szybko zrozumiał Teremon, dzielili się na dwie kategorie. Do pierwszej należeli ludzie, którzy nie żywili do nikogo wrogich uczuć, ale ulegli historycznej obsesji, że Ciemność i gwiazdy mogą powrócić. To byli podpalacze.

Najpewniej przed katastrofą ci ludzie wiedli porządne i ustabilizowane życie - kochający swe

rodziny, uczciwi, pracowici, mili i sympatyczni sąsiedzi. Dopóki Onos pozostawał na niebie, byli całkowicie opanowani, ale z chwilą, gdy główne słońce zaczynało znikać na zachodzie i zbliżał się wieczór, lęk przed Ciemnością opanowywał ich zupełnie i desperacko szukali czegoś do podpalenia. Nieważne czego. Czegokolwiek. Dwa, trzy inne słońca mogły być nadal w górze po zachodzie Onosa, ale światło mniejszych słońc nie wystarczało, by uśmierzyć oszalały strach tych ludzi przed Ciemnością.

To oni spalili do szczytu swoje własne miasto. Z rozpaczy podpalili książki, gazety, meble, dachy domów. Teraz, rzućni do lasu przez zagładę miasta, usiłowali podkładać ogień także tutaj. Było to jednak znacznie trudniejsze zadanie. Las rósł bujnie i gęsto, a zbitą ścianę drzew obficie nawadniało mnóstwo strumieni spływających do rzeki, biegnącej wzdłuż jego granicy. Odłamane gałęzie nie paliły się dobrze, a chrust i opadłe liście, stanowiące ściółkę leśną, zwilgotniały po ostatnich deszczach. To, co nadawało się do spalenia, odnaleziono bardzo szybko i zużyto na ogniska, nie próbując wzniecić żadnych większych pożarów; już na drugi dzień ten zapas prawie się wyczerpał.

Podpalacze, ograniczeni w swych działaniach przez warunki leśne i własne zamroczone umysły, nie odnosili więc, jak dotychczas, większych sukcesów. Udało im się jednak mimo wszystko wywołać parę sporych pożarów lasu, które na szczęście wygasły po paru godzinach, strawiwszy cały łatwopalny materiał znajdujący się w ich zasięgu. Lecz wystarczyłoby kilka dni suchej, upalnej pogody, aby ludzie ci zdołali puścić z dymem całą okolicę, tak jak zrobili to w Saro.

Druga kategoria niezupełnie normalnych ludzi wędrujących po lesie stanowiła w opinii Teremona znacznie bardziej bezpośrednie zagrożenie. To byli ci, którzy zatracili wszelkie zahamowania i normy społeczne. Bandyty, rzezimieszki, mordercy, psychopaci, maniakalni zabójcy poruszali się po cichych leśnych ścieżkach niczym krwiożercze bestie, uderzając kiedy tylko mieli na to chęć, zabierając wszystko, co chcieli, mordując każdego nieszczęśnika, który wzbudził ich złość.

Absolutnie każdy mieszkaniec lasu miał szkliste spojrzenie, część ze zmęczenia, inni ze zwątpienia, a jeszcze inni z szaleństwa. Spotykając kogoś nie sposób było orzec, na ile był niebezpieczny. Nikt nie mógł na pierwszy rzut oka ocenić, czy zbliżająca się osoba jest tylko jednym z pomyleńców, oszołomionych i zszokowanych, a więc nieszkodliwych, czy też należy do drugiej kategorii, osobników pełnych morderczej furii, atakujących ni stąd, ni zowąd każdego napotkanego bez żadnego powodu.

Człowiek szybko się uczył, że należy mieć się na baczności, gdy nadchodził ktoś buńczucznie i wyzywająco kroczący przez las. Każdy stanowił potencjalne zagrożenie. Można było z kimś przyjacielsko rozmawiać, porównując wrażenia z przeżyć po zaćmieniu, kiedy nagle ten ktoś potrafił obrazić się o przypadkową uwagę czy też dojść do wniosku, że podoba mu się jakaś część twego ubrania, lub też po prostu poczuć ślepą nienawiść do twej twarzy i ze zwierzęcym wyciem rzucić się na ciebie w bezmyślnym okrucieństwie.

Niektórzy z tych ludzi niewątpliwie już wcześniej byli zwykłymi kryminalistami. Kiedy społeczeństwo się rozpadło, oni nie musieli już mieć żadnych zahamowań. Teremon podejrzewał jednak, że inni byli łagodnymi i spokojnymi ludźmi do czasu, gdy stracili rozum na widok gwiazd. Wtedy nagle opadły z nich wszelkie normy cywilizowanego świata. Zapomnieli o zasadach, które czyniły możliwym życie w społeczeństwie. Stali się znów jak małe dzieci, egocentryczni, zajęci tylko własnymi potrzebami, ale mieli siłę dorosłych i upór ciężko obłąkanych.

Jeżeli chciało się przeżyć, należało unikać tych, o których w sposób pewny lub wysoce prawdopodobny orzec można było, że są śmiertelnie niebezpieczni. Pozostawało wznosić modły, aby

jak najszybciej pozabijali się nawzajem, przez co świat stałby się bezpieczniejszy dla mniej zapalczywych.

W ciągu dwóch dni Teremon trzy razy spotkał szaleńców należących do tej kategorii. Pierwszy z nich, wysoki, smukły mężczyzna z niesamowitym, diabolicznym uśmiechem, czatował przy strumieniu, który Teremon chciał przekroczyć, i zażądał od dziennikarza opłaty za przejście.

- Powiedzmy, twoje buty. A może wolisz zegarek?

- A może usuniesz mi się z drogi? - zasugerował Teremon i tamten wpadł w szal.

Chwyciwszy pałkę, której Teremon wcześniej nie zauważył, wydał jakiś okrzyk wojenny i zaatakował. Nie było czasu na żadną obronę, Teremon mógł tylko schylić się w momencie, gdy napastnik ze straszliwą siłą zamachnął się swą maczugą.

Słyszał, jak pałka świsnęła mu tuż nad głową. Trzasnęła w drzewo za nim, uderzając w pień z potworną siłą - tak potężną, że efekt uderzenia przeniósł się na ramię napastnika, któremu z bólu zaparło dech w piersiach, a broń wypadła z bezwładnej dłoni.

Teremon natychmiast skoczył na niego, chwycił za okaleczoną rękę i wykręcił ją gwałtownie do góry z bezlitosną siłą. Szaleniec rżąc zgiał się wpół i z jękiem padł na kolana. Teremon nie puścił. Pchnął go w dół, aż jego głowa znalazła się w strumieniu, i tak przytrzymał. Jeszcze. I jeszcze.

„Jak łatwo byłoby po prostu trzymać jego głowę pod wodą tak długo, aż by się utopił” - pomyślał w zadziwieniu.

Część jego umysłu istotnie go do tego namawiała. ”On zabiłby cię bez zastanowienia. Pozbądź się go. Jeśli nie, to co zrobisz, gdy go puścisz? Będziesz z nim walczył od nowa? A jeżeli pójdzie za tobą przez las, aby wyrównać porachunki? Zabij go, Teremonie. Zabij”.

Pokusa była silna. Lecz jedynie część jego umysłu pragnęła tak ochoczo zaakceptować panujące w nowym świecie prawo dżungli. Reszta wzdragała się przed tym; w końcu puścił ramię szaleńca i cofnął się o krok. Podniósł pałkę i czekał.

Jednak z napastnika uszła już cała wola walki. Krztusząc się i łapiąc powietrze przysiadł na brzegu strumienia, woda wypływała mu z ust i nosa, drżał, kaszłał i z trudem chwycił oddech. Spoglądał ponuro i bojaźliwie na Teremona, ale nie próbował wstać, porzucił myśl o podjęciu walki.

Teremon ominął go, przekroczył rzeczkę i odbiegł głębiej w las.

Implikacje tego, co niemal uczynił, nie dochodziły do niego w pełni jeszcze przez następne dziesięć minut. Wtedy stanął jak wryty, oblał się zimnym potem. Naszły go mdłości, powaliły gwałtowne torsje, które wstrząsały nim tak silnie, że upłynęła dłuższa chwila, zanim zdołał się podnieść.

Tego samego dnia później Teremon doszedł na skraj lasu. Wyjrzał spomiędzy drzew i zobaczył szosę - całkowicie opustoszałą - a po jej drugiej stronie ruiny wysokiej murowanej budowli stojącej na rozległym placu.

Rozpoznał ten gmach. To był Panteon, Katedra Wszystkich Bogów.

Nie zostało z niego wiele. Teremon przeszedł na drugą stronę szosy i spojrzął z niedowierzaniem. Wyglądało na to, że pożar zaczął się w samym sercu budynku - co oni tam wyprawiali, używali ławek zamiast świec? - i przeniósł się w górę wąską wieżyczką powyżej ołtarza, od której zajęły się drewniane belki. Wieża zawaliła się, pociągając za sobą ściany. Cały plac był usiany ceglami. Dostrzegł ciała wystające spod gruzów.

Teremon nigdy nie należał do ludzi szczególnie religijnych. Nie znał też nikogo takiego. Jak

wszyscy inni używał czasem zwrotów w rodzaju "Mój Boże!", "Na Boga!", "O bogowie!" dla emfazy, ale myśl, że mógł istnieć jakiś Bóg czy bogowie, czy co tam aktualnie panujący system wierzeń utrzymywał, była mu zawsze obca. Religia robiła na nim wrażenie przesądu rodem ze średniowiecza, osobliwie archaicznego. Od czasu do czasu chodził do świątyni na ślub kolegi - oczywiście tak samo niewierzącego jak on - lub by zrobić reportaż z jakiegoś oficjalnego obrzędku, który miał być zamieszczony w przeglądzie wydarzeń, ale w celach religijnych nie zaszedł do żadnej świątyni od czasu własnej inicjacji, kiedy miał dziesięć lat.

Pomimo to widok zrujnowanej katedry poruszył go do głębi. Był obecny na uroczystości jej poświęcenia, dwanaście lat temu, kiedy zaczynał karierę jako reporter. Wiedział, ile milionów kredytów kosztował budynek; podziwiał wspaniałe dzieła sztuki, wzruszała go cudowna muzyka "Hymnu do bogów" Ghissimala, rozbrzmiewająca w olbrzymim wnętrzu. Nawet on, który nigdy nie wierzył w żadne świętości, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jeśli bogowie naprawdę byli obecni w jakimś miejscu na Kalgaszu, to właśnie tu.

A jednak bogowie pozwolili, aby budowla uległa takiemu zniszczeniu! Bogowie zesłali gwiazdy wiedząc, że przyniosą obłęd, który zniszczy nawet ich własny Panteon!

Cóż to oznaczało? Co mówiło o niezbadanych i niepojętych wyrokach bogów - założywszy, że w ogóle istnieli?

Nikt nigdy nie odbuduje tej katedry, Teremon był tego pewien. Już nigdy nic nie będzie tak, jak było.

- Na pomoc! - usłyszał czyjeś wołanie. Ten słaby dźwięk przerwał tok jego myśli. Rozejrzał się.

- Ratunku! To po lewej stronie. Tak. Teremon ujrzał w słońcu odbłask złotych szat. Jakiś mężczyzna tkwił na pół pogrzebany w gruzach, daleko w głębi, przy ścianie budynku - zapewne jeden z kapłanów, sądząc po strojnym ubiorze. Był przywalony przez ciężką belkę i machał ręką, najwyraźniej resztkami sił.

Teremon zaczął biec w jego kierunku. Przebiegł nie więcej niż dwadzieścia kroków, kiedy jakaś postać pojawiła się po przeciwnej stronie gruzów i pędem ruszyła do przodu - mały człowieczek z kocią zwinnością przedzierał się przez rumowisko.

„Świetnie - pomyślał Teremon. - Razem sobie poradzimy. Wspólnymi siłami odciągniemy tę belkę”.

Był jeszcze w odległości dobrych dziesięciu metrów i nagle stanął jak skamieniały, sparaliżowany grozą. Zwinny człowieczek dotarł do kapłana. Pochylił się i podciął mu gardło jednym szybkim uderzeniem noża, tak zwyczajnie, jakby otwierał kopertę. Potem zaczął pracowicie przecinać sznury, które przytrzymywały bogate szaty kapłana.

Spojrzał w górę na Teremona, przeszywając go wzrokiem pełnym nienawiści. Jego oczy płonęły dzikim, przerażającym blaskiem.

- Moje! - warknął niczym wściekła bestia. - Moje! - Błysnął nożem.

Teremon zadrżał. Przez dłuższą chwilę stał skamieniały, ulegając upiornej fascynacji efektywnością, z jaką rabuś obdzierał martwe ciało kapłana. Potem ze smutkiem odwrócił się i uciekł z powrotem przez szosę do lasu. Nic innego nie mógł zrobić.

Tego wieczora, gdy Tano, Sitha i Dovim królowały na niebie rozsiewając melancholijny blask, Teremon pozwolił sobie na kilka godzin snu w gęstych zaroślach; budził się jednak co chwila, wyobrażając sobie, jak jakiś szaleniec z nożem skrada się ku niemu, chcąc ukraść buty. Sen opuścił go na długo przed wschodem Onosa. Kiedy w końcu nadszedł ranek, niemal zdziwił się, że wciąż

jeszcze żyje.

Pół dnia później spotkał trzeciego z nowej rasy morderców. Tym razem przechodził przez trawiastą łąkę, blisko jednego z zakoli rzeki, kiedy spostrzegł dwóch ludzi siedzących na ocienionym skrawku ziemi, dokładnie w poprzek drogi, grających w kości. Wyglądali na łagodnych i spokojnych. Teremon podszedł bliżej i zorientował się, że wybuchła między nimi sprzeczka; w pewnej chwili, niewiarygodnie szybko, jeden z mężczyzn złapał nóż kuchenny leżący obok na kocu i ze śmiertelnością siłą wbił go w pierś drugiego.

Potem uśmiechnął się do Teremona.

- Oszukiwał mnie - wytłumaczył. - Wiesz, jak to jest. Cholernie wnerwia. Nie umiem się powstrzymać, kiedy facet próbuje szachrować. - Brzmiało to w jego ustach bardzo przekonująco. Wyszczerył zęby i zagrzechotał kośćmi. - Hej, zagrasz partyjkę?

Teremon spoglądał w oczy pełne szaleństwa.

- Przepraszam - powiedział tak beznamiętnie, jak tylko potrafił. - Szukam swojej dziewczyny. Szedł nie zatrzymując się.

- Hej, możesz ją znaleźć później! Chodź tu i zagraj!

- Chyba ją widzę! - odkrzyknął Teremon i przyśpieszył kroku, nie oglądając się za siebie.

Później był już mniej niefrasobliwy przemierzając las. Znalazł osłonięty zakątek na polanie, która robiła wrażenie mało uczęszczanej, i pod skalnym występem urządził sobie zaciszną siedzibę. W pobliżu rósł krzak, uginający się pod ciężarem jadalnych czerwonych jagód, a kiedy potrząsnął drzewem rosnącym po drugiej stronie polany, zasypało go okrągłymi żółtymi orzeszkami, które zawierały smaczny ciemny miąższ. Zlustrował niewielki strumień tuż obok rozważając, czy mógłby w nim złapać coś do jedzenia; niestety, nie znalazł nic poza maleńkimi rybkami. Zdał sobie sprawę, że nawet gdyby potrafił je złowić, musiałby spożyć na surowo, jako że nie miał niczego, co nadawałoby się do spalenia, nie mówiąc już o tym, jak zdołałby to podpalić.

Teremon wcale nie uważał życia na jagodach i orzeszkach za szczyt luksusu, ale mógł to ścierpieć przez kilka dni. Już znacznie schudł w pasie, co było jedynym pożądanym efektem całego nieszczęścia. Najlepiej pozostać tu, w ukryciu, aż sytuacja wróci do normy.

Był całkowicie pewien, że wszystko się uspokoi. Powszechna normalność musiała wrócić wcześniej czy później. Taką przynajmniej miał nadzieję. Wiedział, że on sam przebył długą drogę powrotną od chaosu, który opanował jego umysł w obliczu gwiazd.

Z każdym mijającym dniem czuł się mocniejszy, bardziej zdolny stawić czoło trudnościom. Miał wrażenie, że był już niemal dawnym sobą, może nieco niepewnym i nerwowym, ale tego należało się spodziewać. Czuł się mniej więcej normalny. Zrozumiał, że noc podziałała na niego słabiej niż na większość ludzi: był bardziej odporny psychicznie, bardziej wytrzymały, mógł lepiej znieść straszliwy wstrząs związany z tym druzgoczącym przeżyciem. Jednak inni prawdopodobnie także zaczną powracać do zdrowia, nawet ci, którzy ucierpieli bardziej niż on, i będzie można bezpiecznie wyjść, aby sprawdzić, czy ktoś coś robi dla scalenia świata na powrót.

Tymczasem postanowił znaleźć kryjówkę i nie dać się zamordować żadnemu z psychopatów biegających wokół. Niech sami się wykończą nawzajem; on później ostrożnie wyściubi nos, aby sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Nie był to plan zbyt bohaterowski, ale rozsądny.

Intrygowało go, co się stało z innymi, obecnymi w obserwatorium w momencie zaćmienia. Z Bineyem, Szirinem, Athorem. Z Siferrą.

Zwłaszcza z Siferrą.

Od czasu do czasu rozważał, czy ryzykując głowę nie wyjść z ukrycia, aby jej poszukać. Ten pomysł coraz bardziej go pociągał. Przez długie godziny samotności snuł płomienne marzenia, jak to będzie, gdy spotka Siferrę gdzieś w lesie. Oni, we dwoje, podróżujący razem przez odmieniony i groźny świat, sprzymierzeni wobec niebezpieczeństwa...

Oczywiście podobała mu się od początku. Próbował ją podejść na różne sposoby, choć wiedział, że okażą się nieskuteczne. Była piękna, ale wydawała się typem kobiety absolutnie samowystarczalnej, nie potrzebowała towarzystwa - ani mężczyzn, ani kobiet, jeśli już o to chodzi. Kilka razy udało mu się sprawić, że poszła z nim na kolację, ale przez cały czas umiejętnie i skutecznie trzymała go na bezpieczną odległość.

Teremon miał dość doświadczenia, by wiedzieć, że żadne czułe słówka, nawet w dużej ilości, nie są wystarczająco przekonujące, aby przebić się przez barierę utrzymywaną z taką determinacją. Dawno temu uznał, że nie można uwieść żadnej z kobiet naprawdę wartych zachodu; można było zaproponować im tę ewentualność, ale w końcu i tak należało zostawić uwodzenie im samym i jeżeli nie miały na to ochoty, niewiele można było zrobić, aby cokolwiek zmienić. Z Siferrą przez cały rok wszystko układało się nie po jego myśli. Zwróciła się gwałtownie przeciw niemu - miała pewne powody, jak przyznawał ze skrucą - gdy zaczął swą niefortunną kampanię wyśmiewania Athora i grupy naukowców obserwatorium.

Tuż przed nastaniem nocy wyczuł, że opór słabnie, że Siferrą zaczyna się nim interesować. Inaczej czemu zaprosiłaby go do obserwatorium w dzień zaćmienia wbrew wyraźnym zarządzeniom Athora? Tego wieczora przez krótką chwilę miał wrażenie, że zaczyna nawiązywać się między nimi nic prawdziwego porozumienia.

Lecz wtedy nadeszła Ciemność, gwiazdy, motłoch, zamęt. Potem wszystko pograżyło się w chaosie. Jednak gdyby tylko mógł ją teraz jakoś odnaleźć...

„Dobrze by nam było ze sobą - pomyślał. - Stanowilibyśmy świetny zespół - twardzi, kompetentni, nastawieni na przetrwanie. Jakakolwiek cywilizacja się wyłoni, znaleźlibyśmy w niej swoje miejsce”.

Nawet jeżeli przedtem istniała między nimi bariera psychologiczna, miał pewność, że obecnie wyda się jej zupełnie nieważna. Świat zmienił się całkowicie i ludzie też musieli się zmienić, aby przetrwać.

Jak mógł odnaleźć Siferrę? O ile się orientował, nie działały żadne łącza komunikacyjne. Była jedną z milionów, jeśli nie więcej, osób na tym terenie. Sam las zamieszkiwało obecnie prawdopodobnie wiele tysięcy ludzi, a tak naprawdę nie miał powodu zakładać, że znajdowała się w obrębie lasu. Do tej pory mogła już być sto kilometrów stąd. Mogła zginąć. Odszukanie jej było zadaniem beznadziejnym: trudniejszym niż znalezienie igły w stogu siana. Stóg rozciągał się na kilka prowincji, a igła mogła z powodzeniem oddalać się z każdą godziną. Tylko przez zupełnie ślepy traf mógł spotkać Siferrę czy w ogóle kogokolwiek ze znajomych.

Im dłużej Teremon rozważał szansę odnalezienia jej, tym te zadanie wydawało mu się mniej niemożliwe. Po pewnym czasie wyglądało już nawet na całkiem prawdopodobne.

Być może jego stale wzrastający optymizm był produktem ubocznym życia w odosobnieniu. Upływał dzień po dniu, a on nie miał nic do roboty poza spędzaniem wielu godzin na siedzeniu nad brzegiem strumienia, oglądaniu przepływających rybek - i rozmyślaniu. Kiedy bez końca rozważał ten sam problem, odszukanie Siferry stawało się kolejno z zupełnie wykluczonego niezbyt prawdopodobne, z mało prawdopodobnego trudne, z trudnego wykonalne, z wykonalnego całkiem

możliwe, a z możliwego łatwo osiągalne.

Uznał wreszcie, że powinien wrócić do lasu i zwerbować do pomocy tych, którzy potrafili działać racjonalnie. Wystarczy im powiedzieć, kogo chce znaleźć i podać rysopis. Rozesłać wiadomość wśród ludzi. Zaprząć talenty dziennikarskie. Mógł też wykorzystać swą popularność. ”Jestem Teremon 762 - zaczęłby - wie pan, ten z »Kroniki Saro«. Czy mógłby mi pan pomóc? Wynagrodzę to panu. Czy chciałby pan, aby pańskie nazwisko znalazło się w gazecie? Mam uczynić pana sławnym? Naprawdę mogę to zrobić. To nie szkodzi, że gazeta na razie się nie ukazuje. Wcześniej czy później znów zacznie wychodzić, a już moja w tym głowa, by zobaczył pan swoje zdjęcie na pierwszej stronie. Może pan na mnie liczyć. Proszę mi tylko pomóc znaleźć tę kobietę, której szukam, a... ”

- Teremor?

To był znajomy głos, wysoki i pogodny. Teremon wyrwany raptownie z marzeń rozejrzał się bacznie na wszystkie strony mrużąc oczy w blasku południowego słońca przemieszczającego się między drzew.

Szedł już od dwóch godzin, szukając osób, które zechciałyby rozpowszechnić wiadomość, aby pomóc sławnemu Teremonowi 762 z ”Kroniki Saro”. Jak dotąd napotkał zaledwie sześciu ludzi. Dwóch z nich wzięło nogi za pas, gdy tylko go ujrzeli. Trzeci nie ruszył się z miejsca. Siedział śpiąc łagodnie do swych nagich stóp. Inny przycupnąwszy na gałęzi drzewa metodycznie i z maniakałnym uporem ostrzył o siebie dwa kuchenne noże. Pozostała dwójka tylko wytrzeszczyła oczy, kiedy zakomunikował im, czego chciał; jeden zdawał się zupełnie nie rozumieć, a drugi wybuchnął dzikim śmiechem. Nie mógł oczekiwać zbyt wielkiej pomocy z ich strony. A teraz wydawało się, że to ktoś odszukał jego.

- Teremon? Tutaj! Tutaj, Teremonie! Tu jestem. Nie widzisz mnie, człowieku? Tutaj!

Teremon spojrzał w lewo, na kępę krzewów o dużych kolczastych liściach w kształcie parasola. Z początku nie zauważył nic szczególnego. Potem liście zakołysały się i rozstały, a pomiędzy nich wyszedł na światło dzienne pulchny, okrągły mężczyzna.

- Szirin? - zdumiał się Teremon.

- No, widzę że nie upadłeś na tyle, by zapomnieć moje imię.

Psycholog stracił trochę na wadze i wyglądał dziwnie, ubrany w kombinezon i znoszony sweter. Toporek o poszczerbionym ostrzu spoczywał niedbale w jego lewej dłoni. To było chyba najdziwniejsze ze wszystkiego: Szirin z siekierą! Gdyby Teremon zobaczył go z dwiema głowami lub dodatkową parą rąk, uznałby to za mniej osobliwe.

- Jak się masz, Teremonie? O bogowie, cały w łachmanach, a nie minął nawet tydzień! Podejrzewam, że ja wcale nie wyglądam lepiej. - Szirin spojrzał po sobie. - Czy zauważyłeś, jak schudłem? Dieta z liści i jagód wyszczupła, chyba zgodzisz się ze mną?

- Jeszcze sporo musisz popracować, nim nazwę cię chudym - odparł Teremon. - Wyglądasz nieźle. Jak mnie znalazłeś?

- Nie szukając. To jedyny skuteczny sposób, kiedy wszystko zależy od przypadku. Byłem w Sanktuarium, ale nikogo tam nie zastałem. Teraz zmierzam na południe, do parku Amgando. Szedłem sobie spokojnie ścieżką, która przecina las w poprzek, kiedy nagle cię zobaczyłem. - Psycholog podszedł bliżej i wyciągnął rękę. - Na Boga, Teremonie, co za radość znów ujrzeć twarz przyjaciela! Mam nadzieję, że jesteś przyjacielem? No, chyba nie mordercą?

- Nie, nie sędzę.

- Tutaj na metr kwadratowy przypada więcej pomylonych, niż oglądałem w całym swoim życiu, a widziałem ich mnóstwo, powiadam ci. - Szirin potrząsnął głową i westchnął. - Bogowie! Nigdy mi się nie śniło, że będzie tak potwornie. Pomimo mojego zawodowego doświadczenia. Tak, przypuszczałem, że będzie źle, bardzo źle, ale nie aż tak źle.

- Przewidziałeś powszechne szaleństwo - przypomniał mu Teremon. - Byłem przy tym. Słyszałem, co mówiłeś. Przewidziałeś upadek cywilizacji.

- Co innego jest coś przewidywać, a co innego być w samym środku. Teremonie, dla takiego naukowca jak ja to bardzo upokarzające zobaczyć, jak jego abstrakcyjne teorie zmieniają się w namacalną rzeczywistość. Tak się gładko i niefrasobliwie mówiło: "Jutro nie ostanie się żadne miasto na Kalgaszu". Tak głosiłem, ale był to dla mnie po prostu szereg słów, tylko zwykła filozoficzna wprawka, czysta abstrakcja. "Kres świata, który znamy". Tak, tak. - Szirin zadrżał. - I zdarzyło się dokładnie tak, jak przewidziałem. Myślę, że nie wierzyłem w swoje proroctwa aż do momentu, kiedy wszystko wokół zaczęło się walić.

- Gwiazdy - powiedział Teremon. - Nigdy nie brałeś pod uwagę gwiazd. To one były prawdziwą przyczyną katastrofy. Może oparliśmy się Ciemności, przynajmniej większość z nas, czulibyśmy się tylko nieco wstrząśnięci i zdezorientowani, ale gwiazdy... te gwiazdy...

- Czy z tobą było bardzo źle?

- Bardzo, na początku. Teraz jest już lepiej. A ty?

- Najgorszy okres przeczekalem ukryty w podziemiach obserwatorium. Prawie w ogóle nie ucierpiałem. Kiedy wyszedłem następnego dnia, cały budynek był zrujnowany. Nie potrafisz sobie wyobrazić tego pobjowiska wokół.

- Przeklęty Folimun! Ci wszyscy Apostołowie...

- Tak, oni dolali oliwy do ognia, ale pożar wybuchłby i bez nich.

- Co się stało z ludźmi z obserwatorium? Athorem, Bineyem i resztą? Co z Siferrą...?

- Nie widziałem nikogo z nich, ale nie znalazłem też ich ciał, kiedy rozglądałem się po budynku. Może uciekli. Natknąłem się jedynie na Imota. Pamiętasz go? Jeden ze studentów, wysoki, niezgrabny? Też się ukrył. - Szirin spochmurniał. - Podróżowaliśmy razem przez parę dni, dopóki nie został zabity.

- Zabity?

- Przez małą dziewczynkę, dziesięcio, może dwunastoletnią. Z nożem. Rozkoszne dziecko. Śmiejąc się podeszła prosto do niego i dźgnęła bez ostrzeżenia. Potem pobiegła dalej, wciąż się śmiejąc.

- O bogowie!

- Bogowie są teraz głusi, Teremonie. Jeśli oczywiście kiedykolwiek istnieli.

- Nie wierzę w to... Gdzie mieszkałeś, Szirinie?

- Tu i tam. - Psycholog spojrział niepewnie. - Wpierw wróciłem do swego mieszkania, ale cała dzielnica została spalona. Nic nie ocalało, tylko gołe ściany. Przespałem się w ruinach. Imot był ze mną. Następnego dnia wyruszyliśmy do Sanktuarium, ale nie sposób było do niego dotrzeć. W mieście szalały pożary, a tam, gdzie wygasły, pozostawały zwały gruzów, przez które nie można się było przebić. Zupełnie jakby toczyła się wojna. Nadłożyliśmy więc drogi, idąc z powrotem na południe, do lasu. Tam zginął Imot. Chyba najbardziej nienormalni poszli właśnie do lasu.

- Wszyscy tam poszli - rzekł Teremon. - Las jest trudniej puścić z dymem niż miasto... Mówiłeś, że kiedy w końcu trafiłeś do Sanktuarium, znalazłeś je opuszczone?

- To prawda. Dotarłem tam wczoraj po południu i zastałem wrota szeroko otwarte. Zewnętrzna i wewnętrzna brama, a także właściwe wejście do podziemi nie były zamknięte. Wszyscy odeszli. Na drzwiach wisiała przypięta wiadomość od Bineya.

- Od Bineya! A więc Bineyowi udało się bezpiecznie dotrzeć do Sanktuarium.

- Najwidoczniej - przytaknął Szirin. - Dzień, może dwa przede mną. Z wiadomości wynikało, że zdecydowano ewakuować Sanktuarium i wyruszyć do Amgando, gdzie grupka ludzi z południowych prowincji próbuje stworzyć tymczasowy ośrodek władzy. Kiedy Biney dotarł do Sanktuarium, była tam już tylko moja siostrzenica Raissa, która najwyraźniej na niego czekała. Oboje również wyruszyli do rezerwatu. Ja też się tam kieruję. Wiesz, moja przyjaciółka, Liliat, była w Sanktuarium. Przypuszczam, że teraz wraz z innymi zmierza do Amgando.

- To brzmi niedorzecznie - zdziwił się Teremon. - W Sanktuarium było bezpieczniej niż gdziekolwiek indziej. Czemu, u diabła, mieliby wychodzić na zewnątrz, gdzie panuje ten obłądny chaos, i maszerować setki kilometrów do jakiegoś Amgando?

- Nie wiem. Musieli mieć powody. W każdym razie ty i ja nie mamy wyboru. Chyba zgodzisz się ze mną? Wszyscy, którzy pozostali przy zdrowych zmysłach, tam się gromadzą. Możemy zostać tu i czekać, aż ktoś posieka nas na kawałki, tak jak tamto koszarne dziecko zadźgało Imota, albo zaryzykować i spróbować dostać się do rezerwatu. Tutaj jesteśmy nieuchronnie spisani na straty, czeka to nas wcześniej czy później. Jeśli dotrzemy do Amgando - będziemy ocaleni.

- Czy wiesz coś o Siferze? - zapytał Teremon.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Chciałbym ją odnaleźć.

- Może też wyruszyła do Amgando. Jeśli spotkała gdzieś po drodze Bineya, na pewno jej powiedział, gdzie wszyscy poszli i...

- Dlaczego sądzisz, że tak się mogło stać?

- To tylko domysły, Teremonie.

- Ja przypuszczam, że nadal jest gdzieś tu, w pobliżu. Chcę spróbować ją odszukać.

- Nie masz szans...

- Ty jednak mnie znalazłeś, prawda?

- Zwykły przypadek. Szansę na to, że zdołasz ją odszukać w ten sam sposób...

- Są całkiem spore - przerwał Teremon. - W każdym razie tak wolę myśleć. Nieważne, zamierzam spróbować. Mogę zawsze mieć nadzieję na dotarcie do Amgando później, z Siferrą.

Szirin posłał mu przeciągłe spojrzenie, ale się nie odezwał.

- Myślisz, że zwariowałem? - ciągnął Teremon. - Cóż, może.

- Tego nie powiedziałem. Uważam jedynie, że na próżno nadstawiasz karku. Tu jest dżungla. Zaczyna królować barbarzyństwo i jak widzę, z upływem czasu nic się nie zmienia na lepsze. Teremonie, chodź ze mną na południe. Za dwie, trzy godziny będziemy daleko stąd, a droga do Amgando jest tylko...

- Mówię poważnie, najpierw poszukam Siferry - powtórzył Teremon z uporem.

- Zapomnij o niej.

- Nie zamierzam. Zostanę tu i będę jej szukał.

- Dobrze, zostań więc. - Szirin wzruszył ramionami. - Ja się wynoszę. Widziałem, jak mała dziewczynka zasztyletowała Imota - pamiętaj, na moich oczach, nie więcej niż dwieście metrów ode mnie! Tu jest dla mnie zbyt niebezpiecznie.

- A przypuszczasz, że wędrówka w pojedynkę pięćset czy sześćset kilometrów nie jest niebezpieczna? Psycholog zważył w dłoniach toporek.

- Użyję tego, jeśli będę musiał.

Teremon powstrzymał się od śmiechu. Szirin, człowiek łagodny aż do przesady, miałby się bronić siekierą? Trudno było ten pomysł brać poważnie.

- Życzę ci dużo szczęścia - rzekł po chwili.

- Naprawdę chcesz zostać?

- Tak, dopóki nie znajdę Siferry. Szirin przyjrzał mu się ze smutkiem.

- Zatrzymaj więc szczęście, które mi ofiarowałaś. Myślę, że będziesz potrzebował go bardziej niż ja. Odwrócił się i bez słowa odszedł ciężkim krokiem.

Przez trzy dni - a może raczej cztery, poczucie upływu czasu się zacierało - Siferra szła na południe, przedzierając się przez las. Nie miała żadnych planów poza tym, że chciała zostać przy życiu.

Nonsensem było próbować wrócić do własnego mieszkania. Miasto prawdopodobnie wciąż płonęło. Niska powłoka dymu wisiała w powietrzu, gdziekolwiek się obejrzeć, a niekiedy dostrzec można było długie czerwone języki ognia liżące niebo na horyzoncie. Siferra miała wrażenie, jakby codziennie wzniesano nowe pożary. To oznaczało, że szaleństwo wcale nie zaczynało jeszcze wygasać.

Jej umysł stopniowo powracał do prawidłowego stanu, z dnia na dzień wszystko się rozjaśniało, zyskiwało wreszcie przejrzystość, jak gdyby budziła się z jakiejś straszliwej gorączki. Miała niemiłą świadomość tego, że nie jest jeszcze w pełni sobą - poradzenie sobie z jakimkolwiek ciągiem myśli stanowiło dla niej żmudne przedsięwzięcie i szybko gubiła się w ich płątaniu. Jednak była pewna, że wkroczyła już na ścieżkę wiodącą z powrotem ku normalności.

Inni najwyraźniej w ogóle nie powracali do zdrowia. Pomimo iż Siferra starała się trzymać na osobności, od czasu do czasu napotykała różnych ludzi i większość z nich wydawała się pogrążona w obłędzie: szlochali, jęczeli, wybuchali dzikim śmiechem, miotali piorunujące spojrzenia, tarzali się po ziemi. Zgodnie z przewidywaniami Szirina niektórzy doznali tak silnych urazów psychicznych w czasie katastrofy, że najprawdopodobniej już nigdy nie będą normalni. Siferra zrozumiała, że ludzkość pogrążyła się w barbarzyństwie albo nawet jeszcze czymś gorszym. Szaleni niechybnie wzniesają pożary dla zabawy. Zabijają też tylko z tego powodu.

Dlatego poruszała się bardzo ostrożnie. Nie dążąc do żadnego konkretnego miejsca, szła przez las na południe, odpoczywając tam, gdzie znalazła świeżą wodę. Nigdy nie wypuszczała z ręki pałki, którą znalazła w wieczór zaćmienia. Jadła wszystko, co znalazła, o ile wyglądało na jadalne - nasiona, orzechy, owoce, a nawet liście i korę.

19 - Nastanie nocy 2.07

Nie była to jednak najlepsza dieta. Wiedziała, że jest dostatecznie odporna fizycznie, aby przetrwać z tydzień na takich improwizowanych racjach, ale potem zacznie odczuwać tego skutki. Już teraz straciła parę zbędnych kilogramów, a siły zaczynały ją powoli opuszczać. Także zapas jagód i owoców wciąż się kurczył, i to bardzo gwałtownie, w miarę jak zbierały je tysiące nowych, wygłodniałych mieszkańców lasu.

Potem, chyba czwartego dnia - jak jej się zdawało - przypomniała sobie o Sanktuarium.

Uświadomiła sobie, że wcale nie musiała tyle czasu żyć jak jaskiniowiec.

Oczywiście! Jak mogła być tak głupia? Dosłownie parę kilometrów stąd kilkuset pracowników

uniwersytetu przebywało w bezpiecznym ukryciu, w zaciszu komory starego akceleratora, pijąc butelkowaną wodę i zjadając się żywnością z puszek, które gromadzili przez ostatnie parę miesięcy. A ona ukrywała się w tym lesie pełnym szaleńców, grzebiąc się w kurzu i błocie w poszukiwaniu marnej strawy, patrząc wygłodniałym wzrokiem na małe leśne zwierzątka skaczące wysoko po gałęziach drzew! Co za absurd!

Pójdzie do Sanktuarium. Na pewno znajdzie sposób na przekonanie ich, aby przyjęli ją do siebie. "Ale mnie te gwiazdy otumaniły! - pomyślała. - Tak długo nie mogłam sobie przypomnieć o istnieniu Sanktuarium!"

Spostrzegła teraz, że ostatnie kilka dni strawiła na podróży dokładnie w odwrotną stronę. "Wielka szkoda - przemknęło jej przez myśl - że ten pomysł nie przyszedł mi wcześniej do głowy".

Na wprost niej rozciągał się łańcuch stromych Wzgórz Onosa ograniczających las od południa. Spojrzawszy w górę zobaczyła poczerniałe ruiny położonych na samym szczycie wzgórz luksusowych budynków, rysujących się przed nią niczym ciemna, wysoka ściana. Jeśli dobrze pamiętała, Sanktuarium leżało w zupełnie przeciwnym kierunku, w połowie drogi pomiędzy terenem uniwersyteckim a Saro, przy szosie biegnącej wzdłuż północnej granicy lasu.

Powrót do przeciwległego krańca lasu zajął jej półtora dnia. Podczas wędrówki dwukrotnie musiała użyć pałki, by się obronić. Miała też trzy niegroźne, ale mimo to nerwowe spotkania z młodymi mężczyznami, którzy taksowali ją wzrokiem oceniając, czy dałoby się ją poderwać. A raz niespodziewanie natknęła się na zagajnik, gdzie pięciu wychudzonych mężczyzn o dzikich oczach chodziło rytmicznie w ciasnym kręgu, zamierzając się na siebie nożami, zupełnie niczym tancerze odprawiający jakiś dziwny, starodawny rytuał. Uciekła stamtąd ile sił w nogach.

W końcu ujrzała przed sobą, tuż na skraju lasu, szeroką szosę - Drogę Uniwersytecką. Jeśli pójdzie na północ tą szosą, znajdzie nie rzucającą się w oczy wiejską dróżkę prowadzącą do Sanktuarium.

Tak, odnalazła ją. Ukrytą, niepozorną, porośniętą po obu stronach kępami chwastów i gęstą trawą, której kłosa właśnie dojrzewały.

Było późne popołudnie. Onos już zachodził, a zimne i bezlitosne światło Tano i Sithy rzucało ostre cienie na ziemię, która wydawała się lodowata mimo ciepła panującego w powietrzu. Małe czerwone oko Dovima poruszało się po północnych krańcach nieboskłonu wciąż bardzo dalekie i niedostępne.

Siferra zastanawiała się, co stało się z niewidocznym Kalgaszem Dwa. Najwyraźniej wykonał swe straszliwe zadanie i ruszył w dalszą drogę. Mógł się już znajdować o miliony kilometrów stąd, oddalając się od Kalgasza po swojej długiej orbicie, mknąc wciąż naprzód poprzez czarną pustkę, by powrócić dopiero za następne dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat. "I tak zdarzy się to przynajmniej o dwa miliony lat za wcześniej" - pomyślała gorzko Siferra.

Zobaczyła tabliczkę z napisem:

**WŁASNOŚĆ PRYWATNA WSTĘP WZBRONIONY ZARZĄDZENIE RADY UCZELNIANEJ
UNIwersytetu SARYJSKIEGO A za nią następną, jaskrawoczerwoną:**

**!!! UWAGA!!! URZĄDZENIA BADAWCZE POD WYSOKIM NAPIĘCIEM WEJŚCIE
WZBRONIONE** W porządku. Idzie więc dobrą drogą.

Siferra nigdy nie była w Sanktuarium, nawet w czasach, gdy mieściło się tam jeszcze laboratorium fizyki, ale wiedziała, czego się spodziewać: szereg bram, a potem stanowisko skanera, które podda kontroli każdego, kto zdołał dostać się aż tak daleko. Po paru minutach dotarła do

pierwszej dwuskrzydłowej bramy, dwa razy wyższej od niej. Była to solidna konstrukcja z ciasno plecionej siatki metalowej. Groźnie wyglądający parkan z drutu kolczastego rozchodził się w obu kierunkach i nikał w gąszczu krzewów, które bujnie się tu rozrosły.

Brama była otwarta na oścież.

Siferra przyglądała się jej zdziwiona. Czy to złudzenie? Jakiś figiel jej odurzonego umysłu? Nie, nie. Brama rzeczywiście stała otworem. Nie ulegało wątpliwości, że to właściwe wejście. Zauważyła na siatce symbol Straży Uniwersyteckiej. Ale dlaczego brama była otwarta? Nic nie wskazywało na to, aby ją wyważono.

Zaniepokojona przeszła na drugą stronę.

Dalsza droga była zarośniętą ścieżką, pokrytą głębokimi bruzdami i wyrwami. Siferra podążyła jej brzegiem i już po chwili zobaczyła wewnętrzne ogrodzenie, które w tym miejscu nie było jedynie parkanem z drutu kolczastego, ale solidną betonową ścianą bez żadnych otworów, robiącą wrażenie zapory nie do sforsowania.

Jedyny w niej wyłom stanowiła brama z ciemnego metalu, z osadzonym wyżej skanerem.

I ta brama była otwarta.

Coraz dziwniejsze! Co się stało z całym zabezpieczeniem, które - jak się chełpiono - miało odgrodzić Sanktuarium od powszechnego szaleństwa?

Weszła do środka. Wszędzie panował całkowity spokój. Przed nią widniały jakieś podniszczone szopy i budynki gospodarcze. Być może wejście do samego Sanktuarium - Siferra wiedziała, że był to wylot podziemnego tunelu - leżało za nimi. Obeszła zabudowania dookoła.

Tak, było tam wejście do Sanktuarium, owalne drzwi wpuszczone w ziemię, z ciemnym korytarzem w głębi.

Było tam także kilkunastu ludzi. Stali przed drzwiami i lustrowali ją chłodnym, nieprzyjaznym wzrokiem. Wszyscy mieli kawałki jaskrawozielonego materiału zawiązane pod szyją, coś w rodzaju chust. Nie rozpoznała żadnego z tych ludzi. O ile mogła to ocenić, żaden nie był pracownikiem uniwersytetu.

Tuż na lewo od drzwi płonęło małe ognisko. Obok leżał stos porąbanych, starannie ułożonych drewn, wszystkie kawałki uporządkowane były pod względem wielkości z zadziwiającą precyzją i troską. Bardziej przypominało to makietę drobiazgowego architekta niż stos drewna.

Ogarnął ją paniczny strach. Nic nie rozumiała. Dokąd przyszła? Czy to naprawdę Sanktuarium? Kim byli ci ludzie?

- Nie ruszaj się z miejsca - powiedział mężczyzna stojący na czele grupy. Mówił cicho, ale było coś bezczelnie władczego w jego tonie. - Podnieś ręce do góry.

Trzymał w dłoni mały, lśniący punktowiec. Celował dokładnie w jej serce.

Siferra bez słowa spełniła rozkaz. Mężczyzna miał około pięćdziesięciu lat, silną, imponującą sylwetkę i zapewne był tu przywódcą. Jego ubranie wyglądało na kosztowne, a ze sposobu bycia przebijał spokój i pewność siebie. Zielona chusta na jego szyi miała połysk naturalnego jedwabiu.

- Kim jesteś? - zapytał, trzymając broń wycelowaną prosto w nią.

- Siferra 89, doktor archeologii z Uniwersytetu Saryjskiego.

- No, pięknie. Czy pani doktor zamierza prowadzić tu jakieś badania archeologiczne?

Inni zarechotali, jakby powiedział coś niezwykle zabawnego.

- Usiłuję znaleźć Sanktuarium - odpowiedziała Siferra. - Czy może mi pan powiedzieć, gdzie ono się znajduje?

- Myślę, że to może być właśnie tutaj. Wszyscy ludzie z uniwersytetu uciekli kilka dni temu. Teraz jest to siedziba Straży Ogniowej Prowincji Saro... Niech mi pani powie, czy ma pani ze sobą jakieś środki łatwopalne?

- Środki łatwopalne?

- Zapalki, zapalniczkę, mały generator, cokolwiek, czego można by użyć do rozpalenia ognia.

- Nic z tych rzeczy. - Siferra potrząsnęła głową.

- Rozniecanie ognia jest zabronione przez paragraf pierwszy Kodeksu Wyjątkowego. Jeśli ktoś naruszy ten paragraf, poniesie surową karę.

Siferra patrzyła na niego nic nie rozumiejąc. O czym on mówił?

- Altinolu, nie ufam jej - odezwał się chudy mężczyzna o ziemistej cerze stojący obok przywódcy.

- To właśnie ci uczeni z uniwersytetu wszystko zaczęli. Stawiam dwa do jednego, że ona chowa coś pod ubraniem tak, że tego nie widać.

- Nie mam przy sobie nic do rozpalania ognia - zniecierpliwiła się Siferra.

- Może tak, a może nie. - Altinol pokiwał głową. - Nie będziemy ryzykować, pani doktor. Niech się pani rozbiera.

Siferra spojrzała na niego zdumiona.

- Co pan powiedział?

- Niech się pani rozbierze. Zdejmie swoje ubranie. Dowiedzie, że nie ukrywa przy sobie żadnych nielegalnych narzędzi.

Siferra uniosła pałkę, gładząc niepewnie ręką jej trzonek.

- Chwileczkę - powiedziała otwierając szeroko oczy ze zdumienia. - Nie możecie tego mówić serio.

- Paragraf drugi Kodeksu Wyjątkowego: straż ogniowa ma prawo podejmować wszelkie środki, które okażą się konieczne, aby zapobiec nielegalnemu wzniesieniu ognia. Paragraf trzeci: może to obejmować natychmiastową i doraźną egzekucję tych, którzy sprzeciwiają się poleceniom straży ogniowej. Proszę się rozbierać, pani doktor. I to szybko.

Skinął punktowcem. Ten gest był bardzo wymowny. Siferra wciąż jednak stała bez ruchu. Nie mogła otrząsnąć się ze zdziwienia.

- Kim jesteście? Co ma znaczyć ta straż ogniowa?

- Jesteśmy członkami straży obywatelskiej, pani doktor. Usiłujemy przywrócić w Saro prawo i porządek po katastrofie. Chyba zdaje sobie pani sprawę z tego, że miasto jest zniszczone. A może pani o tym nie wie? Pożary ciągle się rozprzestrzeniają, a dawna straż pożarna już nie funkcjonuje. I może pani nie zauważyła, że cała prowincja jest pełna szalonych ludzi, którym wydaje się, że nie mieliśmy jeszcze dostatecznie dużo pożarów, więc ciągle rozpalają nowe. Tak dłużej być nie może. Zamierzamy powstrzymać podpalaczy wszelkimi możliwymi sposobami. Jest pani podejrzana o posiadanie środków łatwopalnych. Postawiono zarzut i ma pani sześćdziesiąt sekund, aby się z niego oczyścić. Gdybym był na pani miejscu, zacząłbym zdejmować ubranie, pani doktor.

Siferra widziała, jak po cichu odlicza sekundy.

Rozebrać się? Przed obcymi?! Narastała w niej dzika furia na myśl o takim poniżeniu. Większość z tych ludzi stanowili mężczyźni. Nawet nie usiłowali ukryć swej niecierpliwości. Nie miało to nic wspólnego z podejmowaniem środków ostrożności pomimo groźnie brzmiących cytatów z Kodeksu Wyjątkowego. Oni chcieli po prostu obejrzeć jej ciało i dysponowali siłą, aby ją do tego zmusić. To było nie do zniesienia!

Ale już po chwili poczuła, jak jej oburzenie gdzieś się ulatnia.

„Jakie to ma znaczenie? - pomyślała ze znużeniem. - Świat się skończył. Skromność to luksus, na który pozwalali sobie jedynie ludzie cywilizowani, a cywilizacja jest pojęciem przestarzałym”.

W każdym razie rozkaz był jednoznaczny, pod groźbą broni. Zawędrowała w miejsce odosobnione, położone daleko przy wiejskiej drodze. Nikt nie przyjdzie jej tu z pomocą. Sekundy płynęły, a Altinol najwyraźniej nie żartował.

Nie warto było umierać jedynie po to, aby ukryć przed nimi swe ciało.

Cisnęła pałkę na ziemię.

W bezsilnym gniewie, ale nie pozwalając sobie na żadne jawne okazanie wściekłości, zaczęła stopniowo zdejmować części swojej garderoby i rzucać je obok na ziemię.

- Bieliznę również? - spytała złośliwie.

- Wszystko.

- Czy wygląda na to, abym tam miała schowaną zapalniczkę?

- Zostało już tylko dwadzieścia sekund, pani doktor. Siferra rzuciła mu pełne nienawiści spojrzenie i już bez słowa rozebrała się do naga.

Teraz, gdy to zrobiła, zadziwiająco łatwo było stać nago przed tymi obcymi. W ogóle jej to nie obchodziło. Uświadomiła sobie, że to była zasadnicza zmiana, która zaszła w niej wraz z końcem świata. Nic jej nie obchodziło. Wyprostowała się, i stała tak, wysoka, niemal wyzywająco odsłonięta, czekając, co też oni dalej zrobią. Altinol patrzył uważnie na jej ciało z chłodną pewnością siebie. Zorientowała się, że nawet to jej nie obchodzi. Wszystko się w niej do cna wypaliło, pozostała jedynie obojętność.

- W porządku, pani doktor - rzekł w końcu Altinol.

- Dziękuję - odparła Siferra lodowatym tonem. - Czy teraz mogę się już ubrać?

- Oczywiście - zgodził się wspaniałomyślnie. - Przepraszam za kłopot. Musieliśmy być zupełnie pewni. - Wsunął punktowiec za pasek i stał z założonymi rękoma, obserwując bez większego zainteresowania, jak się ubiera. Potem zagadnął: - Zapewne myśli pani, że wpadła w ręce dzikusów, prawda, pani doktor?

- Czy naprawdę interesuje pana, co myślę?

- Mogła się pani przekonać, że nie pożeraliśmy jej wzrokiem, nie śliniliśmy się ani też nie zmoczyliśmy ubrań, gdy pani... hm... demonstrowała, że nie ukrywa żadnych środków mogących wzniecić ogień. Nikt też nie usiłował napastować pani w jakikolwiek sposób.

- To rzeczywiście niezmiernie miło z waszej strony.

- Podkreślam to - ciągnął Altinol - mimo iż zdaję sobie sprawę, że teraz jest pani zła i myśli o nas niepochlebnie. Chcę jednak, by pani wiedziała, że stanowimy być może ostatni bastion cywilizacji na tym zapomnianym przez bogów świecie. Nie wiem, gdzie się podziiali nasi ukochani przywódcy państwowi i oczywiście nie uważam, aby umiłowani bracia. Apostołowie Płomieni, byli w jakimkolwiek stopniu cywilizowani, a pani koledzy uniwersyteccy, którzy się tu ukrywali, odeszli. Wszyscy pozostali zdają się pozbawieni rozumu. Oczywiście nie licząc nas i pani, pani doktor.

- Bardzo mi pan pochlebia, uważając mnie za wyjątek.

- Nigdy nikomu nie schlebiam. Sądząc po pani wyglądzie wnioskuję, że zniosła pani Ciemność, gwiazdy i katastrofę lepiej niż większość. Chciałbym wiedzieć, czy jest pani zainteresowana pozostaniem tutaj jako członek naszej grupy. Potrzebujemy takich ludzi jak pani.

- Co pan ma na myśli? Mam czyścić podłogi? Gotować dla was zupę?

Altinol jakby nie zauważył jej sarkazmu.

- Chodzi mi o pomoc w walce o przetrwanie cywilizacji, pani doktor. Nie chciałbym, aby to zabrzmiało górnolotnie, ale uważamy, że mamy do wypełnienia świętą misję. Dzień po dniu przeczesujemy ten dom wariatów, który jest za parkanem, rozbijając pomyślników, odbierając im sprzęt do wzniesienia pożarów, zachowując wyłącznie dla siebie prawo do rozpalania ognia. Nie możemy ugasić pożarów, które już płoną, przynajmniej jeszcze nie teraz, ale robimy wszystko co w naszej mocy, aby zapobiec wzniesaniu nowych. Na tym właśnie polega nasza misja, pani doktor. Przejmujemy kontrolę nad używaniem ognia. To jest pierwszy krok, aby uczynić świat ponownie nadającym się do życia. Wydaje się pani dostatecznie zdrowa, aby do nas dołączyć, i dlatego panią zapraszam. Co pani na to? Czy chce pani być członkiem straży ogniowej? Czy może raczej z powrotem próbuje pani szczęścia w lesie?

Ranek był mglisty i chłodny. Kłęby mgły spowijały zrujnowane ulice zasłoną tak nieprzeniknioną, że Szirin nie potrafił powiedzieć, które słońca świeciły na niebie. Na pewno Onos, ale jego złociste promienie były rozproszone i skryte za gęstym tumanem. Skrawek nieco jaśniejszego nieba na południowym zachodzie wskazywał na obecność jednej z dwóch par bliźniaczych słońc, ale czy były to Sitha i Tano, czy też Patru i Trey, nie potrafił rozpoznać.

Był bardzo zmęczony. Już dostatecznie jasno zrozumiał, że zamiar przebycia samotnie, na piechotę, setek kilometrów dzielących Saro od Parku Narodowego Amgando, był czystym absurdem.

Przeklęty Teremon! Razem mieliby chociaż szansę. Dziennikarz był jednak niewzruszony w swym postanowieniu, że jakoś odnajdzie Siferre w tym lesie. A czy to nie był czysty absurd?!

Szirin spojrzął przed siebie, próbując przebić wzrokiem mgłę. Potrzebował miejsca na odpoczynek. Potrzebował czegoś nadającego się do zjedzenia, może także ubrania na zmianę, a już na pewno musiał się umyć. Nigdy w życiu nie był tak brudny. Ani tak głodny. Tak zmęczony. I tak zniechęcony.

Od pierwszej chwili, gdy usłyszał od Bineya i Athora, iż nadejście Ciemności jest prawdopodobne, Szirin popadał z jednej skrajności w drugą, od nadziei do rozpacz i znów do nadziei. To patrzył w przyszłość z wiarą, to ze zgrozą. Rozum i doświadczenie podpowiadały mu jedno, a wrodzony optymizm, będący główną cechą jego prężnej osobowości, zupełnie co innego.

„Być może Biney i Athor są w błędzie i astronomiczny kataklizm w ogóle się nie zdarzy”.

„Nie, kataklizm zdarzy się z całą pewnością”.

„Ciemność, wbrew moim własnym wstrząsającym przeżyciom w Tunelu Tajemnic dwa lata temu, okaże się nie aż tak trudna do zniesienia, gdyby nawet rzeczywiście nadeszła”.

„Błąd. Ciemność spowoduje powszechne szaleństwo”.

„Szaleństwo będzie tylko chwilowe, krótki okres dezorientacji”.

„Większość ludzi oszaleje całkowicie i trwale”.

„Świat zostanie sparaliżowany na kilka godzin, a potem wszystko wróci do normy”.

„Świat ulegnie zagładzie w chaosie, który nastąpi po zaćmieniu”.

I tak w kółko. I jeszcze raz. W górę i w dół. I znowu. Dwóch Szirinów pogrążonych w nie kończącej się debacie.

Obecnie był w najgorszej fazie tego cyklu i wyglądało na to, że w niej pozostanie, biedny i nieszczęśliwy. Jego energia i optymizm gdzieś się ulotniły, skonfrontowane z tym, co zobaczył w czasie swej kilkudniowej wędrówki. Miną dekady, może nawet sto lat lub więcej, zanim wszystko wróci do normalności. Uraz psychiczny, jakiego doznała ludzkość, był zbyt głęboki, a okaleczenia i

zniszczenia żywej tkanki społeczeństwa zbyt rozległe. Świat, który kochał, został zwyciężony przez Ciemność i zdruzgotany bezpowrotnie. To była jego opinia, opinia eksperta, i nie widział powodu, aby w nią wątpić.

Upływał właśnie trzeci dzień od czasu, gdy zostawił w lesie Teremona i pomaszerował, zawiadując jak zwykle, do Amgando. Teraz trudno było odzyskać tę beztróskę. Udało mu się cało wydostać z lasu, choć przeżył chwile strachu; musiał wymachiwać toporkiem i wyglądać przy tym groźnie i wojowniczo - totalny blef z jego strony, ale skutkowało - a mniej więcej od wczoraj posuwał się mozolnie przez ładne niegdyś przedmieścia.

Wszystko wokół strawił ogień. Całe osiedla były zniszczone i opuszczone. Wiele budynków wciąż się tliło.

Główna autostrada biegnąca do południowych prowincji zaczynała się kilka kilometrów za miejskim parkiem - parę minut jazdy samochodem. Ale Szirin szedł na piechotę. Potwornie męczące podejście z lasu na wyniosłe Wzgórza Onosa przebył praktycznie na czworakach, przedzierając się przez zarośla. Pokonanie tej ledwie kilkusetmetrowej różnicy poziomów zajęło mu całe pół dnia.

Znalazłszy się na szczycie zobaczył, że był to raczej płaskowyż niż wzgórze, rozciągający się przed nim aż po horyzont. Chociaż szedł i szedł bez końca, nie mógł dojść do autostrady.

Czy obrał właściwy kierunek?

Niewątpliwie tak. Od czasu do czasu mijał na rogu ulic znak drogowy informujący go, że zdąża w stronę Wielkiej Autostrady Południowej. W takim razie jak daleko się znajdowała? Tego znaki nie mówiły. Co dziesięć, dwanaście przecznic napotykał kolejny znak, to było wszystko. Kontynuował więc wędrówkę. Nie miał wyboru.

Dotarcie do autostrady stanowić będzie dopiero pierwszy krok na drodze do Amgando. Kiedy zdoła to uczynić, w zasadzie nadal jeszcze będzie w Saro. Co wtedy? Iść dalej? A co innego miał robić? Trudno będzie złapać okazję. Było mało prawdopodobne, by gdzieś jeszcze jeździły samochody. Stacje benzynowe z pewnością opróżniono już wiele dni temu, o ile nie spalono ich wcześniej. Ile czasu może mu zająć dostanie się pieszo do Amgando? Tygodnie? Miesiące? Nie... to potrwa dużo krócej. Umrze z głodu na długo przedtem, nim znajdzie się choćby w pobliżu rezerwatu.

Nawet jeśli tak miał skończyć, musiał iść naprzód. Bez poczucia celu był skończony od razu i wiedział o tym.

Od zaćmienia minął chyba tydzień, może więcej. Szirin zaczynał tracić poczucie czasu. Już nie jadł ani nie spał regularnie, a był zawsze człowiekiem niezwykle systematycznym. Słońca pojawiały się i znikwały, światło stawało się jaśniejsze lub ciemniejsze, było cieplej lub zimniej - czas upływał, ale nie następowały po sobie śniadania, obiady, kolacje i sen. Szirin pozbawiony tych punktów orientacyjnych zagubił się w czasie. Czuł jedynie, że gwałtownie traci siły.

Nie jadł normalnego posiłku od dnia zaćmienia. Od chwili nastania Ciemności żywił się czymś, co uważał za resztki i odpadki - trochę owoców zerwanych z jakiegoś drzewa, niedojrzałe nasiona, o ile nie wyglądały na trujące, żdźbła traw, cokolwiek. Nie pochorował się, o dziwo, ale też nie wracały mu siły. Wartość odżywcza tego pokarmu musiała być bliska zeru. Ubranie - łachmany całe w strzępach - wisiało na nim niczym śmiertelna koszula. Nie ośmielał się pod nie zajrzeć. Wyobrażał sobie skórę zwisającą w luźnych fałdach na wystających kościach. Gardło miał przez cały czas wyschnięte, język wydawał się spuchnięty, przeraźliwie pulsowało mu w skroniach. Nieustannie czuł dziwne, mdlące ssanie w żołądku.

„Cóż, musiał istnieć jakiś powód, dla którego przez tyle lat z takim zapalem poświęcałem się

budowaniu grubej warstwy tłuszczu - powtarzał sobie w przyływach optymizmu. - Teraz wiem już, co to był za powód”.

Jednak chwile optymizmu stawały się z każdym dniem coraz rzadsze. Głód zbierał swe żniwo. Szirin rozumiał, że dłużej tak nie pociągnie. Był potężnej postury; przywykł do regularnych posiłków, i to dość obfitych. Mógł przez pewien czas żyć kosztem zgromadzonych zapasów, ale w końcu stanie się zbyt słaby, aby iść. Już wkrótce może uznać, że łatwiej przycupnąć za jakimś krzakiem i odpocząć wreszcie, odpoczywać bez końca...

Musiał znaleźć coś do jedzenia. I to szybko.

Okolica, w której się znalazł, chociaż wyludniona jak inne, robiła wrażenie nieco mniej zdewastowanej. Tu także widział ślady pożarów, ale płomienie nie uczyniły większych szkód, tylko liznęły niektóre budynki. Szirin wytrwale szedł od jednego domu do drugiego, próbując wejść do tych, które nie wydawały się zniszczone.

Zamknięte. Wszystkie, co do jednego.

„Jakże pedantycznie działali ci ludzie! - myślał. - Jakże starannie. Świat na ich oczach walił się w gruzy, a oni opuszczając swe mieszkania w panicznym strachu, uciekając do lasu, miasta, uniwersytetu czy Bóg wie gdzie, zadają sobie trud, aby - zanim odejdą - dokładnie zamknąć drzwi na klucz! Jak gdyby zamierzali zwyczajnie wyjechać na wycieczkę na czas trwania chaosu, a potem wrócić do domu, do swych książek, mebli, szaf pełnych eleganckich ubrań, ogrodów, tarasów. Czy nie zdawali sobie sprawy, że wszystko się skończyło, że chaos będzie trwał wiecznie?”

Następne drzwi też okazały się zamknięte.

„Być może wcale nie uciekli - pomyślał Szirin posepnie. - Są tam, ukryci za tymi zamkniętymi drzwiami, skuleni w piwnicy, tak jak ja wcześniej, czekają, aż wszystko na powrót się unormuje. Lub też spoglądają na mnie z górnych okien, mając nadzieję, że sobie pójdę”.

Spróbował otworzyć kolejne drzwi. Jeszcze jedno. I następne. Wszystkie zamknięte. Żadnego odzewu.

- Hej! Czy jest ktoś w tym domu? Wpuście mnie!

Cisza.

Przyglądał się niewesoło masywnym drewnianym drzwiom. Wyobrażał sobie skarby ukryte za nimi: nie zepsutą żywność czekającą na zjedzenie, wannę, miękkie łóżko. Lecz znajdował się na zewnątrz i nie widział sposobu, jak się dostać do środka. Czuł się trochę jak chłopczyk z bajki, któremu dano magiczny klucz do rajskiego ogrodu, gdzie tryskały fontanny miodu, a na każdym krzaku rosły cukierki, ale który był za mały, aby dosięgnąć dziurki od klucza. Szirinowi chciało się płakać.

Wtedy zdał sobie sprawę, że miał toporek. Wybuchnął śmiechem. Głód pewnie sprawił, że przestał myśleć logicznie! W tamtej bajce chłopczyk cierpliwie ofiarowywał swoje rękawiczki, buty i wełnianą czapkę różnym przechodzącym zwierzętom w zamian za ich pomoc, w końcu jedno weszło na grzbiet drugiego, a chłopczyk wdrapał się na szczyt żywej piramidy i włożył klucz do dziurki. A oto nie taki znowu mały Szirin stał przed zamkniętymi drzwiami, w ręku zaś miał siekiere.

Rozbić drzwi? Tak po prostu rozbić?

To było sprzeczne ze wszystkim, co uważał za słuszne i właściwe.

Zerknął na toporek, jakby to narzędzie w jego dłoniach zamieniło się w węża. Rozbić drzwi - toż to było włamanie! Jak on, Szirin 501, profesor psychologii Uniwersytetu Saryjskiego, mógł tak po prostu rozwalić drzwi domu należącego do jakiegoś prawomyślnego obywatela i zwyczajnie rozgościć się tam jak u siebie?

„Bardzo łatwo - powiedział sobie, śmiejąc się jeszcze głośniejszym głosem z własnej głupoty. - To się właśnie tak robi!”

Zamachnął się toporkiem.

Lecz nie było to takie proste. Osłabione brakiem pożywienia mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa. Potrafił unieść toporek, to nie było trudne, i zamachnąć się, ale uderzenia okazywały się karykaturalnie słabe, a kiedy ostrze dosięgało solidnych, drewnianych drzwi, klujący ból przeszywał ramiona i plecy. Czy udało mu się rozłupać drzwi? Nie. Uszkodzić je trochę? Może nieco zarysować. Znowu się zamachnął. I jeszcze raz. Mocniej. Dalej, Szirinie! Dobrze ci teraz idzie. Wal! Wal!

Po kilku razach już niemal nie czuł bólu. Zamknął oczy, wciągnął głęboko powietrze w płuca i uderzył. Uderzył ponownie. Drzwi zaczęły trzeszczeć. Pojawiło się dostrzegalne pęknięcie. Jeszcze raz... jeszcze... pięć, może sześć mocnych ciosów i pękna na pół...

Jedzenie. Kąpiel. Łóżko.

Uderzenie. I kolejne. I...

I drzwi otwały się przed nim. Był tak zaskoczony, że omal się nie przewrócił. Zatoczył się i pochylił do przodu, złapał równowagę blokując trzonek toporka w poprzek framugi; spojrzał w górę.

Napotkał spojrzenia kilku groźnych twarzy o szklanych oczach.

- Pan pukał? - spytał jeden z mężczyzn i wszyscy zawyli z dzikiej radości.

Potem rzucili się na niego, chwycili za ramiona i wciągnęli do środka.

- Nie będziesz tego potrzebował - powiedział ktoś i bez wysiłku odebrał Szirinowi toporek. - Tym można się skaleczyć, wiesz?

Znowu śmiech. Obląkańcze wycie. Popchnęli go na środek pokoju i otoczyli szczelnym kołem.

Było ich siedmioro, ośmioro, może dziewięcioro. Mężczyźni i kobiety oraz jeden chłopiec. Szirin na pierwszy rzut oka rozpoznał, iż nie byli prawowitymi mieszkańcami tego domu, który musiał być czysty i zadbane, zanim oni się tu wprowadzili. Teraz ściany były poplamione, połowa mebli powywracana, a na dywanie coś się rozlało - wino...?

Wiedział, co to za ludzie. Dzicy lokatorzy, obszarpani, nie ogoleni i nie umyjni prostytutki. Pewnie objęli ten dom w posiadanie po ucieczce właścicieli. Jeden z mężczyzn miał na sobie tylko koszulę, a jedna z kobiet, jeszcze prawie dziecko, była odziana jedynie w parę szortów. Wszyscy wydzielali cierpką, odrażającą woń. Ich oczy miały to rozbiegane, pełne napięcia i dzikości spojrzenie, które oglądał tysiące razy w ciągu ostatnich dni. Nie trzeba było praktyki klinicznej, aby zrozumieć, że to oczy obląkanych.

Przez cuchnący odór ludzkich ciał przebijał jeszcze inny zapach, znacznie przyjemniejszy, który także Szirina niemal doprowadził do obłędu - aromat gotującego się jedzenia. Przygotowywali posiłek w sąsiednim pomieszczeniu. Zupę? Gulasz? Coś się tam gotowało. Szirin zachwiał się, przyprawiony o zawrót głowy przez głód i nagłą nadzieję jego ostatecznego zaspokojenia.

- Nie wiedziałem, że dom jest zamieszkały - wyjaśnił łagodnie. - Proszę, pozwólcie mi tu zostać na noc, a rano ruszę w dalszą drogę.

- Jesteś ze straży? - spytał podejrzliwie potężny, mocno zarośnięty mężczyzna. Wyglądał na przywódcę.

- Straż? - powtórzył Szirin niepewnie. - Nie, nic nie wiem na ten temat. Nazywam się Szirin 501 i jestem pracownikiem...

- Straż! Straż! Straż! - zaczęli nagle skandować, okrążając go wokół.

- ...Uniwersytetu Saryjskiego - dokończył. Efekt był taki, jakby wypowiedział magiczne zaklęcie. Stanęli jak wryci, gdy jego spokojny głos przeciął ich piskliwe wrzaski. Ucichli mierząc go strasznym wzrokiem.

- Mówisz, że jesteś z uniwersytetu? - spytał przywódca dziwnym głosem.

- Zgadza się. Wydział Psychologii. Jestem wykładowcą, a ponadto zajmuję się trochę pracą w szpitalu... Słuchajcie, nie chcę sprawiać wam żadnego kłopotu. Potrzebuję tylko trochę miejsca, by odpocząć kilka godzin, i nieco jedzenia, jeśli wam coś zostanie. Naprawdę niewiele. Nie jadłem od czasu...

- Uniwersytet! - krzyknęła jedna z kobiet. Zabrzmiało to jak plugawe bluźnierstwo. Szirin słyszał ten ton już wcześniej, w ustach Folimuna 66, w dzień zaćmienia, kiedy Apostoł zwracał się do uczonych. Przeraził się słysząc to znowu.

- Uniwersytet! Uniwersytet! Uniwersytet!

Na nowo zaczęli krążyć wokół i skandować, czynili dziwaczne gesty zakrzywionymi na kształt szponów palcami. Nie potrafił zrozumieć ich słów. To była chrapliwa, koszmarowa pieśń, bezsensowna zbitka sylab.

Czy ci ludzie należeli do jakiegoś kręgu Apostołów Płomieni i zebrali się tutaj, aby odprawić tajemny rytuał? Nie, wątpił w to. Wyglądali inaczej - nazbyt biedni i obdarci, zbyt obłąkani. Apostołowie - ci nieliczni, których oglądał - zawsze byli zadbani, powściągliwi i tak opanowani, że niemal budziło to lęk. Ponadto Apostołowie nie pojawili się od czasu zaćmienia. Szirin przypuszczał, że wszyscy zamknęli się w jakiejś świątyni, aby na osobności kontemplować fakt potwierdzenia się ich wierzeń.

Podejrzewał, że ci ludzie są po prostu nie zrzeszonymi, wędrownymi wariatami.

Szirinowi wydało się, iż dostrzegł chęć mordu w ich oczach.

- Słuchajcie - odezwał się - jeżeli zakłóciłem jakąś waszą ceremonię, to przepraszam i jestem gotów natychmiast wyjść. Próbowałem dostać się tutaj tylko dlatego, iż sądziłem, że dom jest pusty, a ja byłem głodny. Nie chciałem...

- Uniwersytet! Uniwersytet!

Nigdy nie widział tak pełnych nienawiści spojrzeń jak te, które posyłali mu ci ludzie. Lecz w ich oczach czaił się także strach. Trzymali się z dala od niego, napięci, drżący jakby z obawy przed jakąś okropną siłą, którą mógł niespodzianie na nich nasłać.

Szirin błagalnie wyciągnął do nich ręce. Gdyby choć na chwilę przestali tańczyć i wyć! Zapach jedzenia przygotowywanego w sąsiednim pokoju doprowadzał go do szaleństwa. Złapał za rękę jedną z kobiet, chcąc ją zatrzymać i poprosić o resztki, miskę zupy, cokolwiek. Odkoczyła z sykiem, jak gdyby sparzył ją swym dotknięciem i zapamiętała rozcierała miejsce, gdzie przez moment zacisnęły się jego palce.

- Proszę - powiedział. - Nie chcę wam zrobić krzywdy. Jestem zupełnie nieszkodliwy, wierzcie mi.

20 - Nastanie nocy 305

- Nieszkodliwy! - Przywódca z wrzaskiem wypluł z siebie to słowo. - Ty?! Ty, z uniwersytetu? Jesteś gorszy od straży. Straż przysparza ludziom niewielu kłopotów. Lecz ty... ty zniszczyłeś świat!

- Co zrobiłem?

- Uważaj, Tazibarze - ostrzegła jakaś kobieta. - Wyrzuć go, zanim rzuci na nas urok.

- Urok? - zdziwił się Szirin. - Ja?

Wytykali go palcami, dźgając zajadle powietrze w zatrważający sposób. Niektórzy zaczęli śpiewać półgłosem - niskie, dzikie zawrodozenie w rytmie rozpędzającego się silnika, który wkrótce wyrwie się spod kontroli.

- To uniwersytet ściągnął na nas Ciemność! - krzyknęła dziewczyna w szortach.

- I gwiazdy - dodał mężczyzna w samej koszuli. - Oni zesłali gwiazdy.

- A ten może je sprowadzić z powrotem! Wyrzućcie go stąd! Wyrzućcie!

Szirin patrzył na nich z niedowierzaniem. Pomyślał, że powinien był to przewidzieć. Bardzo prawdopodobny rozwój wypadków: patologiczna podejrzliwość względem każdego naukowca, każdego wykształconego człowieka, nedorzeczna fobia, która musiała się szerzyć jak wirus wśród prostych ludzi, którzy przeżyli tę straszną noc.

- Myślicie, że mogę przywołać gwiazdy przytknięciem palców? Czy tego się boicie?

- Jesteś z uniwersytetu - odrzekł mężczyzna nazwany Tazibarem. - Znaliście różne sekrety. Uniwersytet zesłał Ciemność, tak. Uniwersytet sprowadził gwiazdy. Uniwersytet ściągnął na nas zagładę.

Tego już było za wiele.

Nie dość, że został tu wciągnięty i zmuszony do wdychania przyprawiającego o obłęd zapachu jedzenia, nie dostawszy go ani trochę. Lecz być obwinianym o katastrofę - pozwolić, aby patrzyli na człowieka jak na jakąś wstrętną wiedźmę...

Coś w nim pękło.

- Wierzycie w to? - zawołał szyderczo. - Skończeni idioci! Banda pomyślonych, zabobonnych głupców! Oskarżacie uniwersytet? My sprowadziliśmy Ciemność? O bogowie, co za tępota! My byliśmy jedynymi, którzy próbowali was ostrzec! Gestykulował gniewnie, wymachując pięściami.

- Tazibarze, znów je sprowadzi! Spraw, że będzie ciemno! Powstrzymaj go! Powstrzymaj!

Nagle skupili się razem, zaczęli się zbliżać, próbowali go dosięgnąć.

Szirin stał pośrodku, wyciągnął do nich ręce w geście pokory i bezradności. Nawet nie próbował się bronić. Pożałował teraz, że ich obraził, ale nie dlatego, że ryzykował życie - prawdopodobnie oni nie zważali wcale na wyzwiska, którymi ich obrzucał - lecz dlatego, iż wiedział, że oszaleli nie z własnej winy.

Jeżeli już, to była jego wina, że nie próbował bardziej im pomóc w przygotowaniu się na to, co jak wiedział, miało nastąpić. Artykuły Teremona... gdyby tylko porozmawiał z dziennikarzem, przekonał go w porę, aby zrezygnował ze swych szyderstw...

Tak, teraz żałował.

Żałował różnych rzeczy - tych, które zrobił, i tych, których nie zrobił. Na wszystko było już za późno.

Ktoś go uderzył. Stracił oddech z bólu i ze zdumienia.

- Liliat...! - zdołał krzyknąć. Potem wszyscy rzucili się na niego.

Na niebie świeciły cztery słońca: Onos, Dovim, Patru i Trey. Teremon przypomniał sobie, że dni czterech słońc uważano za szczęśliwe. A ten już z pewnością był szczęśliwy.

Mięso! Wreszcie najprawdziwsze mięso!

Cóż za przepiękny widok!

Jedzenie zdobył przypadkiem. Tym się jednak nie przejmował. Uroki życia na łonie natury stawały się dla niego tym mniej pociągające, im bardziej robił się głodny. Obecnie gotów był przyjąć z wdzięcznością każde mięso, niezależnie od tego, jak do niego trafiło.

Las był pełen różnych gatunków dzikich zwierząt, w większości małych, przeważnie niegroźnych - wszystkie zaś okazywały się niemożliwe do złapania, przynajmniej gołymi rękoma. Teremon nie znał się na zakładaniu sidła, nie dysponował też niczym, z czego mógłby je zrobić.

Te opowieści dla dzieci o ludziach zagubionych w puszczy, którzy natychmiast przystosowują się do życia pod gołym niebem i w jednej chwili zmieniają się w utalentowanych łowców i budowniczych, były tylko tym, czym były - bajkami. Teremon, jak zwykle mieszkańcy miasta, uważał się za dość inteligentnego, ale wiedział, że ma takie same szanse na upolowanie któregoś z leśnych zwierząt, jak na ponowne uruchomienie miejskiej elektrowni. A co się tyczy budowania, to kresem jego możliwości był prymitywny szałas z gałęzi i patyków, w którym pewnego deszczowego dnia pozostał prawie suchy.

Obecnie znów było ciepło i pogodnie, a Teremon miał prawdziwe mięso na kolację. Pozostawał tylko problem jego przyrządzenia. Surowego nie zje, o nie! Za żadne skarby!

Co za ironia losu, że w świecie, który ledwie parę dni temu prawie doszczętnie strawił ogień, musiał przemyśliwać nad sposobem upieczenia kawałka mięsa. Jednak większość dużych pożarów zdążyła się już wypalić, a resztę zagasił deszcz. Przez kilka pierwszych dni po katastrofie wciąż wzniecane były nowe pożary, ale obecnie najwyraźniej to się skończyło.

„Coś wymyślę - pocieszał się Teremon. - Może pocierać o siebie dwa patyczki aż do uzyskania iskry? Czy też uderzając metalem o krzemień zapalić skrawek materiału?”

Kilku chłopców usłudnie zabiło dla niego to zwierzę po przeciwnej stronie jeziora, w pobliżu którego obozował. Oczywiście nie mieli pojęcia, że wyświadczają mu przysługę - najprawdopodobniej zamierzali zjeść je sami, chyba że byli na tyle nienormalni, aby ścigać nieszczęsne stworzenie jedynie dla sportu. Teremon w to wątpił. Mieli jasno określony cel i dążyli do niego prostymi środkami, które tylko głód mógł podsuwać.

Ofiarą był chwytacz - brzydkie, długonose zwierzątko o niebieskawym futerku i śliskim, łysym ogonku. Takie stworzenia można było czasem zobaczyć myszkujące wśród podmiejskich śmietników po zachodzie Onosa. Cóż, nie o piękno teraz chodziło. Zgrai chłopców udało się jakoś wykurzyć biedne, głupie zwierzątko z dziennej kryjówki i zagonić do niewielkiego wąwozu.

Teremon patrzył z drugiej strony jeziora, pełen wstrętu i jednocześnie zawiści, jak ścigali je niezmordowanie w górę i w dół, obrzucając kamieniami. Chwytacz, choć zwykły zjadacz resztek, był nadzwyczaj zwinny, umykał chyżo tu i tam, desperacko próbując wymknąć się swoim prześladowcom. W końcu celny kamień ugodził go w głowę i zabił na miejscu.

Chłopcy prawdopodobnie pożarliby zwierzę natychmiast, jednak w tym momencie powyżej nich pojawiła się kudłata, powłócząca nogami postać, zatrzymała się na chwilę na krawędzi wąwozu i zaczęła schodzić w kierunku jeziora.

- Uciekajmy! To Garpik Rozpruwacz! - wrzasnął jeden z chłopców.

- Garpik! Garpik!

Natychmiast się rozproszyli, pozostawiając na ziemi martwego chwytacza.

Teremon obserwował wszystko, ukryty w cieniu na swoim brzegu jeziora. On także znał Garpika, choć dotąd nie słyszał jego imienia. Ten jeden z naj straszniej szych mieszkańców lasu, przysadzisty, podobny do mały nagi mężczyzna, nosił jedynie pas, za który wtykał kolekcję noży. Zabijał radośnie i bez motywu, był szaleńcem opętany żądzą mordy, rasowym zabójcą.

Garpik zatrzymał się na moment, nucąc coś pod nosem i głaszcząc czule jeden ze swych noży. Nie zauważył martwego zwierzęcia lub też wcale o to nie dbał. Być może czekał, aż chłopcy wrócą, lecz

oni wyraźnie nie zamierzali tego uczynić. Po pewnym czasie Garpik wzruszył ramionami i odszedł ociężale w głąb lasu, najpewniej w poszukiwaniu innej zabawy, w której mógłby wykorzystać swą broń.

Teremon odczekał chwilę długą jak wieczność, aby upewnić się, że Garpik nie ma zamiaru wrócić i zaatakować go.

Potem, kiedy już dłużej nie mógł znieść widoku martwego chwytacza i czekać, aż jakiś inny ludzki czy zwierzęcy rabuś nagle wyłoni się, aby zgarnąć łup, zanim sam zdoła to uczynić - pognął biegiem wokół jeziora, porwał zwierzątko i zaniósł je do swej kryjówki.

Ważyło tyle, co małe dziecko. Starczyłoby mu na dwa, trzy posiłki, może więcej, jeśli zdołałby poskromić apetyt, a mięso nie zepsułoby się zbyt szybko.

Z głodu kręciło mu się w głowie. Jak sięgał pamięcią, jadł jedynie owoce i orzeszki. Jego skóra ciasno opinała mięśnie i kości; jeśli wcześniej miał jakiś niewielki nadmiar tłuszczu, dawno już go zużył, a obecnie żył spożytkowując siły niezbędne do walki o przetrwanie. Dziś wieczorem wreszcie urządzi sobie małą ucztę!

„Pieczony chwytaacz! Delicje! - pomyślał gorzko, lecz w chwilę później dodał: - Bądź wdzięczny nawet za skromne dary, Teremonie.

Pomyślmy... Przede wszystkim rozpalić ognisko...”

Najpierw trzeba było mieć chrust. Z tym za jego schronieniem znajdowała się ściana skalna z głęboką, poziomą szczeliną porośniętą zielskiem. Większość roślin dawno zwiędła i uschła - od ostatniego deszczu minęło już sporo czasu. Teremon żywo przeszedł wzdłuż skalnego występu i wyrywając poźółkłe łodygi z liśćmi zbierał stertę podobnego do słomy materiału, który powinien dać się łatwo podpalić.

Teraz trochę suchych patyków. Trudniej było je znaleźć, ale przetrząsał las w poszukiwaniu uschniętych krzaków albo przynajmniej pojedynczych gałęzi. Nastąpiło już późne popołudnie, gdy wreszcie zbierał znacznie większą ilość odpowiedniego opału. Dovim opuścił nieboskłon, a Trey i Patru, które były nisko nad horyzontem, kiedy chłopcy polowali na chwytacza, teraz przesunęły się na środek nieba niczym para błyszczących oczu, przyglądających się z góry smutnym wypadkom na Kalgaszu.

Teremon ostrożnie ułożył drewno na suchym zielsku, budując szkielet ogniska tak, jak wyobrażał sobie, że postąpiłby prawdziwy traper: większe konary kręgiem na zewnątrz, a następnie cieńsze skrzyżowane pośrodku. Nie bez pewnych trudności nadział chwytacza na szpikulec, który zrobił z ostrego, dość prostego kija, i umieścił zwierzę nad przygotowanym ogniskiem.

Na razie wszystko się udało. Brakowało jeszcze tylko jednego drobiazgu.

Ognia!

Próbował nie myśleć o tym, kiedy zbierał drewno, mając nadzieję, - że problem jakoś sam się rozwiąże, bez jego udziału. Obecnie musiał mu stawić czoło. Potrzebował iskry. Książkowa sztuczka z pocieraniem dwóch patyków o siebie - Teremon był tego pewien - stanowiła tylko bajkę. Czytał, że pewne prymitywne szczepy uzyskiwały ogień obracając błyskawicznie kijkiem umocowanym w drewnianym z małą dziurką, ale podejrzewał, że ta metoda nie była aż tak prosta i że zajęłoby mu pewnie z godzinę wytrwałego obracania, aby uzyskać jakikolwiek efekt. W każdym razie i tak zapewne należało w wieku chłopięcym zostać wprowadzonym w arkana tej sztuki przez szamana lub kogoś w tym rodzaju, bo inaczej to nie skutkowało.

A więc dwa kamienie - czy można wykrzesać iskrę uderzając jednym o drugi?

W to także wątpił. Doszedł jednak do wniosku, iż nie zaszkodzi spróbować. Nie miał przecież żadnych innych pomysłów. Szeroki, płaski kamień leżał w pobliżu, a po chwili szukania znalazł mniejszy, kanciasty, który wygodnie mieścił się w dłoni. Ukłął koło przygotowanego ogniska i zaczął metodycznie uderzać ostrym w ten płaski.

Nic szczególnego się nie działo.

Zaczęło go ogarniać poczucie beznadziejności. "Oto ja - myślał - dorosły człowiek, który umie czytać i pisać, prowadzić samochód, a nawet jakoś tam obsługiwać komputer. W dwie godziny potrafię napisać artykuł do gazety, który każdy w Saro będzie chciał przeczytać, i mogłem to robić codziennie przez dwadzieścia lat, a nie potrafię rozpałić ogniska na pustkowiu.

Jednak patrząc na to z drugiej strony - przecież nie zjem tego chwytacza na surowo, chyba że będę absolutnie zmuszony. Nie zrobię tego. Nie zrobię. Nie i jeszcze raz nie. Nie!"

Z wściekłością uderzył ponownie kamieniami o siebie. I jeszcze raz. I jeszcze.

„Przekłęta iskra! Zabłyśnij wreszcie! Rozpał te patyki! Upiecz dla mnie to śmiechu warte zwierzę!"

Znowu. I jeszcze raz. I jeszcze.

- Co tam robisz, koleś? - usłyszał nagle nieprzyjazny głos tuż za swymi plecami.

Teremon spojrzał w górę zdziwiony i przestraszony. Naczelna zasada życia w tym lesie brzmiała: "Nigdy żadnemu zajęciu nie poświęcaj się bez reszty. Zawsze powinieneś zauważyć podkradających się do ciebie obcych".

Było ich pięciu. Mężczyźni mniej więcej w jego wieku. Obszarpani jak wszyscy żyjący w lesie. Nie wyglądali na bardzo szalonych, jak wielu innych ludzi w tym czasie - Teremon nie dostrzegł szklistych oczu czy śliniących się ust, a jedynie groźny wyraz twarzy, znużony i zacięty. Nie mieli żadnej groźniejszej broni, tylko pałki, ale byli wyraźnie wrogo nastawieni.

„Pięciu na jednego - pomyślał Teremon. - W porządku, bierzcie sobie tego przekłętego chwytacza i udławcie się nim. Nie jestem na tyle głupi, aby zaczynać bójkę".

- Pytałem, co robisz, koleś? - powtórzył pierwszy mężczyzna jeszcze bardziej lodowato niż poprzednio. Teremon rzucił mu spojrzenie pełne nienawiści.

- To co widać. Próbuję rozpałić ognisko.

- Tak myśleliśmy.

Nieznajomy zrobił krok naprzód. Starannie, nie śpiesząc się, wymierzył kopniaka w stertę ułożoną przez Teremona. Z takim trudem zebrane gałęzie rozsypały się, a chwytacz spadł na ziemię.

- Hej, zaczekaj chwilę...!

- Tu nie wolno palić ognisk, facet. Takie jest prawo. - Nieznajomy mówił szorstko, twardo i bez ogródek. - Posiadanie narzędzi do rozpalania ognia jest zabronione. To drewno jest na opał. To oczywiste. Ponadto sam przyznałeś się do winy.

- Do winy? - powtórzył Teremon z niedowierzaniem.

- Powiedziałeś, że rozpałałeś ognisko. Te kamienie wyglądają na narzędzia do rozniecania ognia, prawda? Prawo jest jasne w tym względzie: zabrania.

Na znak przywódcy podeszli dwaj inni. Jeden chwycił Teremona od tyłu za szyję i ramiona, a drugi wyjął mu z rąk kamienie i cisnął je do jeziora. Plusnęły głośno i znikły. Teremon patrząc, jak toną, czuł się tak, jak wyobrażał sobie, że czuł się Biney, widząc swe teleskopy strzaskane przez motłoch.

- Puśćcie mnie... - wymamrotał przez zęby, usiłując się uwolnić.

- Puście go - rozkazał przywódca. Znow wsadził nogę w przygotowane ognisko i zaczął wdeptywać kawałki słomy i łądyg w piach. - Teraz nie wolno palić ognia - rzekł do Teremona. - Wystarczy już pożarów. Na zawsze wystarczy. Nie możemy pozwolić, aby rozpalano nowe, z uwagi na ryzyko cierpień i zniszczeń, nie wiesz o tym? Jeśli spróbujesz zbudować nowe ognisko, wrócimy tu i rozwalimy ci łeb, zrozumiałeś?

- To ogień zniszczył świat - dodał jeden z jego ludzi.

- Ogień wygnał nas z domu.

- Ogień jest wrogiem. Ogień jest zabroniony. Ogień jest zły.

Teremon patrzył w zdumieniu. Ogień jest zły? Zabroniony?

A więc jednak byli szaleni.

- Karą za próbę rozpalenia ognia, występki pierwszej kategorii, jest grzywna - tłumaczył przywódca. - Grzywną będzie to zwierzę. W ten sposób oduczysz się narażać niewinnych ludzi. Listigonie, zabierz mięso. To będzie dla niego dobra lekcja. Następnym razem, gdy ten facet coś złapie, będzie pamiętał, że nie powinno się łamać prawa tylko dlatego, iż ma się ochotę na kawałek pieczonego mięsa.

- Nie! - wrzasnął Teremon zdławionym głosem, kiedy Listigon schylił się, aby podnieść chwytacza. - To moje, kretyni! Moje! Moje!!!

Rzucił się na nich z furją, zaślepiony przez gniew i zawiedzione nadzieje.

Ktoś go mocno uderzył w żołądek. Teremonowi zaparło dech i odjęło mowę, zgiął się wpół trzymając rękami za brzuch. Ktoś inny walnął go od tyłu. Dostał cios w krzyż, po którym niemal runął na twarz, lecz tym razem z całej siły dźgnął łokciem w tył, poczuł miękkie ciało, usłyszał jęk bólu.

Kiedyś brał udział w bójkach, ale było to dawno, dawno temu, a poza tym nigdy nie walczył sam przeciw pięciu. Nie było jednak ucieczki. Powtarzał sobie, że musi utrzymać się na nogach i wycofać krok za krokiem aż do skalnej ściany, gdzie nie mogliby zająć go od tyłu. Potem spróbuje trzymać ich na dystans, kopiąc i waląc, a nawet gryząc i drapiąc, dopóki nie zostawią go w spokoju.

Odpowiedział mu jakiś wewnętrzny głos: "To kompletni wariaci. Z pewnością nie odstępają, aż zatłuką cię na śmierć".

Nic nie mógł na to poradzić. Mógł tylko podejmować próby utrzymania ich na dystans.

Skulił ramiona, pochylił głowę i rozdzielał rączy na oślepi, cały czas uparcie przepychając się do skały. Tłoczyli się wokół, okładając go ze wszystkich stron. Utrzymał się jednak na nogach. Ich przewaga liczebna nie była tak miażdżąca, jak się spodziewał. W walce wręcz nie mogli dopaść go całą piątką jednocześnie, a Teremon potrafił wygrać to na swoją korzyść, waląc we wszystkich kierunkach i poruszając się tak szybko, jak tylko zdołał, podczas gdy oni próbowali unikać bicia się nawzajem w ścisłości.

Pomimo to wiedział, że długo tak nie pociągnie. Miał rozciętą wargę, brakowało mu powietrza, oko zaczynało puchnąć. Celny cios mógł powalić go na ziemię. Jedną ręką osłaniał twarz, drugą walczył zaciekle i nadal cofał się pod osłonę skalnej ściany. Kopnął kogoś. Doszedł go jęk i przekleństwo. Ktoś inny odpowiedział kopniakiem. Teremon dostał w udo i zatoczył się, sycząc z bólu.

Zachwiał się. Desperacko próbował złapać oddech. Niewiele widział i z trudem rozpoznawał, co się dzieje. Otaczali go teraz całą piątką, młócąc pięściami ze wszystkich stron. Nie dotrze do skały. Nie utrzyma się już dłużej na nogach. Upadnie, a oni zادهczą go na śmierć...

Na... śmierć...

W tym momencie uświadomił sobie, że do zgiełku, który powodowali walcząc w sześciciu, dołączył się inny; usłyszał krzyki, nowi ludzie wmieszali się w bijatykę, ścisłość wokół niego zgęstniała. "Świetnie! - pomyślał. - Nowa banda szaleńców przyłącza się do zabawy. Może teraz uda się mi jakoś wymknąć w tym zamęcie..."

- Tu straż ogniowa! Przestańcie! - zawołał kobiecy głos, czysty, donośny, nie znoszący sprzeciwu.
- To rozkaz! Przestańcie, wszyscy! Zostawcie go! Natychmiast!

Teremon zmrużył oczy i zaczął rozcierać czoło. Powiódł wokoło mętnym wzrokiem.

Na polance pojawiło się czworo ludzi. Wyglądali na świeżych i wypoczętych, nosili czyste ubrania. Wokół szyi mieli luźno zawiązane zielone chusty. W rękach trzymali punktowce.

Kobieta, która najwyraźniej nimi dowodziła, wykonała szybki, rozkazujący gest bronią trzymaną w dłoni. Pięciu mężczyzn puściło Teremona i stanęło posłusznie przed nią Obrzuciła ich groźnym spojrzeniem.

Teremon nie wierzył własnym oczom.

- O co tu chodzi? - spytała przywódcę piątki ostrym tonem.

- Rozpalał ogień... próbował... zamierzał upiec zwierzynę, ale nadeszliśmy...

- Dobrze się sprawiliście. Nie widzę tu ognia. Porządek został zachowany. Odmaszerować!

Mężczyzna skinął głową. Sięgnął po chwytacza.

- Mięso należy do mnie - odezwał się Teremon ochryple.
- Nie - odparł tamten. - Utraciłeś je. Wymierzamy ci grzywnę za naruszenie praw dotyczących ognia.

- Ja zdecyduję o karze - przerwała kobieta. - Zo staw to zwierzę. Odmaszerować!

- Ale...

- Odmaszerować albo dopilnuję, abyście to wy stanęli oskarżeni przed Altinolem. Ruszać się! No już!

Pięciu mężczyzn wyniosło się chyłkiem. Teremon wciąż nie mógł uwierzyć w to, co widział.

Kobieta z zieloną chustą podeszła do niego.

- Myślę, że przybyłam w ostatniej chwili, prawda, Teremonie?

- Siferra - powiedział ze zdumieniem. - Siferra!

Bolało go sto różnych miejsc. Wcale nie był pewien, czy jego kości pozostały całe. Jedno oko miał tak spuchnięte, że nic nim nie widział. Podejrzewał jednak, że uda mu się przeżyć. Siedział oparty o skalną ścianę czekając, aż ustąpi nieco otumanienie bólem.

- Mamy trochę jongsyjskiego koniaku w dowództwie - odezwała się Siferra. - Chyba mogę cię upoważnić do wypicia kubeczka czy dwóch, w celach zdrowotnych oczywiście.

- Koniak? Dowództwo? Jakie dowództwo? O co tu chodzi, Siferro? Czy naprawdę tu jesteś?

- Myślisz, że to halucynacja? - Zaśmiała się i lekko wbiła mu paznokcie w ramię. - Czy to nazwałbyś halucynacją?

- Ostrożnie! - Skrzywił się. - To bardzo wrażliwe miejsce. Zresztą jak każde inne w tej chwili...
Po prostu spadłaś z nieba, tak?

- Patrolowałam las i usłyszeliśmy odgłosy bójki. Przyszliśmy więc sprawdzić przyczynę hałasu. Nie miałam pojęcia, że jesteś w to wmieszany, dopóki cię nie zobaczyłam. Próbujemy przywrócić tu jakiś porządek.

- Próbujecie? Kto?

- Straż ogniowa. To najbliższy odpowiednik lokalnej władzy. Siedziba mieści się w Sanktuarium, a dowodzi niejaki Altinol, który kiedyś był dyrektorem jakiejś firmy. Jestem jednym z jego oficerów. To rodzaj straży obywatelskiej, która przejęła kontrolę nad używaniem ognia. Obecnie tylko członkowie straży ogniowej posiadają przywilej...

- Zaczekaj, Siferro. - Teremon uniósł rękę. - Powoli, dobrze? Mówisz, że w Sanktuarium pracownicy uniwersytetu utworzyli straż obywatelską? Chodzą po okolicy i gaszą ogień? Jak to możliwe? Szirin powiedział mi, że wszyscy odeszli i udali się na południe, że wyznaczili sobie spotkanie w Parku Narodowym Amgando.

- Szirin? Czy on jest tutaj?

- Był. Teraz zmierza do Amgando. Ja... zdecydowałem pobyć tu jeszcze trochę. - Wyznanie, że pozostał tu wiedziony nikłą nadzieją odnalezienia jej, nie mogło mu przejść przez gardło.

Siferra skinęła głową.

- Szirin powiedział ci prawdę. Wszyscy pracownicy naukowcy opuścili Sanktuarium w dzień po zaćmieniu. Myślę, że do tej pory są już daleko, w Amgando - nie mam o nich żadnych wieści. Zostawili Sanktuarium otwarte na oścież i Altinol ze swą grupą objęli je w posiadanie. Straż ogniowa liczy piętnastu czy dwudziestu członków, wszyscy w niezłym stanie psychicznym. Zdołali ustanowić swą władzę nad mniej więcej połową lasu i częścią terenów podmiejskich, gdzie wciąż żyją ludzie.

- A ty? - spytał Teremon. - Jak się z nimi związałaś?

- Najpierw, gdy tylko zniknęły gwiazdy, poszłam do lasu. Było tu jednak dość niebezpiecznie,

więc kiedy przypominałam sobie o Sanktuarium, skierowałam się właśnie tam i spotkałam Altinola i jego ludzi. Zaproponowali mi wstąpienie do straży. - Siferra uśmiechnęła się jakby nieco smutno. - Właściwie nie zostawili mi wyboru - dodała. - To nie są zbyt delikatni faceci.

- To nie są delikatne czasy.

- Masz rację. Tak więc zdecydowałam, że lepiej przyłączyć się do nich, niż pozostać sama. Dali mi tę zieloną chustę - wszyscy tu wokół czują przed nią respekt. I punktowiec. Przed tym ludzie też czują respekt.

- Należysz więc do straży obywatelskiej - rzekł Teremon w zadumie. - Jakoś nigdy bym cię nie podejrzewał o takie zapędy.

- Ja siebie też nie.

- I wierzysz, że ten Altinol i jego straż ogniowa to uczciwi ludzie, którzy pomagają przywrócić prawo i porządek?

Na twarzy Siferry ponownie zagościł uśmiech i znów nie był radosny.

- Uczciwi ludzie? Tak, oni się za takich uważają.

- A ty tak nie sądzisz? Wzruszyła ramionami.

- Przede wszystkim chodzi im o siebie, nie ma co udawać. Powstała polityczna próżnia i oni zamierzają ją wypełnić. Uważam, że nie jest to najgorsza koncepcja zbudowania władzy. Łatwiej ich zaakceptować niż inne grupy, które przychodzą mi na myśl.

- Mówisz o Apostołach? Czy też próbują ustanowić władzę?

- Bardzo możliwe, że tak, lecz nic o nich nie słyszałam od czasu kataklizmu. Altinol przypuszcza, że pozostają gdzieś w ukryciu lub też Mondior powiódł ich w jakieś odległe miejsce, gdzie założą swoje własne królestwo. Mamy jednak parę nowych grup fanatyków - niezłych pomyleńców, Teremonie. Trafiłeś właśnie na jedną z nich i tylko dziwnym trafem cię nie wykończyli. Wierzą, że zbawienie ludzkości zależy obecnie tylko od całkowitego wyrzeczenia się ognia, jako że ogień zniszczył świat. Biegają więc wokół niszcząc wszelkie narzędzia do rozpalania ognia i zabijając każdego, kto według ich opinii wznieca pożary dla zabawy.

- Próbowałem jedynie przyrządzić sobie kolację - powiedział Teremon posępnie.

- Dla nich to obojętne, czy gotujesz posiłek, czy zabawiasz się w podpalacza. Ogień jest ogniem, a oni czują do niego wstręt. Masz szczęście, że nadeszliśmy w porę. Uznają autorytet straży ogniowej. Jesteśmy elitą, rozumiesz, jedynymi, którym wolno używać ognia.

- Punktowce na pewno pomagają ten autorytet utrzymać - wtrącił Teremon. Zaczął rozcierać obolałe ramię i spojrzał smutno w dal. - Wspominałaś, że oprócz nich są jeszcze inni fanatycy...

- Są tacy, co uważają, że astronomowie z uniwersytetu odkryli sekret przywoływania gwiazd. Obwiniają Athora, Bineya i resztę o wszystko, co się wydarzyło. To stara niechęć do intelektualistów, która zbiera żniwo, gdy tylko prymitywne emocje wydostają się na powierzchnię.

- Bogowie! Czy wielu jest takich?

- Wystarczająco dużo. Ciemność jedna wie, co zrobią, jeśli schwytają kogoś z uniwersytetu, kto nie znalazł schronienia w Amgando. Przypuszczam, że powieszą go na pierwszej lepszej gałęzi.

- A za to odpowiedzialny będę ja - rzekł Teremon ponuro.

- Ty?

- Wszystko, co się stało, to wyłącznie moja wina. Nie Athora, nie Folimuna, nie bogów, lecz właśnie moja, Siferro. Moja. Teremona 762. Wtedy, gdy nazwałaś mnie nieodpowiedzialnym, zbyt łagodnie się ze mną obeszłaś. Nie byłem nieodpowiedzialny, lecz dopuściłem się bezmyślności.

- Przestań, Teremonie. Co za sens... Nie dał sobie przerwać.

- Powiniennem dzień w dzień pisać felietony ostrzegające przed zagładą, domagające się

stworzenia programu ratunkowego, który objąłby budowę schronów, gromadzenie zaopatrzenia i rezerwowych generatorów mocy, zapewnienie pomocy poszkodowanym i milion innych rzeczy... a cóż ja robiłem? Wyśmiewałem się. Stroiłłem sobie z astronomów żarty! Sprawilem, że stało się polityczną niemożliwością dla kogoś z rządu brać Athora na serio.

- Teremonie...

- Siferro, powinnaś pozwolić tym szaleńcom zatłuc mnie na śmierć! Spojrzeli sobie w oczy.

- Nie mów jak głupiec! - Siferra była zła. - Żadne rządowe programy nic by nie zmieniły. Ja też żałuję, że pisałeś te artykuły. Wiesz, co o nich myślałam, lecz co to teraz ma za znaczenie? Wierzyłeś w to, co pisałeś. Myliłeś się, ale nie kłamałeś. W każdym razie nie mają sensu spekulacje na temat tego, co mogłoby się stać. Teraz musimy się zajmować tym, co jest. Już dosyć - dodała łagodniej - czy możesz chodzić? Musimy cię zabrać do Sanktuarium. Będiesz miał okazję się umyć, przebrać w jakieś czyste rzeczy, dostaniesz coś do jedzenia...

- Jedzenia?

- Ludzie z uniwersytetu pozostawili mnóstwo zapasów. Teremon zachichotał i wskazał na chwytacza.

- Siferro, a więc nie muszę tego jeść?

- Nie, chyba że naprawdę chcesz. Proponuję, byś dał to komuś, kto tego bardziej potrzebuje.

- Dobry pomysł.

Podniósł się wolno i ociężale. Bogowie, jak go wszystko bolało! Zrobił parę kroków. Nieźle, całkiem nieźle. Mimo wszystko nic nie wydawało się złamane. Może tylko używane w trochę niewłaściwy sposób. Myśl o ciepłej kąpieli i prawdziwym posiłku zaczynała już leczyć jego rany.

Rzucił ostatnie spojrzenie na sklecony z gałęzi szałas, na strumień, parszywe krzaczki i zielsko. Tu mieszkał przez te kilka dziwnych dni. To był jego dom. Nie będzie za nim zbytnio tęsknił, ale też bez wątpienia nieprędko go zapomni.

Podniósł chwytacza i zarzucił na ramię.

- Prowadź - rzekł do Siferry.

Nie uszli nawet stu metrów, gdy dostrzegł grupę chłopców przyczajonych za drzewami. Zorientował się, że to byli ci sami chłopcy, którzy wypłoszyli chwytacza z jego nory, a potem upolowali. Widocznie wrócili, by go poszukać. Teraz markotnie spoglądali z daleka, wyraźnie strapieni faktem, że Teremon unosił ich zdobycz. Byli zbyt zastraszeni przez zielone chusty, oznakę patrolu straży ogniowej, lub może raczej przez punktowce, aby dochodzić swych praw.

- Hej! - zawołał Teremon. - To chyba wasze? Zaopiekowałem się tym w czasie waszej nieobecności!

Cisnął chwytacza w ich kierunku. Martwe zwierzę upadło na ziemię dość blisko miejsca, gdzie stali, lecz oni się wahali, zmieszani i zakłopotani. Bali się podejść.

- Jest dużo do zrobienia w tym nowym świecie po zaćmieniu - powiedział Teremon ze smutkiem. - Umierają z głodu, ale nie ośmielą się zrobić jednego kroku. Myślą, że to pułapka. Sądzą, że jeśli wyjdą z za tych drzew, zastrzelimy ich tak sobie, dla zabawy.

- Kto może ich za to winić? - odparła Siferra. - Teraz każdy boi się każdego. Zostaw zwierzę tam, gdzie leży. Zajmą się nim, gdy tylko znikniemy im z oczu.

Teremon kuśtykając podążył za nią.

Siferra i pozostali ludzie z patrolu posuwali się pewnie przez las, jakby niewrażliwi na niebezpieczeństwa czyhające wszędzie wokół. Rzeczywiście, nic się nie wydarzyło w czasie, gdy grupa zdążyła - tak szybko, jak na to pozwalał stan Teremona - w kierunku drogi prowadzącej przez las. "To interesujące - pomyślał Teremon - jak błyskawicznie społeczeństwo zaczyna się ponownie

organizować. W ciągu zaledwie kilku dni nieregularna formacja w rodzaju tej straży ogniowej zaczęła przejmować władzę i tworzyć coś w rodzaju rządu. Chyba że jedynie punktowce i pewność siebie tych ludzi trzyma pomyślników na dystans”.

W końcu doszli do skraju lasu. Było zimno i nieprzyjemnie ciemno. Świeciły jedynie Patru i Trey, inne słońca zaszły. W przeszłości Teremon nie czuł się źle w słabym świetle, typowym dla godzin, kiedy na niebie pozostawała tylko jedna z dwóch par bliźniaczych słońc. Od czasu zaćmienia jednak taki wieczór z dwoma słońcami zawsze wzbudzał w nim lęk i poczucie zagrożenia. Teraz bał się, że znów nastanie Ciemność - choć wiedział, że to niemożliwe. Zrozumiał, iż nawet najsilniejsi, najbardziej odporni długo będą leczyć rany, które zadała im Ciemność.

- Jeszcze kawałek w dół tą drogą i będziemy w Sanktuarium - powiedziała Siferra. - Jak się czujesz?

- Świetnie - rzekł Teremon przez zaciśnięte zęby. - Wiesz, nie udało im się uczynić mnie kaleką. Znaczną trudność sprawiało mu zmuszanie obolałych nóg, aby niosły go naprzód. Odczuł radość i niemalą ulgę, gdy wreszcie znalazł się u przypominającego otwór jaskini wejścia do podziemnego królestwa, jakim było Sanktuarium.

Korytarze prowadzące we wszystkich kierunkach i liczne komnaty tworzyły istny labirynt. Teremon niewyraźnie dostrzegał zawile zwoje i pętle jakiejś aparatury, tajemnicze i niezrozumiałe, biegnące wzdłuż ścian i sufitu. Przypominał sobie, że znajdowało się tu urządzenie do rozbijania cząstek, dopóki nie otwarto nowego wielkiego laboratorium na Wzgórzach Saryjskich. Najwidoczniej fizycy pozostawili znaczną część przestarzałego sprzętu.

W głównym korytarzu stał wysoki mężczyzna. Bez wątpienia on sprawował tu władzę.

- To jest Altinol 111 - powiedziała Siferra. - Altinolu, chcę ci przedstawić Teremona 762.

- Z "Kroniki Saro"? - zapytał Altinol. Nie wydawało się, by czyniło to na nim jakiegokolwiek wrażenie; po prostu odnotował ten fakt na głos.

- Przedtem - odparł Teremon.

Chłodno zmierzli się wzrokiem. Teremon ocenił Altinola na prawdziwego twardziela. Był to mężczyzna wkraczający w wiek średni, w pełni sił i w doskonałej kondycji. Ubranie miał eleganckie, w dobrym gatunku. Z jego sposobu bycia można było poznać, że przywykł, by go słuchano. Teremon przerzucał w myśli bogaty, ułożony w porządną kartotekę zbiór notatek ze zdjęciami znanych osobistości. Po chwili trafił na właściwą fiszkę.

- Koncern Mortena? - spytał. - Ten Altinol? Błysk zdziwienia - a może irytacji? - mignął w oczach Altinola.

- Tak, to ja.

- Zawsze mówiono, że chciałeś być premierem rządu. Cóż, wygląda na to, że teraz nim jesteś. Wprawdzie nie całej republiki federalnej, ale premierem gruzów Saro.

- Wszystko w swoim czasie - rzekł Altinol. Dobrze panował nad głosem. - Najpierw chcemy skończyć z anarchią, potem pomyślimy o ponownym scaleniu kraju i będziemy się martwić o to, kto zostanie premierem rządu. Nadal mamy, na przykład, problem Apostołów, którzy przejęli kontrolę nad całą północną częścią miasta oraz terenami podmiejskimi i poddali je swej religijnej zwierzchności. Usunąć ich nie będzie łatwo. - Altinol uśmiechnął się chłodno. - Wszystko po kolei, przyjacielu.

- Jeśli chodzi o Teremona - wtrąciła Siferra - pierwszą rzeczą w kolejności jest kąpiel, a potem posiłek. Mieszkał w lesie od dnia zaćmienia... Chodź ze mną - rzuciła Teremonowi.

Wzdłuż całego dawnego toru akceleratora ustawiono przepierzenia, dzielące go na długi szereg małych pomieszczeń. W jednym z nich ustawiono porcelitowy zbiornik, do którego zamocowane w

górze miedziane rury dostarczały wodę.

- Nie będzie zbyt ciepła - ostrzegła Siferra. - Włączamy termy tylko na pięć godzin dziennie, ponieważ zapas paliwa jest niewielki. Na pewno jednak będzie to lepsze niż kąpiel w zimnym leśnym strumieniu... Co wiesz na temat Altinola?

- Kierował koncernem Mortena, wielkim konsorcjum przewozowym. Kilka lat temu trafił na pierwsze strony gazet w związku z podejrzeniem o szwindel przy otrzymaniu kontraktu na zagospodarowanie olbrzymich terenów budowlanych na gruntach państwowych w prowincji Nibro.

- Co konsorcjum przewozowe ma wspólnego z budową nieruchomości?

- O to właśnie chodzi. Absolutnie nic. Oskarżono go, że posłużył się naciskami ludzi z rządu. Jeśli dobrze pamiętam, mówiło się o czymś w rodzaju oferowania senatorom stałych, darmowych biletów na jego luksusowe linie transoceaniczne... - Teremon wzruszył ramionami. - To teraz naprawdę nieważne. Nie ma już koncernu Mortena, kontraktów na budowę nieruchomości ani też senatorów federacji, których można przekupić. Chyba nie ucieszył się, że go rozpoznałem.

- Pewnie nie dba o to. Dla niego teraz liczy się tylko dowodzenie strażą ogniową.

- Na razie... Dziś straż ogniowa prowincji Saro, jutro cały świat. Słyszałaś, jak mówił o usunięciu Apostołów, którzy rządzą drugą częścią miasta. Cóż, ktoś to musi zrobić. A on należy do tych, którzy lubią dowodzić.

Siferra wyszła. Teremon zanurzył się w wodzie.

Nie czuł się może jak sybaryta, ale jednak było to cudowne po wszystkim, co ostatnio przeszedł. Zamknął oczy, wyciągnął się i odprężył, pływając w luksusie.

Kiedy skończył kąpiel, Siferra zaprowadziła go do jadalni Sanktuarium i zostawiła samego wyjaśniając, że musi złożyć dzienny raport Altinolowi. Posiłek już czekał - jedna z paczkowanych kolacji, które zgromadzono tu w dużych ilościach przez miesiące przygotowań. Rozgotowane warzywa, ciepławe mięso jakiegoś niewiadomego rodzaju, bladozielony napój bezalkoholowy, nieokreślony w smaku.

Wszystko to wydało się Teremonowi zdumiewająco smakowite.

Silił się, aby jeść wolno, spokojnie, pamiętając, że jego organizm odwykł od normalnego pożywienia. Wiedział, że musi starannie przeżuwać każdy kęs, jeśli nie chce się pochorować, choć instynktownie pragnął połknąć wszystko jak najszybciej i poprosić o drugą porcję.

Zjadł, rozsiadł się wygodnie i tępo zapatrzył w brzydką cynową ścianę. Nie był już głodny. Jego kondycja umysłowa zaczęła się jednak pogarszać. Pomimo kąpeli, mimo posiłku, mimo komfortowego poczucia bezpieczeństwa w świetnie chronionym Sanktuarium popadał w bezgraniczną depresję.

Czuł się bardzo zmęczony. Przygnębiony i zniechęcony.

Pomyślał, że ten dawny świat nie był najgorszy. Może nie idealny, dość daleki od tego, ale wystarczająco dobry. Większość ludzi była raczej szczęśliwa, nieźle im się wiodło, postęp dokonywał się na wszystkich frontach - w kierunku głębszego naukowego poznania, szybszego rozwoju gospodarczego, intensywniejszej współpracy międzynarodowej. Pojęcie wojny stało się starożytną osobliwością, a odwieczne fanatyzmy religijne w większości odeszły w przeszłość bezpowrotnie... lub też tak się wydawało.

To wszystko umarło w ciągu kilku krótkich godzin, w jednej straszliwej eksplozji Ciemności.

Oczywiście z popiołów starego zrodzi się nowy świat. Zawsze tak było; wykopaliska Siferry w Tombo to potwierdzały.

Lecz co to będzie za świat? Odpowiedź nasuwała się sama. Będzie to świat, w którym ludzie zabijają innych dla kawałka mięsa lub z powodu pogwałcenia jakiegoś przesądu dotyczącego ognia,

lub po prostu dlatego, że zabijanie może stanowić miłą rozrywkę. Świat, gdzie pojawia się Altinolowie, którzy wykorzystując chaos zagarną dla siebie władzę. Świat, w którym Folimuni i Mondiorzy bez wątpienia planują wyłonić się jako dyktatorzy myśli - może nawet działając ramię z ramię z Altinolami, jak z chorobliwą podejrzliwością pomyślał Teremon. Świat, gdzie...

Nie. Teremon potrząsnął głową. Po co podnosić cały ten mroczny, żałobny lament?

Siferra miała rację. Nie ma sensu spekulować na temat tego, co mogłoby być. Trzeba się zajmować tym, co jest. Przynajmniej przeżył, pozostał mniej więcej w pełni władz umysłowych, ciężkie doświadczenia w lesie przetrwał prawie nie tknięty poza kilkoma tylko zadrapaniami i siniakami, które zagoją się w parę dni. Rozpacz była obecnie uczuciem bezużytecznym, luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić, tak jak Siferra nie mogła sobie pozwolić na luksus bycia wściekłą za jego felietony.

Co się stało, to się nie odstanie. Teraz należało się podnieść i ruszyć naprzód, przegrupować, odbudować, zacząć od nowa. Oglądanie się za siebie było szaleństwem. Patrzenie w przód ze zwątpieniem i przerażeniem równało się zwykłemu tchórzostwu.

- Skończyłeś? - spytała Siferra wróciwszy do jadalni. - Wprawdzie to niezbyt wykwintne jedzenie, ale lepsze od chwytacza.

- No, nie wiem. Nigdy nie próbowałem chwytacza.

- I myślę, że wcale o tym nie marzysz. Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju.

Była to niewysoka nisza, niezbyt wytwornie urządzone: łóżko z bożym światełkiem stojącym obok na podłodze, umywalka i pojedyncza, zwisająca z sufitu żarówka. W kącie wały się rozrzucone jakieś książki i czasopisma, pozostawione zapewne przez ludzi, którzy zajmowali ten pokój w wieczór zaćmienia. Teremon skrzywił się, dojrzawszy egzemplarz "Kroniki" otwarty na stronie z jego felietonem. To był jeden z ostatnich, wyjątkowo zjadliwa napaść na Athora i jego grupę. Zaczerwienił się i nogą odepchnął gazetę głębiej w kąt.

- Co zamierzasz teraz robić? - zapytała Siferra.

- Robić?

- Tak, co będziesz robił, kiedy już zdołasz trochę odpocząć.

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Dlaczego pytasz?

- Altinol chce wiedzieć, czy masz zamiar wstąpić do straży ogniowej.

- Czy to propozycja?

- Jest gotów cię przyjąć. On potrzebuje takich jak ty - silnych, umiejących postępować z ludźmi.

- Tak. - Teremon pokiwał głową. - Byłbym w tym niezły, co?

- Niepokoi go jednak pewna rzecz. W straży jest miejsce tylko dla jednego dowódcy. Gdybyś się przyłączył, musiałbyś zrozumieć od samego początku, że cokolwiek Altinol powie, jest wykonywane bez szemrania. On nie ma pewności, czy potrafisz słuchać rozkazów.

- Ja też nie jestem tego pewny - przyznał Teremon - lecz rozumiem punkt widzenia Altinola.

- A więc przyłączysz się? Wiem, że są pewne niedociągnięcia w samej idei straży, ale jest to siła zdolna utrzymać porządek, a teraz tego właśnie potrzebujemy. Altinol jest może władczy, ale nie jest zły. Jestem o tym przekonana. Po prostu uważa, że w tych czasach potrzebne są stanowcze środki i zdecydowane przywództwo. On jest zdolny to zapewnić.

- Nie wątpię, że tak.

- Pomyśl nad tym przed snem - dodała Siferra. Jeśli chcesz wstąpić do straży, porozmawiaj z nim jutro Bądź z nim szczery. On będzie na pewno szczery wobec ciebie. Jeśli potrafisz go przekonać, że nie będziesz stanowić bezpośredniego zagrożenia dla jego władzy, to jestem spokojna, że ty i on...

- Nie - przerwał gwałtownie Teremon.

- Co "nie"?

Teremon milczał przez dłuższą chwilę.

- Nie muszę nad tym długo myśleć - rzekł wreszcie. - Już wiem, jaka będzie moja odpowiedź.

Siferra spojrzała na niego pytająco.

- Nie chcę rywalizować z Altinolem - wyjaśnił. - Znam ten rodzaj ludzi i jestem absolutnie pewien, że nie potrafię z nimi wytrzymać ani przez moment. Wiem także, że na krótki okres może i jest konieczne powołanie organizacji w rodzaju straży ogniowej, ale na dłuższą metę nie przynosi to korzyści, gdyż jeśli raz zostaną ustanowione i zinstytucjonalizowane, bardzo trudno jest się ich potem pozbyć. Altinolowie tego świata nie oddają władzy dobrowolnie. Drobnymi dyktatorzy nigdy tego nie robią. Świadomość, że pomogłem mu dostać się na szczyt, nie dawałaby mi spokoju do końca życia. Nie przekonuje mnie idea wskrzeszenia systemu feudalnego, mająca być sensownym rozwiązaniem obecnych problemów. Więc, Siferro, odpowiedź brzmi nie. Nie zamierzam nosić zielonej chusty Altinola. Nie ma tu dla mnie miejsca.

- Co w takim razie planujesz? - spytała cicho Siferra.

- Szirin mówił mi, że prawdziwy rząd prowincji formuje się w rezerwacie Amgando. Zbierają się tam ludzie z uniwersytetów, może kilku z dawnego rządu, przedstawiciele wszystkich rejonów kraju. Jak tylko odzyskam siły na tyle, aby podjąć podróż, wyruszę do Amgando.

Siferra przyglądała mu się bacznie, nie zrobiła jednak żadnej uwagi.

Teremon wziął głęboki oddech.

- Chodź ze mną do Amgando. - Wyciągnął do niej rękę. - Zostań ze mną dziś wieczorem w tym moim małym, nędznym pokoiku. Rano się stąd ulotnimy i wyruszymy razem na południe. Pasujesz do tego miejsca nie bardziej niż ja. We dwójkę mamy pięciokrotnie większą szansę na dotarcie do Amgando, niż gdyby każde z nas próbowało odbyć tę podróż samotnie.

Siferra wciąż milczała. Nie cofał ręki.

- A więc? Co na to powiesz?

Na jej twarzy odbijały się sprzeczne uczucia. Teremon nie śmiał ich interpretować.

Siferra wyraźnie walczyła ze sobą. Nagle walka dobiegła kresu.

- Tak - odpowiedziała w końcu. - Tak zrobimy. Zbliżyła się, ujęła jego dłoń. Zgasiła zwisającą z sufitu żarówkę, ale boże światelko przy łóżku nadal rzucało ciepły blask.

Czy wiesz, co to za osiedle? - spytała Siferra. Patrzyła skamieniała ze zgrozy na zrujnowane domy i porzucone samochody, upiorny krajobraz po pożodze. Zbliżało się południe trzeciego dnia ich ucieczki z Sanktuarium. Ostre promienie Onosa niemiłosiernie oświetlały każdą zwęgloną ścianę i każde wybite okno. Teremon przecząco potrząsnął głową.

- Na pewno była to jakaś głupia nazwa. Złote Pola czy Saryjskie Działki, coś w tym rodzaju. Nazwa nie jest teraz ważna. To przestało być osiedlem. Oglądamy coś, co było niegdyś dzielnicą mieszkalną, ale co obecnie należy już wyłącznie do archeologii. Część zaginionego miasta Saro.

Osiągnęli punkt daleko na południe od lasu, prawie na obrzeżach pasa przedmieść. Południowe peryferia Saro. Dalej rozciągały się tereny rolnicze, małe miasteczka, a gdzieś daleko, niewyobrażalnie daleko, cel ich wędrówki:

Park Narodowy Amgando.

Przebycie lasu zajęło im dwa dni. Raz spali w dawnym szałasie Teremona, raz - w jakiejś gęstwinie w połowie ostrego podejścia na Wzgórze Onosa. Przez cały ten czas nie zauważyli żadnych oznak pościgu. Altinol najwyraźniej nie zamierzał ich gonić, choć zabrali ze sobą broń i dwa plecaki wypchane jedzeniem i piciem. Siferra była pewna, że znaleźli się już poza zasięgiem jego władzy.

- Wielka Autostrada Południowa powinna być gdzieś w pobliżu, prawda? - spytała.

- Jeszcze trzy, cztery kilometry. Dojdziemy, jeśli będziemy mieli szczęście i nie napotkamy żadnych pożarów, które zablokowałyby nam drogę.

- Będziemy mieli szczęście. Możesz na to liczyć.

- Wiecznie optymistka, co? - rzucił wesoło Teremon.

- To nie kosztuje więcej niż pesymizm. Tak czy inaczej, dojdziemy.

- Dobrze. Tak czy inaczej.

Szli nieprzerwanie naprzód. Teremon szybko powracał do sił po obrażeniach doznanych w czasie bójki w lesie i po dniach przymierania głodem. Cechowała go niesamowita odporność. Był na tyle silny, że Siferra z trudem dotrzymywała mu kroku.

Z trudnością także przychodziło jej zachować otuchę. Pozornie od momentu wyruszenia w drogę nieustannie tryskała optymizmem, zawsze pewna siebie, zawsze przekonana, że dotrą bezpiecznie do Amgando i znajdą ludzi sobie podobnych, którzy już ostro zabrali się do pracy nad planowaniem odbudowy świata.

Tak naprawdę Siferra wcale nie czuła się dziarsko. Im dalej wchodzili z Teremonem w te niegdyś piękne, podmiejskie obszary, tym trudniej było jej odpędzić lęk, rozpacz, uczucie całkowitej porażki.

To był świat rodem z koszmaru sennego.

Nie było ucieczki od potworności tego świata. Gdziekolwiek się obróciła, widziała tylko zniszczenie.

„Spójrz! - nakazywała sobie w myślach. - Patrz!” Spustoszenie... zniszczenia... zwalone budynki, ściany już porośnięte przez pierwsze chwasty, zajmowane przez for-poczty jaszczurek. Wszędzie oznaki tej straszliwej nocy, kiedy bogowie jeszcze raz zesłali na świat swe przekleństwo. Cierpka, drażniąca woń czarnego dymu unoszącego się ze zgliszcz, ugaszonych przez ostatnie deszcze... ten inny dym, biały i przenikliwy, kłębiący się nad piwnicami, gdzie ogień wciąż płonął... wszędzie brud... ciała skręcone w agonii... wyraz szaleństwa w oczach tych nielicznych, co jeszcze nie umarli, od czasu do czasu wyłaniających się z ruin swoich domostw...

Cała wspaniałość zniknęła. Cała wielkość odeszła. Wszystko w gruzach, wszystko... jakby ocean podniósł się i porwał wszystkie osiągnięcia ludzkości w otchłań niepamięci.

Siferze nieobce były ruiny. Wiele lat spędziła kopiąc pośród nich. Wykopaliska jednak odsłaniały ruiny antyczne, pokryte patyną czasu, zagadkowe i romantyczne, a to, co oglądała obecnie, było nazbyt świeże, nazbyt bolesne i nie miało w sobie nic romantycznego. Upadek zaginionych cywilizacji przeszłości - to nie wzbudzało większych emocji. Teraz jej własna epoka powędrowała na śmietnik historii i z tym trudno było się pogodzić.

„Dlaczego tak się stało? - zapytywała się w myślach. - Dlaczego? Dlaczego?”

Czy byliśmy aż tacy źli? Czy tak daleko zeszliśmy ze ścieżki, którą wyznaczyli nam bogowie, że zasługiwaliśmy na taką karę?

Nie.

Nie!

Nie ma żadnych bogów; nie było żadnej kary”.

Przynajmniej tego Siferra była nadal pewna. Nie miała wątpliwości, że zagładę przyniósł ślepy los, bezosobowe ruchy bezdusznych, nieczułych planet i słońc tworzących konkretną konfigurację co dwa tysiące lat beznamiętnym zbiegiem okoliczności.

To wszystko. Zwykły przypadek.

Przypadek, któremu Kalgasz był zmuszony stawiać czoło nieustannie w całej swej historii, wciąż od początku.

Od czasu do czasu gwiazdy zjawiały się w swym straszliwym majestacie, a ludzkość w spowodowanej lękiem agonii zwracała się bezwiednie przeciw swym własnym dziełom, oszalała z powodu Ciemności, doprowadzona do obłądu przez okrutne światło gwiazd. To był nie kończący się cykl. Popioły Tombo opowiedziały wszystko. I teraz historia Tombo powtórzyła się właśnie tutaj. Dobrze powiedział Teremon: "To miejsce należy już do archeologii". Dokładnie tak.

„Świat, który znaleźliśmy, umarł - pomyślała Siferra. - Lecz my żyjemy. Jesteśmy tu nadal. Co teraz zrobimy?”

Jedyną pociechą wśród ponurych rozważań było dla niej wspomnienie pierwszego wieczoru spędzonego z Teremonem - jego miłość była tak gwałtowna i niespodziewana, tak cudowna. Nieustannie wracała myślą do tych chwil. Jego dziwnie nieśmiały uśmiech, kiedy poprosił, aby z nim została - to nie była żadna uwodzicielska sztuczka! Wyraz jego oczu... Dotyk jego dłoni na jej skórze... jego ramiona, oddech zlewający się z jej własnym...

Ile czasu minęło, odkąd była z mężczyzną! Niemal zapomniała, jak to jest - niemal. Dawniej zawsze towarzyszyło jej niepokojące uczucie, że popełnia błąd, wkracza na drogę donikąd, udaje się w podróż, której nie powinna nawet zaczynać. Z Teremonem było zupełnie inaczej: proste odrzucenie barier, lęków i uprzedzeń, radosne poddanie się, ostateczna zgoda na to, że w tym rozdartym, pełnym udręki świecie nie może dłużej pozostawać sama, lecz musi zawrzeć przymierze i że Teremon, prostolinijny i szczery, wręcz szorstki, silny, zdecydowany i godny zaufania jest sprzymierzeńcem, którego potrzebuje i pragnie.

Tak więc w końcu uległa, bez zbędnego wahania i bez żalu. "Co za ironia - myślała - że musiał nadejść koniec świata, abym się zakochała!" Chociaż to jej zostawało. Wszystko inne mogło być stracone, ale miała przynajmniej to jedno.

- Teremonie, patrz! Znak autostrady.

Z latami pod karykaturalnym kątem zwisała zielona metalowa tarcza pokryta szerniałymi plamami sadzy. W trzech czy czterech miejscach znaczyły ją dziury, prawdopodobnie po kulach, lecz jaskrawożółte litery były wciąż dość czytelne: WIELKA AUTOSTRADA POŁUDNIOWA, a obok strzałka wskazująca kierunek na wprost.

- To nie może być więcej niż dwa, trzy kilometry stąd - powiedział Teremon. - Powinniśmy tam dotrzeć za...

Nic skończył. Rozległ się nagły dźwięk, wysoki i świszczący, a potem brzdęk i ogłuszający huk. Siferra zasłoniła uszy. Chwilę później poczuła, jak Teremon obejmuje ją ramieniem i ciągnie na ziemię.

- Padnij! Ktoś do nas strzela! - wyszeptał chrapliwie.

W dłoni trzymał punktowiec. Siferra sięgnęła po swój. Spojrzała w górę. Pocisk uderzył w znak autostrady, w którym pojawiła się nowa dziura pomiędzy dwoma pierwszymi słowami. Kilka liter uległo zniszczeniu.

Teremon na czworakach posuwał się szybko ku ścianie najbliższego budynku. Siferra podążyła za nim, czując się strasznie odsłonięta. To było gorsze niż stać nago przed Altinolem i ludźmi ze straży ogniowej. Stokroć gorsze. Następny strzał mógł nadejść w każdym momencie, z dowolnego kierunku, a ona nie miała możliwości obrony. Nawet kiedy minęła róg budynku i w zaułku skuliła przy Teremonie, oddychając ciężko, z łomoczącym sercem, nie miała pewności, czy jest bezpieczna.

Teremon, skinął na szereg wypalonych w większości domów po drugiej stronie ulicy. Dwa czy trzy z nich były nietknięte: teraz dostrzegła brudne twarze, wyzierające zza górnych okien najdalszego budynku.

- Tam są ludzie - powiedział Teremon. - Założę się, że to dzicy lokatorzy. Pomyleńcy.

- Widzę ich.

- Nie boją się naszych zielonych chust. Może straż nic dla nich nie znaczy tak daleko od miasta.

Lub też strzelali do nas właśnie dlatego, że je nosimy.

- Tak myślisz?

- Wszystko jest możliwe. - Teremon podczołgał się trochę do przodu. - Zastanawiam się, czy chcą nas zabić, czy tylko przestraszyć? Jeśli próbowali nas zastrzelić, tylko nie potrafią celować, moglibyśmy spróbować tam dobiec. Lecz jeżeli to było ostrzeżenie...

- Tak właśnie podejrzewam. Zabłąkane kule zwykle nie trafiają prosto w środek tarczy.

- Chyba masz rację. - Teremon nachmurzył się. - Dam im znać, że jesteśmy uzbrojeni. Zniechęcę ich do próby wysłania kilku ludzi, którzy mogliby zająć nas od tyłu.

Wyregulował punktowiec na szeroki strumień i maksymalny dystans. Potem podniósł broń i oddał pojedynczy strzał. Wiązka czerwonego światła zaskwierczała w powietrzu i uderzyła w ziemię tuż przed frontem domu, w którym przed chwilą widzieli twarze. Na trawniku pojawiło się czarne wypalone miejsce, a do góry uniosły się smużki dymu.

- Sądziś, że to zauważyli? - zapytała Siferra.

- Na pewno, chyba że zwariowali na tyle, że nie zwracają już na nic uwagi. Przypuszczam jednak, że widzieli, i to dobrze. I nie spodobało im się to zbytnio.

Twarze wróciły do okien.

- Nie podnoś się - ostrzegł Teremon. - Mają jakąś dużą myśliwską strzelbę. Widzę otwór lufy. Usłyszeli kolejny świst i następny potężny huk. Roztrzaskany znak spadł na ziemię.

- Może to i są pomyleńcy - odezwała się Siferra - ale celują diabelnie dobrze.

- Zbyt dobrze. Bawili się z nami, kiedy strzelali pierwszy raz. Śmieli się z nas. Dają do zrozumienia, że jeśli wyściubimy stąd nosy, odstrzelą je nam. Jesteśmy tu unieruchomieni i to ich bawi.

- Czy możemy się stąd wydostać, idąc do końca tego zaułka?

- Tam są tylko gruzy. Po drugiej stronie zaś, jeśli dobrze się orientuję, czeka na nas jeszcze więcej dzikich lokatorów.

- Więc co zrobimy?

- Podpalimy ten dom - zdecydował Teremon. - Wykurzimy ich. I zabijemy, jeśli okażą się na tyle szaleni, aby się nie poddać.

- Zabijemy ich? - Siferra patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Tak, zabijemy, jeśli nie pozostawią nam wyboru. Chcesz dotrzeć do Amgando, czy wolisz spędzić resztę życia ukrywając się w tym zaułku?

- Ale nie możesz tak po prostu zabijać ludzi, nawet jeśli ty... nawet gdyby oni...

Głos jej się załamał. Nie wiedziała już, co chciała powiedzieć.

- Nawet kiedy oni próbują zabić ciebie, Siferro? Nawet kiedy myślą sobie, że to niezła zabawa posłać ci nad uchem parę świszczących strzałów?

Nie odpowiedziała, Myślała, że zaczyna pojmować prawa rządzące tym nowym, potwornym światem, który narodził się w noc zaćmienia, lecz zdała sobie sprawę, że dotąd nie rozumiała absolutnie nic.

Teremon znów podczołgał się nieco w kierunku ulicy. Wycelował.

Rozżarzona wiązka światła uderzyła w białą fasadę domu na końcu ulicy. Drewno momentalnie szerniało. W górę wystrzeliły małe płomyki ognia. Pociągnął serię w poprzek frontowej ściany budynku, przerwał na chwilę, znów dał ognia, poprawiając drugą serią wzdłuż pierwszej.

- Daj mi swoją broń - powiedział. - Moja się przegrzewa.

Podala mu punktowiec. Ustawil go i wystrzelil po raz trzeci. Palił się już fragment przedniej ściany domu. Teremon nakierował promień do wewnątrz budynku.

„Nie tak dawno ten biały drewniany dom do kogoś należał - myślała Siferra. - Mieszkała tam jakaś rodzina, ludzie dumni ze swego domu i osiedla. Pielęgnowali trawnik, podlewali rośliny, bawili się ze zwierzętami, wydawali kolacje dla przyjaciół, siedzieli na tarasie, sącząc koktajle i obserwując słońca wędrujące po wieczornym niebie. Teraz to nie ma już żadnego znaczenia. W tej chwili Teremon systematycznie i skutecznie podpala ten dom, leżąc na brzuchu w zaułku usłanym gruzami i popiołem. Bo jest to jedyny sposób, abyśmy mogli się stąd bezpiecznie wydostać i iść dalej do Amgando”.

Doprawdy, świat rodem z sennego koszmaru.

Nad budynkiem unosił się teraz słup dymu. Cała lewa strona fasady stała w płomieniach.

Z okien na piętrze wyskakiwali ludzie.

Troje, czworo, pięcioro. Krztusili się, z trudem chwytając powietrze. Dwie kobiety, trzech mężczyzn. Spadli na trawnik i leżeli tam przez moment, jakby oszołomieni. Mieli obszarpane i brudne ubrania, rozczochrane włosy. Pomyleńcy. Byli kimś innym przed zapadnięciem nocy, ale teraz stanowili jedynie część tej nieprzeliczonej hordy ludzi niesionych z prądem wydarzeń, dzikich, o szalonym wzroku, których równowaga psychiczna została zachwiana, być może na zawsze, przez raptowną, niespodziewaną eksplozję oślepiającego blasku gwiazd, jaki spłynął na ich nie przygotowane zmysły.

- Wstawać! - krzyknął do nich Teremon. - Ręce do góry! Już! Szybciej! Rączki, rączki! - Wyszedł z ukrycia, trzymając oba punktowce. Siferra stanęła obok niego. Dom spowijały teraz kłęby gęstego dymu, a w głębi widoczne były potężne i groźne płomienie ognia, strzelające w górę ze wszystkich stron niczym łopoczące szkarłatne sztandary.

Czy w środku byli jeszcze uwięzieni ludzie? Któż to mógł wiedzieć? Co to miało za znaczenie?

- Ustawić się w szeregu! - rozkazał Teremon. - Właśnie tak! Twarzą na lewo!

Usiłowali wykonać polecenie. Jeden z mężczyzn nieco się ociągał i Teremon posłał wiązkę z punktowca tuż przy jego głowie, aby zachęcić go do współpracy.

- Teraz biegiem! Przed siebie! Szybciej! Szybciej! Jedna ściana budynku zawaliła się ze straszliwym, ogłuszającym łoskotem. Widać było wewnątrz pokoi - niczym w domku dla lalek, który przecięto na pół. Wszystko stało w płomieniach. Dzicy lokatorzy byli już niemal na rogu ulicy. Teremon nie przestawał ich przynaglać, pokrzykując i od czasu do czasu strzelając im pod nogi.

- W porządku. - Odwrócił się do Siferry. - Zbierajmy się stąd!

Schowali punktowce w kabury i pobiegli w przeciwnym kierunku, zmierzając do Wielkiej Autostrady Południowej.

- A gdyby się nie poddali, tylko zaczęli strzelać? - spytała Siferra, kiedy wreszcie w oddali zobaczyli wjazd na autostradę. Szli przez rozległe pola w jego kierunku. - Czy naprawdę byś ich zabił?

Teremon obrzucił ją twardym, zaciętym spojrzeniem.

- Myślałem, że już ci odpowiedziałem na to pytanie. Oczywiście, że tak bym zrobił, jeśli byłby to jedyny sposób, w jaki moglibyśmy się wydostać z tego zaułka. Nie miałbym wyboru. Co innego mógłbym zrobić?

- Sądzę, że nic - odparła Siferra ledwo dosłyszalnym szeptem.

Wciąż przed oczami miała obraz płonącego budynku. I uciekających ulicą ludzi w łachmanach.

To oni strzelali pierwsi. Oni zaczęli. Trudno powiedzieć, jak daleko by się posunęli, gdyby Teremon nie wpadł na pomysł podpalenia tego domu.

Domu... Czyjegoś domu...

„Niczyjego domu” - poprawiła się w myślach.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się Teremon. - Wielka Autostrada Południowa. Do Amgando mamy miłą, przyjemną pięciogodzinną przejażdżkę. Moglibyśmy tam być przed kolacją.

- Gdyby tak mieć samochód - dodała Siferra.

- Gdyby.

Wprawdzie Teremon niejedno widział, ale nie był przygotowany na to, co zobaczył na Wielkiej Autostradzie Południowej. To przerastało najkoszmarniejsze sny inżynierów ruchu drogowego.

Teremon i Siferra mijając przedmieścia wszędzie napotykali porzucone na ulicach pojazdy. Bez wątpienia wielu kierowców ogarniętych paniką w chwili pojawienia się gwiazd zatrzymało samochody i uciekło, mając nadzieję na znalezienie jakiejś kryjówki przed straszliwą, obezwładniającą jasnością, która nagle rozświetliła niebiosy.

Lecz opuszczone pojazdy zaśmiecające ulice tych spokojnych willowych dzielnic były przypadkowo rozrzucone tu i ówdzie. Na tych osiedlach ruch uliczny był najprawdopodobniej dość mały w chwili zaćmienia, jak zwykle u schyłku każdego powszedniego dnia.

Jednak Wielka Autostrada Południowa - zatłoczona międzymiastowym ruchem przelotowym - musiała zamienić się w istny dom wariatów w tym samym momencie, w którym światem wstrząsnął kataklizm.

- Spójrz tylko - wyszeptał Teremon przejęty grozą.

- Niewiarygodne. - Siferra potrząsnęła głową. Nie potrafiła nic więcej powiedzieć. -

Niewiarygodne.

Samochody były wszędzie - zwarte masy żelastwa nagromadzone w chaotycznej plątanie, miejscami stłoczone w sterty wysokości dwóch, trzech pojazdów. Szeroka szosa była niemal kompletnie zablokowana - prawdziwa ściana wraków nie do przebycia. Niektóre leżały do góry kołami. Z wielu pozostały jedynie wypalone szkielety. Jasne kałuże rozlanego paliwa błyszcząły niczym krystaliczne jeziora. Kupki szklanych odłamków nadawały nawierzchni złowróżbny połysk.

Martwe samochody i martwi kierowcy.

Nie oglądali jeszcze nic tak strasznego. Przed nimi rozciągała się nieprzeliczona armia trupów. Widzieli ciała tkwiące za kierownicami pojazdów, ciała zmiażdżone między samochodami, ciała przygniecione kołami. Ludzkie trupy z kończynami zastygłymi w groteskowych pozach zaścielały obie strony szosy niczym żalosne, porzucone lalki.

- Prawdopodobnie niektórzy kierowcy zatrzymali się natychmiast, kiedy pokazały się gwiazdy - powiedziała Siferra. - Inni przyspieszyli próbując zjechać z autostrady i dostać się do domu. Uderzali kolejno w te pojazdy, które stały. Jeszcze inni byli tak oszołomieni, że zupełnie zapominali, jak się prowadzi samochód - spójrz tam, ci przejechali przez balustradę i spadli w dół, a ten tu chyba zawrócił i próbował jechać pod prąd...

- Straszliwa, kolosalna kraksa. - Teremon z niedowierzaniem kręcił głową. - Pojazdy zderzające się ze wszystkich stron naraz. Obracane dookoła, przewalane na dach, ciskane w poprzek drogi na przeciwległe pasy ruchu. Ludzie uciekający, szukający schronienia, uderzani przez nadjeżdżające samochody. Wszystko oszalało na pięćdziesiąt różnych sposobów. - Zaśmiał się gorzko.

- Co takiego śmiesznego w tym widzisz, Teremonie? - spytała zaskoczona Siferra.

- Moją głupotę. Czy wiesz, Siferro, że pół godziny temu, kiedy zbliżaliśmy się do autostrady, przemknęła mi przez głowę szalona myśl, że moglibyśmy po prostu wsiąść do jakiegoś opuszczonego wozu, który okazałby się pełen paliwa i gotów do drogi, i pojechać nim do Amgando? Tak zwyczajnie, wygodnie... Ani przez moment nie pomyślałem, że szosa będzie kompletnie zatkana i że

nawet gdybyśmy mieli dość szczęścia, by znaleźć samochód nadający się do użytku, nie zdołalibyśmy przejechać nim i dziesięciu metrów...

- Nawet marsz tą drogą będzie wystarczająco trudny.

- Tak, ale musimy go podjąć.

W ponurym nastroju wyruszyli w długą drogę.

Było wczesne popołudnie. W ciepłych promieniach Onosa posuwali się ostrożnie przez pobożowisko na autostradzie, przedzierając się przez poskręcane i powyginane wraki pojazdów, usiłując nie zwracać uwagi na zwęglone trupy, wyschnięte kałuże krwi i unoszący się w powietrzu fetor śmierci.

Teremon czuł, jak narasta w nim obojętność. To było chyba najbardziej zatrważające. Po prostu przestał zauważać zakrzepłą krew, puste oczy trupów, ogrom katastrofy, która tutaj miała miejsce. Wdrapywanie się na spiętrzone góry pojazdów i przedzieranie między niebezpiecznie wystającymi kawałkami ostrego metalu było zajęciem na tyle pochłaniającym uwagę, że zmuszało go do całkowitej koncentracji i wkrótce przestał zważać na wszystko inne dokoła. Wiedział już, że nie miało sensu sprawdzanie, czy ktoś pozostał przy życiu. Każdy uwięziony tu przez tyle dni z pewnością zmarłby do tej chwili z wyczerpania.

Siferra także szybko się przystosowywała do tej koszarnej scenerii. Szła obok, uważnie pokonując przeszkody, czasem zatrzymując się, aby wskazać lukę w płataninie żelastwa, czasem posuwając się na czworakach, aby precyzyjnie przecisnąć się pod jakąś sterczącą blachą. Prawie się nie odzywała.

Byli niemal jedynymi żywymi istotami na szosie. Od czasu do czasu dostrzegali daleko przed sobą kogoś podążającego na południe lub nawet zmierzającego w kierunku Saro, lecz nigdy nie doszło do spotkania. Inni podróżni pośpiesznie usuwali się z zasięgu wzroku, kryjąc się w rumowisku lub też, jeżeli byli z przodu, zaczynali zapamiętale przedzierać się dalej w tempie, które świadczyło o panicznym strachu, i wkrótce znikali na horyzoncie.

„Czego się boją? - zastanawiał się Teremon. - Boją się, że ich zaatakujemy. Czy teraz każdy podnosi rękę na drugiego?”

Raz, w jakąś godzinę od rozpoczęcia wędrówki Wielką Autostradą Południową, ujrzeli ubłoconego mężczyznę, który szedł od auta do auta, rabował dobytek umarłych i szperał w ich portfelach. Na plecach dźwigał wielki worek łupów, tak wypchany, że poruszał się z trudem, ugięty pod jego ciężarem.

Teremon zaklął i sięgnął po punktowiec.

- Spójrz na tę nędzną kreaturę! Spójrz na niego!

- Teremonie, nie!

Siferra podbiła mu rękę w tej samej chwili, gdy posłał wiązkę w szabrownika. Strzał uderzył w sąsiedni samochód, na moment wzniecając ognisty blask odbitej energii.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał Teremon. - Chciałem go tylko nastraszyć.

- Myślałam... że ty...

- Nie. - Teremon ponuro pokręcił głową. - W każdym razie jeszcze nie teraz. Patrz, jak ucieka!

Rabus obrócił się na dźwięk wystrzału, spoglądając w obłędnym, nieprzytomnym zdziwieniu na Teremona i Siferrę. Jego oczy były puste, z ust ciekła mu ślina. Gapił się przez dłuższą chwilę, wreszcie porzucił worek i zaczął przemykać się w dzikiej, desperackiej ucieczce po dachach pojazdów. Szybko znikł im z oczu.

Ruszyli dalej.

Była to powolna, mozolna wędrówka. Lśniące znaki drogowe, zawieszane wysoko w górze na

podporach, szczyły z ich żalonych postępów ogłaszając, jak niewielki dystans udało im się przebyć. Do zachodu Onosa uszli zaledwie dwa i pół kilometra.

- W tym tempie dotarcie do Amgando zajmie nam blisko rok - zauważył Teremon posepnie.

- Będziemy się poruszać szybciej, kiedy nabierzemy nieco wprawy - odparła Siferra bez przekonania.

Gdyby tylko mogli iść jakąś ulicą równoległą do autostrady, nie musząc brnąć po zawalonej wrakami szosie, wszystko byłoby znacznie łatwiejsze. To jednak było niemożliwe. Wielka Autostrada Południowa biegła głównie estakadami, wznosząc się na wysokich słupach ponad połaciami lasu, bagnami i strefami przemysłowymi. Niekiedy szosa stawała się wiaduktem ponad terenami kopalni odkrywkowych. Czasami w dole lśniła tafla jeziora lub płynęła rzeka. Nie mieli wyboru, musieli iść trasą, która niegdyś stanowiła główne pasy ruchu autostrady, choć przedzieranie się przez nie mające końca szeregi wraków wymagało nadludzkiego prawie wysiłku.

Na ile mogli, starali trzymać się skraju drogi, gdyż było tam mniej rozbitych pojazdów.

Spoglądając na tereny w dole, wszędzie dostrzegali oznaki panującego wciąż chaosu.

Nadal szalały pożary, chociaż od zaćmienia minęło już tyle czasu. Aż po horyzont widać było wypalone domy. Sporadycznie niewielkie grupki zabłąkanych uchodźców, najwyraźniej ogłuszonych i oszołomionych, przedzierały się przez zavalone gruzami ulice w jakiejś beznadziejnej, desperackiej migracji. Czasem zdarzała się znaczniejsza grupa, tysiąc, a może więcej ludzi, obozująca na otwartej przestrzeni. Wszyscy odpoczywali rozłożeni bezładnie, pogrążeni w smutku i jakby sparaliżowani - ich wola i energia zostały doszczętnie zniweczone.

Siferra wskazała na wypaloną świątynię na szczycie wzgórza, niedaleko od autostrady. Mała grupka ludzi w łachmanach gramoliła się po zwalonych ścianach, podważała łomami jeszcze stojące bloki szarego kamienia, aby je obluzować i zepchnąć na dziedziniec.

- Oni ją chyba burzą - zauważyła. - Po co to robią?

- Ponieważ nienawidzą bogów - odparł Teremon. - Obwiniają ich o wszystko, co się stało...

Znasz Panteon, wielką Katedrę Wszystkich Bogów, tuż za lasem, ze sławnymi freskami Tamilandiego? Widziałem ją w parę dni po zaćmieniu. Była doszczętnie spalona - sterta gruzów, wszystko zniszczone i tylko jeden półprzytomny kapłan wystający ze stosu cegieł. Teraz wiem, że nie był to przypadek, iż spłonęła. Ogień podłożono z premedytacją. A kapłan... jakiś obłąkany zabił go na moich oczach i sądziłem, że po to, aby ukraść jego strojne szaty. Lecz może nie. Może uczynił to z czystej nienawiści.

- Ale przecież to nie kapłani spowodowali...

- Tak łatwo zapomniałaś Apostołów? Mondiora, przez całe miesiące wmawiającego nam, że to, co nastąpi, będzie zemstą bogów? Przez kapłanów przemawiają bogowie, czyż nie mam racji, Siferro? Skoro nie potrafili sprowadzić ludzkości ze złej ścieżki i bogowie musieli ukarać nas w tak okrutny sposób, to dlaczego nie założyć, że właśnie kapłani są odpowiedzialni za nadejście gwiazd? Tak przynajmniej mogą myśleć ludzie.

- Apostołowie! - wykrzyknęła Siferra z goryczą. - Chciałabym móc o nich zapomnieć. Jak myślisz, co teraz robią?

- Przeczekali zaćmienie cało i zdrowo w swoim wieżowcu.

- Tak. Musieli przetrwać noc w całkiem dobrym stanie.

Byli przecież przygotowani. Co mówił Altinol? Że już sprawują władzę nad północną częścią Saro? Teremon spoglądał posepnie na zdewastowaną świątynię.

- Mogę sobie łatwo wyobrazić ten rodzaj władzy - powiedział głucho. - Zadekretowana cnota. Mondior wydający nowe przykazania moralne w każdy Dzień Onosa. Wszystkie formy przyjemności

zabronione przez prawo. Cotygodniowe publiczne egzekucje grzeszników. - Splunął na wiatr. - O Ciemności! Pomyśleć, że mogłem zadusić Folimuna własnymi rękoma i pozwoliłem mu uciec...

- Teremonie!

- Wiem. Co dobrego by z tego wynikło? Jeden Apostoł mniej czy więcej... Niech sobie żyją. Niech ustanawiają swoją władzę i każdemu, kto ma taki niefort, iż znalazł się na północ od Saro, mówią, co ma robić i myśleć. Dlaczego mielibyśmy się tym przejmować? My zmierzamy na południe. To, co robią Apostołowie, nas nie dotyczy. Kiedy się wszystko skończy, będą po prostu władcami jednego z pięćdziesięciu rywalizujących ze sobą, skłóconych państw. Może jednego z pięciu tysięcy. Każda dzielnica będzie miała swojego własnego dyktatora, swojego własnego cesarza. - Głos Teremona załamał się nagle. - Och, Siferro, Siferro...

Ujęła go za rękę.

- Znów siebie obwiniasz, prawda? - spytała cicho.

- Skąd wiesz?

- Mówiłeś z takim przejęciem... Teremonie, powtarzam ci, nie jesteś niczemu winien! Wszystko zdarzyłoby się bez względu na to, co napisałeś w gazecie. Dlaczego nie możesz tego zrozumieć? Żaden człowiek nie zdołałby nic zmienić. To było przeznaczenie. Świat musiał przejść przez kataklizm i nikt nie mógł temu zapobiec...

- Przeznaczenie?! - przerwał jej Teremon gwałtownie. - Jak na ciebie, to dość dziwne słowo! Zemsta bogów, czy to miałaś na myśli?

- Nie powiedziałam ani słowa o bogach. Chodziło mi jedynie o to, iż było nam przeznaczone, że Kalgasz Dwa nadejdzie, lecz przeznaczone nie przez bogów, ale przez prawa astronomii, tak samo jak zaćmienie, noc i gwiazdy...

- Tak - rzucił Teremon obojętnie. - Też tak sędzę.

Szli przez zatłoczony odcinek autostrady. Onos już zaszedł, świeciły wieczorne słońca - Sitha, Tano i Dovim. Od zachodu wiał chłodny wiatr. Teremon czuł narastające ssanie w żołądku. Przez cały dzień nie mieli czasu, aby coś zjeść. Teraz zatrzymali się pomiędzy dwoma wypalonymi samochodami na odpoczynek i wyjęli kilka porcji zabranych z Sanktuarium.

Teremon ze zdziwieniem stwierdził, że nie ma apetytu i wmusza w siebie każdy kęs. Wykrzywione w przerażających grymasach twarze umarłych patrzyły na niego z pobliskich wozów. Idąc wciąż przed siebie, pokonując przeszkody, był w stanie je ignorować, ale teraz, kiedy siedział na środkowym pasie autostrady, najwspanialszej niegdyś drogi w prowincji, nie mógł zachować obojętności. Czuł się tak, jakby osobiście zamordował tych wszystkich ludzi wokół.

Zrobili sobie łóżka z miękkich foteli samochodowych i spali obok siebie płytkim, urywanym snem, który nie byłby wiele gorszy, gdyby położyli się wprost na twardej betonowej nawierzchni.

Przez cały czas budziły ich krzyki, chrapliwe śmiechy, śpiewy w oddali. Teremon raz wyrzwał przez barierkę i zobaczył ogniska na polach w dole, może o dwadzieścia minut marszu na wschód. Czy ktokolwiek jeszcze spał pod dachem? Czy też wpływ gwiazd był tak powszechny, że cała ludzkość wyniosła się ze swych domów, aby obozować pod gołym niebem podobnie jak on z Siferą, w dobrze znajomym świetle wiekuistych słońc?

Zdrzemnął się w końcu przed świtem. Ledwo zdążył zasnąć, gdy wzeszedł Onos, różowy, potem złocisty, i wyrwał go z niespokojnych, koszmarnych snów.

Siferą już się obudziła. Była blada, oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte.

Teremon zdobył się na uśmiech.

- Wyglądasz prześlicznie - powiedział do niej.

- O, to jeszcze nic. - Obojętnie wzruszyła ramionami. - Powinieneś mnie zobaczyć wtedy, gdy nie

myślałem przez całe dwa tygodnie.

- Ale ja chciałem powiedzieć...

- Wiem, co chciałeś powiedzieć - przerwała. - Przynajmniej tak sędzę.

Tego dnia zrobili sześć kilometrów, a każdy krok wymagał od nich wielkiego wysiłku.

- Potrzebujemy wody - powiedziała Siferra, kiedy zerwał się wieczorny wiatr. - Musimy przy najbliższym zjeździe opuścić autostradę i poszukać źródła.

- Masz rację - zgodził się Teremon. - Bez wody długo nie pociągniemy.

Odczuwał niepokój na myśl o zejściu na dół. Od początku podróży mieli autostradę wyłącznie dla siebie, a obecnie czuli się już niemal swojsko pośród płataniny rozbitych, zmiażdżonych i wypalonych pojazdów. W dole, polami szły bandy uchodźców („Zaraz, zaraz - pomyślał - dlaczego nazywam ich uchodźcami? Czyżbym ja się wybrał na jakąś wycieczkę?”) i Teremon nie miał wątpliwości, w jakiego rodzaju kłopoty ich dwoje może się wpakować.

Jednak Siferra miała rację. Musieli zejść na dół i znaleźć wodę. Zapas, który wzięli ze sobą, był prawie na wyczerpaniu. A być może także lepiej się poczują, kiedy spędzą trochę czasu z dala od nie kończącego się łańcucha zdemolowanych aut i sztywnych, jakby przyglądających się im trupów. Łatwiej będzie iść do Amgando.

- Kilometr do najbliższego zjazdu. - Teremon wskazał ręką na pobliski znak drogowy.

- Powinniśmy się tam dostać w godzinę.

- Mniej. Droga przed nami wygląda na dość pustą. Zejdziemy z autostrady, szybko załatwimy nasze sprawy, a potem wrócimy spać tu na górę. Bezpieczniej jest położyć się gdzieś między samochodami niż na otwartej przestrzeni.

Siferra uznała to za logiczne. Na tym stosunkowo mniej zapchanym kawałku drogi poruszali się prędko w kierunku zbliżającej się rampy zjazdowej, podróżując w tempie, jakiego nie osiągnęli na żadnym jeszcze odcinku autostrady. Niemal w mgnieniu oka dotarli do kolejnego znaku drogowego, który przypominał, że zjazd jest za pół kilometra.

Wtedy jednak szczęście przestało im sprzyjać. W tym miejscu szosa była zatarasowana przez tak potężny zwał wraków, iż Teremon uznał, że w ogóle nie będą w stanie przezeń się przedostać.

Musiała się tu rozegrać prawdziwie monstrualna seria wypadków, coś potwornego nawet jak na to wszystko, przez co on i Siferra dotąd przeszli. W samym środku tkwiły dwie olbrzymie ciężarówki, sczepione zderzak w zderzak niczym dwie dzikie, walczące bestie; wyglądało na to, że dziesiątki samochodów osobowych uderzały w nie, wylatując w górę i spadając na inne, które nadjeżdżały z tyłu, tworząc gigantyczną barierę, sięgającą od jednego krańca szosy do drugiego, a nawet poza boczną balustradę. Wystające zewsząd pogięte drzwi i błotniki, ostre jak brzytwa, oraz kawałki rozbitego szkła wydawały złowieszcze dźwięki, kiedy hulał pośród nich wiatr.

- Chodź tutaj! - zawołał Teremon. - Chyba znalazłem przejście: do góry przez tę przerwę, a potem po tej ciężarówce po lewej stronie... nie, nie, to się nie uda, musimy przejść dołem...

Siferra podeszła bliżej. Pokazał jej, dlaczego zrezygnował z pierwotnego zamysłu. Przy drugim krańcu zwałowiska grupa samochodów sterczała pionowo w górę. Ich błotniki i kawałki blach jeżyły się niczym ostrza noży.

Zaczęli się przeciskać pod spodem. Było to mozolne, uciążliwe i bolesne czołganie się w brudzie, przez odłamki szkła i lepkie kałuże paliwa. W połowie drogi musieli odpocząć.

Teremon pierwszy wynurzył się po drugiej stronie przeszkody.

- Bogowie! - jęknął. - Co teraz?

Jakieś piętnaście metrów przed nimi autostrada była pusta i zaraz wznosiła się druga zaporą, przegradzająca drogę w poprzek. Ta jednak została skonstruowana rozmyślnie - sterta drzwi i kół

starannie nagromadzonych na wysokość dwóch, trzech metrów.

Przed frontem tej barykady ze dwudziestu ludzi rozłożyło się obozowiskiem na środku autostrady. Teremon tak był pochłonięty przeciskaniem się przez gąszcz wraków, że nie zwracał uwagi na odgłosy dochodzące z drugiej strony.

Siferra wyczołgała się spod zwałowiska i stanęła mu za plecami. Słyszał, jak wstrzymała oddech ze zdumienia.

- Trzymaj rękę na punktowcu - wyszeptał - ale go nie wyciągaj. Niech ci nawet przez myśl nie przyjdzie go użyć. Jest ich zbyt wielu.

Sześciu czy siedmiu krzepko wyglądających mężczyzn niespiesznie ruszyło w ich stronę. Teremon stojąc bez ruchu obserwował, jak się zbliżają. Widział, że od tego spotkania nie ma ucieczki, żadnej nadziei na odwrót przez labirynt wraków, który właśnie pokonali. Na tej niewielkiej przestrzeni między dwiema barierkami byli z Siferrą zamknięci w pułapce. Mogli jedynie czekać na to, co się wydarzy, i mieć nadzieję, że ci ludzie okażą się w miarę normalni.

Wysoki, barczysty mężczyzna o zimnym spojrzeniu zbliżał się powoli do Teremona, aż znalazł się z nim niemal twarzą w twarz.

- Dobra, chłopcze - odezwał się. - To jest stacja kontroli. - Ostatnie słowo wymówił ze szczególnym naciskiem.

- Stacja kontroli? - powtórzył Teremon chłodno. - A cóż to kontrolujecie?

- Nie bądź taki mądry, bo przelecisz przez balustradę głową naprzód. Wiesz cholernie dobrze, co kontrolujemy. Nie pogarszaj swojej sytuacji.

Skinął na pozostałych, a ci podeszli i zaczęli obmacywać ubrania ich obojga. Teremon ze złością odepchnął rewidujące go ręce.

- Pozwólcie nam przejść - rzekł ostro.

- Nikt nie przechodzi tędy bez kontroli.

- Czyja to decyzja?

- Moja. Zgodzisz się dobrowolnie, czy trzeba będzie cię zmusić?

- Teremonie... - szepnęła Siferrą z niepokojem. Strząsnął jej rękę. Narastała w nim wściekłość.

Rozum podpowiadał mu, że próba oporu jest szaleństwem, gdyż przeciwnicy zdecydowanie przewyższali ich liczebnie, a ten wysoki mężczyzna wyraźnie nie żartował.

Ci ludzie nie wyglądali na zwykłych bandytów. Było coś brzmiącego jakby oficjalnie w słowach tego mężczyzny, jak gdyby znajdowali się na jakiejś granicy, może w punkcie celnym. Czego szukali w czasie kontroli? Żywności? Broni? Czy ci ludzie spróbują odebrać im punktowce? Teremon uznał, że lepiej oddać im wszystko, niż głupio zginąć w beznadziejnej próbie walki o prawo do swobodnego podróżowania.

Z drugiej strony, być poniewieranym w ten sposób, zmuszanym do uległości na publicznej drodze...

Poza tym nie mogli sobie pozwolić na oddanie punktowców ani zapasu żywności. Od Amgando dzieliły ich wciąż setki kilometrów.

- Ostrzegam cię... - zaczął wysoki mężczyzna.

- A ja ostrzegam ciebie, trzymaj łapy przy sobie. Jestem obywatelem Federalnej Republiki Saro, ta autostrada jest wciąż otwarta dla wszystkich obywateli, niezależnie od tego, co się zdarzyło. Nie masz nade mną żadnej władzy.

- Gada jak profesor - roześmiał się jeden z mężczyzn. - Te wywody o jego prawach i cała reszta.

- Mamy już swojego profesora. - Wysoki mężczyzna wzruszył ramionami. - Więcej nie potrzebujemy. Wystarczy tej gadki. Bierzcie go i poddajcie kontroli. Od stóp do głów.

- Puście... mnie...

Jakaś ręka chwyciła Teremona za ramię. Szybkim ruchem wyprowadził w górę pięść i wpakował ją w czyjeś zębra. To wszystko wydało mu się bardzo znajome: kolejna bójka, kolejne lanie, które go oczekiwało. Jednak był zdecydowany walczyć. W chwilę później ktoś uderzył go w twarz, a ktoś inny złapał za łokieć. Usłyszał Siferre krzyczącą ze strachu i wściekłości. Spróbował się uwolnić, znów kogoś uderzył, sam został uderzony, uchylił się, obrócił, dostał potężny, bolesny cios w głowę...

- Hej, zaczekajcie! - doszedł go jakiś głos. - Przestańcie! Batella, zostaw tego człowieka! Fridnor! Talpin! Puście go!

Ten głos był znajomy.

Ale skąd?

Kontrolerzy cofnęli się. Teremon, chwiejąc się nieco i starając utrzymać równowagę, spojrział na nowo przybyłego.

Szczupły, zylasty mężczyzna, szczerzący do niego zęby w uśmiechu, inteligentne błyszczące oczy spoglądające z brudnej od kurzu twarzy...

Tak, znał tego człowieka.

- Biney!

- Teremon! Siferra!

W jednej chwili ich sytuacja całkowicie się zmieniła. Biney zaprowadził Teremona i Siferre do zadziwiającego przytulnego małego gniazdka zaraz po drugiej stronie barykady: poduszki, zasłony, rząd pojemników zawierających najprawdopodobniej różne do jedzenia. Leżała tam szczupła, młoda kobieta, nogę miała zabandażowaną. Wyglądała na chorą i rozpaloną gorączką, ale gdy wstał, posłała im przelotny blady uśmiech.

- Na pewno pamiętasz Kaisse, prawda, Teicmonie? - powiedział Biney. Raisso jest Siferra Wydziału Archeologii. Mówiłem ci o niej i o jej odkryciach na temat pożarów w dalekiej przeszłości. Rai ssa jest moją kontraktową partnerką - wyjaśnił Siferze.

Teremon znał Raissę, spotkał ją kilka razy, widując się z Bineyem, ale to było w innej epoce, w świecie, który już umarł. Z trudem ją rozpoznał. Pamiętał miłą, smukłą, gustownie ubraną kobietę, zawsze zadbaną i elegancką, a teraz... Ta wychudzona, wątła i wymizerowana dziewczyna o zapadłych oczach, z posklejnymi włosami... To cień dawnej Raissy!

Czy rzeczywiście zaledwie kilka tygodni upłynęło od zmierzchu? Nagle wydało mu się to całymi latami. Niemal wiecznością - musiało minąć kilka epok geologicznych...

- Teremonie, co byś powiedział na kieliszek koniaku? - zaproponował Biney.

- Mówisz serio? - Teremon szeroko otworzył oczy ze zdziwienia. - Czy wiesz, od jak dawna nie miałem alkoholu w ustach? O ironio losu! Ty, abstynent, którego musiałem namawiać do wypicia pierwszego łyku Tano Special, ty właśnie masz tu schowaną ostatnią butelkę koniaku na świecie!

- Siferro? - Biney ustawił kieliszki.

- Poproszę. Ale tylko odrobinę.

- To jest właśnie dokładnie tyle, ile mamy. - Astronom nalał trzy porcje wielkości naparstka. Teremon poczuł, że koniak zaczyna go rozgrzewać.

- Biney, o co tu chodzi? - zapytał. - Co to za kontrola?

- To ty nic nie wiesz o kontroli?

- Nic a nic.

- Gdzieście się obydwójce podziewali od zaćmienia?

- Głównie w lesie. Siferra odnalazła mnie pobitego przez jakichś bandytów i zabrała do

Sanktuarium, abym mógł wylizać się z ran. A przez ostatnie parę dni idziemy tą drogą, mając nadzieję dotrzeć do Amgando.

- A więc wiecie o Amgando?

- Od ciebie, tyle że nie bezpośrednio. W lesie spotkałem Szirina. Był w Sanktuarium niebawem po waszym odejściu i znalazł twoją wiadomość na temat Amgando. Powiedział to mnie, a ja Siferze. I razem zdecydowaliśmy, że tam pójdziemy.

- Razem z Szirinem? To gdzie on jest w takim razie?

- Nie szedł z nami. On i ja rozdzieliliśmy się parę dni temu. Szirin wyruszył do Amgando na własną rękę, a ja zostałem w lesie, by odszukać Siferę. Nie mam pojęcia, co się z nim stało... Biney, czy mógłbym dostać jeszcze jeden łyceczek? Zaczęłaś mówić o kontroli.

Biney nalał Teremonowi kolejną porcję. Spojrzał na Siferę, która przecząco potrząsnęła głową.

- Jeśli Szirin podróżował sam, najprawdopodobniej wpadł w tarapaty - rzekł z niepokojem. - Nie przechodził tą drogą, od kiedy ja tu jestem, a Wielka Autostrada Południowa jest jedynym szlakiem, którym podąża każdy, kto pragnie dostać się z Saro do Amgando. Będziemy musieli wysłać grupę zwiadowczą na jego poszukiwanie... A kontrola to jedno z nowych zajęć, któremu ludzie się teraz z upodobaniem oddają. Tutaj jest oficjalna stacja kontroli. Taka sama znajduje się na granicy każdej prowincji, przez którą biegnie Wielka Autostrada Południowa.

- Znajdujemy się zaledwie o parę kilometrów od miasta - zauważył Teremon. - To jest ciągle prowincja Saro.

- Już nie. Żadne dawne władze prowincji nie istnieją. To, co pozostało z Saro, podzielono na kawałki - słyszałem, że Apostołowie Płomieni dostali dużą część po drugiej stronie miasta, a teren lasu i uniwersytetu jest pod kontrolą niejakiego Altinola, który kieruje paramilitarną grupą, nazywającą siebie strażą ogniową. Może natknęliście się na nich?

- Przez parę dni byłem oficerem w straży ogniowej - powiedziała Siferra. - Ta zielona chusta, którą noszę, jest ich oznaką, jakby mundurem.

- A więc wiecie, co się stało - stwierdził Biney. - Stary system się rozpadł, powstało milion marionetkowych ośrodków władzy, wyrastających wszędzie jak grzyby po deszczu. Teraz przekroczyliście granicę prowincji. Odbudowa, która rozciąga się wzdłuż autostrady na przestrzeni około dziesięciu kilometrów. Gdy dotrzecie do następnej stacji kontroli, będziecie już w prowincji Sześć Słońc. Za nią jest Boża Ziemia, dalej Nowy Świt, a potem... no, mniejsza z tym. Granice i nazwy zmieniają się co kilka dni, w miarę jak ludzie wędrują do innych miejsc.

- A kontrola? - przypomniał Teremon.

- To nowy obłęd. Wszyscy obawiają się podpalaczy. Wiecie, co to za jedni? Wariaci, którzy uważają, że to, co zdarzyło się w czasie zaćmienia, było świetną zabawą. Włóczą się dookoła i puszczają z dymem, co się da. Słyszałem, że trzecią część Saro spalono w nocy, gdy ludzie w panice usiłowali odpędzić gwiazdy, ale kolejna jedna trzecia spłonęła dopiero potem, mimo że gwiazdy już dawno znikły. To jakaś choroba. Tak więc ludzie, którzy w mniejszym czy większym stopniu pozostali przy zdrowych zmysłach - teraz wśród takich się znajdujecie, gdybyście mieli co do tego wątpliwości - rewidują każdego, poszukując środków do rozpalania ognia. Zabronione jest posiadanie zapalek, zapalniczek, punktowców czy czegokolwiek innego, co może służyć do...

- Podobnie dzieje się na obrzeżach miasta - wtrąciła Siferra. - To jest właśnie główna idea straży ogniowej. Altinol i jego ludzie ustanowili siebie jedynymi, którzy mają prawo używać ognia.

- A ja zostałem zaatakowany, gdy próbowałem przygotować sobie w lesie posiłek - dodał Teremon. - Możliwe, że to też byli ludzie zajmujący się kontrolą. Zatłukliby mnie na śmierć, gdyby Siferra i jej straż nie pojawili się we właściwym momencie, zupełnie tak jak ty teraz.

- Cóż - westchnął Biney. - Nie mam pojęcia, na kogo natknąłeś się w lesie, ale tutaj kontrola jest swoistym rytuałem, związanym z tym samym problemem. Wszędzie dookoła każdy kontroluje każdego bez żadnej taryfy ulgowej. Podejrzliwość jest powszechna i nikt nie może być wyjątkiem. To jak gorączka - gorączka strachu. Tylko niewielkie elity, w rodzaju straży ogniowej Altinola, mogą mieć środki zapalające. Na każdej granicy musisz oddać narzędzia i przyrządy do rozpalania ognia miejscowym władzom, takim jakie akurat tam są w danym momencie. Teremonie, możecie równie dobrze zostawić punktowce u mnie. Nigdy nie dojdziecie z nimi do Amgando.

- Nigdy nie dostaniemy się tam bez nich - odparł Teremon.

- Może tak, może nie. - Biney wzruszył ramionami. - Na pewno zostaniecie rozbrojeni gdzieś po drodze. Kiedy następnym razem wpadniecie na ludzi z kontroli, mnie tam nie będzie. Kto ich powstrzyma?

Teremon rozważył to w myślach.

- A jak to się stało, że tych ludzi zdołałeś nakłonić do posłuchu? - zapytał. - A może jesteś tu głównym kontrolerem?

- Głównym kontrolerem? - Biney wybuchnął śmiechem. - Nie, skądże! Ale mnie szanują. Rozumiesz, jestem ich oficjalnym profesorem. Czy wiesz o tym, że istnieją tereny, gdzie ludzie z uniwersytetu są znieawidzeni? Są z miejsca mordowani przez tłumy szaleńców, którzy myślą, że to my spowodowaliśmy zaćmienie i przygotowujemy następne. Ale nie tutaj. Tu uważają mnie za pożytecznego ze względu na moją inteligencję - umiem układać noty dyplomatyczne do sąsiednich prowincji, mam jakieś takie pojęcie, co należy zrobić, aby zepsute rzeczy zaczęły na nowo działać, mogę nawet wyjaśnić, dlaczego Ciemność nie wróci i dlaczego nikt nie będzie musiał patrzeć na gwiazdy przez następne dwa tysiące lat. Słuchając tego czują się uspokojeni. A więc osiadłem pośród nich. Żywią nas i opiekują się Raissą, a ja za nich myślę. To taka miła symbioza.

- Szirin powiedział mi, że wybierałeś się do Amgando - rzekł Teremon.

- Tak. Tacy ludzie jak ty czy ja powinni pójść do Amgando. Niestety, my z Raissą wpadliśmy po drodze w kłopoty. Słyszałeś, jak ci mówiłem, że szaleńcy polują na ludzi z uniwersytetu? My sami niemal daliśmy się złapać przez taką gromadę, gdy zmierzaliśmy przez przedmieścia na południe. Wszystkie tereny po południowej stronie lasu są teraz zajęte przez dzikich lokatorów.

- Natknęliśmy się na paru z nich - wtrącił Teremon.

- A więc wiecie. Otoczyli nas całą zgrają. Już po sposobie mówienia mogli poznać, że jesteśmy ludźmi wykształconymi, a potem jeszcze ktoś mnie rozpoznał. Teremonie, rozpoznał mnie ze zdjęcia w gazecie. Pamiętasz? Przeprowadzałeś ze mną wywiad na temat zaćmienia. Ten ktoś stwierdził, że jestem z obserwatorium, że jestem tym człowiekiem, który sprawił, że pojawiły się gwiazdy. - Przez chwilę Biney wpatrywał się pustym wzrokiem w przestrzeń. - Już nas chcieli wykończyć, ale mieliśmy szczęście. Pojawił się inny gang - przypuszczam, że jacyś miejscowi rywale. Zaczęli wrzeszczeć, rzucać butelkami, wywijać nożami kuchennymi. Zaczęło się zamieszanie i to nas ocaliło. Zdołaliśmy uciec. Ci pomyłeńcy są jak dzieci, nie potrafią myśleć o dwóch rzeczach naraz. Ale gdy przekradaliśmy się wąską ścieżką między dwoma wypalonymi budynkami, Raissą skaleczyła sobie nogę o jakieś szkło. Przeszliśmy cały ten kawał drogi aż dotąd, ale wdało się zakażenie i Raissą nie mogła pójść dalej.

- Rozumiem. - Teremon pokiwał głową. "Nic więc dziwnego, że tak strasznie wygląda" - pomyślał.

- Wciąż mieliśmy szczęście. Strażnicy na granicy prowincji Odbudowa potrzebowali profesora. Wzięli nas do siebie. Jesteśmy tu już od tygodnia, a może od dziesięciu dni. Przypuszczam, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, Raissa będzie zdolna do podróży za tydzień, a raczej za dwa. Potem

poproszę zwierzchnika tej prowincji o wystawienie dla nas paszportów, abyśmy mogli przedostać się bezpiecznie przynajmniej przez kilka najbliższych państweczek, i wtedy wyruszymy do Amgando. Będzie nam bardzo miło, jeśli zostaniecie z nami do tego czasu, a potem moglibyśmy razem wyprawić się na południe, jeśli zechcecie. Na pewno w ten sposób byłoby bezpieczniej... Czy czegoś chcesz ode mnie, Batello?

Wysoki mężczyzna, który próbował zrewidować Teremona przy barykadzie, wetknął głowę przez kotary zasłaniające izdebkę Bineya.

- Panie profesorze, właśnie przybył posłaniec z prowincji Imperiał. Przyniósł jakieś wieści z miasta. Nie możemy zbyt wiele z tego zrozumieć.

- Pozwól mi spojrzeć - powiedział Biney wyciągając rękę i biorąc zwinięty kawałek papieru. - Posłańcy kursują przez cały czas, tam i z powrotem, pomiędzy różnymi prowincjami - wyjaśnił Teremonowi. - Imperiał rozciąga się na pomoc i na wschód od autostrady sięgając samego miasta... Większość z tutejszych kontrolerów nie umie za dobrze czytać. Długotrwały kontakt z gwiazdami najwyraźniej uszkodził ich ośrodki mowy czy coś w tym rodzaju.

Biney umilkł. Studiował wiadomość gniewnie marszcząc brwi i zaciskając usta, mamrotał coś na temat charakteru pisma i ortografii po zaćmieniu. Po chwili sposepniał.

- Mój Boże! - zakrzyknął. - Ci nędzni, potworni, plugawi... - Drżały mu ręce. Spojrzał na Teremona dzikim wzrokiem. - Apostołowie Płomieni nadchodzą. Zgromadzili armię i zamierzają pomaszerować do Amgando, usuwając władze nowych prowincji, które powstały wzdłuż drogi. A kiedy dotrą do Amgando, zniszczą ustanowiony tam ośrodek władzy i ogłoszą siebie jedyną w całej republice legalną siłą rządzącą.

Teremon poczuł na ramieniu zaciskające się palce Siferry.

Odwrócił się i dostrzegł przerażenie malujące się na jej twarzy. Wiedział, że sam musi wyglądać bardzo podobnie.

- Nadchodzą... - powoli wycedził przez zęby. - Armia Apostołów.

- Teremonie, Siferro, wyruszajcie! - zdecydował Biney. - Natychmiast! Jeśli nie zdążycie przed nadejściem Apostołów, wszystko będzie stracone!

- Mówisz, że mamy iść do Amgando, tak? - upewnił się Teremon.

- Tak, tak! Nie traćcie ani chwili dłużej. Jest tam obecnie cała społeczność uniwersytecka, która noc przetrwała w Sanktuarium, a także naukowcy z innych uczelni, wykształceni ludzie z całej republiki. Ty i Siferro musicie ich ostrzec. Niech jak najszybciej się rozproszą. Jeśli Apostołowie zastaną ich w Amgando, Mondior zdoła zgnieść jedyny załążek przyszłego legalnego rządu, wszystkich za jednym zamachem. Może nawet zarządzić masową egzekucję naukowców... Słuchaj, wystawię wam paszporty, dzięki którym przedostaniecie się przez kilka następnych stacji kontroli. Dalej, poza zasięgiem naszych wpływów, musicie poddać się kontroli i pozwolić im zabrać wszystko, co tylko zechcą, i wciąż zdążać na południe. Nie możecie sobie pozwolić na to, by przeszkodziły wam sprawy drugorzędne, jak sprzeciwianie się kontroli. Teremonie, musicie ostrzec grupę w Amgando!

- A ty? Czy zamierzasz po prostu tutaj zostać?

- Co mogę zrobić innego? - spytał Biney ze zdziwieniem.

- Ale... kiedy przyjdą Apostołowie...

- Kiedy przyjdą Apostołowie, stanie się, co ma się stać. Chyba nie przypuszczasz, że zostawię Raissę i ucieknę z wami do Amgando?

- No... nie...

- A więc nie mam wyboru, prawda? Prawda?! Zostaję tutaj z Raissą.

Teremon ścisnął palcami skronie. Czuł, że za chwilę z bólu pęknie mu głowa.

- Nie ma innego wyjścia, Teremonie - odezwała się Siferra.

23-Nastanie nocy 353

- Wiem, wiem. Niemniej myśl o tym, że Mondior i jego banda pochwycą człowieka tak wartościowego jak Biney... może go nawet zabiją...

- Kto wie? - Biney uśmiechnął się i na moment położył rękę na ramieniu przyjaciela. - Może Mondior zechce zatrzymać parkę profesorów jako maskotki? Tak czy inaczej to, co stanie się ze mną, jest w tej chwili nieistotne. Moje miejsce jest przy Raissie, wasze - na autostradzie. Musicie gnać na złamanie karku. Chodźcie, przygotuję posiłek, później dam wam jakieś oficjalnie wyglądające dokumenty. A potem w drogę. - Zawahał się. - To też wam się przyda. - Nalał resztkę koniaku, nie więcej niż łyk, do pustego kieliszka Teremona. - Do dna!

Na granicy prowincji Odbudowa i Sześć Słońc nie mieli żadnych problemów z przebrnięciem przez kontrolę. Urzędnik, sprawiający wrażenie kogoś, kto mógł być księgowym lub prawnikiem w świecie, który już nie istniał, rzucił tylko okiem na paszporty wypisane przez Bineya, skinął głową ujrzawszy na dole ozdobny podpis "Biney 25" i machnął ręką, aby szli dalej.

Dwa dni później, kiedy przechodzili z Sześciu Słońc do Bożej Ziemi, nie poszło im już tak łatwo. Tu patrol graniczny wyglądał jak banda rzezimieszków, którzy równie dobrze mogli przerzucić Teremona i Siferrę przez balustradę estakady, jak chcieć w ogóle zerknąć na ich dokumenty. Przez niepokojąco długą chwilę Teremon wymachiwał im przed nosem paszportem niczym jakąś czarodziejską różdżką. Wreszcie czar podziałał.

- Czy to przepustka? - spytał główny rzezimieszek.

- Tak, paszport. Zwolnienie z kontroli.

- Od kogo?

- Od Bineya 25, naczelnego zarządcy kontroli w prowincji Odbudowa. To dwie prowincje stąd.

- Wiem, gdzie jest prowincja Odbudowa. Przeczytaj mi.

- "Celem przedstawienia wszystkim odnośnym władzom: zaświadcza się, że posiadacze niniejszego dokumentu, Teremon 762 i Siferra 89, są akredytowanymi w zgodzie z prawem przedstawicielami Straży Ogniowej Prowincji Saro i są uprawnieni do..."

- Straż, ogniowa? Co to jest?

- Banda Altinola - mruknął jeden z jego ludzi.

- Aha. - Główny rzezimieszek skinął głową na punktowce, które wisały u pasów Teremona i Siferry. - A więc Altinol chciałby, abyście maszerowali sobie przez różne państwa wymachując bronią, która może postawić w ogień całe dzielnice?

- Idziemy z misją specjalną do ludzi w Parku Narodowym Amgando - zaczęła tłumaczyć Siferra. - Jest sprawą najwyższej wagi, abyśmy się tam bezpiecznie dostali. - Dotknęła zielonej chusty. - Wicie, co to oznacza? My gasimy ogień, a nie rozpalamy. Jeśli nie osiągniemy Amgando na czas. Apostołowie Płomieni przemaszerują tą autostradą niszcząc wszystko, co próbujecie tutaj stworzyć.

„To nie ma wiele sensu - pomyślał Teremon. - Nawet jeśli dotrzemy do Amgando, nic i nikt nie obroni przed Apostołami małych republik na północnym krańcu autostrady”.

Okazało się jednak, że zdecydowane i pełne pasji wystąpienie Siferry było skuteczne. Na moment zapadła cisza. Strażnik graniczny usiłował zrozumieć tylko co usłyszane słowa. Zmarszczył brwi z irytacją, rzucił towarzyszący zakłopotane spojrzenie, a potem nagle, niemal zapalczywie krzyknął

- W porządku! Przechodźcie. Zjeżdżajcie stąd, do diabła, i żebyście was więcej nie widział w prowincji Sześć Słońc albo pozałujecie... Apostołowie! Amgando!

- Dziękuję uprzejmie - odpowiedział Teremon z grzecznością tak bliską sarkazmowi, że Siferra chwyciła go za rękę i popchnęła naprzód, zanim zdążył wciągnąć ich w prawdziwe kłopoty.

Na tym odcinku trasy mogli poruszać się szybciej. Dziennie pokonywali dwadzieścia kilometrów, a czasem nawet więcej. Obywatele nowych prowincji, noszących dumne nazwy Sześć Słońc, Boża Ziemia, Mowy Świt, uprzętnęli już większość pojazdów, które tarasowały szosę po zaćmieniu. W regularnych odstępach wzniesiono barykady z wraków - było pewne, że długo jeszcze nikt nie będzie mógł jechać Wielką Autostradą Południową - ale między posterunkami można było teraz iść równym krokiem, nie będąc zmuszonym poruszać się na dworakach czy czołgać poprzez odrażające zwąły żelastwa.

Zmarłych pogrzebano. Wszystko zaczynało wyglądać niemal porządnie, choć jeszcze nie normalnie. Nawet nie przypominało normalności.

Widzieli teraz po obu stronach autostrady tylko pojedyncze pożary, ale wypalone miasta spotykali wzdłuż całej trasy. Obozy uchodźców utworzono co dwa, trzy kilometry i kiedy sami energicznie maszerowali estakadą, dostrzegali w dole smutnych i oszołomionych ludzi z obozów, poruszających się wolno i bez celu w ich obrębie, jakby tej jednej straszliwej nocy postarzeliby się o pięćdziesiąt lat.

Teremon doszedł do wniosku, że nowo powstałe prowincje były po prostu łańcuchami takich obozów połączonych ze sobą linią Wielkiej Autostrady Południowej. W każdym okręgu wyrosli miejscowi władcy, którzy zdołali wykroić dla siebie małe królestwo, marionetkowe państewko rozciągające się na kilkanaście kilometrów wzdłuż szosy i najwyżej dwa kilometry po każdej jej stronie. Pozostawało tajemnicą, co się działo za wschodnimi i zachodnimi granicami tych nowych prowincji. Wyglądało na to, że nie istniały żadne radiowe ani telewizyjne środki łączności.

- Czy naprawdę nie było żadnych przygotowań na wypadek katastrofy? - zapytał Teremon, zwracając się raczej w przestrzeń niż do Siferry.

Siferra jednak odpowiedziała.

- Przewidywania Athora brzmiały zbyt fantastycznie, by rząd mógł je potraktować poważnie. Poza tym to byłaby woda na młyn Mondiora, jeśli władze przyznałyby, że cywilizacja może ulec zagładzie w jednym krótkim okresie Ciemności, szczególnie jeżeli nadejście tego momentu można dokładnie przewidzieć.

- Ale zaćmienie...

- Tak, być może część ludzi na wysokich stanowiskach była zdolna zrozumieć wykresy i naprawdę uwierzyła, że nadchodzi zaćmienie, a więc i Ciemność, lecz jakże mogli odgadnąć znaczenie gwiazd? Gwiazdy uważano za wymysł Apostołów Płomieni, pamiętasz? Nawet gdyby rząd wiedział, że przyjdzie coś takiego jak gwiazdy, to i tak nikt nie był zdolny przewidzieć ich wpływu na ludzkie umysły.

- Szińn to przewidział - rzekł Teremon.

- Nie, on także nie. Nawet się tego nie domyślał. Był wybitnym specjalistą od zaburzeń wywoływanych przez ciemność, a nie przez niewyobrażalną poświatę wypełniającą całe niebo.

- Patrząc na zniszczenia, na chaos wokół, wygodniej jest myśleć, że to nie było konieczne, że można tego było jakoś uniknąć.

- A jednak tak się nie stało.

- Może następnym razem będzie lepiej. Siferra roześmiała się głośno.

- Następnym razem zdarzy się za dwa tysiące czterdzieści dziewięć lat. Miejmy nadzieję, że zostawimy naszym potomkom ostrzeżenie, które wyda im się bardziej wiarygodne niż Księga Objawień większości z nas.

Odwróciła głowę i spojrzała badawczo na długi odcinek drogi, który pokonali w ciągu kilku

ostatnich dni uporczywego marszu.

- Obawiasz się, że ujrzysz Apostołów pędzących za nami z ogłuszającym rykiem? - zapytał Teremon.

- A ty się tego nie boisz? Mimo że posuwamy się ostatnio bardzo szybko, jesteśmy wciąż o setki kilometrów od Amgando. Co będzie, jeżeli nas dogonią, Teremonie?

- To się im nie uda. Armia nie jest w stanie poruszać się tak szybko, jak dwoje zdrowych, pełnych determinacji ludzi. Ich środki transportu nie są lepsze od naszych - para nóg na każdego żołnierza, koniec, kropka. Jest także cała gama problemów logistycznych, które zmuszą ich do zwolnienia marszu.

- Mam nadzieję.

- Ponadto z informacji, którą otrzymał Biney, wynikało, że Apostołowie planują postój w każdej nowo powstałej prowincji, aby ustanowić tam swoją władzę. Unicestwienie tych wszystkich upartych, marionetkowych ksiąstewek zajmie im sporo czasu. Jeśli sami nie natkniemy się na jakieś nieprzewidziane przeszkody, to będziemy w Amgando na całe tygodnie przed nimi.

- Jak myślisz, co się stanie z Bineyem i Raissą? - zapytała Siferra po chwili.

- Biney to całkiem sprytny chłopak. Podejrzewam, że wynajdzie jakiś sposób, aby na coś się przydać Mondiorowi.

- A jeżeli nie?

- Siferro, czy naprawdę musimy tracić naszą energię na wymyślanie okropnych scenariuszy? I tak, do diabła, nic nie możemy na to poradzić!

- Wybacz - powiedziała ostro. - Nie wiedziałam, że jesteś taki wrażliwy.

- Siferro...

- Już dobrze. Może to ja jestem przewrażliwiona.

- Wszystko się ułoży po naszej myśli - rzekł Teremon. - Bineyowi i Raissie nic się nie stanie. Dotrzemy do Amgando na długo przed czasem i przekażemy ostrzeżenie. Apostołowie Płomieni nie podbiją całego świata.

- A wszyscy umarli powstaną i pójdą na spacer. Och, Teremonie, Teremonie... - Jej głos się załamał.

- Wiem, wiem.

- Co zrobimy?

- Przyśpieszymy kroku, i już! I nie będziemy się oglądać za siebie. Z tego nic dobrego nie wynika.

- Zupełnie nic dobrego - zgodziła się Siferra, po czym uśmiechnęła się i wzięła Teremona za rękę. Oboje w milczeniu szybko ruszyli naprzód.

Teremon z radosnym zdumieniem spostrzegł, że teraz pokonywali drogę w niezłym tempie. Przez kilka pierwszych dni, kiedy szli przedmieściami Saro i przedzierali się przez zatarasowany wrakami północny koniec autostrady, ich wędrówka była bardzo powolna, a wszystkie mięśnie ostro protestowały przeciw wysiłkowi, do którego były zmuszane. Obecnie poruszali się niby dwa automaty skonstruowane specjalnie po to, by iść, doskonale przystosowane do tego zadania. Nogi Siferry były niemal tak długie, jak jego własne, szli więc razem krok w krok - ich mięśnie pracowały sprawnie, serca miarowo tłoczyły krew, płuca wdychały i wydychały powietrze w idealnym rytmie. Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa...

Oczywiście mieli jeszcze do przejścia setki kilometrów, lecz to nie powinno trwać długo, jeśli utrzymają takie tempo. Może miesiąc, może nawet mniej.

Tu, w rejonach rolniczych, daleko od granic miasta, szosa była prawie pusta. Nigdy nie panował tu tak duży ruch jak na północy, a poza tym wyglądało na to, że wielu kierowcom udało się opuścić

autostradę bezpiecznie nawet wtedy, kiedy świeciły już gwiazdy, gdyż byli mniej narażeni na zderzenie z innymi samochodami.

Było też mniej posterunków. Nowe prowincje na tych słabo zaludnionych obszarach obejmowały znacznie większe tereny niż na północy, a ich mieszkańcy wydawali się mniej przejmować takimi sprawami jak kontrola. Teremon z Siferrą byli zatrzymywani tylko dwukrotnie w ciągu pięciu kolejnych dni. Na pozostałych punktach granicznych zwyczajnie machano do nich, by przechodzili. Nie musieli nawet okazywać dokumentów, w które zaopatrzył ich Biney.

Pogoda też im sprzyjała. Niemal każdy dzień był ciepły i pogodny; raptem kilka razy spadł przelotny deszcz. Szli przez cztery godziny, potem przerwa na lekki posiłek, marsz przez kolejne cztery, znów jedzenie, marsz, około sześciogodzinny postój na spanie - robili zmiany, najpierw jedno czuwało przez kilka godzin, a później drugie - i znów marsz naprzód. Jak automaty. Słońca wschodziły i zachodziły w swoim odwiecznym rytmie, raz świeciły Patru, Trey i Dovim, potem Onos, Sitha i Tano, potem Onos i Dovim, potem Trey i Patru, w końcu cztery słońca razem - i tak bez końca trwał odwieczny korowód na nieboskłonie. Teremon nie miał pojęcia, ile dni minęło od czasu, gdy opuścili Sanktuarium. Same pojęcia dat, kalendarzy, dni, tygodni, miesięcy wydawały mu się archaiczne i bezużyteczne, były czymś rodem z minionego świata.

Siferra po okresie, kiedy była niespokojna i pogrążona w rozmyślaniach, znów poweselała.

To będzie spacer. Dostaną się do Amgando bez żadnych problemów.

Przechodzili obecnie przez region nazwany Źródlaną Doliną, a może Leśnym Ogrodem; słyszeli kilka różnych nazw od ludzi, których spotkali po drodze. Był to okręg rolniczy, rozległy i pogórkowaty; tu spustoszenia nie były tak apokaliptyczne jak w miastach, zaledwie od czasu do czasu widzieli spaloną stodołę czy wałęsające się samopas stado bydła - ot i tyle. Powietrze pachniało świeżością, na czystym niebie słońca świeciły pełnym blaskiem. Gdyby nie budzący grozę brak ruchu samochodowego na autostradzie, można by pomyśleć, że nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

- Czy jesteśmy już w połowie drogi do Amgando? - zapytała Siferra.

- Niezupełnie. Nie widziałem ostatnio żadnego drogowskazu, ale sądzę, że... Przerwał raptownie.

- Teremonie, co się stało?

- Patrz! Spójrz na prawo, na tę boczną drogę. Wyjrżeli zza krawędzi autostrady. W dole, kilkaset metrów od nich, w miejscu, gdzie boczna szosa rozszerzała się przed skrzyżowaniem z główną trasą, stała długa kolumna ciężarówek. Zobaczyli duży, rojny obóz: namioty, płonące wielkie ognisko, jacyś ludzie rąbiący drewno...

Dwustu, może trzystu ludzi. Wszyscy w czarnych szatach z kapturami.

- Apostołowie! - wyszeptała Siferra.

- Tak. Schyl się. Na ziemię. Ukryj się za balustradą.

- Jak zdołali w tak krótkim czasie dotrzeć aż tutaj? Przecież północny koniec autostrady jest zablokowany.

- W ogóle nie jechali autostradą - domyślił się Teremon. - Mają sprawne ciężarówki. O, tam nadjeżdża jeszcze jedna. Bogowie, jakie to dziwne, prawdziwy poruszający się pojazd! Po tak długim czasie znów słyszę warkot silnika! - Poczuł, że zaczyna drżeć. - Udało im się zachować od zniszczenia tyle ciężarówek wraz z zapasem paliwa! To oczywiste, przyjechali tutaj z Saro wiejskimi drogami zataczając wielki łuk od zachodu. Teraz dopiero wyjadą na autostradę, która, jak sądzę, jest przejezdna stąd aż do Amgando. Mogą tam być dziś wieczorem.

- Dziś wieczorem! Teremonie, co zrobimy?

- Jeszcze nie wiem. Myślę, że jest tylko jedna szansa, co prawda granicząca z szaleństwem... Co byś powiedziała, gdybyśmy spróbowali porwać jeden z tych wozów i pojechali do Amgando? Nawet

jeśli dotrzemy tam tylko dwie godziny przed Apostołami, to będzie jeszcze czas, aby większość ludzi zdążyła uciec. Mam rację, Siferro?

- Chyba tak... ale to czyste szaleństwo! W jaki sposób moglibyśmy ukraść ciężarówkę? W momencie gdy nas zobaczą, od razu się zorientują, że nie jesteśmy Apostołami. Schwytają nas.

- Wiem, wiem. - Przez chwilę Teremon myślał intensywnie. - Gdyby nam się udało gdzieś na uboczu złapać dwóch z nich, a nawet zastrzelić, jeśli będzie trzeba, i zabrać im szaty, moglibyśmy w przebraniu podejść do któregoś z wozów, tak zwyczajnie, jakbyśmy mieli do tego pełne prawo, wskoczyć do środka i odjechać w kierunku autostrady...

- Ruszą za nami w dwie minuty.

- Może. Ale jeśli zachowamy kamienny spokój, to jest szansa, iż pomyślą, że to coś rutynowego, jakaś część ich planu... a kiedy już się zorientują, że to nieprawda, będziemy sto kilometrów stąd. - Teremon coraz bardziej zapalał się do swego pomysłu. - Co na to powiesz? Czy mamy jakąś inną szansę? Po co iść dalej do Amgando na piechotę, skoro ta podróż zajmie nam całe tygodnie, a oni mogą wyprzedzić nas w kilka godzin?

Siferra przyglądała się mu, jakby stracił rozum.

- Obezwładnić dwóch Apostołów... porwać jeden z ich wozów, z rykiem odjechać do Amgando... Teremonie, przecież wiesz, że to się nigdy nie uda!

- W porządku - rzucił szorstko. - Zostań tutaj. Spróbuję sam to zrobić. To nasza jedyna szansa.

Wstał i schylony zaczął biec wzdłuż balustrady w kierunku rampy zjazdowej, oddalony o jakieś sto metrów.

- Nie... zaczekaj, Teremonie... Obejrzał się i uśmiechnął szeroko.

- Idziesz?

- Tak. Ach, to szaleństwo!

- Wiem, lecz co innego nam pozostało?

Oczywiście Siferra miała rację. Plan był wariacki, jednak Teremon nie widział żadnej alternatywy. Raport, który otrzymał Biney, został przekreślony, to było jasne. Apostołowie nigdy nie zamierzali przemierzać Wielkiej Autostrady Południowej prowincja po prowincji, ale wyruszyli bezpośrednio do Amgando w wielkim wojskowym konwoju, obierając drugorzędne drogi, które co prawda prowadziły naokoło, ale były przejezdne.

Amgando jest zgubione. Świat wpadnie w ręce Mondiora.

Chyba... Chyba że...

Teremon nigdy nie myślał o sobie jak o bohaterze. O bohaterach pisał w gazecie - ludziach, którzy w ekstremalnych warunkach osiągnęli szczyty swych możliwości dokonując wielkich czynów, na jakie zwykły śmiertelnik nigdy by się nie ważył, nie mówiąc już o ich realizacji. I oto on, w tym odmienionym świecie, beztrąsko mówi o obezwładnieniu zakapturzonych fanatyków, porwaniu wojskowej ciężarówki i ucieczce do Amgando, aby zatrąbić na alarm przed zbliżającym się atakiem...

Szaleństwo. Czyste szaleństwo.

A może właśnie dlatego się uda. Kto by się spodziewał, że dwoje ludzi spadnie jak z nieba na to spokojne, sielankowe obozowisko i najzwyczajniej odjedzie jednym z wozów w siną dal?

Chyłkiem zeszli po rampie zjazdowej, Teremon nieco z przodu. Między nimi a obozem Apostołów rozpościerała się dawno nie koszona łąka.

- Ukryjmy się w tej wysokiej trawie i spróbujmy podczołgać do obozu - wyszeptał. - Jak napatoczy się dwójka Apostołów, zaskoczmy ich.

Położył się na brzuchu i zaczął czołgać przez trawę.

Siferra posuwała się tuż za nim.

Dziesięć metrów. Dwadzieścia. Byle dalej, schylić głowę i naprzód, do tego małego pagórka, a potem zaczekać... zaczekać...

Wtem tuż za nimi rozległ się jakiś głos:

- Co my tu mamy? Chyba jakieś dwa osobliwe węże? Teremon obejrzał się i wstrzymał oddech. O Bogowie! Apostołowie - było ich siedmiu czy ośmiu! Skąd się tu wzięli? Urządzali sobie piknik pośrodku łąki? A on i Siferra czołgali się obok i nikogo nie zauważyli?

- W nogi! - rzucił do niej. - Ty w tę, a ja w tamtą stronę...

Zaczął biec w lewo, w kierunku słupów podtrzymujących autostradę. Może zdoła zostawić ich w tyle i zniknąć w lesie po drugiej stronie szosy...

Nie, nie. Był silny i szybki, ale oni byli jeszcze silniejsi i jeszcze szybsi. Kątem oka dostrzegł, jak go doganiają.

- Siferro! - krzyknął. - Uciekaj! Uciekaj! Może jej się udało. Znikła mu z oczu. Apostołowie otoczyli go ciasnym kręgiem. Sięgnął po punktowiec, ale jeden z nich momentalnie chwycił go za rękę, a inny złapał od tyłu za szyję. Wyrwali mu broń. Ktoś kolanem podbił mu nogi. Upadł ciężko, przetoczył się po ziemi, spojrzał w górę. Odpowiedziały mu spojrzenia pięciu zakapturzonych twarzy, surowych i bez cienia uśmiechu. Jeden z Apostołów trzymał punktowiec Teremona wycelowany prosto w jego serce.

- Wstawaj - rozkazał. - Powoli. Z rękoma do góry. Teremon niezdarnie podniósł się na nogi.

- Kim jesteś? Co tu robisz? - spytał Apostoł władczy tonem.

- Mieszkam tu w pobliżu. Razem z żoną wracaliśmy skrótem przez te łąki do domu...

- Najbliższe gospodarstwo jest o dziesięć kilometrów stąd. Bardzo długi skrót. - Apostoł skinął głową w kierunku obozu. - Pójdiesz z nami. Folimun na pewno zechce z tobą porozmawiać.

Folimun!

A więc jednak przeżył noc zaćmienia. I teraz dowodził ekspedycją przeciw Amgando.

Teremon rozejrzał się wokół. Ani śladu Siferry. Miał nadzieję, że jest już z powrotem na autostradzie i co sił zmierza do Amgando. Wątpa to była nadzieja, ale jedyna, jaka mu pozostała.

Apostołowie zaprowadzili go do obozowiska. Nagle znalazł się pośrodku tłumu postaci w kapturach. To było niesamowite. Prawie nikt jednak nie zwracał uwagi, kiedy jego prześladowcy popychali go w kierunku największego z namiotów.

Folimun siedział w głębi namiotu i przeglądał plik papierów. Zwrócił chłodne błękitne oczy na Teremona i natychmiast jego szczupłą, wyrazistą twarz rozjaśnił pełen zdumienia uśmiech.

- Teremon? Ty tutaj? Co tu robisz? Zbierasz materiał do reportażu?

- Zmierzam na południe, Folimunie. Wybieram się na małe wakacje, jako że w mieście sytuacja jest trochę nieustabilizowana. Czy mógłbyś łaskawie poprosić tych twoich zbirów, by nie wykręcali mi rąk?

- Puśćcie go - rozkazał Folimun. - Teremonie, powiedz mi dokładniej, dokąd idziesz?

- To nie powinno cię obchodzić.

- Pozwól mi o tym zdecydować. Idziesz do Amgando, prawda?

Teremon posłał fanatykowi przeciągłe, lodowate spojrzenie.

- Nie widzę powodu, abym musiał ci cokolwiek mówić.

- Ja odpowiedziałem na wszystkie pytania, kiedy przeprowadzałeś ze mną wywiad.

- Świetny dowcip.

- Teremonie, chcę wiedzieć, dokąd się kierujesz. "Zwódcz go - przemknęło Teremonowi przez głowę. - Zwódcz go tak długo, jak potrafisz".

- Odmawiam odpowiedzi na to pytanie i na każde inne, które mi zadasz - powiedział stanowczo. - O moich zamiarach będę rozmawiał jedynie z samym Mondioirem.

Folimun przez chwilę nie odpowiadał. Później na jego ustach pojawił się przelotny uśmiech. Nagle zupełnie niespodziewanie wybuchnął śmiechem. Teremon zastanawiał się, czy kiedykolwiek przedtem widział śmiejącego się Folimuna.

- Z Mondioirem? - powtórzył Apostoł, a jego oczy skrzyły się wesołością. - Mondior nie istnieje, przyjacielu. Nigdy nie istniał.

Siferze trudno było uwierzyć, że udało jej się uciec, lecz najwyraźniej tak się właśnie stało.

Większość z Apostołów, którzy zaskoczyli ich na łące, pobiegła za Teremonem. Kiedy obejrzała się, zobaczyła, że osaczyli go niczym psy myśliwskie zwierzynę i powalili na ziemię. Z całą pewnością został schwytany.

Tylko dwóch Apostołów pobiegło za nią. Jednego Siferra trzasnęła w twarz. Ramię miała usztywnione i wyprostowane, uderzyła dłonią na płask, z całej siły, co przy prędkości, z jaką się poruszała, okazało się ciosem nokautującym. Ten drugi był gruby, niezdarly i bardzo powolny; momentalnie został daleko w tyle.

Biegła z powrotem w stronę estakady, ale uznała, że postąpiłaby niemądrze wracając na autostradę. Znow mogłaby natrafić na jakąś barykadę, a z szosy nie prowadziły żadne bezpieczne drogi na dół z wyjątkiem ramp zjazdowych. Siferra nie chciała ryzykować wpadnięcia w pułapkę. Nawet jeżeli dalej nie było żadnych przeszkód, Apostołowie mogli bez trudu dogonić ją ciężarówkami po pierwszych dwóch, trzech kilometrach drogi.

Nie, należało uciec do lasu po przeciwnej stronie autostrady. Tam nie będą mogły jej ścigać pojazdy Apostołów. Ukryje się w gęstych zaroślach i pozostanie tam do czasu, gdy zdecyduje, co dalej.

„A więc co dalej?” - zastanawiała się.

Musiała przyznać, iż plan Teremona, mimo że szalony, nadal pozostawał ich jedyną nadzieją: ukraść wóz, pojechać nim do Amgando i ogłosić alarm, zanim Apostołowie zdołają zwinąć obóz i ponownie wyruszą w drogę.

Siferra wiedziała jednak, iż nie istnieje nawet najmniejsza szansa na to, że zdoła po prostu podkraść się do pustej ciężarówki, wskoczyć do środka i odjechać. Apostołowie nie byli aż tacy głupi. Musiałaby sterroryzować jednego z nich i zmusić, by wyprowadził wóz, a potem oddał kierownicę. To jednak wiązało się z przeprowadzeniem serii niełatwych do wykonania działań: obezwładnienie zabląkanego Apostoła, zabranie jego szaty, wślizgnięcie się do obozu i zlokalizowanie kogoś, kto mógłby otworzyć jej drzwi ciężarówki...

Serce w niej zamarło. Cały ten pomysł był zbyt fantastyczny. Skoro już planowała takie wyczyny, mogłaby równie dobrze rozważyć próbę uwolnienia Teremona - wtargnąć do obozowiska strzelając na prawo i lewo, wziąć zakładników, zażądać natychmiastowego zwolnienia więźnia... ach, to już był zupełny idiotyzm, romantyczne marzenie, brawurowa akcja bohatera przygodowej książki dla młodzieży...

No dobrze, ale co robić? Co robić?

Przycupnęła w zagajniku porośniętym młodymi, gęsto splecionymi drzewkami o długich miękkich liściach i czekała.

Nie było żadnych oznak zwijania obozu; wciąż na tle wieczornego nieba widziała płonące ogniska, a ciężarówki nadal stały zaparkowane przy drodze.

Nadchodził wieczór. Onos opuścił już firmament. Dovim zniknął na horyzoncie. Na niebie pozostały jedynie dwa blade i smutne słońca, najmniej przez nią lubiane Tano i Sitha, rzucające

zimny blask ze swego dakikiego zakątka na krańcu wszechświata. Lub raczej z miejsca, które ludzie uważali za kraniec wszechświata w tych odległych, bezpiecznych czasach, zanim pojawiły się gwiazdy i uświadomiły im rzeczywisty ogrom kosmosu.

Godziny upływały jedna za drugą. Żadne rozwiązanie nie wydawało się sensowne. Amgando wyglądało na stracone, chyba że ktoś inny zdoła przekazać im ostrzeżenie - z całą pewnością nie było sposobu, żeby ona sama mogła tam dotrzeć przed Apostołami. Próba uwolnienia Teremona była pomysłem absurdalnym. Szansa, by w pojedynkę ukraść wóz i dojechać nim do Amgando, wydawała się tylko trochę mniej nierealna.

W takim razie co dalej? Ma beczynnienie się przyglądać, jak Apostołowie przejmują władzę nad światem?

Nie widziała żadnego wyjścia.

W pewnym momencie doszła do wniosku, że może jedynie pójść do obozu Apostołów, poddać się i błagać, aby trzymali ją razem z Teremonem. Przynajmniej byłiby razem. Zdumiewało ją, jak bardzo za nim tęskni. Przez całe tygodnie nie rozstawała się z nim ani na chwilę - ona, która nigdy w życiu nie mieszkała z mężczyzną! W czasie długiej podróży z Saro, mimo iż czasem sprzeczali się, a nawet trochę kłócili, nigdy jej nie męczyło jego towarzystwo. Ani razu. To, że byli razem, wydawało się najnaturalniejszą rzeczą na świecie. A teraz znów została sama.

„Idź - mówiła sobie. - Poddać się. I tak przecież wszystko stracone”.

Chmury przesłoniły lodowate światło Sithy i Tano. Zapanował półmrok. Czyżby zaraz miały znowu rozbłysnąć gwiazdy?

„A niech się ukazą! - pomyślała Siferra gorzko. - Niech zaświecą i znów doprowadzą wszystkich do szaleństwa! Cóż z tego? Świat można zniszczyć tylko raz i to już się dokonało”.

Jednak, naturalnie, gwiazdy się nie pokazały. Tano i Sitha, chociaż ukryte za grubą warstwą chmur, dawały wystarczająco dużo światła, by przesłonić zagadkowy blask tych odległych punkcików. Wraz z upływem godzin nastrój Siferry diametralnie się odmienił. Ze skrajnego defetyzmu zwracała się w stronę niemal heroicznej nadziei.

„Kiedy wszystko jest stracone, nie pozostaje nic do stracenia” - pomyślała Siferra. Miała już opracowany plan. Pod osłoną tej wieczornej szarówki podkradnie się do obozu Apostołów i... jakoś, w jakiś sposób... zabierze jeden z ich pojazdów. A także uratuje Teremona, jeśli tylko zdoła. A potem w drogę, do Amgando! Nim Onos wzejdzie jutrzejszego ranka, będzie już na miejscu, wśród przyjaciół z uniwersytetu, zawiadomi ich, że muszą się rozproszyć, bo nadciąga wroga armia. Będą mieli mnóstwo czasu...

„Świetnie - uznała. - A więc do dzieła”.

Powoli... spokojnie... ostrożniej niż poprzednio, na wypadek, gdyby w trawie kryli się wartownicy...

Wyszła z lasu. Moment niepewności - czuła się przeraźliwie odsłonięta teraz, kiedy porzuciła bezpieczne ukrycie w gąszczu krzaków. Lecz nadal chroniła ją szarówka. Dalej, przez ten otwarty teren, który oddzielał las od szosy. Potem między wielkimi metalowymi podporami podtrzymującymi autostradę i przez tę porośniętą łąkę, gdzie zostali wcześniej zaskoczeni.

Teraz schylić się i przebiec chyłkiem, tak jak to robili przedtem. Jeszcze ta polana... rozglądając się bacznie, wypatrując wartowników, którzy mogliby pełnić służbę wokół obozu Apostołów...

W rękę trzymała punktowiec, ustawiony na minimalny zasięg, najostrzejszy, najbardziej skoncentrowany, najbardziej śmiertelny promień. Jeśli ktoś natknie się na nią, tym gorzej dla niego. Zbyt wiele położyła na szalę, aby zabawiać się w drobiazgową moralność cywilizowanego świata. Przecież zabiła Balika w laboratorium Wydziału Archeologii! Wprawdzie nie chciała tego

uczynić, nie wiedziała, co robi, była wtedy oszołomiona, ale jednak, tak czy inaczej, zabiła go; teraz zaś ze zdziwieniem odnotowała fakt, że jest gotowa zabić ponownie, tym razem zupełnie świadomie, jeśli zmuszą ją do tego okoliczności. Miała jasno określony cel: zdobyć wóz, wydostać się stąd i zanieść do Amgando wiadomość o nadciągającej armii Apostołów. Wszystko inne się nie liczyło. Nawet względy moralności. Wszystko. To była wojna.

Naprzód! Głowa niżej, wyteżyc wzrok, przylgnąć do ziemi! Jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów do pierwszych namiotów...

W obozie panowała cisza. Prawdopodobnie większość z Apostołów spała. Siferze wydawało się, że w mrocznej szarówce widzi pojedyncze postacie po drugiej stronie głównego ogniska, jednakże dym sprawiał, że nie była tego pewna. Pomyślała, że sprytnie by było ukryć się w cieniu jednej z ciężarówek i rzucić kamieniem w jakieś odległe drzewo. Strażnicy na pewno pójdą sprawdzić przyczynę hałasu; a jeśli się rozdziela, mogłaby zająć jednego od tyłu, zagrozić mu punktowcem, zmusić do milczenia i zdjęcia długiej szaty...

Nie. Nie będzie mu grozić. Po prostu go zastrzeli, od razu, a potem weźmie jego szatę. Wszystko po to, by nie zdołał wszcząć alarmu. Przecież to są Apostołowie Płomieni. Fanatycy.

Zdziwiła się, że jest zdolna rozumować tak bezlitośnie i z zimnym wyrachowaniem.

Naprzód! I jeszcze! Już była niemal przy najbliższej ciężarówce, w ciemnościach po przeciwnej stronie obozowego ogniska. Gdzie jest jakiś kamień? Tutaj. Tak, ten będzie dobry. Na moment przełożyła punktowiec do lewej ręki. Teraz trafić kamieniem w tamto grube drzewo...

Uniosła rękę do rzutu. I w tej samej chwili poczuła, jak ktoś chwytą ją od tyłu za lewy nadgarstek, i jakaś ręka zaciska się na jej gardle.

Złapali ją!

Przewalały się przez nią strach, gorycz i wściekłość. Z furią kopnęła w tył z całej siły - i jeszcze raz. Usłyszała jęk, jednakże uścisk nie osłabł. Z półobrotu kopnęła jeszcze raz, usiłując jednocześnie przełożyć punktowiec z lewej dłoni do prawej.

Napastnik szarpnął jej rękę do góry krótkim, szybkim ruchem; ból sparaliżował ją na moment i upuściła punktowiec. Ramię opasujące jej gardło nacisnęło mocniej. Zakrztusiła się i straciła oddech.

O Ciemności! Co za głupota, pozwolić komuś podkraść się do niej, podczas gdy to ona próbowała się podkraść!

Łzy wściekłości paliły jej policzki. Z pasją kopnęła w tył, potem jeszcze raz.

- Spokojnie - usłyszała czyjś szept. - Siferro, nie wierzgaj tak, bo mnie uderzysz.

- Teremon?!

- A myślisz, że kto? Mondior?

24 - Nastanie nocy 369

Uścisk na gardle zelżał. Ręka, która kurczowo trzymała jej nadgarstek, zwolniła uchwyt. Siferra zatoczyła się, z trudem łapała oddech. Wreszcie odwróciła się, by na własne oczy zobaczyć, czy to naprawdę on.

- Jak zdołałeś się uwolnić?

Teremon uśmiechał się od ucha do ucha.

- To był cud, istny cud... Cały czas cię obserwowałem, od kiedy wyszłaś z lasu. Byłaś dobra, naprawdę dobra. Ale tak się koncentrowałaś na tym, aby ukradkiem tu podejść, że w ogóle nie zwróciłaś uwagi, gdy zachodziłem cię od tyłu.

- Dzięki bogom, że to ty, Teremonie. Omal nie umarłam ze strachu!... Ale dlaczego tu stoimy? Szybko, bierzmy jedną z tych ciężarówek i uciekajmy!

- Nie. Plan się zmienił.

- Nie rozumiem... - Siferra oniemiała ze zdziwienia.

- Zrozumiesz. - Ku jej osłupieniu klasnął w ręce i głośno zawołał: - Tutaj, chłopcy! Ona jest tutaj!

- Teremonie! Czy ty postradałeś...

Oślepił ją snop światła latarki. Była wstrząśnięta, jakby w jej oczach znów rozbłysły gwiazdy.

Straciła orientację. Wokoło poruszały się jakieś postacie, ale Siferra nic nie widziała. Minęła dłuższa chwila, zanim jej oczy przystosowały się do ostrego światła.

Apostołowie.

Spojrzała na Teremona. Wydawał się spokojny i bardzo z siebie zadowolony. W kompletnym oszołomieniu z trudem zaczynała sobie uświadamiać, że Teremon ją zdradził.

Spróbowała coś powiedzieć, ale zdołała wydobyć z siebie tylko niewyraźne monosylaby:

- Co...? Jak...?

Teremon wciąż się uśmiechał.

- Chodź ze mną, Siferro. Chciałbym, żebyś porozmawiała z pewnym człowiekiem.

Naprawdę nie ma powodu, aby patrzyła pani na mnie tak groźnie, doktor Siferro - mówił Folimun. - Może trudno w to uwierzyć, ale znajduje się pani wśród przyjaciół.

- Przyjaciół?! Czy pan myśli, że jestem aż tak naiwna?

- Nie. Mam o pani wręcz przeciwne zdanie.

- Wdarł się pan do mojego laboratorium i ukradł bezcenne materiały naukowe. Rozkazał hordzie swoich dzikich, zabobonnych wyznawców wtargnąć do obserwatorium i zniszczyć aparaturę, czym uniemożliwił pan astronomom przeprowadzenie doniosłych, unikatowych badań. Teraz zaś zahipnotyzował pan Teremona, tak że biedak słucha bez szemrania pańskich rozkazów. Przecież na pańskie polecenie schwytał mnie i przyprowadził tu jako więźnia! I po tym wszystkim oznajmia mi pan, że jestem pośród przyjaciół?

- Siferro - powiedział cicho Teremon - nie zostałem zahipnotyzowany. A ty nie jesteś więźniem.

- Oczywiście, że nie. To wszystko zaś jest jedynie złym snem: noc, pożary, upadek cywilizacji, wszystko razem. Za godzinę obudzę się w moim mieszkaniu w Saro i świat będzie dokładnie taki sam, jak kiedy kładłam się spać.

Teremon pomyślał, że nigdy nie wyglądała piękniej niż w tej chwili. Jej oczy błyszczały gniewnie. Skóra zdawała się lśnić. Emanowała z niej niesamowita energia, której nie potrafił się oprzeć.

Ale nie był to najważniejszy moment na wyznania.

- Pani doktor, w związku z kradzieżą tabliczek mogę jedynie złożyć wyrazy ubolewania - wyjaśniał Folimun. - Była to bezczelna grabież, której, zapewniam panią, nigdy bym nie zaaprobował, gdyby mnie pani do tego nie zmusiła.

- Ja zmusiłam...?

- Tak. Pani nalegała, aby te bezcenne relikty minionego cyklu nie opuściły murów uniwersytetu. Przecież wiedziała pani, co się wkrótce stanie - nastanie noc, zapanuje chaos, wybuchną pożary... W sejfach uniwersyteckich te skarby byłyby skazane na zniszczenie. Uznaliśmy, że musimy je umieścić w bezpiecznym miejscu, to znaczy u nas, a ponieważ pani nie zgodziłaby się z naszą opinią, uważaliśmy za konieczne zabrać je pani.

- Ja znalazłam te tabliczki! Nigdy nie wiedzielibyście nawet o ich istnieniu, gdybym ich nie odkopła.

- To nie podlega dyskusji - odparł Folimun gładko - ale kiedy już zostały odnalezione, stały się prawdziwym bogactwem dla nas... dla całej ludzkości. Sądziłyśmy, że przyszłość Kalgasza jest

ważniejsza od pani prywatnego prawa własności. Jak się pani przekona, do tej pory przetłumaczyliśmy już wszystkie inskrypcje, wykorzystując jako materiał porównawczy starożytne teksty, do których tylko my mamy dostęp; znacznie pogłęбилиśmy wiedzę o wyzwaniach, jakie cyklicznie napotyka cywilizacja Kalgasza. Przekłady profesora Mudrina były, niestety, bardzo powierzchowne. Tabliczki te zawierają dokładną, wiarygodną, nie skażoną wiekami przekłamań i naleciałości tekstowych wersję kroniki, która dotarła do naszych czasów pod nazwą Księgi Objawień. Księga Objawień, muszę przyznać, jest pełna mistycznych alegorii przystosowanych do celów propagandowych. Inskrypcje z Tombo pochodzą sprzed wielu tysięcy lat. Są bezpośrednimi relacjami z dwóch pojawień się gwiazd, a także zapisem wysiłków, jakie podjęli ówczesni kapłani, żeby ostrzec ludzkość przed zagładą. Możemy obecnie wykazać, że w całej historii i prehistorii Kalgasza małe grupki pełnych poświęcenia ludzi walczyły o to, aby przygotować świat na katastrofę, która go wciąż na nowo spotyka. Oczywiście metody, które stosowali, okazały się niewystarczające. Teraz wreszcie, pomni na popełnione niegdyś błędy, będziemy w stanie ocalić Kalgasza od kolejnego wstrząsu, kiedy to za dwa tysiące lat dobiegnie końca kolejny Rok Łaski.

Siferra odwróciła się do Teremona.

- Jak to wszystko pięknie brzmi w jego ustach! Usprawiedliwia kradzież moich tabliczek, opowiadając o tym, że umożliwi mu ustanowienie efektywniejszej dyktatury teokratycznej, niż kiedykolwiek mógł marzyć! Teremonie, Teremonie, dlaczego tak nikczemnie mnie zdradziłeś? Dlaczego nas zdradziłeś? Mogliśmy już być w połowie drogi do Amgando, gdybyś...

- Doktor Siferro - wtrącił Folimun - zapewniam, że będzie pani w Amgando jutro po południu. Wszyscy się tam znajdziemy.

- Co pan ze mną zrobi? - spytała zapalczywie. - Powlecze mnie w łańcuchach za zwycięską armią? Zakuje w kajdany i zmusi do maszerowania w kurzu unoszącym się za rydwanem Mondiora? Aposto! westchnął ciężko.

- Teremonie, bądź tak łaskaw i wszystko wyjaśnij pani doktor.

- Nie! - zaprotestowała Siferra. Oczami ciskała gromy. - Ty głupcze o wypranym mózgu, nie zamierzam słuchać paplaniny, którą ten maniak wtłoczył ci do głowy! Nie chcę nic słyszeć od żadnego z was! Zostawcie mnie w spokoju. Zamknijcie mnie, jeśli chcecie. Albo okażcie wielkoduszość i puśćcie mnie wolno. Przecież nie mogę wam zaszkodzić, prawda? Jedna kobieta przeciwko całej armii? Nie mogę nawet przejść przez łąkę, żeby ktoś nie zaskoczył mnie od tyłu!

Teremon, nieco zmieszany, zrobił krok w jej stronę.

- Nie! - krzyknęła. - Trzymaj się ode mnie z daleka! Budzisz we mnie wstręt. Ale to nie twoja wina, prawda? Zrobili coś z twoją głową. Folimunie, ze mną uczynisz to samo? Zmienisz mnie w posłuszną małą maskotkę? Dobrze, o jedno tylko cię proszę. Nie zmuszaj mnie, bym nosiła szatę Apostołów. Nie mogę znieść myśli, że będę miała chodzić ubrana w ten śmiechu warty strój. Zabierz moją duszę, jeśli musisz, ale pozwól, abym ubierała się tak, jak ja tego chcę, dobrze? Zgadzasz się, Folimunie?

Aposto! zaśmiał się cicho.

- Chyba najlepiej zrobię zostawiając was samych. Widzę, że nic nie osiągniemy, dopóki ja biorę udział w tej rozmowie.

- Nie, niech cię diabli! - krzyknęła Siferra. - Nie zostanę sama z...

Lecz Folimun już wyszedł z namiotu.

Teremon chciał podejść do Siferry, ale odskoczyła, jakby był trędowaty.

- Siferro - powiedział łagodnie - nie zostałem zahipnotyzowany. Nic nie zrobili z moją głową.

- To jasne, że tak musisz mówić.

- To jest prawda. Udowodnię ci to. Siferra milczała ponuro, mierząc go lodowatym wzrokiem. Po chwili Teremon powiedział cicho:

- Kocham cię, Siferro.

- Ile czasu zajęło Apostołom zaprogramowanie ci tej kwestii?

Skrzywił się boleśnie - Nie. Nie mów tak. Ja naprawdę cię kocham, Siferro. Nie będę usiłował cię przekonywać, że nigdy przedtem nikomu tego nie mówiłem, ale naprawdę pierwszy raz wypowiedziałem te słowa poważnie.

- Najstarsze zdanie świata - zadrwiła Siferra.

- Zasłużyłem na to. Teremon - pożeracz serc. Teremon - największy uwodziciel w Saro. Dobrze, w porządku. Zapomnij, że to powiedziałem.. nie! Nie, Siferro, mówiłem prawdę. Te długie tygodnie wspólnej wędrówki, kiedy spędzaliśmy razem całe dni - ranki, południa, wieczory i okresy snu... nie było chwili, abym patrząc na ciebie nie myślał sobie: "To jest kobieta, której szukałem przez te wszystkie lata. Nie śmiałem nawet marzyć, że taką kobietę odnajdę któregoś dnia".

- Jakie to wzruszające, Teremonie! A najlepszy sposób, w jaki potrafiłeś okazać mi swoją miłość, to schwytać mnie podchodząc od tyłu, niemalże łamiąc mi przy tym rękę, i przekazać mnie Mondiorowi. Zgadza się?

- Mondior nie istnieje, Siferro. Nie ma takiego człowieka.

- Co? - Na moment zdumienie i ciekawość wzięły w niej górę nad złością.

- On jest jedynie stworzoną przez elektronikę kukłą do wygłaszania mów w telewizji. Nigdy nie było na sali żadnych widzów, prawda? Nigdy nie pojawił się publicznie. Wymyślił go Folimun, aby służył jako mówca i rzecznik Apostołów. Ponieważ Mondior nie występuje osobiście, można go pokazywać w telewizji jednocześnie w pięciu krajach, nawet w odległych od siebie zakątkach świata; nikt nie był pewien, gdzie on się naprawdę znajduje, więc można go było pokazywać jednocześnie w różnych miejscach. Prawdziwym przywódcą Apostołów Płomieni jest Folimun. Jedynie udawał adiutanta do spraw kontaktów z prasą. On pociąga za wszystkie sznurki i robił to przez ostatnie dziesięć lat. Przedtem był niejaki Bazart, ale już nie żyje. Bazart stworzył Mondiora, ale Folimun przywiódł go do obecnego znaczenia.

- Czy to Folimun opowiedział ci o tym wszystkim?

- Powiedział mi trochę. Resztę odgadłem sam, a on jedynie potwierdził. Gdy wrócimy do Saro, pokaże mi działanie mechanizmu Mondiora. Za kilka tygodni Apostołowie chcą wznowić nadawanie telewizji.

- W porządku - odparła szorstko Siferra. - Odkryłeś, że Mondior jest mitem i tak cię to poraziło, iż bez wahania zdecydowałeś, że koniecznie musisz przyłączyć się do grupy Folimuna. Twoim pierwszym zadaniem było sprowadzić mnie tutaj, a więc węszyłeś wokół i udało ci się mnie zaskoczyć. W ten sposób zyskałeś pewność, że ludzie z Amgando wpadną w łapy Folimuna. Dobra robota, Teremonie!

- Tak, Folimun rzeczywiście kieruje się do Amgando - potwierdził Teremon - ale nie zamierza naukowcom wyrządzić żadnej krzywdy. Chce zaproponować im stanowiska w rządzie.

- Bogowie wszechmogący! Teremonie, czy ty wierzysz...

- Tak. Tak, Siferro! - Teremon za wszelką cenę chciał ją przekonać. - Może i jestem nieokrzesanym pismakiem, ale przyznaj chociaż, że nie jestem głupcem. Dwadzieścia lat w branży dziennikarskiej uczyniło ze mnie doskonałego znawcę charakterów - przynajmniej tyle. Od pierwszego spotkania Folimun intrygował mnie. Wydawał się dokładnym przeciwieństwem szaleńca - niezwykle bystry, wybitnie inteligentny i przebiegły. Myślisz, że przepałem czas spędzony w obozie Apostołów? Nie, przez ostatnie osiem godzin rozmawiałem z Folimunem. Odślonił przede

mną cały swój plan. Ujawnił wszystkie szczegóły. Czy zgodzisz się przyznać, dla dobra dyskusji oczywiście, że w czasie ośmiogodzinnej rozmowy potrafię rozszyfrować psychikę każdego człowieka?

- No... może... - przyznała niechętnie.

- Siferro, albo on jest całkowicie szczery, albo też jest najlepszym aktorem na świecie.

- Możliwe, że jedno i drugie. To jednak nadal nie oznacza, że mamy mu ufać.

- Może i nie. Ale ja mu ufam. Przynajmniej teraz.

- Mów dalej.

- Folimun to człowiek bezwzględny, kieruje się wyłącznie rozumem, jest racjonalny w stopniu niemal przerażającym. On wierzy, że jedyną rzeczą naprawdę mającą znaczenie jest przetrwanie cywilizacji. Jako Apostoł Płomieni miał dostęp do zapisków historycznych z minionych cykli rozwoju, więc od wielu lat wiedział to, o czym my wszyscy przekonaliśmy się w najstraszliwszy z możliwych sposobów - że Kalgasz jest skazany na pojawianie się gwiazd co dwa tysiące lat. Wiedział też, jak druzgoczący wpływ gwiazdy wywierają na ludzi, że nawet najsilniejsi psychicznie długo nie mogą wrócić do zdrowia, a słabsi nie powracają nigdy. Aha, Siferro, Folimun jest skłonny, gdy wrócimy do Saro, pokazać ci wszystkie starożytne dokumenty przechowywane przez Apostołów.

- Saro zostało zniszczone.

- Ale nie ta część, nad którą oni sprawują pieczę. Diabelnie skrupulatnie dopilnowali, aby nikt nie rozniecał ognia w promieniu kilometra od ich wieżowca.

- Kilometra? O, to rzeczywiście skuteczna akcja - szydziła Siferra.

- Oni są skuteczni w działaniu. Posłuchaj, Folimun wie, że w epoce totalnego obłędu jedynie dyktatura religijna może przywrócić porządek. Ty i ja, Siferro, możemy traktować istnienie bogów jako bajkę, ale - czy chcesz to przyjąć, czy nie - miliony ludzi mają inny pogląd na tę sprawę. Zawsze czuli wewnętrzny niepokój robiąc rzeczy, które uważali za grzeszne, gdyż bali się gniewu bogów i ich kary. Teraz czują paniczny strach. Obawiają się, że gwiazdy mogą powrócić jutro lub pojutrze, aby dokończyć dzieła. No i tu jest miejsce dla Apostołów, którzy twierdzą, że są bezpośrednim ogniwem łączącym ludzi z bogami i dysponują księgami, aby to udowodnić. Mają lepszą pozycję wyjściową dla stworzenia rządu niż Altinol, drobni prowincjonalni władcy, niedobitki z poprzednich ekip czy ktokolwiek inny. W tym momencie Apostołowie Płomieni stanowią największą nadzieję dla świata.

- Ty mówisz poważnie - powiedziała Siferra ze zdumieniem. - Folimun cię nie zahipnotyzował, Teremonie. Udało ci się to zrobić samemu.

- Posłuchaj! Folimun przygotowywał się do tej chwili przez całe życie. Wiedział, że właśnie w tym pokoleniu na Apostołów spadnie odpowiedzialność za ocalenie cywilizacji. Ma szczegółowo opracowany plan działań z uwzględnieniem wielu wariantów. Posunął się już bardzo daleko na drodze do ustanowienia swego zwierzchnictwa nad ogromnymi terenami na północ i zachód od Saro, później zaś ma zamiar przejąć nowe prowincje położone wzdłuż Wielkiej Autostrady Południowej.

- I wprowadzić dyktaturę teokratów, którzy rozpoczną swe rządy od wymordowania wszystkich ateistów, cyników i materialistów z uniwersytetu, takich jak Biney, Szirin i ja.

- Szirin nie żyje. Folimun powiedział mi, że jego ludzie znaleźli ciało Szirina w jakimś zrujnowanym domu. Najprawdopodobniej został zabity kilka tygodni temu przez bandę szaleńców wrogo nastawionych do intelektualistów.

Siferra odwróciła głowę, nie mogąc znieść jego wzroku. Po chwili spojrzała na Teremona z jeszcze większym gniewem.

- A więc to tak! - krzyknęła. - Najpierw Folimun wysyła bandę zbirów, aby wdarli się do

obserwatorium - Athor także został zabity, prawda? - a potem pozbywa się biednego, nieszkodliwego Szirina. Następnie reszta z nas zostanie...

- Siferro, on właśnie próbował ochronić ludzi z obserwatorium.

- Nie wyszło mu to jednak zbyt dobrze, co?

- Nie zdołał zapanować nad sytuacją. Miał zamiar uratować wszystkich naukowców, zanim zaczną się rozruchy, ale ponieważ grał rolę dzikiego fanatyka, nie zdołał ich przekonać, aby wysłuchali jego propozycji. A chciał ich bezpiecznie przetransportować do Świątyni Apostołów.

- Po zdemolowaniu obserwatorium.

- Nad tym również nie zdołał zapanować. Świat oszalał tej nocy. Nie wszystkie plany Folimunowi udało się zrealizować.

- Teremonie, jesteś doskonały w wynajdywaniu dla niego wymówek.

- Być może. Tak czy inaczej, wysłuchaj mnie do końca. On chce współpracować z wybitnymi naukowcami z uniwersytetu i z innymi zdrowymi, inteligentnymi i wykształconymi ludźmi, zgromadzonymi w Amgando, aby odtworzyć zasoby ludzkiej wiedzy. On - a raczej rzekomy Mondior - stanie na czele rządu. Apostołowie posługując się religią spacyfikują i utrzymają w ryzach społeczeństwo przynajmniej przez parę lat. W tym czasie naukowcy pomogą Apostołom zebrać i skodyfikować wiedzę, którą zdołali ocalić, i wszyscy razem poprowadzą świat z powrotem ku normalności - tak jak to się zdarzyło już tyle razy przedtem. Być może zdołają rozpocząć przygotowania do następnego zaćmienia już na jakieś sto lat wcześniej, nie dopuszczą do zamieszek, masowego szaleństwa, wzniecania pożarów, powszechnego zniszczenia.

- I ty w to wszystko wierzysz? - zapytała Siferra z pogardą. - Że to ma sens? Mamy stać z boku i przyklaskiwać, gdy Apostołowie Płomieni będą rozsiewać po całym świecie zatrważającą dusze irracjonalną wiarę, budując swój totalitaryzm? Albo, co gorsza, wierzysz, że powinniśmy połączyć z nimi nasze siły?

- Nienawidzę tej myśli - powiedział nagle Teremon. Siferra otworzyła usta ze zdumienia.

- A więc dlaczego...?

- Wyjdźmy stąd - zaproponował. - Już prawie świta. Czy dasz mi rękę?

- No...

- To nie był pusty frazes, kiedy powiedziałem ci, że cię kocham. Wzruszyła ramionami.

- Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Mieszasz sprawy osobiste z politycznymi...

- Chodź - powiedział Teremon.

Wyszli z namiotu. Na wschodzie, tuż nad horyzontem, Onos jaśniał porannym różowym światłem. Bliźniacze słońca Tano i Sitha wyłoniły się z chmur, i stały teraz w zenicie, rzucając osobliwe, cudowny dla oczu blask.

Było jeszcze jedno słońce. Daleko na północy, intensywnie czerwona kuleczka, filigranowy Dovim - świecił jak małeńki rubin w diademie nieba.

- Cztery słońca - powiedział Teremon. - Symbol szczęścia.

Wokół nich panowała gorączkowa krzątanina. Apostołowie załadowywali ciężarówki, składali namioty. Po drugiej stronie obozu Teremon zauważył Folimuna kierującego grupą robotników. Przywódca Apostołów pomachał do dziennikarza, który w odpowiedzi skinął mu głową.

- Nienawidzisz myśli o tym, że Apostołowie będą rządili światem - powiedziała Siferra - a mimo to ciągle jesteś skłonny poprzysiąc wierność Folimunowi? Dlaczego? Jaki to ma sens?

- Ponieważ nie ma żadnej innej nadziei - odpowiedział cicho Teremon.

- Tak uważasz? Skinął głową.

- Jeśli miałem jakieś złudzenia, zniknęły po kilkugodzinnej rozmowie z Folimunem. Każda

racjonalna część mego umysłu podpowiada mi, abym nie ufał jemu i jego bandzie fanatyków. Owszem, Folimun jest człowiekiem nietuzinkowym, ale przede wszystkim jest bardzo niebezpieczny - żądny władzy, bezwzględny i umie manipulować ludźmi. Pomyśl jednak, co mamy do wyboru? Altinol? Ci wszyscy marionetkowi władcy wzdłuż autostrady? Trzeba by miliona lat, aby nowe prowincje połączyły się w ogólnoswiatowy organizm. Folimun może zmusić świat, aby padł przed nim na kolana - albo raczej przed Mondiozem. Słuchaj, Siferro, prawie cała ludzkość pogrążyła się w obłędzie. Na swobodzie biegają miliony szaleńców. Tylko ludzie mądrzy i silni psychicznie - tacy jak ty, ja czy Biney - zdołali wyzdrowieć. Ocaleli także ci najgłupszy; ale nim pozostali, czyli przeważająca część rodzaju ludzkiego, znów zaczną logicznie myśleć, miną miesiące, lata, a może nawet nie stanie się to nigdy. Charyzmatyczny prorok taki jak Mondior jest - niezależnie od tego, jak bardzo nienawidzę tej myśli - jedyną nadzieją.

- A zatem nie ma żadnej alternatywy?

- Nie dla nas, Siferro.

- Dlaczego?

- Posłuchaj, uważam, że tak naprawdę liczy się tylko zalecenie ran. Wszystko inne ma znaczenie drugorzędne. Świat otrzymał straszliwą ranę i...

- Sam ją sobie zadał.

- Ja widzę to inaczej. Pożary były konsekwencją całkowitej zmiany sytuacji. Nigdy nie miałyby miejsca, gdyby zaćmienie nie odsłoniło kurtyny, aby ukazać nam gwiazdy. A okaleczenia wciąż postępują. Jedne są przyczyną następnych. Altinol to rana. Te nowe, małe, niezależne prowincje to też rany. Szaleńcy mordujący się nawzajem w lesie... albo polujący na profesorów uniwersyteckich - to także okaleczenia.

- A Folimun? Przecież on jest raną największą ze wszystkich!

- I tak, i nie. Oczywiście, podsyca fanatyzm i mistycyzm, ale zaprowadzi porządek. Ludzie prawdziwie wierzą w to, co im oferuje, nawet pomyłki, nawet chorzy umysłowo. On jest raną tak wielką, że wszystkie inne wydają się niczym. Siferro, on może uleczyć świat. A potem, ale tylko od środka, my możemy spróbować uzdrowić to, co on zrobi chorego. Jeśli się do niego przyłączymy, mamy szansę. Jeżeli staniemy w opozycji, wytepią nas jak pchły.

- Co więc radzisz?

- Możemy wybrać, czy skupić się wokół niego i stać się częścią elity rządzącej, która wydobędzie świat z obłędu, czy też przeistoczyć się we włóczęgów i banitów. Którą ewentualność wybierasz, Siferro?

- Tę trzecią.

- Trzecia nie istnieje. Grupa z Amgando nie ma dostatecznej siły woli, aby sformować realny rząd. Ludzie pokroju Altinola są bez skrpułów. Folimun już teraz sprawuje władzę nad połową tego, co niegdyś było Federalną Republiką Saro. Z pewnością opanuje resztę. Siferro, miną wieki, nim powróci władza rozumu, niezależnie od tego, co zrobimy ty i ja.

- A więc mówisz, że lepiej jest przyłączyć się do niego i próbować jakoś kontrolować kierunek, w którym zmierza nowe społeczeństwo, niż stawiać opór jedynie dlatego, że nie podoba się nam ten rodzaj fanatyzmu, który reprezentuje Folimun?

- Właśnie. Właśnie tak.

- Ale dopomagać mu w spychaniu świata w szpony religijnego fanatyzmu...

- Świat już kiedyś zdołał się wyzwolić z fanatyzmu religijnego, czyż nie? Teraz najważniejsze jest znalezienie jakiegoś wyjścia z chaosu. Folimun i jego ludzie są jedyną dostrzegalną szansą. Wyobraź sobie, że ich wiara jest maszyną, która powiezie cywilizację, w czasie kiedy inne

mechanizmy nie działają. Tylko to się teraz liczy. Najpierw musimy naprawić świat; potem miejmy nadzieję, że nasi potomkowie zmęczą się tymi zakapturzonymi mistykami w długich szatach. Czy rozumiesz, o czym mówię, Siferro? Rozumiesz?

Skinęła głową niepewnie, z wahaniem, jakby odpowiadała przez sen. Teremon obserwował ją, gdy wolno odchodziła w stronę łąki, na której poprzedniego wieczora zaskoczyli ich wartownicy Apostołów. Miał wrażenie, że to wydarzyło się całe lata temu.

Stała tam przez chwilę samotnie, opromieniona światłem czterech słońc.

„Jaka jest piękna - pomyślał Teremon - Jak bardzo ją Kocham! Jakże dziwnie to wszystko się ułożyło...”

Czekał. Właśnie kończono zwijać obóz Apostołów, zakapturzone postacie w długich szatach przebiegały obok Teremona w tę i w tę.

Podszedł do nich Folimun.

- Co doktor Siferra postanowiła?

- Jeszcze nie podjęliśmy decyzji - rzekł Teremon.

- My...? Miałem wrażenie, że jesteś z nami niezależnie od wszystkiego.

- Jestem z wami, ale tylko razem z Siferra. - Teremon spojrzał mu prosto w oczy. - W przeciwnym razie nie.

- Rozumiem i nie będę stawiał przeszkód. Nie chciałbym jednak utracić człowieka z takimi zdolnościami w kontaktach z ludźmi. A także takiego eksperta od zabytków przeszłości jak doktor Siferra.

Teremon uśmiechnął się blado.

- Zobaczymy, na ile zdolny w kontaktach z ludźmi okazałem się w tym przypadku.

Folimun skinął głową i odszedł, aby dopilnować załadunku pojazdów. Teremon spojrzał w kierunku Siferry. Patrzyła na wschód, tam gdzie świecił Onos. Promienie Sithy i Tano spływały na nią oślepiającym strumieniem, z północy zaś dochodziła niska czerwona smuga światła Dovima.

Cztery słońca. Najlepsza z wróżb.

Nagle Siferra zaczęła biec przez łąkę. Wracała do niego. Oczy jej błyszczały i zdawało się, że się śmieje.

- Co postanowiłaś? - zapytał Teremon. Ujęła jego rękę w swoje dłonie.

- Dobrze, Teremonie. Niech się tak stanie. Wszechmocny Folimun jest naszym przywódcą i podążę za nim, gdziekolwiek rozkaże mi pójść. Ale pod jednym warunkiem.

- No, o co chodzi?

- O to samo, o czym wspomniałam, gdy byliśmy w jego namiocie. Nie będę nosiła szaty Apostołów! Jeśli będzie nalegał na szatę, to umowa zerwana!

Teremon pokiwał głową. A zatem wszystko ułoży się dobrze. Po nocy przyszedł świt, a wraz z nim powtórne narodziny. Ze zniszczeń wyrośnie nowy Kalgasz, a on z Siferrą będą mieli udział - ogromny udział - w tym dziele.

- Myślę, że to się da załatwić - odpowiedział uszczęśliwiony. - Chodź, porozmawiamy z Folimunem. Ciekawe, co na to powie.